

PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO”. *Ps 143.*

ROK XLIII.

Tom 169.

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1926



KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO”

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Czy można socjalizm pogodzić z katolicyzmem?

Nieco więcej niż rok temu ukazała się w prasie polskiej enuncjacja, która powinna była, jak się zdawało, wywołać ożywioną dyskusję. Jeden z czołowych ludzi polskiego socjalizmu, długoletni redaktor „Przedświtu“, ostatnio poseł Rzeczypospolitej przy kilku z kolei rządach zagranicznych, Dr. Witold Jodko-Narkiewicz, w obliczu śmierci zwracał się do swych towarzyszków partyjnych z otwartym listem, w którym oświadczał, że pogodził się z Kościołem katolickim, że dzień tego pogodzenia uważa za jedno z najdonioślejszych zdarzeń w swem życiu ostatnich czasów, i że szczęście, którego doznał, jest tak wielkie, że gotów jest zrobić wszystko możliwe, byleby uczestnikami tego szczęścia byli i inni. W tym powrocie do Kościoła było to osobliwe, że umierający bynajmniej nie zrywał z socjalizmem; owszem, oświadczał, że socjalizm z katolicyzmem potrafił w sobie pogodzić, „związać“, jak się wyrażał, najpotężniejsze dążenia ludzkości: katolicyzm i socjalizm. Że te dwa dążenia są najpotężniejsze w ludzkości, mówiła mu o tem sama liczba wierzących i liczba socjalistów, a intensywność i głębia jednego i drugiego dążenia przedstawiały mu się równymi. Dlatego błagał swych przyjaciół partyjnych, aby się odnieśli z całą miłością do zagadnienia i przyznali się, że jedno, co ich powstrzymuje od wiary, to wstyd fałszywy, z którego on się otrząsnął.

Tę deklarację pogodzonego z Kościołem i opatrzonego świętymi sakramentami socjalisty snąć uznała za wystarczającą władza kościelna, zezwalając na religijny pogrzeb, a po-

grzeb ten, ze względu na zajmowane przez zmarłego stanowisko i położone przezeń obywatelskie zasługi, musiał przybrać formy uroczyste; z drugiej strony i partja, do której Jodko należał, nie zrażona jego nawróceniem, wystąpiła na pogrzebie masowo. Pogrzeb przybrał niezwykle wygląd: czarna chorągiew kościelna z krzyżem i kościotrupem kroczyła w jednym pochodzie z licznymi czerwonymi sztandarami organizacji socjalistycznych; przytem zrobiono podobno ze strony socjalistycznej to ustępstwo żądaniom Kościoła, że chorągwie partyjne postępowały nie przed trumną zmarłego, ale za nią. Podobnie na miejscu wiecznego spoczynku odprawione zostały najpierw modły religijne, a dopiero po usunięciu się kleru rozbrzmiały mowy towarzyszyów partyjnych i dźwięki śpiewów socjalistycznych.

Gdyby kto w tem sąsiedztwie kościelnych i czerwonych chorągwi, w tem następstwie hymnu partyjnego po liturgicznych obrzędach pogrzebu chciał być dopatrywać się symbolu możliwości rzeczywistego pogodzenia socjalizmu z katolicyzmem, to trzeba zauważyć, że symbol ten nie szczególnie odpowiedziałby swemu zadaniu. Samego czasowego następstwa jednych obrzędów po drugich zamało do wyrażenia harmonji i syntezy przekonań, gdy duch jednych obrzędów kłóci się z duchem obrzędów innych, a czyż można wystawić sobie większe ideowe przeciwieństwo nad to, jakim tchną słowa pokutnego, pokornego *Miserere* a okrzyki groźne i mściwe „Czerwonego sztandaru?” Lepiej więc powiedzieć sobie, że nad trumną ś. p. Jodki-Narkiewicza ujawniła się raczej ta typowa polska kompromisowość, która nie umie i nie chce wyciągać z wyznawanych zasad wszystkich praktycznych konsekwencji i w drażliwych sytuacjach woli prześlizgiwać się po linii najmniejszego oporu. Gdzieindziej może taki katolicko-socjalistyczny pogrzeb nie byłby do pomyslenia; zapewne i deklaracja taka, jaką w przeddzień śmierci ogłosił w swym liście nasz socjalista, budziłaby w kołach katolickich pewne wątpliwości. Fakt jest, że pewne belgijskie czasopismo katolickie, donosząc o pogodzeniu się polskiego socjalisty z Kościołem, przedstawiło rzecz tak, jakoby on tem samem wyrzekł się socjalizmu, — do tego stopnia nie mieści się w tamtejszych głowach, by ktoś mógł

umierać jako dobry katolik, a jednocześnie jako prawdziwy socjalista. Tembardziej, że w danym razie chodzi nie o jakiegoś symplacza w wierze, a zwykłego szeregowca w partyjnym szyku, ale o tak wybitną inteligencję i czołową osobistość, jaką u nas przedstawiał ś. p. Jodko-Narkiewicz.

Ale nie jesteśmy w Belgii, tylko w Polsce, i nie o pogrzeb zmarłego nam chodzi, lecz o treść jego listu przedśmiertnego do przyjaciół. Jodko-Narkiewicz postawił w nim bardzo doniosły problem: czy rzeczywiście da się pogodzić socjalizm z katolicyzmem i nawzajem, — a jeżeli się da pogodzić pod warunkiem jakichś ustępstw z jednej lub drugiej strony, albo z obydwóch, to jakie mają być te ustępstwa? Albo też może trzeba zrezygnować na zawsze z widoków powodzenia wszelkich tego rodzaju prób?

Problem to doniosły, a to nie tylko z powodu, wskazanego przez ś. p. Jodkę, że katolicyzm i socjalizm przedstawiają dwie potęgi zarówno liczbą swych wyznawców, jak i intensywnością swych dążeń, ale i ze względów wyższej natury, na jakie przynajmniej wierzący katolik nie może być obojętnym. Jeżeli wierzymy, że Kościół katolicki jest najważniejszym, bo boskim czynnikiem prawdziwego uspołecznienia i postępu ludzkości, jeżeli widzimy w nim jedyne uprawnione przez Chrystusa pośrednika zbawienia wiecznego dusz, to trudno nam spokojnie przechodzić obok tych rosnących od lat kilkudziesięciu zastępów, oddalających się coraz bardziej od Kościoła, owszem zwalczających go rzekomo w imię dobra przyszłego ludzkości? I jeżeli Chrystus rozkazał nam pozostawić 99 owiec, by szukać jednej zbłąkanej, to chyba nie wolno zrezygnować z poszukiwania tylu dusz, które sztandar socjalistyczny odciągnął od królestwa Chrystusowego? Kwestja więc stosunku naszego do socjalizmu, to wielki problem misyjny i pastoralny naszych czasów, zaiste nie mniej ważny i doniosły, niż ewangelizacja pogan lub nawracanie całych heretyckich krajów. Zapewne doznalibyśmy uczucia niezmiernej ulgi, gdybyśmy mogli się przekonać, że te zastępy ludzi, grupujące się około socjalistycznych haseł, pozostając socjalistami, mogą być dobrymi synami Kościoła i że ich zbawieniu nie będzie groziło żadne

szczególne niebezpieczeństwo. Od takiego jednak przekonania jesteśmy dalecy, pomni na tyle orzeczeń najwyższych pasterzy Kościoła, potępiających doktryny socjalistyczne i patrząc na oddalanie się od Kościoła coraz większe tych mas, które socjalizm pozyskał dla siebie. Wobec tego powraca w całej rozciągłości problem: jakimi drogami trafić do tych ludzi, by ich dla wiary pozyskać? czy niema jakiegoś środka nawiązania z nimi kontaktu myślowego i uczuciowego? czy nie istnieją mimo przeciwności i sprzeczności jakieś punkty styczne między katolicyzmem i socjalizmem, któreby ułatwiły tamtej stronie zarówno, jak nam, zrozumienie się wzajemne i ułatwiły zbłąkanym powrót do Kościoła?

List przedśmiertny Jodki-Narkiewicza z tego względu był ważnym, że oto socjalista wybitny, jeden z duchowych przywódców tego wrogiego Kościołowi obozu, twierdzi, iż zbliżeniu się do katolicyzmu stoi na przeszkodzie socjalistom jedynie „wstyd fałszywy” — wstyd wycofania się z walki z klerykalizmem, dotąd tak namiętnie uprawianej, może wstyd zgięcia kolana przed Bogiem, którego się praktycznie wobec tłumów ignorowało, jeśli nie zwalczało wyraźnie. Samo przez się nasuwa się pytanie, czy w razie zwyciężenia przez socjalistów tego wstydu i zaprzestania walki z Kościołem już tem samem staną się oni dobrymi katolikami? Jodko-Narkiewicz za siebie odpowiedział, ale czy jego odpowiedź jest wystarczająca i przedmiotowo uzasadniona?

Oto, jakie pytania, ważne zarówno dla nas, jak dla socjalistów, nasuwała enuncjacja umierającego socjalisty i dla tego spodziewaliśmy się, że wywoła ona żywą dyskusję w prasie obu stron.

Zawiedliśmy się w oczekiwaniach. I tu objawiła się znowu nasza czy to ideowa płytkość, czy też obojętność na dyskusje zasadnicze. Po stronie katolickiej zadowolniono się przedrukowaniem w dziennikach listu Narkiewicza; tylko *Głos Narodu*, o ile nam wiadomo, omówił jego treść, wypowiadając zdanie, że Jodko-Narkiewicz uległ iluzji, myśląc, że godzi w siebie socjalizm z katolicyzmem. Poprostu nie uświadomił sobie zasadniczych przeciwności, jakie te dwa kierunki rozdzielają.

Nie wywołała deklaracja Narkiewicza spodziewanej dyskusji i w obozie socjalistycznym. Tylko redaktor naczelny *Naprzodu*, Emil Haecker, oznajmił, że w partji nie od dziś nurtuje problem, przez tow. Jodkę poruszony, że on sam zgadza się na rozwiązanie tego problemu takie, do jakiego doszedł jego zmarły przyjaciel, że w ramach socjalizmu, tak tolerancyjnego dla wszystkich wierzeń, doskonale może pomieścić się także katolicyzm i tylko klerykali dla swoich partyjno-politycznych celów usiłują skonstruować sprzeczność między katolicyzmem i socjalizmem. Zresztą optymistyczny sąd Haeckera nie wywołał sympatycznego echa u partyjnych towarzyszków. Owszem, sama redakcja, której on jest naczelnym kierownikiem, uważała za potrzebne zastrzec się w parę dni po ukazaniu się jego artykułu, że artykuł ten był wyrazem zapatrywań osobistych autora, nie zaś odzwierciedleniem poglądów partji. Jeżeli to zastrzeżenie miało wogóle jaki sens, to tylko ten chyba, że towarzysze redakcyjni, czy też wogóle partyjni nie podzielają zapatrywań Haeckera o możliwości pogodzenia socjalizmu z katolicyzmem, boć do tego jedynie zmierzały wywody redaktora.

Na tem skończyła się cała „dyskusja”, wywołana przez deklarację ś. p. Jodki, jeśli te parę głosów tak nazwać można, a szkoda, bo temat zasługiwał na to, by się nim bardziej zainteresować. Dlatego też postanowiliśmy wznowić urwaną nagle wymianę myśli na ten temat i kwestję stosunku wzajemnego między katolicyzmem i socjalizmem obszerniej omówić.

I.

Najpierw chcemy uchylić przypuszczenia tych, co możeby sądzili, że ogłoszenie listu ś. p. Jodki przez katolickiego kapłana i religijny pogrzyb, to są fakty, które same już świadczą, że nasze sfery kościelne zgadzają się z zasadniczą treścią listu nieboszczyka. Naszem zdaniem, takiego wniosku wyprowadzać nie wolno. Gdyby nawet dysponujący chorego kapłan osobiście był przekonany najmocniej, że socjalizm nie da się w żaden sposób pogodzić z katolicyzmem, to i wtedy jeszcze gorliwość i roztropność kapłańska może

upoważniłyby go do pozostawienia penitenta w mylnym przekonaniu o możliwości takiej zgody, jeżeli skądinąd chory okazywał pragnienie pojednania się z Bogiem i Kościołem, a nie było czasu na dysputy i przekonywania go o sprzeczności i przeciwieństwach, zachodzących między socjalizmem a religią, do której powracał. Mamy tu przypadek z teologii pastoralnej, nie upoważniający do wyprowadzania ogólniejszych wniosków. To nam pozwala — nawet po deklaracji ś. p. Jodki i po katolickim jego pogrzebie — nie krępować się niczem i zagadnienie powyżej postawione starać się rozwiązać niezależnie od tego, co sądził nawrócony socjalista.

Czy może zapanować zgoda między socjalizmem a chrześcijaństwem albo konkretniej między socjalizmem a religią katolicką? Trudność odpowiedzi pochodzi głównie stąd, że znając katolicyzm, jako pewien ściśle skrystalizowany system pojęć i instytucyj, nie możemy tego samego powiedzieć o drugim terminie porównania — o socjalizmie. Co to jest socjalizm, jakie doktryny należą do jego istoty, a co jest w nim przypadkową tylko naleciałością? Bieda, że tego sami socjaliści nie umieją powiedzieć. Historycy socjalizmu (podobnie jak w swoim zakresie historycy masonerii) lubią dopatrywać się socjalistycznych doktryn i urządzeń nieledwie od początku świata. Przypomina to trochę prostotę chłopka, który zazdrościł Adamowi, co to „w raju z którego drzewa chciał — rwał i na czyjem chciał — pasał“. Historycy socjalizmu wymieniają zwykle, jako swych protagonistów, i Platona z jego „Rzeczpospolitą“, opartą w gruncie rzeczy na największym wyzysku jednej klasy przez drugą, bo na niewolnictwie, — i pierwotnych chrześcijan gminy jerozolimskiej, choć oni zapałtzeni w niebo ani myśleli tworzyć raju na ziemi swym „komunizmem“, — i różne społeczne urządzenia średniowiecza, tak natchnione przecież przez myśl chrześcijańską, i redukcje zakładane przez Jezuitów w Paragwaju, — i „Utopję“ katolickiego męczennika za wiarę, bł. Tomasza More'a. Bardzo pouczająca pod tym względem jest historia socjalizmu i komunizmu przez G. Adlera.¹⁾

¹⁾ Prof. Dr. Georg Adler, Geschichte des Sozialismus und Kommunismus. I. Teil. Leipzig 1899.

Nasi krakowscy socjaliści do swego obozu zaliczyli nawet — co Dr. Adlerowi do głowy wcale nie przyszło — św. Franciszka z Assyżu. Mają w swej redakcyjnej tece nawet gotowy artykuł na ten temat, który bez zmiany drukują w *Naprzodzie* co parę lat, t. j. kiedy się nawinie jakaś okazja mówienia o wielkim Zakonodawcy średniowiecza.

Oczywiście przy takiej metodzie historycznej pojęcie socjalizmu można bez końca rozszerzać. Dlaczegożby n. p. do socjalizmu nie wcielić wszystkich zakonów katolickich, zarówno tegoczesnych jak średniowiecznych? Czy dlatego, że posiadają pewne materialne dobra? Posiadają je przecież nie jako prywatną własność, lecz wspólnie, tworząc prawdziwe komuny nie gorsze pod względem zrzeczenia się uczuć prywatnego posiadania od komun tworzonych — z nieszczęśliwym nieraz wynikiem — przez różnych autentycznych socjalistów. A przecież chyba żadne instytucje nie są w takiej nienawiści u socjalistów, jak zakony katolickie. Widocznie jest coś, co głęboko różni te pod pewnym względem podobne formy życia — i dlatego socjalizm winienby wogóle być ostrożniejszym w podciąganiu pod swoją rubrykę pojęć i urządzeń życiowych, mających z nim ledwie jakie takie pozorne podobieństwo. Tak, żeby św. Franciszka z Assyżu zrobić socjalistą, nie dość zanotować fakt, że on pogardził stanem, do którego należał, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — stanem burżujskim, — trzeba jeszcze zapytać, jaki był jego stosunek uczuciowy do ubóstwa. Otóż tu zachodzi między nim a socjalizmem diametralne przeciwieństwo. On ubóstwo, albo jak nazywał je „panią biedę“ ukochał uczuciem mistycznym i poślubił ją, socjalizm zaś przecie nie do czego innego dąży, tylko żeby z biedą się rozwieść. Św. Franciszek, nie chcąc sam ani dla zakonu posiadać własności, nie atakował jej zasadniczo u innych, nie nawoływał do wywłaszczania kogokolwiek. Chyba już tego wystarczy, by go postawić na biegunie przeciwnym od bieguna, na którym znajduje się socjalizm. Podobnie głębokie różnice możnaby wykazać zachodzące między socjalizmem dzisiejszym a wielu teorjami i próbami ich urzeczywistnienia, które wymienia G. Adler i inni historycy socjalizmu, jako socjalistyczne. Nie wchodzi to jednak w zadanie niniejszego ar-

tykułu, jak nie wchodzi w nasze zadanie wykazywanie, że owe teorie czy formy życia nie mogą w żaden sposób być nazywane „socjalizmem”. Jeżeli stawiamy kwestję, czy możliwa jest zgoda między socjalizmem a katolicyzmem, to oczywiście nie chodzi nam ani o socjalizm św. Franciszka z Assyżu, ani o socjalizm sekt średniowiecznych, ani o socjalizm redukcji jezuickich w Paragwaju, ani o socjalizm utopij Platona czy Morusa, — chodzi nam jedynie o socjalizm dzisiejszy, w szczególności o socjalizm, jaki u nas w Polsce uważa się za typowy. To nam już nieco ułatwia zadanie, bo stawia przed oczy już coś bardziej zwartej w sobie, niż ów amalgamat rzeczy tak dalekich od siebie, jakie historykom w rodzaju Adlera podoba się łączyć pod jedną nazwą socjalizmu.

Lecz i socjalizm nowoczesny trudny jest do określenia. Jeżeli się z jednej strony wyeliminuje rozmaite dawniejsze teorie i pomysły współżycia, które z socjalizmem dzisiejszym nie posiadają jakichś powierzchownych punktów stycznych, ale ożywione były zupełnie innym duchem, jeśli się zanalizuje zespół tych teorii i dążeń, które noszą dzisiaj nazwę socjalistycznych i wcielają się we współczesne organizacje społeczne i partie polityczne, występujące pod nazwą socjalizmu, to trzeba będzie zgodzić się z Wernerem Sombartem,¹⁾ że socjalizm ze wszystkimi licznymi jego rozgałęzieniami, szkołami i partjami, najłatwiej jeszcze określić negatywnie — przez opozycję do czegoś, co chce sobą zastąpić, jako nauka i jako system urządzenia świata. W tym razie nazwaćby go należało „antykapitalizmem” i kolebki jego szukaćby należało w tych czasach i tam, kiedy i gdzie rozwinął się najbardziej system wytwórczości kapitalistycznej. Jeśli się dalej odłączy na bok te kierunki myśli i akcji, które może również walczą przynajmniej z nadużyciami kapitalizmu, choć nie z prywatnem posiadaniem i które albo same nie chcą nazywać się socjalistycznymi, — albo przez inne większe grupy nie są do wspólności imienia dopuszczone, to będziemy mieli już dość ściśle określony podmiot do badania

¹⁾ Zob. tego autora „Der proletarische Sozialismus”, Jena 1924, t. I, str. 3—18. Jest to 10-te z gruntu przerobione wydanie książki Sombarta „Sozialismus und soziale Bewegung”.

i analizy jego wewnętrznej treści. Sombart nazywa go „proletarjackim socjalizmem“, gdyż jego teorie i obietnice zbiegają się z ruchem pracującego proletariatu i mają doprowadzić proletariąt do zwycięstwa nad kapitalizmem. Z proletariatu rekrutują się też szeregi, na których przywódcy socjalistyczni opierają się w swej polityce; inne pytanie, czy te szeregi rozumieją socjalistyczne teorie, czy całkowicie wyznają socjalistyczne *credo* i czy są przejęte jego duchem.

Zawartości tak ograniczonego z zewnątrz socjalizmu możnaby dać mniej więcej taką ogólną definicję w myśl samych socjalistów: Jest to 1) system racjonalniejszego urządzenia społeczeństw ludzkich przede wszystkim pod względem podziału dóbr materialnych, niż ten, jaki mamy w ustroju obecnym, zwany kapitalistycznym, i 2) zespół usiłowań w celu urzeczywistnienia nowego systemu. W ustroju społecznym socjalizm za najważniejszą i podstawową rzecz uważa system ekonomji, czyli ustrój gospodarczy, wszystko inne, naukę, sztukę, religję uważając za rzeczy pochodne i od systemu gospodarczego zależne, ponieważ zaś źródło braków kapitalistycznego ustroju upatruje w instytucji własności prywatnej, więc głosi albo zupełną takiej własności likwidację, albo przynajmniej daleko idące jej ograniczenia. Widzimy, że sprowadzona do tych dwóch składników definicja socjalizmu jest bardzo szeroka i zmieścić w sobie może rozmaite jego postacie, jak socjalizm państwowy, syndykalizm, kooperatywizm, aż do krańcowego komunizmu włącznie, słowem wszystkie te teorie i kierunki polityczne, które, mimo dzielących je różnic, noszą nazwę socjalistycznych.

Gdy bierzemy socjalizm jako pewną jedność i całość i gdy zbadamy jego literaturę, która wychowuje przecież całe masy proletariatu w krajach europejskich i nadaje ton praktycznej polityce przewodców tych mas, to socjalizm ten o swoim stosunku nie tylko do katolicyzmu, ale do wszelkiej wogóle religji wypowiedział się i wypowiada się wciąż wcale niedwuznacznie. Bolszewizm rosyjski, piórem takiego Bucharina, w swoich „abecadłach“ ateizmu, rozrzucających już po wszystkich krajach wśród zwolenników III Międzynarodówki, ogłasza walkę z wszelką religją, z ideą Boga za istotny obowiązek każdego uświadomionego proletariusza.

A czyni to nie sam tylko bolszewizm rosyjski, co byśmy mogli złożyć jeszcze na karb właściwej mu krańcowości i barbarzyństwa. Ważniejsze jest to, że i inne odłamy socjalizmu, przynajmniej socjalizm krajów kontynentu Europy, politycznie łagodniejsze i ustępliwsze pod względem stosunku swego do religji, zasadniczo od bolszewizmu nie różnią się. Rzecz w tem, że w systemie socjalistycznym, przedstawiającym się przynajmniej w kontynentalnych europejskich krajach jako pewien zwarty system idei nie tylko ekonomicznych, ale także ogólnokulturalnych, poprostu niema miejsca na religję.

Bolszewizm rosyjski nic więcej nie czyni, tylko wyprowadza logiczne konsekwencje z założeń, leżących w istocie znanego nam jako całość nowożytnego proletariackiego socjalizmu. Stosunek socjalizmu do religji znakomicie ujął w dwa słowa Sombart, gdy do składowych części ideologii socjalistycznej zaliczył, kładąc je przytem na pierwszym miejscu, „odbóstwienie świata“, t. j. wypędzenie Boga ze świata — *Entgottung der Welt*. Zrozumiałem się to stanie nam, gdy uprzytomnimy sobie komu socjalizm tych krajów zawdzięcza i przypisuje wytworzenie swojej ideologii, zlanie składowych jej pierwiastków w jeden system, nadanie teorii charakteru, jak lubią socjaliści wyrażać się — naukowego. Otóż tym kimś, był bezsprzecznie niemiecko-żydowski socjalista, Karol Marx, a ten nie mógł w socjaliźmie zostawić miejsca na żadną religję, bo cała jego metafizyczna koncepcja świata była naskrós materialistyczna i ateistyczna. Cała „naukowość“ jego systemu przecież polegała na tem, że usuwał zupełnie na bok z rozwoju dziejowego zarówno, jak ze zjawisk przyrody, wszelką interwencję sił nadmaterjalnych, jak on się z pogardą wyrażał „mitologicznych“, rozkładając wszystko bez reszty na czynniki czysto materjalne, konieczne. W religji jakiegokolwiek, w jakimkolwiek spirytualizmie widziałby przeszkodę do „naukowego“ wytlumaczenia świata i dziejów, pozostawił ją więc poprostu na boku, jako część składową całej owej ideologii burżuazyjnej, która jest tylko odbiciem obecnych stosunków ekonomicznych. Klasyczne są następujące jego słowa: „Religia jest opjum ludu... Usu-

nięcie religii jako iluzorycznego szczęścia ludu leży w interesie jego prawdziwego szczęścia".¹⁾)

Marx wypisując te słowa wikłał swój system w pewną wewnętrzną sprzeczność. Albo bowiem zaliczał religię, czynnik niematerialny, do rzędu czynników wpływających jego zdaniem ujemnie i szkodliwie — na bieg dziejów ludzkich, a w takim razie jest ona czemś więcej, niż tylko „odbiciem” danych stosunków ekonomicznych; albo też, winien był uważać ją także za czynnik materialny i w danym stadium rozwoju konieczny, a zatem nie wymagający szczególnej przeciwko sobie walki. Ta wewnętrzna sprzeczność pozostała w marksyzmie, zabarwiając w ten czy inny sposób praktyczne metody socjalistów wobec religii. Według jednych, za Marxem, religja jest tylko jedną ścianą tej nadbudowy ideologicznej, w której się odbija dotychczasowy feudalny i kapitalistyczny ustrój społeczny; ze zmianą tych stosunków na ustrój socjalistyczny zanikają same pojęcia i uczucia religijne, zniknie wreszcie ze świadomości ludzkiej Bóg i wieczność, jak niktne *fata morgana* z zapadnięciem się ładu, który na obłokach wyobrażała. Tego pokroju socjaliści w praktyce odnoszą się do religii z pewną pogardliwą pobłażliwością, jako do przesądu, z którym walczyć nie warto, bo sam z biegiem ekonomicznych przemian i proletariackiego uświadomienia jak dym zniknie. Inni wszakże socjaliści, również wychodząc z Marxa, są bardziej względem religii agresywni. Skoro religja jest nie tylko ideologicznym odbiciem starych stosunków ekonomicznych, ale trucizną, tamującą rozwój społecznego organizmu w kierunku ustroju socjalistycznego, to trzeba z nią pozytywnie walczyć, trzeba uświadomienie jak najszerzych mas o jej metafizycznej wartości przyspieszać, bo tym sposobem przyspieszy się także zwycięstwo socjalizmu. Stąd pochodzą dwa typy szkoły „świeckiej”, o którą zgodnie domagają się socjaliści w rozmaitych krajach: jeden, którybyśmy nazwali francuskim, usiłujący w wychowaniu pominąć Boga, abstrahując od wszelkich zagadnień religijnych, jako nie układających się rzekomo w ramy „nauki”, system neutralny, agnostyczny,

¹⁾ Cyt. u Sombarta, str. 135.

i drugi, który nazwiemy bolszewickim, nie zadawałnający się usuwaniem zagadnień religijnych na bok, ale wprost wprowadzający do szkoły swój ateistyczny katechizm i swoje ateistyczne dogmaty. Niech ktoś mówi, co chce, nam się wydaje ten drugi stosunek socjalizmu do religii bardziej konsekwentnem zastosowaniem materializmu Marxa. To też nie dziwimy się, gdy obserwujemy i w szkole francuskiej, wbrew zapewnieniom twórcy szkoły świeckiej Jules Ferry'ego o jej neutralności, zaszczepianie tego dogmatycznego ateizmu w coraz większej mierze.

Z ateizmu, który socjalizmowi nowoczesnemu, „naukowemu” wszczepił Marx, wypływają także inne charakterystyczne cechy socjalizmu, przeszkadzające mu zbliżyć się do religii wogóle i katolicyzmu w szczególności, a które tu już poruszymy tylko mimochodem. Z zaprzeczeniem Boga, a choćby tylko wyrzuceniem Go za nawias praw rządzących rozwojem ludzkości, jedynym prawodawcą dla siebie jest człowiek sam i jedynym przewodnikiem w stanowieniu tych praw pozostaje materialny i czysto doczesny interes człowieka. Zresztą jest to jednym z założeń materialistycznego pojmowania dziejów, gdzie cały rozwój ekonomicznych stosunków pojmuje się jako fatalną grę ekonomicznych interesów jednostek i grup ludzkich. Ten „fakt” — pomińmy, że niedostatecznie stwierdzony — nazwany „walką klas”, podnosi się w systemie „naukowego” socjalizmu do godności dogmatu i etycznej normy. Potępiana w kapitalizmie, o ile zwraca się przeciw proletarjatowi, walka staje się obowiązkiem klasowym proletariatu przeciwko kapitalizmowi. Tym sposobem na miejsce ogólnoludzkiej moralności socjalizm wprowadza moralność klasową, z czego wyraźnie się sam chełpi, moralność dyktowaną jedynie interesem klasy i urzeczywistnianą potęgą proletarjackich głosów i proletarjackich pięści. Ponieważ zaś interes nie zna granic, przeto w walce z kapitalizmem, według tej etyki, nie można nawet popełnić żadnej niesprawiedliwości; można chwilowo cofnąć się w walce dla nabrania tchu, by następnie na wroga uderzyć z tem większą mocą. Według wizyj przyszłości socjalistycznego systemu, wróg ten — kapitalizm — powinien zupełnie zniknąć; nic dziwnego, że godziwą jest w walce z nim

wszelka broń. Im rychlej runie, tem lepiej; walka im jest bezwzględniejsza, tem jest etyczniejsza z tego punktu widzenia.

Łatwo zrozumieć na jakie trzęsawiska moralne wprowadza ludzkość taka etyka klasowa i wyzwolona z pod wszelkiego prawa wyższego. Nie chodzi nam tu o kapitalizm. Jeżeli jest w swej istocie zły i nieuleczalny, niech ginie. Chodzi nam o psychikę i poczucie moralne mas. Etyka socjalistyczna, pomimo owej obiecaney równości i braterstwa wszystkich w socjalistycznym państwie, jest w praktyce etyką egoizmu, etyką siły, etyką samowoli ludzkiej, czyli jest zaprzeczeniem prawdziwej obiektywnej etyki i znieprawieniem moralnego poczuci aludzi. Taka etyka — jedynie od woli ludzkiej zależna — musi być też krańcowo relatywistyczną, nie uznającą żadnych niezmiennych zasad. Zrozumiała jest z jej punktu widzenia rewolucyjna dążność socjalistycznych przywódców, targająca się na takie instytucje, któreby mogły pozostać nietknięte również w socjalistycznym ustroju, jak n. p. nierozzerwalność małżeństwa, wpływ rodziców na wychowanie dzieci. Czy taka etyka zdolna wychować dobrego obywatela dla przyszłej rzeczypospolitej socjalistycznej, o tem możnaby także wątpić, a rzeczywistość rosyjska już dziś, po paru latach eksperymentu, mogłaby dostarczyć pewnych podstaw do takiego sceptycyzmu, lecz nie o to chodzi nam tutaj. Chcemy tylko stwierdzić, że etyka, jaka wypływa z materjalistycznego socjalizmu naszych czasów, jest etyką w założeniach swych sprzeczną z etyką chrześcijańską, która uznaje wyższe i od człowieczej woli i siły niezależne, w Bożym umyśle i Bożej woli oparcie mające i Bożą sankcją opatrzone normy działania ludzkiego. Ta więc sekularyzacja etyki, jakiej dokonywa nowoczesny socjalizm, nie mniej jak sekularyzacja metafizyki, ten panujący w nim pogląd na życie nie mniej jak pogląd na świat, jest przeszkodą uniemożliwiającą syntezę religii, a w szczególności katolicyzmu z socjalizmem.

Świadomość tej niemożliwości jest powszechna u pisarzy socjalistycznych. Rozszerzalibyśmy niepotrzebnie nasz artykuł, gdybyśmy chcieli przytaczać przykłady i dowody. Ciekawych odsyłamy do cytowanej książki Sombarta, gdzie

znajdą nazwiska wszystkich teoretyków socjalizmu, przecząc możliwości pogodzenia socjalizmu z religią. I jeśli redaktor *Naprzodu* w swoim artykule po śmierci Jodki twierdził, że tylko klerykali „dla swoich partyjno-politycznych celów usiłują sztucznie konstruować sprzeczność między katolicyzmem a socjalizmem“, to jego zdanie jest wprost paradne, — w rzędzie klerykałów bowiem umieszcza takich myślicieli samegoż socjalizmu, jakimi byli i są Marx, Bebel, Kautsky, Jaures, Vanderwelde, Bucharin i wielu innych. Zdań ich nie przytaczamy tu dlatego jeszcze, że powtarzalibyśmy to, cośmy już pisali niegdyś na tem miejscu.¹⁾ Streszczają się te głosy w jędrnym zdaniu niemieckiego socjalisty Remmele: „Usiłowanie połączenia socjalizmu z religią jest utopją, zasługującą na jaknajrychlejsze wykazanie jej niemożliwości“. ²⁾

Gdy tak na zagadnienie zgody między socjalizmem a katolicyzmem zapatrują się — trzeba powiedzieć najkonsekwentniej do założeń marksowskiej metafizyki — teoretycy socjalizmu, nic dziwnego, że to samo słyszymy z ust pasterzy katolickiego Kościoła. Podejmują oni przyznanie się samych socjalistów i mówią do swych wiernych: między socjalizmem takim, jaki znamy z nowoczesnych systemów socjalistycznych, a religią naszą zgody niema i być nie może. Już w latach powojennych, kiedy socjalizm wszędzie zyskiwał na znaczeniu politycznem, a gdzieniegdzie zdawało się, że już urzeczywistnia swój system i trzeba będzie pogodzić się z nim, jako z faktem dokonany, rozległy się głosy biskupów katolickich, którzy w zbiorowych listach potępili socjalizm i zabraniali wiernym wstępowania w jego szeregi, uważając to za równoznaczne z odstępstwem od wiary. Znamy tego rodzaju listy pasterskie episkopatu Szwajcarii, Holandji, Niemiec; rok temu dużo wrzawy w obozie socjalistycznym wywołał podobny list biskupów słowackich; biskupi francuscy niedawno temu w deklaracji swej wypowiedzieli się jasno: „Religia pozostawia każdemu swobodę być republikańcem, rojalistą, imperjalistą, gdyż te rozmaite formy rządu dają się

¹⁾ Zob. art. „Socjalizm a religja“, *Przeg. Powsz.* 1919, t. 141-142 str. 241

²⁾ Cyf. u Dr. F. X. Kiefla, *Sozialismus und Religion* (6 bis 10 Tausend), Regensburg 1920, str. 41.

z nią pogodzić; nie pozostawia zaś swobody być socjalistą, komunistą i anarchistą, albowiem te trzy sekty potępia i rozum i Kościół¹⁾. Widzimy, że biskupi katoliccy, stwierdzający niezgodność socjalizmu współczesnego z katolicyzmem, powtarzają tylko to, co już przed nimi wypowiedzieli najwybitniejsi teoretycy i przodownicy socjalizmu.

Jedna wszakże zachodzi tu różnica między pasterzami Kościoła, a propagatorami socjalizmu. Pierwsi jednakowo przemawiają tak do swoich, jak i do tych, których już za swoich nie uważają, drudzy lubią innym przemawiać językiem, gdy zwracają się do wierzących katolików, a innym, gdy dyskutują o tej rzeczy między sobą. Stąd, oprócz tego rodzaju zdań, jak przytoczone powyżej zdanie Remmele, z tego samego obozu usłyszymy także zapewnienia, podobne do znanego nam zapewnienia redaktora *Naprzodu*, twierdzącego, że w ramach socjalizmu doskonale da się zmieścić także katolicyzm. Ci przypominają hasło socjalizmu: „religia jest rzeczą prywatną“, chcąc tym sposobem niejako wmówić w słuchającego, że socjalizm nie wtrąca się do religijnych wierzeń swych adeptów. Nie chcemy posądzać tak twierdzących o taki stopień nielogiczności, by naprawdę sądzili, że n. p. socjalizm markowski będzie obojętny na to, czy jego członkowie będą wierzącymi chrześcijanami, czy nie, skoro religję uważa za zaprzeczenie własnej ideologii. Jeżeli tego rodzaju głosy, jak tow. Haeckera, lub ś. p. Jodki-Narkiewicza są szczerze, oznaczałyby wprost wyrzeczenie się tego socjalizmu, którym się zajmujemy obecnie. Ale mamy dużo powodów do przypuszczenia, że tego rodzaju głosy (nie mówimy tu specjalnie o p. Haeckerze, ani tembardziej o Jodce), dające się słyszeć z socjalistycznego obozu, bywają preparowane specjalnie na eksport, że są to syrenie głosy, mające niebacznego profana wciągnąć w odmet ideologii socjalistycznej. Wtedy zdanie takie, jak to, że „katolik także może być socjalistą“ znaczy tylko tyle, że dotychczasowe wierzenia religijne i przynależność wyznaniowa nie są uważane za przeszkodę, by dany osobnik mógł być przyjętym w szeregi socjalistyczne, nie znaczy zaś to zdanie,

1) Z deklaracji episkopatu francuskiego 11 lutego 1926 r.

że będzie mógł on nadal pozostać dobrym katolikiem. To drugie znaczenie może zapewnieniom propagatora socjalizmu nadać niebaczny kandydat na socjalistę, ale rzeczą partji będzie wychować go na dobrego towarzysza, a to wychowanie, jak widzieliśmy, prowadzone w duchu czystego materializmu i praktycznego amoralizmu, niezadługo zabije w jego duszy religję. Jeżeli u nas w Polsce jest pod tym względem inaczej, jeżeli prawdą jest, co pisał redaktor Haecker, że „tysiące“ dobrych socjalistów chodzi nawet do spowiedzi i komunji świętej, to znowu trzeba złożyć ten szczęśliwy fakt na karb naszej niekonsekwencji, naszego niedociągnięcia we wszystkim. Prostu tysiącom wciągniętych do socjalistycznych organizacyj prostaczków nie mówi się całej prawdy, nie daje się poznać całej ideologii, jaka w partji panuje, czyli nie czyni się z nich „dobrych“ socjalistów. Zresztą i u nas nie jest tak dobrze pod tym względem, jak twierdzi p. Haecker. Obserwujemy, że wszędzie w kraju, gdziekolwiek socjalizm rozszerza swe wpływy, traci swe wpływy religja i Kościół, frekwencja do sakramentów się zmniejsza, nienawiść do kleru wzrasta. Widocznie i u nas, choć nie tak gwałtownie, jak gdzieindziej, socjalizm robi swoje i religję, „prywatną rzecz“, niszczy nie tylko w instytucjach i życiu publicznem, ale i w samych duszach ludzkich. Gdzieindziej, jak n. p. w Niemczech lub Francji, gdzie ludzie konsekwentniej stosują w życiu własne teorie i wytrwalej je w innych wpajają, dechrystjanizacja mas przez socjalizm postępuje z przerażającą szybkością. Sombart stwierdza, że socjalizm ateistyczny stał się właściwą religją uświadomionego i zorganizowanego proletariatu, a jeden z nowszych socjalistów niemieckich już chełpliwie zapewnia, że „trzebaby długo szukać, zanimby się znalazło wśród należących do partji lub blisko niej stojących proletariuszy choć jednego, któremuby na myśl przyszło, że może być Bóg“. ¹⁾

Tak więc już nie tylko aprioryczne rozważania, ale

¹⁾ Markwald, cytowany u Kiefla, str. 39. „Man müsse lange suchen, ehe man unter den zur Partei gehörigen oder ihr auch nur nahestehenden Proletariern einmal einen finde, dem auch nur noch der Gedanke komme, es könne einen Gott geben“.

i praktyka życiowa dowodzi jasno, że między socjalizmem marksowskim a religią, w szczególności katolicką nie może być ani żadnej zgody, ani tembardziej syntezy. Chcieć pogodzić te dwa kierunki i systemy, znaczy gonić za najbardziej chimeryczną utopją, bo jest to chcieć sprowadzić do jednego punktu dwa bieguny kuli, chcieć wodę pogodzić z ogniem, jak o socjalizmie i religji wyrażał się Bebel.

A jednak nie chcemy zakończyć naszych rozważań na samem tem skonstatowaniu niemożliwości. Owszem, gdybyśmy nie mieli do powiedzenia nic więcej nad to, cośmy dotąd powiedzieli, nie bralibyśmy pióra do ręki, by pisać niniejszy artykuł. Tyle już napisano i u nas i gdzieindziej na ten temat! Przy każdej nadarzonej sposobności wypowiadało się w tym względzie i nasze pismo. Jeżeliśmy podjęli jeszcze raz problem i zaryzykowali przypominać czytelnikom naszym rzeczy tak dobrze im znane, to dlatego, że uważaliśmy to za konieczny wstęp do rozważań innych, które może będą miały w sobie coś nowego. Z socjalizmem takim, jakim go znamy z teorii marksowskiej i naszej praktyki życiowej, zgody być nie może, mimo to nie śmiemy twierdzić, że synteza, jakiej dokonał przed śmiercią Jodko, była tylko jego subiektywnem złudzeniem, pochodzącą z osłabienia jego władz umysłowych, z zapomnienia czem jest socjalizm, lub niedostatecznego zrozumienia czem jest katolicyzm. My stawiamy pytanie: czy umierającemu socjaliście nie ukazała się wizja socjalizmu i n n e g o , mogącego zatrzymać swą nazwę, a dającego się pogodzić z katolicyzmem? Czy socjalizm, jakim on sam się określa obecnie przez usta swych myślicieli, jakim go znają jego badacze i analitycy w rodzaju Sombarta, jakim go doświadczamy w naszych z nim stosunkach życiowych, jest takim spetryfikowanym systemem, który nie może dopuścić przypływu żadnych idei, któreby go zbliżyły do religji? czy jest jakimś granitowym monolitem, którego żadna myśl religijna nie tylko nie rozbije, ale nawet ociosać nie zdoła? Innemi słowy, czy wolno tracić wszelką nadzieję na uchrześcijanienie współczesnego socjalizmu? Powie ktoś słusznie, że uchrześcijanienie ateizmu jest nonsensem, — nie co innego stwierdzaliśmy w dotychczasowych naszych rozważaniach. Ale my

stawiamy kwestję inaczej. Pytamy, czy nie jest rzeczą możliwą, by ludzie, którzy dziś są zwolennikami socjalizmu, opartego na ateizmie, odrzucili ten ateizm i płynące zeń konsekwencje, a zatrzymali elementy inne, które jeszcze uprawniałyby ich do dotychczasowej nazwy „socjalistów”? A jeżeliby to było możliwe, czy względem tak zreformowanego socjalizmu mogłoby chrześcijaństwo zająć, jeżeli nie przyjazne, to choć neutralne stanowisko? Z drugiej strony, coby należało czynić ze strony katolickiej, by jednostkom socjalistycznym, myślącym może o takim przeobrażeniu socjalizmu, to zadanie ułatwić?

Oto pytania, któremi zajmiemy się w następnym artykule.

(Dok. nastąpi).

Ks. Jan Urban.

Różnolitość cywilizacyjna Słowiańszczyzny.

(Dokończenie).

Ciężkie, ponure, bezbrzeżnie smutne jest roztrząsanie spraw cywilizacyj turańskiej i bizantyńskiej. Wypocznie umysł, rozraduje się serce, jakby z za chmur błysnęło słońce ożywcze, gdy się przejdzie do dzieł cywilizacji zachodnio-europejskiej. Odrazu w inny wkracza się świat. A dwa te, tak sobie przeciwne światy, znajdują się na mapie tak blisko siebie, iż z podziwu wyjść nie można, jak tyle różnic mieści się w bezpośrednim sąsiedztwie, zazwyczaj bez jakiegokolwiek strefy przejściowej.

O kilka kilometrów od południowej granicy hercegowińskiej na zachód, nad Adriatykiem, na miejscu starożytnego Epidauru stanął chorwacki Dubrownik (Ragusa po włosku), ognisko literatury i sztuki, a słynny przybytek wolności.

Oto wypadło użyć dla scharakteryzowania stosunków w Dubrowniku wyrazu, nie istniejącego w słowniku tamtych kultur ponurych. Na wstępie do świata chrześcijańsko-klasycznego mamy zaraz do czynienia z pojęciem wolności, z pojęciem właściwym światu klasycznemu, lecz w średniowieczu i czasach nowożytnych tylko Zachodowi, aż dopiero po utrapieniach długich pokoleń zdołało się to szlachetne pojęcie przedostać w wieku dopiero XIX do obszarów cywilizacyj turańsko-słowiańskiej i bizantyńskiej, nie wszędzie niestety zrozumiane, nie wszędzie wykonalne, częstokroć tak spaczne, iż ono nawet służyć musi za kryterjum w przepa-

stnej kultur różnolitości. Nie każda cywilizacja nadaje się do wolności.

Zaiste — czemżeż różni się cywilizacja Zachodu od oryentalizmu turańskiego czy bizantyńskiego, jeżeli nie tem, że posiada w sobie popęd do wolności, że zdoła wolność wytrzymać i umie jej używać? że wolność miłuje i umie się z nią obchodzić? Owem słońcem ozywczem, które unosi się ponad całą naszą cywilizacją, jest wolność: wolność osobista z siostrzycą swą, godnością osobistą i swobody obywatelskie, których następstwem poczucie odpowiedzialności, a więc coraz większe podwyższanie poziomu etycznego w życiu prywatnem i publicznem z pokolenia w pokolenie. Są cechy cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej inne, może nawet głębsze, dające się wywieść filozoficznie i socjologicznie — ale któraż cecha jest tak jawną, tak widoczną na pierwszy rzut oka i bardziej charakterystyczną, jak wolność?

Na czemże polega rozwój całej naszej cywilizacji, jeżeli nie na stopniowem, lecz stałem, szerzeniu i pogłębianiu wolności? Wolność jest jakoby cudownem dziejowem zakłębieniem w obcowaniu pokoleń — a cywilizacja Zachodu będzie się rozwijać dopóty, póki kwitnie miłość wolności.

W Dubrowniku działała przez całe wieki bezpośrednio kultura włoska, tak dalece, iż można śmiało mówić o odrębnej kulturze dubrownickiej, jako włosko-słowiańskiej, mianowicie włosko-chorwackiej. Działały tam wpływy południowo-włoskie zrazu silniej, niż północno-włoskie, bo od południa ciągnął się do Dubrownika wielki morski szlak handlowy; — a że południowa Italia miała swe główne ognisko handlowe na Sycylii, Sycylja zaś pozostawała w ożywionych stosunkach z półwyspem iberyjskim, uderzała więc przez ten łańcuch pośrednictw o Dubrownik całą siłą kultura romańska wogóle. Bo też gdyby nie język chorwacki, możnaby Dubrownik uważać we wszystkim za romańskie miasto. Obok chorwackiego był zaś i włoski język tam zupełnie za-domowiony, do tego stopnia, iż literatura dubrownicka — piękna, obfita i wielostronna — liczy szereg pisarzy dwujęzycznych, włosko-chorwackich, jakkolwiek nigdy nie popadli Dubrowniczanie w zatracenie swego odrębnego poczucia narodowego.

Ale poczucie to nie było chorwackie, tylko dubrownickie. Nie z ciasnoty to wynikało pojęć — lecz z natury rzeczy. Wśród żywiołu etnograficznego chorwackiego Dubrownik celował i wyróżniał się. Celował wysoką kulturą, wobec której sąsiednia Hercegowina lub Czarnogóra były niemal barbarzyńskimi. Wyróżniał się tem, że był państwem morskim, jedynem w całej Słowiańszczyźnie społeczeństwem żeglarskiem — a morze rozszerza horyzont i urządza stosunki społeczne w odmienny zgoła sposób. Nie było tedy nic wspólnego pomiędzy Dubrownikiem a sąsiednimi prowincjami chorwackimi. Skoro tedy osiągnięto w Dubrowniku ten stopień rozwoju cywilizacyjnego, na którym wytwarza się poczucie narodowości, poczucie to ograniczyło się do samegoż Dubrownickiego państewka. Było w tem coś staro-helleńskiego, lub coś włoskiego ze średniowiecza historii włoskiej.

Sycylskie i hiszpańskie wpływy mieściły w sobie nieco pierwiastków arabskich, boć na Sycylii i w przeważnej części półwyspu iberyjskiego władali „Saraceni“, a następstwa ich pobytu zostały nawet po złamaniu ich panowania. Była to najprzedniejsza gałąź cywilizacji arabskiej, nie zarażona turańskością — kalifat kordowski stanowił obok bagdadzkiego najwyższą wspaniałość islamu — ale nawet szczyty islamu nie znały, co to wolność. Na niewolnictwie, jako na filarze swym, oparte są stosunki społeczne muzułmaństwa i od Arabów, od Maurów hiszpańskich i Saracenów sycylskich szerzy się w Europie zachodniej — podobnież jak od Bagdadu we wschodniej — handel niewolnikami. Handel ten dociera aż do Dubrownika, do Kotoru jeszcze nieco dalej na południe na wybrzeżu adriatyckiem, do Spljetu ku północy i na wyspę Korczulę (Cherso). Częste zakazy władz stanowią dowód, że handel ten istniał wbrew temu, że go potępiano; jakoż spotykamy się z nim w Dubrowniku jeszcze w wieku XV.

Ograniczenie niewolnictwa polegało tu, jak wszędzie w chrześcijaństwie z początku na tem, że tolerowało się kupno niewolnika, lecz nie wolno go było sprzedawać. W ten sposób tamowano ruch handlowy ludzkim towarem, zagważdzano go, a niewolników kupionych zamieniano w służbę

domową — którą wyzwalać po pewnym czasie nakazywał obyczaj chrześcijański.

Po pewnym czasie całe wybrzeże dalmatyńskie przejęło się kulturą włoską, ale też aż do dubrownickich granic przeszło pod panowanie Wenecji, podczas gdy sam tylko Dubrownik z okolicą utrzymał niepodległość aż do czasów wojen napoleońskich. W Dubrowniku wyrobiło się też pojęcie trzeciego stopnia wolności: wolności wobec ościennych, czyli niepodległości.

Kultura włosko-słowiańska rzerzyła się coraz dalej ku północy na ląd stały, tembardziej, że przybywało też osadnictwa włoskiego: kupców i artystów. Tak doszedł ten prąd jeszcze w ciągu wieków średnich aż do Gorycy, gdzie do dnia dzisiejszego każdy inteligentny Słowieniec zna język włoski dokładnie i wykształcony jest na literaturze włoskiej. Promieniowanie włoskie sięgało aż po Lublanę.

Objęła więc ta piękna kultura dwa słowiańskie narody: Chorwatów i Słowieńców. Włoskie wpływy są tam znacznie starsze od niemieckich a tak potężne, iż nawet po wiekach germanizacji znać je na każdym kroku, nawet w życiu powszednim.

Drugie obok Dubrownika ognisko historyczne żywiołu chorwackiego Zagrzeb, nie posiadało większego znaczenia kulturalnego. Co gorsza, Zagrzeb zmarnował warunki pomyślne, jakich dostarczało mu centralne położenie geograficzne. Od połowy XI w. związała się ta Chorwacja centralna unją dynastyczną z państwem węgierskiem, a wszedłszy w tor średniowiecznego państwa stanowego, jakim królestwo węgierskie pozostało aż do połowy XIX wieku, sama także stała się krajem o wielkiem zacofaniu historycznem. Zagrzeb miał być powołany do żywszego ruchu kulturalnego dopiero dzięki prądom demokratycznym drugiej połowy XIX wieku.

Starsza literatura nadobna chorwacka pochodzi od XV wieku — niemal wyłącznie z Dubrownika. Dzięki wpływom włoskim przypomina w niejednem historję literatury polskiej, wyprzedzając ją w niektórych kierunkach.

W połowie XV wieku zaczął Marko Marulić tłumaczyć włoskie misterja, oryginalnym dając początek Vefranić Czavcić

(1482—1578) z Dubrownika; uczeń jego, Marin Držić jest już autorem licznych utworów dramatycznych, komedyj i igrzysk pasterskich. W wieku XVII wprowadza Marin Gazarović opowieści dramatyczne świeckie, obszerne, rozwlekłe fabuły z dworów monarszych czerpane. Dramat sielankowy, pasterski, zajmuje też za przykładem włoskim znaczne miejsce w dziejach piśmiennictwa chorwackiego, przyczem ta ich „pastirska igra“ mieści w sobie pierwiastki ludowe chorwackie — podobnież jak to było w polskim piśmiennictwie. Właściwy twórca tego rodzaju poezji, Mikołaj Najlesković (1510—1587), słynący zarazem jako twórca pieśni i poezyj miłosnych, pochodził także z Dubrownika. Miał potem licznych naśladowców.¹⁾

Złoty wiek piśmiennictwa dubrownickiego przypada na czasy pierwszych dwóch Wazów w Polsce. Za Zygmunta III sprawy polskie zajmowały bardzo blisko inteligencję dubrownicką, a szczególnież bliskim był Dubrownikowi królewicz Władysław, ten ulubieniec poetów, wysławiany, opiewany w kilku językach w różnych stronach Europy. Właśnie za jego królowania, za Władysława IV dochodzi do szczytu rozwój poezji dubrownickiej. Kultura nadmorskiego państewka chorwackiego opiera się z jednej strony o Włochy, z drugiej o Polskę, w której upatruje źródło odrodzenia dla świata katolickiego, a to ze względu na podjętą przez Polskę walkę z Turcją. Głównym wyrazicielem polonofilskiego kierunku był Ivan Franjin Gundulić (Jan syn Franciszka G.), który żył w latach 1588—1638. Największem jego dziełem, ocenionem należycie przez Mickiewicza w paryskich Kursach Literatur słowiańskich, jest poemat epiczny w 20 pieśniach p. t. „Osman“. Tłem eposu wojna polsko-turecka roku 1621, a bohaterem ten, kto ze wszystkich Polaków najwięcej miał szczęścia do poetów, opiewany w rozmaitych językach Władysław IV, wówczas jeszcze królewicz. Korzystając z rad i wskazówek samego Mickiewicza przetłumaczył „Osmana“ Karol Brzozowski, lecz przekład jego spłonął nieśtedy podczas pożaru w Dreźnie w r. 1849.²⁾ Obok tego eposu

¹⁾ Władysław Wegnerowicz: Początki dramatu chorwackiego, *Świat Słowiański* z marca 1910.

²⁾ W nowszej literaturze najlepsze studjum o Gunduliciu wydał

stoi arcydzieło poezji chorwackiej i szczyt natchnienia Gundulicia, poemat „Dubravka“, apoteoza wolności Dubrownika. Prócz tych dzieł pomnikowych pisał wielki poeta chorwacki kilka dramatów klasycznych, jak „Ariadna“, „Prozerpina“, „Dijana“, „Armida“, tudzież zbiory pieśni lirycznych. Najstarsza biografia tego poety dubrownickiego, pisującego wyłącznie po chorwacku, wyszła po włosku pisana w r. 1828, przez Pijara dubrownickiego Appendiniego: „Vita di Giovanni Francesco Gondola“. Jakżeż znamienne łączy się tu praca kulturalna włoska z chorwacką; po włosku, czy chorwacku, to i tamto... dubrownickie!

Obok Gundulicia Gjon Gjora Palmotić (Jan syn Jerzego P.), żyjący w latach 1606—1657, autor szeregu dramatów klasycznych, których dochoowało się 14 (kilka atoli tylko we fragmentach), a z których najlepszy i najważniejszy „Pavlimir“. Opiewa początki Dubrownika. Dubrownik, jak przystało na gród tak bliski ojczyźnie humanistów, musiał pozostawać w jakimś genetycznym związku z mitologią klasyczną. A więc Kadmus i Harmonia, zmuszeni opuścić helleńską Beocję, chronią się do Illyrii. Wybierają sobie na pobyt miejsce pośród skał dobrze znanych i wskazanych imiennie, do których legenda o ich tam pobycie dotychczas jest przywiązana i wiadoma ludowi. Za Kadmusem przybywali coraz liczniejsi przybysze greccy, aż założyli miasto Epidaurus.

„Pavlimir“, przedstawiony w roku 1632, zaczyna akcję na gruzach Epidauru. Włada tam zwierzchnik wolnych pasterzy i leśnych rusałek, Strmogor, którego wybrał się strącić najeźdźca przybyły z daleka, „król Gotów i Słowian“, Pavlimir. Przybywszy, przyjrawszy się krainie i jej mieszkańcom, nie chce walki, zgody pragnie; wolność zostawia tej ziemi i tylko krzyż na niej zatyka, a pośród dąbrów zakłada gród Dubrownik. Pieśni pasterzy i orszaku Pavlimira stwierdzają jego szybki wzrost, i wróżą mu coraz wspanialszą przyszłość. Doprawdy szkoda, że nie rozporządzam na-

Szwed Jensen, znany w Polsce tłumacz naszych wieszczów: „Gundulić und sein Osman“, Gotenborg 1900. — Z Polaków pisał o nim Rzążewski w r. 1868 — a potem jest do zanotowania tylko rozprawka Henryka Gluecka: „Gundulić w Polsce“ w *Świecie Słowiańskim* ze stycznia 1906 r.

leżyтым przekładem tych istnych perełek prawdziwego natchnienia. „W skończonej piękności formie, godnej najzdolniejszych poetów XVII stulecia, wylewa się uczucie najgłębszego przywiązania do ojczystego grodu, a zarazem bucha duma z jego urzędzeń, z jego wolności („sloboda nasa“), droższej nad srebro i złoto, a której obywatele zawsze gotowi bronić bez względu na ofiary“.¹⁾

Kulturę włosko-słowiańską można śmiało nazywać krótko: dubrownicką, bo tam jej ognisko i stamtąd promieniowała na inne kraje chorwackie.

Powiedziałem: „chorwackie“. Zastanówmy się, co to za pojęcie? Nie antropologiczne i nie etnograficzne, bo pod temi względami gdzież różnica pomiędzy Chorwatami a Serbami? Jeżeli chodzi o krew, o pochodzenie, o miejsce (że tak powiem stylem Augusta Comte'a) w historii naturalnej Słowiańszczyzny, należałoby używać wyrażenia: „serbochorwacki“. Aleć wiemy wszyscy dobrze, jako swoją drogą są Serbowie, ale też Chorwaci swoją drogą. Dwa narody? Oni sami tak twierdzą (a przynajmniej tak twierdzili do roku 1918), że to są dwa odrębne narody. Jeżeli jednak ktoś za cechę zasadniczą narodowości zechce mieć wspólny język, musi przez konsekwencję mieć również wszystkie ludy serbochorwackie za jeden naród. Nie warto się o to spierać, boć to i tak niedługo rozstrzygniętem zostanie przez historję!

W każdym razie, trzeba sobie zdawać sprawę z nieobojętnej okoliczności historycznej, gdzież pośród ludów serbochorwackich granica Chorwatów a Serbów (przynajmniej gdzie do dnia wczorajszego była)? Odpowiedź jest niewątpliwa: Chorwacją są obszary kultury włosko-słowiańskiej; jak daleko sięgnęły wpływy włoskie, tak daleko mieszkać Chorwaci. Wszystko, co stanęło poza promieniowaniem Włoch, względnie kultury dubrownickiej, jest Serbią.

Sam obszar geograficzny niema tu nic do rzeczy. O ile na tym samym obszarze istniały wpływy obydwóch kultur: włosko-słowiańskiej i bizantyńsko-tureckiej, wytwarzali się, organizowali i są do dziś dnia, razem zamieszkali i pomie-

¹⁾ Tadeusz Stan. Grabowski: Dubrownik w poezji i historii, *Świat Słowiański* z kwietnia 1908.

szani terytorjalnie Chorwaci i Serbowie. Tak jest w Bośni i Hercegowinie.

Chorwackość a serbskość pokrywała się przez długie wieki z katolicyzmem a prawosławiem. Ale z początkiem wieku XVII posiadali katolicy Chorwaci już trzy obrządk: rzymsko-łaciński, rzymsko-słowiański (głagolicę) i nowo przybywający grecko-słowiański. Geneza tego ostatniego wojenna.

Podczas wojen habsbursko-tureckich zdarzało się często, że Słowianie przechodzili z Bałkanu i prosili o pozwolenie osiedlenia się pod rządem „cesarskim“, bo chrześcijańskim. Byli to uchodźcy nie tylko katolicy, ale nieraz także prawosławni, jakkolwiek prawosławie cieszyło się popłaźliwością władz tureckich (ale nie było wolno używać dzwonów, do czego prawosławni przywiązują nadzwyczajne znaczenie). W ten sposób zaludniła się pod koniec XVI w. prawosławnymi uchodźcami okolica miasta Pribić w Chorwacji. W roku 1611 przystąpiono do unii z Kościołem rzymskim, zachowując oczywiście grecko-słowiański obrządek.

Czy ci unicy Chorwatami są czy Serbami, napróżno chciałby rozstrzygnąć etnograf. Jak decydującym jest wpływ cywilizacji, której się ulega, świadczą właśnie owi unicy w Chorwacji. Z reguły poczuwali się do chorwackości, a władyka krzyżowacki uchodził za chorwackiego księcia Kościoła, bo otoczenie całe i warunki kulturalnego życia tchnęły chorwacyzmą. Jak jest obecnie — nie posiadam żadnych wiadomości.

Emigracja z pod jarzma tureckiego do „krajów cesarskich“ była liczna, ale z natury rzeczy większość olbrzymia pozostała na miejscu i pozostać musiała. Katolicy nazywali się zawsze Chorwatami i do dnia dzisiejszego nazwa ta znaczy u prostego ludu to samo, co katolik.

Rzecz godna uwagi, jak poezja ludowa przechowywała tam tradycję religijną chrześcijańską, zwłaszcza w Hercegowinie.

„Dziwny to kraj, ta skalna Hercegowina. Lud zowie ją siostrą księżycową, ojczyzną witeziów dzielnych i pieśni junackich. Każdy chłop, kopiący ziemię na czifliku tureckiego agi, każdy pasterz kóz mówi tu językiem bogatym, pełnym

zwrotów poetyckich; upodobanie w pieśni jest stroną tak żywotną, śpiew potrzebą tak niezbędną, że nie obejdzie się bez niego żaden ważniejszy moment życia ludowego... To też wśród tych dzikich pustek i zwalisk skalnych wzrosła poezja tak bujna, tak bogata w obrazy przepyszne, tak świetna plastyką, tak pełna godności i powagi epicznej, że słusznie naród nazywa ją swoim złotem jasnym i bisiorem". A skarby poezji ludowej, zwłaszcza epiki, przechowywali w znacznej części mnisi Franciszkanie. U nich też zaczątki poezji artystycznej na tematy walk religijnych na Bałkanie. Oni też wydali mistrza tego kierunku, poetę doprawdy niepośledniego, jest nim Fra Grga Martić (1822—1905), autor poematu epicznego „Osvefnici“ (mściciele). Jakżeż znamienity ten tytuł „Fra“, używany przez Franciszkanów hercegowińskich i bośniackich! jaki z tego dokładny drogowskaz kulturalny! A tenże Grga Martić jest tłumaczem Vergiljusza, tudzież... Racina i Chateaubrianda.¹⁾ Droгowskaz na zachód, na zachód!

Za czasów tureckich sami tylko Franciszkanie chorwaccy sprawowali pasterstwo dusz w tych krajach, ich służbą utrzymanie katolicyzmu. Przybrali tureckie szaty, zapuścili wasy a golili brody, a lud nazywał ich „ujaci“ (wujowie) dla niepoznaki przed Turkiem, gdy po wsiach wędrowali. Jedynym ich utrzymaniem była jałmużna. Po okupacji austriackiej zaprowadzono hierarchję katolicką, powołano Jezuitów, których zakłady wydały znaczny poczet kapłanów świeckich... żyjących na równi z mnichami z jałmużn, pobieranych od wiernych najuboższego wyznania w Bośni i Hercegowinie.

Rządy austriackie kierowały się w sprawach wyznaniowych w „krajach okupowanych“ zasadą plutokratyczną. Liczono się na każdym kroku z tem, jako muzułmanie stanowili tam najzamożniejszą część ludności, boć oni tylko posiadali ziemię na własność (giaurom nie było wolno pod władzą turecką), prawosławni średnio zamożną, a katolicy najuboższą. Stosownie do tego rozdawał Wiedeń swe sympatje.

¹⁾ Zygmunt Stefański: Fra Grga Martić, *Świat Słowiański*, zeszyt z listopada 1905.

Chorwaci bośniaccy żyją w nędznych chatach, po większej części o jednej izbie, w której mieszka cała rodzina, często kilka rodzin razem. Niema tam ani stołu, ani łóżek, ani krzeseł według naszych pojęć. Głównem pożywieniem chleb z kukurudzy; gdybyż choć tego nie brakowało! W roku 1909 były w Bośni kościoły katolickie, wyglądające raczej na szopy; w Potocach w Hercegowinie zrobiono kościół ze stajni dawnego zajazdu tureckiego. W niektórych kościołach brak bielizny liturgicznej i nader rzadko zdarzają się ornaty we wszystkich barwach liturgją przepisanych.

Stan materialny duchowieństwa? Oto wyjątek z listu jednego z proboszczów: „Nigdy dotychczas nie prosiłem o nic dla siebie; zawsze jakoś przebiedowałem i nie byłem zmuszony żebrać. Ale ten rok (1908) strasznie zły; susza wypaliła wszystko. Chłopi moi, parafianie, płaczą niemal z rozpacz. Nie mogą mi dać zboża, bo sami nie mają; jestem tedy w wielkiej nędzy. Chodziłem aż do tego roku w sutannie, którą dostałem przed pięciu laty na teologji. Jeżeli nie dostanę skąd pomocy, muszę sprzedać konia, który mi jest niezbędny z powodu wielkich odległości, lecz będę musiał chodzić do chorych pieszo po 30 kilometrów. Jakżeż byłbym wdzięczny, gdyby mi jaka dusza chrześcijańska zechciała dopomóc, żebym sobie mógł kupić palto... Wina mszalnego podarował mi pewien pocziwy Turek, znający moją biedę, na cały rok...”

Z relacyj z lat 1908 i 1909 dowiadujemy się o proboszczu, chorym obłożnie, który miał zaledwie bochenek suchego chleba stwardniałego i sam musiał się wyciągać na nędznem posłaniu, chcąc sobie kromkę ukroić. Mowy o tem niema, żeby móc sobie trzymać chłopaka do posługi; a gospodyni nie miałaby na czem gospodarować. Dowiadujemy się o innym proboszczu, który leżał chory w szpitalu, a lekarz mówił, że chory z głodu!¹⁾

W miarę organizowania parafij przez biskupów musiano przystąpić do europeizowania stosunków kościelnych, a to musiało wkońcu pociągnąć za sobą ten skutek, iżby się wkońcu zamknęło do klasztorów zakonników franciszkań-

¹⁾ P. Anton Puntigam: *Unsere Zukunft in Bosnien*. — Graz und Wien, 1909.

skich, mających w tradycji to, że kierowali ludem. I księża są ludźmi, to też zapanowała niechęć pomiędzy klerem zakonnym a nowym świeckim. Trudno! w Europie świeccy księża kandydują do sejmów, a mnisi siedzą w klasztorach.

Chorwaccy „fra” wykonali chwalebnie swą misję dziejową, która była religijną i cywilizacyjną. Ochraniali katolicyzm przeciw islamowi i prawosławiu, ochraniali kulturę włosko-słowiańską przeciw bizantyńsko-tureckiej. Trudno, gdziekolwiek zetkną się dwie cywilizacje, tam musi nastać walka pomiędzy nimi, która trwa dopóty, póki obie zachowają siłę żywotną.

Czy chorwaccy „fra” tworzyli straż przednią kultury włosko-słowiańskiej, czy też straż tylną... któż będzie prorokował?

Są jednostki, wdzierające się śmiało w imię cywilizacji zachodniej w dziedziny uznawane dotychczas za wyłączność bizantynizmu. Nowopowstałe państwo jugosłowiańskie wysyła bizantyńskie macki pod Lublanę, ale również wnosi w mury samego Belgradu to i owo z pod Lublany (dosłownie!). Wartoby długo żyć, ażeby zobaczyć, co z tego wyniknie; miejmyż otuchę, że obserwatorów naukowych nie zabraknie.

Od jakich trzydziestu lat artyści plastycy urządzają wystawy naprzemian w Zagrzebiu i Belgradzie; ile im właśnie zawdzięcza popularności idea illyrska, obecnie zwana jugosłowiańską, oceni kiedyś historia. To pewna, że ani w Polsce malarstwo nie odegrało tak wybitnej roli politycznej (sic), jak w południowej Słowiańszczyźnie. Temat ten godzien specjalnego opracowania, lecz wymagałby zarazem pióra bardziej specjalnego. Dla przykładu tylko posłużę się jednym nazwiskiem artysty, którego samo nazwisko jest wielce charakterystyczne.

Twórcą swojskiej sztuki dekoracyjnej jugosłowiańskiej jest malarz Dragutin Inchiostri. Nazywa się w taki ciekawy sposób, iż imię chrzestne brzmi arcysłowiańsko, nazwisko arcywłosko. Jestto Chorwat ze Spljetu, Dalmata tedy, który na samym początku XX wieku przeniósł się do Belgradu, gdzie po rozmaitych ministerstwach oglądać można niemało jego prac. Obszedł pieszo całą niemal południową Słowiań-

szczyzną, zbierając tworzywo artystyczne, rozumiany zaledwie przez szczupłe grono rodaków, wśród których działał — a śledzony z zajęciem i z nadzwyczajną sympatią przez... Włochów. W czasopiśmie *L'arte decorativa moderna* pisał o nim historyk sztuki Afred Melani w r. 1908 pomiędzy innymi pochwałami także w te słowa:

„Zdaje mi się, że tradycyjna wzajemność w zakresie sztuki nie przerwana dotychczas; Dalmatyńcy chętnie podróżują i po świecie się osiedlają. Dragutin Inchiostrri, dekoracyjny malarz z Dalmacji, rodem ze Spalato, a obecnie żyjący w Belgradzie, usiłuje dzisiaj dowieść trwałości tego wzajemnego stosunku, czyli miłości synów Dalmacji do piękna“.¹⁾

Pisząc o kulturze włosko-słowiańskiej, musi się zwrócić uwagę na Słowieńców. Kto miał sposobność widzieć mieszczki w krainie od Lublany do Postojny w stroju świątecznym „narodowym“, przystrojone ślicznymi złotymi łańcuchami, ten i z kroju szat i z rysunku owych łańcuchów domyślał się aż nazbyt łatwo, gdzie ich pierwotna ojczyzna. To wpływy weneckie pozostawiły tam po sobie niejedno! Siegały znacznie dalej, niż panowanie Wenecji.

Ale na tym terenie (od Mariboru po Triest) ścierały się włoskie i niemieckie wpływy. Nastąpił szczególny podział wpływów, nie badany dotychczas naukowo przez nikogo. O ile orjentuję się w historii Słowieńców (a ciekawił mnie zawsze problem historii narodu „niehistorycznego“), szlachta ich uległa wpływowi niemieckiemu, mieszczaństwo włoskiemu. Feudalizm niemiecki bardzo głęboko zapuściwszy korzenie już w XIV wieku przesądził o zjawisku, które nazwano następnie wynarodowieniem. Włoska kultura feudalizmu w sobie nie mieści. Ciekawy też obserwować można fakt, iż wraz z odrodzeniem narodu słowieńskiego od połowy wieku XIX wytwarza się tam stan mieszczański.

Od XV wieku do XIX niewiele jest do powiedzenia o Słowieńcach. Za reformacji zanosilo się na powstanie języka piśmiennego (Primus Trubar), ale nie wyrobiło się nic

¹⁾ Tad. Stan. Grabowski: Dragutin Inchiostrri, *Świat Słowiański* z marca 1909.

trwałego. Łacińskie wpływy były dla Słowiańców zawsze korzystniejsze od niemieckich. Reformacja nie zostawiła po sobie nic realnego, ale natomiast krótka okupacja francuska w okresie wojen napoleońskich zdziałała bardzo wiele dla obudzenia narodu z odrętwienia.

Zaczyna się historia nowoczesnej słowieńszczyzny od poety Volkmera, który założył szkołę przygotowawczą do gimnazjum w Ptruju i biedził się tam z językiem „wulgarnym” w latach 1769—1784. Potem nastał okres illyryzmu i kłopoty z czterema ortografiami (bohoriczica, danjczica, metelczica, gajica), wątpliwości, czy można być osobnym narodem i czy się to nawet godzi, organizacja narodowa mocna, ekonomicznie nadzwyczaj pouczająca, i znów czasy wznowianych wątpliwości. Ale kultura określona wyraźnie: stanowczo zachodnio-europejska.¹⁾ Nawiasem mówiąc, najsympatyczniejszy to dla Polaka kąt w Słowiańszczyźnie.

Czyż my nie jesteśmy także z rodzaju kultury włosko-słowiańskiej? Stanowczo przyznaję słuszność Sienkiewiczowi, który powiedział, jako Polak posiada dwie ojczyzny, z których jedna Polska, własna ojczyzna, ale druga: włoska. Ale my wytworzyliśmy kulturę własną, polską; same wpływy włoskie nie byłyby starczyły do rozwiązania tylu naszych problemów przy takiej nadzwyczajnej pełni życia polskiego! Ale w najważniejszych momentach historycznych spotykaliśmy się zawsze z myślą włoską!

Na to trzebaby osobnej pracy. I u nas panowała różnolitość kulturalna, a nawet cywilizacyjna. Nie zawsze byliśmy strażą przednią cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej. Były takie pokolenia polskie, które rozszerzały ciwilizację orientálną ku zachodowi. Był okres saski... Cóż w nim zachodnio-europejskiego, prócz stylu gmachów, wznoszonych nie przez polskich architektów? Lecz tego tu nie zamierzam dotykać; *intermedium* byłoby za obszerne i aż nazbyt odwróciłoby uwagę od właściwego niniejszego tematu.

Dokończmyż przeglądau Bałkanu w tym szkicu! Nie

¹⁾ Por. w *Świecie Słowiańskim*: Jan Leciejewski: Odrodzenie literatury słowieńskiej w pierwszej połowie XIX wieku, w marcu 1905; — Bogumił Vosnjak: Zakres spraw słowieńskich, wrzesień 1905; — Jerzy Nikodem: Słowiańcy wobec illyryzmu, marzec 1910.

wyczerpana bowiem jeszcze różnolitość kultur południowej Słowiańszczyzny. Zagadką dla badacza cywilizacji pozostaje Bułgaria, areligijna, nie bardzo bizantyńska, kulturze bizantyńsko-tureckiej uległa mniej od Rusi południowej i od Moskwy, przejmująca się łatwo wpływami zachodnimi, łatwo lecz płytko. Ferment ustawiczny w wiekach średnich i po odrodzeniu na nowo to samo!

Schyłek wieku XIX i początek XX dodał Chorwatom jeszcze jedną odmianę religijną, ale tym razem nie obrzędową, lecz nową religię: islam.

Do jakiego narodu należeli potomkowie bogomilców południowo słowiańskich? Jeżeli kto mniema, że każdy człowiek na ziemi należy z urodzenia do pewnej narodowości, niechaj roztrząsa, co następuje: Bogomilcy byli pierwotnie prawosławnymi. Skoro prawosławni Słowianie na Bałkanie są Serbami od wieków, a zatem ojcowie bogomilców byli Serbami? A więc synowie ich także i wnukowie itd? Bogomilcy przeszli na islam, a zatem potomkowie ich byli Serbami wyznania muzułmańskiego? Mniejsza o to, że oni sami obróciliby się w grobach o tę zadaną im serbskość, z którą walczyli na ostre i krwawo; o to, nie znali się na kwestji narodowościowej! Nie zdawali sobie sprawy z tego, jako są Serbami, lecz niemniej przeto i niezależnie od tego byli nimi! Inaczej jakże? Zmiana narodowości? to chyba na Turków skutkiem przyjęcia islamu?

Przyszła okupacja austriacka i muzułmanie słowiańscy z Bałkanu spostrzegają, jako przybyłe do ich kraju „szwoby“ tj. urzędnicy austriaccy, mówią po większej części językiem całkiem tym samym, co oni. Wraz z Chorwatami z Austro-Węgier przybywa na Bałkan kwestja narodowa — i cóż się nie dzieje? Oto wszyscy ci, którzy według wszelkiego domniemania mieliby być Turkami lub Serbami — poczuli się.. Chorwatami. Przystali do spółki narodowej z Franciszkanami, ani myśląc zresztą nawracać się. Jak rozwiązać tę zagadkę, niechaj się nad tem głowią ci, którzy sądzą, że niema człowieka bez narodowości. Ja do nich nie należę; mojem zdaniem pojęcie narodu istnieje tylko w cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej, nieznane żadnej a żadnej innej cywilizacji. Ponieważ nie było tego pojęcia ni w bizantyńskiej cy-

wilizacji, ni w arabskiej, mieli potomkowie bogomilców... wolny wybór. Przodkowie ich nie mieli z tą kwestją nic do czynienia; oni zaś, zdecydowawszy się przyjąć do swej kultury zagadnienie narodowe, zrobili tem samem wyłom w cywilizacji tak bizantyńskiej, jakoteż arabskiej; wprowadzając w swoje widnokreśli pierwiastek obcy zasadniczo kulturze bizantyńsko-tureckiej, poderwali same fundamenty dotychczasowej swej kultury.

Islamityzm wydał w Bośni szczególny płód kulturalny, bo piśmiennictwo chorwacko-muzułmańskie. Zakwitnęli poeci, sławiący równocześnie Ałłaha i słowiańsko-chorwacką ojczyznę, w języku oczywiście chorwackim, boć tureckiego wogóle nigdy nie znali (tylko nieliczni „uczeni“ koraniści „łyknęli“ trochę arabskiego). Literatura nadobna islamitów chorwackich stanęła wcale wysoko i chorwaccy wyznawcy Proroka nie poczuli się do żadnej niższości wobec rodaków chrześcijańskich z Zagrzebia. Nie robili im bynajmniej wstydu.

Ale wobec chrześcijańskich rodaków własnej prowincji, wobec katolickich wieśniaków bośniackich poczuli się do wielkiej... wyższości. Patrzeli po dawnemu zgóry na „raję“, oni — begowie. Nigdy też nie uszanowali jego przekonań religijnych. Tygodnik *Musavat* posunął się nawet do zamieszczania bluźnierstw przeciw Chrystusowi, jako Bogu. Wydawali bowiem ci muzulmanie kilka czasopism, redagowanych starannie, pełnych często artystycznej finezji.¹⁾

Belletrja i poezja nie przeszkadzały im być największymi nieraz na świecie konserwatystami. Ankieta zwołana przez rząd austriacki w r. 1911 celem przeprowadzenia reform w „medresach“ (szkołach), uznała potrzebę gruntownych zmian co do przedmiotów świeckich, zastrzegając się, że nie wolno robić żadnych zmian w nauczaniu koranu i że nie należy kształcić dziewcząt; motywowano to wprost świadczeniem, jako muzulmańskie kobiety wyższego wykształcenia nie potrzebują. Była jednak opozycja, i to z pośród młodzieży ulemańskiej (duchownej). Czyż ze stanowiska koranu

¹⁾ Celował utworami poetyckimi *Behar*, wpływową była *Muslimanska Svijet*, później *Muslim. Sloga*.

nie mieli słuszności zwolennicy niewieściej ciemnoty? Gdyby nastały pokolenia wykształconych islamitek, nastąpiłby wyłom w koranie podobny do tego, jaki w kulturze ich uczyniła kwestja narodowa. Do mużułmańskiej nauki o kobiecie kobieta wykształcona nie tylko nie nadaje się, lecz zadaje jej mimowoli kłam, samem istnieniem swem. Z gmachu koranu rozsypałaby się pewna część budowli — za czem poszłyby części dalsze.

Zetknięcie się z chrześcijaninami-katolikami, uznanymi za rodaków, wiodło ostatecznie do wprowadzenia wszystkiego w stan wątpliwości. I gdybyż to chodziło tylko o literaturę i nauczanie szkolne! Ale sprawa tyczyła samejże struktury społeczeństwa.

Przy własności ziemskiej utrzymali się tylko ci, którzy przyjęli islam (bogomilstwo zezwalało na renegactwo); kto tego nie uczynił, stawał się „raja“ bezziemnym. Bośniaccy i hercegowińscy właściciele dóbr ziemskich posiadali je mocą prawa określonego w koranie. Jestto coś całkiem odmiennego od instytucji własności prawa rzymskiego. *Jus primi occupantis* przyznane jest tylko temu, kto zajmując grunt uprawi go zarazem i uprawiać nie przestanie. Prawo to brzmi: „Kto ożywi martwą ziemię, będzie miał wyłączne prawo do niej“. I tylko taki pierwotny właściciel i rolnik posiada własność zupełną, nieograniczoną, dziedziczną, t. zw. mulk. Takiej ziemi, niczyjej, nie zajętej i nie uprawnej (a do uprawy zdolnej) Osmanie w tych krajach nie zastali w znaczniejszych rozmiarach. Mniejsze tylko płąty ziemi, na których dało się wystawić dom, otoczyć go ogrodem lub winnicą, nadawały się do zastosowania pojęcia o pierwszej uprawie. Toteż tylko na takich skrawkach obok domu istnieje w Bośni i Hercegowinie mulk.

Wszystko inne jest własnością ograniczoną, z której należy się kalifowi danina, uszrije. Dobrą mużułmańską stanowią t. zw. erazi-mirije, nad którymi ciąży zwierzchnia własność państwa, zwana rekabe, mocą czego posiadacze mirijów opłacają daninę zwaną haradżi. Rekabe przykazuje, żeby odebrać grunt takiemu, ktoby go bez słusznej przyczyny nie uprawiał przez trzy lata i nadać innemu za opłatą na rzecz państwa. Przeniesienie tytułu własności

mirijów może nastąpić tylko za zgodą władzy, a dziedziczenie ograniczone jest tylko do najbliższych krewnych.

Bogomilcy-renegaci stali się begami i agami, a na swych „cziflukach“ (posiadłościach) osadzili „kmetów“, którzy pozostali wiernymi Krzyżowi. Nastąpił stosunek dzierżawy dziedzicznej, od której kmet opłacał państwu dziesięcinę plonów, begowi zaś część trzecią. Inwentarz i chafa stanowiły własność kmeta.

Obok pierwotnego prawa majątkowego z koranu, prawa objawionego Mahometowi a zwanego *sz e r i*, rozwijało się prawo państwowe, *k a n u n*. A rozwijało się przez ośm wieków, zanim zawitało na bośniacką niwę, toteż rozrośnięte, zajmowało już stanowisko dominujące. *R e k a b e* tyczyło się w ziemiach bałkańskich wszystkich lasów, łąk, pastwisk, błot i kopalń.¹⁾

Jakaż rewolucja pojęć prawnych i etyki zawodowej, jakież zamęt w głowach a niepokój w uczuciach nastać musiały, gdy poczęli rządzić krajem urzędnicy o innych zgoła pojęciach, a po pewnym czasie obmyślili „kwestję agrarną“! To był wyłom cięższy od sprawy medresów żeńskich, nawet od kwestji narodowej.²⁾

I tak z kilku stron naraz wyłoniło się pytanie: być czy nie być? czy muślimi mogą pośród chrześcijan z nimi równoprawnionych pozostać społecznością zorganizowaną, czy też organizacja ich skazana jest na nieuchronny zanik?

Do jakiejż wogóle cywilizacji zaliczyć tych begów i agów bośniackich? Nie byli nigdy Turkami, Osmanami, ale chcą pozostać wiernymi synami Proroka. Jako Chorwaci czuli się Europejczykami i garnęli się do cywilizacji zachodniej swych rodaków; ale ta cywilizacja jest *ch r z e ś c i j a ń s k o*-klasyczną, pragną tedy usunąć z niej element religijny. Ze względów religijnych związani są z cywilizacją azjatycką i nie zamierzają zrywać tych związków. Azjatycka więź społeczna

¹⁾ Zygmunt Stefański: Stosunki agrarne w Bośni i Hercegowinie, *Świat Słowiański*, kwiecień 1905.

²⁾ Nie przechodzili przez ten zamęt Tatarzy litewscy; nasi „muślimi“ bowiem stali się właścicielami ziemi w Wielkim Księstwie litewskim nie na podstawie muzułmańskiego prawa majątkowego, lecz mocą nadań z prawa litewskiego, wzorowanego na polskim prawie majątkowym.

utrzymać się nie daje; europejska grozi wywróceniem koranu na nice. Gdzież więc miejsce tych muślimów chorwackich? Co za problem dziejowy! Czy można czerpać „resztę cywilizacji“ skądinąd, a skądinąd jej kość pacierzową, religję? i czy cywilizacja zachodnio-europejska możliwą jest bez chrześcijaństwa?

Dat z lat powojennych do spraw tych muślimów nie posiadam. Ale cokolwiek przyniosłyby szczegóły, w ogólnym zarysie znać już było na długo przed wojną, że mieszanina cywilizacyjna zgubi muślimów po jakimś czasie. Grozi im stan akulturalny, całkowita niezdatność kulturalna! Trudno! nim mieszaninę robić z wykluczających się, choćby bardzo wysokich, cywilizacyj, lepiej jest pozostawać na stopniu niskim, lecz jednej cywilizacji. Przykładem Czarnogóra.

Jeszcze nie koniec przeglądu kultur bałkańskich! Słowiańszczyźnie nie brak doprawdy różnorodności!

Jest mianowicie na Bałkanie kraj, którego nie sposób przyłączyć do żadnej z omawianych dotychczas kultur. Jestto kraj jedyny, który utrzymał własną rodzimą kulturę słowiańską. Nie podległ niczym wpływom, został wierny sam sobie i tyle ma kultury, ile jej sam wymyśleć zdołał. To Czarnogóra!

W okres Bolesławowski przenieść się musi myślą Polak, ażeby zrozumieć stosunki czarnogórskie. Toć tam trwa jeszcze okres organizacji rodowej! Kraj dzieli się — a przynajmniej dzielił się do ostatnich lat — na 10 n a h i i tj. okręgów, n a h i j e na p l e m i o n a, te zaś na bractwa, „b r a s t v a“ z k m e t e m, kmieciem, na czele. „Brastvo“ jest gronem osób pozostających do siebie w stosunku braterstwa skutkiem pochodzenia od wspólnego przodka; jestto ród, wspólnota rodowa, której starosta rodowy zowie się kmieciem. Plemię stanowi zbiór bractw, n a h i j a zbiór plemion; zupełnie to samo, co plemiona i ludy w pierwotnej Polsce. Żywem wspomnieniem dawnych czasów jest też fakt, jako jednostka organizacyjna wojskowa składa się z mężczyzn pewnego brastva, a te łączą się w jednostki znaczniejsze według plemion.¹⁾

¹⁾ Zygmunt Stefański: Konstytucja w Czarnogórze, *Świat Słowiański* styczeń 1908.

Zupełnie tak samo stawało się w dawnej Polsce pod chorągwią rodową.

Życie zbiorowe Czarnogóry poczęło się organizować na sposób europejski dopiero około roku 1830. Sławny poeta-władca, biskup i władca świecki w jednej osobie, ostatni tego rodzaju zwierzchnik kraju, Piotr II Petrović-Njegos, założył po roku 1830 pierwszą szkołę wyższą, bo aż cztero-klasową. On także założył drukarnię — czy też wznowił. Jest bowiem tradycja, jako już pod koniec XV wieku istniała tłocznia w Starej Zecie, którą w XVI wieku w czasie walk tureckich przeniesiono do Cetynji, ale wnet zamknięto, bo z ołowianych czcionek ulano kule do strzelb.

Aleć jeszcze w połowie wieku XIX nie było na terytorjum Czarnogóry jednolitego państwa, a tylko organizacje plemienne według rodów, których sprawy rodowe stanowią całą historję Czarnogórze owych lat, nie budującą wcale. Rzadziej też walczył Czarnogórzec z Turkami, niż z ościenymi chrześcijanami tego samego języka. Gdybyśmy nazwali okres ten opryszkowskim (na podobieństwo wcale długiego okresu z historii Podhala), nie rozminęlibyśmy się tak dalece z prawdą. Mogło w tem być niemało poetyczności (zupełnie jak na Podhalu), ale historyk ma odmienne kryteria, niż literat, zwabiony podatnym tematem.

Krajem i rodami kierowali popi, nie umiejący czytać i pisać. Przysposabiano ich w klasztorach, kierowanych przez mnichów sprowadzanych z Serbji, a którzy sami nie oswojeni z porządną nauką, tem mniej mogli wymagać jej od Czarnogórców, nie lubiących i tak życia klasztornego; gdyby wymagać od nich jeszcze sztuki czytania i pisanja, któryżby wstąpił do klasztoru?!

Dopiero pokolenie lat 1830—1860 przerobiło obszary rodów czarnogórskich na jednolite księstwo. Niebawem, w roku 1869 utworzono szkół wiejskich czteroklasowych (w teorji przynajmniej) 31, i żeńską szkołę wyższą 7-klasową; wtedy założono też zakład na podobieństwo seminarjów duchownych, a po dalszych 10 latach pierwsze gimnazjum i seminarjum nauczycielskie. Bywały lata pustek w tych zakładach, ale bądźco bądź, choć leniwo, postęp dokonywał się. Ostatecznie w roku 1911 liczyła Czarnogóra na papierze

120 szkół wiejskich, dwa gimnazja, seminarjum duchowne i nauczycielskie, szereg ochronek, freblówek, i zaczynało się szkolnictwo zawodowe rolnicze i ogrodnicze. Nie brakło szkół bez nauczyciela, lub z minimalną ilością uczniów, ale postęp dokonywał się dalej, choć szło to po grudzie. Czarnogórzec nie bardzo kwapił się zamykać dzieci w izbie szkolnej, a już do reszty nie mógł pojąć, do czego nauka ma być potrzebna dziewczętom. W roku 1911 obowiązywał przymus szkolny. Otóż na około 10.000 dzieci w wieku szkolnym uczęszczało 877, a zatem mniej więcej część szósta.

Rzemiosłem gardził Czarnogórzec jeszcze na początku XX wieku. Rozpoczęta zgóry propaganda doprowadziła do tego, iż w roku 1911 kształciło się w rękodzielach za granicą, w Chorwacji i w Czechach, około setki młodzieży. W kraju nie było się u kogo uczyć rzemiosła. Było w Czarnogórze na początku naszego wieku trochę tylko rzemieślników przybyłych z Albanji i Serbji, i to muzułmanów (katolików nie ścierpianoby). Pocztę powstawały przy głównych drogach dopiero około roku 1910. Było za to w r. 1911 już sześć kas oszczędności i trzy banki, a przystępowano do założenia czwartego, hipotecznego, państwowego. Zawdzięczano to wpływom serbskim, gdyż Serbowie celowali organizacją ekonomiczną; nieśli więc rodakom swym czarnogórskiemu to, w czem sami byli bieglejsi.

Lecz skończmyż z Bałkanem, wracajmy do innej Słowiańszczyzny. Zachodniej dzieje i przebieg jej stosunków cywilizacyjnych znamy, choćby mniej więcej, z historii polskiej. Zachodzi odmiennność czeska, pochodząca stąd, iż oni wchodzili w Rzeszę Niemiecką (i szukali tam nawet stanowiska naczelnego), gdy tymczasem my jej unikaliśmy. Jeszcze w wieku XVII przyświecał im projekt kierownictwa całą nacją niemiecką w imię protestantyzmu, a potem, gdy patryjotyzm czeski wysnuło z tradycji dziejowej, nadano mu kanon jakżeż odmienny od polskiego! Niegdyś wystawieni na wpływy kultury bizantyńsko-niemieckiej, stanąwszy do walki z kierunkiem łacińskim, właściwym kierunkiem zachodnio-europejskim, wynieśli sobie z tych walk dualizm kulturalny, czego historia jeszcze nie skończona. Ponieważ łatwiej przedstawić rzeczy nieznane, niż znane w świetle no-

wem, nie chcę porywać się tu na rzecz najtrudniejszą, bo uchodzącą za doskonale znaną! Bliższe dotknięcie takiego przedmiotu wymagałoby sporo czasu i wysiłku; *intermedium* byłoby znacznie obszerniejsze od samego przedstawienia. Trzebaby też opisać wpierw naukowo to, co nazywam kulturą bizantyńsko-niemiecką — i nadto jeszcze określić pewne odmiany w kulturach, które trafnie nazywać można kulturami stanowemi; i w tej bowiem dziedzinie różnią się wielce Czesi a Polacy.

Kto przywykł do myślenia naukowego, wie, że stwierdzenie odmienności dwóch stron nie mieści w sobie presumpcji o wyższości jednej a niższości drugiej!

Bądź co bądź, nigdy Czech nie różnił się od Polaka tak dalece, jak Czarnogórzec od Dubrowniczana, jak muślim bośniacki od Dalmatyńca, jak Serb od Chorwata ze Sławonji — a którzy wszyscy są jednego języka serbochorwackiego.

Nie może być w rozważaniach naszych większego przeciwnieństwa, jak nie podlegająca żadnym niemal wpływom z zewnątrz Czarnogóra, a przepełniona zewsząd wpływami Rosja. Tam swoista struktura społeczna, prymitywna, jakby krajowi owemu nie przybywało czasów — a tu struktura nie mająca już w sobie nic a nic swoistego, nic w ogóle słowiańskiego, struktura społeczeństwa turańskiego. Iwan III zdecydował o ustaleniu kultury turańsko-słowiańskiej, Iwan IV pogrążył Moskwę w tej kulturze całkowicie. Równocześnie „panowie bracia“ od litewskiej ściany spisywali *pacta conventa*, ogłaszali wolność sumienia, i sami wreszcie kandydowali do korony, a na sejmie walnym mieli to obwarowane, jako „nic na nas bez nas“. Hierarchja społeczna była genezy ściśle społecznej.

Hierarchja społeczna moskiewska¹⁾ mieściła w sobie zawsze grubą domieszkę cech biurokratycznych. Bojarstwo moskiewskie, spisane za Iwana Groźnego w „księgach rodoślawnych“, to szlachta bez herbów, klejnotów, zawołań, a do tego warunkowa, gdyż szlachectwo jej musi w każdym

¹⁾ Treść tego ustępu na podstawie studiów własnych, z niewydanego jeszcze drugiego tomu „Dziejów Rosji“.

pokoleniu „służbą“ być niejako odnawiane. Warstwa ta nie posiada tedy godności sama z siebie; bo też wobec tronu jest zawsze niewolnikiem, zależnym od skinienia cara. Brak tedy bojarom zasadniczych pierwiastków europejskiego szlachectwa; wobec szlachty z Rusi litewskiej bojarowie z tamtej strony granicy właściwie szlachtą nie byli. Im większego znaczenia nabierało szlachectwo polskie, przeszczepione na Ruś litewską, tem większy rozwierał się przedział kulturalny pomiędzy dwiema Rusiami. Wszelkie przywileje bojarstwa moskiewskiego zasadały się na przymusie „służby“. Toteż i „miestniczeństwo“ stało się wnet hierarchją służbową, rodzajem biurokracji z urodzenia, skoro o stopniu służbowym rozstrzygało miejsce w „rodosłowie“. Stanęła zasada, że bojarstwo zależnem jest od służby, stopień zaś służby od urodzenia. Wola carska mogła oczywiście czynić wyłomy, ale była to jedyna dziedzina, w której carowie, nawet Iwan Groźny, uważali władzę swą za ograniczoną. Później dopiero poczynili kroki celem uwolnienia się z pęt miestniczeństwa, które doszło do takiego np. absurdu, iż na wojnie decydowało o dowództwie; ten był wodzem, kto najwyżej „siedział“ przy stole carskim i miał to zapisane w księgach „rodosłownych“.

Według stopni biurokratyczno-społecznych różniczkowały się wyższe warstwy tatarskie, według „tżzinów“, obmyślonych niegdyś przez Tamerlana, a które z dawnej tamerlanowskiej tradycji zostały Tatarom kazańskim. Moskiewskie stopnie szły jeszcze długo podług urodzenia, z „rodosłowa“. Dwa systemy hierarchiczne stanęły tedy naprzeciw siebie, aż tatarszczyzna miała i na tem polu odnieść zwycięstwo.

Od Iwana III czasów zamienia się Moskwa niepowstrzymanym pędem na azjatyckie nie tylko państwo, ale też i społeczeństwo. Od Iwana Groźnego pęd ten staje się zawrotnym; wszystko tonie, przepada w azjatyckości.

Bojar czy „pomieszczik“, musiał przedewszystkiem „służyć“, a zatem nie gospodarował, nie mieszkał całkiem na wsi. Był wobec rządu odpowiedzialnym za wieś, którą nie zarządzał osobiście; przedewszystkiem zaś był odpowiedzialny za podatki z całej wsi. Niemożliwem było wdawać się z każdym włościaninem z osobna, nie siedząc na miej-

scu, trzeba tedy było urządzić solidarną odpowiedzialność kolektywną całej gromady. Jakoż od początków XVII wieku wytwarza się stopniowo „mir“ gminy rosyjskiej z kolektywną własnością gruntów i dalszemi rozmaitemi następstwami, w które tu już nie wchodzimy.

Czyż w tem wszystkim jest coś z bizantynizmu?! Przebrzmiało nawet hasło Filoteusza o „trzecim Rzymie!“ Moskwa dbała o jak najlepsze stosunki z Turcją, nikt nie marzył o pochodzie na Bałkan.

Nastaje okres ekspansji kultury turecko-bizantyńskiej. Wytworzyła się z sojuszu Fanaru z kalifatem, wykształciła cudaczne objawy życia kulturalnego, miesząc kulturę stanową, mianowicie obozową, na modłę azjatycką (dawni turańscy „kozacy“) z oryentalizmem religijnym, osnutym na motywach prawosławnych. Owa „synteza“ zwierzcniej władzy prawosławia i muzułmaństwa, zajęła się gorliwie polityką, kierując swe siły przeciw Polsce, jako przeciw źródłu lig antytureckich, przeciw głównej potędze katolickiej w tej części Europy, a potem przeciw unji brzeskiej. Zaczęło się to współdziałanie Fanaru z kalifatem od końca XV wieku, a pierwszym owocem związku przygotowanie Janowi Olbrachtowi klęski bukowińskiej w r. 1497. Następowaly potem rozliczne spiski przeciwko Polsce, aż wreszcie dojrzało dzieło bizantyńsko-tureckie w buncie Chmielnickiego i w wojnach kozackich, kiedy to popi wędrowni byli tureckimi agentami z rozkazu Fanaru.

Za cara Fedora Aleksiejewicza (1676—1682) zniesiono „miejscnicestwo“ i obwieszczono, że pierwszeństwo do stanowisk kierowniczych w służbie rządowej będzie przysługiwać wychowankom założonej wówczas „akademji słowiańsko-grecko-łacińskiej“. Była to szkoła, w której uczono języka cerkiewnego, greckiego i łacińskiego. Wprowadzenie łaciny, oto wybicie „okna do Europy!“ Ale u ogółu nauka łaciny uchodziła jeszcze za herezję i ledwie dopiero ku połowie XVIII pogodzone się z tą innowacją.

Powszechnie przyjęte mniemanie o „wybijaniu okna do Europy“ przez Piotra Wielkiego polega na nieporozumieniu. Typowy despota oryentalny, z niezmiennym od wieków grubym ceremonjałem dworskim, nie myślał ani na jotę od-

stąpić od niego i dla tego podróżował *incognito*. Orientalnem również było przeświadczenie o cudownem działaniu własnej monarszej ręki — i stąd owa „własna ręczna praca” tu i ówdzie rosyjskiego władcy. Stosunek swój do Europy pojmował zresztą Piotr W. nie inaczej, niż niegdyś Iwan III, który rozpoczął sprowadzać z zagranicy majstrów wszelakich. Piotr odczuwał wzdę dla królów katolickich, tak nieznacznym w jego oczach, boć musieli dzielić władzę z papieżem, sami w Kościele będąc owcami, nie pasterzami, co w jego oczach było znamieniem niesłychanej niższości. Papież był w jego oczach wrogiem monarchizmu, papieństwo instytucją rewolucyjną i antyspołeczną. Toteż odczuwał skłonność tylko do państw protestanckich i tylko u nich szukał pouczenia w kwestjach urządzania biurokracji świeckiej i duchownej. Społeczeństwo i państwo zamykały się dla Piotra W. w całości w urzędach; głębiej spojrzeć nie umiał. Reformy jego, to reformy biurokratyczne, do których wzory przywoził z Niemiec protestanckich. Kto mniema, że zaszło jakie duchowe zbliżenie do Europy, niechaj zważy, jako właśnie Piotr W. cofnął ludność wiejską jeszcze bardziej od europejskiego systemu agrarnego i on dopiero uczynił organizację kolektywną „miru” przymusową. Od „reform” Piotra W. poczyną też państwo być poza społeczeństwem.

Niezależnie zgoła od tych „reform” robiła swoje... gramatyka łacińska. Po dwóch pokoleniach wyrobił się język rodzimy, a w trzecim zjawilo się piśmiennictwo. Powstawał język literacki bez jakiegokolwiek związku genetycznego z tem wszystkiem, co od czasów „Nestora” spisano we wschodniej Słowiańszczyźnie.

Przez rozbiory Polski weszła Rosja geograficznie w Europę i musiała ulegać europejskim wpływom; byłoby to nastąpiło i bez reform Piotra W. Skutkiem rozbiorów zetknęła się Rosja zanadto z cywilizacją Zachodu, a brak ognia łącznego, brak pomostu, musiał wytworzyć straszną w skutkach dezorjentację. Inne pojęcia o własności ziemskiej, inne o stosunku ludności do państwa. Ani też zachodni absolutyzm nie był bynajmniej identyczny z oryentalnym rosyjskim

despotyzmem, a wzajemne złudzenia co do tego trzeba było opłacić drogo.

Rosja doszła do hegemonji nad Europą (okres lat 1815—1855), ale czyż stanowiła kiedykolwiek żywą częśćkę Europy? Może już dziś nie trzeba się nad tem rozwodzić? może już nikt nie zechce zachęcać nas do kultu Tołstoja?!

Ani w XIX wieku nie wyzbyła się Rosja cech cywilizacji turańskiej, której wybitne rysy znać i teraz, w „sowieckim republikanizmie”. Z bizantynizmu pozostało bardzo niewiele, odkąd oderwano się od przyjaźni z Turcją; na miejsce kultury turecko-bizantyńskiej, której poddawano się nader chętnie, nie wytworzyło się nic innego. Z kultury niemiecko-bizantyńskiej czerpano gołe formy, ale ani nawet pojęcia władzy państwowej sobie stamtąd nie zdołano przy-swoić. Wpływy zachodnie cywilizacji łacińskiej ograniczyły się do literatury, i w tej dziedzinie zagłuszone, pokonane, zanim zdołały się należycie rozwinąć. Na każdym a każdym bowiem polu zwyciężała forma nad treścią — i to stanowi oś dziejów Eurazji — ale o tem trzebaby chyba osobnej rozprawy.

Tu pragnąłbym tylko stwierdzić, że gdyby to było prawdą, jako „krzyżowanie” cywilizacyj stanowi najpewniejszą i najlepszą drogę do rozwoju cywilizacyjnego — natenczas Rosja powinna być najbardziej cywilizowanym krajem całego świata.

Zrekapitulujmy w kilku zdaniach:

Pięć cywilizacyj znalazło pole działania na ziemiach słowiańskich: turańska, bizantyńska, łacińska (chrześcijańsko-klasyczna), arabska, żydowska. Oddziaływały na się wzajemnie, w rozmaitych dziedzinach życia rozmaicie łączyły się lub przeciwily się sobie, w różnych czasach przystosowywane bywały w różnych odmianach w rozmaitych krajach słowiańskich — a z tego powstało dziewięć kultur słowiańskich:

Mianowicie: polska — czeska odmiana niemiecko-bizantyńskiej — czeska odmiana łacińskiej cywilizacji — włosko-chorwacka — muślimsko-chorwacka — bizantyńsko-turecka — turańsko-słowiańska — czarnogórska (przeżytki rodzimej) —

tudzież kultura żydowsko-moskiewska, która nie zdołała się jednak rozwinąć.

Ta ostatnia kilka razy się zapowiadała w historii rosyjskiej, aż wreszcie za dni naszych zatriumfowała. Miesza się z przeżytkami cywilizacji turańskiej, próbując syntezy... ale dzień dzisiejszy nie należy do niniejszej rozprawki. Nie można też pisać o jakiegokolwiek kulturze mieszanej żydowskiej, póki się nie określiło z naukową ścisłością, jaką jest żydowska cywilizacja i jakie w niej kultury. Czyżby nie wielki czas, żeby roztrząsać judaizm n a u k o w o?

Feliks Koneczny.

Historja literatury polskiej w ostatniem pięcioleciu.

Zobrazować wyniki pracy nad historją literatury polskiej w okresie powojennym w kilku krótkich artykułach — niełatwo. Materiał zebrany jest obfity, ruch na polu tej nauki żywy, omówienie go więc w ograniczonych ramach nie może być wyczerpujące, a charakter szkicu sprawozdawczego nie dopuszcza uzasadnionych szczegółowo sądów. Z drugiej strony ta próba zestawienia rysów historii literatury, odcięta datą zakończenia wojny w Polsce (pokój ryski) od tego, co było poprzednio — w niedostatecznej tylko mierze nawiąże do przeszłości i nie zdoła podkreślić ciągłości pracy naszych uczonych. Czuję całą sztuczność oparcia podziału zjawisk duchowych ludzkości, czy narodów na wydarzeniach historii politycznej. Będzie on zawsze mechaniczny i do pewnego stopnia dowolny. Ze względów praktycznych trzeba jednak zacząć od jakiejś konkretnej daty (będzie nią dla nas początek roku 1921), gdy pisząc o tak bliskiej przeszłości, trudno o podziały głębsze, wewnętrzne.

Dla wprowadzenia czytelnika w zakres zagadnień historii literatury, zaczniemy od obszerniejszego trochę sprawozdania z artykułów, które, w ogniu polemiki, usiłują określić cele i zadania, metody i właściwości naszej nauki, by przejść potem krótko wysiłki w zakresie najważniejszych środków pomocniczych, jakimi są bibliografie i wydania tekstów literackich. Rzucimy potem okiem, wraz z twórcami syntetycznych opracowań, na całość literatury lub znaczniejszych jej okresów, nim zagłębimy się, idąc ciągle śladem badaczy,

w puszcę szczegółowych monografij problemów, motywów i autorów, oraz drobnych przyczynków, by wkońcu, w kilku zdaniach, zdać sobie ogólnie sprawę ze zdobyczy, uzyskanych przez historyków literatury w ubiegłym pięcioleciu.

I.

(Teorja, metodologja, nauki pomocnicze, bibliografja).

Młodszość historii literatury jako nauki uwydatnia się tu jasno. Pierwsza *Metodyka historii literatury polskiej*, napisana została przez Chmielowskiego dopiero w r. 1899. Daleko jej do gruntownej *La Méthode scientifique de l'histoire littéraire* Renarda, a choćby krótkiej rozprawy Lansona (w książce zbiorowej *De la méthode dans les sciences*).

Kazimierz Wóycicki w książce *Historja literatury i poetyki* (Warszawa 1914) omówił ostatnie zdobycze na polu teorii historyczno-literackiej w nauce zachodnio-europejskiej. Oprócz książki Chmielowskiego posiadamy tylko luźne rozprawki z zakresu teorii i metodyki historii literatury. Dopiero w ostatnich latach ożywił się ruch na tem polu. Zaczniemy od spraw najogólniejszych.

Najbardziej znamieną była dyskusja na temat istnienia lub nieistnienia różnic między historją literatury, a krytyką literacką; rozwinęła się ona właściwie w dyskusję o tem „co najważniejsze“, poruszyła sprawy najogólniejsze, a zarazem najbardziej zasadnicze, zmieniła się w próby teoretycznego określenia celów, przedmiotu i metod badania obu tych działów umiejętności literatury. Charakterystycznem jest, że głos zabierali historycy literatury, a nie krytycy. Pobudką stał się artykuł profesora uniwersytetu warszawskiego Manfreda Kridla p. t. *Historja literatury a krytyka literacka*, zawarty w jego książce p. t. *Krytyka i krytycy* (Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1923). Sumienny autor zaczął od zestawienia poglądów na różnicę między historją literatury a krytyką literacką u polskich i obcych badaczy, poglądów, wyrażanych zresztą przeważnie tylko przygodnie. Rezultatem tego retrospektywnego spojrzenia jest wniosek, że wszyscy istnienie różnic uznają, al przeważnie nie formułują ich jasno. Różnice te dotyczą za

równie przedmiotu, jak metody. Oto ich zestawienie sumaryczne: historia literatury ma za przedmiot przeszłość, usiłuje być nauką, przeważa w niej obiektywizm, każdy temat, bez względu na wartość literacką, uważa za zajmujący, w metodach jej przeważa analiza i indukcja; — przeciwnie krytyka interesuje się tylko teraźniejszością, przeważają w niej elementy wzruszeniowo-wrażeńiowe, bierze na swój warsztat tylko zjawiska wybitne, lub osobiście danego krytyka interesujące, posługuje się chętnie syntezą, a nawet dedukcją, w metodach twórczych zbliża się do sztuki. Autor rozprawy nie dorzuca nowych argumentów, ale odwraca całą kwestję i dochodzi do wniosku, że różnic między krytyką literacką a historią literatury niema. Niema odrębnych dziedzin, nazywanych krytyką i historią: „Jest tylko jedna jedyna krytyka, jako odrębna od innych nauk dziedzina badania, której przedmiotem są teksty literackie i wszystkie z temi tekstami związane problemy i zagadnienia, poczynając od objaśnień językowych, skończywszy na syntezie historyczno-psychologicznej“.

Ciekawe są argumenty, które autora doprowadzają do tak nieoczekiwanego i śmiałego wniosku. Różnice między krytyką a historią literatury są nieistotne. Najważniejsza z nich — kwestja czasu — właściwie nie istnieje. „Gdzież... jest logiczna zasadnicza różnica między przeszłością a teraźniejszością? — pyta autor. Wszystko, co się pozornie skończyło, trwa nadal, a wszystko, co pozornie trwa, kończy się każdą chwilą swego istnienia, zapada w przeszłość i znowu trwa dalej, jako historia. Niema więc przeszłości, ani teraźniejszości, są tylko momenty i chwile“. „Najświeższy utwór, który tylko co wyszedł z pod prasy drukarskiej, jest już faktem historycznym“. „Krytyk literacki ulega iluzji, gdy sądzi, że zajmując się autorem sobie współczesnym czyni coś zasadniczo, logicznie innego, niż historyk literatury, który bada dokument z wieku XIV czy XVI“. Również i przeszłość nie jest naodwrot cześć stałem, danem nam zgóry i niezmiennem. Stwarzamy ją ciągle od nowa, bo zmieniają się nasze poglądy na nią i nasz do niej stosunek. Zainteresowanie krytyka tak zwaną „teraźniejszością“ nie stanowi cechy odróżniającej go, bo wszakże i historyk wy-

biera sobie dowolnie dalszą lub bliższą epokę. Nie jest też przywilejem krytyki zestawianie i konfrontowanie wartości literackich z życiem epoki. Zarówno „historyk“, jak „krytyk“ muszą stać na gruncie epoki, o której piszą, a więc zajmować stanowisko historyczne. Podobnie jak przedmiot, tak i metoda obu umiejętności jest — według Kridla — ta sama. „Obowiązek — bowiem — sumienności, ścisłości, możliwego (w granicach dostępnych) obiektywizmu, kontrolowania i sprawdzania swoich wrażeń i przeżyć, uzasadniania i motywowania sądów i ocen, ciąży tak samo na krytyku literackim, jak i na każdym pisarzu odpowiedzialnym i szanującym się“. Krytyka sztuką, w przeciwstawieniu do historii literatury, jako „nauki“, nie jest, bo nie „stwarza“, ale „odtworza“, bo inne są „cele, zadania, środki i materiał twórczy“ sztuki. Przewaga wreszcie pierwiastków rozumowych lub emocjonalnych zależy wyłącznie od indywidualności piszącego. Niema też różnic w formach i ramach twórczości: i tu i tam spotykamy zarówno obszerniejszą monografię, jak krótki szkic.

Kridl zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że jego teza o „jednej jedynej krytyce“, zawiera więcej „pierwiastku postulatowego, aniżeli określającego rzeczywisty, dzisiejszy stan rzeczy“, ale uważa za rzecz konieczną stawianie właśnie postulatów i dążenie do stworzenia idealnego typu badacza literatury, któryby „połączył w sobie sztucznie dotychczas rozdzielone cechy „filologa“ i krytyka“. A więc wywody teoretyczne mają tu cele praktyczne głównie na oku.

Śmiała teza Kridla obudziła odrazu wątpliwości i wywołała sprzeciwy. Utalentowany teoretyk i badacz teatru Fredry, Eugenjusz Kucharski, w recenzji książki Kridla (*Pamiętnik literacki*, rocznik XXI, str. 396—410), polemizuje zarówno z wywodami autora, jak zwłaszcza z naczelną tezą. Twierdzi, że obecny stan rzeczy i poczucie ogółu o istotnych różnicach między krytyką a historią literatury jest słuszne i da się uzasadnić w teorii. Argument Kridla o braku różnicy między przeszłością a teraźniejszością, uważa za jeden z owych argumentów eleackich: oto autor rozbija czas na atomy, na „momenty i chwile“ i twierdzi, że niedostrzegaliśmy różnice pomiędzy nimi. W zasadzie tak. Ale przecie

dostrzegalne i to bardzo wyraźnie są różnice między tych chwil zbiorami — okresami — tak jak dostrzegalną jest różnica między dniem a nocą, mimo, że poszczególnych momentów zapadającego zmroku nie umielibyśmy odróżnić od siebie. „Umysłowość zaś ludzka posługuje się w ujmowaniu swej rzeczywistości nie atomami, momentami, lecz ich zbiorami, bo inaczej zgubiłaby się w astronomicznych cyfrach momentów: dąży do ułatwienia sobie zadań poznawczych, a nie do ich utrudnienia, do prostoty, a nie do wikłania“. Drugie twierdzenie Kridla: o zmieniającej się ciągle przeszłości, opiera się, jak bystro dostrzega Kucharski, na przenośni językowej. Mianem „historji“ bowiem określa autor zarówno naukę historyczną, jak jej przedmiot. Pierwsza zmienia się istotnie ciągle — drugi jest niezmienny. Żadna siła nie zmieni faktów raz już dokonanych. A faktami takimi są dzieła literatury. Na tem polega też, według Lanson, różnica między historją, a historją literatury. Historyk literatury, podobnie jak przyrodnik, poznaje fakt wprost, bezpośrednio, historyk faktu samego nie widzi, może go poznać tylko pośrednio, przez dokumenta i źródła.

Mniejszą może siłę dowodową, niż krytyka przesłanek Kridla, posiada krytyka jego wniosku ostatecznego, będącego zarazem tezą naczelną. Problem, według Kucharskiego, nie dotyczy poglądów, ale działalności umysłowej. Nie o to idzie, by przekonać się, czy prawdziwe są teorie, odróżniające działalność krytyka od działalności historyka literatury, ale o to, czy różnica między działalnością jednego i drugiego pozbawiona jest racji. Chcąc zaś osądzić jakąś działalność, należy zbadać jej istotę, to jest przyczyny, które ją wywołały i cele, które sobie stawia. Przyczyny te, to przede wszystkim osobiste zainteresowania: „Krytyka interesują... tylko wielkie i wybitne indywidualności pisarskie, ponieważ chce estetycznie używać, historyka interesować będą wielcy i mali, ponieważ przede wszystkim chce poznać“. A więc w związku z tem przedmiotem badania tego jest „literatura jako przedmiot bezinteresownego, intelektualnego poznania“, przedmiotem badania tamtego „wyjątkowe dzieła lub wyjątkowi pisarze, jako przedmiot interesownego estetycznego użycia“. Stąd wypływa też różnica metod. Pierw-

szy musi dążyć do udoskonalenia „swych pojęć podstawowych, środków badania i metody“, drugi „z impulsu do uzewnętrzniania siebie, ponieważ chce być wyrazem własnego estetycznego przeżycia i użycia, a następnie z racji swych celów społecznych, ponieważ chce oddziaływać i zdobywać innych dla tego, co uważa za właściwe, musi coraz bardziej doskonalić technikę swej — sztuki“.

Bo krytyka jest sztuką, a mianowicie sztuką „stosowaną“, bo skrepowaną zadaniem i życiowo praktycznymi celami, jak architektura, zdobnictwo lub wymowa. I jeszcze jedno: krytyka jest także czynnikiem „dziejowo-literackiej woli“, gdyż jest i może być współczynną przy powstawaniu literatury, może głosić jaką literaturą być powinna. Historia literatury musi zawsze uznać *status quo*.

Jedyna cecha wspólna, która łączy krytykę i umiejętność literacką (według wyrażenia, zastosowanego przez K.), a dzieli nauki humanistyczne od przyrodniczych, to sprawa rozumienia dzieła, identyfikowana niesłusznie ze sprawą „poznania“ lub „badania naukowego“. Jest to postulat niezbędny, zarówno dla poznania i badania, jak i dla „krytyki“, której rolą jest „być pośrednikiem i przewodnikiem w dziedzinie wartości i piękna“. Środkiem do tego rozumienia, obok całej wiedzy rzeczowej, jest przede wszystkim wyobraźnia odbiorcza, która bliższą jest niż wiedza, „najistotniejszego organu twórczości“, bystrzej „orientuje się w prawach, rządzących tym światem odrębnym, wnika głębiej w pobudki i aspiracje wyobraźni twórczej, trafniej oceni wartość dzieła, bo je intensywniej przeżywa“.

Kucharski doszedł zupełnie niezależnie do podobnych rezultatów, jak inny zasłużony nasz teoretyk historii literatury, Zygmunt Łempicki. Rozprawka jego p. t.: *O krytyce literackiej* (*Przegląd warsz.*, 1924 nr. 34—35 i osobno) wywołana została również do pewnego stopnia książką Kridla. Poza tem jest zresztą rozwinięciem artykułu o krytyce literackiej i jej dziejach, napisanego dla leksykonu historii literatury niemieckiej. Nas interesuje głównie ze względu na rolę, jaką autor wyznacza historii literatury i określenie różnicy pomiędzy nią a krytyką. W myśl wywodów Kridla przyznaje Łempicki, że między historią literatury a krytyką, niema

różnicy, ale niema różnicy tylko między przedmiotem i metodą obu. Różnicę tę stanowi cel: w historii literatury poznanie, w krytyce działanie na współczesność literacką. A więc różnica między krytykiem, a historykiem literatury polega właściwie na odmiennym stosunku do przedmiotu. Zainteresowania pierwszego są praktyczne, drugiego teoretyczne. Ujęcie problemu więc analogiczne do ujęcia Kucharskiego. Czas — i na to zgadzają się, jak widzimy, wszyscy trzej nasi teoretycy — nie odgrywa roli.

Dalsza różnica dotyczy raczej metody. To różnica w wartościowaniu. Dla krytyka ma znaczenie wartość estetyczna, dla historyka — wartość historyczna. Miarodajnem jest tu niekiedy następstwo chronologiczne. Utwór małej estetycznej wartości, może mieć wartość historyczną przez to, że pobudza i wskazuje nowe drogi. Może też zjawisko literackie mieć wartość historyczną przez to, że jest „w swoim rodzaju symptomatyczne, reprezentatywne, charakterystyczne, a może nawet symboliczne dla danej epoki“.

Wkońcu historyk literatury, „opierając się poczęści na materiale, dostarczonym przez dzieje krytyki, może stwierdzić, że dane dzieło, przez różne generacje rozmaicie pojmowane, przez wszystkie było uważane za wielkie i wybitne, może je — by się tak wyrazić — kanonizować na dzieło klasyczne“. A więc historyk literatury nie ma prawa do wartościowania dzieła, nie ma prawa do oceny estetycznej dzieła. Albowiem „naukowa... analiza estetyczna, która nie jest niczem innem, jak tylko pewną formą opisu, dokonanego celem wglądu w strukturę i istotę zjawiska, bez takiego wartościowania naogół się obchodzi“.

Rozdział drugi p. t. „Istota i rodzaje krytyki“, napisany z połotem i natchnieniem, choć bardzo ciekawy i wywołujący chęć dyskusji, musimy tu, jako nienależący do naszego przedmiotu, pominąć. Rozdział następny: „Problemy badań w zakresie dziejów krytyki literackiej“, wychodzi z założenia, że „krytyka literacka jest istotną częścią procesu życia literackiego“, a więc historia literatury, mająca — w myśl założeń Ł. — badać to życie literackie, musi się zająć badaniem i tego objawu, jakim jest krytyka. Zresztą, dodajmy, zajmowała się nim i dawniej, nie oddzielając nieraz jasno kry-

tyki od literatury: w niektórych epokach zresztą oba te zakresy pokrywały się do pewnego stopnia. Badanie to jednak obrało niewłaściwe metody. Idąc drogą historyczną, lub filologiczno-historyczną zastanawiano się głównie nad tem, jakie są „literackie poglądy“ tego lub owego krytyka, jakie ich źródła oraz podstawy teoretyczne. Prace tego rodzaju należy jednak uważać raczej za prolegomena do badań właściwych, przy których nasuwają się trzy problemy: 1) ujęcie t. j. rodzaj reagowania na zjawisko, z którym krytyk ma do czynienia; 2) przedstawienie czyli realizacja pisarska myśli i dążności krytyka; 3) oddziaływanie na pisarzy i publiczność. Trzy te problemy określa autor obrazowo, jako duszę i ciało krytyki i jako ruch, który ona wokół siebie wywołuje. Jak widzimy więc i u Łempickiego przychodzi do głosu dążność widoczna coraz powszechniej w dziełach badań, związanych bliżej lub dalej ze sztuką: problemem staje się nie „co“, ale „jak“. Rozdział ten napisany świetniej jeszcze niż rozdział drugi, który jest stopniem wyższym pierwszego, zasługuje na to, by stać się *vade mecum* nie tylko historyka krytyki, ale i historyka literatury w ścisłym znaczeniu — bo niemal każdy temat historii literatury potrąca i o historję krytyki literackiej.

Rozprawa Łempickiego wywołała również polemikę ze strony Kucharskiego (*Pamiętnik literacki* XXI, stron 410—18). Dwie kwestje budzą jego zastrzeżenia: kwestja wartościowania i kwestja zakresu badań historyczno-literackich. Co do pierwszej sprawy, nie może Kucharski dociec, co autor rozumie przez „wartość historyczną“? Skonstatowanie pierwszości w czasie, lub symptomatyczności jakiegoś zjawiska nie jest wartościowaniem. Z drugiej strony historyk literatury nie może obejść się bez oceny estetycznej, nie może traktować wszystkich pisarzy jako równowartościowych. *De facto* wartościowanie w historii literatury istnieje, tylko opiera się niejednokrotnie, jak zresztą i w krytyce, na kryterjach zgoła pozaestetycznych. Jeśli idzie o wartościowanie estetyczne, to nie może się obejść bez niego historia literatury, gdyż literatura właśnie, to — zdaniem Kucharskiego — kompleks dzieł, które wyłączamy z ogólnego zbioru

piśmiennictwa na zasadzie formy pisarskiej, a więc kierujemy się zasadą estetyczną. Toteż historia literatury istotnie stosuje wartościowanie estetyczne, tylko trudność polega na tem, że nie znalazła jeszcze „logicznie zadawającego sposobu uzasadniania oceny estetycznej”. Nasuwa się tu jedna uwaga, a raczej jedno pytanie: oto czy spór cały w kwestji wartościowania nie rozwinął się z powodu nieporozumienia czysto werbalnego: czy przypadkiem w „analizie estetycznej” Łempickiego nie jest już zawarte *implicite*, albo raczej, czy z niej nie wypływa, jako nieodparty wniosek wartościowanie estetyczne: owa analiza estetyczna w praktyce staje się może nieraz właśnie owem, pożądanem przez Kucharskiego „uzasadnieniem”. W takim razie w wywodach Łempickiego byłoby tylko pewne niedomówienie i słusznie zwrócił na nie uwagę Kucharski, podnosząc wogóle tę sprawę.

Równie ważną, a może ważniejszą jeszcze, jest sprawa z zakresu badań historii literatury, a raczej ich przedmiotu, poruszona w sposób zgoła odmienny, niż w polemice Kridl—Kucharski. Według Łempickiego przedmiotem tym jest nie „literatura”, ale „życie literackie”. Wciągnięcie w zakres badań literackich także czynnika odbiorczego, jakim jest publiczność, uważa on za zdobycz nowszych czasów. Zdaniem Kucharskiego przeciwnie: nie jest to zdobycz nowa, ale właśnie przeżytek tych czasów, gdy, poza ogólnikami, nie umiano nic konkretnego powiedzieć o samej literaturze. Z punktu widzenia metodologicznego jest takie rozszerzenie zakresu badań nieuzasadnione. Nie jest to bowiem tylko rozszerzenie zakresu, ale wprost wprowadzenie nowego przedmiotu, wymagającego odmiennych metod badania. Fakty życia literackiego nie są bowiem dane nam tak bezpośrednio, jak fakty literackie (dzieła). Świadczenia o nich są po pierwsze nader „ułamkowe, wątpliwe, kruche i najczęściej do przypadkowej ograniczone anegdoty”, po drugie zaś niemożliwością jest wyosobnić je z szeregu innych faktów, składających się na historję kultury duchowej. Historia literatury nie powinna w nią wkraczać i anektować jednego z niej wycinka, gdyż przez to rozbija własne wiązania metodyczne,

a „każda skryształizowana nauka stoi jednolitością przedmiotu i metody“.

Za zdobycze rozprawy Łempickiego uważa recenzent „oddzielenie krytyki od umiejętności literackiej i traktowanie jej jako twórczości autonomicznej. Doskonale została następnie uwydatniona rola krytyki, jako organu literackiego życia. Sprawa została postawiona tak jasno i przekonywująco, że chyba zamknie ostatecznie dyskusję w tej materji“.

Szczupłość miejsca nie pozwala na zreferowanie nader ważnej w tej dziedzinie pracy dawniejszej. Głęboko ujęta, zasadnicza rozprawa Kleinera z r. 1913 p. t. *Charakter i przedmiot badań literackich*, została obecnie przedrukowana.¹⁾ Najważniejsze jej rezultaty dadzą się streścić krótko: wiedza o literaturze należy do grupy nauk humanistycznych, których przedmiotem jest rzeczywistość, stworzona przez człowieka, odrębna od rzeczywistości przyrodniczej. Przedmiotem literackich badań jest „zawartość tekstów, jako odrębna sfera rzeczywistości ludzkiej“. Obejmuje ta rzeczywistość cztery dziedziny: 1) całość materiału słownego; 2) poznawcze ujęcie i przekomponowanie treści; 3) zespół przedstawień analogicznych „rzeczywistości“ życia, ale od niej izolowanych; 4) objawiającą się w tworzeniu i kształtowaniu siłę i zręczność duchową autora. — Całkowitą wiedzę o literaturze stanowi zespolenie historii, systematyki i teorii literatury.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy naszkicowaniu tych kilku zjawisk nie należących ściśle do historii literatury, ale omawiających teorię naszej umiejętności. Dają one laikowi wyobrażenie, jak zawiłe to nieraz sprawy, jak trudny do rozstrzygnięcia splót problemów. Żywsze w ostatnich kilkunastu latach zainteresowanie sprawami teorii jest może wyrazem pewnego niepokoju, nurtującego samych badaczy, jaka jest wartość i jaki cel ich pracy? Jest może podświadomie wywołaną odpowiedzią społeczeństwu, które nieraz wprost lub ubocznie pytania te zadaje, może są to echa burzy przeciw historii literatury, jaką przeżyli przed samą wojną nasi sąsiedzi, Niemcy. Ale wzrost teoretycznych zainteresowań

¹⁾ J. Kleiner: „Studja z zakresu literatury i filozofji“. Warszawa 1925.

jest pomyślnym symptomatem chwili i dobrą wskazówką na przyszłość. Nadszedł już widać czas, by umiejętność literatury, stała się nią naprawdę, by wyszła z powijaków empirji, by zdobyła silne teoretyczne podstawy, określiła jasno swój przedmiot i zakres, swój cel i swoją metodę. Wiele zapewne z problemów pozostanie na zawsze bez ostatecznej odpowiedzi: tak, lub nie. Lecz samo ich poruszanie daje wiele do myślenia, niejednego może skłoni do rewizji swoich poglądów, a może i do rewizji rozpoczętych prac. Każde rozstrząsanie przynosi nowe zdobycze, przyczynia do wydobywania jaw konturów niejednej sprawy, dziś jeszcze zawilej, lub zupełnie ciemnej.

Rozpisawszy się obszernie o krótkich wprowadzie, lecz ważnych artykułach, poruszających kwestje najogólniejsze i najbardziej podstawowe, krótko już przyjdzie wspomnieć o pracach obszerniejszych, które dotyczą kilku szczegółowszych, choć niemniej bardzo ważnych zagadnień z pogranicza teorii i metodologii historyczno-literackiej. Podstawowe *Zagadnienie podziału w historii literatury* porusza Maurycy Mann (Warszawa 1921. Prace filol. Tow. Nauk. Warsz.). Rezultat jego pracy jest niestety negatywny. Po przeglądzie różnych prób podziału historii literatury na epoki, dokonywanych przez historyków polskich, francuskich, włoskich, niemieckich, dochodzi autor do wniosku, że podział na okresy jest rzeczą niezmiernie trudną. Wobec tego radzi stosować podział mechaniczny na wieki i półwieki. A z takim postawieniem sprawy pogodzić się trudno.

Zupełnie świadomą odpowiedzią na zarzuty krytyków i publiczności, spowodowane ukazaniem się kilku rozpraw naukowych, jest piękne studjum W. Borowego *O wpływach i zależnościach w literaturze* (Kraków, Nakł. Krak. Ski wyd. 1921. Z historii i literatury nr. 7), wyrosłe z polemiki z Adamem Grzymałą-Siedleckim i drukowane poprzednio częściowo w *Rzeczypospolitej*. Autor rozprawia się w niem z tymi, co pragną uważać psyche twórcy za kartę niezapisaną, co sądzą, że nie jest ona nic winna otoczeniu kulturalnemu, co przeczą wszelkim związkom geniusza z przeszłością. Tak absurdalnie bowiem wygląda teza przeciwników „wpływołogji“, gdy się ją konsekwentnie stosuje.

Przeczą im wyznania samych twórców, które autor stawia na czele rozprawy. Badanie wzajemnych zależności i zapożyczeń w dziejach twórczości jest potrzebne, a nawet konieczne, pod warunkiem wszakże, że nie przekracza należytej miary, że jest traktowane jako środek, nie jako cel i że posługuje się odpowiednimi metodami. Przed wybujałościami w tej dziedzinie pragnie autor ustrzec historyków, zestawiając metodycznie rodzaje wpływów literackich (ideowe, techniczne, tematowe, stylistyczne, frazeologiczne), oraz określając granice i metody badania zależności. Rzecz napisana jasno, przekonywująco, ilustrowana bogato przykładami, jest chyba wyczerpaniem kwestji, oddaje i oddawać będzie niewątpliwie usługi. Brak w niej tylko omówienia wpływu teorii literackiej na twórczość poetów.

Kwestje metody krytyki literackiej porusza również napisany w r. 1914, a w r. 1925 przedrukowany,¹⁾ szkic prof. Kleinera p. t. *Analiza dzieła*, podkreślający silnie znaczenie intuicyjnego ujęcia całości utworu, jako pierwszego sądu o wartości hipotecznej; po niem następuje sprawdzenie i zmodyfikowanie sądu tego na podstawie badania szczegółów, poczem przechodząc od analizy dzieła, jako całości danej w psychice krytyka, odtwarza tenże w trzeciej fazie przypuszczalną całość dzieła taką, jaka istniała w psychice twórcy.

Sprawa analizy dzieła literackiego zajmuje też prof. Kucharskiego w rozprawie *O metodę estetycznego rozbioru dzieł literackich* (*Pamiętnik Literacki*, Rocznic XX, Lwów 1923). Jest to interesująca i bardzo godna zastanowienia próba zastosowania do analizy dzieł literackich metod znanego historyka sztuki prof. Strzygowskiego w Wiedniu. Odróżnienie rzemiosła od sztuki jest jej punktem wyjścia. W skład pierwszego wchodzi materiał i technika. Transponując teorię na wartości literackie uważa K., że materiałem, tworzywem, jest świadomość ludzka, technikę pojmuje autor bardzo szeroko, zaliczając do niej i koncepcję i właściwości rodzajowe dzieła, konstrukcję, wreszcie znaki i środki do wywołania przedstawięń, jak wartości językowo-stylistyczne, djałóg, wiersz, rytm i t. d. W przeciwieństwie

¹⁾ W książce „Studja z zakresu literatury i filozofji”. Warszawa 1925.

do tych wartości technicznych, będących wytworem intelektu, są wartości artystyczne, które rodzą się z wyobraźni, uczucia i intuicji: przedmiot, jako odpowiednik technicznego pomysłu, wyraz artystyczny, jako odpowiednik form językowo-stylistycznych i kompozycja, jako odpowiednik konstrukcji. Odpowiednika technicznego nie ma t o n, czyli idea utworu.

Metodyka historii literatury, jako całość, zyskała po pierwszej próbie Chmielowskiego z przed lat już wielu, drugą cenną pracę w postaci G. Korbuta *Wstępu do literatury polskiej* (Zarys metodyki badania literatury) Warszawa 1924. Jest to zakończenie dzieła jego życia, jakim jest owo pierwsze w Polsce repertorium bibliograficzne literatury polskiej. O ile jednak całość dzieła Korbuta, nawet w swej obecnej postaci, przetrwa próbę lat, o tyle wstęp ten w swej części teoretycznej zostanie może w zamierzonej większej całości, której jest tylko skrótem, już przez samego autora zmodyfikowany i uzupełniony. Dziś uzasadnień teoretycznych jest mało, nieraz redukują się tylko do zestawiania poglądów cudzych; bezwzględnie tylko i silnie podkreśla autor konieczność metody naukowej i obiektywizmu. Na czym ta metoda ma polegać można dojść z samej treści książki: zdaje się, że autor uważa naukowość za równoznaczną ze znajomością źródeł i literatury, oraz systematycznością w porządku kolejnym pracy nad tematem, ale również z powstrzymaniem się od sądów wartościujących. Ograniczenie roli historyka literatury do roli interpretatora tylko jest chyba zbyt niemiłym jej zacieśnieniem. Autor kolejno przechodzi konieczne fazy pracy historyczno-literackiej, omawiając: ustalenie autentyczności tekstu, daty i miejsca powstania, autorstwa, genezy utworu, analizę estetyczną i psychologiczną, wreszcie syntezę. Wszędzie jednak rozważania same tracą wiele na korzyść niezliczonych przykładów, a czasem niekoniecznie potrzebnych polemik z przedstawicielami poglądów odmiennych. Na teren teorii umiejętności literatury wkracza rozdział „Historja literatury, a krytyka literacka”. W porównaniu jednak do omówionych wyżej artykułów w tej samej kwestji nie przynosi nic nowego. Nadzwyczaj cenny jest rozdział „Stan badań nad literaturą polską”, a zwłaszcza zestawienie naj-

pilniejszych zadań, których jest jeszcze wiele i na długie lata. Książka Korbuta budzi więc, jak widzimy, pewne zastrzeżenia. Budzi je również styl autora, którego poprawności, a nawet piękna „naukowiec” nie powinien lekceważyć, o czym autor nie wspomniał. Ale to wszystko rzeczy drugorzędne wobec olbrzymiej wartości, jaką posiada zgromadzona „literatura” każdej kwestji, cytowana co prawda nie zawsze systematycznie, jak również bogactwo wskazówek praktycznych. To jest mocna strona „Wstępu” i jego wartość trwała.

Prof. Stanisława Ptaszyckiego: *Encyklopedia nauk pomocniczych historii i literatury polskiej*. Część pierwsza. Wydanie drugie przejrane i uzupełnione.¹⁾ Lublin 1922. (Biblioteka Uniwersytetu Lubelskiego, Wydział nauk humanistycznych nr. 2) jest pierwszą niemal próbą ujęcia systematycznego w druku całokształtu nauk t. zw. pomocniczych, a raczej, jak należałoby je, za Prof. Semkowiczem, nazwać: podstawowych. Sam fakt ukazania się tej książki stwierdza jasno konieczność znajomości niektórych z nich przynajmniej, także i przy studjowaniu historii literatury. Dzieło swoje zakroił prof. Ptaszycki na szeroką skalę. Tomik, który posiadamy dzisiaj, to część pierwsza, obejmująca dwie tylko, ale bardzo ważne nauki: bibliografię i archiwistykę. Znajomość zasad pierwszej dla historyka literatury jest niezbędna, drugiej bardzo, zwłaszcza dla pracowników nad epokami dawniejszemi, pożądana. Pozostaje do opracowania jeszcze z pośród wyliczonych przez autora, nauk dwanaście, tak różnostronnych jak: paleografia z dyplomatyką (nauka o dokumentach), sfragistyka (nauka o pieczęciach) i numizmatyka, heraldyka z genealogją, chronologja, językoznawstwo i leksykografja, wreszcie geografja historyczna, archeologja i antropologja. Każda z ostatnich pięciu nauk obejmuje sama przez się tak bogaty zakres i posługuje się tak różnemi metodami badania, że wątpić należy, czy siły jednego człowieka, choćby wielkiej miary uczonego, sprostać dostatecznie fachowemu opracowaniu tematu. Polihistorem dzisiaj, wobec rozrostu nauk, być trudno, a nawet encyklopedyczne

¹⁾ Pierwsze wydanie ukazało się w r. 1919 w formie litografowanych wykładów.

ujęcie, wymaga gruntownej znajomości przedmiotu. Dostępna nam dziś część pierwsza zamierzonego wydawnictwa rokowałaby jak najlepiej. Jeśliby dalsze części mogły być opracowane równie wyczerpująco, jak pierwsza, zyskalibyśmy dzieło trwałej wartości i niezwyklej użyteczności.

Część pierwsza obok wstępu, w którym zostały określone zadania i zakres nauk pomocniczych, zawiera kopalnię wiadomości z zakresu 1) biblijografii ogólnej, 2) biblijografii specjalnej, 3) rodzaj repertorium bibliograficznego poszczególnych humaniorów, podzielonych na 10 grup (zresztą podział ten można kwestionować), 4) znajomości bibliotek i archiwów. Ostatni ten dział stanowi jedną z najsilniejszych pozycji książki. Zawiera wiadomości o zbiorach w kraju i, co cenniejsze, o zbiorach zagranicznych, zawierających „polonica“, ze wskazówką, jakie ważniejsze zabytki gdzie znaleźć można. Ważne są też zestawienia wydawnictw źródeł do historii i piśmiennictwa. Bardzo cenny rys książki stanowi nawiązywanie każdej kwestji do przeszłości; pełno tu wiadomości o polskiej pracy naukowej ubiegłych epok; świadczą one chlubnie o umiłowaniu książki w przeszłości i przypominają, że i w tym dziale nauki nie jesteśmy dzisiejsi dopiero. Charakter przeglądów historycznych mają rozdziały zatytułowane: bibliotekoznawstwo i księgoznawstwo, oraz rozdział p. t. Główniejsze poglądy na znaczenie i zadanie historii literatury. Rozdział to najsłabszy. Pomijam to, że istnienie jego wydaje się zbytecznem, a jeżeli autor uważał za stosowne włączyć go do książki, należało również napisać analogiczny rozdział o historii. Głównym brakiem to czerpanie w tym właśnie rozdziale z drugiej ręki, a mianowicie z książki Wójcickiego *Historja literatury i poetyka*, pominięcie niejednego teoretyka, a wreszcie zupełny brak własnych autora poglądów. Są w tej książce, jak w każdym ludzkim dziele i inne niedoskonałości. Zaliczam do nich przedewszystkiem: brak definicji zarówno historii, jak i historii literatury, pewien chaos w układzie, który sprowadza za sobą brak przejrzystości, pewien brak proporcji w traktowaniu materiału. Ujawnia się on n. p. w omówieniu *Encyklopedji polskiej*, wydawanej przez Akademię Umiejętności, gdzie przy większości tomów nie podano wcale nawet naz-

wisk autorów artykułów, a natomiast tom 4 zyskał obszerne streszczenie, z tomu 2 omówiono tylko jeden artykuł i t. p. Nierównomierność ta razi też przy tak cennych opisach bibliotek, z których niektóre, jak n. p. Jagiellońska, pozbawione są interesujących wiadomości o ilości książek i inkunabułów, które zawierają, albo danych historycznych, jak Biblioteka Uniw. wileńskiego. Trochę może za mało krytycyzmu. Należało np. ostrzec przed niekrytycznością wydania pisarzy polskich Turowskiego. Z drobniejszych usterek zauważyłam błędne, z częściowem tylko uwzględnieniem właściwości ortograficznych i fonetycznych staropolskich, zacytowanie urywka pieśni staropolskiej (str. 96). Wypada wreszcie zauważyć, że na języku autora odbił się niekorzystnie długi pobyt i praca na obczyźnie.

Mimo tych, małoważnych, braków ma dziełko prof. Ptaszyckiego ogromne znaczenie, jako pierwsza może próba zgromadzenia w jednej książce tak cennych i niezbędnych wiadomości, udzielanych zwykle studentom ustnie na wykładach. Z wykładów też takich pochodzi geneza tej książki i to stanowi o jej charakterze. Zasłużony, długoletni pracownik dzieli się tu swem bogatym doświadczeniem ze swymi następcami, ze swemi duchowemi dziećmi i wnukami. Taki osobliwy charakter ma ta książka i stąd — z licznie rozsypanych uwag autora, z dobrotliwych jego wskazówek płynie ciepło i niepochwytny jakiś urok. To nie dostojny uczony, zazdrośnie strzegący tajemnic swej wiedzy, lecz dobry mistrz, który stara się uczniów wtajemniczyć we wszystkie arkana swego kunsztu, który chce ich poprowadzić najgładszą drogą, ułatwić im pracę, usunąć niepotrzebny trud. A i zaawansowanemu badaczowi odda niejedną usługę, niejedno przypomni i oszczędzi nieraz mozolnych poszukiwań w pamięci i w notatkach.

Z kolei przypada nam przejrzeć, co uczyniono na terenie nauk pomocniczych literatury.

Encyklopedia Ptaszyckiego, a zwłaszcza *Wstęp* Korbuta zawierają wiele materiału bibliograficznego. Ale i właściwa bibliografia może się w okresie sprawozdawczym poszczycić ładnymi wynikami. Zaczynając od rzeczy najogólniejszych zanotować trzeba W. H a h n a *Bibliografię biblio-*

grafji polskiej, Lwów 1921. Ukazanie się jej zapełnia zdawna odczuwaną lukę w nauce. Ogrom pracy, włożony w rzecz, wykonaną naogół doskonale, budzi żywą wdzięczność dla sumiennego pracownika. Dla nas ma szczególną wartość ten dział części szczegółowej, który zawiera zestawienie bibliografij polskich z zakresu filologii i literatury polskiej.

Obok Hahna, którego nazwisko stanie się na długie lata synonimem jego dzieła, staje Gabriel K o r b u t ze swoją *Literaturą polską od początków do powstania styczniowego*. (Książka podręczna informacyjna dla studujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego). Wyd. z zapom. Kasy im. Mianowskiego, 3 tomy, 1917—1921. Wielkie to dzieło, rozpoczęte w latach wojny, doczekało się obecnie ukończenia. W r. 1923 dopiero, opóźniony z powodu wypadku kradzieży odbitych już arkuszy, wyszedł tom 3 zawierający literaturę od r. 1820—1863, oraz Dodatek, obejmujący lata 1863—1900. (Warszawa 1921). W r. ub. zjawił się wreszcie omówiony wyżej *Wstęp* i przedmowa jako ukoronowanie całości. Nie każdemu badaczowi było danem ujrzeć tak pięknie wykonanym i utrwalonym trud całego życia.

Dzieło Korbuta nie jest historją literatury, bo wstępy historyczne, poprzedzające niektóre rozdziały, jak również biografje autorów, ograniczają się do najkonieczniejszych danych, nie jest też bibliografją w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo nie daje całości, ale tylko wybór wydań dzieł i opracowań, podzielony na okresy, a w ich obrębie ułożonych według autorów. Jest to więc podręcznik informacyjny, a więcej jeszcze repertorium bibliograficzne.

Oddawna odczuwaliśmy potrzebę tego rodzaju dzieła. Odpowiednik jego posiadają już oddawna Niemcy w postaci wielotomowego, jak obecnie zbiorowego już dzieła, rozpoczętego pierwotnie przez K. Goedeckego. Francuzi posiadają swój wspaniały *Manuel bibliographique* Lanson'a. Dla nas dziełem takim staje się dopiero książka Korbuta, wzorowana w układzie i metodzie głównie na Goedeckem. Wartość owych trzech tomów jest dla badacza literatury olbrzymia. Zdejmuje mu z ramion wielką część trudu, oszczędza owego pierwszego, tak nieraz powolnego i mozolnego

szperania po katalogach bibliotecznych i bibliografjach ogólnych. Rozpoczynając teraz pracę, wie on już — w ogólnych przynajmniej zarysach — kto przed nim w danej kwestji pisał, wie gdzie ma szukać materiału, może, mniej więcej, zmierzyć rozmiary swego zadania i celowość, i wręcz potrzebę, podjęcia swej pracy. Dzięki pracy u podstaw nieustrudzonego bibliografa zyskuje, wdzięczny mu następca-badacz — sporo czasu i swobody. Pozbawiony części przynajmniej balastu przez skromnego i poważnego pracownika, może sam swobodniej rozwinąć skrzydła. To też zasłużoną staje się popularność twórcy takiego podstawowego dzieła, którego nazwisko zastępuje z czasem w ustach fachowców w zupełności tytuł dzieła: idzie tylko o to, by i szerszy ogół zdał sobie sprawę z pracy i zasługi tych szarych i niebłyszczących świetną barwą skrzydeł, a tak pracowitych pszczoł roboczych. Następcom pozostaje teraz uzupełnianie, z upływem lat, rozpoczętego dzieła. Jest podstawa, jest fundament, a to najważniejsze.

Wobec ogromnych wartości schodzą na dalszy i bardzo daleki plan strony ujemne, od których, jak każda rzecz ludzka, nie jest dzieło Korbuta w zupełności wolne. Należą tu pewne zastrzeżenia co do racjonalności zastosowanego układu w ostatnio wydanym tomie, gdzie podział literatury np. emigracyjnej jest trudny do zrozumienia, bo zawiera 1) szereg poetów, nie powiązanych niczem, 2) „publicystów, uczonych, mistyków, szermierzy katolickich i innych pisarzy emigracyjnych“, poczem zjawia się rubryka należących i nienależących do Towarzystwa emigracyjnego. Przynależność tego rodzaju nie może być podstawą podziału w literaturze, podobnie jak nie może nią być, zastosowana również przez autora, przynależność lub nieprzynależność do Towarzystwa filomatów. Literatura w kraju została znowu posegregowana według innej zasady, mianowicie terytorjalnej: mamy poetów z Poznańskiego, Rzeczypospolitej i Galicji, Królestwa Polskiego i... „Litwy“. Ten skrót użyty zamiast: „Białoruś, Żmudź, Podole, Wołyń, Ukraina“ powoduje, że Litwinem stał się i J. Korzeniowski, urodzony w Galicji, i Rzewuski i Michał Grabowski z Wołynia i Miłkowski (T. T. Jeź) z Podola i Aleks. Groza z Ukrainy i wielu innych.

Również cytowanie poszczególnych pozycji pozostawia wiele do życzenia. Pomijając to, że układ w obrębie poszczególnych kwestyj nie opiera się czasem na żadnej zasadzie, brak nieraz dat zasadniczych, jak miejsce i rok wydania, gdy jakieś dzieło jest cytowane nie po raz pierwszy. Czytelnik, nie obdarzony specjalnie dobrą pamięcią, skazany jest wówczas na mozolne, a często bezskuteczne, poszukiwanie roku i miejsca druku danej pracy wśród chaotycznie zestawionych opracowań, odnoszących się do innego jakiegoś autora. Uniemożliwia te poszukiwania brak odsyłaczy i drugi brak, bardzo już poważny: brak indeksu nazwisk historyków literatury i krytyków, wymienionych w książce. Pomijam dalsze sprawy, jak niewygodę w używaniu dzieła, jaką sprawia konieczność korzystania aż z trzech dodatków, zawierających uzupełnienia i sprostowania, oraz fakt, że właściwie nie wiemy do którego roku autor doprowadził swe dzieło. Jak się zdaje do r. 1917, ale pewności niema. Spotykane braki i opuszczenia tłumaczy łatwo fakt, że nad dziełem swem pracował autor sam (a pracował przez lat trzydzieści), bez szeregu współpracowników, jak Estreicher, lub Finkel, twórca bibliografii historii polskiej. Ale to wszystko maleje wobec ogromu zasługi. Nic też dziwnego, że wszyscy poważni badacze literatury polskiej powitali dzieło Korbuta z należytą powagą i uznaniem.

Podobną rolę jak dla przeszłości Korbut, mogłaby *mutatis mutandis* odegrać dla literatury współczesnej książka Stanisła L a m a: *Współcześni pisarze polscy* (Warszawa 1922). Myśl stworzenia takiego słownika bibliograficznego pisarzy współczesnych (żyjących od r. 1918 względnie po tej dacie zmarłych) była doskonała. Wykonanie jednak zawiodło. Został opuszczony szereg wybitnych pisarzy. Ci, którzy są, są traktowani bardzo niejednolicie: ilość miejsca poświęconego poszczególnym autorom nie jest w żadnym stosunku do ich wartości. Wykazy dzieł nie zawsze kompletne, daty ukazowania się utworów nie zawsze dokładne, albo brak ich zupełny. Wszystkie te wady pochodzą stąd, że autor opierał się na materiałach, nadsyłanych przez samych pisarzy, a nie sprawdził i nie ujednolcił w dostateczny sposób uzyska-

nych tą drogą wiadomości. Z książki więc trzeba korzystać ostrożnie.

Dużą wartość dla bibliografii posiada dzieło prof. Łosia,¹⁾ jako rejestrujące wszystko, co po polsku napisano do połowy XVI w. Nie jest jednak bibliografią w ścisłym znaczeniu, omówimy je więc na właściwym miejscu.

Monografią bibliograficzną nazwał p. Badecki swoje zdawna przygotowywane, monumentalne dzieło, które ukazało się nakoniec w przepyszej szacie typograficznej w roku 1925. *Literatura mieszczańska w Polsce XVII w. Monografia bibliograficzna*. Lwów. Nakł. Zakładu Nar. im. Ossolińskich — to publikacja pod względem bibliograficznym wzorowa, wzór dla tego rodzaju wydawnictw. Rzecz to pierwszorzędna. Z niesłychaną sumiennością autor opisał wszystko, co w zakresie literatury „sowizdrzalskiej” odkrył i on sam i inni. Opisał 182 z trudem ogromnym, wyszukane broszury, ich tekst i ryciny, powycliczał wiersze i anegdoty. Pododawał obszerne wyciągi z literatury o nich, wiele rzeczy ogłosił w próbach i w całości. Noty na końcu książki, tablica chronologiczna, indeksy świadczą o bezprzykładnej sumienności autora. Zebrany materiał jest tem cenniejszy, że ratuje od zguby nieliczne już tylko resztki. A oto, co pisze o znaczeniu dla literatury, a więcej jeszcze dla historii kultury, tych niepozornych książeczek, pierwszorzędny znawca przedmiotu, Brückner:

Literatura to na pocz. XVII w. bardzo popularna. „Uprawiali ją, głównie w Krakowie, żacy, kantorowie, bakałarze, rzemieślnicy (np. papiernicy); nazwisk zazwyczaj nie kładli chyba przybrane jakieś, czy śmieszne; smakiem dobrym, talentem, wiedzą nie grzeszyli; swawolni i rubaszni, o przyzwoitość nie pytali. Zato brzmi w ich wierszach nuta ludowa; posługują się nawet językiem małopolskim, wsłuchani w melodię i słowa pieśni czerwonoruskiej — a co ważniejsze jeszcze, przez nich zabierają głos warstwy, w literaturze narodowej t. j. szlacheckiej rzadko zastąpione. Życie miejskie (małomiejskie) i wiejskie odbija w pieśniach i dIALOGACH, co prawda i o miłości w wierszach konwencjonalnych, mito-

¹⁾ *Początki piśmiennictwa polskiego*. (Przegląd zabytków językowych). Wyd. drugie poprawione. Lwów. Zakład im. Ossolińskich 1922.

logją kraszonych czy szpeczonych i o życiu w cechu, rzemieśle, szkole, na wsi i na bruku, o awanturach żołnierzy i drabów, o nędzy wszelakiej, o głodzie i chłódzie, doskwierającym klechom i żakom. Poznajemy z tych wierszydeł i anegdota potoczne życie dawne, o którym w dziejach i aktach głucho; kładziemy rękę na tętnie codziennego trybu; wsłuchiwamy się w żale i żarty motłochu, gawiedzi drobnej, stale wykluczanej z przybytku Muz. Na te broszurki nikt nie zwracał uwagi; klasycy brzydzili się ich „dzikością“; romantyków, gdyby je znali, odrażałaby ich „wieprzowość“; jedynie Maciejowski wyławiał z nich rysy dla całkowitego obrazu obyczajowego dawnej Polski. Historyzm naszych dni przywrócił tym wymownym świadkom z chlewu i obory, stodoły i chałupy, warsztatu i karczmy, szkółki i namiotu (dla ciur) gościńca i tarasu (więzienia), ich znaczenie, rehabilitował je w oczach naszych“.

Ukazała się w roku 1924 tak nadzwyczaj pożądana *bibliografia mickiewiczowska*. Brak jej dotychczas był wielką luką w historii literatury. Niestety luka ta została po części tylko wypełniona. Prace p. Stolarzewicza,¹⁾ którym autor poświęcił pięć lat trudu, nie spełniły oczekiwań. Brak im przede wszystkim metody naukowej. Niekonsekwencja w układzie rzuca się w oczy nawet przy pobieżnym przejrzaniu. Błędów, niedokładności, braków, według zdania fachowców, w obu książkach mnóstwo. Co gorsza niema niejednokrotnie w tej najnowszej bibliografii nawet tych pozycji, które zarejestrowali już poprzednicy. Zresztą co do *Bibliografii pism Mickiewicza* sam autor rozbijając wyznaje, że nie starał się o wyczerpanie materiału, co jest chyba kardynalną cnotą każdej porządnej bibliografii. Całość sprawia wrażenie roboty pośpiesznej i pobieżnej, zdradza brak dość poważnego traktowania przedmiotu. Użyteczność i celowość pracy jest dosyć problematyczna, wobec tego, że przyszły bibliograf będzie musiał sprawdzać każdą pozycję, przeorywać powtórnie rolę, raz już niby zoraną. „*Bibliografia mickiewiczowska*, choćby niezupełna, lecz wedle wszelkich zasad bibliograficznych opracowana, byłaby dziełem pomnikiem

¹⁾ „Bibliografia Mickiewiczowska“, Wilno, nakł. L. Chomińskiego, 1924. „Bibliografia pism Mickiewicza“. Nakł. P. Hniedziejwicz, 1924.

w nauce polskiej. P. Stolarzewicz, podjawszy trud tak olbrzymi, mógł przy poważniejszym traktowaniu swej pracy, pokusić się o tytuł do zasługi około stworzenia tego dzieła. Tymczasem w pracy swej nie postąpił nawet jednego kroku naprzód — sprawa pozostała nadal — otwartą". (por. *Pam. Lit.* XXI, str. 461—474). Tęż autora *Bibliografja o Krasińskim* wyszła nakładem p. Hniedzewicza w Wilnie 1924 r.

Inna praca bibliograficzna bardzo już poważna, to Stan. Piotra Koczorowskiego *Bibliographia dantesca in Polonia. Dante w Polsce. Bibliografja przekładów dzieł jego tudzież prac jemu poświęconych w Polsce lub przez Polaków wykonanych ze wstępem, przypisami i wzorami przekładów*. (Kraków, Nakł. Akad. Umiej. 1921). Praca ta w mniejszych rozmiarach wyszła przedtem po włosku w dziełku *Gino Giordano, Bibliographia Dantesca*. Trieste 1921. Obecnie zawiera wstęp p. t. Dante w Polsce, omawiający przejawy znajomości Dantego u nas od wzmianki Długosza aż po przekład Art. Górskiego: *Vita nuova* w r. 1915. Właściwa bibliografja obejmuje 1) przekłady: a) Boskiej Komedji, b) dzieł pomniejszych, razem czterdzieści kilka pozycyj, 2) prace Dantego dotyczące w liczbie przeszło 80. Plon więc nie bardzo bogaty. Wzboğaci go niewątpliwie nowy przekład *Boskiej Komedji* przez p. Alinę Świdorską, dziś jeszcze zostający w rękopisie.

Poważną pracą jest też p. Szulc-Golskiej *Bibliografja przekładów polskich z literatury francuskiej cz. 1, Wiek XIX*, wydana z zasiłkiem francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych w Poznaniu 1925 r.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr Zofja Ciechanowska.

Z dziejów dwóch diecezji kresowych.

(Dokończenie).

II. Diecezja Mińska.

O wiele tragiczniejszymi były losy diecezji mińskiej. Skasowana prawie pół wieku temu przez rząd dla powodów natury raczej religijnej, aniżeli politycznej, jako siedlisko t. zw. „opornych“, t. j. katolików, którzy, po zniesieniu unji, wiernymi Kościołowi swemu pozostali, stała się diecezja mińska przedmiotem szczególniejszego prześladowania ze strony rządu. W dodatku, w pierwszych latach po kasacie, niejednokrotnie wydawaną była na łup niegodnym kapłanom, t. zw. „rytualistom“. Płaszcząc się przed rządem, usiłowali oni wprowadzić do kościołów język rosyjski, a obok niewolniczej służalczości wobec rządu odznaczać się życiem wcale nie kapłańskim. I jeśli lud, pomimo niesłychanego ucisku i prześladowania, pomimo braku nieraz kierownictwa i przykładu ze strony niektórych kapłanów, wytrwał w swej wierze i pozostał katolickim, przypisać to należy bezgranicznemu przywiązaniu „mińczuków“ do wiary katolickiej, oraz pełnej poświęcenia pracy kapłanów, którzy pozostali wiernymi swemu powołaniu.

Diecezja mińska, utworzoną została w r. 1798. Wawrzyniec Liŭta, arcybiskup tebański, nuncjusz papieża Piusa VI przy dworze cesarza Pawła I, na mocy udzielonych mu przez Stolicę Apostolską pełnomocnictw, w imieniu tegoż papieża, dekretem dn. 29 lipca r. 1798 *In omnes agri Dominici* kanonicznie erygował diecezję mińską, w granicach gubernji mińskiej, tymże dekretem od diecezji wileńskiej oddzielonej.

Na katedrę przeznaczył kościół po-jezuicki pod wezwaniem Imienia Marji i przy stolicy biskupiej ustanowił urząd sufragana, oraz kapitułę. Papież Pius VI bullą d. 15 listopada 1798 r. *Maximis undique pressi* erekcję diecezji potwierdził.¹⁾ Po upływie zaledwie lat 69, za rządów trzeciego z kolei biskupa, diecezja mińska skazana została przez rząd na zagładę.

Już w r. 1866, t. j. w tym czasie, kiedy kasowano diecezję kamieniecką, powstała myśl o skasowaniu diecezji mińskiej. Ówczesny generał-gubernator wileński, kowieński, grodzieński i miński i główny naczelnik gubernji witebskiej i mohylewskiej, generał-adjutant von Kaufman, mając przed oczyma — jak to sam zaznacza w memorjale, złożonym ministrowi spraw wewnętrznych — świeżo dokonane zniesienie diecezji kamienieckiej, powziął zamiar skasowania jednej z dwóch diecezji, wileńskiej lub mińskiej i połączenia ich w jedną, pod pozorem, że gubernje grodzieńska i mińska nie wiele liczyły ludności katolickiej. Utworzona w tym celu przez generał-gubernatora osobna Komisja rewizyjna do spraw duchowieństwa rzymsko-katolickiego zaopiniowała, że diecezję mińską nie tylko można, ale i należy skasować dla przyczyn następujących: 1) diecezja mińska, w porównaniu z innemi, ludności katolickiej posiada bardzo niewiele, bo zaledwie 149.926 osób; po dołączeniu tej diecezji do wileńskiej, w powiększonej w ten sposób diecezji wileńskiej ludności katolickiej będzie 990.505 osób, t. j. prawie tyle, ile liczy diecezja żmudzka (889.991 dusz); 2) za połączeniem diecezji mińskiej z wileńską przemawia położenie geograficzne, diecezja bowiem mińska graniczy na północ z gub. wileńską, a na zachód z gub. grodzieńską, t. j. z temi gubernjami, z których się składa diecezja wileńska; 3) wreszcie, po skasowaniu diecezji mińskiej, rząd będzie mógł zaoszczędzić znaczną kwotę pieniędzy, jaką obecnie trzeba łożyć na utrzymanie biskupa, kapituły, konsystorza i seminarjum, (choćby seminarjum było wspólnem dla archidiecezji mohylewskiej i diecezji mińskiej).

¹⁾ Por. Encyklopedję Kośc. ks. Nowodworskiego, t. XIV, art. „Mińska diecezja“.

Opinię Komisji generał-gubernator zakomunikował ministrowi spraw wewnętrznych w dniu 15 sierpnia 1866 r. Nr. 1109, nadmieniając, że diecezja mińska winna być zniesiona, jako najzupełniej niepotrzebna, nie istniała bowiem za czasów polskich i utworzoną została jedynie dla ułatwienia propagandy łacińskiej w tej odwiecznie prawosławnej ziemi, która zaczęła stawać się katolicką dopiero w końcu XVI w. dzięki niezmiernej ilości zakonów katolickich; klasztorów tych, dodaje generał-gubernator, w końcu wieku XVIII w gub. mińskiej było więcej, aniżeli kościołów parafjalnych; w czasie tworzenia diecezji mińskiej w całej gubernji było zaledwie niespełna 50 kościołów, a tymczasem w bulli erekcyjnej wyliczono 150 kościołów, „w celu podkreślenia konieczności utworzenia tej diecezji“.

Minister nie podzielił narazie opinii generał-gubernatora i, wobec świeżo wynikłych komplikacyj z powodu skasowania diecezji kamienieckiej, polecił sprawę odłożyć do czasu rozstrzygnięcia tamtej.

Po jen. von Kaufmanie nastał jen. hr. Baranow i sprawa zniesienia diecezji mińskiej znowu wypłynęła na porządek dzienny. Po objęciu rządów „Kraju północno-zachodniego“ hr. Baranow złożył cesarzowi osobny memoriał, dotyczący Kościoła katolickiego, w sprawie zaś diecezji mińskiej odbył pozątem poufną naradę z dyrektorem departamentu wyznań hr. Sieversem, na której postanowiono „wybadać (*sondować*) biskupa Wojtkiewicza i, jeżeli nastąpi z nim porozumienie, należy rozważyć projekty, wyszczególnione w osobnym memorjale, złożonym cesarzowi“. Jakkolwiek „sondowanie“ to narazie zostało zaniechane,¹⁾ memoriał generał-gubernatora stał się przedmiotem ożywionych obrad w sferach rządowych. 24 grudnia 1867 odbyło się posiedzenie utworzonej *ad hoc* z rozkazu cesarskiego specjalnej komisji, do której powołani zostali: kanclerz ks. Gorczakow, minister spraw wewnętrznych Wałujew, głównozarządzający II wydziałem kancelarji cesarskiej, sekretarz stanu ks. Urusow, główny naczelnik III wydziału tejże kancelarji jen.-adjutant

¹⁾ Doszło ono do skutku dopiero przy następcy jen. Baranowa, jenerale Potapowie, o czem później.

hr. Szuwałow, nadprokurator synodu hr. Tołstoj, generał-gubernator kijowski jen.-adjutant Bezak, generał-gubernator wileński jen.-adjutant Baranow, oraz gubernator kowieński Kaznaczejew. Pomiedzy innemi ciekawemi kwestjami,¹⁾ postawione zostało przez kanclerza pytanie, czy wskazaniem jest biskupa mińskiego Wojtkiewicza mianować biskupem żmudzkim i jednocześnie skasować diecezję mińską, przyłączając ją do wileńskiej. Komisja jednogłośnie wypowiedziała się za tem, że nie można przenosić biskupa Wojtkiewicza do Kowna. Co zaś do diecezji mińskiej, to opinie członków komisji nie były zgodne. Kanclerz, minister spraw wewnętrznych, ks. Urusow, oraz hr. Szuwałow uznali, że memoriał nie zawiera dowodów przemawiających za nieodzowną koniecznością natychmiastowej kasaty diecezji mińskiej; położenie bowiem jej geograficzne, otoczonej zwartą masą ludności prawosławnej, wyklucza obawy, by element katolicki stał się dominującym w tym kraju; zresztą ludność i duchowieństwo tej diecezji nie zwracały na siebie uwagi rządu swoją działalnością antypaństwową nie tylko w czasie obecnym, ale i podczas ostatniego powstania, skasowanie przeto w tych warunkach diecezji nie będzie miało charakteru kary za popełnione przestępstwa polityczne, ale będzie zamachem na uczucia religijne katolików; trzeba się przytem liczyć z religijnością ludu, która istnieje i może istnieć u katolików zupełnie niezależnie od pobudek politycznych, a przecież u katolików, jak i u prawosławnych, stolica biskupia jest przedmiotem szczególniejszej czci religijnej; kasata biskupstwa niewątpliwie wywrze przykre wrażenie na ludzi wierzących i, „jeżeli w niektórych rzadkich wypadkach konieczność państwowa może żądać ustępstw od przekonań religijnych, to wszakże sama ta konieczność winna być usprawiedliwiona takimi dotykalnemi w swej wadze argumentami, jakich niema wcale dla skasowania diecezji mińskiej“.

¹⁾ Były np. pytania: czy nie należałoby uwolnić od obowiązków i wysłać na wygnanie biskupów Wołoncewskiego i Bereśniewicza; czy nie trzebaby było skasować seminarjów katolickich i utworzyć natomiast „kursów seminaryjskich“ przy akademji duchownej i t. p.

Obaj generał-gubernatorowie, hr. Baranow i Bezak, oraz hr. Tołstoj, godząc się ze zdaniem pozostałych członków, że nie należy robić zamachu na uczucia religijne katolików, nie upatrywali jednak takiego zamachu w skasowaniu diecezji mińskiej, ponieważ zamierzone jest tylko „połączenie” jej z diecezją wileńską, w ten sam sposób, w jaki w roku bieżącym połączono diecezję kamieniecką z żytomierską, a więc, w razie akceptacji projektu generał-gubernatora, władza biskupia nie będzie naruszoną, a tylko przeniesioną zostanie z Mińska do Wilna. Tymczasem istnienie diecezji mińskiej nie może być usprawiedliwiane potrzebami religijnymi katolików, albowiem liczy ona nie więcej nad 130 tysięcy wiernych i około 70 kościołów, podczas gdy w diecezjach prawosławnych zazwyczaj bywa około miliona ludności i około tysiąca cerkwi, a nieraz i więcej; i w diecezjach katolickich ilość ludności katolickiej jest nierównie większą. Za czasów niepodległej Polski, mówią dalej ci trzej dygnitarze, diecezji mińskiej nie było wcale, a kościoły, znajdujące się na jej terytorjum, stanowiły tylko jeden dekanat diecezji wileńskiej, do której ma być ona znowu wcielona; w istocie więc będzie to tylko przywróceniem dawnego podziału diecezji, a przeto zarządzenie takie w żadnym razie nie może być uważane za jakieś ograniczenie katolików; po skasowaniu diecezji pozostanie przecież to samo co i dziś duchowieństwo parafjalne, niezbędne dla pełnienia posług, a te nieliczne potrzeby, którym zaradzić może tylko władza biskupia, będą najzupełniej zaspokojone i po połączeniu obydwóch diecezji; wogóle zaś zarządzenie to dotyczy nie wierzeń ludu, lecz właściwie tylko zarządu kościelnego, który zawsze w Rosji ustanawiany był wolą monarchów, a nie dworu rzymskiego, jak tego dowodzi sama nawet diecezja mińska. Zbyteczna najzupełniej dla katolików, diecezja mińska jest, zdaniem tychże panów, stanowczo szkodliwą dla rządu i dla Rosji, gdyż tworzące ją kapituła, konsystorz, seminarjum i inne instytucje diecezjalne służą przedewszystkiem dla propagandy, a w tym kraju propaganda religijna zawsze była i jest propagandą polityczną polską, t. j. wręcz wrogią Rosji. Trzej ci członkowie Komisji sądzą, że trzeba mianowicie wykorzystać moment obecny zerwania stosunków z Rzy-

mem, by położyć końiec istnieniu tej diecezji, jak to niedawno uczyniono dla tych samych powodów z diecezją kamieniecką, która znajdowała się w podobnych warunkach; w tej ostatniej było nawet więcej katolików, aniżeli w mińskiej; oprócz tego, przy skasowaniu diecezji kamienieckiej, biskup pozostał bez miejsca; po skasowaniu zaś diecezji mińskiej i przyłączeniu jej do wileńskiej, biskup miński nie tylko nie będzie pozbawiony katedry biskupiej, ale będzie mógł objąć zarząd diecezji wileńskiej w rozszerzonych granicach, a więc w ten sposób powiększony będzie zakres jego działalności, a diecezjanie wileńscy, nie mający od czasu wywiezienia biskupa Krasieńskiego swego pasterza, otrzymają biskupa. A jakkolwiek przy kasowaniu diecezji kamienieckiej biskup żytomierski, ze względu na prawo kanoniczne, wzdragał się przyłączyć tę diecezję do swojej, to jednak praktyka stwierdziła, że nie było z tem większych trudności i nawet sam dwór rzymski, we własnym interesie, przyczynił się do urzeczywistnienia tego zarządzenia; podobnie połączenie diecezji mińskiej z wileńską nie powinno napotkać na istotne trudności. Dla racji powyższych generał-gubernatorowie i hr. Tołstoj uznali, że skutkiem skasowania diecezji mińskiej ludność katolicka tej diecezji nic pod względem religijnym nie ucierpi, a diecezja wileńska wiele na tem zyska, rząd zaś wygra o tyle, że zmniejszonym zostanie jeden z najpotężniejszych środków szkodliwej dla Rosji propagandy łańcisko-polskiej, o tyle politycznej, o ile i religijnej, co wielkie ma znaczenie w czasie obecnym, wobec silnego dążenia ludności gubernji mińskiej do zlania się ze rdzenną Rosją i wobec licznych skutkiem tego nawróceń na prawosławie.

Dziennik czynności Komisji zreferowany był cesarzowi 11 stycznia 1868; na dzienniku Aleksander II położył rezolucję: „Wykonać; co się zaś tyczy różnomyslności, zatwierdzam opinię obydwóch generał-gubernatorów i hr. Tołstoja“. Tak więc przeważała i zatwierdzoną została opinia, domagająca się skasowania diecezji mińskiej.

Tymczasem zaszły wypadki, które wpłynęły na chwilowe wstrzymanie zadekretowanej już kasaty. Przed niedawnym czasem wysłał był biskup Staniewski, administrator

archidiecezji mohylewskiej i prezes Kolegium Duchownego, do Rzymu prośby niektórych biskupów o potrzebne dyspensy małżeńskie. Ponieważ wystąpił, w myśl rządu, jako prezes Kolegium, w sprawach czysto kościelnych, wystąpienie to wywołało ostre niezadowolenie Rzymu i w osobnym liście kardynał Antonelli, sekretarz stanu, udzielił biskupowi Staniewskiemu w imieniu Ojca świętego ostrej nagany zarówno za prezydowanie, wbrew woli Stolicy Apostolskiej, w Kolegium, jako też i za wystąpienie w roli pośrednika między biskupami cesarstwa i Rzymem w sprawie wyjednania wymienionych dyspens. List kardynała nie mógł, oczywiście, spodobać się rządowi, to też polecono biskupowi, by list ten zupełnie ignorował. Mimo jednak wszystko Rzym dyspens żądanych udzielił, co na rząd wywarło dobre wrażenie. W tym też samym czasie poseł rosyjski przy dworze wiedeńskim, hr. Stackelberg, zawiadomił rząd swój, iż nuncjusz papieski w Wiedniu, oznajmił mu, że Rzym gotów byłby porozumieć się z rządem i że Stolica św. zamierza wezwać biskupów katolickich z Rosji na sobór do Rzymu. Wobec próby pojednania ze strony Rzymu, nie wypadało, rzecz prosta, nowej dopuszczać się represji w postaci kasaty diecezji mińskiej. Toteż d. 24 maja 1868 r. cesarz polecił wstrzymać wykonanie decyzji o skasowaniu tej diecezji.

Rozporządzenie cesarskie nie powstrzymało jednak ministerjum spraw wewnętrznych, a głównie dyrektora departamentu wyznań obcych Sieversa od nowych knowań przeciwko tej diecezji. W tym samym czasie wyjeżdża Sievers do Wilna dla porozumienia się z nowym jenerał-gubernatorem, Potapowem, w sprawie tej oraz w innych kwestjach kościelnych, tak katolickich, jak i protestanckich. Z misji swojej składa Sievers obszernie a niezmiernie ciekawe poufne sprawozdanie ministrowi, doskonale malujące niezwykle przebiegłość tego urzędnika i zupełną słabość charakteru biskupa Wojtkiewicza. Ze sprawozdania tego, datowanego 5 czerwca 1868 r., dowiadujemy się, że Sievers przyjechał do Wilna 27 maja; w tym samym czasie przybył tam specjalnie *ad hoc* wezwany biskup Wojtkiewicz. Na poufnej naradzie, odbytej pomiędzy jenerał-gubernatorem a dyrektorem departamentu wyznań, jenerał-gubernator zaznaczył, że nie tylko nie znaj-

duje on żadnej racji do natychmiastowego kasowania diecezji, ale nawet przeciwnie, uważa, że przy obecnym stanie rzeczy pożądanem jest nie wywoływać komplikacji i nie powiększać tych, które się już wytworzyły i że należy postępować z ostrożnością i unikać pośpiechu w decydowaniu, bo za decyzją niezwłocznie winno iść wykonanie i wszelka zwłoka w wykonaniu byłaby tylko szkodliwą. Narazie należy tylko „wysondować nastrój i kierunek biskupa, aby ocenić, o ile można liczyć na ustepliwość jego przy wykonaniu zamierzonego projektu i zbliżyć się do niego, by zabezpieczyć sobie w swoim czasie jego współudział i w ten sposób ułatwić urzeczywistnienie tegoż projektu“.

Kierując się temi wskazówkami generał-gubernatora, Sievers przystąpił do „sondowania“ biskupa. Judaszowską swoją rozmowę rozpoczął Sievers od powołania się na pierwsze spotkanie się jego z biskupem w Petersburgu przed dziesięciu laty; należał wtedy ks. Wojtkiewicz do najbardziej „prawomyślnych“ księży i rząd był z niego zupełnie zadowolony, dowodem czego to, że go powołano na wysokie stanowisko biskupa. Niestety, na tem stanowisku, jak świadczyły odezwy generał-gubernatora wileńskiego, biskup niejednokrotnie odstępował od „ustanowionego porządku“. Biskup odrzekł, że mógł się nieraz mylić, ale pomyłki jego były mimowolne. To jedno zdanie biskupa miało, jak się okaże poniżej, następstwa fatalne; było ono nie tylko przyznaniem się do jakiejś winy i kajaniem się przed przedstawicielem rządu, ale zarazem dowodem wielkiej słabości charakteru; okoliczność tę w lot pochwycił Sievers i dalej, w tonie niedopuszczającym opozycji, począł wyrzucać biskupowi nieprawne postępowanie względem tych, co przechodzili czy też „nawracani“ byli z katolicyzmu na prawosławie; zaznaczył, że jakkolwiek przy „nawracaniu“ ten czy ów duchowny prawosławny mógł użyć środków mniej właściwych, to jednak z chwilą, gdy przejście na prawosławie nastąpiło, nikomu z katolików do spraw takich mieszać się nie wolno i biskupowi nic innego nie pozostaje, jak tylko uznać *fait accompli*. Biskup zdobył się na tę tylko odpowiedź, że wiele miał trudności z tego powodu, iż nieraz nie mógł wykonać żądania władz, czy to świeckich, czy duchownych prawo-

sławnych, co do wykasowania „nawróconych“ na prawosławie z ksiąg parafjalnych katolickich, gdyż niejednokrotnie żądano odeń wykreślenia takich osób, które albo dawno umarły, albo w danej parafji wcale nie mieszkaly. Odpowiedział Sievers, że wydane zostanie rozporządzenie, aby podobne wypadki się więcej nie zdarzały. „Po tej rozmowie, pisze Sievers w swoim memorjale, jenerał Potapow wypowiedział zdanie, które ja zupełnie podzielam, że to widzenie się z biskupem nie będzie bez istotnej korzyści tak dla obecnego stanu rzeczy i stosunków biskupa Wojtkiewicza względem władz cywilnych, jako też dla tego współdziału, jakiego można oczekiwać od niego w swoim czasie, kiedy wypadnie przystąpić do reformy stanu diecezji kraju północno-zachodniego“.

Kasata diecezji zbliżała się szybkim krokiem. 10 września 1868, Nr. 1614, gubernator miński występuje do jenerał-gubernatora Potapowa z raportem, donosząc, że w seminarjum mińskim, na 55 wakansów (40 dla archidiecezji mohylewskiej i 15 dla diecezji mińskiej) w roku 1867 było tylko 6 alumnów; wszyscy oni ukończyli już studia i obecnie niema ani jednego alumna; według oświadczenia biskupa Wojtkiewicza, opartego na danych statystycznych o śmiertelności wśród duchowieństwa w ciągu ostatnich trzech lat, potrzeba corocznie nie więcej jak 6 księży; obecnie, oprócz księży, zajmujących posady etatowe, znajduje się w diecezji ponadto kilkudziesięciu księży. Wobec tego, zdaniem gubernatora, seminarjum mińskie jest najzupełniej niepotrzebne, co się okazuje choćby z tego, że z osób urodzonych w gub. mińskiej nikt do tej uczelni nie wstępuje i przyjmowani są przeważnie żmudzini, znani ze swego fanatyzmu i usposobienia antyrządowego. Raport dodaje, że w r. 1863 trzech z pośród alumnów-żmudzinów uciekło z seminarjum do „szajki buntowników“. Dla powyższych powodów gubernator prosi o zamknięcie seminarjum mińskiego. Jenerał-gubernator, dzielając zapatrywanie gubernatora i mając na uwadze, że zamknięcie seminarjum ściśle się łączy z kwestją skasowania diecezji, 30 września 1868, Nr. 163 zwraca się do ministra spraw wewnętrznych z najzupełniej poufnym żądaniem powzięcia w tej mierze odpowiednich kroków.

Wywiązuje się stąd długa korespondencja pomiędzy ministrem spraw wewnętrznych Timaszewem a kanclerzem, ks. Górczakowem i jenerał-gubernatorem Potapowem. Kanclerz był przeciwny kasowaniu diecezji. „Okazując, pisze on w liście poufnym 31 maja 1869 r. do ministra, najbardziej energiczne przeciwdziałanie przesadzonym uroszczeniom papieża i karcąc nieprawne czyny biskupa Łubieńskiego, byłoby, mojem zdaniem, najlepiej bez koniecznej potrzeby nie komplikować zbytnio naszych stosunków z katolikami w granicach kraju i nie przenosić na wewnętrzny grunt duchowny tej walki, jaką będziemy stanowczo prowadzili z Kurją Rzymską“.

Przestroga kanclerza nie pomogła. Jenerał-gubernator Potapow, który uprzednio wypowiadał się przeciwko natychmiastowemu kasowaniu diecezji, teraz coraz energiczniej domaga się kasaty. Chodzi mu tylko o to, aby skasowanie przeprowadzić w odpowiednim czasie i bez zbytniego hałasu. Momentem do tego najodpowiedniejszym miało być, zdaniem jenerał-gubernatora, lato r. 1869. „Moment ten, pisze do ministra spraw wewnętrznych 6 czerwca, Nr. 93, najbardziej się nadaje do tego z racji warunków miejscowych kraju oraz ze względu na porę roku, kiedy ludność wiejska, zajęta robotami w polu, odgrodzoną będzie od wszelkich wpływów i podszeptów postronnych. Ze skasowania diecezji mińskiej i połączonych z nią instytucyj osiągnięta będzie korzyść podwójna: religijna i polityczna; z jednej strony dotkliwie osłabiony zostanie szkodliwy wpływ propagandy łacińskiej na znaczną liczbę w mińskiej gubernji przyłączonych do prawosławia i jeszcze nie utwierdzonych w wierze; z drugiej strony, skupiony w Wilnie cały zarząd diecezjalny będzie pod ciągłym, bezpośrednim dozorem jenerał-gubernatora“. Dodaje wkońcu jenerał Potapow, że sprawę należy rozstrzygnąć jak najprędzej, gdyż niejednokrotne jej poruszanie, nie uwieńczone dotąd rezultatem, wobec niemożliwości zachowania sprawy w zupełnej tajemnicy, sprowadza tylko ciągłe podrażnienie umysłów, budzi rozmaite niekorzystne dla wyznania panującego pogłoski i podkopuje powagę władzy rządowej, w fałszywym postawionej położeniu.

Po wysłaniu jednak papieru powyższego zdjęty generał-gubernatora pewne obawy z powodu niepewności postawy, jaką zajmie biskup Wojtkiewicz w razie skasowania diecezji; lękał się komplikacji, jakieby mogły wyniknąć w razie oporu biskupa. Stąd też zaraz nazajutrz, t. j. 7 czerwca, wysłał najzupełniej poufny list do ministra, prosząc, by w razie, jeżeli zapadnie decyzja cesarska, minister zawiadomił go o tem najzupełniej prywatnie, nie komunikując nic o skasowaniu diecezji ani Kolegium Katolickiemu, ani biskupowi mińskiemu, dopóki generał-gubernator nie powiadomi o przybyciu biskupa do Wilna; „w razie bowiem przeciwnym, pisze Potapow, jeżeli biskup Wojtkiewicz będzie się opierał, ja znajdę się w nader trudnej sytuacji“. Obawy te były, niestety, najzupełniej płonne.

Nalegania generał-gubernatora odniosły wreszcie skutek. 11 czerwca r. 1869 minister przedstawił sprawę cesarzowi, przyczem zaznaczył, że byłoby najlepiej skasować diecezję wileńską i połączyć ją z mińską, robiąc jej biskupem ks. Wojtkiewicza, ze stolicą biskupstwa w Wilnie. W ten sposób udałoby się przeciąć raz na zawsze sprawę usuniętego z Wilna biskupa Krasińskiego. Ponieważ jednak nie wiadomo, czy zgodzi się biskup Wojtkiewicz objąć zarząd diecezji wileńskiej, trzeba, zdaniem ministra, wybrać drogę pośrednią, proponowaną przez Potapowa, t. j. skasować diecezję mińską, przyłączyć ją do wileńskiej, z oddaniem jej pod zarząd administratora tej diecezji, z tem jednak, by biskup Wojtkiewicz zamieszkał w Wilnie dla spełniania posług biskupich. Cesarz przychylił się do tego ostatniego wniosku i tegoż dnia go aprobował, a minister o tem, co zaszło, powiadomił niezwłocznie generał-gubernatora i Sieversa, który tymczasem oczekiwał w Wilnie na przyjazd biskupa Wojtkiewicza. Gdy przybył biskup, postąpiono według poprzednio ułożonego planu: jakkolwiek rozkaz cesarski o skasowaniu diecezji nie został jeszcze w formie prawem przepisanej ogłoszony, zakomunikowano go zarówno biskupowi, jak i prałatowi Żylińskiemu; nieogłoszenie ukazu oficjalnie miało ratować sytuację w razie oporu ze strony biskupa. Tymczasem, wbrew wszelkim obawom generał-gubernatora, ani jeden, ani drugi z dygnitarzy duchownych nie zdobył się nawet na

jedno słówko protestu i smutną wiadomość przyjęli obaj spokojnie.

Jaki był w szczegółach przebieg powyższych pertraktacji generał-gubernatora i Sieversa z biskupem Wojtkiewiczem i prałatem Żylińskim, dokładnie maluje nadzwyczaj ciekawy, ale zarazem nader smutny i bolesny dla nas memoriał, złożony 11 sierpnia r. 1869 przez Sieversa ministrowi Tima-szewowi ze sprawozdaniem z odbytej ekspedycji do Wilna. Sievers przybył do Wilna w nocy z 22 na 23 lipca, z rana zaś 23 lipca przyjechał tamże bisk. Wojtkiewicz. Jen.-gubernator Potapow i Sievers postanowili działać natychmiast, by nie pozostawić biskupowi nie tylko czasu do namysłu, ale nawet nie dać mu możności porozumienia się uprzednio z prałatem Żylińskim. W tym celu tego ostatniego zawezwano do generał-gubernatora na godzinę 11 rano. „Wszystko, powiada Sievers w swoim memorjale, było skierowane ku temu, by uzyskać niezwłoczne wykonanie najwyższej woli, udaremnić wszelki z ich strony opór i zjednać chętnie i sumienne współdziałanie z ich strony, oraz w miarę możności zmniejszyć ujemne wrażenie na ludność“. Stosownie do wezwania, o g. 11 w pałacu generał-gubernatorskim stawił się prałat Żyliński, gdzie nań oczekiwali jen. Potapow wraz z hr. Sieversem. Rozmowę rozpoczął Sievers, wskazując prałatowi Żylińskiemu na wielką względem niego łaskawość monarchy, który ze skromnego stanowiska proboszcza wyniósł go na godność administratora diecezji i teraz okazuje mu nowy dowód zaufania, powiększając zakres jego działalności przez oddanie pod jego zarząd skasowanej diecezji mińskiej; dodał w końcu Sievers, iż żywi nadzieję, że ks. Żyliński spełni rzetelnie wolę Najjaśniejszego Pana i okaże się godnym tego zaufania, jakim go obdarzono. W odpowiedzi na przemowy Sieversa Żyliński wyraził najzupełniejszą gotowość uczynić wszystko, co będzie w jego mocy, celem urzeczywistnienia „świętej dla niego woli Najjaśniejszego Pana“.

Posłuchanie Żylińskiego trwało dopóty, dopóki nie dano znać o przybyciu biskupa Wojtkiewicza. Biskupa poproszono niezwłocznie, a Żyliński wyszedł, nie mając możności zamienić z biskupem bodaj kilku słów. Po powitaniu Sievers

oznajmił biskupowi o woli cesarskiej co do diecezji mińskiej i dodał, że akt ten bynajmniej nie jest skierowany ani przeciw katolikom, ani osobiście przeciw biskupowi, o którego lojalności rząd na chwilę nie wątpi; rząd rad byłby widzieć biskupa na stolicy jakiej obszerniejszej diecezji i, jeżeli mu jej teraz nie ofiaruje, to tylko dlatego, by go uchronić od tych przykrości, jakieby go mogły spotkać skutkiem takiej promocji w warunkach obecnych; wkońcu nadmieniał, że dla katolików wileńskich wielkiem będzie szczęściem, że z chwilą przeniesienia się biskupa Wojtkiewicza na mieszkanie do Wilna, mieć będą pośród siebie biskupa, którego od pewnego czasu byli pozbawieni. Biskup na to odrzekł, że „ze czcią poddaje się świętej dla niego woli Najjaśniejszego Pana“. O ile relacja Sieversa o zachowaniu się biskupa jest prawdziwą, trudno doprawdy przedstawić sobie większą służalczość i większy brak charakteru.

Przebiegły Sievers, zachęcony tak pomyślnym wynikiem swej dyplomacji, nie zasypia sprawy, ale prowadzi ją dalej. „Pragnąc, pisze dalej w swoim sprawozdaniu, wykorzystać tak pomyślne rozpoczęcie sprawy i kierując się przysłowiem: „kuj żelazo, póki gorące“, uradziliśmy z generał-gubernatorem wezwać Żylińskiego razem z Wojtkiewiczem“. Spotkanie to odbyło się tegoż dnia wieczorem; omówiono na niem wszystkie szczegóły dotyczące oddania rządów przez biskupa Żylińskiemu, zamieszkania biskupa Wojtkiewicza w Wilnie i t. d. Skutek przewyższył wszystkie oczekiwania generał-gubernatora i dyrektora departamentu wyznań: ukaz, jeszcze oficjalnie nie ogłoszony, przyjęty został przez Żylińskiego i przez biskupa Wojtkiewicza bez żadnego oporu.

O pomyślnem załatwieniu sprawy hr. Sievers niezwłocznie zawiadomił ministra Timaszewa depeszą szyfrową, otrzymaną w Petersburgu 25 lipca, w tych wyrazach: „Rozkaz najwyższy oznajmiony biskupowi Wojtkiewiczowi i prałatowi Żylińskiemu dzisiaj; obaj przyjęli go bez najmniejszych trudności; jutro generał-gubernator ogłosi formalnie o skasowaniu diecezji mińskiej i poleci dokonać zdania diecezji stosownie do odezwy Pana z d. 14 lipca Nr. 57. Dlatego ukaz Senatu powinien być datowany nie później, jak 14 lipca. O oczekiwanych szczególnych zarządzeniach generał-guber-

tora zawiadomi Pana przez pocztę". Niezwłocznie ogłoszony został oficjalnie ukaz cesarski, datowany jednak nie 14, lecz 15 lipca i urzędowemu istnieniu diecezji mińskiej został położony koniec.

Biskup Wojtkiewicz zapragnął wyjechać na czas jakiś do Mińska dla uregulowania spraw osobistych, na co narazie zgodzili się generał-gubernator i dyrektor departamentu wyznań; gdy jednak doszły do Wilna wiadomości o gotującej się w Mińsku demonstracji przeciw biskupowi, doradzono mu, by wyjazd na czas jakiś odłożył, na co biskup, chcąc nie chcąc, przystać musiał. W jednym z najbliższych dni przypadł dzień galowy i biskup Wojtkiewicz odprawił w dniu tym uroczyste nabożeństwo w katedrze wileńskiej.

14 sierpnia r. 1869 zapadło postanowienie cesarskie o dalszym losie biskupa Wojtkiewicza; wyznaczono mu na utrzymanie tyle, ile pobierał dotąd, jako biskup miński, t. j. pensji rocznej 4480 rs. oraz 1650 rs. jako wynagrodzenie za odebraną mu służbę, ponadto pozostawiono mu używalność majątków biskupich oraz asygnowano rs. 2000 na kosztą przejazdu do Wilna, gdzie mu na mieszkanie przeznaczono jeden z domów kapitulnych. Ukaz przyznawał nadto biskupowi prawo swobodnego spełniania pontyfikałów w Wilnie. Członkom skasowanej kapituły mińskiej pozostawiono dożywotnią pensję kapitulną, natomiast zwolniono od obowiązków członków i urzędników konsystorza oraz profesorów seminarjum. Gmachy kapitulne oddano do dyspozycji administratora diecezji wileńskiej, na mieszkanie dla duchowieństwa miasta Mińska, gmachy zaś konsystorskie i seminaryjne oddano władzom cywilnym do dyspozycji generał-gubernatora. Kościół katedralny w Mińsku zamieniono na parafjalny pierwszej klasy z pensją dla proboszcza w ilości rs. 600; wreszcie, ze względu na powiększoną pracę prałata Żylińskiego z powodu oddania mu pod administrację diecezji mińskiej, dołożono mu do pensji rs. 1764 i przyznano używalność majątków biskupów wileńskich, oraz na kancelarię konsystorską wyznaczono rs. 600 rocznie.

Od tej chwili rządy diecezji mińskiej przechodzą w ręce prałata Żylińskiego. Charakterystycznym, a zarazem nad wyraz smutnem jest, że przy przejściu diecezji mińskiej pod

zarząd prałata Żylińskiego, ani on, ani biskup Wojtkiewicz, słówkiem nawet jednym nie wspomnieli o papieżu, ani o niezbędnej delegacji od Stolicy św. dla objęcia rządów skasowanej diecezji... Taki zanik poczucia katolickiego u biskupa Wojtkiewicza (o prałacie Żylińskim, duszą i ciałem rządowi carskiemu zaprzędanym, nawet nie wspominamy, bo jest on aż nazbyt znaną osobistością) wytłómaczyć można jedynie tym smutnym stanem, w jaki skutkiem niesłychanego ucisku Kościoła katolickiego przez rząd popadły zwłaszcza słabsze duchem jednostki z pośród kleru katolickiego.

Dla charakterystyki biskupa Wojtkiewicza nie możemy pominąć listu wysłanego przezeń do Sieversa w dniu 30 października r. 1869 w odpowiedzi na zawiadomienie o wyznaczeniu biskupowi pensji i „podjomnych“ (pieniędzy na kosztą przejazdu). W liście tym dziękuje biskup Sieversowi za tak pomyślną wiadomość, gdyż ta pomoc materialna pokrzepi go, albowiem jest wyniszczony wskutek wydatków i „porządnie obdłużony“; w uznaniu zaś głębokiej wdzięczności za to wszystko, co mu Sievers uczynił, obiecuje mu biskup zanosić do Boga najgorętsze modły za niego samego oraz za drogie mu osoby.

Ks. Walery Płoskiewicz.

Zagrożone dzieci.

Pod powyższym tytułem nadesłał nam p. Jan Suchowiak z Poznania artykuł, będący rozszerzeniem drukowanego już parę miesięcy temu feljetonu w *Kurjerze Poznańskim*. Ze względu na oryginalność myśli i szlachetność tendencji zamieszczamy tu szczegółowe jego streszczenie.

Kategorją dzieci, o którą głównie chodzi autorowi, są sieroty opuszczone zupełnie oraz dzieci nieślubne, tak liczne zarówno w kraju jak zagranicą. Robotnice nasze we Francji i w Niemczech, a także w Belgji i Ameryce, dają spory kontyngent tych ostatnich, a w braku zajęcia się nimi z naszej strony, zabierają je na wychowanie obcy i w ten sposób dzieci polskie zaludniają sierocińce zagraniczne, bywają często wychowywane w innej wierze, a prawie zawsze tracą polskość na rzecz obcej narodowości. Oprócz dwóch małych zakładów dla sierot we Francji i kilku w Ameryce, polskich sierocińców zagranicą prawie niema, rodziny zaś polskie nie są skore do przyjmowania sierot, gdyż mają dość kłopotu o własne utrzymanie. Wobec tego, powiada autor, można sobie wyobrazić, że na naszej kilkumiljonowej emigracji tracimy dla narodowości polskiej corocznie kilka tysięcy sierot.

Inaczej postępuje zagranica. W Niemczech np. zakład Marienheim w Kolonji, prowadzony przez Szarytki, przyjął w ciągu 25 lat 15.000 opuszczonych niemowląt. We Francji istnieje szereg różnorodnych instytucyj, które rozciągają staranną opiekę nad matką i dzieckiem, by każde zachować dla narodu francuskiego; z sierot tych wyrastają żołnierze i osadnicy dla francuskich kolonij. Z Anglji wywozi się co-

rocznie około 20.000 sierot do Kanady dla zasilenia tamtejszego żywiołu anglosaskiego.

A czyż i my także — pyta autor — nie posiadamy naszych „kolonij” z misją cywilizacyjną na wschodzie Polski? I czyżby nie zalecało się postarać o uzyskanie dla tych ziem mało zaludnionych coroku kilku tysięcy polskich, na naszym zachodzie i na obczyźnie zbędnych sierot, celem wzmocnienia polskości i katolicyzmu w województwach wschodnich?

W celu zrealizowania tej myśli przedkłada autor następujący plan:

1) Nie przeszkadzając w niczem istniejącym już w Polsce zakładom sierocym, należałoby dla polskich sierot z obczyzny i marnujących się w kraju otworzyć nowe sierocińce i uposażyć je przydziałem ośrodków folwarcznych przy parcelowaniu dóbr państwowych.¹⁾ Tak utworzone zakłady będą oparte, dzięki własnej pracy i wytwórczości, na zasadzie samowystarczalności, bez potrzeby uciekania się do pomocy państwa lub społeczeństwa. Jako wzór mogą tu służyć „Gniazda sieroce”²⁾ i „Krzemieńskie zakłady wychowawcze”.

2) Co się tyczy personelu, pracującego w sierocińcach, stan jego dotychczasowy wykazuje miejscami spore braki, które skłoniły też niedawno Ministerstwo Pracy i Opieki Społ. do zorganizowania w Warszawie dwumiesięcznych kursów dokształcających dla wychowawców po zakładach.

W sprawie wyboru tych ostatnich autor przechyla się ku oddaniu zarządu sierocińców osobom zakonnym. Naogół, powiada, trudno jest znaleźć dostateczną liczbę osób świeckich, któreby należycie odpowiedziały temu zadaniu. Mały bowiem ich procent potrafi okazać kochające serce dzieciom obcym, tem bardziej, że wiele z nich pracuje tylko dla chleba, co jest zresztą zrozumiałem i przy sposobności opuszcza łatwo swe zajęcie w zakładzie. Nadto trzeba je lepiej opłacać i więcej nadzorować, co pochłania więcej wydatków. Tego

¹⁾ Projekt tego rodzaju uposażania zakładów wychowawczych jest obecnie sprawą aktualną, jak dowodzi ostatnie sprawozdanie Min. Pracy i Opieki Społ., zamieszczone w *Przeglądzie Powszechnym*, w październiku 1925 r., str. 127.

²⁾ O „Tow. Gniazd Sierocych” por. *Przegląd Powszechny*, maj 1922 r., str. 399.

wszystkiego zaś unika się, powierzając prowadzenie dziecięcych przytułków i sierocińców osobom zakonnym, odpowiednio przygotowanym; te bowiem, choć również nie zawsze posiadają potrzebne zalety, pracują w każdym razie nie dla chleba, lecz dla idei. Oddając więc dzieci pod opiekę polskim zakonnikom (oczywiście pod kontrolą organów rządowych), można być spokojnym, że wychowają je na chwałę Bożą i pożytek Ojczyźnie.

3) Sprawa sprowadzenia z obczyzny sierot polskich — autor przypuszcza ich liczbę przynajmniej na 60.000 — zawisła przedewszystkiem od naszych placówek konsularnych. Najłatwiej będzie sprowadzić dzieci z państwa niemieckiego, trudniejsza rzecz będzie z Francją i Ameryką.

Niemowlęta i drobne dzieci, przybyłe z zagranicy, należałoby gromadzić naprzód w przejściowych przytułkach, których powinno być po kilka w każdym województwie, zwłaszcza przy głównych stacjach węzłowych i granicznych.

Po ukończeniu drugiego roku życia przewoziłoby się je do odpowiednich zakładów na wschód Polski i tu już pozostałyby na zawsze. Uczęszczałyby do szkół powszechnych, poczem chłopcy przeszliby od 10 roku do zakładów męskich, zwłaszcza OO. Salezjanów, gdzie poza nauką szkolną ćwiczyliby się w różnych zajęciach praktycznych w odpowiednich warsztatach. Dziewczęta kształciłyby się pod opieką Sióstr zakonnych również w zawodach praktycznych, zależnie od zdolności i zamiłowania. Zdolniejsza młodzież mogłaby zostać oddaną do seminarjów nauczycielskich, szkół średnich i wyższych.

Z młodzieży, wychowanej w ten sposób, miałaby Polska, zdaniem autora, wiernych obywateli i pracowników, którzy spełniliby swe zadanie lepiej, niż sprowadzeni z zachodu zawodowcy i kupcy, którzy w odmiennych tych warunkach nie mogą się dostatecznie zaaklimatyzować.

O krzywdzeniu tą drogą miejscowych mniejszości narodowych niema mowy, gdyż miejsca na wschodzie jest aż nadto wiele. Z drugiej strony wzrost ludności polskiej na kresach może być tylko korzystnym dla państwa. „Im większa w Polsce — pisał p. Dmowski („Polityka polska i odbudowa państwa“) — jest liczba ludności rdzennie polskiej, tem

mniejszą trudność stanowi ludność językowo niepolska, którą państwo w swych granicach posiadać musi“.

Zestawiając rozwinięte powyżej myśli, streszcza je autor w następujących postulatach:

a) obecnie już czynnych instytucyj i organizacyj opieki nad dziećmi i sierotami nie należy zmieniać, ale raczej rozbudowywać;

b) punkt ciężkości wychowywania sierot polskich trzeba przenieść do wschodnich województw;

c) należy stworzyć opiekę w kraju dla sierot polskich stale sprowadzanych z obczyzny;

d) stworzyć w kraju przytułki odbiorcze systemu ks. Boduena, tak dla sierot z zagranicy, jakoteż dla niemowląt zagrożonych;

e) dzieci te już w drugim lub trzecim roku życia przenieść do sierocińców na wschodzie;

f) tamże w oddzielnych zakładach (ochronki, szkoły powszechne, warsztaty pracy) wychowywać i wykształcić sieroty polskie do praktycznych zawodów, tak aby po wejściu w życie mogły znaleźć stałe utrzymanie na wschodzie Polski;

g) państwo udotuje zakłady te (d, e, f) przez przydział odpowiednich części dóbr państwowych z możliwością samowystarczalności;

h) Ministerstwo Pracy i Opieki Społ. lub inna władza obejmie nadzór i naczelne kierownictwo przy wykonaniu powyższego programu.

Owoce tej pracy okażą się oczywiście dopiero po kilkunastu latach w miarę dorastania wychowanków; lecz przewidujący gospodarz buduje swój dom podług przyszłej potrzeby także dla swych dzieci i wnuków!

S. P.

Losy bibliotek jezuickich kolegów w Połocku i Witebsku.

Połock oddawna już słynął ze swego księgozbioru. W 1579 r. po zajęciu miasta przez króla Stefana Batorego, znaleziono w soborze św. Zofji olbrzymią bibliotekę. Zdaniem sekretarza króla Stefana, Heidensteina (*De bello Moscovitico commentariorum libri sex*, Kraków 1584) posiadała ona w oczach uczonych wartość, równą pozostałej części łupów, zdobytych w Połocku.¹⁾ Biblioteka ta zaginęła.

W następnym 1580 r. król Stefan Batory zakłada w Połocku kolegium dla Jezuitów, którzy założyli tam nową zasobną bibliotekę. Jak się ona rozwijała, widać z następujących danych. Wizytator szkół na Białej Rusi, akademik Bazyli Sewergin, zastaje u połockich Jezuitów już w 1803 r. „olbrzymią bibliotekę,²⁾ która po upływie trzech lat, w r. 1806, znalazła pomieszczenie w specjalnie na ten cel przeznaczonej części wybudowanego przez Jezuitów murowanego budynku. Miała ona zawierać 20.000 tomów,³⁾ w r. 1810 liczyła przeszło 38.000, w następnym zaś 1811 r. zgórą 40.000 książek.⁴⁾ Liczba ta zgadza się z twierdzeniem uczonego Pijara, ks. Antoniego Moszyńskiego.⁵⁾ Utrzymuje on, że około r. 1812, t. j. przy otwarciu Akademii OO. Jezuitów w Połocku, znajdowało się w bibliotece 30.000 tomów w różnych cudzoziemskich językach i 10.000 polskich. Zdaje się jednak, że było ich więcej.⁶⁾ Podług innych źródeł, biblioteka zawierała w 1815 r. 35.000 tomów.⁷⁾

¹⁾ A. Sapunow, *Witebskaja Starina*, t. 4, cz. I, str. 215.

²⁾ I. Giżycki, *Materiały do dziejów akademii połockiej i szkół od niej zależnych*, str. 23.

³⁾ *Ibid.* str. 27.

⁴⁾ Dokład Dyrektora Witebskiej gimnazji o sutojności bibliotek w szkołach Witebskiej gubernji za 1809—1825 gg., przedstawlenyj w Ministerstwo Narodnawo Proswieszczenia.

⁵⁾ Wiadomość o połockiem kolegium jezuickiem w „Upominku wileńskim“ dla Kraszewskiego 1879, str. 170.

⁶⁾ I. Giżycki, *op. cit.* str. 68.

⁷⁾ Ks. Śl. Załęski, *Jezuici w Polsce*, t. V, cz. I, str. 210.

Cyfry te świadczą o rozwoju biblioteki Jezuitów w Połocku. Zobaczymy jeszcze, w jaki sposób wzrastała?

Poczynając od drugiej połowy XVIII w. datuje się kasata Jezuitów i wypędzenie ich z Portugalji, Francji, Hiszpanji, Neapolu i Sycylii. W r. 1773 ogłoszone zostało przez papieża Klementa XIV breve *Dominus ac Redemptor nosfer*, zupełnie kasujące zakon, w r. zaś 1781 Jezuitci zostali wypędzeni z Prus. Życzliwi, którzy nie mogli już służyć zakonowi w Europie zachodniej, zaczynają pomagać połockim Jezuitom, przysyłając im swoje księgozbiory. Z pomiędzy tych ofiarodawców należy wymienić Briscorn'a z Drezn. W późniejszym czasie arcybiskup gnieźnieński, ex-jezuita Raczyński, skupował książki po skasowanych jezuickich kolegiach oraz innych skasowanych zakonach i przysyłał je na Białą Ruś. Cyfra przestanych w ten sposób przez niego książek wyniosła ponad 8.000 tomów.

Dużą rolę w rozwoju biblioteki połockiej odegrał punkt 26 ustawy o akademji połockiej, który zezwalał na swobodne sprowadzanie książek z zagranicy, zarówno morzem jak i lądem, dla zajęć naukowych i dla biblioteki akademickiej.

W marcu 1820 r. wydany został dekret o wydaleniu Jezuitów z Rosji. Akademję w Połocku zamknięto, cały zaś ich dobytek, w tej liczbie i bibliotekę, przekazano witebskiej Izbie Skarbowej. Dnia 10 marca 1822 r. przekazano ją, wraz z innemi ruchomościami, przeniesionym z Witebska do Połocka OO. Pijarom. Po ośmiu latach znowu Pijarzy zostali przeniesieni do Wilna, a biblioteka pojezuicka przeszła na skarb państwa.

Dnia 26 kwietnia 1830 r. wydana została ustawa, którą był połocki klasztor jezuicki przeznaczony został na pomieszczenie połockiego korpusu kadetów. Dla zbadania zawartości pojezuickich gabinetów naukowych, biblioteki oraz muzeum delegowani zostali do Połocka na mocy rozkazu cesarskiego z dn. 8 maja 1830 r. nadzwyczajny profesor uniwersytetu petersburskiego, Popow, urzędnik głównego Zarządu spraw duchownych obcych wyznań, Szkielewicz, i pełniący służbę w głównym sztabie jego cesarskiej wysokości, kwatermistrz gwardji, kapitan Tałyzin. Do segregowania dzieł przystąpiono dn. 2 lipca, zakończono zaś tę pracę dn. 20 września.

Biblioteka Jezuitów połockich mieściła się wówczas w trzech salach i składała się z biblioteki głównej, podręcznej i polskiej. Po wyjeździe Pijarów członkowie komisji znaleźli wszystkie trzy biblioteki w zupełnym nieładzie: książki były pomieszanę, leżały w szafach i na stołach, na oknach i na podłodze. Pozatem, według spisu miało ich być 14.000, okazało się zaś 23.551, z których całych dzieł było 19.572, a niekompletnych 3.779 tomów.¹⁾

¹⁾ W. Wikientjew, Połockij kadetskij korpus, str. 43.

Na mocy najwyższego rozkazu wszystkie te książki podzielone zostały na sześć następujących kategorii:¹⁾

1) dzieła z dziedziny ścisłej matematyki, fizyki, chemji, niektóre historyczne w językach nowożytnych ze słownikami i gramatykami tych języków przeznaczono dla korpusu kadetów w Połocku;

2) do Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu przesłano dzieła starożytnych i nowych pisarzy, których tam nie było, zwłaszcza lepsze i rzadkie wydania, mogące stać się jej ozdobą;

3) petersburskiemu i moskiewskiemu uniwersytetom, w szczególności pierwszemu, jako uboższemu — dzieła kwalifikujące się dla wyższych studjów, a także utwory w językach wschodnich, dzieła zaś medyczne wyłącznie uniwersytetowi moskiewskiemu;

4) gimnazjom białoruskim dzieła historyczne i literackie z biblioteki polskiej;

5) katolickiemu kolegjum duchownemu i katolickim seminarjom duchownym dzieła treści teologicznej, jako to: kazania, dzieła polemiczne i katechetyczne;

6) dla biblioteki głównego zarządu spraw duchownych wyznań obcych dzieła kanoniczne, decyzje soborów, historie kościołów, dzieła, traktujące o obrzędach różnych wyznań chrześcijańskich, zbiór dekretów papieskich, rozprawy o schizmatykach oraz różne wydawnictwa, któreby zostały uznane za potrzebne dla owego zarządu; wreszcie słowniki języków starożytnych i nowożytnych, żydowskiego talmudycznego i rabinistycznego, niezbędne dla przekładów języka żydowskiego.

Wskutek takiego podziału z bogatej biblioteki połockiego kolegjum jezuickiego połocki korpus kadetów otrzymał zaledwie 2.080 książek,²⁾ a mianowicie:

a) z głównej biblioteki 1149 tomów dzieł kompletnych: historycznych 298, matematycznych 236, astronomicznych 65, fizycznych i chemicznych 296, religijnych 76, epickich 102 i filologicznych 76; prócz tego jeszcze 328 zdekompletowanych dzieł różnej treści;

b) z biblioteki podręcznej 54 dzieła, z których 32 kompletne i 22 nie-kompletne, o różnej treści;

c) z biblioteki polskiej 549 dzieł: fizycznych i chemicznych 172, astronomicznych 60, matematycznych 187 i niekompletnych różnej treści 130.³⁾

Pozostałą część biblioteki pojezuickiej, ze względu na rozpoczętą przebudowę gmachów poklasztornych, przewieziono do

¹⁾ *Ibid.* str. 44, 45.

²⁾ *Ibid.* str. 45.

³⁾ Podczas wojny światowej w 1915 r. biblioteka korpusu kadetów została ewakuowana do Symbirsk, podczas rewolucji zaś wzięta pod bezpośrednie kierownictwo zarządu głównego zakładów wojskowo naukowych.

połockiego klasztoru Dominikanów.¹⁾ Zarządzał nią nauczyciel gimnazjum witebskiego, Piotrowski, Polak, mianowany kustoszem biblioteki jeszcze w 1830 roku, zaraz po rozdzieleniu jej przez komisję.

W ciągu 1831 r. książki, zgodnie z przeznaczeniem, zostały wysłane przez Piotrowskiego do Petersburga i Moskwy. W ten sposób do Cesarskiej Biblioteki Publicznej wpłynęło 389 tomów,²⁾ do uniwersytetu petersburskiego 6260 tomów, z tego 770 niekompletnych, do głównego zarządu spraw duchownych 3056, w tej liczbie 497 niekompletnych, do moskiewskiego uniwersytetu 454, w tem 30 niekompletnych.³⁾ Pozostałe książki, w ilości 11.112 tomów, w których liczbie było 2.202 niekompletnych; przeznaczono dla gimnazjum witebskiego, dla połockiego seminarjum duchownego i dla rzymsko-katolickiego kolegium w Petersburgu. Wiadomem jest, że gimnazjum białoruskiemu w Witebsku przypadło w udziale 2.619 tomów, z pośród których 868 niekompletnych.⁴⁾ Ile książek otrzymało połockie seminarjum duchowne, nie wiadomo.⁵⁾ Doszły nas tylko wiadomości, że przy podziale dzieł pomiędzy gimnazjum i seminarjum zdekompletowane zostały całe wydania.⁶⁾

Książki z biblioteki Jezuitów połockich, przeznaczone dla rzymsko-katolickiego kolegium duchownego, spoczywały w połockim klasztorze dominikańskim do r. 1833. Zgodnie z rozporządzeniem kolegium należało je podzielić między trzy seminarja duchowne: mohylowskie, mińskie i żmudzkie. Wybór książek z polecenia rzymsko-katolickiego konsystorza duchownego uskutecznił został przez komisję, złożoną z trzech zakonników po-

¹⁾ Akta cywilnego gubernatora w Witebsku r. 1831 Nr 1: Po otwarczeniu Ministra Narodnawo Proswieszczenia o proizwodstwie torgow na otprawlenje knig bywszej połockoj jezuitskoj biblioteki w St.-Pietierburg i Moskwu.

²⁾ Podług danych biblioteki publicznej wpłynęło 177 tomów, w tej liczbie 106 rękopisów. Por. Impieratorskaja Publicznaja biblioteka za 100 let, str. 107.

³⁾ W. Wikientjew, op. cit. str. 45 i akta generał-gubernatora witebskiego, mohylowskiego, smoleńskiego i kałuskiego za rok 1830 Nr 33. O książkach i raznom drugom imuszczestwie ostawszemsia posle jezuitow w połockom ich klasztorie.

⁴⁾ W. Wikientjew, *ibid.*, str. 45.

⁵⁾ Z rozporządzenia synodu z dnia 7 listopada (st. st.) 1900 roku Nr 7621 „Starożytna biblioteka” witebskiego (dawniej połockiego) seminarjum duchownego przekazana została kijowskiej akademii duchownej. Biblioteka ta liczyła 3.995 tytułów i zawierała zgórą 10.000 tomów, wśród których znajdowały się również książki jezuitów połockich. Por. *Połockijja Jeparchialnija Wiedomości* za rok 1901 Nr 1 i 2, *Mogilowskija Gubernskija Wiedomości* z 31 stycznia 1901 r. Nr 9 i Sistiematiczeskij katalóg knig biblioteki kijewskoj duchownoj akademiji, ułożony przez A. Kryłowskiego (Kijów 1903).

⁶⁾ A. Sapunow, *Zamietki o kolegiji i akademiji jezuitow w Połockie*, str. 20.

łockiego klasztoru dominikańskiego. W lipcu 1833 r. książki te w 35 skrzyniach wagi 576 pudów 17 funtów rozesłane zostały według przeznaczenia. Do mohylewskiego seminarjum duchownego posłano 19 skrzyń (10 z książkami biblioteki głównej jezuickiej i 9 z biblioteki podręcznej) wagi 329 pudów 20 funtów; do mińskiego seminarjum 7 skrzyń (5 biblioteki głównej i 2 podręcznej) wagi 107 pudów 7 funtów i do żmudzkiego 9 skrzyń (7 biblioteki głównej i 2 podręcznej) wagi 130 pudów 30 funtów.¹⁾

Następnie po zamknięciu mińskiego i żmudzkiego seminarjów duchownych, ta część książek, jako też biblioteka połockiej akademji jezuickiej zgrupowane zostały w rzymsko-katolickiej akademji duchownej w Petersburgu.

Tak rozproszył się jeden z najcenniejszych i najliczniejszych na owe czasy księgozbiorów.

W zależności od akademji OO. Jezuitów znajdowało się kolegium tegoż zakonu w Witebsku. O bibliotece tego kolegium mamy, niestety, zbyt urywkowe wskazówki. Wiadomem jest, iż ostatni jego rektor, Jan Marcinkiewicz (1817—1820), dołożył wielu starań, ażeby ją odpowiednio wyposażyc.²⁾

Do wydaleni Jezuitorów z Rosji dyrektor witebskiego gimnazjum dnia 21 marca 1820 r. polecił nauczycielowi Teleszewowi przyjać wraz z innym dobytkiem po Jezuitach witebskich także i bibliotekę.³⁾ Nauczyciel gimnazjum, Piotr Koszko, ułożył jej katalogi⁴⁾. Z pozostałych na książkach sygnatur oraz z ich numeracji należy przypuszczać, że od r. 1820 do 1822 biblioteka ta znajdowała się w rękach witebskich Pijarów. Liczba należących do nich w tym czasie książek dochodziła do 3.000 tomów.

Wraz z przeniesieniem Pijarów do Połocka, dn. 1 września 1820 r. w Witebsku otwierają gimnazjum Bazyłjanie, w związku z tem w tym samym 1822 r. nastąpiło rozporządzenie uniwersytetu wileńskiego z dnia 25 maja, ażeby bibliotekę wraz z innemi pomocami naukowemi, pozostałemi po Jezuitach witebskich, przekazać księżom Bazyłjanom.⁵⁾ Bazyłjanie, otrzymawszę na szkołę gmach kolegium jezuickiego, zajęli na bibliotekę budynek naprzeciw jezuickiego kościoła, zwany przez witebszczan „domem z kopułą”.⁶⁾

Szkoła Bazyłjanów istniała do r. 1832, w którym ją zamknięto, bibliotekę zaś pojezuicką, wraz z nieznaczną ilością książek własnych Bazyłjanów, przekazano witebskiemu gimnazjum

1) Akta cywilnego gubernatora w Witebsku rok 1831 Nr 1, *ibid.*

2) Załęski, *ibid.*, str. 362.

3) Archiwum witebskiego gimnazjum męskiego, zeszyt 23 karta 17.

4) *Ibid.*, zeszyt 19 karta 251.

5) *Ibid.*, zeszyt 23 karta 270.

6) Dom ten stał przy ulicy Zadunowskiej na miejscu byłego Banku Polskiego.

męskiemu. W ten sposób w bibliotece gimnazjalnej zgrupowały się: część biblioteki połockiej akademji jezuickiej i biblioteka witebskiemu kolegium jezuickiego. Książki te w 1837 r. zostały przejrane i rozsegregowane, poczem sporządzono dwa katalogi: jeden działu „pojezuickiego“, do którego weszły książki otrzymane od akademji, drugi zaś działu „pobazyljańskiego“, do którego weszły książki z witebskiego kolegium, przejęte od Bazyłjanów.

W r. 1876, zgodnie z rozporządzeniem kuratora wileńskiego okręgu naukowego, część pojezuickich książek, zgórą 800 tytułów wynosząca, odesłana została do wileńskiej Biblioteki Publicznej.

W 1900 r. sporządzono nowy katalog, ale tylko książek „pojezuickich“. Zestawiając go z dawnym katalogiem, widzimy, że liczba książek, przekazanych do wileńskiej Biblioteki Publicznej, stanowiła nie więcej, jak jedną trzecią ogólnej ilości wszystkich książek.

Podczas ostatniej rewolucji gimnazjum męskie w Witebsku zostało zamknięte, budynek zaś, w którym mieściła się biblioteka, zajęto na lazaret. Książki pojezuickie zjawily się na rynkach Witebska. Ratunkiem biblioteki zajął się witebski oddział moskiewskiego instytutu archeologicznego. Dzięki pomocy muzeum bibliotecznego rosyjskiej Akademji Nauk, instytutowi udało się w okresie od 1918 do 1921 r. pozbierać z różnych instytucyj przeszło 4.000 książek, wyłącznie z bibliotek połockich i witebskich Jezuitów rozproszonych. Książki te wydzielono do osobnego gabinetu biblioteki instytutowej i uporządkowano podług klasyfikacji, przyjętej przez Jezuitów. Potem przystąpiono do sporządzenia szczegółowego spisu dzieł. Dało się tam umieścić, niestety, jedynie 1900 tytułów, bowiem w lecie 1922 r. instytut został zamknięty, a jego biblioteka łącznie z książkami pojezuickimi przeszła do zreorganizowanego Instytutu Pedagogicznego. W dwa lata potem, w r. 1924, książki pojezuickie przekazane zostały otwartemu w Witebsku oddziałowi białoruskiego Muzeum państwowego.

Zebrane przez oddział moskiewskiego Instytutu Pedagogicznego w Witebsku książki pojezuickie zostały rozdzielone, jak już powiedzieliśmy, na dwa zbiory: „pojezuicki“ i „pobazyljański“. Faktycznie oba te kompleksy składały się przeważnie z książek byłych kolegów połockiego i witebskiego.⁵⁾ Książki pierwszego kolegium mają pieczęć: Coll. Pol. S. J. (*Collegii Polocensis Societatis Jesu*), drugiego zaś napis atramentem *Collegii Witebscensis S. J.*, niekiedy w skróceniu *Koll. Vit. S. J.* Nie wyklucza to jednak istnienia w tych zbiorach dzieł z innych księgozbiorów, sta-

⁵⁾ Z zaofiarowanych przez OO. Jezuitów bezpośrednio gimnazjum witebskiemu książek, należy wymienić dar rektora witebskiego kolegium jezuickiego, Jana Łaranka 1808 roku, składający się z 233 książek.

nowiących nie mniej jednej trzeciej ogólnej ilości książek w obu kompleksach. Pochodzenie owych książek z trudem da się ustalić, na wielu bowiem z nich niema żadnych wskazówek. Najczęściej zdarza się to w zbiorze „pojezuickim”. Inne zaś książki pochodzą z różnych kolegiów jezuickich, jako to: orszańskiego, dźwińskiego, ryskiego, wileńskiego, a nawet kaliskiego.

Ponadto w skład zbioru „pobazylijańskiego” wchodzi kilkadziesiąt książek z napisem *Christ. Sackel S. J.*, wskazującym widocznie na pierwszego właściciela. Ponieważ część tych książek posiada sygnatury witebskiego kolegium jezuickiego, przeto można z całą pewnością mniemać, że są to resztki prywatnej biblioteki jakiegoś Jezuitę, która bądź jako ofiara, bądź też po śmierci w drodze spadku, lub wreszcie inną drogą dostała się do kolegium.

Ponadto wśród książek tegoż witebskiego kolegium znajduje się 500 do 600 sztuk, pochodzących z biblioteki Załuskich, częściowo z inicjałami, w części z sygnaturami. Niektóre z nich mają ponadto pieczęć kolegium. Wszystkie widocznie dostały się do Jezuitów witebskich w czasie transportowania z Warszawy do Petersburga zagrabionej po powstaniu Kościuszkowskim tej wspańskiej biblioteki.

Co się tyczy zawartości zbiorów, trudno jest o tem sądzić z zachowanych resztek. Można jedynie przypuszczać, że ta część książek kolegium połockiego, która dostała się do witebskiego gimnazjum, w składzie swym była o wiele bardziej różnorodną od biblioteki kolegium witebskiego. Znaczna większość pozostałych książek ma charakter liturgiczno-historyczno-filologiczny.

Dominującym językiem dzieł jest łaciński. Są jednak również w językach włoskim, francuskim, niemieckim, a także i polskim. Pod względem czasu pochodzenia książek główna ich ilość pochodzi z drugiej połowy XVII i pierwszej połowy XVIII stulecia; kilkadziesiąt książek z XVI wieku i jedna z XV. Miejscem wydania ich przeważnie są Niemcy i Włochy, rzadziej Francja, Belgja i Polska. Format książek głównie 8^o lub 16^o, inne formaty spotyka się stosunkowo rzadziej. Wszystkie prawie książki, z małemi wyjątkami, są oprawne: większe zawsze w skórę, mniejsze w pergamin lub tekturę. Oprawy pochodzą z czasów Jezuitów. Oprawy w skórę spotyka się z artystycznie wykonanemi tłóceniami.

Bolesław Breżgo.

Przegląd piśmiennictwa.

Aleksander Brou: *Saint Ignace maître d'oraison*. Paris 1925, Edit. Spes, str. XII + 256. 12 fr.

W Polsce znajomość „Ćwiczeń duchownych” św. Ignacego jest poniekąd dość znaczna. Przecież co rok odprawia się w Wielkim Poście po wielu miastach rekolekcje dla różnych kategorii ludzi, będące mniej lub więcej udatnem rozwinięciem t. zw. pierwszego tygodnia Ćwiczeń. Osoby zakonne w swoich dorocznych ośmiodniowych rekolekcjach obejmują w pewnej mierze wszystkie cztery tygodnie Ćwiczeń, oczywiście w mocnem skróceniu. Pełne Ćwiczenia św. Ignacego, trwające cały miesiąc, odprawiają w Polsce, jak dotąd, zdaje się tylko u Jezuitów nowicjusze i t. zw. „trzecia probacja”. — Znajomość atoli nasza i nasze zainteresowanie się „Ćwiczeniami” wobec tego, co na tem polu czyni taka Belgja, Francja, Holandja, Niemcy, Hiszpanja... jest jeszcze nadzwyczaj blade. Tam literaturę, tyczącą się Ćwiczeń, liczy się już nie na setki, ale tysiące nie tylko broszur, ale poważnych książek z celem praktycznym i studjów teoretycznych — u nas, kto wie, czyby się choć jeden dziesięć zebrać udało.

Otóż do bogatej literatury francuskiej na temat „Ćwiczeń” dorzucił świeżo O. Alex. Brou T. J., autor najgruntowniejszego do dziś dnia żywotu św. Franciszka Ksawerego (2 tomy), bardzo cenną pracę: „Św. Ignacy jako Mistrz modlitwy”. Nie brak wprawdzie, mówi O. Brou, traktatów o modlitwie według metody św. Ignacego — do klasycznych należą O. Roothaana: *De ratione meditandi* i O. de Maumigny: *Méthode d'oraison des Exercices de S. Ignace* — lecz oprócz tych książek czysto praktycznych jest miejsce na pracę, któraby dała egzegezę historyczną i egzegezę tekstu tych ustępów z „Ćwiczeń”, w których św. Ignacy podaje różne metody modlitwy. Ta egzegeza historyczna i tekstualna — oto zadanie, które sobie postawił autor i z którego się znakomicie wywiązał.

Ponieważ niektórzy upatrywali w silnie woluntarystycznej ascezie św. Ignacego jakby nagłe zerwanie z duchownymi pra-

dami średniowiecza i gwałtowne wtargnięcie w życie duchowne czasów renesansu, dlatego autor we Wstępie „o początku metod w modlitwie“, stara się ustalić, jakie właściwe miejsce zajmuje św. Ignacy w tradycji ascetycznej. — Pozatem książka jego dzieli się na 4 części: „modlitwa wogóle“; „przygotowania do niej“; „metody“; „pouczenia uzupełniające“. Zawarł w nich O. Brou ostatnio bardzo bogaty i pouczający materiał, który nie sposób tutaj streszczać.

Podkreślmy jednak przynajmniej niektóre zalety i myśli. Występuje O. Brou mocno przeciw rabinistycznemu trzymaniu się litery Ćwiczeń, wykazując, jak ich Autor umiał zachować nadzwyczajną giętkość w indywidualnem kierowaniu duszami. Kwestją dość żywo dysputowaną w ostatnich czasach jest sprawa mistyki Ćwiczeń; znajdują się tacy, którzy twierdzą, że Ćwiczenia nie mają z mistyką nic wspólnego; otóż autor wykazuje, jak szereg zdań w Ćwiczeniach odnieść można równie dobrze do zwyczajnej modlitwy, jak i do mistycznej. (Obszerniej tę sprawę omawia L. Peeters S. J.: *Vers l'union divine par les Exercices de S. Ignace*, Bruges 1924, Ch. Beyaert). Bardzo ciekawy jest ustęp, w jaki sposób św. Ignacy regulował za swego życia modlitwę swoich podwładnych. — Całość opracowana jest bardzo jasno, z wielkim umiarem i z niepospolitą znajomością przedmiotu. J. Andrasz.

Conan Doyle: Nowe objawienie (Co to jest spirytyzm?). Tłum. z ang. Warszawa 1925, str. 104.

C. Doyle, znany z swych fantastycznych opowieści, zajmował się od dłuższego czasu spirytyzmem, przyjmował go jednak sceptycznie; dopiero z początkiem wojny światowej, pod wpływem pragnienia kontraktu z duchami zmarłych, przeszedł całą duszą do obozu jego zwolenników, owszem stał się zapalonym apostołem spirytyzmu w Anglii, Stanach Zjednoczonych i Australji. Książka niniejsza, napisana w r. 1918, to owoc jego nawrócenia i zarazem trzydziestoletnich badań. Minał już okres, powiada, kiedy spirytyzm znajdował się w studjum próbnym jakiejś nowinki naukowej; dziś jest on nie tylko prawdą pewną, ale stał się „najważniejszym religijnym zdarzeniem“, które trzeba przetworzyć w „system religijnego światopoglądu“, w nową religję, która przysłała nam z „boskiego źródła w ciągu lat ostatnich“. Stąd tytuł książki — „nowe objawienie“.

Istota tej religji nie polega, jak dotąd sądzono, na stosunku człowieka do Boga, ale przedewszystkiem na stosunku naszym z duchami zmarłych, które pozostają poza tym światem. Duchy te przechodzą po śmierci w coraz dalsze sfery, zamieszkałe przez duchy wyższej rangi, ponad wszystkimi zaś stoi „duch Chrystusa“, którego pieczy szczególnie poruczona jest ziemia i który niegdyś zstąpił na nią, nie dla odkupienia ludzkości, bo to było

niepotrzebnem, ale aby dać przykład życia. Piekła niema, dusze tych, którzy na ziemi wiedli złe życie, oczyszczają się stopniowo po śmierci, tak że ostatecznie wszyscy stają się szczęśliwymi. Tak pojęta religia jest, zdaniem autora, pojednaniem wiary z wiedzą, to jest „najwyższy etap rozwojowy w dziejach ludzkości”; ona jednoczy wszystkie wyznania, chrześcijańskie i niechrześcijańskie, i wznosi się ponad nie jako najwyższa forma religii. Religia chrześcijańska „będzie musiała zmienić się albo upaść.”

Krótkie powyższe streszczenie poglądów autora jest dla katolika wystarczającym do wyrobienia sobie o nich należytego poglądu. Nie poprzestając jednak na tem, pragniemy wskazać na parę rzeczowych niedomagań innej natury, które pracę tę pozbawiają nimbu „naukowości”, w jaką ją pragnie przyodziać zarówno autor jak i tłumacz. Mniejsza już o mgliste i sprzeczne terminy, jak „ciało duchowe” lub „lotna bezosobowość” (str. 63 i 74), ale sposób dowodzenia jest rzeczywiście ciekawy i świadczy o niesłychanej skromności wymagań autora w tym względzie. Cały bowiem jego pogląd opiera się na zeznaniach „duchów”, podanych w różnej formie przez medja; otóż — rozumuje C. Doyle — ponieważ wiele z tych świadectw, odnoszących się do rzeczy ziemskich, stwierdzono jako prawdziwe, przeto można liczyć na to, że i zeznania, dotyczące życia pozagrobowego, są również prawdziwe. Wie autor wprawdzie, że wiele medjów oszukuje, uznaje też istnienie duchów kłamliwych i złośliwych, ale to nie zdoła zachwiać jego pewności. Dodajmy, że wierzy on mocno w zdemaskowaną już dawno aferę sióstr Fox, że twierdzi, iż co do medjum D. Home „nigdy nie można było podtrzymać najmniejszego zarzutu jakiegokolwiek szalbierstwa”, podczas gdy w rzeczywistości było przeciwnie, że na inne medjum, Stainton Moses, powołuje się jak na nieomyślną istotę, podczas gdy sam Richet, choć uznaje jego wielkość, wątpi lub ostrożnie się wyraża o pewnych jego produkcjach — a będziemy mieli pojęcie o „naukowości” tej książki. Na takich kruchych podstawach budować nie tylko pogląd na życie i świat, ale nową religję, mającą być „szczytem”, do którego nikt jeszcze nie dotarł, to już i niemądre i śmieszne. Przetłumaczenie więc takiej książki, pozbawionej wszelkich walorów naukowych, a mogącej szerzyć tylko zamieszanie w pojęciach religijnych, uważać musimy za chybioną przysługę dla naszej literatury.

Ks. Śf. Podoleński.

William J. Lockington S. I.: *Durch Körperbildung zur Geisteskraft*. Deutsche Ausgabe von Ph. Küble S. I. Verlagsanstalt Tyrolia. Innsbruck. In 8, str. 180.

W dzisiejszych czasach, kiedy sport i wychowanie fizyczne nabrały szczególniejszego znaczenia, jest to niezwykła książka.

W przeciwstawieniu do systemów, które akcentując ćwiczenia ciała pomijają milczeniem duszę, autor buduje swój system na uwzględnieniu obu tych czynników i owszem w przewadze czynnika duchowego widzi dopiero rękojmię powodzenia. Człowiek składa się z duszy i ciała i to ściśle z sobą złączonych, nie można więc zapominać o ważniejszej części, kiedy się troszczy o dobro całości. Obie strony, duchowa i fizyczna, powinny być racjonalnie uwzględnione, a wtedy jedna wspierać będzie drugą i obie odniosą rzeczywistą korzyść.

Ponieważ autorowi nie tylko chodzi o wskazanie drogi do wyrobienia zdrowia i sił fizycznych, ale pragnie też wyjaśnić, iż umiarkowana i rozumna ta troska jest zgodna z duchem Kościoła katolickiego, dlatego poświęca w pierwszej części sporo miejsca teoretycznym rozważaniom na ten temat. Na przykładach Świętych, jak św. Ignacy Loyola, św. Teresa i inni, oraz orzeczeniach różnych wybitnych ludzi, wykazuje prawdziwość tego zdania, że zdrowe i silne ciało jest potrzebne, jako środek do wyższych celów i dlatego należy o nie dbać odpowiednio. Wogóle trudności na polu zrozumienia ważności wychowania fizycznego może mieć tylko ten, kto ma fałszywe o niem pojęcie, kto myśli, że chodzi tu o zdobycie siły pewnych muszkułów, podczas gdy w rzeczywistości celem jego jest wyrobienie zdrowych i silnych organów wewnętrznych i całego organizmu. Dobry jego stan staje się potem cenną pomocą w pracy duchowej człowieka nad sobą, ułatwia mu znoszenie różnych trudności i wiedzie do owego dobrze zrozumianego zaparcia siebie, które i potrzebnem jest dla zdrowia ciała i zarazem wyrabia charakter, męstwo i panowanie nad sobą.

Jak widzimy, autor pojął bardzo wysoko problem wychowania fizycznego. Pozostało mu tylko podać szczegółowo jego metodę i temu poświęcona jest druga część książki, będąca szeregiem praktycznych wskazówek z dziedziny higieny, odżywiania się, oddychania, mówienia, oraz wymienieniem różnych ćwiczeń gimnastycznych, prostych i dostępnych dla każdego, których zrozumienie ułatwiają liczne ilustracje.

Książka niniejsza powstała z nauk, jakie autor miał do swych młodszych braci zakonnych i dlatego pierwotnie przeznaczona była głównie dla duchowieństwa. Wskazówki teoretyczne i praktyczne, zawarte w niej, są jednak tego rodzaju, że mogą z wielkim pożytkiem służyć wszystkim i udostępnienie ich szerszym kołom, zwłaszcza młodzieży, było też celem tłumacza. Dodać możemy, że autor metodę powyższą wypróbował sam na sobie z takim skutkiem, że choć słabowity bardzo zamłodu, odzyskał z jej pomocą pełne zdrowie i dziś, jako superjor irlandzkiej misji w Australji, jest dzielnym pracownikiem i wielkim mówcą.

Ks. St. Podoleński.

Ks. Józef Zdanowski: *Z walki o wolność Kościoła pod zaborem rosyjskim*. Kielce 1925, str. 84.

Broszurka ta jest skromnym przyczynkiem do dziejów Kościoła pod zaborem rosyjskim. Opowiada o zamknięciu przez rząd seminarjum kieleckiego w r. 1893 pod zarzutem antypaństwowych tendencji tego zakładu i o wywiezieniu całego składu profesorskiego i wielu innych księży do cytadeli warszawskiej, a potem na Syberję. Dzieje to tak niedawne, a wierzyć się nie chce w możliwość takiej podłości ożenionej z idiotyczną głupotą, jakie carscy urzędnicy w rzeczywistości okazywali w swych występach przeciwko Kościołowi. Podłości dowód — to nasłanie do seminarjum, w charakterze alumna, indywiduum marnego, które podpałało czterokrotnie mury uczelni i denuncjowało swoich zwierzchników, byle dać carskim władzom pretekst do wkroczenia w wewnętrzne życie seminarjum; głupota, litość wzbudzająca, widnieje z rewizyj, konfiskujących, jako rzeczy dla państwa niebezpieczne, książeczki o nabożeństwie do Serca Jezusowego, medaliki i szkaplerze i z kilkunastu książek, przemyconych z Krakowa, jakichś kazań Kajsiewicza, jakieś historii ks. Pelczara, owszem pism Skargi formułuje zarzut buntowniczego ducha, panującego w seminarjum. Nawet modlitwa codziennie po całym świecie odmawiana, średniowieczna antyfona „Salve Regina” staje się pod piórem tych idiotycznych inkwizytorów dowodem złego usposobienia modlących się względem Rosji, — czyż bowiem nie wzdychają w niej z padołu łez, jako wygnańcy, a czyż mogą co innego rozumieć pod padołem płaczu i wygnania, jak ujarzmioną przez Rosję Polskę? — Broszurę powinni czytać ci Polacy z pod innych byłych zaborów, którzy mają tylko słabe pojęcie o tych moralnych katuszach, w jakich musiało żyć i pracować duchowieństwo pod władzą rosyjską.

Ks. J. Urban.

Jan Wiktor: *Legendy o Grajku Bożym*. Ozdobił drzeworytami Zdzisław Gedliczka. Wyd. „Płomień” Książnicy Naukowej w Przemyśle, str. 90.

W ludowej poezji kolend ma świat zwierzęcy swoich przedstawicieli, co wyrażają swój zachwyt i swoją radość z powodu Narodzenia Pańskiego. W „Legendach” Jana Wiktora zjawia się ptaszcę, co towarzyszy Zbawicielowi w czasie Jego publicznych nauk, a szczególnie w czasie Jego męki. Swem tkliwym ptasiem sercem kontrastuje dziką zjadłość ludzi, co stanęli w poprzek planów Jezusa; jest to symboliczny komentarz do wstępnych słów Ewangelji św. Jana: „Do swoich przyszedł a swoi Go nie przyjęli”.

Poetycka proza, jakby uwita z kwieciami i promieniami, zdaje się imitować kaskady dzwoniących skowronków „Grajka Bożego”.

J. G.

7*

Władysław Orkan: *Listy ze wsi*, tom I. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1925, str. 178, in 8°.

Są to uwagi Podhalanina o Podhalu. Po ogólnej charakterystyce ludu polskiego, zilustrowanej przykładami a sięgającej w głąb duszy chłopskiej, podaje autor „Listów” migawkowe zdjęcia z Podhala, jego życia obyczajowego, społecznego i politycznego. Jest mowa o czarach i duchach czyli strachach, w które lud pospolicie wierzy; jest skreślony stosunek sołtysów i kmieci do tak zwanej żmudzi czyli biedoty chałupniczej i bezdomnej, pogardzanej przez arystokrację wiejską. Społeczeństwo bowiem wiejskie posiada także swe hierarchiczne uwarstwowienia, jakich się w świecie fraków i żakietów nawet nie przeczuwa. Zaznaczony jest w książce antagonizm między wsią a miastem, wynikły wskutek wojennych, drożyznianych stosunków i niewyrozumienia wzajemnego; jest scharakteryzowana dorywcza polityka agitatorów i jej wpływ na Bartka Nędzę, co poszedł do miasta po zapomogę na przednowek, a wrócił z 5 gazetami różnorodnych barw politycznych i do tyluż partyj się zapisał w nadziei, że coś od każdej dostanie, a pozostał tylko Bartkiem Nędzą. Każdy rozdział, narysowany lekko a trafnie, doczeka się zapewne w przyszłości obszernej monografii ludoznawczej. Książka ze względu na zasadnicze ujęcie typowo-chłopskiej duszy bardzo pożyteczna do zorientowania się wśród nieopatrnych frazesów, rzucanych z prawa i z lewa, a niezbędna dla tych, co osobiście nie znając ludu, zabierają się do pracy nad nim.

J. G.

Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Tom IX. Nakładem Gebethnera i Wolffa i zakładu Ossolińskich.

Po dziesięciu latach przerwy ukazał się nowy ten tom poważnego wydawnictwa, mającego za cel szerzyć znajomość literatury ojczystej, w szerokich ramach uwzględniający nawet pomniejszych pisarzy. Jest to ostatni tom, nad którym pracował jeszcze zasłużony krytyk, Bronisław Chlebowski. Tom IX obejmuje oceny twórczości Lenartowicza, Zielińskiego Gustawa, Narcyzy Żmichowskiej, Bartoszewicza, Wilkońskiego, Syrokomli i in. Zaletą wydawnictwa jest nie tylko sumienne opracowanie charakterystyki autorów, ale nadto podawanie dokładnych wskazówek bibliograficznych i znamiennych wyjątków z dzieł omawianych autorów. Większe dzieła podawane są w wyjątkach z odpowiednimi streszczeniami. Pożytecznemu tak wydawnictwu życzymy dalszego powodzenia i rozwoju. Przyczyni się ono do krzewienia zamiłowania dla dzieł literatury nawet wśród tych, którzy nie mogą się zdobyć na zakupno osobnych wydań autorów znacznieszych, co do mniej znanych niejednego imię uratuje poprostu do zupełnego zapomnienia.

Ks. T. Karyłowski.

Jan Nepomucen Niemojowski: *Wspomnienia*, ze wstępem St. Pomarańskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1925, str. XIV i 608.

Pamiętnik Niemojowskiego, pisany sposobem gawędy, stylem łatwym i potoczystym, dorzuca sporo światła na dzieje naszych ruchów narodowych w r. 1831 i 63, oraz na walki prowadzone w Poznańskiem w obronie narodowości. Przez ogromne, nieraz za rozwlekłe opisy zdarzeń i ludzi (bo autor pisze jak mu pamięć dyktuje, nie bardzo rozróżniając rzeczy doniosłe od podrzędnych) przebija iście staropolska wesołość i dobroć, a zarazem animusz rycerski Niemojowskiego, szczerzy patriotyzm i wcale nowoczesne już demokratyczne poglądy, każące mu uznać w chłopku „młodszego brata“ i budować się jego cnotami obywatelskimi. W opisach walk z r. 1831 zaciekawia szczególnie wyjaśnienie niepowodzeń, jakich doznała jazda kaliska w bitwie pod Kawenczynem dn. 19 lutego. Niemniej na uwagę zasługują barwne opisy walk, toczonych przez Samuela Różyckiego, przejście kordonu pod Igołomą, i niekrwawe a pełne humoru potyczki, toczne przez dziedzica Śliwnickiego z rządem pruskim. Oczywiście tu i owdzie zakradną się błędne poglądy, jak n. p. na str. 526 biadanie nad „wiekuistemi błędami jezuitów względem Polski“, albo (str. 25) apoteoza rąbaniny pojedynkowej; naogół jednak przebija w pamiętniku zacne serce dobrego i kochającego kraj swój obywatela. Mnóstwo szczegółów, niedomówionych przez autora, uzupełniają dokładne i wyczerpujące noty. Książkę czyta się niemal do końca z żywym zainteresowaniem, mimo, że pisana jest bez dosyć wyrazistego rozkładu materiału, często sposobem kronikarskim, a pod koniec zwłaszcza opisy stają się nieco zagmatwane, albo obracają się w kole zdarzeń zbyt banalnych. Oczywiście Niemojowski, nie ogarniając szerzej okiem ani operacji wojennych, ani całokształtu obrony narodowej w codziennej walce z naciskiem ciemieńczy, nie przynosi tak wiele pouczeń, jak pamiętniki osób bliżej z tem wszystkim obznajomionych. Lecz i to, co przynosi, godnem jest zachowania w skarbcu pamiętek narodowych. Nawet facecje i drobiazgi przydają się tutaj, dając umysłowi czytelnika, znużonego obszernością lektury, pewne orzeźwienie.

Ks. T. Karyłowski.

Zofja Kossak-Szczucka: *Kłopoty Kacperka Góreckiego skrzata, baśń*; illustrował Karol Kossak. Kraków 1926. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej; str. 84.

Literatura dziecięca jest u nas dotąd — można to śmiało powiedzieć — w powijakach. Mamy cały szereg ciekawych podróży i bajek dla starszych dzieci, choć w tej mierze zapożyczamy się grubo u literatur obcych, zwłaszcza angielskiej. Wszakże taka książka „W pustyni i puszcy“ Sienkiewicza stanąć może w rzędzie światowych arcydzieł tego rodzaju. Ale o tych najmniejszych „milusińskich“ któż pamięta? Księgarnia zakupuje najczę-

ściej obce niemieckie obrazki o typowo niemieckich figurach i odbija na nich krótkie polskie wierszyki. To też z uznaniem podnieść należy wysiłki utalentowanych piór, usiłujących stworzyć rodzimą literaturę dziecięcą.

„Skrzat” Kacperek, jak się zdaje, zrodził się z literatury „Krzyżaków”, ale wyrósł i wysnuł własne swe, i z humorem opisane dzieje. Otoczył się rojem polskich Sylfów, fantastycznych istotek, przemyślanych zupełnie oryginalnie i w duchu swojskim, rodzimym. Toteż całą książeczkę otacza urok nowości, a zarazem jest ona, że się tak wyrazimy, rasowo słowiańską, polską, wysnutą z umiłowania ojczystego domu i ojczystej ziemi. Lekkość i wdzięk wytwornego, literackiego stylu łączy się w niej z dostępną nawet dla najmłodszych czytelników prostotą. Szczuczka potrafi zniżyć się z nimi razem, wie, co ich zdoła zająć i rozweselić. Znać na jej książce lekkie wpływy postronne, a nawet z „Buntu” Reymonta, ale naogół tak fabuła, jak i przeprowadzenie całej, nie bardzo zresztą zawikłanej akcji, jest oryginalne i świeże. To też pewnie i niejedna mamusia, czytając urywki tego dziecięcego poematu - prozą, razem ze swem dziecięciem uśmieje się szczerze, zwłaszcza, że rysunki i kolorowe, artystycznie wykonane obrazki podkreślają komizm utworu i mile urozmaicają lekturę.

Ks. T. Karyłowski.

Juljusz Słowacki: *Podróż do Ziemi Świętej i Neapolu*. Z autografu biblioteki Krasieńskich wydał Manfred Kridl. Warszawa 1925. Nakładem księgarni K. Wojnara.

Nie trzeba dowodzić, jak ważną dla literatury sprawą jest umiejętnie i krytyczne ustalenie tekstów jej arcydzieł. U nas można powiedzieć, że praca ta zaledwie została zapoczątkowana. Wszakże do ostatnich niemal czasów nawet tekst największego naszego arcydzieła. „Pana Tadeusza” nie był we wszystkich szczegółach ustalony! Cóż dopiero powiedzieć o innych utworach mniejszej wagi! Pole do pracy dla sumiennych pracowników jest tu szeroko otwarte. Toteż prace „komisji do badań nad historją literatury i oświaty” prawdziwie wartościowe dla tej gałęzi wiedzy przynoszą plony. Jako tom II i zeszyt II tej serii wyszła praca M. Kridla o „Podróży do Ziemi Świętej”. W uwagach wstępnych wyjaśnia uczony komentator źródła swej pracy, stwierdza, że dotychczas żaden tekst tego dzieła nie ukazał się w dosyć krytycznej formie, że mianowicie tak pierwsze jego wydanie z r. 1866 jak drugie z r. 1885 zawiera wiele błędów, powstałych z niedbałego odczytania autografu, a nadto brak im obfitego źródła warjantów, rzucających niejedną promień światła na myśl przewodnią ustalonego tekstu. To nowe wydanie „Podróży” ma być tedy pierwszym jej wydaniem krytycznem. Pietyzm dla ustalenia tekstu „Podróży do Ziemi Świętej” zupełnie jest usprawiedliwiony, jeśli zważymy, jak doniosły wpływ miała

ona na powstanie „Beniowskiego“, do którego całe niemal jej ustępy zostały wcielone. Zacięcie epickie i nieklamany humor poety sprawiają, że do dziś dnia utwór ten odczytujemy z zajęciem. Ma on też znaczne walory dla biografii Słowackiego, jako pamiętnik, pisany w każdym razie pod żywym echem przeżyć i wrażeń podróży. Ukazuje on n. p., co słusznie zauważa prof. Sinko, iż ten Julek, który w młodszych latach nie bardzo zajmował się „Enejdą“ Wirgiljusza i „nie podarł jej w czytaniu“, jak to miało miejsce z „Iliadą“ w dojrzałym wieku bardziej lekturą jej się zainteresował. W żadnym innym dziele poety nie znajdujemy na to tak licznych dowodów. Nadto zaznaczyć trzeba, że „Podróż“, mimo swej urywkowości, należy do płodów dojrzałej muzy Słowackiego i zawiera momenty pod względem artystycznym wprost niezrównane. Ocalenie nawet drobnych szczegółów w tym złomie szczerego granitu jest rzetelną wobec społeczeństwa zasługą.

Ks. T. Karyłowski.

Prof. Dr Antoni Peretiatkowicz: *Współczesna Encyklopedia Polityczna*, 1926, Część I. (A—G), str. 231. Cena 3 zł. Gebethner i Wolff.

Encyklopedia polityczna, ułożona w porządku alfabetycznym, zawiera nie tylko pojęcia zasadnicze, ale również fakty i dane, dotyczące państw współczesnych, importu, eksportu, waluty, partij politycznych, prasy oraz krótkie życiorysy polityków współczesnych. Do książki dołączone są portrety Benesa, Brianda, Chamberlaina, Coolidge'a, Czicherina, Dmowskiego, Mussoliniego, Focha i Grabskiego.

Nowości Wydawnicze Księgarni św. Wojciecha:

Trafną myśl miała Księgarnia św. Wojciecha, kiedy podjęła publikację utworów dobrych polskich pisarzy w tanim i przystępnym wydaniu „Dla Wszystkich“. Już 60 tomików tego wydawnictwa, ozdobionych artystycznie obrazkami prof. Stan. Sawiczewskiego i innych artystów-malarzy, ukazało się w druku. Niektóre z nich, jak zmarłej niedocenionej autorki Antoniny Domańskiej, świeżo pojawiły się w drugim wydaniu: pierwsze bowiem rozchwytało w krótkim stosunkowo czasie. Są to legendy i opowiadania: *Kuglarz Matki Boskiej*, *Ave Maria*, *Krzyż w Probołowicach*, *Złota przędza* i *Czeladnik majstra Szymona*. Inne wyszły w zbiorze „Dla Wszystkich“ po raz pierwszy jak *Jana Korwina Zemsta* (powiastka historyczna z życia Kiejstuta), *M. Domańskiej Dzwony i Orleń*, *Kajetana Kraszewskiego Białonóżka pana majora* i *Trzewiczek*, *Józefa Relidzińskiego Z dni krwi i chwały*, *Anatola Krzyżanowskiego Za winy niepopołnione* oraz *Rafała Żegoty Czarne uroki*. Ta ostatnia książeczka szczególnie stosowna dla ludu.

Obok tej Serji A., autorów polskich, wydawcy, zachęcenii pochlebne m zdaniem krytyki o pożyteczności cyklu „Dla Wszystkich“, rozpoczęli Serję B, utworów tłumaczonych, nowel, podań, humoresek, baśni i opowieści. Dotychczas wyszło 12 książeczek. Dla dorosłych przeznaczone są psychologiczne Opowieści niezwykle, pióra znakomitego myśliciela Ernesta Hello, powieść wschodnia A. Gobineau Gamber Ali, W. Collinsa sensacyjny Żółty tygrys i nowela Dickensa Wytropiony. Wybór utworów dla młodzieży jest jeszcze bardziej urozmaicony. Oprócz ciekawych baśni i legend angielskich p. t. Skarby olbrzym są dwie ciekawe biografie młodych uczonych w dziełku: P. Hellin Z tajemnic Egiptu młodość Champolliona, który odczytał hieroglify, i młodość Edisona w opowiadaniu Pierwsze pomysły wielkiego wynalazcy pióra H. P. Linela. Kilka żywo skreślonych przygód podróżniczych Na dalekim Zachodzie, Nad brzegami Gangesu, W kraju diamentów i W krainie Gris-Gris, wszystkie pióra K. Guyona, oraz M. Farneya Wśród stepów i pustyń Mongolji stanowić mogą miłą lekturę pozaszkolną. Książeczki wyróżniają się staranną szatą zewnętrzną, każda ma barwną ilustrację na okładce i szereg rycin w tekście.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Eug. Kulesza: La doctrine mystique de Richard de Saint-Victor. Edit. de la Vie Spirituelle, S. Maximin, str. 130.

Ks. Kaz. Smogór: Nauki na niedziele W. Postu. Nakład autora w Steubenville, Ohio, U. S. A., 1925, str. 176.

Leopold Caro: Zasady nauki ekonomji społecznej. Nakład K. Jakubowskiego we Lwowie, str. 545.

Leon Wasilewski: Ukraińska sprawa narodowa w jej rozwoju historycznym. Warszawa 1925. J. Markiewicz, str. 221.

Ks. Bol. Pawłowski: Przekład księgi Job z objaśnieniami, Wilno 1925. Dom opieki Matki Bożej, str. 75 (litograf.).

Ks. Wojc. Orzech: Wzorowy chór kościelny, Lwów 1925, str. 16.

Józ. Stańczewski: Pod krzyżem południa, poezje. Kurytyba 1925, str. 32.

Lud. Lercher S. J.: Institutiones theologiae dogmaticae, vol. II, str. 519, vol. III, str. 611. Oeniponte 1925. Sumptibus Fel. Rauch.

„Biblioteka Religijna“, Lwów 1925.

Ks. Dr. Al. Pechnik: Zarys filozofji historii, str. 480.

Ks. Wład. Hozakowski: Marja Magdalena w Ewangeliach, str. 111.

Ks. Dr. Z. Bielawski: Katechezy biblijne na 1 kl. szkoły powszechnej str. 240.

Gebethner i Wolff, Warszawa 1925.

Kornel Makuszyński: Wycinanki, str. 312.

Dr. Ant. Peretiatkowicz: Współczesna encyklopedia polityczna, str. 230.

Nakład Herdera we Fryburgu:

G. Schurhammer S. J.: Der hl. Franz Xaver der Apostel von Indien und Japan, str. 281.

P. Sträter S. J. (herausgegeben.): Der Geist der Ignatianischen Exercitien. Einführung in das Verständnis der Exerzitien, str. 203.

V. Cathrein S. I.: Philosophia moralis in usum scholarum, ed. 13, str. 518.

Charl. Herder (herausgegeben.): Die Frühlingsweise. Ein Buch für junge Mädchen, str. 276.

L. Wolpert: Gebetsweisheit der Kirche. Lesungen in Anschluss an die Sonn- u. Festtagsorationen, str. 273.

H. Mückermann: Ehe und Familie in Gottesreich, str. 84.

Rob. Linhard: Feurige Wolke. Kanzelvorträge auf die Sonn- u. Festtage des Weihnachts- u. Osterkreises, str. XII+178.

Hartm. Grisar S. I.: Das Missale im Lichte römischer Stadtgeschichte. Stationen, Perikopen, Gebräuche, str. VIII+120.

Der kleine Herder. Nachschlagebuch über Alles für Alle, mit vielen Bildern u. Karten. III Halbband L—Z, str. 1530.

Fr. Zach: Modernes oder katholisches Kulturideal? Ein Wegweiser zum Verständnis der Gegenwart, 3 Aufl., Herder, Wien 1925, str. 404.

Polska Akademia Umiejętności, Kraków:

St. Witkowski: Historjografja grecka i nauki pokrewne t. I, str. 293.

Kaz. Moszyński: Badania nad pochodzeniem i pierwotną kulturą Słowian, t. I, str. 140.

Prace i materiały etnograficzne, cz. III.

Sprawozdania z czynności i posiedzeń Pol. Akad. Umiejętności, lip.-wrzesień 1925.

Bulletin international de l'Académie Polonaise. Nr. 7 A, juillet 1925, str. 258.

Zygm. Pomarański, Zamość:

Tad. Zieliński: Z życia idei. Studja i szkice, serja I, str. 326.

Józ. Wittlin: Wojna, pokój i dusza poety. Szkice literackie i przemówienia, str. 133.

Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, Warszawa 1925:

Bol. Zawadzki: System obrony w 1920 r. z atlasem, str. 174.

St. Borowiec: Studja taktyczne z historii wojen polskich 1918—1921, t. VII: Nad Bugiem. Walki osłonowe 7 dyw. piechoty (5 sierp. — 11 wrzes. 1920), str. 153.

„Editions Spes“, Paris, Soufflot 17:

Giuseppe Taniolo: Journal spirituel. Préface de M. Vausard, str. 95.

G. Guittou: Louis Lenoir jésuite, aumônier militaire (1914—1918), str. 176.

Alb. Muller S. I.: Nos responsabilités sociales, str. 108.

Z wyd. „Ostoja“, Poznań 1925:

Fel. Żurowska: Gdzie jesteś Panie? Dramat relig. w 6 odsłonach, str. 65.

— Szara godzina. Pogadanki i urozmaicenia dla druchów, str. 49.

— Dla miłego grosza. Krotchwila w 2 akt., str. 24.

Hel. Przyjemaska: Koledzy. Obrazek scen. w 1 akcie, str. 20.

M. Czeska-Maczyńska: Nieznanemu żołnierzowi, str. 45. — Powstanie styczniowe, str. 57.

Czesł. Wolniewiczówna: Marja Konopnicka, str. 94.

Ks. Wal. Adamski: Zasady duszpasterstwa młodzieży pozaszkolnej, str. 100.

Mich. Sopoćko: Pogadanki. Serja I: Obowiązki względem Ojczyzny, str. 115.

F. Gilewski: Wielka idea — wielki cel. Przemówienia do młodzieży, str. 62.

Ks. Fr. Walczyński: Gniazdo jasności. — Nie opuszczaj nas, po 12 pieśni na 3 głosy ku czci Najśw. Panny.

„Biblioteka Polska“, Warszawa 1925:

Jan Ptaśnik: Kultura wieków średnich. T. I: Życie religijne i społeczne, z ilustracjami.

St. Przybyszewski: Moi współcześni. Wśród obcych. Str. 295.

M. Gumowski: Medale polskie z 34 tablicami, str. 230.

Biblioteka szkolna:

Nr. 2. L. Kubala: Obłężenie Częstochowy z 4 ilustracjami, str. 46.

Nr. 8. J. Słowacki: Anelli, str. 56.

Nr. 9. Wł. Syrokomla: Urodzony Jan Dęboróg, str. 104.

Nr. 10. A. Mickiewicz: Grażyna, powieść litewska, str. 64.

Nr. 15. — Sonety i sonety krymskie, str. 46.

Ferd. Schöningh, Paderborn 1925:

Dr. Friedr. Hünermann: Wesen u. Notwendigkeit der aktuellen Gnade nach dem Konzil von Trient, str. 87.

Dr. Alph. Steinmann: Jesus und die soziale Frage. Ein Beitrag zur Leben-Jesu-Forschung und zur Geschichte der Caritas. 2 neubearb. Auflage, str. 296.

Adolf Frendelenburg: Der Zweck, mit Einleitung u. Anmerkungen versehen von G. Wunderle, str. 108.

Die Erkenntnislehre der mittelalterlichen Franziskanerschulen von Bonaventura bis Skotus, verdeutscht von H. Spettmann, str. 142.



Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z ostatniej alokucji Ojca św. — Prekonizacja biskupów dla Polski. — Niebezpieczeństwo zamachu na katolickie prawo małżeńskie w Polsce.

Agencje telegraficzne rozniosły po świecie tylko parę szczegółów z alokucji Ojca św. Piusa XI mianej na konsystorzu tajnym 14 grudnia. Podkreślały przeważnie, 1) że papież wyraził uznanie dla rządu włoskiego za ułatwienia czynione pielgrzymom i wogóle za porządek, jaki panował w stolicy w roku świętym i 2) że potępił zamach na Mussoliniego. Z tych dwóch ustępów prasa pospiesznie czyniła wywody o wejściu „kwestji rzymskiej“ jakoby w nową fazę, może bliską ostatecznego rozwiązania. Alokucja wszakże mówi o wielu innych nie mniej ważnych sprawach i poznanie jej całkowitej treści nawet w kwestji rzymskiej nie upoważnia do zbyt optymistycznych wywodów.

Przedewszystkiem przypomnieć należy, że alokucje wygłaszane tradycyjnie przez papieży na tak zwanych konsystorzach tajnych, t. j. tylko w obecności kardynałów, należą do rzędu enuncjacji o charakterze przeważnie religijnym; o politykę potracają one o tyle, o ile sama polityka wkracza w zakres spraw Kościoła i nauczycielskiej misji Stolicy świętej. Taki charakter posiada także alokucja tegoroczna. Co ona wieści światu? Daje zwięzłe *resumé* tego, co w ciągu ubiegłego roku zaszło ważniejszego w życiu Kościoła wewnętrznem i zewnętrznem. Więc na pierwsze miejsce wysuwa się rok jubileuszowy z wspaniałemi manifestacjami wewnętrznej siły katolicyzmu i wiary i przywiązania do Stolicy Piotrowej tych niezliczonych rzesz, jakie przeciągnęły w tym roku przez Miasto Wieczne. Rok ten uświetniony był uroczystościami tyłu kanonizacyj i beatyfikacyj świętych

i błogosławionych, jak dawno nie bywało, — dowód to świętości i płodności katolicyzmu; w związku z jubileuszem otwartą została wystawa misyjna, która unaoczniała światu tkwiącą w Kościele siłę ekspansji, zasługi religii cywilizacyjne i wskazała zarazem ile jeszcze dojrzałego do żniwa pola czeka na swoich pracowników; na ten rok przypadła szesnastowiekowa pamiątka pierwszego Soboru powszechnego w Nicei, którą odc celebrowano wszędzie uroczystie, ale zwłaszcza u św. Piotra w Rzymie, gdzie sam Ojciec św. wziął udział w celebrze według wschodniego obrządku na znak jedności wiary katolickiej w wielości obrządków.

Mówiąc o pielgrzymkach, jakie w roku łaski płynęły zewsząd do bazylik rzymskich, użył Ojciec św. najżywszych barw do ich odmalowania. „Płynęli ci pielgrzymi, pojedynczo i tłumami, lądem i morzami, wszystkich środków lokomocji używając, lub pieszą drogą, wzorem starych Rzymian, całe tygodnie i miesiące się trudząc, zewsząd od *ultima Thule* do Przylądka Dobrej Nadziei, od Skandynawji do Australji, od krajów Kanady do Chili. Przyszły ich setki tysięcy ze wszystkich plemion, języków i narodów, z najwyższych i najniższych społeczeństwa warstw“. Wylicza Ojciec św. te wszystkie stany, biskupów i kapłanów, książąt i lud, prawodawców i urzędników, żołnierzy i marynarzy, pisarzy i artystów, nauczycieli i wychowawców, pracodawców i pracowników, lud fabryczny i rolny, czcigodnych starców i młodzież ochoczą. Tej ostatniej poświęca Pius XI najcieplejsze zwroty swego przemówienia. Opowiada o swym szczęściu, że mógł te różnorodne tłumy widzieć w swem zamknięciu, że mógł do nich przemawiać, razem z nimi się modlić, im błogosławić. Wylicza owoce, jakie z tych odwiedzin stolicy chrześcijańskiej tłumy te odniosły: we wzroście wiary, wzmocnieniu węzłów ze Stolicą św., w ugruntowaniu pokoju między narodami, co było szczególną intencją modłów jubileuszowych.

W tem właśnie miejscu swego przemówienia znalazł Pius XI sposobność do powiedzenia kilku zdań o rządzie włoskim i jego stosunku do Stolicy Apostolskiej. Wyraził nie tylko uznanie i podziękę w imieniu pielgrzymów za wszystko, co ten rząd uczynił podczas roku świętego, ale także za wszystkie zarządzenia, które w znacznej części przywracają prawa i wolności, należne wierze i Kościołowi, dodając wszakże, że nie są one dostateczne, by wynagrodzić wszystkie zniewagi i szkody, wyrządzone Kościołowi i religji przez poprzednie prawodawstwo i wychowanie. Ubocznie potępia spisek uknuty na Mussoliniego, nie wymieniając nazwiska szefa rządu włoskiego, cieszy się z jego nieudania się.

Po słowach uznania dla Włoch urzędowych, dotyka papież obecnego położenia Stolicy św. Owi wszyscy pielgrzymi, którzy z całego świata się zebrawszy, mogli swobodnie i z całym bezpieczeństwem przebiegać ulice Rzymu i nawiedzać wszystkie jego świątynie, musieli zauważyć, że nie mógł tego czynić najwyższy Kościół Pasterz, Jezusa Chrystusa zastępca, ich wspólny ojciec. Jeżeli chcieli go widzieć, nie mogli tego gdzieindziej osiągnąć, tylko „przekraczając progi, których jemu samemu nie pozwala przekroczyć, dopóki trwa obecny stan rzeczy, poczucie jego urzędu”. Zaznacza Ojciec św., jak nienormalny jest ten stan rzeczy i jak niegodziwy dla Kościoła, społeczności powszechnej i doskonałej i przez Boga założonej.

Inną jeszcze troską przejmują papieża stosunki rodzimego kraju. Dużo w nim zrobiono dobrego w ostatnich czasach w kierunku skupienia obywateli do pracy dla dobra ojczyzny, ale niepokój budzić muszą świeże prawa, dotyczące spraw ekonomicznych i społecznych, nie zupełnie zgodne z nauką Kościoła i akcji społecznej Kościoła wrogie. Kościół, potępiający błędy liberalizmu i socjalizmu, dalekim jest od anarchii, ale z drugiej strony dalekim jest także od zgody na taką koncepcję polityczną, według której społeczeństwo czy państwo jest celem dla samego siebie i wystarcza zupełnie; z takiego pojęcia rzeczy z konieczności wypłyne, że państwo „podkopie i pochłonie prywatne prawa jednostek, z wynikiem zarówno smutnym, jak przykrym”. Słowa Ojca św. są tu ogólnikowe, ale chyba nie wiele trzeba znać współczesne stosunki włoskie, by zrozumieć, kogo i co ma papież na myśli. „Katolicy” wielbiciele faszyzmu winiliby się nad tym ustępem alokucji papieskiej głębiej zastanowić.

Od spraw włoskich przeszedł Ojciec św. do innych krajów. I w wielu z nich widzi pomieszane i dobre i złe rzeczy. W republice Chili świeżo przeprowadzono rozdział Kościoła od państwa. W zasadzie rozdział taki nie odpowiada ani nauce Kościoła, ani naturze ludzkiej społeczności, rozpatrywanej w świetle wiary; mimo to Ojciec św. stwierdza, że stosunki między ową republiką a Stolicą św. pozostają nadal jaknajlepsze i że sam rozdział wprowadza się w życie tak przyjaźnie dla Kościoła, że wydaje się nie tyle rozdziałem, jak raczej przyjaznem współżyciem, i że można się zeń spodziewać objawienia się nowych sił i akcji Kościoła dla dobra tego narodu.

Zato boleje Ojciec św. niezmiernie nad położeniem Kościoła w Meksyku, gdzie mimo wyteżonej gorliwości episkopatu i kleru, polepszenia sytuacji chyba tylko od Wszechmocy Bożej wolno się spodziewać. Dla objaśnienia krótkiej

wzmianki papieża trzeba dodać, że w Meksyku prześladowanie religji i Kościoła katolickiego wzoruje się na Rosji bolszewickiej, świątynie są odbierane i oddawane księżom schizmatyckim, zakony wypędzone, liczba kleru świeckiego zredukowana ustawami niektórych stanów do minimum, tu i owdzie posunięto się wzorem rewolucji francuskiej do śmiesznego i okrutnego zarazem nakazu żenienia się księży.

Z innych krajów wymienia Pius XI Argentynę, Czechy i Jugosławję, gdzie horyzont spraw kościelnych jeszcze jest zachmurzony; oświadcza Ojciec św., że jego stanowisko względem tych krajów podyktowane jedynie obowiązkiem stania na straży praw Boga i dusz i że cierpliwie czekać będzie, aż to będzie w tych krajach zrozumiane. Francja katolicka sprawia wiele radości swemi religijnemi manifestacjami i dzielną obroną praw Kościoła, podeptanych przez sekciarską politykę, i odnowieniem ducha narodu, psutego przez bezbożną szkołę świecką. Wśród radosnych zdarzeń z ubiegłego roku kładzie także Ojciec św. zawarcie konkordatów z Bawarią i Polską, po których spodziewa się obfitych owoców zarówno dla odnośnych społeczeństw, jak dla Kościoła, jeśli tylko zawarte umowy wiernie i szczerze zostaną wykonane.

Oto, co alokucja papieska przytoczyła ze zdarzeń roku ostatniego. Wybiega ona jednak i w przyszłość. Zapowiada mianowicie, że po zamknięciu świętych bram w bazylikach rzymskich łaski jubileuszowe zostaną rozciągnięte na świat cały, by mogli z nich czerpać wszyscy, którym nie było daniem nawiedzić Wiecznego Miasta; przypomina także, że rok rozpoczynający się jest 700 rokiem od śmierci wielkiego świętego, Franciszka z Asyżu. Wreszcie zapowiada Ojciec św., że rok obecny będzie uwieńczony ustanowieniem specjalnego święta na cześć Jezusa Chrystusa jako króla narodów i że Jemu na przełomie lat zostanie znowu ofiarowany cały rodzaj ludzki.¹⁾

Zapowiedzią nowego hołdu, jaki ma być oddany Zbawicielowi świata, kończy się to wspaniałe konsystorjalne przemówienie Piusa XI.

Po wygłoszeniu alokucji Pius XI dokonał nominacji czterech nowych kardynałów (Cereffi, Gasparri, O'Donnell i Verde) i prekonizacji długiej listy arcybiskupów i biskupów i ogłoszenia nazwisk tych biskupów, którzy byli prekonizowani w ciągu roku. Polska na tej liście zajmuje niepoślednie miejsce. Znajdujemy na niej prekonizacje: ks. arcybi-

¹⁾ Znaczenie tego aktu i nowej uroczystości czytelnicy *Przeglądu* zechcą uprzytomnić sobie z artykułu naszego p. t. „Królewskie prawa Chrystusa” w zeszycie lutowym 1925 r.

skupa Cieplaka na stolicę wileńską i ks. biskupa A. Sapięhy na świeżo podniesioną do godności arcybiskupiej katedrę krakowską, ks. biskupa A. Szelażka na biskupstwo w Łucku, ks. A. Hlonda, dotychczasowego administratora apostolskiego Górnego Śląska na biskupstwo w Katowicach, ks. T. Kubiny, proboszcza z Katowic na biskupstwo w Częstochowie, ks. proboszcza z Kościelca St. Okoniewskiego na koadjutora z prawem następstwa po ks. biskupie Rosentreterze w diecezji chełmińskiej. Między nazwiskami prekonizowanych w ciągu roku znajdujemy ks. Wł. Szczęsnika, biskupa tytularnego Larondy, sufragana warszawskiego, i b. biskupa wileńskiego J. Matulewicz, mianowano arcybiskupem tytularnym Aduli, nie zaś kowieńskim, jak mylnie informowały niektóre dzienniki polskie.

17 grudnia odbył się z wielką wystawnością w bazylice św. Piotra konsystorz publiczny, na którym oprócz „otwarcia ust” nowym kardynałom i przeznaczenia dla nich kościołów tytularnych, odbyły się jeszcze nowe prekonizacje biskupów, a także ogłoszono postulacje paljusza dla kilku nowych arcybiskupów, w tej liczbie dla krakowskiego i wileńskiego.

W najbliższym czasie ciała nasze prawodawcze będą musiały zająć się kodeksem prawa małżeńskiego. Konkordat nie dotknął tej sprawy ani jednym słowem. Natomiast słyszymy, że w komisji kodyfikacyjnej, a właściwie w specjalnej *ad hoc* podkomisji wygotowany już został odnośny projekt, który po przebyciu wstępnych formalności — w samej komisji, na Radzie ministrów i t. d., znajdzie się w sejmie.

Nie znamy w szczegółach opracowanego projektu, te bowiem wytyczne jego linje, jakie przed kilkunastu dniami dostały się do prasy codziennej, są niewyraźne, prawie enigmatyczne. Wzięto rzekomo pod uwagę religijny charakter małżeństwa, obok tego wszakże przyznaje się jakoby i państwu szerokie kompetencje nie tylko w zakresie skutków cywilnych małżeństwa, ale także o ile chodzi o trwałość samego węzła małżeńskiego, co już — odnośnie do chrześcijan — stanowi wyłączną właściwość forum kościelnego. Zmach na to forum ze strony państwa nie byłby mniej dotkliwy, choćby możność udzielania rozwodów przyznano mu tylko w wypadkach wyjątkowych. Gdyby n. p. takim wyjątkiem miał być wypadek odmówienia przez sąd kościelny katolicki unieważnienia małżeństwa, w takim razie możność uzyskania rozwodu przed forum cywilnem oznaczałaby, jeśli nie formalnie, to rzeczowo, uznanie apelacji od sądów kościelnych do trybunałów świeckich. Pomijając już fakt uzurpacji w takim razie jakiejś supremacji państwa nad Kościołem w dziedzinie do tego ostatniego należącej, łatwo prze-

widzieć, że takie „wyjątki“ stałyby się niebawem powszechną regułą i pociągnęłyby za sobą podkopanie ogólne instytucji małżeństwa.

Zamierzenia komisji kodyfikacyjnej muszą budzić wielką nieufność w kołach katolickich już choćby z tego powodu, że nie zaproszono do niej żadnego kapłana-kanonisty, chociaż chodzi tu o sprawę tak ściśle dotyczącą nie tylko prawa kościelnego, ale nawet samego dogmatu katolickiego o nierozzerwalności małżeństwa. Czy nie chciano tym sposobem przygotować coś z tem prawem i dogmatem niezgodnego — w tajemnicy przed Kościołem i postawić katolicką część społeczeństwa przed faktem dokonany? Wobec takiej pokątniej procedury komisji opinja katolicka musi czuć się ze zdwojoną uwagą i uświadamiać szerokie masy katolickie o grożącym wierze i rodzinie niebezpieczeństwie.

Sprawy projektowanego prawodawstwa małżeńskiego nie można ani na chwilę spuszczać z oka, i pismo nasze czuwać będzie nad nią w sposób szczególny i z największą uwagą, oświetlając wszechstronnie naukę Kościoła o małżeństwie i jego przymiotach i wykazując szkodliwość dla społeczeństwa i moralności publicznej wszelkich na nie zamachów. Tymczasem do katolików wierzących zwracamy się z wołaniem: bacność! W Polsce katolickiej nie możemy dopuścić zapanowania zasad, głoszonych przez ateizm i masonerję, i to w tej dziedzinie, od której zależy moralne zdrowie i przyszłość narodu.

Ks. J. Urban.

Czwarty zjazd historyków polskich w Poznaniu.

Kiedy przed ćwierć wiekiem odbywał się kongres historyków polskich w Krakowie, nikt nie przypuszczał, że w tym przeciągu czasu tak znaczne zajdą zmiany i że ten czwarty zjazd, projektowany na 1915 r., a zebrany w rocznicę Chrobrego, będzie nie tylko obchodził wspomnienie wielkiej przeszłości, ale będzie mógł też wśród zmienionych warunków, na tem samem miejscu, wobec tegosamego zamku, który był symbolem ucisku, być zapowiedzią lepszej przyszłości. Rzeczywiście zjazd był sprawozdaniem z dokonania poważnych dzieł i zapowiedzią większych jeszcze prac. Chcąc omówić znaczenie kongresu, chciałbym go przedstawić tylko z tego podwójnego punktu widzenia, mianowicie tego, co przyniósł, i tego, co zapowiedział.

Samem już swoim zebraniem stał się on dowodem wielkiego zainteresowania, jakie żywi społeczeństwo dla swej przeszłości. Tak pod względem ilości uczestników, jak i pod względem liczby nadesłanych referatów przekroczył wszelkie oczekiwania. To samo już świadczyło o fałszywości twierdzenia, jakoby

przeszłość narodu była czemś, co nie ma wartości, gdyż nie jest aktualne, nie jest terażniejszością, „lecz błednie, mija i znika we mgle zapomnienia”. Przeciwnie, każdy rozumiał, że my z tej przeszłości powstaaliśmy, że klucz do zrozumienia terażniejszości leży w historii, że bez zrozumienia genezy terażniejszości, nigdy tejże terażniejszości ocenić nie potrafimy. I nie tylko ocenić, ale tak ją wyzyskać, by ten czas, ta chwila i sposobność do postępu i rozwoju stały się bogatemi w plon i obfity owoc dla przyszłości narodu przyniosły. Każdy fakt historii, każdy rys z przeszłości, czy klęska, czy zwycięstwo, czy powodzenie, czy też upokorzenie, wszystko nam nauką i cennem doświadczeniem, by umieć żyć, walczyć i pracować w warunkach aktualnych. To jest, co zaznaczył prof. Kutrzeba na pierwszych posiedzeniach, że historia narodu musi być traktowana w ścisłym związku z całym jego życiem, wtedy jest pożyteczną dla terażniejszości, staje się cenną nauką dla przyszłości. To jest też, co podkreślał w końcowej przemowie prezes zjazdu, prof. Dembiński: życie narodu wpływa z przeszłości i w niej znajduje najpewniejszą podstawę swego rozwoju.

Ten rys charakterystyczny przebiegał się we wszystkich pracach zjazdu; we wszystkich referatach czuć było to dążenie, by ściśle przeszłość z terażniejszością połączyć, by wszyscy zrozumieli tę wielką aktualność, jaka się kryje w historii narodu. Tą myślą już był nacechowany pierwszy odczyt prof. Zakrzewskiego, prezesa Tow. nauk., na uroczystem posiedzeniu wstępnem. Poprzedziła go piękna przemowa prof. Bujaka, wiceprezesa Tow. nauk., którą zagaił zebranie. Z szeregu powitań podnieść należy serdeczne słowa, wypowiedziane przez prezydenta Rady miejskiej, p. Ratajskiego. Prof. Zakrzewski przedstawił główne myśli swego wybitnego dzieła o Bolesławie Chrobrym. Rzucił on nowe światło na historję panowania wielkiego króla, pod którego znakiem odbywał się zjazd. Zwykle wielkość władców i wodzów ocenia się po zwycięstwach i powodzeniach. Prof. Zakrzewski zupełnie inaczej przedstawił bohatera, w którymśmy przywykli widzieć tylko zwycięskiego wodza. Znaczenie i wartość Chrobrego leży przede wszystkim w przetrwaniu i zniesieniu wszystkich klęsk i niepowodzeń, w które obfitowało jego panowanie, a następnie w trwałości jego dzieła w porównaniu do ościennych mocarstw. Był to całkiem nowy punkt widzenia, który mógł słuchaczy zadziwić. Ten wielki król natrafiał na wiele przeciwności i trudności i tylko dzięki wyrobieniu i talentowi zdołał stanąć na wysokości swego zadania. Taką trudnością był stosunek do jego najstarszego syna, którego musiał wydziedziczyć za sprzeciwianie się ojcu i występowanie przeciw niemu. Takim niepowodzeniem były klęski poniesione w wojnie z Niemcami, którzy się podsunęli pod sam Poznań i utrata obszernych z trudem zdobytych krajów.

Mimo tego Bolesław nie traci zupełnie ducha, a co ważniejsze, nie traci zaufania narodu i zniewala go do koniecznego wysiłku.

Jesteśmy przyzwyczajeni do twierdzenia, że ujemną stroną dzieła bolesławowego była nietrwałość. To zapatrywanie zmienił z gruntu prof. Zakrzewski, wykazując, iż w porównaniu ze wszystkimi ościennymi państwami państwo Chrobrego było najtrwalsze. Nieznajomość historycznego przebiegu faktów stała się powodem, iż dzielnemu jego synowi nadano przydomek, który obniżył w pamięci potomnych jego znaczenie jako władcy i spadkobiercy po tak dzielnym przodku. Obecnie wiemy, że Bolesław nie mógł sobie życzyć dzielniejszego następcy. Dalsze badania więcej jeszcze wyświećlą te zamierzchłe dzieje i utwierdzą nas w prawdziwej ocenie tego wielkiego założyciela potęgi państwa polskiego.

Jeśli odczyt prof. Zakrzewskiego był nadzwyczaj zajmującym ujęciem treści wielkiego dzieła, to cały szereg innych referatów na poszczególnych sekcjach, których było siedem, były zapowiedzią wielkich dzieł. Taką nadzwyczaj zajmującą zapowiedzią wielkiego dzieła był referat prof. Stan. Kętrzyńskiego o początkach dyplomów polskich. Był on miłą niespodzianką, gdyż nie znajdował się w programie dla ogółu. Tylko na prośbę prof. Semkowicza zgodził się prof. Kętrzyński na wygłoszenie niektórych ważniejszych rezultatów pracy, zawartej w obszernym rękopisie. Ze samych też kilku wyjątków, jakie zawierał referat, można już było wywnioskować, iż będzie to dzieło epokowe w zakresie dyplomatyki i paleografii polskiej. Znaczenie i doniosłość rezultatów pracy prof. Kętrzyńskiego leży w tem, iż on pierwszy bada dyplomy przed wytworzeniem się stałej kancelarii książęcej w Polsce, co nastąpiło dopiero około połowy XIII wieku. On występuje z głębszymi badaniami nad dyplomatyką rodzimą polską, prostuje i uzupełnia z głębszym ujęciem przedmiotu badania poprzedników, mianowicie swego ojca i prof. Krzyżanowskiego. Jak ważnymi są tego rodzaju badania i prace, rozumie się wtedy, jeśli się pojmie, iż nie może być mowy o historii średniowiecznej bez znajomości gruntownej dokumentów ówczesnych. Jest to jedno z tych pól pracy, o których słusznie prelegent się wyraził, iż są uciążliwe i małą przynoszą sławy, ale są tą podstawą, na której dopiero może się rozwinąć znajomość średnich wieków, tego okresu tak bardzo zapoznanego, a tak ważnego dla zrozumienia całego rozwoju narodów europejskich.

Zapowiedzią poważnego dzieła, odnoszącego się do historii filozofji, był referat ks. prof. Michalskiego. Oświeca on tesame średnie wieki z tej właśnie strony, z której najbardziej są wzgardzone, gdyż najmniej znane: ze strony filozofji scholastycznej. Ten referat dał nam poznać, jak słusznie zauważył w swej końcowej przemowie prezyd. prof. Dembiński, jak wielkie znaczenie mają średnie wieki i jakie zasoby skarbów ducha znajdują się

u tych właśnie, którzy nam są mało znani i o których można nieraz czytać i słyszeć bardzo niekorzystne zdania.

Mówiąc o średnich wiekach, dodać muszę ze swej strony zapatrywanie pewnego Anglika, który, mając sposobność zapoznać się gruntownie z cywilizacją dalekiego Wschodu, główną różnicę między nami a tamtymi ludami widzi w tem, że nasza cywilizacja jest przede wszystkim owocem działania ducha średnich wieków, którego niema w cywilizacji Wschodu. (Mortimer Standing „East and west: the esentiel difference”, *The Month*, November 1925, p. 429). To zapatrywanie jest niezmiernej wagi. Daje nam ono poznać, że dla zrozumienia naszych czasów i naszej cywilizacji są owe badania nad tak zwanem średniowieczem wprost niezbędne i że bez nich nie może być mowy o gruntownem opanowaniu całej genezy późniejszych epok.

Chociaż więc nie bez słuszności średnie wieki znalazły poważnych przedstawicieli pomiędzy uczestnikami zjazdu, to jednak i nowsze czasy były obszernie omawiane. Czasy Kościuszki, jego osobę i literaturę do niego się odnoszącą omawiał w nadzwyczaj zajmujący sposób prof. Sobieski i zakończył temi tak ważnemi dla każdego wogóle, co się historją zajmuje, słowami: „Nie trzeba patrzeć przez zbyt różowe szkiełka, ani też przez zbyt czarne! A przede wszystkim więcej źródeł, więcej dokumentów! Tylko dlatego możliwe są tak kolosalne wahania sądu historji, że za mało znamy dokumentów”.

Zapowiedzią dzieła o powstaniu z 1831 r. był referat pułk. prof. Tokarza. Rocznicą tego powstania została wyznaczona jako termin przyszłego zjazdu historyków, w 1930 r., bez oznaczenia miejsca. Wobec tego nabiera praca prof. Tokarza szczególniejszego znaczenia. Omówienie źródeł i badań nad tym tematem świadczyło, że będzie to dzieło zakrojone na wielką skalę i bardzo gruntowne.

Znaczną rolę na posiedzeniach zjazdu zajmowało omawianie wydawnictw i nowych pól pracy, które się otwierały wobec zmienionych obecnie warunków. O pierwszej sprawie szczegółowo mówił prof. Semkowicz, który kończy przygotowawcze prace do nowego wydania wszystkich roczników, w referacie pod tytułem: „O potrzebie reedycji źródeł historycznych z doby piastowskiej”. Chodziło o rzecz podstawową, odnoszącą się do pracy nad średniowieczem, mianowicie o wydanie „Pomników Dziejowych Polski” i „Kodeksu dyplomatycznego Polski”. O dotychczas wydanych źródłach była mowa w jednym z pierwszych referatów na II sekcji. Był to referat prof. Finkla: „Zjazdy dotychczasowe, ich habet i debet”.

Cały szereg referatów odnosił się do wydawnictw i historjografji pomorskiej i śląskiej. P. dyr. Papée dał syntetyczny pogląd na dzieje Pomorza od XIV w. do 1525 r. Poczem o postulatach historjografji Pomorza i Prus referowali ks. Alfons Mań-

kowski, prezes Tow. nauk. Toruńskiego i P. Mocarski. Ta potrzeba zajęcia się dziejami i literaturą Pomorza wywołała dyskusję. Między innymi zabierali głos p. prezes Dembiński, ks. rektor Fijałek, ks. Glema i inni. Sprawę historjografji śląskiej przedstawił w swym referacie prof. Dąbrowski: „Pierwsze zasady badania dziejów Śląska”. Wywołało to ożywioną dyskusję. Przemawiali: prof. Chaloupecky z Bratyslawy, autor dzieła „Stare Slovensko”, prof. Zakrzewski, prof. Modelski z Wilna i inni.

W sekcji VI prof. Kaz. Chodynicki mówił o powstaniu dokumentu ruskiego na Rusi Koronnej i w W. Księstwie Litewskim, pod wpływem dokumentu polskiego. Na obszernie uwzględnienie zasługują prace nad Atlasem historycznym Polski, w tejże sekcji nauk pomocniczych historii pod kierownictwem prof. Semkowicza. Przedstawione zostały referaty, odnoszące się do prac geograficzno-historycznych. Między niemi godny uwagi był referat P. Jakimowicza o drogach monet kufickich, który wywołał żywą dyskusję. Omówionych zostało cały szereg map historycznych, które można było równocześnie oglądać. Wielkie zainteresowanie wywołała nadzwyczaj starannie i dokładnie narysowana mapa prof. Korbla, przedstawiająca województwo z czasów sejmu czteroletniego. Badania nad krajobrazem pierwotnym, ważność tych badań, ich metody oraz sposób rysowania tychże map przedstawił sam prof. Semkowicz w osobnym referacie. W sekcji IV prof. Bujak zajął się w swym referacie zbadaniem panujących dziś w nauce zagranicznej poglądów dwóch znakomitych uczonych niemieckich, K. Büchera i G. Schwollera na stopnie rozwoju życia gospodarczego. Bardzo zajmujący był referat prof. Grodeckiego o wolnej ludności wieśniaczej w Polsce średniowiecznej. Osobno chciałbym tutaj omówić posiedzenie, poświęcone historii kościelnej w Polsce, która miała poświęcone sobie referaty i komunikaty, po raz pierwszy na zjeździe historyków. Nie dlatego, jakoby ono odznaczało się bardzo liczną frekwencją, ale dlatego właśnie, że w przeciwieństwie do wielkiego udziału i zainteresowania się, jakiego przedmiotem były inne posiedzenia, posiedzenie, poświęcone historii kościelnej, było niejako dowodem, jak mało duchowieństwo bierze udziału i jak mało ma zainteresowania dla kwestyj naukowych. Wyraz przykreemu wrażeniu, jakie się stąd odnosiło, dał ks. dyr. Likowski.

Pierwszy odczyt miał ks. rektor Fijałek. Gruntowny i nadzwyczaj ścisły ten referat o historjografji kościelnej w Polsce zasługiwałby rzeczywiście na to, by go znali wszyscy nasi duchowni. Zwłaszcza te tak ważne wskazówki, że historyka kościelnego powinna ożywiać „gorąca i czysta miłość prawdy w pracy badawczej przeszłości Kościoła”, „chęć szczerza poznania prawdy historycznej, wsparta stałą dążnością do możliwie jaknajbardziej bezstronnego, przedmiotowego sądu”. Uczonym katolickim „przy-

sługuje pełne prawo użycia krytyki historycznej, którą się płoszyć i trapić mogą tylko ludzie ciasnego rozumu i słabej wiary”.

Ks. dyr. Likowski dał w swym referacie praktyczne wskazówki, jak powinny być zorganizowane studia, by podnieść niski stan intelektualny duchowieństwa w Polsce. Referent słusznie zaznaczył ten przykry i dla ogółu duchowieństwa polskiego zawstydzający fakt „minimalnego udziału duchowieństwa naszego w międzynarodowej pracy naukowej na polu teologii w ogóle,” a w szczególności w badaniach historii naszego Kościoła, co już także uwydatnił w swoim referacie ks. rektor Fijałek. Rezultatem tych referatów była uchwała wyrażona w gorącej prośbie do Episkopatu polskiego, jako tych, co jedynie mogą zmienić dotychczasowy stan rzeczy, „aby uzdolnionym młodym duchownym, mającym później zasiadać na katedrze Historii Kościelnej, czy to Kościoła Powszechnego czy też Kościoła w Polsce, dana była wprzód dostateczna możność poznania i przyswojenia sobie metody naukowego badania i przedstawienia dziejów tegoż Kościoła.” Tosamo, dodać i tutaj należy, odnosiłoby się też do przełożonych zakonnych, gdyż słusznie zauważono, jeśli dawniej tak ważną rolę odgrywały zakony pod względem pracy naukowej, to teraz niestety poziom intelektualny zakonników, z małemi może wyjątkami, jest tak niski, iż nawet nie dochodzi nieraz do tego, co u świeckich znaleźć można.

Na pierwszym posiedzeniu sekcji drugiej, prof. Konopczyński w swym referacie o „organizacji pracy historycznej” zbyt pesymistycznym (jak w dyskusji podniósł w ciętym swoim przemówieniu prof. St. Kutrzeba) wyraził się: „istnieje Towarzystwo do dziejów Reformacji w Polsce — a niema Towarzystwa do dziejów Kościoła Katolickiego.” Na to w dyskusji zwrócił uwagę ks. prof. Michalski, że istnieje w Towarz. Papieża Benedykta XV. sekcja historyczna, której organem czasopismo będące pod kierownictwem ks. rektora Fijałka, poświęcone historii Kościoła w Polsce.

Kończąc to zwięzłe i niewyczerpujące całkowicie przedstawienie tego, co nam zjazd przyniósł, nie mogę pominąć milczeniem jednej z siedmiu sekcji, tej mianowicie, która najwięcej może miała uczestników i referatów, mianowicie ostatniej, mającej za przedmiot nauczanie historii w szkołach powszechnych i średnich. Chciałbym tylko kilka momentów wyciągnąć, któreby scharakteryzowały, jak uczestnicy i referenci pojmowali to zadanie historii w szkole. Mówiąc o celu historii, wyraził się prof. Ry-mar w następujący sposób: „Nauka historii polskiej i powszechnej ma przygotować nowy typ obywatela-Polaka, zdolnego podjąć ciężar nowych zadań, jakie stoją przed odradzającą się Polską.” Zgodnie z tą myślą kładł prof. Kłodziński nacisk na „cele poznawcze historii, jako nauki szkolnej, ze zrozumieniem głębszem teraźniejszości.” Te dwa zdania wybitnych pedagogów świadczą jasno, do czego dąży i jaki cel sobie stawia nauka historii w szkole.

Nie mogę pominąć milczeniem jednego z drukowanych referatów, mianowicie p. Mieczysław. Popławskiego, w którym brak przedmiotowego ujęcia rzeczy daje się odczuć. Znajdziemy w nim fałszywą interpretację tekstów Ojców Kościoła. Na str. 9 drukowanego tekstu referatu są cytowane słowa Athenagorasa z dzieła „*Legatio pro Christianis*” i Athanazego „*Apologia*” (tom 25, nie 33 Migne’a). Autor wychodzi z zasady, że chrześcijaństwo jest dalszym ciągiem pogaństwa i interpretuje słowa używane przez tych pisarzy w sensie obyczajów pogańskich. Sens, jaki podsuwa autorem chrześcijańskim, nie znajduje żadnego uzasadnienia u nich i jest zupełnie dowolny. Z kontekstu i myśli tych autorów wynika, iż pojmują te wyrażenia w zupełnie innym znaczeniu. Taksamo też nie można wyrażeniom św. Katarzyny i św. Teresy podsuwać myśli i pojęć, zaczerpniętych ze źródeł pogańskich. Trzeba najpierw zbadać, w jakim sensie są te słowa użyte u jakiegoś autora, inaczej wpada się w sprzeczność z całym jego sposobem pojmowania. Popławski nie przeprowadził tego badania i dlatego też fałszywie interpretuje słowa, które znalazł u św. Atanazego i u Atenagorasa.

Na st. 11 referatu cytuje Klemensa Aleksandryjskiego. Wobec tego że Klemens Aleks. w tym miejscu w obronie chrześcijaństwa zbija twierdzenia heretyka Kassjana, nie można wyciągać wniosku, że zapatrywania tego ostatniego są zapatrywaniami chrześcijańskimi. Dalej referent na podstawie „skąpych i późnych wiadomości” robi przypuszczenie, odnoszące się do drugiego wieku, a potem na podstawie tych samych wiadomości odnosi to samo i do dziesiątego wieku. Jestto sposób argumentowania niewystarczający nawet na hipotezę.

Zresztą autor może wymienione miejsca opuścić bez straty dla referatu. Są one poza jego specjalnością.

Na uroczystem ostatniem posiedzeniu zjazdu był nadzwyczaj zajmujący odczyt z dziedziny historii wojskowości, o której prezes zjazdu, prof. Dembiński, słusznie się wyraził, iż jest to nauka, która u nas powstała dopiero z chwilą odzyskania państwowości. Gen. Kukiel przedstawił całe znaczenie tej nauki. Szczególnie zajmującym momentem było tak proste wyjaśnienie zagadki maciejowickiej, mianowicie, iż przy największym nawet wysiłku niemożliwym byłoby Ponińskiemu przybyć na czas z odsieczą.

Po tym odczycie przemawiał najpierw prezes Tow. Histor., Zakrzewski, który podzielił się z obecnymi bardzo miłą i doniosłą wiadomością, jaką otrzymał od prezydenta Ratajskiego, że na froncie tego zamczyska, który zbudowała buta pruska, wzniesie się staraniem miasta wielki pomnik obrońcy Poznania i Państwa, Bolesława Chrobrego. Następnie dziękował w dłuższem przemówieniu prezes zjazdu Dembiński za pracę.

Na zakończenie należy zaznaczyć, iż całe przygotowanie i urządzenie zjazdu nadzwyczaj było staranne i odpowiednie, co jest głównie zasługą Komitetu przygotowawczego, na którego czele stał prof. Zakrzewski. Drukowanie referatów bardzo ułatwiło orientację w tym obfitym materiale. Taksamo tym wszystkim, co przyjmowali uczestników, można tylko wyrazić najserdeczniejsze wyrazy podziękowania za wielką staranność i uprzejmość, zwłaszcza p. drowi Kazimierzowi Kaczmarczykowi, wicedyr. archiwum państwowego. Pomimo, że pora była niesposobna, zimna i ciężkie

położenie gospodarcze, zjazd był licznie obesłany i świetnie zorganizowany.

Bardzo była piękna myśl złożenia w trzeci dzień zjazdu, w święto Niepokalanego Poczęcia, w katedrze, hołdu pamięci wielkiego króla, który tam spoczywa. Uczestnicy spodziewali się, że będzie tam Msza św. Niestety, zawiedli się, co było bardzo niemiłym. Hołd skończył się na odwiedzeniu Złotej Kaplicy ze zwłokami obu pierwszych królów. Wogóle byłoby dobrze, gdyby duchowieństwo miejscowe starało się ułatwić uczestnikom wysłuchanie Mszy św. w niedziele i święta przy takich sposobnościach, kiedy cały dzień zajęty posiedzeniami, a zebrania przeciągają się do późnej godziny. Jest to bardzo ważne, gdyż zjazdy urządzi się zwykle w takie dni, wolne od wykładów i szkoły.

Nadzwyczaj miłym uwieńczeniem zjazdu była wycieczka do Gniezna. Dzięki łaskawości ks. biskupa Laubitz, ks. kan. Lisieckiego z Gniezna, oraz ks. prof. Dettlofa z Poznania mogli uczestnicy oglądnąć cenne skarby tego pamiętnego miejsca, mianowicie kościół Miechowitów i katedrę. Na powitanie wycieczki przybyli prezydent miasta i p. Kasproicz, prezes Izby handlowej. Z tej wycieczki jak i z całego zjazdu wynieśli uczestnicy jak najmiłsze wspomnienia. Tak obfitość rezultatów, jak i samo zetknięcie się i bliższe zapoznanie wszystkich zajmujących się i pracujących w dziedzinie historii będą zachętą do nowej energiczniejszej jeszcze pracy, niż dotąd.

Ks. M. Skibniewski.

O kartografii w Polsce.

Sto lat różności ustroju w trzech różnych zaborach stworzyło w nowopowstałej Polsce cały szereg trudności, nie tylko pod względem społecznym, lecz także naukowym i kulturalnym. Na polu naukowym jedyną gałąź wiedzy, która może więcej, niż inne, odczuła zgubny wpływ tej zależności od obcej władzy, była kartografia. Kartografia bowiem i tak ściśle z nią złączona statystyka, w przeciwieństwie n. p. do historii, były zupełnie zależne od danych, pochodzących od osobistości i władz niekorzystnie dla Polski usposobionych. Materiał ten był skutkiem tego taki, iż stale naród polski był przedstawiany w warunkach ujemnych. Granice rozsielenia Polaków były stale zacieśniane, ich liczba zmniejszana. Pod tym wpływem też i zagraniczne wydawnictwa kartograficzne przedstawiały naród Polski w fałszywym świetle. Rezultat wojny, uwalniając nas od obcych wpływów, w znacznej przynajmniej części umożliwił wyemancypowanie się kartografii od tych niekorzystnych warunków. Niemożliwym było jednak odrazu zebrać cały materiał potrzebny, by tak przedstawić Polskę i cały naród, jakim był w rzeczywistości. To też

trzeba było siłą rzeczy korzystać w znacznej mierze z materiału zebranego przed wojną.

Wielką jest zasługą prof. Romera, iż on pierwszy kartografję Polski postawił na poziomie, odpowiadającym wydawnictwom obcym. Jego „Atlas Polski”, który powstał w ciągu wojny, umożliwił przedstawienie naszej Ojczyzny w chwili zawarcia pokoju, tak jak wymagały tego warunki ówczesne. Jednak wspomniana zależność od materiału przedwojennego odbiła się mimowoli na jego dziele. Mapa etnograficzna jest dowodem, że trzeba było się oprzeć na danych, które przedstawiają narodowość polską pod względem rozszedlenia w niekorzystnym świetle. Pozatem jest to dzieło wykonane z wielką starannością i dokładnością. Również cenny materiał zawiera wydany w parę lat później „Atlas kongresowy”. „Atlas współczesny” posiada pewne braki, które się tłumaczą tem, iż autor nie uzupełnił zmian, jakie zaszły od czasu wydania „Atlasu statystycznego” i nie skorzystał z nowego nastrożającego się materiału, już publikowanego. Powinna się tam znajdować mapa starannie na nowo opracowana, przedstawiająca gęstość zaludnienia, a obok tego mapa etnograficzna współczesna, dokładnie oddająca obecne warunki.

Nadzwyczaj pożyteczne pod względem pedagogicznym są „Atlasy wojewódzkie”, których kilka wyszło oraz „Atlas powszechny” Romera, świeżo wydany.

Bardzo zajmującą i nader pożyteczną rzeczą jest wydany przez Dra Ignacego Weinfeldta, Ed. Szturm de Sztrema i Jana Piekańkiewicza „Atlas statystyczny Polski”,¹⁾ którego obecnie już wyszedł drugi zeszyt. Daje on pogląd na cały obecny stan Rzeczypospolitej. Podjęli się tej pracy ci właśnie, którzy najlepiej mogli być poinformowani w tym kierunku. Pod względem poglądowym jest rzecz bardzo dobrze ujęta i do celów pedagogicznych znakomicie się takie wydawnictwo nadaje, gdyż diagramy uplastyczniają poszczególne dane i, działając też na odległość, pomagają wyobraźni do uchwycenia pojedynczych szczegółów statystycznych; jednakże skutek ujęcia wszystkich liczb województwami, wiele charakterystycznych rysów się zatarało. Najważniejszą zaletą tego atlasu to fakt, iż jest to pierwsze dzieło, już w zupełności oparte na danych statystycznych, pochodzących ze źródeł polskich i niezależne od wpływów obcych, które stale działały na niekorzyść narodu. Byłoby dobrze, gdyby tego rodzaju wydawnictwa były znane zagranicą; prowadziłyby to do lepszego poznania naszego narodu i kraju. Żeby to jednak osiągnąć, musiałby ten atlas być wydany w trzech językach, podobnie jak pierwszy „Atlas statystyczny Polski” Romera. Przynajmniej zaś powinno wszystko, prócz w polskim, jeszcze w innym języku być tłumaczone.

¹⁾ Recenzja szczegółowa pierwszego zeszytu tego atlasu znajduje się w *Przeglądzie Powszechnym*, sierpień 1924, str. 174.

Wyżej wspomniany „Atlas statystyczny” z kartografią ma mniej punktów stycznych, dlatego też pragnę przejść obecnie do dwóch wydawnictw, które już wyłącznie wchodzą w zakres kartografji. Są to szóste wydanie „Atlasu geograficznego” Kozenna i trzeci zeszyt „Atlasu geograficznego” prof. Korbla i Sawickiego. Pierwsze dzieło zostało spolszczone przez Gustawicza i Mazurka, a obecne szóste wydanie T. Radlińskiego tem się różni od poprzednich, iż autor usunął niektóre mapy, obecnie mniej potrzebne, a zato dodał pięć nowych własnych map i poprawił jedenaście dawniejszych. Atlas w ten sposób stanął na wyżynie wymagań współczesnych. Można by tylko zauważyć, iż poprawki nie są może dosyć konsekwentnie przeprowadzone. Tak n. p. mapa fizyczna Azji (Nr 29) została niezmieniona. Wskutek tego granice, podane w Europie, są te same, jak były dawniej, co stoi w sprzeczności z innymi mapami. W tym wypadku możnaby to uważać za drobnostkę ze względu na naturę całej mapy. Gorsze wrażenie robi zachowanie dawnych map Azji przedniej (Nr 31) i politycznej mapy Afryki (Nr 35). Pierwsza różni się znacznie co do granic w Azji Mniejszej od mapy Rosji (Nr 28 a). Większą może jeszcze sprzeczność widzimy między mapą polityczną Afryki (Nr 35) a mapą, bardzo trafnie odnowioną, kolonialną (Nr 10), na której nowe powojenne granice dokładnie uwydatniono. Są to braki, które będzie można przy najbliższem wydaniu bez trudności usunąć.

Co do atlasu prof. Korbla i Sawickiego, to mam zamiar omówić tutaj tylko trzeci zeszyt, który niedawno wyszedł, gdyż poprzednie dwa zeszyty były już przedmiotem recenzji w *Przeglądzie Powszechnym*.¹⁾ Ten trzeci zeszyt jest o tyle ważniejszym, że ma za przedmiot Polskę. O wielkiej pracy autora świadczą ogromna ilość zebranego materiału, wskutek czego atlas przekroczył granice zwykłego atlasu szkolnego. Zaletą przytem jego jest to, iż mimo mnóstwa szczegółów poszczególne mapy naogół nie tracą na przejrzystości. Trzeba przyznać, że autor do najdalszych możliwych granic potrafił doprowadzić owo utrzymanie jasności i przejrzystości przy równoczesnem zebraniu i odpowiedniem rozmieszczeniu mnóstwa szczegółów i wielkiej ilości danych statystycznych. Na pierwszy rzut oka nikt nie domyśla się, jak wiele treści znajduje się na każdej z map. Jest to z pewnością wielką zasługą autora, pociąga jednak to, że studjum jego map o wiele więcej wymaga pracy, niż n. p. opanowanie materiału, zawartego w mapach Radlińskiego. Tymczasem ogół społeczeństwa woli mapy przystępniejsze, to też nie można liczyć na to, iżby atlas prof. Korbla cieszył się wielką popularnością. Jednak trzeba też zaraz dodać, iż przez to bynajmniej nie traci na wartości, gdyż właśnie w tym wypadku wielka jego wartość czyni go mniej przystępnym.

¹⁾ Zob. *Przegl. Powsz.* listopad - grudzień 1922 r. i czerwiec 1924 r.

Nie jest i on oczywiście wolny od pewnych pomyłek i błędów. Trzeba raczej dodać, iż są one wprost nieuniknione. Nie zmniejszają one jednak wcale wartości atlasu. Nie mam zamiaru ich wyliczać. Jako przykład przytoczę tylko jedną taką pomyłkę: na tablicy XXIV, na 11 mapce, przedstawiającej komunikację, odnosi się wrażenie, porównując ją z legendą, iż miasta Tarnów, Rzeszów lub Przemyśl większy mają ruch towarowy, niż stolica. Pochodzi to z niedosyć dokładnego rozróżnienia kółek, oznaczających te miasta. Podobnych pomyłek znalazłoby się więcej, ale, jak powiedziałem, w porównaniu do zalet całości są to tylko drobnostki. Taką zaletą to między innymi skorowidz nazw; niema atlasu polskiego, któryby miał tak dokładny spis.

Chcąc przejść do szczegółowego omówienia tej trzeciej części, chciałbym ją porównać z odpowiedniami mapami omówionego szóstego wydania Kozenna. Porównanie to się narzuca, gdyż w obu wypadkach mamy do czynienia z najnowszymi pracami w tej dziedzinie. Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że mapki Radlińskiego (Nr 45) są większe (13×12 cm.). Podziałka = $1 : 7,500.000$. Jest to wielka zaleta, ułatwiająca znacznie studjum mapy. Mapki prof. Korbla na ostatnich czterech tablicach są stosunkowo do zawartego materiału stanowczo za małe: $8\frac{1}{2} \times 9\frac{1}{2}$ cm., podziałka = $1 : 10,000.000$. Jeśli kto ma słaby wzrok, to odczuje silniej ten brak, zwłaszcza iż mapy te wymagają z natury obfitości materiału wyteżonej pracy oczu. Jeśli się jednak weźmie pod uwagę te dwa atlasy z punktu widzenia staranności wykonania, precyzyjności oraz dokładności w wykonaniu szczegółów, to na pierwszy rzut oka sąd wypadnie na korzyść atlasu prof. Korbla. W całej kartografii świata nie łatwo da się znaleźć atlas, w którymby sam rysunek autora jak i wykonanie tak daleko było posunięte pod względem precyzyjności w wykonaniu najdrobniejszych nawet szczegółów. Przy bliższem przypatrzeniu się mapom można się przekonać, jak ogromną pracę musiał włożyć autor w samo wykonanie tak skrupulatne szczegółowych rysunków.

Oba atlasy zostały wykonane w Wiedniu. We wstępie zaznaczają prof. Korbel i Sawicki, iż zwrócili się do Instytutu Kartograficznego w Wiedniu „spotkawszy się z odmową, uzasadnioną brakiem aparatu technicznego i dostatecznie wyszkolonego personelu” ze strony największych instytucyj reprodukcyjnych w Polsce. Wobec tego nie można im brać za złe, że oddali wykonanie instytucji zagranicznej. Zresztą dzieło wyszło na tem znakomicie. Bardzo wątpliwe, czyby się w ogóle znalazła inna instytucja, która by potrafiła dorównać tej, co do staranności i dokładności w wykonaniu. Są to wprost wspaniałe medziority, których precyzyjności żaden inny materiał nie dorówna, ale które z drugiej strony wymagają ogromnie dużo pracy i trudu. Wzbudza wobec

tego podziw, iż atlas ten, łączący tak cenne zalety, równocześnie też jest i najtańszym atlasem w Polsce.

W obu atlasach Polskę przedstawiono na dwóch oddzielnych mapach, które obejmują północną i południową część. Radliński ma podziałkę 1:2,500.000, oraz więcej miejscowości, osobną mapę polityczną i trzy boczne mapki: Morza polskiego, Zagłębia węglowego i Beskidu zachodniego. W drugim atlasie o podziałce 1:3,000.000 mniej jest miejscowości; zato strona fizyczna z nadzwyczajną dokładnością wykonana, tak obszerną skalą barw, jak też starannem kreskowaniem. Co do planów miast polskich, to w atlasie Kozenna znajdujemy jedno miasto więcej, mianowicie Lublin z okolicą. Zato podziałka mniejsza 1:500.000. W drugim zaś atlasie podziałka 1:200.000. Tutaj plany świetnie się przedstawiają wobec żywego kolorytu i nadzwyczaj starannego rysunku.

Prof. Korbel cały nacisk położył na czterech ostatnich tablicach, w których objął Polskę społeczną, przedstawiając tam wszystko, co tylko dało się wogóle o Polsce obecnej powiedzieć. Na każdej z tych tablic mamy sześć map głównych i tyleż pobocznych, prócz mniejszych rysunków. Radliński, mając na celu szkoły, ograniczył się do ich wymagań i przedstawił Polskę w sześciu mapach, które obejmują, to co jest najważniejszego w naszym kraju.

W atlasie Kozenna znajdujemy jedną mapkę przedstawiającą klimat, na której jednak kolor izoterm rocznych trudny trochę do odróżnienia od koloru izoterm styczniowych. U prof. Korbla można zauważyć nadzwyczajną staranność co do wyboru kolorytu, tak iż tam nigdy nie zdarza się, aby mogła być podobną wątpliwość co do oznaczenia rozmaitych zjawisk. Są pewne różnice między temi dwiema mapkami. Prof. Korbel, jak wynika z całości atlasu, sam zebrał dane i sam mapkę narysował. Wobec tego trzeba przypuszczać, że jego dane są nowsze i dokładniejsze. Prócz tego prof. Korbel, zebrał wielką ilość materiału i rozłożył go na trzech mapkach. Znajdujemy tam tak zajmujące dane, jak pochod wiosny i lata, oznaczony zakwitaniem bzu i lipy i mnóstwo innych ciekawych szczegółów. Na mapce przedstawiającej roślinność dołączył prof. Korbel też i faunę, a na bocznej mapce przedstawił to samo, ale w okresie lodowym. Rozróżnił on w Polsce dziewięć dziedzin świata organicznego. Tak samo co do narodowości dostarcza atlas prof. Korbla dużo całkiem nowych i nadzwyczaj zajmujących danych. Tak n. p. podczas gdy Radliński ogólnie tylko podał procent Żydów, to profesor Korbel na osobnej mapce przedstawia ich rozmieszczenie, jako narodowości. Co do mapki przedstawiającej gęstość zaludnienia niezupełnie się oba atlasy zgadzają. Korbel podał repatriacje i emigracje oraz mapkę przyrostu ludności. Co do bogactw mineralnych i przemysłu, to spotykamy się w tym jednym tylko wypadku z faktem, że Radliński rozłożył materiał na dwie mapki, podczas gdy Kor-

beł skombinował wszystkie dane na jednej. Wypadło to na niekorzyść tego ostatniego, gdyż w Zagłębiu widzimy zbyt wielkie nagromadzenie znaków. Nie można jednak powiedzieć, by na tej części mapki panowała skutek tego jaka niejasność, gdyż znaki są tak zrecznie dobrane, że mimo ich nagromadzenia stosunkowo nie trudno się zorientować. Nadto dodaje autor osobną mapkę Zagłębia, przez co wyrównuje powyższy brak.

Co do przemysłu spożywczego, to w atlasie Kozenna znajdujemy tylko najogólniejszy zarys na ostatniej mapce. W drugim zaś atlasie mamy trzy mapki, mianowicie dwie odnoszące się do rolnictwa, a jedną do hodowli. Mapki zawierają nadzwyczaj bogaty materiał, obejmujący wszystko, cokolwiek się dało zebrać o obecnym stanie produkcji zbóż najrozmaitszych, roślin spożywczych, oraz hodowli bydła, koni, drobiu i t. d. Wszystko to oparte na najnowszych danych i przedstawione z nadzwyczajną precyzją, tylko trochę zbyt drobne. Ma się wrażenie, że to robota filigranowa o niezrównanej dokładności i staranności, tak rysunku jak i wykonania technicznego. Gdy się studjuje mapki prof. Korbla, podziw bierze mimowoli, w jaki sposób mógł on tyle danych zebrać i na tak małej przestrzeni je skombinować. Świadczy to nie tylko o nadzwyczajnej pracy i zamięłowaniu przedmiotu, ale nadto o tem, iż autor przemyślał materiał tak gruntownie, że mógł w ten sposób dobrać odpowiednie znaki i kolory, że one mimo wielkiej ilości danych, nawzajem sobie nie przeszkadzają. W bardzo niewielu wypadkach tylko odnosi się wrażenie, że mapka lub któraś jej część jest przeładowana. Do tych wyjątków należy n. p. mapka przedstawiająca rozwój terytorjalny Polski, oraz niektóre może części mapek odnoszących się do rolnictwa i hodowli. Pozatem są one znakomicie obmyślane i wykonane.

Trudno w krótkiej recenzji wszystko uwzględnić, co atlas zawiera. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na niektóre dane i szczegóły całkiem nowe, które się dotąd w żadnym podobnym wydawnictwie nie znajdują. Takim jest n. p. krajobraz Polski pod względem morfologicznym: jest tu poraz pierwszy ujęty obraz genezy krajobrazu polskiego. Tak samo na następnej mapce hydrograficznej narysowano wszystkie rzeki powyżej 50 km. długości, miasta mające wodociągi oraz obszary artezyjskie. W trzech mapkach klimatycznych mamy całkowity obraz zimy i lata polskiego, maximum i minimum zachmurzenia, wogóle cokolwiek da się o klimacie polskim powiedzieć. Na tablicy XXIII bardzo zajmujące są mapki 8. i 10., rozróżniające Żydów, pod względem wyznania i narodowości, ze względu na to, że wielu podaje się za Polaków. W mapce „wyznania religijne” mamy pogląd stosunków kościelnych. Również całkiem nową rzeczą jest na tabl. XXIV., mapka 6. produkcja drzewa, oraz kierunek przewozu i wywozu z głównymi stacjami tegoż wywozu. Ostatnia tablica uwidoczniła nam cały szereg nadzwyczaj zajmujących i pouczających danych, co do ży-

cia kulturalnego narodu. Bardzo charakterystyczna i całkiem nowa jest mapka przedstawiająca ilość procesów i adwokatów. Na dwóch ostatnich zaś mapkach spotykamy się z zestawieniem czasopism, instytucji naukowych, księgarni, muzeów a nawet specjalnie uwzględnione są miasta, mające stały teatr.

To jest pobieżny w najogólniejszych rysach tylko podany przegląd tego przeobfitego materiału, zawartego w atlasie. Jest on mimo obfitości ujęty i uporządkowany nadzwyczaj systematycznie i wedle ściśle wytkniętego planu. Te wszystkie zalety czynią z niego dzieło pierwszorzędnej wartości. Gdyby taki atlas wyszedł w innym kraju z pewnością spotkałby się z nadzwyczaj korzystną oceną. Zdaje się, że u nas społeczeństwo nie jest jeszcze na tej wysokości kulturalnej, by należycie ocenić wartość tej pracy. Woli inne mniej wartościowe atlasy jedynie dlatego, że są przystępniejsze i nie wymagają tyle pracy i studjum. Może z czasem dopiero powoli zrozumieją wszyscy znaczenie i doniosłość tego prawdziwego arcydziełka kartografji, które posiada dwie tak rzadko łączące się ze sobą zalety, mianowicie że jest obecnie naszym atlasem najlepszym a równocześnie i najtańszym stosunkowo. Jedna z racyj jednak dla których mniej się uwzględnia ten atlas, jest stosunek obu firm wydawniczych geograficznych polskich, „Atlas” i „Orbis”. Jednakże konkurencja nie powinna się przejawiać w tak ostrej formie, gdyż na obszarze wielkiego państwa polskiego mogą istnieć co najmniej dwie firmy wydawnicze geograficzne i pracować pożytecznie dla społeczeństwa.

Ks. M. Skibniewski.

W obronie budżetu nauki twórczej.

Przeżywamy nad wyraz ciężkie przesilenie gospodarcze. Poważne głosy nawołują do skrajnej oszczędności i do jak najdalszej redukcji naszego zbyt wygórowanego budżetu. W oszczędności i zmniejszeniu wydatków państwowych upatruje się słusznie jedyny ratunek, który nam pozostał. Istnieje usprawiedliwiona obawa, że ofiarą skreśleń padną w pierwszym rzędzie te pozycje budżetowe, które jako apolityczne nie wzbudzały dotychczas i nadal wzbudzać nie będą zainteresowania stronnictw politycznych. Mamy tu na myśli przede wszystkim pozycje na popieranie twórczości naukowej, której rzecznikiem jest Wydział Nauki i Ministerstwa W. R. i O. P. Kiedy inne pozycje budżetu oświaty znajdują niewątpliwie całe zastępy dobrze zorganizowanych obrońców w samym społeczeństwie, a licznych rzeczników w sejmie, to za nauką twórczą stoi zaledwie garstka niezorganizowana i pozbawiona, jako taka, wszelkiego przedstawicielstwa w ciele ustawodawczem.

Już dziś, chociaż do dyskusji budżetowej jeszcze daleko, dają się słyszeć demagogiczne hasła, że nauka jest zbytkiem, na który mogą sobie pozwolić bogatsze od nas społeczeństwa, ale nie my, że zatem na-

leży przedewszystkiem podnieść z upadku rolnictwo, przemysł i handel, uregulować stosunki kredytowe, wzmocnić armję, rozbudować ustawodawstwo społeczne, a dopiero na końcu, kiedy to wszystko się powiedzie, będzie czas pomyśleć o twórczości naukowej.

Rozumowanie na wskrós przewrotne i błędne! Nauka nie jest jakąś chorągiewką, którą się zatyka dla ozdoby na wykończonej budowlu społecznej i państwowej, lecz wprost przeciwnie: musi być tej budowli fundamentem. Jako potężny składnik kultury stanowi nauka istotną wartość narodu, a zarazem niezbędny warunek dobrobytu materialnego. Bez nauki nie wyjdziemy z błędnego koła, w którym nasze życie państwowe obecnie uwięzło i nie zdołamy uzdrowić ani udoskonalić stosunków gospodarczych.

Na popieranie twórczości naukowej wydawało państwo dotychczas niezmiernie mało. Budżet Wydziału Nauki na rok 1925, uchwalony, ale niestety nie wykonany z powodu trudności gospodarczych, stanowił zaledwie 0.6% budżetu Ministerstwa W. R. i O. P., a tylko 0.1% sumy wydatków całego państwa. Podkreślamy: dziesiątą część jednego procentu!

Działalność Wydziału Nauki była w stosunku do tych szczupłych środków tak wydatną i celową, że warto, aby społeczeństwo dowiedziało się o niej, choćby tylko w ogólnych zarysach.

Na pierwszym miejscu w budżecie tej instytucji widnieje dział „p o m o c u c z o n y m”. Trzeba sobie zdać sprawę, że nie wszyscy pracownicy nauki znaleźli miejsce w uniwersytetach i że przeciwnie wielu z nich nie ma zabezpieczonego bytu, ani tem mniej dostatecznych środków do badania. Ale nawet uczeni powołani na katedry uniwersyteckie muszą często odwoływać się do pomocy Wydziału Nauki, czy to gdy idzie o konieczną podróż naukową, czy też sprawienie potrzebnych aparatów, na co nie wystarczają ani uposażenie osobiste, ani nikłe dotacje pracowni uniwersyteckich.

Bodaj jeszcze większe znaczenie państwowe i narodowe ma p o m o c, udzielana przez Wydział Nauki m ł o d y m s i ł o m, k s z t a ł c o n y m p l a n o w o n a p r a c o w n i k ó w n a u k o w y c h. Zwłaszcza u nas są stosunki obecnie tak ciężkie, że o ile nie zapewnimy pomocy młodzieży, zdradzającej chęć poświęcenia się bezinteresownie pracy naukowej, to już obecnie nastąpi paradoksalny stan, że pomimo przepełnienia uniwersytetów uczniami, którzy tam idą z myślą o zarobkowaniu, wykłady i pracownie czysto naukowe będą świeciły pustkami, a powoli nauka twórcza zamrze z braku kandydatów do zawodów naukowych. Zwłaszcza stronnictwa ludowe i robotnicze powinny sobie dobrze uświadomić, że skreślenie lub choćby tylko wydatna redukcja już dziś niedostatecznego budżetu nauki, to pozbawienie pomocy wielu utalentowanych jednostek, które z padołu chłopskiej czy robotniczej biedy rwą się z zapalem do nauki, chcąc w niej zająć z czasem czynne stanowisko. Na cele takiej właśnie pomocy przeznaczono w roku bieżącym na całą Polskę zaledwie 120.000 zł. Czy pozycja taka, pomimo wszelkich trudności gospodarczych, które przeżywamy, a raczej właśnie dlatego, że je prze-

żywamy i że one zagrażają bytowi nauki, nie powinna być raczej podwyższona niż niżona?

Prócz tego dopomaga Wydział Nauki instytucjom i wydawnictwom naukowym. Dość wspomnieć, że około 270 takich instytucyj pozostaje z nim w stosunkach, korzystając z jego pomocy. W ciągu lat 1919—1924 wydano, bądźto z zasiłkiem, bądź też całkowicie z funduszy Wydziału Nauki 756 prac o łącznej objętości przeszło 120 tysięcy stron druku.

Przechodząc w pobieżnym skrócie główne zadania Wydziału Nauki, nie podobna pominąć ułatwiania nauce polskiej związków z zagranicą, tembardziej że pod tym względem panuje nawet u sfer naogół życzliwie dla nauki usposobionych rozbieżność i niejasność pojęć. Nauka nasza nie może ani na chwilę tracić łączności z całokształtem nauki, reprezentowanym przez świat cywilizowany, ponieważ stan taki grozi jej cofnięciem się wstecz i obumarciem. Tak jak ani na chwilę nie możemy się obejść bez narzędzi sprowadzanych z zagranicy, jak książek obcych i instrumentów, tak samo musimy co jakiś czas odnawiać naszą łączność z zagranicznym światem naukowym, aby czerpać podniecie do własnych prac i sprawdzać wartość własnych metod i wyników.

Budżet Wydziału Nauki wykazuje dalej pozycje, które mają za cel propagandę zagraniczną i to propagandę najrozumnniejszą i najszlachetniejszą. Są to zasiłki na katedry polskie zagranicą, na placówki badawcze polskie, na udział naszej nauki w związkach międzynarodowych i na zjazdy naukowe. Współpraca uczonych polskich na międzynarodowych zjazdach zagranicznych jest daleko lepszym i skuteczniejszym środkiem propagandy niż wszystkie drogo opłacane artykuły w prasie zagranicznej.

Wydatna redukcja naszego budżetu jest niewątpliwie koniecznością. Nie ulega też kwestji, że musi ona dotknąć pozycyj skądinąd pożytecznych, jak np. szkolnictwa na wszystkich jego stopniach. Wszystkiem powinna jednak kierować miara i rozważa. Gdyby nasz budżet obecny był idealny, wystarczyłoby przeprowadzić poprostu zmniejszenie procentowe wydatków, we wszystkich działach jednakie. Tak jednak nie jest. Są w naszym budżecie wybujałości i przerosty, a obok nich, chociaż nie tak liczne może, niedociągnięcia i zgoła braki. Redukcja budżetu powinna być równocześnie jego sprawiedliwym wyrównaniem i nie ulega wątpliwości, że gdyby z tego stanowiska budżet udoskonalać, pozycja nauki twórczej nie tylko nie powinna ulec redukcji, ale kto wie, czy nie należałoby jej jeszcze podwyższyć. W każdym razie wartość i dojrzałość społeczeństwa okaże się w tem, jak ono ukształtuje swój stosunek do nauki twórczej.

Jeżeli społeczeństwo nie chce, aby przesilenie ekonomiczne zadało nam nową ranę, której zagojenie będzie bodaj najtrudniejsze ze wszystkich, powinno domagać się utrzymania w całości dotychczasowego budżetu nauki, którego zmniejszenie nie miałoby żadnej praktycznej wartości ze względu na niskość sum wchodzących w grę.

Na tem jednak nie koniec. Oglądanie się wyłącznie na pomoc rządu

jest naszą stałą wadą i dowodem niedojrzałości społecznej. Powinniśmy rozwinąć szeroką działalność celem zasilenia, już nie z kas państwowych, ale ze składek i funduszków prywatnych, naszych instytucyj naukowych, które takiej pomocy potrzebują.

Zdajemy sobie w pełni sprawę, że chwila obecna jest szczególnie mało sposobną do nawoływania do ofiarności i utrzymania dotychczasowych pozycyj budżetowych, ale mimo to nie cofamy się przed tem w przekonaniu, że idzie o rzecz wielką, od której zależy nasza wartość istotna i przyszłość narodu.

Kraków, dnia 6 grudnia 1925 r.

Prof. Tadeusz Banachiewicz, Prof. Ludwik Birkenmajer, Prof. Jan Dąbrowski, Prof. Włodzimierz Demetriukiewicz, Prof. Roman Dyboski, Prof. Karol Dziwowski, Prof. Władysław Folkierski, Prof. Emil Godlewski (jun.), Prof. Władysław Heinrich, Prof. Julian Talko-Hryniewicz, Prof. Zdzisław Jachimecki, Prof. Józef Kallenbach, Prof. Tadeusz Kowalski, Prof. Stefan Kreutz, Prof. Jan Łoś, Doc. Paweł Łoziński, Prof. Leon Marchlewski, Prof. Władysław Natanson, Prof. Julian Pagaczewski, Prof. Jan Rozwadowski, Prof. Michał Sielecki, Prof. Jerzy Smoleński, Prof. Stefan Surzycki, Prof. Władysław Szafer, Prof. Władysław Szajnocha, Prof. Bohdan Szyszkowski, Prof. Leon Wachholz, Prof. Stanisław Zaremba.



REDAKTOR I WYDAWCA: KS. JAN URBAN T. J.

Druk ukończono 30 grudnia 1925 r.

Gobeliny francuskie w Polsce z Historją Aleksandra Wielkiego.

Od r. 1919 znajdują się w krakowskim Muzeum Narodowym tytułem depozytu Franciszka hr. Potockiego, gobeliny francuskie, flamandzkie i rosyjskie, które poprzednio zdobiły pałac w Peczarze, w powiecie braclawskim. Franciszek hr. Potocki zdołał je na szczęście uratować od niechybnej zagłady podczas szalejącej na kresach rewolucji bolszewickiej, ofiarą której padł później pałac peczarski. Wybieram z nich tylko trzy francuskie opony, które wiążą się z dziejami jednej z najsłynniejszych na świecie seryj gobelinów.¹⁾

Ludwik XIV objąwszy osobiście rządy w 1661 r. zaczął budować, względnie przebudowywać tak dużo zamków, że do ich urzędzenia okazało się koniecznem założenie specjalnych warsztatów. Właściwemu ich twórcy, genialnemu ministrowi Colbert'owi przyświecała jednak inna jeszcze, o wiele donioślejsza idea. Colbert organizując w 1662 r. paryskie warsztaty gobelinnicze, które w 1667 r. dostały urzędową nazwę *Manufacture royale des meubles de la Couronne*, dążył do stworzenia na wielką skalę narodowego przemysłu artystycznego, który miał nie tylko zaspakajać potrzeby krajowe, lecz także jakościowo przewyższać analo-

¹⁾ Praca niniejsza była referowana na posiedzeniu Komisji historii sztuki Polskiej Akademji Umiejętności dn. 30 listopada 1922 r. (Cf. Prace Komisji historii sztuki III. Kraków 1923. p. XV—XVI). W r. 1923 F. Kopera w wydawnictwie p. t. Muzeum Narodowe w Krakowie I. Kraków 1923. tabl. 106—108, opublikował trzy gobeliny z historją Aleksandra Wielkiego, będące własnością Franciszka hr. Potockiego.

giczną wytwórczość w ościennych państwach. Cel został osiągnięty. Warsztaty paryskie zadecydowały o charakterze sztuki dekoracyjnej i przemysłu artystycznego na lat sto z górą. Nawet Rewolucja oszczędziła tę chlubę Francji. Kierownictwo artystyczne manufaktury powierzył Colbert w 1663 r. Karolowi Le Brun. Nie mógł być zrobić lepszego wyboru. Le Brun genjuszem nie był, miał jednak wszystkie warunki na świetnego kierownika wielkich i wszechstronnych warsztatów, w których nie tylko tkano gobeliny, lecz także modelowano rzeźby, odlewano i cyzelowano brzozy, robiono meble, mozaiki, hafty, słowem wszystko, czego było potrzeba do urządzenia licznych i wspaniałych rezydencyj królewskich. Le Brun podjął się olbrzymiego zadania i wywiązał się z niego znakomicie, dzięki wyjątkowemu talentowi dekoratorskiemu i zdumiewającej pracowitości. Kierując manufakturą paryską przez lat niespełna trzydzieści (1663—1690), na całej jej produkcji wycisnął swoje piętno, i śmiało rzec można, że w zakresie sztuki dekoracyjnej i przemysłu artystycznego stworzył to, co później stylem Ludwika XIV nazwano.¹⁾

Le Brun zasłynął w pierwszym rzędzie jako twórca kartonów do gobelinów. Podług jego małych szkiców i pod jego kierunkiem malowali kartony w rozmiarach, jakie miała mieć tkanina, liczni uczniowie i współpracownicy, którzy z czasem wydoskonalili się w pewnym zakresie; n. p. J. B. Monnoyer malował szczególnie piękne krajobrazy, kwiaty i owoce, Van der Meulen zwierzęta i batalje, a Lemoyne bordjury.²⁾

Żadna z seryj gobelinów zaprojektowanych przez Le Bruna, nie wyłączając nawet Historji króla, Elementów, Pór roku i Miesiący czyli Rezydencyj królewskich, nie miała tak olbrzymiego powodzenia, jak Historja Aleksandra Wielkiego. Żadna też nie zyskała tak dużego rozgłosu i nie doczekała się tylu powtórzeń. Zwłaszcza na dworze wersalskim wywarła ona wielkie wrażenie tak swą wysoką wartością arty-

¹⁾ G. Migeon, *Les arts du tissu*. Paris 1909. p. 311—316.

²⁾ H. Schmitz, *Bildteppiche. Geschichte der Gobelinwirkerei*. Berlin 1921. p. 286.

styczną, jak i wcale niedyskretnymi aluzjami do Ludwika XIV. Zwycięskie bitwy, staczane przez Aleksandra Wielkiego, jego bohaterstwo i wspaniałomyślność, wjazd triumfalny do Babilonu, wszystko to — odtworzone z wielkim przepychem i przy użyciu mnóstwa wspaniałych akcesoriów — było nie tyle upamiętnieniem czynów króla macedońskiego, jak raczej ukrytą apoteozą Ludwika XIV. W tej samej intencji Antonio Corradini († 1752) rzeźbi na przepysznym wazonie z białego marmuru w ogrodzie letniego pałacu w Dreźnie (*Palais im Grossen Garten*) dwie sceny z życia Aleksandra Wielkiego, świadczące o wspaniałomyślności tego króla względem pokonanego Darjusza i jego rodziny.¹⁾ Komplement to pod adresem Augusta II, wiadomo zaś, że ideałem i wzorem dla tego monarchy był Ludwik XIV. W ślady Le Bruna wstąpił Thorwaldsen. Gdy Napoleon w 1810 r. miał przybyć do Rzymu, Thorwaldsen — ku ozdobie apartamentów, przeznaczonych dla cesarza w Kwirynale — wykonał fryz, wyobrażający wjazd triumfalny Aleksandra do Babilonu. Model gipsowy tego fryzu znajduje się do dziś dnia w Kwirynale, fryz zaś, wykuty w marmurze, zdobi obecnie słynną willę Carlotta nad jeziorem Como. Tym razem była to aluzja do zamierzonego wjazdu Napoleona do Rzymu.

Historja Aleksandra Wielkiego — to temat i w gobelinach od dawna popularny. Oto kilka przykładów. W roku 1392 gobelinnik Jacques Dourdin dostarcza księciu burgundzkiemu Karolowi VI serję arrasów na temat Historja zdobycia Babilonu przez Aleksandra Wielkiego.²⁾ W cztery lata później Filip Śmiały, książę burgundzki posyła sułtanowi Bajazetowi arasy z Historją Aleksandra Wielkiego, chcąc go tym darem przychylnie usposobić do pertraktacyj, mających na celu wykupienie z niewoli swego syna Jana, hrabiego de Nevers, po przegranej bitwie pod Nikopolis.³⁾ Widocznie był to ulubiony temat w wiekach średnich, skoro Pasquier Grenier kupuje w 1459 r. dla Filipa Dobrego, księcia bur-

¹⁾ P. Schumann, Dresden. Leipzig 1909. p. 94—97 oraz fig. 48.

²⁾ J. Guiffrey, Histoire de la tapisserie en France. Paris 1878—1885. p. 17.

³⁾ A. Pinchart, Hist. de la tap. dans les Flandres. Paris 1878—1885. p. 15.

gundzkiego, szereg arasów z Historją Aleksandra Wielkiego.¹⁾ W epoce Odrodzenia malarze czerpali tematy do arasów nie tylko z mitologji, ale i z historii starożytnej. Rzecz jasna, iż Życie Cezara, Historia Hannibala, Historia Antonjusza i Kleopatry, epizody z życia Aleksandra Wielkiego, musiały żywo przemawiać do ich wyobraźni. Wszak to czasy zwrotu do antyku. Ale i duchowi baroku odpowiadała Historia Aleksandra Wielkiego, coprawda z innych powodów. Dawala ona malarzom XVII wieku sposobność do roztoczenia przed oczyma widza szeregu bitew, co w tej heroicznej, obfitującej w wojny epoce było na czasie, a nadto umożliwiała rozwinięcie egzotycznego wprost przepychu w licznych akcesoryjach — łupach wojennych, broni, strojach, architekturze — nie mówiąc już o patosie, żywości akcji i wysoce dramatycznych momentach, które się tu z natury rzeczy nasuwały. Ludwik Spinola nabywa w roku 1642 w Enghien *deux chambres de tapisseries, consistant en huit pièces représentant l'Histoire d'Alexander Magnus*,²⁾ a Piotr van Verren, wymieniany w dokumentach w latach 1663—1722, tką w Audenarde gobeliny wyobrażające Historję Aleksandra Wielkiego, Tezeusza, Antonjusza i Kleopatry, Amfitrjona i t. p.³⁾ Nadmienię jeszcze, że w sali na parterze w t. zw. Prałatówce przy kościele Najśw. Marji Panny w Krakowie wisi gobelin flamandzki z XVII w., wyobrażający Żydów, którzy tłómaczą prorocstwo Aleksandrowi Wielkiemu.⁴⁾

Ale wróćmy do Historji Aleksandra w interpretacji Le Brun'a. Kartony do tych gobelinów wykonano podług pięciu wielkich olejnych obrazów, znajdujących się obecnie w Luwrze, z których pierwszy, przedstawiający Rodzinę

¹⁾ A. Pinchart, *Histoire de la tapisserie dans les Flandres*. Paris 1878—1885. p. 75.

²⁾ Ibidem. p. 93.

³⁾ Ibidem, p. 109, cytat 7.

⁴⁾ Gdy Aleksander po zajęciu Gazy zbliżył się do Jerozolimy, wyszli naprzeciwko niego kapłani żydowscy z arcykapłanem na czele i powitali go jako takiego, który podług zawartej w ich świętych księgach przepowiedni zniszczy potęgę państwa perskiego. J. G. Droysen, *Geschichte Aleksanders des Grossen*. Gotha 1898. p. 204.

Darjusza, namalował Le Brun w obecności króla w zamku Fontainebleau jeszcze w 1661 r., następne zaś, t. j. Bitwę nad Granikiem, Bitwę pod Arbelą, Bitwę z Porusem i Triumf Aleksandra — już po objęciu w 1663 roku kierownictwa warsztatów paryskich. Artyści, którzy podług tych obrazów malowali kartony do gobelinów, podzielili każdą z bitew na trzy części, tak, że cała serja składa się zasadniczo z jedenastu sztuk. Bitwę nad Granikiem (część środkową i oba skrzydła), a nadto dwa skrzydła do Bitwy pod Arbelą malowali wspólnie Lichery, Revel i Yvart syn, Triumf Aleksandra i Rodzina Darjusza wyszły z pod pendzla Testelin'a, wreszcie Bitwę z Porusem (część środkową i należące do niej dwa skrzydła) przeniósł na karton Houasse. Kartony te przeznaczone były do gobelinów, które miały być tkane na warsztatach systemu *haute-lisse*, kartony zaś do *basse-lisse*, które musiały być namalowane odwrotnie, wykonali Bonner, Vermansal, Revel i Yvart syn. Pierwszą serję (*première tenture*) gobelinów na temat Historja Aleksandra Wielkiego wzięto na warsztaty *haute-lisse* w r. 1664, a ukończono po 1680. Opony te w liczbie jedenastu, których materiałem jest wełna i jedwab, przetykane są złotą przedzą. Do tej serji, którą tkali H. Laurent oraz Jans ojciec i syn, dodano trzy *entre-fenêtres*, t. j. wąskie gobeliny, służące do zawieszania między oknami, względnie ku ozdobie węższych ścian. Powtarzają one pionowe bordjury tych gobelinów.¹⁾ To pierwsze — że tak powiem — wydanie Historji Aleksandra Wielkiego, przeznaczone było do apartamentów wersalskich. Tam też zastała tę serję Rewolucja 1789 roku. Obecnie gobeliny te przechowane są w Garde-Meuble w Paryżu, z wyjątkiem Rodziny Darjusza, która znajduje się w Rzymie, oraz środkowej części Bitwy nad Granikiem, którą wydano ku ozdobie zamku Compiègne.

O wielkiem powodzeniu Historji Aleksandra świadczy przedewszystkiem to, że ją do r. 1688 powtórzono w paryskiej manufakturze na warsztatach *haute-lisse* trzy razy, a na

¹⁾ M. Fenaille, *État général des tapisseries de la Manufacture des Gobelins depuis son origine jusqu'à nos jours* III. Paris 1904. tabl. po p. 62 i po p. 68. oraz E. Guichard et A. Darcel, *Les tapisseries décoratives du Garde-Meuble*. Paris. tabl. 37.

warsztatach *basse-lisse* cztery razy. Trzy z tych seryj (dwie *haute-lisse* i jedna *basse-lisse*) znajdują się w Garde-Meuble, jedna (*haute-lisse*), darowana przez Ludwika XIV księciu lotaryńskiemu, dostała się do Wiednia. Nie wiadomo, jaki los spotkał trzy z najstarszych seryj *basse-lisse*, z których jedną darował Ludwik XIV swemu bratu, księciu orleańskiemu, drugą — bez złota — pannie Montpensier, trzecią zaś, z sześciu tylko sztuk złożoną, z mniejszymi figurami — jednemu z ministrów króla duńskiego.¹⁾ Oprócz tych najstarszych powtórzeń, które przed chwilą wymieniałem, istnieją jeszcze liczne późniejsze repliki, tkane również w manufakturze gobelinów w Paryżu, a które obecnie znajdują się w różnych kolekcjach prywatnych. Jedną z nich, z figurami do połowy zmniejszonymi, składającą się tylko z czterech sztuk bez bordjur, posiada miasto Paryż.²⁾ W latach 1818—1825 w manufakturze paryskiej zaczęto tkać replikę gobelinu Rodzina Darjusza, której nie skończono, drugą zaś sztukę na ten sam temat wykończono w latach 1825—1838. Triumf Aleksandra W. wzięto na warsztaty w XIX w. mianowicie w latach 1819—1834.³⁾ Nie dosyć na tem. Lebrun'owską Historję Aleksandra Wielkiego powtarzano — nieraz z daleko idącymi zmianami — także i w innych manufakturach flamandzkich i francuskich.⁴⁾

Punktem kulminacyjnym tej słynnej serji jest Wjazd triumfalny Aleksandra Wielkiego do Babilonu (fig. 1).⁵⁾ Środek płaszczyzny obrazowej zajmuje rydwan z Aleksandrem, zaprzężony w dwa słonie. Poprzedzają go trębacze, za rydwanem zaś postępują wojska Aleksandra. Widać tylko

¹⁾ M. Fenaille, *État général des tapisseries de la Manufacture des Gobelins depuis son origine jusqu' à nos jours* II. Paris 1903. p. 167—185.

²⁾ G. Migeon, *Les arts du tissu*. Paris 1909. p. 322.

³⁾ M. Fenaille, op. cit. V. Paris 1912. p. 9—10.

⁴⁾ G. Migeon, op. cit. p. 322.

⁵⁾ Reprodukcyjne heljograwurowe tej opony podali M. Fenaille, *État général des tapisseries de la Manufacture des Gobelins depuis son origine jusqu' à nos jours* II. Paris 1903. tabl. po p. 170., oraz E. Guichard et A. Darcel, *Les tapisseries décoratives du Garde-Meuble*. Paris. tabl. 36., fotograficzną zaś z galerji wiedeńskiej z nieznacznymi zmianami w bordjurach — L. Baldass, *Die Wiener Gobelinssammlung*, Wien 1920. Tabl. 241.

pierwszą grupę, doznajemy jednak wrażenia, że za nią ciągną rzesze żołnierzy. Pochód postępuje powoli od lewej ku prawej (herald). Tłem jest architektura. Nie ma ona nic wspólnego z architekturą babilońską. Le Brun zaprojektował ją w duchu budowli Rzymu starożytnego. Po jednej stronie stoi jakiś w części tylko widoczny budynek z ciosów, z kolumnami żłobkowanymi, z przeciwnej zaś strony ciągną się mury forteczne, z poza których widać zarysy jakiejś centralnej budowli. Z murów mieszkańcy Babilonu przyglądają się pochodowi. Nie na osobie triumfatora skupia się uwaga patrzącego, lecz przede wszystkim na grupach pierwszoplanowych, które dały Le Brunowi sposobność do rozwinięcia przepychu w kostjumach i akcesoriach. Obok rydwanu postępują niewolnicy, dźwigając na noszach przepyszny wazon z brązu, tak zbliżony stylem do słynnych wazonów pomysłu Le Brun'a, Ballin'a, Coysevox'a i innych, którymi przyozdobiono park wersalski. Najprawdopodobniej Le Brun sprezentował nam tu jakiś wazon, przez siebie zaprojektowany, a wykonany w warsztatach paryskich z metalu. Odwiedziny Ludwika XIV w manufakturze paryskiej,¹⁾ wielki gobelin, należący do słynnej, przez Le Bruna zaprojektowanej serii *Histoire du Roi*, to wystawa różnych dzieł sztuki, wykonanych w warsztatach paryskich, które się uczonym w części na podstawie aktów archiwalnych, w części zaś na podstawie zachowanych zabytków oznaczyć udało. Przepyszne wzorzyste tkaniny i hafty, zarzucone na balustrady, jak również stojące na nich wazony w serii *Maisons royales*,²⁾ także pomysłu Le Bruna, zostały odtworzone niewątpliwie — jak to zresztą już niejednokrotnie podnoszono — na podstawie oryginałów, które wyszły z paryskiej manufaktury. Wśród figur pierwszoplanowych zwraca uwagę jeździec zwrócony w trzech czwartych, narysowany w silnem skróceniu. To mistrz ceremonji, który pilnuje porządku w pochodzie,

¹⁾ M. Fenaille, *État général des tapisseries de la Manufacture des Gobelins depuis son origine jusqu'à nos jours* II. Paris 1903. tablica po p. 116 i E. Guichard et A. Darcel, *Les tapisseries décoratives du Garde-Meuble*. Paris. Tabl. 28.

²⁾ M. Fenaille, op. cit. II. Tabl. po p. 130—160 i E. Guichard et A. Darcel, op. cit. Tabl. 38—62.

prawą bowiem rękę wyciąga ku niosącym wazon niewolnikom, wydając im rozkazy. Tworzy on zarazem przejście od grupy niewolników do wytwornie skomponowanej grupy kobiet i dzieci, siedzących po przeciwnej stronie u stóp posągu. Kontrast między atletyczną budową niewolników i ich miedzianymi karnacjami, a wątlami kobietami o jasnej, delikatnej cerze, jest silny i szczęśliwy. W kompozycji tej Le Brun posługuje się na wielką skalę kontrastami światła i cienia, skutkiem czego ze wszystkich jego kreacyj ta jest najwięcej malowniczą, barokową. Niektóre partje wydobyte są silnem światłem, jak n. p. postać Aleksandra i pokryty płaskorzeźbami rydwan, na którego jasnem tle rysuje się wyraźnie ciemna grupa niewolników. Silne światło pada na jednego z paziów, siedzących na słońiach, podczas gdy drugi tonie w półcieniu. Jasno oświetlona grupa niewiast i dzieci pod posągiem występuje wyraźnie z powodu cienia, padającego na dalsze figury. Ruch i światłocień należą do istoty barokowej sztuki, a ileż ruchu jest w tej kompozycji! Poprzez grupy da się przeprowadzić linje faliste. Jedna z nich biegnie od rycerzy za rydwanem Aleksandra poprzez niewolników, niosących wazon, następnie przez mistrza ceremonji i dźwigając się w górę kończy się grupą paziów, siedzących na słońiach, druga zaś — zakreślając serpentynę — łączy tę ostatnią grupę z pełną wdzięku grupą kobiet u stóp posągu i grupą trębaczy poprzedzających rydwan. Obydwie linje stykają się z sobą w faktycznym ośrodku całej kompozycji. Jest nim wspaniały mistrz ceremonji w hełmie z pióropuszem na głowie, z rozwianemi połami płaszcza, z trudem poskramiający rumaka, który przysiada na zadnich nogach. Ruch i światłocień dają tej scenie malowniczość, jakiej nie ma w tym stopniu żadna inna opona pomysłu Le Bruna. Zamiłowanie do wysuwania na pierwszy plan licznych figur miał od Rubensa, wpływowi którego ulegał w kompozycjach figuralnych,¹⁾ trochę jednak wyszukana elegancja pozy młodej kobiety, z której ramion spada w płynnych fałdach jasna draperja, pozwala nam odrazu poznać rękę Francuza. Elegancja

¹⁾ H. Schmitz, *Bildteppiche. Geschichte der Gobelinsweberei*. Berlin 1921. p. 288 i 296.



1. Wjazd triumfalny Aleksandra Wielkiego do Babilonu. Gobelin w zbiorach państwowych austriackich w Wiedniu.
Podług L. Baldassa, Die Wiener Gobelinssammlung.



2. Wjazd triumfalny Aleksandra Wielkiego do Babilonu. Gobelin Franciszka Sal. hr. Potockiego w Krakowie.
Fot. T. Jabłoński



3. Porus, król Indyj, przed Aleksandrem Wielkim.
Gobelin Franciszka [Sal. hr. Potockiego w Krakowie.

Fot. T. Jabłoński.



4. Zwycięstwo Aleksandra Wielkiego nad Porusem, królem Indyj. Epizod I. Gobelin w zbiorach państw. austr. w Wiedniu.

Podług L. Baldassa, Die Wiener Gobelinssammlung.

cechuje sztukę francuską od gotyckich figur w Reims począwszy, poprzez kreacje Goujon'a, obrazy Watteau, aż po dzień dzisiejszy. Wjazd triumfalny Aleksandra do Babilonu — jak zresztą wszystkie gobeliny, zacząwszy od XVI w., a do czego nie mało przyczynił się Rafael swojemi Dziejami Apostolskimi — jest w gruncie rzeczy tkanym obrazem, krótki jednak horyzont tak w tej scenie, jak i w innych z tego cyklu dowodzi, że Le Brun liczył się z prawami płaszczyzny i koniecznością związku tkaniny z architekturą. Dlatego, przy całym realizmie i plastyce wspomnianych scen, unikał o ile możliwości dalekich, iluzorycznych perspektyw. Architektoniczny motyw wąskich bordjur horyzontalnych dowodzi, że gobeliny te miały współdziałać z architekturą. Niejako dopełnieniem górnej bordjury był gzyms sali, pod dolną bordjurą biegł cokół. Motywami szerokich bordjur pionowych są plastycznie wymodelowane hermy, półkolumny, pano-pljony z widniejącą na tarczy cyfrą królewską pod koroną i t. p. Tak skomponowane gobeliny mogły wytrzymać współzawodnictwo z plastyczną architekturą ścian, podzielonych pilastrami i kolumnami, z ciężkimi, złożonemi meblami w stylu Ludwika XIV (*les meubles d'apparat*), stiukami, bronzami i t. p. Nie należy zapominać, że w tych czasach dążono już do harmonijnego zespołu architektury i całego urządzenia wnętrza.

Przypatrzmy się teraz gobelinom Franciszka hr. Potockiego z Peczary. Materiałem ich jest wełna, a częściowo, w światłach zwłaszcza, jedwab. Złotej ani srebrnej przędzy niema. Tkanina gęsta, równa. Identyczne bordjury, herby Pilawa, styl i koloryt świadczą o wzajemnej przynależności tych trzech opon do siebie, a opracowany w nich temat nasuwa nam odrazu myśl, że one są tylko częścią większej serji. Na pierwszy rzut oka widać, że największy z tych gobelinów (677 cm. $\times$ 275 cm.) jest bardzo zmodyfikowaną repliką Lebrun'owskiego Wjazdu Aleksandra W. do Babilonu (fig. 2). Naprzód zwraca uwagę rażące wydłużenie całej sceny, które nie wyszło jej na dobre, gdyż autor kartonu zamiast przedłużyć pochód dodaniem szeregu rycerzy za rydwanem Aleksandra, ułatwił sobie zadanie, przedłużając tworzącą tło architekturę, oraz ustawiając na pierwszym planie wielki

kwiatami przyozdobiony dzban na marmurowym inkrustowanym postumencie. Dodana przez niego architektura jest czcza i bez żadnego wyrazu. Następstwem tej niefortunnej zmiany jest to, że pochod nagle się urywa, i że nie doznajemy wrażenia, iż za rydwanem triumfatora ciągnie wielka armja. Stosunkowo najwierniej powtórzono tu z wyjątkiem architektury prawą (herald.) stronę pierwowzoru, mianowicie grupy koło posągu. Grupa niosących wazon niewolników, jak i mistrz ceremonji i tu powracają, z tą jednak różnicą, że niewolników jest mniej o jednego. Skutkiem wstawienia — między niewolników a trójnog, z którego unoszą się dymy kadzideł — zwróconego w trzech czwartych jeźdźca w zbroi, z rozwiniętą chorągwią w prawym ręku i ozdobną tarczą na lewym ramieniu, rozbiła się zwartość kompozycji pierwowzoru, zatarła się jej przejrzystość. Chorążego tego twórca kartonu skopjował z lewego skrzydła Bitwy z Porusem (fig. 5), zmieniając jednak pozycję przednich nóg konia. Wprawdzie postać triumfatora uwydatniła się w naszym gobelinie więcej, niż w oryginalnej kompozycji Le Bruna, gdyż w części znalazła się na tle nieba, przepadł natomiast efekt grup pierwszoplanowych, do czego w dużej mierze przyczyniło się oświetlenie mniej kontrastowe, niż w pierwowzorze. Oprócz tych najwięcej rażących różnic w płaszczyźnie obrazowej, wspomnę jeszcze o mniejszych, mniej istotnych, jak brak hełmu na głowie Aleksandra, na który nie stało już miejsca, zasypanie drogi w pobliżu rydwanu większą ilością kwiatów, dodanie obok trójnogu wazy, z której unoszą się dymy kadzideł, a z kompozycją należycie nie związanej, zastąpienie trójnogu przed Aleksandrem, niezgrabnym, garnek przypominającym wazonem, i t. p. Tyle o kompozycji płaszczyzny obrazowej, bo co do rysunku figur, wystarczy porównać naszą replikę z pierwowzorem, by zauważyć przepaść, jaka dzieli te zabytki od siebie. Z poprawnego, a tak Le Brunowi właściwego opanowania formy, nawet ślad tu nie pozostał. Nadmienić jednak należy, że błędy rysunku rażą na bezbarwnej, tylko kształt oddającej reprodukcji w stopniu bez porównania wyższym, niż w oryginale, tam bowiem w dużej mierze ratuje sprawę żywy, jasny i harmonijny koloryt. Wątlejsze

barwy, jak blado-niebieska, różowa i t. p. uleciały, skutkiem czego w całości przeważają obecnie tony szare. Z tej szarzyzny wylaniają się tu i owdzie żywsze, intensywniejsze kolory, jak złocisto-żółty rydwanu, tarcz i wazonów z brązu, dalej ciemno-błękitny, fioletowy i szkarłatny. Zwłaszcza barwa szkarłatna o blasku żarzących się węgli ma siłę tonu znamiennej dla francuskich gobelinów. Niebo, pierwotnie błękitne, spłowiło tak dalece, że dziś jest prawie zupełnie białe.

Do istoty każdego gobelinu należy bordjura, ona bowiem potęguje jego efekt dekoracyjny, nieodzowny warunek gobelinów. I pod tym względem nasz gobelin różni się niekorzystnie od pierwowzoru, mającego przepyszne bordjury. W gobelinach Franciszka hr. Potockiego bordjury są skromne, ograniczają się bowiem do wąskich szlaków, pokrytych ornamentem ze spiralnie biegnących liści akantu, między które wpleciono drobne kwiaty. Malarz, który przerabiał Historję Aleksandra, wziął, sobie za wzór bordjurę z innej serii Le Brun'a, mianowicie *Enfants jardiniers*, tylko ją nieco uprościł, psując zarazem kompozycję narożników.¹⁾ W gobelinach z Peczary tarcze z herbami Potockich są bezporównania gorzej związane z bordjurami, aniżeli herby Ludwika XIV w oryginalnej serii Lebrun'owskiej. Nie wiążąc się organicznie z całością, robią one wrażenie przyczepionych przypadkowo.

Kilka uwag poświęcę jeszcze dwom pozostałym gobelinom Franciszka hr. Potockiego. Jeden z nich (219 cm. × 280 cm.) odtworza ten moment Bitwy z Porusem, w którym pokonanego i zranionego króla Indyj przynoszą przed zwycięskiego Aleksandra (fig. 3). Aleksander, siedząc na koniu, wyciąga łaskawie rękę do Porusa. Scenę tę oznaczam na podstawie gobelinu z serii wiedeńskiej, przedstawiającego Zwycięstwo odniesione przez Aleksandra nad Porusem, królem Indyj (fig. 4), albowiem nasza opona jest powtórzeniem środkowej grupy z tego gobelinu, który nadto ma jeszcze dwa skrzydła. Takiej to redukcji uległa wielka kompozycja Le Bruna, Bitwa z Porusem. Serja gobelinów z Peczary nie

¹⁾ E. Guichard et A. Darcel, Les tapisseries décoratives du Garde-Meuble. Paris. Tabl. 44.

miała więc — jak z tego widać — skrzydeł Bitwy z Porusem, co nam tłumaczy, dlaczego chorążego, będącego główną, pierwszoplanową postacią na jednym z nich (fig. 5), włączono bez żadnego skrupułu do Wjazdu triumfalnego Aleksandra do Babilonu (fig. 2). Różnice ograniczają się do opuszczenia szeregu wojowników za Porusem i za Aleksandrem, który rysuje się na tle ogólnikowo zaznaczonego krajobrazu. Oryginalnymi dodatkami w gobelinie peczarskim są rośliny na pierwszym planie, oraz drzewo w głębi za Porusem. Naturalnie i tu rysunek pierwowzoru uległ takiemu samemu pogrubieniu, jak we Wjeździe Aleksandra do Babilonu.

Trzeci wreszcie gobelin (263 cm. $\times$ 283 cm.) przedstawia — jak to wynika z porównania go z wiedeńskim — Bitwę pod Arbela w r. 331 (a raczej pod Gaugamelą w pobliżu Arbeli), w której Aleksander pokonał Darjusza i złamał potęgę państwa perskiego (fig. 6). Bitwa ta poprzedziła triumfalny wjazd Aleksandra do Babilonu. Podobnie jak w poprzednim wypadku — i w tym gobelinie skopjowano tylko fragment wielkiej kompozycji Le Bruna, mianowicie połowę jej środkowej części (fig. 7). Na pierwszym planie leżą pogruchothane perskie wozy z kosami u kół, na które Darjusz tak wiele liczył, a które ostatecznie zawiodły, w głębi zaś, w zamięcie walki góruje Aleksander. Na ostatnim planie widać Darjusza, atakowanego przez wojska macedońskie. Kopja, pomijawszy pogrubienie rysunku i wypaczenie proporcji, jest naogół dosyć wierna, tylko na pierwszym planie dodano rośliny i koło z kosą, a na ostatnim — w prawym (herald.) narożniku — drzewo i chorągiew. Z trzech omawianych gobelinów ten ma koloryt najciemniejszy, o ogólnej szaro-bronzonej tonacji. Na listwie u dołu po lewej (herald.) widnieje sygnatura D'AVBVSSON-GOVBERT. Tak więc gobeliny te tkane były w Aubusson i z manufakturą paryską nie mają nic wspólnego, oprócz słynnego pierwowzoru, od którego wartości artystycznej, zwłaszcza na punkcie rysunku i kompozycji, daleko odbiegły.

Po zmarłym w Paryżu w r. 1921 Mikołaju hr. Potockim odziedziczył Alfred hr. Potocki z Łańcuta dwa gobeliny, których sam już temat, bordjury i herby, nie pozwalają

ani na chwilę wątpić, że z trzema powyżej omawianymi gobelinami Franciszka hr. Potockiego należały do jednej serii. W jednym z tych gobelinów (375 cm. $\times$ 280 cm.), oznaczonym na granatowej listwie bordjury (po lewej stronie herald.) TAPISSERIE ROYALE D'AVBVSSON, odtworzono Rodzinę Darjusza przed Aleksandrem Wielkim (fig. 8). I ten gobelin, tkany — jak te wszystkie w liczbie pięciu — z wełny, z użyciem jedwabiu w światłach, jest uproszczeniem oryginalnej kompozycji Le Bruna (fig. 9), w tym wypadku niezbyt daleko idącym. Twórca kartonu zmniejszył liczebnie grupę, na którą składają się członkowie rodziny Darjusza, usuwając w środku kilka figur, przez co grupa się skróciła. Zato w prawym (herald.) narożniku u dołu wprowadził postać kobiecą, niezbyt tu zresztą ze względów kompozycyjnych konieczną. Pomijając drobniejsze różnice w upięciu namiotu, rysunku drzew, jak i w różnych akcesoriach, muszę jednak podnieść, że w gobelinie Alfreda hr. Potockiego figury są w stosunku do płaszczyzny obrazowej znacznie większe i więcej ku patrzącemu wysunięte, aniżeli w pierwotnym wzorze, jakby dla wynagrodzenia mniejszej ich ilości. Tematem drugiego gobelinu Alfreda hr. Potockiego (314 cm. $\times$ 290 cm.), oznaczonego tak samo napisem: MANUFACTURE ROYALE D'AVBVSSON, jest Bitwa nad Granikiem (fig. 10). Jak wykazuje porównanie tego gobelinu z trzema gobelinami Lebrun'owskiej serii, również Bitwę nad Granikiem, na epizody podzieloną, odtwarzającymi (fig. 11, 12 i 13), kompozycja gobelinu łańcuckiego jest tworem eklektycznym, albowiem w opowieści tej pojawiają różne figury, mniej lub więcej dokładnie powtórzone z pierwotnego, tylko w innym zestawieniu i odwrotnie. Stosunek wartości artystycznej gobelinów łańcuckich do oryginalnej serii Lebrun'owskiej, jest taki sam, jak gobelinów Franciszka hr. Potockiego z Peczary. Niewątpliwie też kartony do nich wykonał ten sam artysta.

Powyżej nadmieniałem już, że Historję Aleksandra Wielkiego powtarzano nie tylko w warsztatach królewskich w Paryżu, lecz także w innych manufakturach francuskich, a nadto flamandzkich. Repliki tkano w Brukseli i Audegarde, a oprócz tego w prowincjonalnych warsztatach francuskich: Felletin i Aubusson. Stosunek ich do pierwotnego



5. Zwycięstwo Aleksandra W. nad Porusem, królem Indyj. Skrzydło lewe.
 Gobelin w zbiorach państwowych austriackich w Wiedniu.
Podług L. Baldassa, Die Wiener Gobelinssammlung.



6. Bitwa pod Arbela.
Gobelin Franciszka Sal. hr. Potockiego w Krakowie.
Fot T Jabłonski.



7. Bitwa pod Arbela, Epizod I. Gobelin w zbiorach państwowych austriackich w Wiedniu.



jest rozmaity, jedne trzymają się go ściślej, inne daleko odeń odbiegają, tak, że raczej należałoby je nazwać „robionemi” na serji Le Bruna, lub jej naśladownictwami. Malarze, którzy pomysły Le Bruna przerabiali, postępowali eklektycznie, przedstawiając całe grupy, opuszczając niektóre figury, a nawet całe sceny, względnie wprowadzając własne dodatki. Wartość artystyczna tych replik jest bardzo nierówna, naogół stoją one o wiele niżej od pierwowzoru.¹⁾

Piotr van den Hecke (1710—1752) tkał w Brukseli Historję Aleksandra Wielkiego podług Le Bruna.²⁾ Serja w Paryskiej kolekcji André ma na bordjurze markę brukselską.³⁾ W pałacu arcybiskupim w Würzburgu znajduje się replika Lebrun'owskiej Historji Aleksandra Wielkiego, tkana również w Brukseli, w każdym razie przed r. 1725, w tym bowiem roku gobelinnicy wüzburgscy, Jan Thomas i jego uczeń, Andrzej Pirot, dotkali dodatkowo na bordjurze herby Schönbornów.⁴⁾ Ma ona bordjury kwiatowe. Z pierwowzorem porównania nie wytrzymuje, jest jednak od naszej znacznie lepsza. Wszystkie sceny odtworzone są odwrotnie, co nasuwa domysł, że *cartonnier* posłużył się rycinami. Tu nadmienię, że do rozgłosu pięciu olejnych obrazów Le Brun'a niemało przyczyniły się miedzioryty Gerarda Audran'a (1640—1703), Sebastjana Le Clerc'a (1637—1714), Gerarda Edelinck'a (1640—1707), Bernarda Picard'a (1673—1733) oraz Piotra van Gunst w Amsterdamie (1667—1724).⁵⁾ Są one bardzo rozpowszechnione. W Krakowie ryciny Audran'a ze scenami, w stosunku do obrazów Le Brun'a odwróconemi,

¹⁾ J. Guiffrey, *Histoire de la tapisserie en France*. Paris 1878—1885. p. 126—127.

²⁾ H. Schmitz, *Bildteppiche. Geschichte der Gobelinwirkerei*. Berlin 1921. p. 258.

³⁾ J. Guiffrey, *op. cit.* p. 127.

⁴⁾ H. Göbel, Würzburg und Fulda. Ein Beitrag zur Geschichte der deutschen Wirkteppichmanufakturen im 18. Jahrh. Der Cicerone 1920. Heft 22. p. 821—822. — Ibid. p. 819 reprodukcja cynkograficzna Wjazdu triumfalnego do Babilonu z tej serji. — Cf. H. Göbel, *Wandteppiche I. Teil. Die Niederlande Band II*. Leipzig 1923. fig. 341.

⁵⁾ A. Andresen, *Handbuch für Kupferstichsammler I*. Leipzig 1870. p. 43, 276, 436, 621, oraz II. Leipzig 1873. p. 292.

posiadał w swej cennej kolekcji ś. p. Jerzy hr. Moszyński.¹⁾ Wjazd Aleksandra Wielkiego do Babilonu, rycina Audran'a, nabyta w Moskwie, jest własnością Dra Marjana Morelowskiego. Nadto w Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie znajdują się trzy wielkie miedzioryty: Rodzina Darjusza, Bitwa pod Arbela i Bitwa z Porusem. Ryciny te — niesygnowane przez miedziorytnika — odtwarzają sceny zgodnie z obrazami Le Brun'a. Okoliczność, że na oponie z Peczary, wyobrażającej Wjazd Aleksandra do Babilonu, kolumny w tle po stronie prawej (herald.), są spiralnie żłobkowane, jak w oryginalnym obrazie Le Brun'a,²⁾ wskazuje na to, iż *cartonnier* w Aubusson posługiwał się rycinami, w paryskim bowiem gobelinie tej treści żłobki biegną pionowo wzdłuż trzonów kolumn, podczas gdy na rycinie okręcają się dokoła nich spiralnie.

Z kolei nasuwa się pytanie, kto i kiedy zamówił omawianą serję Historji Aleksandra Wielkiego, i gdzie się ona pierwotnie znajdowała. Tu mogą nam pomóc herby. W bordjurach na tle armatury widnieją pod szlachecką koroną dwa kartusze z t. zw. tarczarzem z jednej strony. Na obydwóch tych kartuszach wyobrażony jest herb Pilawa, poniżej zaś prawego (herald.) kartusza zwisają na wspólnej błękitnej wstędze dwa ordery: Orła Białego i rosyjski św. Andrzeja.³⁾ Styl kartuszków oraz koloryt tkanin wskazują na połowę XVIII w., w tym zaś czasie podwójny herb Pilawa może się odnosić tylko do Franciszka Salezego Połockiego, pana w Krystynopolu, od roku 1756 wojewody kijowskiego

¹⁾ Informację tę zawdzięczam ś. p. Drowi Jerzemu Kieszkowskiemu.

²⁾ A. Michel, *Histoire de l'art* VI 2. Paris 1922. tabl. VIII.

³⁾ Order św. Andrzeja ustanowił Piotr I w 1698 r. Istnieje tylko jedna klasa. Order ten, wyobrażający czarnego, dwugłowego orła rosyjskiego, na piersiach którego widnieje św. Andrzej, rozpięty na krzyżu, noszono na wstędze błękitnej. Order ten na gobelinach Franciszka Salezego Połockiego różni się tem od opisanego powyżej orderu, że krzyż ze św. Andrzejem mieści się w drugim krzyżu równoramiennym, niema zaś orła. Jest to z pewnością nieścisłość artysty, który malował kartony. Krzyż ze św. Andrzejem wstawił on dla uproszczenia w krzyż podobny do krzyża polskiego orderu Białego Orła, zwisającego tuż obok. Obydwa te ordery mają tu wspólną błękitną wstęgę i odtworzone są bardzo ogólnikowo.

(† 1772), oraz do drugiej jego żony, Anny z Potockich, wojewodzianki poznańskiej († 1772).¹⁾ Około r. 1756 Franc. Salezy Potocki, którego świetny portret, pendzla — jak mnie informuje prof. dr Jerzy hr. Mycielski — Bacciarellego, przy tej sposobności publikuję (fig. 14)²⁾ — przebudował pałac krystynopolski. Planów przebudowy dostarczył architekt Riccaud de Tirregaille.³⁾ Piękny ten pałac — *entre cour et jardin* — w gęście francuskim, nie bez pewnego jednak nalotu saskiego, otoczony był wielkim ogrodem, wzorowanym w ogólnych zarysach na parku wersalskim, słynnem dziele Le Notre'a. Nie mogę znaleźć daty zaślubin Franciszka Potockiego z Anną z Potockich (w każdym razie fakt ten zaszedł po 1741 r., w którym zmarła pierwsza żona Franciszka Potockiego, a przed 1753 r.,⁴⁾ w którym urodził się syn jego i Anny, Stanisław Szczęsny), ani też dojść, w którym roku odznaczony on został rosyjskim orderem św. Andrzeja. Daty te dałyby mi termin *a quo* wykonania gobelinów. W każdym razie gobeliny powstały nie wcześniej, jak w r. 1750, w którym Franciszek Potocki otrzymał order Orła Białego.⁵⁾ Najprawdopodobniej jednak zamówienie gobelinów wiąże się z gruntowną przebudową pałacu w Krystynopolu około 1756 r. Wojewoda był wszechwładnym i niezmiernie bogatym magnatem. Nazywano go też „królikiem Rusi“. Dwór krystynopolski był refleksem dworu wersalskiego. Zachowywano na nim „dawną dworu francuskiego etykietę“,⁶⁾ a więc z pewnością wersalską z czasów Ludwika XIV. Oprócz

¹⁾ J. Dunin-Borkowski, Almanach błękitny. Lwów. p. 749.

²⁾ Portret ten, który z gobelinami odziedziczył Alfred hr. Potocki po ś. p. Mikołaju hr. Potockim, znajduje się obecnie w Łańcucie. Panu Alfredowi hr. Potockiemu dziękuję najuprzejmiej za ofiarowanie mi specjalnie do niniejszego studjum wykonanych fotografii portretu i dwóch gobelinów, które otrzymałem za łaskawem pośrednictwem prof. dra Jerzego hr. Mycielskiego.

³⁾ E. Świeykowski, Komunikat o planach zamku w Krystynopolu. Sprawozdania Komisji do badania historii sztuki w Polce VIII. Kraków 1912. p. CCXIX.

⁴⁾ J. I. Kraszewski, Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego IV. Wilno 1857. Wyciągi z pamiętnika pana Chrzęszczewskiego. p. 223.

⁵⁾ J. Dunin-Borkowski, op. cit. p. 749.

⁶⁾ J. I. Kraszewski, op. cit. p. 235.

mnóstwa dworzan Salezy Potocki miał milicję nadworną, którą formowała piechota, dragoni, ułani i kozacy.¹⁾

Dla wielu udzielnych książąt jeszcze w XVIII wieku Ludwik XIV nie przestał być wzorem i ideałem. Był nim też i dla Franciszka Salezego Potockiego. Widać to z całego trybu życia na dworze tego magnata. Sale wersalskiego zamku zdobiła Lebrun'owska Historia Aleksandra Wielkiego — apartamenty w krystynopolskim pałacu musiały mieć przynajmniej jej przeróbkę, przynajmniej odbłask jej świetności. Duma i ambicja wojewody tłómaczą nam, dlaczego tej, a nie innej treści gobeliny znalazły się na ścianach jego pałacu, mimo, że w nadającej ton manufakturze paryskiej inne już podówczas były w modzie tematy. Wszak to czasy Ludwika XV. W zniewieściałej epoce rokoka tematy heroiczne, bohaterskie, należały już do przeszłości. Miejsce ich zajęła mitologia, ujęta głównie z jej zmysłowej, erotycznej strony. *Fêtes galantes* i *fêtes champêtres*, miłostki bogów, sceny z oper i baletów — zajęły miejsce ulubionych w heroicznej epoce Ludwika XIV bitew, wjazdów triumfalnych i pompacyjnych audjencji. Boucher wyparł Le Bruna. O ile zaś — i to głównie w warsztatach prowincjonalnych — robiono repliki gobelinów z czasów Ludwika XIV, a zwłaszcza Historji Aleksandra Wielkiego, którą najczęściej powtarzano, to były one przeznaczone nie tyle dla Francji, jak raczej na eksport. Warsztaty te musiały robić niezłe interesy na ambicji i próżności udzielnych książąt zagranicznych, w pierwszym rzędzie niemieckich. Wielu z nich jeszcze w XVIII wieku oślepiał blask Wersalu Ludwika XIV; treść gobelinu więcej ich pociągała, niż jego wartość artystyczna.

Colbert, organizując manufakturę paryską, zainteresował się również gobelinniczą produkcją mniejszych warsztatów, Aubusson, Fellelin i Bellegarde w Marchji. Początki tego przemysłu w Aubusson nie są jeszcze dobrze znane. W XVI i XVII w. tkano tam głównie werdjury. Celem podniesienia i uszlachetnienia wytwórczości warsztatów w Au-

¹⁾ T. Żychliński, Złota księga szlachty polskiej XIV. Poznań 1892. p. 50.

busson, Colbert w roku 1665 przyrzekł przysłać malarza i instruktora technicznego. Narazie jednak skończyło się na przyznaniu tamtejszym właścicielom warsztatów, używania tytułu *Manufacture royale d'Aubusson*. Nieco pomyślniej ułożyły się stosunki dopiero w roku 1731, gdy Ludwik XV przysłał do Aubusson farbiarza, którego dawno się tam już domagano i malarza Jana Józefa Dumont († 1755), który zobowiązany był nie tylko dostarczać kartonów, lecz także co dwa lata przez trzy miesiące w Aubusson przebywać, a to w celu nadzorowania robotników i ćwiczenia ich w rysunku. Dumont nie miał wiele pomysłowości, toteż do kartonów posługiwał się sztychami Laurent'a, Gillo'a, Watteau, Boucher'a i innych. Pastorałki i festyny ogrodowe, które znajdowały wielu amatorów w Europie i Ameryce Północnej, nie wytrzymywały porównania z gobelinami paryskimi. W Aubusson używano głównie grubszej wełny, a nie jedwabiu, częste zaś powtarzanie tych samych kartonów i pospieszna robota, dają tamtejszym gobelinom charakter wyrobów fabrycznych.¹⁾ Po śmierci Dumont'a obowiązki artystycznego doradcy pełnił do roku 1780 Jakób Juliard, po nim zaś Ranson.²⁾ Przedsiębiorcy z Aubusson mieli liczne magazyny w Paryżu, w których sprzedawano gobeliny, tkane w warsztatach Marchji. Oni też wysyłali gobeliny na sprzedaż zagranicę przez agentów, a nadto utrzymywali korespondentów w głównych miastach Francji: w Lyonie, Nancy, Nantes, Marsylii i Tuluzie.³⁾ Franciszek Salezy Potocki mógł więc gobeliny z Historją Aleksandra Wielkiego zamówić bądź osobiście w agencji paryskiej, bądź przez jednego z agentów, który może dotarł i do Polski. Herby dowodzą, że gobeliny te tkane były na zamówienie. Zdaje się, że opone, wyobrażającą Wjazd Aleksandra Wielkiego do Babilonu, wydłużono tak niefortunnie na życzenie zamawiającego, gdyż takich wymiarów domagała się zapewne długość ściany w jednej z sal krystynopolskiego pałacu.

¹⁾ H. Schmitz, Bildteppiche. Geschichte der Gobelinwirkerei. Berlin 1921. p. 312—314.

²⁾ J. Guiffrey, Histoire de la tapisserie en France. Paris 1872—1885. pag. 145.

³⁾ J. Guiffrey, op. cit p. 145.





10. Bitwa nad Granikiem.
Gobelin Alfreda hr. Potockiego w Łańcucie.

Fot. Braun & Cie w Paryżu.



11. Bitwa nad Granikiem. Epizod I. Góbelin w zbiorach państwowych austriackich w Wiedniu.
Podług L. Baldassa, Die Wiener Gobelinsammlung



12. Bitwa nad Granikiem. Skrzydło prawe.
 Gobelin w zbiorach państwowych austriackich w Wiedniu.
Podług L. Baldassa, Die Wiener Gobelinssammlung.

Szczesny Potocki, syn Franciszka Salezego, przeniósł się z Krystynopola do Tulczyna. Z nim też gobeliny nasze dostały się na Ukrainę. Podług tradycji rodzinnej, miało ich być dwanaście. Po śmierci Szczesnego nastąpił przypuszczalnie podział serji między jego dzieci: Jarosława (z Mniszchówny), oraz Mieczysława, Olgę Leonową Narzyskinową i Zofję Pawłową Kisielewową (z Wittowej). Po Jarosławie trzy gobeliny z tej serji przeszły drogą dziedzictwa na dzisiejszego ich właściciela Franciszka hr. Potockiego, prawnuka Jarosława. Po Mieczysławie odziedziczył trzy sztuki syn jego Mikołaj hr. Potocki, zmarły w 1921 r. w Paryżu. Jeden z tych gobelinów padł ofiarą pożaru około 1914 r. Dwa pozostałe przeszły drogą dziedzictwa na Alfreda hr. Potockiego w Łańcucie. Jaki los spotkał gobeliny z tej serji, któremi podzieliły się dwie wspomniane córki Szczesnego, wydane za Rosjan — nie wiadomo.¹⁾ Prawdopodobnie każda z nich dostała po trzy gobeliny.

Nie wartość artystyczna naszej Historji Aleksandra Wielkiego wywołała niniejsze studjum, ta bowiem, przynajmniej na punkcie rysunku i kompozycji, jest mała, lecz związek tych gobelinów ze sławną serją Lebrun'owską. Temat ten rzuca nadto pewne światło na nasz stosunek do sztuki francuskiej w XVIII w., której urok i światowe znaczenie były powodem, że nawet słabe, na eksport przeznaczone dzieła, znajdowały nabywców.

¹⁾ Informacje te zawdzięczam pani Małgorzacie z ksiąząt Radziwiłłów Franciszkowej hr. Potockiej.

(Dokończenie nastąpi).

Juljan Pagaczewski.

W sprawie kodyfikacji prawa małżeńskiego w Polsce.

Według informacji, udzielonych niedawno przez jeneralnego sekretarza, prof. St. Rappaporta, pracuje obecnie pięć sekcij Komisji Kodyfikacyjnej nad posunięciem naprzód sprawy jednolitego ustawodawstwa w Polsce. W szeregu jej prac pilnych znajduje się w sekcji prawa cywilnego także nowe prawo małżeńskie. Projekt jego, opracowany przez prof. K. Lutostańskiego, został przyjęty przez wstępną podkomisję rozpoznawczą i ma w roku bieżącym zostać poddany rozważaniu przez podkomisję, w której skład wejdą przedstawiciele wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej. Ukończenia tych prac i uchwalenia nowego projektu prawa małżeńskiego przez Komisję Kodyfikacyjną spodziewać się należy w r. 1927, poczem dopiero przejdzie on pod obrady ciał ustawodawczych.

Jakkolwiek termin ten nie przekracza bynajmniej granic zakreślonych zgóry — Komisja bowiem Kodyfikacyjna miała według programu ukończyć swe prace do r. 1928 — wielu przypuszczało, iż prawodawstwo małżeńskie zostanie załatwione wcześniej ze względu na palącą potrzebę, jaka daje się odczuwać coraz silniej. Niestety, spełnieniu słusznego tego życzenia stanęły na przeszkodzie dwie niemałe trudności. Jedną z nich była ogromna rozbieżność dzielnicowego ustawodawstwa małżeńskiego. Dość wspomnieć, że prawo małżeńskie niemieckie uznaje tylko ślub cywilny, Kodeks Królestwa Polskiego tylko kościelny, a prawo austriackie z pewnemi zastrzeżeniami jeden i drugi. Sądownictwo

w sprawach małżeńskich jest w b. zaborze rosyjskim w rękach sądów duchownych, gdzieindziej przekazane zostało sądom świeckim. Prawo austriackie nie przyznawało rozwodu katolikom i małżeństwu od początku mieszanym, udzielało go natomiast innym wyznaniom i bezwyznaniowym, podczas gdy separacja była dostępna dla wszystkich bez wyjątku; prawo b. Król. Pol. znało dla małżonków rzym. kat. tylko separację, dla innych tylko rozwód; prawo niemieckie wreszcie przyjmowało i separację i rozwód dla wszystkich. Dodajmy do tego dość znaczne różnice przyczyn separacji i rozwodu, odmienny ich sposób rozumienia, różnorodność ich nawet w tej samej dzielnicy zależnie od wyznania, poza tem zaś cały szereg innych odrębności w sprawie zawarcia małżeństwa, przeszkód z niem związanych oraz cywilnych następstw związku, a pojmijemy, że jest to chaos, którego uporządkowanie wymaga zarówno tegich głów jak dłuższego czasu.

Drugą, może jeszcze większą przeszkodą dla szybkiego załatwienia tej sprawy jest trudność ustalenia wytycznych nowego kodeksu małżeńskiego, pewnych „ram“, w obrębie których ma się obracać. Trudność ta dotyczy nie tyle cywilnych następstw małżeństwa, ile samej jego istoty — umowy małżeńskiej i związanych z nią warunków i skutków — która to rzecz łączy się ściśle z wierzeniami religijnymi poszczególnych wyznań w kraju. To też już w r. 1924 sprawozdawca z prac Komisji Kodyfikacyjnej pisał: ¹⁾

„Największe trudności napotyka Komisja Kodyfikacyjna w uchwaleniu prawa familijnego, w szczególności zaś prawa małżeńskiego... Zdaniem przewodniczącego konferencji Komisja Kod. wtedy tylko będzie mogła podjąć pracę pozytywną w tym dziale, gdy uzyska wyraźne wytyczne (dyrektywy ramowe) natury politycznej od Ciał Ustawodawczych, inaczej praca jej. może być nader utrudniona, jeśli nie zupełnie bezowocna. O tem, czy w przyszłym polskiem prawie o małżeństwie decydować mają zasady prawa kanonicznego, czy też usankcjonowana być winna nadal, już dziś tymczasowó obowiązuja na obszarze ziem zachodnich, zasada ślubów i rozwodów cywilnych, powinny przedewszystkiem zdecydować Sejm i Senat Rzeczypospolitej, we właściwej ustawie ramowej.“

Sejm i senat nie chciał jednak prawdopodobnie wypowiedzieć się przedwcześnie w tej sprawie, bo właśnie toczyły się

¹⁾ *Ruch Prawniczy i Ekonomiczny*, 1924, zeszyt 3, str. 543.

rokowania w sprawie konkordatu ze Stolicą Apostolską, i niektórzy, jak to można wnioskować z późniejszej dyskusji, spodziewali się w jego tekście znaleźć jakieś najogólniejsze przynajmniej rozwiązanie. Tymczasem konkordat nie poruszył ani słowem kwestji małżeństwa, co zdziwiło niemal wszystkich, poczynając od duchownych przedstawicieli sejmu, z których jeden uznał to za „lukę konkordatu“, aż do posła Czapińskiego, który podczas 189 posiedzenia sejmu oświadczył, że „konkordat jest niezupełny, bo wiele dziedzin, n. p. prawo małżeńskie, zostało pominiętych“. ¹⁾

Naturalnie pominięcie to nie zmartwiło bynajmniej przedstawiciela P. P. S., owszem było wielu na rękę. Bo jeśli pos. Głabiński na posiedzeniu połączonych komisji spraw zagranicznych i konstytucyjnej dnia 13 marca 1925 r., przemówił podczas dyskusji nad konkordatem imieniem Związku Lud. Nar.:

„Kościół katolicki przywiązuje słusznie wielką wagę do przepisów o rodzinie i małżeństwie... Ale w tym konkordacie okazał pod obu temi względami (mowa tu jest także o szkole, przyp. red.) wielką wstrzemięźliwość, nie przesądzając w niczem uregulowania tych spraw przez państwo w ramach konstytucji... My, jako katolicy, mimo braku zastrzeżeń w tych sprawach w konkordacie, dążyć będziemy do tego, aby ustawodawstwo uczyniło zadość zasadom katolickim“.

to pos. Czapiński na wspomnianem posiedzeniu sejmowem oświadczył jako koreferent:

„Przedewszystkiem jedno z pism... podając streszczenie mego przemówienia, oświadczyło, jakoby mówił, że, mojem zdaniem, brakiem konkordatu jest jego niezupełność, mianowicie opuszczenie punktów o prawie małżeńskim i t. d. Otóż istotnie wspominałem o prawie małżeńskim i o niezupełnościach konkordatu, ale nie w tem znaczeniu, jakoby w tej niezupełności widział jakikolwiek brak... widzę cechę dodatnią, bo w ten sposób zostawiono możliwość dla naszej państwowej komisji kodyfikacyjnej, aby na gruncie prawa cywilnego, na gruncie prawa państwowego wszystkie rzeczy pominięte, a w tej liczbie i sprawy małżeńskie, załatwiła“.

Poza tem sprawa ta nie wywołała wówczas żywszego zainteresowania, niektóre stronnictwa nie zabierały wogóle w niej głosu, a przemówienia p. Czapińskiego z ramienia P. P. S.

¹⁾ Cyfaty przemówień sejmowych i w komisjach podane według sprawozdań prasowych *Kurjera Warszawskiego* i *Kurjera Polskiego*.

i p. Kronigą (Kl. niem.) imieniem ewangelików, uważać wypada raczej za chęć zamanifestowania swych przekonań i wywarcia pewnego nacisku na dalszy tok prac przygotowawczych.

„Ramy” nie zostały więc wytyczone jasno. Ogólnie tylko i niewyraźnie określała je Konstytucja, zaręczająca wszystkim obywatelom swobodę przekonań religijnych i wykonywania przepisów z nimi związanych (Art. 111), oraz oddająca religii rzym.-kat. naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań i pozwalająca Kościołowi rządzić się własnymi prawami (Art. 114), co później zostało jeszcze wyraźniej zastrzeżone w konkordacie. Z danych powyższych wynikało więc, że w kwestji prawa małżeńskiego należało uszanować przepisy wszelkich wyznań, uznanych w kraju, a przede wszystkim Kościoła katolickiego.

Mając przed oczyma te wskazania, a obok nich istniejące dzielnicowe prawodawstwa i prawdopodobnie także życzenia pewnych grup wyznaniowych i politycznych, kontynuowała Komisja Kodyfikacyjna w dalszym ciągu swe prace. Grobowa cisza, jaka je otaczała i którą przerywały rzadkie, ledwie słyszalne publiczne odezwania się w komisjach i sejmie, zaczęła jednak niepokoić społeczeństwo, obawiające się, by, jak w paru innych wypadkach, nie załatwiono wszystkiego poza jego plecami i nie zaskoczono je nieprzygotowane faktem dokonanym. Zaniepokojenie to powiększały jeszcze przenikające do coraz szerszych sfer wieści o masowych rozwodach, uzyskiwanych drogą przejścia na protestantyzm lub prawosławie. Mnożące się o nich wzmianki w prasie, zaopatrywane różnemi komentarzami, wieści o procesach małżeńskich i płynące stąd interpelacje, a wreszcie wyciągnięcie tej sprawy przez p. Mańka (P. P. S.) na posiedzeniu sejmowem dnia 10 grudnia poprzedniego roku, skłoniły prawdopodobnie Komisję Kod. do wyjścia z dotychczasowego stanu milczenia i krótko przed ostatniemi świętami Bożego Narodzenia ukazał się w dziennikach następujący jej komunikat:

„Projekt prawa małżeńskiego, opracowanego przez prof. K. Lutońskiego i przyjętego przez podkomisję przygotowawczą w sekcji prawa cywilnego Komisji Kod., oparty jest na następujących zasadach:

1) jednolitości nowego prawa małżeńskiego dla wszystkich ziem Rzeczypospolitej;

2) przystosowania prawa do zasad Konstytucji w przedmiocie równości i wolności obywateli, jurysdykcji sądów powszechnych oraz samorządu kościelnego;

3) uznania małżeństwa za podstawę organizacji społecznej i państwowej, wobec czego prawo współdziała w podniesieniu moralnej powagi małżeństwa, w wysunięciu na czoło interesu dzieci, oraz w zapewnieniu poszanowania indywidualnych równych praw obu małżonkom, a zwłaszcza ich równych obowiązków wobec rodziny, którą przez swój związek założyli. Postulaty higieny rasy w miarę możliwości znajdują uwzględnienie;

4) uznania trwałości pożycia małżeńskiego za warunek naczelny rozwoju prawidłowego rodziny. Małżeństwo ustaje więc normalnie ze śmiercią jednego z małżonków, poza tem tylko w wypadkach wyjątkowych, przez prawo określonych“.

Jeśli jednak Komisja Kod. sądziła, że uspokoiła obawy katolików, wyczekujących, jakie stanowisko zajmują projektodawcy w kwestji dla nich najważniejszej, ślubów cywilnych i rozwodów, to zawiodła się grubo. Komunikat powyższy potwierdził właśnie ich obawy. Bo jeśli pierwszy i drugi jego punkt są w danej sprawie mocno niewyraźne, trzeci i czwarty zaś zawierają ogólne zasady, które podpisze każdy rząd, uznający rozwody, to tenże czwarty punkt zapowiada zarazem wcale niedwuznacznie ich wprowadzenie; trudno go bowiem rozumieć, jako wprowadzającego tylko unieważnienie małżeństwa. Za taką jego interpretacją przemawiają zresztą dostatecznie rozliczne wywiady prasowe i sprawozdania z debat Komisji Kod.

Sprawa naturalnie nie jest jeszcze przesądzona. Jakkolwiek z dotychczasowych doniesień wynika, że sympatje Komisji skłaniają się raczej ku ślubom cywilnym i rozwodom, rzecz nie jest jeszcze całkowicie rozstrzygnięta, nie mówiąc już o właściwym i ostatecznym jej zakończeniu, jakie nastąpi w sejmie i senacie.

W każdym razie zgóry zaznaczyć musimy, że gdyby projekt Komisji Kod. uznał zasadę ślubów cywilnych i rozwodów, byłby to prawdziwy „policzek“ dla katolików, których prawo uważa małżeństwo za nierozzerwalne, poza t. zw. „Przywilejem Pawłowym“, mającym zastosowanie tylko u nawróconych z religji niechrześcijańskiej, oraz poza wypadkiem małżeństwa niespełnionego, które może być zerwane przez

złożenie uroczystych ślubów zakonnych albo przez dyspensę papieską. Poza tem każdy rozwód, udzielony przez jakąkolwiek inną władzę, bądź wyznaniową, jak ewangelicką lub prawosławną, bądź cywilną, jest dla katolików nieważny (nie pomoże tu żadna zmiana wiary), małżeństwo poprzednie pozostaje nadal w mocy aż do śmierci jednego z małżonków, ślub przed tym terminem wzięty jest nieważny, a związek z niego płynący prostym konkubinatem. Stanowisko przeciwne państwa w tej sprawie byłoby więc pogwałceniem przekonań religijnych katolików i praw Kościoła, a projekt taki pogrzebaniem praworządności, pod którą Komisja Kod. chce właśnie położyć podwaliny.

Lecz kwestję prawa rozwodowego można traktować również z ogólnego społecznego punktu widzenia niezależnie od stanowiska wyznaniowego. Można mianowicie i trzeba zapytać się, czy — nawet pominąwszy zlekceważenie przekonań religijnych 22 milionów obywateli polskich — może ono przynieść społeczeństwu ulgę w dotychczasowych przykrych stosunkach? Czy i jakie są tego widoki? Czy niema obaw przeciwnych?

Zwolennicy bowiem tego prawa powołują się stale na racje różnej natury, moralnej i społecznej, w naszym zaś kraju wysuwają nadto anormalną sytuację obecną, objawiającą się w olbrzymiej liczbie rozwodów, uzyskiwanych drogą przejścia na prawosławie lub protestantyzm; niemożliwe te stosunki, powiadają, można uleczyć tylko przez zastąpienie jednolitem prawem małżeńskim dzisiejszych różnic dzielnicowych, oraz przez otwarcie legalnej drogi rozejścia się tym związkom, które oświadczają, iż nie mogą żyć dalej razem.

W tem ostatniem twierdzeniu tkwi jednak cała trudność. Konieczność bowiem ujednostajnienia prawodawstwa małżeńskiego na całym obszarze Rzeczypospolitej rozumie każdy i życzy sobie tego jak najprędzej; ale czy możność „legalnego“ ze stanowiska państwowego zerwania związku jest również wskazana dla dobra ogółu? Czy uzdrowi stosunki, czy też może nie tylko nie usunie złego, ale otworzy bramę nowym, większym jeszcze nadużyciom? Jakie rękojmie posiada Komisja Kod.? Przed wprowadzeniem innowa-

cji, tak głęboko sięgającej w cały ustrój rodziny i polskiego społeczeństwa, należałoby się naprzód upewnić o widokach powodzenia. Prawodawstwo małżeńskie, uznające możliwość rozwodu, nie jest żadną nowością. To rzecz stara i wypróbowana już dawno, zarówno w odległej starożytności, jak i dziś w przeważnej części krajów cywilizowanych. Należy więc sięgnąć do doświadczeń, poczynionych w tych społeczeństwach, by z nich ocenić społeczną i moralną wartość takiego prawa i na tej podstawie rozstrzygnąć, czy nawet niezależnie od stanowiska religijnego możnaby je z pożytkiem zaprowadzić we własnym kraju.

Możemy pominąć najsmutniejsze świadectwo, jakie starożytny Rzym wystawił prawu rozwodowemu, bo różnica kultury i cywilizacji między nim a epoką dzisiejszą zbyt jest wielka. Możemy pominąć je, powtarzamy, jakkolwiek bliższe zbadanie historii tych czasów wykazuje zdumiewającą paralelę ich z obecnymi — tu i tam ten sam człowiek, z jego namiętnościami i wybiegami, te same nadużycia, te same wykręty prawne i ponure następstwa. Przejdźmy do historii dzisiejszej; w szeregu krajów, które mogą nam służyć obfitym materiałem dowodowym, na pierwszy plan występuje bliska nam z tyłu względów Francja oraz Stany Zjednoczone Am. Półn.

Z entuzjazmem, właściwym rewolucji, wprowadzono we Francji sekularyzację małżeństwa i prawo rozwodowe. „Zaprowadzamy rozwód — pisał kilka miesięcy przed jego uchwaleniem deputowany Lequinio w *Moniteur Universel* z d. 17 lutego 1792 r. — możemy na nim tylko zyskać pod każdym względem“.

Ile zyskano? — Już w parę lat później deputowany Mailhe przemówił do Konwencji Narodowej: „Nie potraficie tak prędko zatamować tej fali zepsucia moralnego, jaka płynie wskutek owych nieszczęsnych ustaw“. A deputowany Bonguyot zażądał rewizji prawa. Zreorganizowano je też częściowo w roku 1804 przez usunięcie niektórych zbyt błahych przyczyn prawnych i polecenie żądania pewnych rękojmi. Rozporządzenie to zapobiegło w prawdzie najbardziej krzyczącym nadużyciom, ale nie usunęło ich bynajmniej. Zło rosło w tym stopniu, że d. 8 maja 1816 r., na

wniosek de Bonald'a, zniesiono całkowicie prawo rozwodowe, a będące w toku procesy rozwodowe zamieniono na procesy o separację.

Smutne to doświadczenie nie wystarczyło wszystkim. Już od r. 1831 zaczęli niektórzy domagać się przywrócenia prawa rozwodowego. Wśród ogółu wszakże społeczeństwa i deputowanych tkwiła tak głęboko pamięć zgubnych następstw poprzedniej próby, że opierano się tym zakusom zgórą przez pół wieku i dopiero d. 27 lipca 1884 r. uchwalono ponownie prawo rozwodowe.

Przyjęcie go poprzedziła olbrzymia agitacja wśród ciał ustawodawczych oraz wieloletnia silna propaganda wśród społeczeństwa. Inicjator prawa, Alfred Naquet i jego zwolennicy głosili nieustannie, że rozwodowa ustawa umoralni właśnie małżeństwo i wywrze na nie zbawienny wpływ, co okaże się w niedługim czasie. To też — pisał A. Roguenant w swem, nagrodzonym przez paryską Akademię nauk moralnych i politycznych dziele *La natalité et les mœurs*¹⁾ — „żadne może prawo nie było tak oczekiwane, nie budziło tyle nadziei... Rozwód przedstawiał się jako panaceum społeczne i moralne“.

Czas i zimna rzeczywistość przekreśliła wszystkie te nadzieje, od pierwszej do ostatniej, wykazując niezbicie, że uchwała z r. 1884 była chybioną w samym zawiązku. Wszystkie zapowiedzi i obliczenia zawiodły, bo — jak pisał zmarły parę lat temu profesor prawa i nauk społecznych w Paryżu, Paul Bureau²⁾ — „życie społeczne nie troszczy się o myśl prawodawcy. Ono idzie naprzód z nieubłaganą logiką, własnym prostym torem i rozrywa bez wysiłku nasze kruche barjery“.

Dziś, po czterdziestu z górą latach trwania jej we Francji, możemy na podstawie zestawionego materiału pozytywnego i olbrzymiej literatury, rozrzuconej po książkach i czasopismach, wyrobić sobie zupełnie pewne i jasne zdanie o tem, co prawo rozwodowe przyniosło Francji.

Skoro tylko minie okres pierwszych kilku lat po uchwaleniu ustawy — zaręczał A. Naquet i towarzysze — i na-

¹⁾ Paris; str. 160.

²⁾ „L'Indiscipline des mœurs,“ étude de science sociale. Paris 1921; str. 92.

gromadzone dotychczasowe nieszczęśliwe związki zostaną „zlikwidowane“, liczba rozwodów zacznie się zmniejszać z roku na rok i dojdzie do bardzo umiarkowanej cyfry, tak że w przyszłości Francja będzie miała mniej rozwodów, niż dotąd było separacyj.

Tymczasem co się stało?

W roku		separacyj	rozwodów
1883	było we Francji . . .	3.010 . . .	—
1890	„ „ „ . . .	1.570 . . .	6.557
1913	„ „ „ . . .	2.466 . . .	15.450
1924	„ „ „ . . .	? . . .	23.599

A zatem liczba rozwodów, która miała spaść poniżej cyfry separacyj z r. 1883, przewyższyła ją przeszło siedmiokrotnie, a separacje utrzymały się nadal w ilości wcale znacznej. Dodajmy, że w okresie od r. 1890—1923 ludność Francji wzrosła tylko o 3·3⁰/₀, podczas gdy liczba rozwodów wzmożła się 259·9⁰/₀.

Ten niesłychany wzrost rozwodów — którego lękali się sami ich zwolennicy, gdyż zdawali sobie dobrze sprawę, że stałby się klęską dla kraju — to był pierwszy, ale nie jedyny zawód. Zrywanie coraz nowych tysięcy związków, dyktowane nie niemożliwością pożycia, ale najczęściej brakiem panowania nad sobą i namiętnością, oraz płynąca stąd demoralizacja w życiu, musiały siłą rzeczy odbić się fatalnie na samej instytucji małżeństwa. Możliwość rozejścia się przyczyniła się do lekkomyślnego zawierania związków, obniżyła znacznie poczucie obowiązku i odpowiedzialności, podkopała wzniosłe pojęcie małżeństwa, owszem częściowo zniweczyła je zupełnie, otwierając drogę nowym formom „wolnej miłości“, „wolnych związków“ i „małżeństw na próbę“. „Instytucja rozwodu — pisał P. Bureau ¹⁾ — daleka od tego, aby zabezpieczyć małżeństwo i rodzinę, przyczyniła się właśnie do podkopania ich i poniżenia“.

Moralność publiczna, wbrew zapowiedziom, podupała wskutek tego głęboko. Inicjatorzy prawa z r. 1884 zapowiadali, że po wprowadzeniu rozwodu cudzołóstwa ustaną, jako bezużyteczne i nie dające się niczem usprawiedliwić. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie; prawo, podając cudzo-

¹⁾ L' Indiscipline des mœurs, str. 397.

łość jako rację, wystarczającą do legalnego zerwania małżeństwa, zachęciło tylko do popełniania go i pomnożyło tym sposobem liczbę wykroczeń; z drugiej zaś strony, udzielając przestępcy rozwodu i pozwalając mu zawrzeć związek z osobą współwinną, prawo odejmowało powoli temu występкови znamię ciężkiego przewinienia i czyniło go czemś bardzo drobnem, owszem środkiem do celu. To też — kończy swe uwagi P. Bureau¹⁾ — dochodzenia karne w sprawie cudzołóstwa ustały prawie w praktyce, tak że „obietnice, sformułowane przez twórców prawa z r. 1884, przyniosły w tym właśnie punkcie podwójne rozczarowanie; zapowiadano nam, że cudzołóstwa staną się rzadsze i będą surowiej karane — a tymczasem przeciwnie: wzrosły w liczbę i uchodzą bezkarnie“.

Nie usunęło również prawo rozwodowe nieszczęść małżeńskich; tragiczne przejścia, kończące się nie rzadko samobójstwem lub zabójstwem, pozostały nadal, raczej wzmogły się jeszcze. Wszyscy wiedzą o zachodzących na porządku dziennym niewiernościach małżeńskich, zdawałoby się więc, iż są na nie przygotowani; a tymczasem kiedy padną ich ofiarą, wtedy, według słów P. Bureau, rozpoczyna się dla nich okres „udręczeń nie do opisania... których powiernikami stają się niekiedy lekarze i księża, bezsilni, niestety, w tym wypadku“. Stwierdzono też, dodaje on na innem miejscu,²⁾ że po wprowadzeniu rozwodu niesnaski i spory małżeńskie stały się daleko częstszymi niż dawniej. „Liczba cudzołóstw wzrosła znacznie, ilość aktów gwałtu, popełnionych względem drugiej strony, a nawet zamachów na jej życie, nie zmniejszała się wcale“.

Nadwreżone, a częściowo zrujnowane ognisko domowe nie mogło również odpowiedzieć godnie pierwszorzędnemu swemu zadaniu, jakim jest wychowanie dziecka. Nie zdołało otoczyć go tą ciepłą, słoneczną atmosferą, jakiej ono potrzebuje koniecznie do normalnego rozwoju wszystkich swych sił fizycznych i duchowych. Uważane często za ciężar, wysyłane bywało do zakładów wychowawczych, aby nie

1) Tamże, str. 403.

2) Tamże, str. 398.

kępowało swobody domowników, w razie zaś rozejścia się rodziców przerzucano je z rąk do rąk lub starano się pozbyć. Owszem, nawet niezależnie od tego uchodziło ono nieraz za niepożądane *accident du mariage*; to też technika zapobiegawcza i spędzanie płodu pracują bez przerwy wśród wszystkich warstw społeczeństwa francuskiego, pomimo tego że kraj ginie z braku dzieci.

„Politycy, objeżdżający świat i niektórzy pisarze (nb. francuscy) — tak ilustruje stosunki we własnym kraju P. Bureau¹⁾ — opowiadają cuda o miłości, jaką otacza się dziecko we Francji, a tymczasem jest to fałszem, „skoro przez przerwianie ciąży zabijamy (rocznie) przynajmniej 300.000 dzieci, tworzących się dopiero, przeszkadzamy poczęciu przeszło 600.000 innych, a męczymy i narażamy na wszelkiego rodzaju cierpienia, duchowe i fizyczne, setki tysięcy z pośród pozostałych“.

Tak w najogólniejszym tylko streszczeniu przedstawiają się niektóre moralne i społeczne następstwa prawa rozwodowego we Francji, a podobne objawy, z różnymi modyfikacjami, zastajemy i gdzieindziej, przedewszystkiem zaś w Stanach Zjedn. Am. Półn., które na smutnej tej drodze pod niejednym względem przewyższyły jeszcze Francję. Brak miejsca nie pozwala nam na bliższe rozwinięcie tych rzeczy, uczynimy to obszernie gdzieindziej;²⁾ tu chcieliśmy tylko sumarycznie pokazać, że gdziekolwiek ustawa rozwodowa znalazła szersze zastosowanie, tam przyniosła nieobliczalne szkody rodzinie i społeczeństwu.

Co zaś najważniejsze i na co tu przedewszystkiem pragniemy położyć nacisk — prawo, mimo całego wysiłku władz ustawodawczych i wykonawczych, okazało się bezsilne, nie tylko nie usunęło złego, któremu miało zapobiec i co było jego celem, ale przyczyniło się jeszcze do jego wzrostu. Najtęższe głowy starego i nowego świata pracowały nad wynalezieniem sposobu zaradzenia nieszczęściu, wszelkie pomysły i wszystkie zarządzenia okazały się

¹⁾ Tamże, str. 83.

²⁾ W najbliższych dniach ukaże się w naszym Wydawnictwie specjalne studjum społeczno-moralne o prawie rozwodowym, oparte na szerokim materiale pozytywnym.

daremne, co najwyżej przyniosły częściową poprawę i to chwilową, dopóki przemysłność ludzka nie odkryła i na nie sposobu obejścia.

Prawodawcy z r. 1884 chcieli uwzględnić tylko sytuacje rzeczywiście rozpaczliwe i ta myśl ich została konkretnie ujęta i sformułowana w par. 229 Kodeksu Cywilnego. Rozwodu miano udzielać tylko wtedy, jeżeli dochodzenie sądowe wykaże, że jeden z małżonków dopuścił się cudzołóstwa, srogiego obejścia się lub ciężkiej obrazy czci, albo też został skazany na karę, okrywającą niesławą. Przytem liczono na surowość sądów, które miały utrudniać zerwanie związku poza konieczną potrzebą. Zastrzeżenia powyższe wydawały się wszystkim zupełną rękojmią bezpieczeństwa.

„Tymczasem — pisał kilkanaście lat temu Cl. Besse — co zrobiono z tych zastrzeżeń? Co robili sobie z nich nawet ci, którzy je doradzali i uchwalali? Niektórzy z pośród nich już wtedy mówili prywatnie między sobą, że tego nikt nie będzie się trzymał. I rzeczywiście wyłom, raz uczyniony, powiększał się nieustannie“.

Sądy francuskie nie starały się wcale, lub przynajmniej bardzo rzadko, o pojednanie zwaśnionych małżonków, owszem udzielały im łatwiej rozwodu niż separacji. Coraz liczniej napływające podania o rozwód przyjmowano z łatwością i załatwiano szybko i bez skrupułu, nie zważając przytem często na dzieci. Co więcej, zaczęto coraz swobodniej tłumaczyć ustawę, przekraczając w tym względzie dopuszczalną miarę i zmieniając niekiedy samą jej treść. Władze państwowe czuwały wprawdzie i widząc rosnącą falę rozwodów, poczęły wydawać nowe zarządzenia. Lecz te ograniczenia nie zmieniły ducha społeczeństwa i nie zmniejszyły zastępów niezadowolonych małżonków, żądających rozwodu — zwiększyły tylko pracę urzędników, którzy zmęczeni i przeciążeni skłonni byli raczej do coraz szerszej interpretacji i stosowania ustawy, tem bardziej, że bywała ona i dla nich aktualną. „Nie byłoby im do twarzy — powiada P. Bureau pod adresem wielu francuskich sędziów¹⁾ — okazywać się surowymi i udawać srogich mścicieli pogwałconej moralno-

¹⁾ L'Indiscipl. d. mœurs, str. 88.

ści; czy jest bowiem jakiekolwiek miasto powiatowe, w którymby sobie nie opowiadano o przygodach małżeńskich naszych najwyższych urzędników i naszych najwybitniejszych polityków?“

Zresztą choćby ta osobista racja nie odgrywała żadnej roli, to już sam rodzaj i przebieg sprawy mógł zniechęcić urzędników do sumiennego wykonywania swego urzędu. Cóż bowiem się działo? Wielu małżonków chciało się rozjeść, wiedząc jednak że rozwód za wspólną umową jest ze stanowiska prawnego stanowczo niedopuszczalny, wymyślało taką rację, któraby odpowiadała brzmieniu ustawy, wносиło na jej podstawie skargę, popierało fałszywemi zeznaniami i ostatecznie otrzymywało rozwód. Sądy zatem interwenjowały, jakby na ironję, na to tylko, aby prawnie potwierdzić akt, gwałcący samo prawo. Procedura taka musiała oczywiście w najwyższym stopniu zniechęcać i demoralizować urzędników, nie mówiąc już o społeczeństwie. Toteż po niedługim czasie zarówno klienci, wnoszący podanie o rozwód, jak przyjmujący je urzędnicy, doszli do przekonania, że szkoda tracić czasu, jedni na to, aby odgrywać komedję, a drudzy, aby brać udział w jej przedstawieniu; obie strony zrezygnowały więc z niepotrzebnego trudu i „od piętnastu już lat nie znajdzie się trybunału, któryby robił trudności w urzędowem zatwierdzeniu rozwodu za wzajemną umową.“¹⁾

Owszem — dodaje P. Bureau²⁾ jest to tylko jeden z etapów na drodze do większych jeszcze nadużyć. „Trzebaby bowiem chcieć być ślepym, by nie dojrzeć, że nasze (francuskie) prawodawstwo zapewnia uzyskanie rozwodu nawet wtedy, gdy sobie go życzy jedna strona — byle posiadała pewną dozę zręczności i wytrwałości“. Wystarczy sprytna kombinacja i „podczas gdy nasz faryzaizm udaje, że wierzy iż rozwodu może się domagać tylko strona nie-

¹⁾ Tamże, str. 91. — Pewną ilustracją, z jaką łatwością szafuje się we Francji rozwodem, jest urzędowa statystyka. Na 35.995 podań o rozwód, wniesionych w r. 1920, tylko 1.916, t. j. 5·3⁰/₁₀, zostało odrzuconych, s 34.079, czyli 94·6⁰/₁₀, załatwiono przychylnie. Niemniej wymowną jest też opinia, jaka się wyrobiła oddawna wśród robotników francuskich, że w ich kraju „łatwiej jest zerwać małżeństwo, niż je zawrzeć“.

²⁾ Tamże, str. 400.

winna od winnej — to praktyka przemienia te role według swego upodobania, ilekroć zechce; przebiegłość strony zawinionej przybiera sobie do pomocy krętą procedurę adwokacką i oboje dokonują cudu...”

Na czym polega ów „cud” i dlaczego stronie niewinnej trudno go uniknąć, tłumaczy tenże autor w uwadze: „Czy kto pomyśli, do jakiego stopnia heroicznej cierpliwości musiałby się wznieść jeden z małżonków, aby ująć nawet podejrzenia, że nie dopuścił się przestępstwa srogiego obejścia się lub ciężkiej obrazy czci względem drugiej strony, jeśli ta poprzysięgła sobie, że musi otrzymać rozwód i jest zdecydowana użyć wszelkich środków, choćby najpodlejszych i najniegodziwszych? Święty nie odważyłby się na taką próbę”.

Powyższe słowa są chyba dość wymowną ilustracją, że choćby ustawa rozwodowa była jak najściślej ujęta sama w sobie, to jednak wykonanie jej natrafia na nieprzewidywalne trudności i posuwa się daleko poza wytyczone ramy, wbrew kategorycznej woli prawodawców. Długoletnie doświadczenie tylu krajów wykazało też, że sytuacja na tem polu jest wogóle beznadziejną.

Stwierdzono bowiem, że gdziekolwiek ustawa rozwodowa miała ramy szerokie i ułatwiała rozejście się — liczba rozwodów rosła, i szerzyły się występki; Stany Zjedn. A. P., Francja, Niemcy, Anglja są tego silnym dowodem.

Kiedy ścięsniono bardzo liczbę przyczyn, wystarczających do legalnego zerwania związku, nie zmniejszono wcale (chwilowo tylko) liczby rozwodów, zauważono jedynie wzrost przestępstw, do ich otrzymania niezbędnych. Tak było n. p. przedtem w Ameryce, w Stanie New York, jak długo cudzołóstwo było jedyną prawną racją rozwodu.

Zakazać rozwiedzionym ponownego zawierania małżeństwa niepodobna; wszak rozwód wprowadzono właśnie w imię wolności osobistej na polu miłości i małżeństwa, rozróżnić zaś „winnych” od „niewinnych” żaden sąd nie potrafi — jeżeli się jednak tego nie zabroni, pozwala się ludziom lekkomyślnym i złym zawierać i zrywać dowolnie związki i unieszczęśliwiać innych.

Jeżeli nowy ów związek pozwoli się zawrzeć w krótki

czas po zerwaniu poprzedniego, jak to było dawniej w zwyczajach w niektórych Stanach Ameryki Półn., przyczyni się do tem większej lekkomyślności i lekceważenia małżeństwa — jeżeli wyznaczy się dłuższy przeciąg czasu, to nie zapobiegnie się wcale nowym związkom, tylko sprawi, że aż do przepisanego terminu będą one tajne, „prywatne“, a w swoim czasie zostaną dopiero zgłoszone i będą ulegalizowane przez władze.

Nakładanie cięższych warunków, w celu powściągnięcia nadużyć, nie prowadzi również do celu. Złość i przebiegłość ludzka triumfuje tu zawsze a pomoc znajdzie wszędzie. Wszak już przymusowe ustawy, wydane za Augusta w starożytnym Rzymie w celu ochrony małżeństwa i dzieci, miały ten skutek, że dla ułatwienia sprawy tym, którzy chcieli się uchylić przed prawem, powstały specjalne przedsiębiorstwa handlowe. W nowszych zaś czasach powtórzyło się to samo, tylko w zmienionej szacie; gdziekolwiek spróbowano chwycić się ostrzejszych środków dla poskromienia orgji rozwodowej, tam budziła się zaraz nowa gałąź przemysłu. We Francji i w Ameryce powstawały osobne biura, nie obawiające się nawet reklamować po dziennikach, które za stosowną opłatą podejmują się przeprowadzić rozwód niezadowolonym małżonkom, pouczają ich, jak odegrać niezbędną komedję czy dramat, dostarczają fałszywych świadków i wskazują odpowiednich urzędników. „W New York — pisał tygodnik tamtejszy *America* (12/I 1924, str. 303) — wytropiono świeżo „fabrykę rozwodów“, obsługiwana przez adwokata i detektywa, którzy za pewną sumę pieniędzy obowiązywali się, że w trzech tygodniach przeprowadzą dla swych klientów otrzymanie rozwodu przez wyrobienie fałszywych świadectw“.

Tak przedstawia się w zarysie bilans prawa rozwodowego — jedno wielkie fiasko. Pokazuje się, że najgenialniejsza nawet koncepcja prawa i najszczersze wysiłki władz nie są w stanie utrzymać wykonania ustawy w ramach zakreślonych; stosowanie jej stale przekracza przewidziane granice, wiodąc do nadużyć, które pociągają za sobą zgubne dla społeczeństwa następstwa. Prawo rozwodowe, jeśli wnikiemy głębiej w sytuację społeczeństw,

które silnie z niego korzystają, przedstawia się jako prawdziwy zamach na kraj i naród — a tego Komisja Kodyfikacyjna zapewne nie chce.

Że stosunki małżeńskie w naszym kraju są nie najlepsze, nikt tego nie zaprzeczy. Ale na zło moralne trzeba szukać lekarstwa, któreby tę moralność podniosło, a nie burzyło do reszty. Ustawa zaś rozwodowa, depcząca wyraźne prawo Boże, może mieć tylko ten ostatni skutek; to też niepowodzenie jej nie powinno nikogo dziwić. Jeśli się zburzy fundamenta, trudno, by stały mury. I dlatego jeżeli domagamy się poszanowania świętości małżeństwa i jego nierozzerwalności, to nie występujemy tylko w obronie praw religii katolickiej, ale żądamy tego w imię pomyślności naszych rodzin i społeczeństwa, w imię dobra narodu, chcemy budować Polskę i uczynić wielką, a nie osłabić i grzebać!

Ks. Stanisław Podoleński

Czy można socjalizm pogodzić z katolicyzmem?

(Dokończenie).

II.

Że wyeliminowanie ze współczesnego socjalizmu jego ateistycznej ideologii jest absolutnie możliwem, tego chyba nie potrzeba dowodzić. Chodzi w gruncie rzeczy o pewną ideową rewolucję w szeregach socjalistycznych, lecz czyż nie zna historia ideowych rewolucyj, które zaszczerpiały cały świat nowych pojęć całym grupom i narodom? Sombart uważa ateizm za tak zasadniczy składnik ideologicznej budowy socjalizmu nowożytnego, że wyrzeczenie się go uważa poprostu za odstępstwo od socjalizmu. Notując pewne próby uchrześcijanienia socjalizmu, podejmowane w ostatnich latach na niemieckim gruncie, znakomity analityk socjalizmu powiada: „Obu tych kierunków (t. j. tych prób a socjalizmu współczesnego) nic wewnętrznie nie wiąże, oprócz nazwy socjalizmu. W istocie swej są one śmiertelnymi wrogami. To Bóg i djabeł”.¹⁾ Naszem zdaniem, to jego twierdzenie jest zbyt stanowczem. Zapewne djabeł się nie nawróci, ale czy niemożliwym jest egzorcyzm, którym uwolni się od niego opętanych? Czy sam Sombart nie zalicza do „proletarjackiego socjalizmu” pewnych starszych jego pionierów (przeważnie Francuzów), którzy wszakże stali na gruncie filozofji spirytualistycznej i religji przynajmniej deistycznej? Wylicza

¹⁾ Der proletarische Sozialismus, t. I, str. 120.

ich cały poczet. Właściwie dopiero Marx i Engels wszczepili socjalizmowi, pod hasłem naukowości, materialistyczne pojmowanie dziejów i ateizm, zapożyczony u Feuerbacha, a które następnie stały się niejako dogmatami socjalizmu.¹⁾ Przyznaje więc Sombart, że istniał, przed Marxem, socjalizm o zabarwieniu religijnem, któremu nie odmawia nietylko nazwy, ale i istoty socjalizmu. Dlaczego więc nie możnaby przyjąć, że w szeregach socjalizmu pojawi się jakiś nowy wpływowy teoretyk, który socjalizm wprowadzi na tory inne, niż te, jakie utarł Marx? A ci z pomiędzy socjalistów, którzyby poszli za nowym nauczycielem, dlaczego mieliby zrzekać się swego dotychczasowego nazwiska, jeżeliby z socjalizmu zatrzymali jakieś inne idee i dążenia, nie walkę z religią? Można przewidywać, że nie wszyscy socjaliści daliby się nakłonić do przyjęcia nowej ideologii religijnej i na tym punkcie doszłoby do rozłamu w szeregach socjalistycznych, podobnie jak istnieją w nich rozłamy na innych punktach; sądzimy wszakże, że odłam, któryby nawrócił do religii, miałby prawo do zatrzymania starej nazwy. Zaszedłby tutaj wypadek podobny do zmiany religii przez całe narody, lub duże ich odłamy. Społeczeństwo rzymskie nie przestawało być rzymskiem, stając się najpierw stopniowo i małemi grupami, a potem całkowicie i urzędowo chrześcijańskiem, Anglja nie przestała być Anglją, przyjmując reformę protestancką, ani Rosja nie przestałaby być sobą, gdyby połączyła się z Kościołem katolickim! W najbardziej nawet radykalnych rewolucjach ideowych pozostają ci sami ludzie, a i zawartość ich myślowa i wierzeniowa odmienia się tylko częściowo.

Przejdźmy do bardziej konkretnych możliwości. Uchrześcijanąć socjalizm, a przynajmniej uczynić go na tyle ideowo podatnym, aby o uchrześcijanieniu jego móc mówić — to znaczy wytrzebić z niego ideologję marksowską, albo przynajmniej pozbawić ją charakteru jakichś obowiązujących dogmatów. Rozumiemy, że to rzecz niełatwa, wszakże nie niemożliwa. Red. Haecker w artykule swoim po śmierci Jodki-Narkiewicza zaznaczył, że „historycznemi korzeniami

¹⁾ Der proletarische Sozialismus, t. I, str. 117 i 118.

swemi tkwi socjalizm w chrześcijaństwie". Jeżeli mowa o tym socjaliźmie, jaki mamy obecnie przed sobą, to trzeba o nim powiedzieć, że te jego korzenie chrześcijańskie prawie zupełnie uległy atrofji, oderwane od rodzimego gruntu. Drzewo socjalizmu Marx i jego następcy przesadzili na grunt zupełnie inny — widzieliśmy jaki. Dzięki wszakże nawet tej odrobinie soków, jakie niegdyś z gruntu religijnego wciągnął, może ma socjalizm w sobie jakąś nostalgję za chrystjanizmem, a to upoważnia do otuchy, że przyjęłoby się może to socjalistyczne drzewo z powrotem na chrześcijańskim, owszem katolickim gruncie. Musiałoby mu się tylko poobcinać marksofskie korzenie.

Że nie koniecznie musiałby socjalizm uschnąć po takiej operacji, upoważniają nas do twierdzenia pewne poważne głosy, pochodzące z samego socjalistycznego obozu. Powaga Marxa w nowoczesnym socjaliźmie, a dzięki jej jego destrukcyjne działanie pod względem religijnym pochodzi stąd, że z imieniem Marxa związane jest pojęcie „naukowego socjalizmu”. Szeroko rozpowszechnionem jest mniemanie, że on to dopiero wyśledził rzeczywiste prawa rządzące ekonomicznym rozwojem ludzkości i że on na podstawie praw odkrytych nakreślił wizję prawdziwej przyszłości świata i drogi, któremi socjalizm poprowadzić ma ludzkość ku nieuniknionym jej przeznaczeniom. Otóż w miarę, jak socjalizm będzie tracił zaufanie do „naukowości” i zdolności proroczych Marxa, będzie także krytyczniej odnosił się do całej jego materialistycznej metafizyki, będącej podstawą rzekomo odkrytych praw. W miarę tego także będzie się stawał podatniejszy na przypływ pojęć z filozofji spirytualistycznej i religji chrześcijańskiej.

A dzień tego przejrzenia co do „naukowości” Marxa już zdaje się dawno w socjaliźmie zaświtał, tylko promienie tego świtu nie wszędzie jeszcze dotarły. I rzecz szczególna, zaświtał tam, gdzie Marx pisał swój „Kapitał” i większą część swego życia spędził — w Anglii. Socjalizm angielski, nie zrywając solidarności klasowej z socjalizmem innych krajów, owszem pozostając z nim w jednej międzynarodowej organizacji, nie jest wszakże niewolnikiem ideologii marksofskiej, która, jak widzieliśmy, tak fatalnie nacechowała współczesny

socjalizm krajów na kontynencie Europy, nie wyłączając socjalizmu polskiego. Sądzimy, że nie można lepiej uzasadnić przebiegu nadziei co do przyszłego uchrześcijanienia socjalizmu, jak streszczając to, co o Marksie i jego ideologii pisze wódz angielskiego socjalizmu i *leader* Labour Party, niedawno jeszcze premier gabinetu angielskiego, J. Ramsay Macdonald. Sądy jego o marksyzmie podamy według książki jego zasadniczej „Socjalizm i Społeczeństwo”.¹⁾ Przyjrzyjmy się im w szczegółach.

Marx uważany jest za twórcę socjalizmu „naukowego”, otóż całe rozdziały książki Macdonalda zmierzają do tego, by z Marxa ściągnąć ten płaszcz „naukowości”. Według Macdonalda, Marxa „można umieścić na progu socjologii naukowej — nie dalej”.²⁾ Zarówno metoda, jak cała budowa ideowa Marxa pozbawiona jest cech naukowości. On nie wykrywał praw rządzących rozwojem ekonomicznym, bo tego rozwoju nawet dobrze obserwować nie umiał; on wnosił do niego prawa, jakie wyczytał w filozofji Hegla, jak wiadomo najbardziej apriorycznej. Macdonald obszernie wywodzi, że życie społeczne naśladuje prawa biologji. W biologji zaś niema przeskoków, jak w dialektyce Hegla, od tezy do jej zaprzeczenia, a przez to ostatnie dopiero do syntezy; w biologji wszystko rozwija się powoli, stopniowo, każda nowa forma nieznacznie wyłania się z poprzedniej. Dlatego w biologji niema rewolucyj, lecz ewolucja tylko. I to samo dokonywa się w życiu społecznym. Tu, jeżeli ludzie dokonają nawet gwałtownego przewrotu, życie niebawem bierze nad ich dziełem górę, bieg jego powraca w swe łóżysko i rewolucja w takim razie nie jest postępem, lecz gwałtownym przerwaniem naturalnego postępu, który dzięki temu dokona się z opóźnieniem. Dowód tego prawa widzi Mac-

1) Angielska książka tego autora wyszła jeszcze przed wojną, przed paru laty wszakże ukazała się we francuskim przekładzie Louis N. de Roux, p. t. „Le Socialisme et la Société”, Paris, Flammarion éd. 1922. Do francuskiego przekładu autor napisał specjalną przedmowę, w której stwierdza, że wojna i rewolucja bolszewicka nic nie przyniosły, co by go zmuszało do zmiany zapatrywań, jakie wyraził w swej książce. Będziemy cytowali to właśnie francuskie wydanie.

2) Op. cit. str. 168.

donald nawet w bolszewickim przewrocie, który prędko musiał ugiąć się przed koniecznymi wymaganiami życia i pozwoli likwiduje w praktyce swoją ideologię i swoje własne dzieło. Dlatego Macdonald, wbrew Marxowi, jest stanowczym przeciwnikiem rewolucji socjalnej i twierdzi, że przynajmniej w Anglii niema dla niej miejsca.

Będąc przeciwnikiem rewolucji, jest angielski socjalista także przeciwnikiem idei walki klas, pojętej po marksowsku. Według niego, idea ta należy do fazy ruchu robotniczego przed-socjalistycznego i przed-naukowego (str. 187). Nie przyznaje jej żadnej wartości twórczej (str. 184), lecz owszem widzi w niej czynnik destrukcyjny. Przekonywująco wywodzi, że sama idea klasy, jako podmiotu jednego wspólnego interesu, jest abstrakcją myślową, jest tworem wyobraźni zapłodnionej przez dialektykę Hegla; w rzeczywistości nie istnieją przeciwieństwa klas, lecz przeciwieństwa interesów, ale takie przeciwieństwa zachodzą także między samymi kapitalistami i zachodzą również między robotnikami, już choćby tylko dlatego, że jedni i ci sami są zarazem producentami i konsumentami, a niema większej sprzeczności interesów, jak między produkcją a konsumcją. Inaczej mówiąc, istnieją raczej wspólności interesów między robotnikami a pracodawcami w danym zawodzie, a za to sprzeczność interesów między robotnikami różnych gałęzi wytwórczości. Przewiduje też Macdonald, że gdyby się dokonała emancypacja proletariatu przez walkę klasową, to takie zwycięstwo automatycznie dałoby sygnał do walk nowych, mianowicie między sekcjami ekonomicznymi i różnymi działami produkcji o interesach wprost przeciwnych. Klasa rozpadłaby się, a poszczególne jej sekcje skoczyłyby sobie nawzajem do gardła (str. 187, 188). Kiedy więc socjaliści zażrzewają robotników do walki przeciwko kapitalizmowi w imię interesu klasy, apelują w gruncie rzeczy do interesu jednostek, którym obiecują polepszenie bytu bez względu na to, czy na tem dobrze wyjdzie ogół. Eksploatuje się w ten sposób egoistyczne instynkty (str. 186), burząc w duszach prawdziwie socjalistyczne poczucie dobra ogółu. Jest to „apel do indywidualizmu, a jedyny jego rezultat jest ten, że ludzie przyjmują formuły socjalistyczne, nie stając się socjalistami“

(str. 187). To spostrzeżenie ilustruje Macdonald na przykładzie robotników, którzy stając się małymi kapitalistami, ulegają psychologii kapitalistycznej. Jako członkowie kooperatyw, po całodziennej pracy w fabryce, gdzie uważają się za ofiary wyzysku kapitalizmu, wieczorem przy obliczaniu zysków swojej kooperatywy myślą i czują zupełnie po kapitalistycznemu. Małą wartość marksowskich idei walki klas i rewolucji społecznej wykazuje dalej Macdonald z samej praktyki marksistów w zestawieniu z własną ich teorią. „Zachodzi, powiada, przepaść między klasycznymi frazesami a współczesnymi metodami socjalizmu” (str. 160). Postępowanie w praktyce nie idzie w parze z deklamacją. Podczas gdy deklamuje się o rewolucji, w praktyce uprawia się parlamentaryzm, który jest jej zaprzeczeniem; w myśl teorii Marxa wypadałoby — i tak się deklamuje — że „im gorzej, tem lepiej”, bo chwila przewrotu, chwila wywrócenia kapitalizmu przybliży się, — w praktyce jednak wchodzi się z kapitalizmem w przetargi, zyskuje się lepsze warunki bytu dla robotników, co zmniejsza rewolucyjny ich nastrój i rewolucję wciąż oddala. To postępowanie parlamentarnych marksistów świadczy o bezwartości idei, które kiedyindziej głoszą.

Czy więc Macdonald wyrzuca z socjalizmu cały marksizm? Nie; zachowuje on z niego obraz przyszłego społeczeństwa socjalistycznego, ale twierdzi, że społeczeństwo to utworzy się zupełnie inaczej, niż wyobrażał sobie Marx. Tutaj widzimy w Macdonaldzie socjalistę, w tem co stanowi jakby sam rdzeń socjalizmu — w pewnej konstrukcji przyszłego ustroju świata, ale dodać musimy, że właśnie ta istota socjalizmu, ta wizja takiego a nie innego ustroju gospodarczego ma zarówno u Macdonalda jak u Marxa najmniej cech naukowości. Może ona być, jak każdy ideał, przedmiotem czyjejś wiary, nadziei, miłości, może być celem wysiłków woli, ale nie jest i być nie może przedmiotem nauki. Właśnie tragedia Marxa na tem polegała, że ten wymarzony ideał usiłował naukowo wyprowadzić z przesłanek historycznych i realnych i to mu się nie udało, jak nikomu udać się nie może, jakkolwiek sam ideał absolutnie niemożliwym nie jest.

Macdonald wierzy w urzeczywistnienie socjalistycznego ustroju społecznego. Mówimy „wierzy“, bo inaczej jego pewności zakwalifikować nie możemy. Odrzucając zaś rewolucję, dyktaturę proletariatu i inne środki urzeczywistnienia tego ustroju, podane przez Marxa, sądzi, że socjalizm, jako ustrój, zrodzi się, niby z małżeńskiej pary, z obecnych stosunków społecznych, zapłodnionych tylko przez ideę socjalistyczną. Tutaj widzimy znowu rozbrat z doktryną Marxa, w której rola twórcza czynników intelektualnych i moralnych była zapoznana, skoro przewrót społeczny miał się zjawić, jako nieunikniony wynik czynników czysto materialnych, ekonomicznych. Tu słusznie zauważa Macdonald, że jeśli rozwój ekonomiczny prowadzi z nieuniknioną koniecznością do socjalizmu, to po co głosić socjalizm i walkę z kapitalizmem? Walka ta przecież i bez tego z koniecznością determinizmu się dokonywa i socjalizm przyjść musi. Jeżeli jednak trzeba coś głosić, o czymś ludzi przekonywać, to widoczna, że idee moralne wpływają na rozwój stosunków ekonomicznych. Ale w takim razie nie należy tych idei pozbawiać wartości i siły moralnej, jak to uczynił Marx, stając poza kategoriami dobra i zła moralnego i wprowadzając na ich miejsce wyłącznie interes klasowy. „Motyw ekonomiczny — powiada Macdonald — winien poddać się kierownictwu światła rozumu i moralności, jak to zawsze było, ilekroć odegrał on w postępie świata rolę czynnika twórczego“ (str. 191). „Ten sposób myślenia zdaje się być zignorowanym przez artykuł wiary marksowskiej, który twierdzi, że socjalizm jest nieunikniony... Socjalizm jest nieunikniony tylko o tyle, o ile go takim czyni idea“ (str. 191).

Dlatego Macdonald przykładą tak wielką wagę do propagowania idei socjalistycznej. I propagować ją chce nie tylko wśród robotników, lecz niemniej wśród burżuazji i samych nawet kapitalistów. Socjalizm urzeczywistni się, gdy wszyscy, nie wyjmując tych ostatnich, uznają go za rozumny, gdy przekonają się, że on „wprowadza porządek tam, gdzie panuje chaos, organizację, gdzie obecnie istnieje zamieszanie, prawo, gdzie się panoszy anarchja, wniesie sprawiedliwość tam, gdzie teraz z reguły góruje niesprawiedliwość“ (str. 194). Urzeczywistnienie powolne, ewolucyjne so-

cializmu Macdonald spostrzega już teraz w każdej pożytecznej reformie społecznej, bez względu nawet na to jaka partja dokonywa takiej reformy, nawet wtedy, kiedy przeprowadzający reformę sądzą, że przez nią zapobiegają socjalizmowi. Dotyczy to takich reform, jak utworzenie funduszu bezrobocia, jak zabezpieczenie robotników na starość i t. p. Tego rodzaju reformy nie tylko że lepiej organizują społeczeństwo, ale według zdania Macdonalda, nakładając coraz nowe ciężary na prywatną własność, tem samem ją ograniczają. I jeśli się na to godzą inne partje, to tem samem zacierają istotną różnicę między sobą a socjalizmem, bo włożyć na kogoś jakiś ciężar, to przecież znaczy położyć rękę na jakiejś części jego posiadania, a trudno nakreślić granice, gdzie się to zacieśnianie własności prywatnej skończy. Z drugiej strony socjalizm nie domaga się zniesienia wszelkiej własności prywatnej; w szczególności socjalizm angielski nie jest doktrynerskim, ale praktycznym i liczącym się z doświadczeniem, dlatego domaga się socjalizacji tych gałęzi gospodarstwa, które do tego dojrzały i których socjalizacja wyjdzie na dobro ogółu, troskę o inne gałęzie produkcji pozostawiając pokoleniom następny. „Nie bije więc kapitalizmu po łbie“, lecz go ewolucyjnie przekształca, zatrzymując jego dobre strony, jak podział pracy, koordynację kapitału i t. d.“ (str. 211, 212). Dodajmy, że Macdonald dopuszcza nawet w pewnej mierze prawo dziedziczenia, a w socjalizacji kapitału widzi nawet ochronę prywatnego prawa własności na owoce pracy.

Darują mi Czytelnicy ten przydługi może ekskurs w książkę przywódcy angielskich socjalistów. Chodziło mi o to, żeby na przykładzie poważnym pokazać, jak opuściwszy zupełnie szkołę Marxa, można budować teorie socjalistyczne. Widać, że można się obejść bez marksowskiej „walki klas“, bez „dyktatury proletariatu“, bez rewolucji, a mimo to być socjalistą. Nie trudniej też odrzucić całą metafizykę materjalistyczną, „historyczny materjalizm“, a co za tem idzie — i ateizm. Nie wiemy, czy wśród angielskich robotników niema wielu takich, „którym na myśl nawet nie przychodzi, żeby mógł istnieć jakiś Bóg“, ale jeżeli przeważa tam socjalizm pokroju Macdonalda, to zrozumiałem się staje

dla nas także stosunek katolickiej hierarchji kościelnej w Anglii do tamtejszego socjalizmu i do Partji Pracy, która ten socjalizm niejako w sobie wciela. A stosunek ten jest zupełnie innym, niż na kontynencie Europy. Gdy episkopat wszystkich krajów kontynentalnych musi jak najkategoryczniej zabraniać wiernym wstępowania w szeregi socjalistyczne, episkopat angielski patrzy spokojnie na przynależność do Labour Party także katolickich robotników. Znane jest oświadczenie kardynała Bourne'a pod tym względem: „Upewniam Pana jak najbardziej stanowczo, że Labour Party nie mieści w swym programie nic antykościelnego. Rozumie się, trafiają się i u nas krańcowości, lecz partja jako taka nie ma nic wspólnego (pod względem religijnym. P. A.) z socjalizmem stałego ładu... Macdonald nie jest ani materjalistą, ani marksistą; to samo dotyczy wszystkich członków Partji, odgrywających przodownicze role. Poinformowałem się o tem dobrze. Labour Party powstała jako reakcja przeciwko egoistycznej szkole manchesterskiej. W swojej nauce społecznej zbliża się ona coraz bardziej do nauki katolickiej, podobnie, jak wierzący nie-katolicy zbliżają się coraz bardziej do nas, chociaż ani oni, ani my nie uświadamiamy sobie tego. Szukają oni Dobra i zbliżają się przytem do Kościoła katolickiego. Kto u nas chce być członkiem Partji Pracy, może się nim stać. Z katolickiego stanowiska nie można przeciw temu nic powiedzieć. Nasz obecny minister higieny jest wybitnym katolikiem i zarazem zapalonym Labourmanem”.¹⁾

Streszczenie poglądów przywódcy angielskich robotników przytoczyliśmy nie dlatego, jakobyśmy pisali się bez zastrzeżeń na wszystkie jego wywody, przewidywania i przepowiednie. Chodziło nam o to, by pokazać, że możliwym jest socjalizm, z którym katolik może się nie we wszystkim zgadzać, ale z którym może poważnie dyskutować, nie odrzucając go, jak ateistyczny marksizm, *a limine*. Zwłaszcza, jeśli dodamy, że chociaż Macdonald nie rozpisuje się szczegółowo o stosunku socjalizmu, jakim on go pojmuje, do religji i Kościoła, to wszakże mimochodem suponuje istnienie w so-

¹⁾ Cyt. według *Stimmen der Zeit*, grudzień 1924, str. 187.

cialistycznym ustroju Kościołów, jako zrzeszeń prywatnych a wogóle wielką wagę przywiązuje do czynników moralnych, podawanych przez religję; skądinąd zaś wiadomo, że sam jest także protestantem wierzącym.

W pierwszej części naszej pracy socjalizm markowski traktowaliśmy tak, jakby on tylko był istotnym socjalizmem współczesnym, u nas bowiem — mam tu na myśli cały kontynent europejski — rzeczywiście ten socjalizm, dzięki przemownemu wpływowi Marxa i jego niemieckich uczniów, do tego stopnia niepodzielnie panuje, przynajmniej w teorii, że nawet tacy krytycy socjalizmu, jak cytowany wyżej Sombart, tylko tę odmianę uważają za socjalizm właściwy, odchylające się odeń teorie wyrzucając gdzieś na jego peryferję. Czy nie może jednak dojść do tego, że i na stałym lądzie Europy trzeźwiejsza część socjalistów, zwłaszcza po doświadczeniach z najprawowierniejszym marksizmem w Rosji bolszewickiej, odwróci się od niego, wyrzucając cały jego pseudo-naukowy kram za okno i pocnie szukać czegoś, czemby dało się zapęłnić powstałą w ten sposób pustkę? W takim razie teorie, które trzymano gdzieś na peryferji ideologii socjalistycznej, może się znajdą w jej centrum; może dla socjalizmu europejskiego, czy dla jakiegoś poważnego jego odłamu *lux*, zamiast *ex Oriente*, zaświeci naprzykład *ex Occidente*, z Anglii?

Dzień, w który się to stanie, będzie dniem, w którym będzie można nawiązać i u nas poważne rozmowy między katolicyzmem i socjalizmem. Dlatego bardzobyśmy pragnęli, by z szeregów socjalizmu polskiego, zwłaszcza z Polskiej Partji Socjalistycznej, odezwał się jakiś na ten temat głos. Czekamy w szczególności, by nam powiedziano, co w tych szeregach, co wśród ideowych ich przewodników sądzi się o Marxie, o jego materialistycznym pojmowaniu dziejów: czy nadal się uważa je za kamień węgielny „naukowego” socjalizmu, czy też następuje już pod tym względem jakieś otrzeźwienie? Jasna na to pytanie odpowiedź z szeregów socjalistycznych dużo więcej posunie sprawę zbliżenia katolicyzmu do socjalizmu, niż twierdzenie, iż tylko „bajki kleryków konstruuja sztucznie niezgodę między nimi”.

W socjaliźmie, nawet oczyszczonym z ateistycznych naleciałości, pozostaje jeden punkt, który wydać się może

przeszkodą nie do usunięcia na drodze do pogodzenia się z katolicyzmem. Mamy tu na myśli zasadniczy stosunek socjalizmu do instytucji prywatnej własności w zestawieniu ze stosunkiem katolicyzmu do tejże instytucji. Socjalizm w najlepszym razie prywatną własność chce pozostawić tylko co do owoców pracy, czyli dóbr konsumpcyjnych, podczas gdy wywłaszczenie dóbr służących do produkcji stawia w swoim programie, jako rzecz istotną ustroju społecznego i ekonomicznego, który zaprowadzić usiłuje. Widzieliśmy, że uspołecznienie wszystkich środków produkcji ukazuje w ostatecznej perspektywie nawet tak umiarkowany socjalista, jakim jest Macdonald. Jeżeli Kościół katolicki uznaje konieczność istnienia własności prywatnej, to czy można marzyć o jakimkolwiek porozumieniu między nim a socjalizmem?

Otóż pod tym względem różnica doktrynalna między katolicyzmem i socjalizmem niewątpliwie istnieje, po bliższym wszakże zaznajomieniu się z nauką Kościoła o własności dóbr materialnych okazuje się znacznie mniejszą, niż wydaje się na pierwszy rzut oka i zdaje się nam, — *salvo meliori iudicio* — że nie należy wskutek tej różnicy rezygnować z usiłowań wzajemnego porozumienia się.

Co mówi nauka katolicka o własności? Najpierw własność prywatną dóbr materialnych, nie tylko tych, które przeznaczone są do spożycia i zużycia, ale i takich, które są środkami do dalszej wytwórczości, jak ziemia, narzędzia, lub ułatwiają godną człowieka egzystencję, jak mieszkanie, uważa nauka katolicka za naturalną, czyli zgodną z prawem natury, przede wszystkim z naturą samego człowieka, taką, jaką znamy z dziejów ludzkich i z codziennej obserwacji. Samą naturalność prywatnej własności nauka katolicka pojmowała w ten sposób, że jednak faktyczne wprowadzenie prywatnego posiadania odnosiła do aktów woli ludzkiej: ludzie mieli podzielić między siebie ziemię — bo o władaniu ziemi głównie mówiono — gdy się przekonali, że to będzie najlepszy system jej eksploatacji dla publicznego dobra. Nie uznawano więc konieczności istnienia prywatnego prawa własności za jakąś konieczność absolutną, na przykład pozytywnym aktem woli Bożej ludzkości nakazaną, lub

z przeznaczeniem wiecznem ludzi ściśle związaną; widziano w niej tylko względnie najlepszy sposób władania ziemią dla doczesnego dobra ogólnego. Stąd posiadania prywatnej własności nie uważał Kościół za jakiś moralny obowiązek jednostek. Owszem pochwała dobrowolne, z pobudek wyższych, wyrzeczenie się dóbr tego świata, błogosławi i bierze pod swą opiekę te jednostki czy grupy ludzi, którzy z pobudek religijnych zrzekają się prywatnej własności i samej możliwości nabycia jej kiedykolwiek, a podstawę swego materialnego bytu organizują na zasadzie wspólnoty.

Nie w samym więc pojęciu wspólnego posiadania dóbr, nie w komunizmie jako takim, należy szukać źródła niechętnego stanowiska Kościoła katolickiego względem programu socjalistycznego; szukać go trzeba w utopijności pomysłu komunizmu powszechnego, a zwłaszcza w postulatcie narzucenia ludzkości systemu komunistycznego przymocą. Kościół katolicki przypomina tu istnienie przykazania Bożego, zabraniającego pozbawiania kogokolwiek słuszenie nabytej własności wbrew jego woli. Jeżeliby wszakże jakieś nawet bardzo duże grupy dochodziły do przekonania, że lepiej im będzie zrzec się posiadanej własności na rzecz wspólnoty i w ten sposób prowadzić swoje gospodarstwo, cóż miałby Kościół im do powiedzenia? I jeśli socjalizm, jak obiecuje Macdonald, odrzuciwszy metody gwałtu i rewolucji, ograniczy się do propagowania takich idei i wcielania ich w życie tam gdzie grunt do tego w umysłach ludzkich będzie przygotowany, dlaczego Kościół miał taką propagandę stanowczo potępiać? Osiągnięcie komunizmu powszechnego tą drogą można uważać za nieziszczalną mrzonkę — ja sam za taką mrzonkę ją uważam — nie można wszakże dopatrywać się w niej teologicznej herezji, bo dogmatu o konieczności ustroju ekonomicznego świata na zasadach własności prywatnej nie było i niema. Niema także dogmatu, że należy ochraniać, jak świętość nietykalną, system ekonomiczny, oparty na własności prywatnej, w takiej formie, w jakiej on istnieje obecnie. Charakterystyczną jego cechą jest, że posiadający chętnie odwołują się do prawa naturalnego i Bożego, żeby bronić stanu swego posiadania, nie wiele się troszcząc, że obok nich istnieją całe rzesze

ludzi, liczniejsze niż klasa posiadaczy, które nie posiadają nic albo prawie nic, i to przeważnie nie z własnej winy. Inaczej mówiąc, cechuje ten system skupienie dóbr tego świata, będących środkami produkcji, a więc ziemi i kapitałów, w niewielu stosunkowo rękach.

Inną cechą tego systemu jest zapomnienie o społecznych obowiązkach, ciążyących na posiadaniu i upatrywanie ostatecznego celu w samym mnożeniu dóbr i kapitałów. Otóż nic tak nie jest dalekiem od nauki katolickiej, jak aprobata takiego systemu rozkładu i używania własności. Kiedy teologowie średniowieczni konstruowali uzasadnienie własności prywatnej, rozumowali w sposób następujący: Z początku ziemia była wszystkim wspólna, ludzie wszakże doszli do przekonania, że pożyteczniej będzie ją podzielić, bo każdy z większą zapobiegliwością i pilnością będzie pracował na swoim własnym, niż na wspólnym, a na pomnożeniu w ten sposób dóbr każdego zyska także ogół i dobro ogólne. Ze względu na ten instynkt własności u jednostek i na dobro ogółu własność prywatną uznali scholastyki za naturalną. Nie przyszło wszakże do głowy owym scholastykom dowodzić, że najlepiej i najzgodniej z naturą rzeczy byłoby zgromadzić ziemię i inne bogactwa w rękach niewielu jednostek, a innych ludzi pozostawić w roli ich niewolników lub płatnych najmitów. Myśl scholastyków obracała się między pierwotnym komunizmem a systemem drobnej własności prywatnej, nie upatrywali zaś bynajmniej ideału społecznego ani w latyfundiach ziemskich, ani w nagromadzeniu kapitału w niewielu rękach. Widzieli oczywiście i to, że własność jednych może wzrastać przez pracę, oszczędność, darowizny, spadki i inne tytuły, uważane przez nich za prawne i godziwe, a własność drugich może maleć i niknąć z winy czy bez winy posiadaczy, i że tym sposobem wytwarzać się musi nierówność posiadania u jednych i drugich, ale do tego stanu rzeczy wprowadzali bardzo ważny korektyw. Mianowicie, wszelką własność prywatną podporządkowywali pod ideę dobra ogólnego, czynili z niej funkcję pomyślności powszechnej. Wyraziło się to w zasadzie, że absolutnym panem wszystkich dóbr materialnych jest Bóg, że ziemscy tych dóbr posiadacze są tylko Bożymi

szafarzami, obowiązany obracać je na dobro ogółu. Stąd nadwyżka owoców ich dóbr, jaka im pozostaje po zaopatrzeniu godziwych i odpowiednich do ich stanu potrzeb własnych, ma być przez nich uważana za własność ubogich i na ich korzyść obracana. Od pojęcia własności prywatnej, jakie przyjmowało prawo rzymskie, jako *ius utendi et abutendi*, własności absolutnej, niczem nieograniczonej, zawsze daleką była nauka katolicka. O tej nauce zapomniano najbardziej w epoce wybujałego liberalizmu, odrzucającego wszelkie ograniczenia indywidualnych praw i wolności, a między temi prawami także prawa własności prywatnej. Ten liberalizm — obok innych czynników — prowadził do szybszego bogacenia się tych, co byli mocniejsi, a ubożenia słabszych i spełniało się słowo ewangelji, że temu, co miał, jeszcze więcej dodawano, a temu, co nie miał, odejmowano i to, co miał. Proces ten akumulacji bogactw w rękach niewielu przy równoczesnej pauperyzacji szeregowych mas odbywał się głównie w przemyśle; w rolnictwie odbył się on także w różnych czasach i na rozmałą skalę w wielu krajach.

Wytworzonego tym sposobem podziału dóbr materialnych nie można bronić jako czegoś nietykającego ani ze stanowiska religji, ani ze stanowiska prawa naturalnego; niema też obowiązku konserwowania przyczyn, któreby ten stan rzeczy utrwały; owszem wolno dążyć do reform społecznych, zmierzających do bardziej równomiernego rozprowadzania dóbr materialnych po całym organizmie społecznym. W dążeniu do tego celu spotykają się uświadomieni katolicy z socjalizmem, różniąc się tylko w wyborze dróg. Katolicy pragnęliby osiągnąć ten cel, nie naruszając zasadniczo instytucji własności prywatnej, podczas gdy socjaliści zniesienie tej własności w ten czy inny sposób — przez rewolucję czy powolną ewolucję — uważają za jedyny skuteczny środek osiągnięcia tego celu.

Sądzimy, że w tym sporze należy unikać wszelkiego jednostronnego doktrynerstwa, a więcej studjować naturę człowieka i naturę rozmaitych rodzajów dóbr i dziedzin produkcji i we wszystkim szukać nie zwycięstwa uproszczonych teoryj, lecz rzeczywistego społecznego pożytku. Mając

to na względzie, można zaryzykować prorocstwo, że socjalizm nie urzeczywistni nigdy na trwałe swej wizji przyszłości w całej jej rozciągłości, z drugiej strony wszakże trudno obiecywać liberalizmowi ekonomicznemu trwałe panowanie jego teoryj. Zarówno z obserwacji życia, jak się ono rozwija, jak i z rozważania zasad o własności prywatnej, jakie nam podaje nauka katolicka, można przepowiedzieć, że zrealizowany zostanie częściowo pewien socjalizm, ale rozszerzy się także posiadanie prywatne, każde w swoim zakresie i we właściwej dziedzinie. I do tego, co można w ten sposób przewidzieć, wolno także dążyć i przewidziany proces przyspieszać. Powierzchnia tarć między katolicyzmem a socjalizmem znacznieby się zmniejszyła, gdyby po stronie socjalizmu było mniej doktrynerstwa, a w obozie katolickim więcej zrozumienia ducha nauki Kościoła o prawach i obowiązkach własności.

Stawiając horoskopy przyszłości, trzeba rozróżnić między dwiema głównymi dziedzinami wytwórczości: rolnictwem i przemysłem fabrycznym. W pierwszym zapewne nastąpi rozrost drobnej własności prywatnej, i socjalizm we własnym interesie dobrzeby zrobił, gdyby niedwuznacznie i nie oportunistycznie tylko, lecz zasadniczo zrzekł się myśli uspołeczniania czy upaństwowiania wszystkiej ziemi. Jeżeli u kogo, to u rolnika najsilniejszym jest ów instynkt posiadania na własność swojej zagrody i swego kawałka pola; przed tym instynktem musiał niedawno skapitulować tak uzbrojony do walki z systemem kapitalistycznym bolszewizm w Rosji. Ogłaszanie całej ziemi własnością socjalistycznego państwa będzie miało chyba tylko teoretyczne znaczenie, w gruncie rzeczy stosunków faktycznych ono nie zmieni, chłop swego kawałka ziemi nie opuści. Z drugiej strony skupiania ziemi gospodarstwo rolne nie potrzebuje w tym stopniu, jak przemysł współczesny, może ono bowiem prosperować znakomicie przy własności drobnej, jeżeli tylko podniesie się stopień wykształcenia zawodowego małych rolników i zachęci ich do kooperacji w pewnych dziedzinach, wymagających zgodnego współdziałania, jakimi są sprowadzanie nawozów i nasion, zbył produktów rolniczych czy mleka i t. d. Na uznaniu w zasadzie takiej własności socjalizm zyskałby dużo tak-

tycznie, pozyskując szerokie masy rolniczego ludu i zmniejszyłyby liczbę trudności, które od niego odstraszały żywioły katolickie. Uznanie takie zresztą nie stawiałoby tamy drobnemu rolnictwu do dobrowolnego zrzeszania się i zakładania spółek w celu nawet wspólnego obrabiania gruntów. Socjologowie katoliccy stawiają także, jako ideał, rozszerzenie prawa własności rolnej nawet na proletarijat przemysłowy, przez umożliwienie robotnikowi posiadania własnego domku z jakimś ogródkiem, co zapewne przyczyniłoby się dużo lepiej do pielęgnowania szlachetniejszych uczuć i form życia, niż życie koszarowe zarówno, jak jest obecnie, w budynkach, należących do kapitalistów, jak i w przyszłych koszarach komunistycznych. Dążąc do rozszerzenia własności prywatnej ziemi na jaknajwiększą liczbę posiadaczy, socjologia katolicka pozostaje wierna zasadom starej scholastyki, która, jak wiemy, z pożytków społecznych takiej właśnie własności wyciągała, argument na korzyść samejże zasady własności prywatnej. Pozostając wierna tej tradycji, socjologia katolicka nie może potępić usiłowań do zreformowania obecnego stanu posiadania ziemi, choć widzi, że nie obejdzie się ono bez znacznych ofiar ze strony dzisiejszych większych posiadaczy. Potępiając kradzież i grabież prywatnego mienia, nie może potępić pewnych środków nawet przymusowych ze strony państwa w celu racjonalniejszego i bardziej dobru ogólnemu odpowiadającego rozdziału tej ziemi, którą Stwórca natury przeznaczył na żywienie wszystkich.

W dziedzinie wielkiego przemysłu, handlu i banków rzecz się ma dużo inaczej. I tutaj socjologia katolicka skłaniałaby się raczej ku takiemu przeciwdziałaniu gromadzeniu się kapitału w rękach nielicznych jednostek, któreby nie znosiło własności prywatnej. Zmierzaliby ku temu celowi reformy społeczne, przeszkadzające szybkiemu wzrostowi kapitałów przez ograniczanie zysków, przez dopuszczenie robotników do udziału w zyskach, przez progresywne opodatkowanie kapitału i t. p. Można by dążyć do tego, aby jaknajwiększa ilość ludzi, a przede wszystkim sami robotnicy stawali się współwłaścicielami przedsiębiorstw w formie posiadania ich akcji. Ale obok tego w tej właśnie dziedzi-

nie może być wskazaną socjalizacja pewnych przedsiębiorstw, jak to zresztą już widzimy na przykładzie kolei państwowych i innych urządzeń użyteczności publicznej, monopolów rozmaitych i t. d. Granice tej socjalizacji trudno nakreślić. Niech tylko w niej przyświeca jedynie rozum, doświadczenie i wzgląd na jaknajwiększy pożytek społeczeństwa, nie potrzeba się obawiać przeciwdziałania przeciwko niej ze strony katolickiej nauki i Kościoła, i katolikom wolno będzie pracować nad jej rozszerzeniem. Tembardziej wolno im dążyć do tych reform społecznych, które, jak rozmaite ubezpieczenia, jak podatki progresywne, ograniczenie prawa spadkowego, bezwątpienia obciążają własność prywatną i ograniczają ją, dążą wszakże do wyzwolenia żywego człowieka z pod przewagi kapitału i maszyny i do umożliwienia mu osiągnięcia wyższych jego celów ludzkich. Tym sposobem możliwą się staje kooperacja katolików z socjalizmem na wielu polach, trzeba tylko tu zauważyć z Macdonaldem, że socjalizm wtedy zapomina o marksowskiej doktrynie i schodzi na grunt bardziej realny osiągania ewolucyjnie wielu korzyści dla klasy pracującej, którą rewolucja, choćby z dyktaturą proletariatu połączona, wtraciłaby tylko w większą nędzę i zależność.

Tym sposobem zdaje się osłabiliśmy trudność do zbliżenia się socjalizmu i katolicyzmu, pochodzącą z różnego ich stosunku do prawa własności. Socjalizm niech zrezygnuje z absolutnej negacji tego prawa, a katolicy niech nie pozwolą się używać za narzędzie do obrony tych skutków ujemnych, jakie wynikają dla ogółu z absolutnego rozporządzania własnością przez niesumienne i mało uobywatelnione jednostki i bezduszny bezosobowy kapitał, lecz niech akcentują względność prywatnej własności i jej podporządkowanie ogólnemu dobru, wtedy przestrzeń między socjalizmem i katolicyzmem będzie malała coraz bardziej.

Socjalizm może się spotkać z katolicyzmem nie tylko w praktycznej polityce społecznej, ale, co ważniejsze jeszcze, w wychowaniu człowieka. W samej swojej nazwie mieści socjalizm piękną ideę: ideę uspołecznienia jednostki ludzkiej, wychowania jej na „towarzysza“ *socius*, związanego jaknajwiększą sumą węzłów ze społeczeństwem, umiającego

współżyć zgodnie z równymi sobie w wielkiej ludzkiej rodzinie, w wzajemnem poszanowaniu godności człowieczej we wszystkich. Lecz czyż to nie jedna z najgłębszych idei katolickiej wiary? i ostatecznie skąd, jak nie z niej, socjalizm ją zaczerpnął? Katolicyzm — to religia powszechnego braterstwa ludzi we wspólnym Ojcu, Stworzycielu, i Chrystusie, Zbawcy ludzkości; katolicyzm to religia nawskroś społeczna i organizacyjna, to najlepsza też szkoła obywatelskich obowiązków. Mówimy tu o katolicyzmie, jakim winien on być i jakim być może ze swojej najgłębszej istoty, nie zaś o katolicyzmie, jakim czynią go niekiedy jego niedoskonalą wyznawcy. Socjalizm ze swej strony niechaj przyzna się do tego, że nie zawsze pracuje nad wyrobieniem cnót prawdziwie obywatelskich u swoich zwolenników, owszem że często czyni przeciwnie, rozbudzając w nich pod hasłem interesu klasy egoistyczne apetyty, jak przyznaje Macdonald, a tłumiąc tem samem poczucie obowiązków względem całego społeczeństwa. Kwestja reformy świata, nawet reformy ekonomicznej, to nie tyle kwestja zmiany ustaw, i instytucyj zewnętrznych, choć i tej nie godzi się lekceważyć; jest to w pierwszym rzędzie kwestja reformy wewnętrznego człowieka. Jest to do tego stopnia prawdą, że gdybyśmy mieli ludzi prawdziwie wychowanych, ludzi-bezwzględnie sumiennych, o dobro ogółu dbających nie mniej, jak o swoje własne, w takim razie każdy system ekonomiczny mógłby być dobrym. Byłby dobry nawet skrajny liberalizm, bo brak krępujących więzów prawnych zastępowałoby poczucie sumienia; mógłby być dobrym etatyzm, bo nie stawałby się pod pokrywką opieki nad potrzebami obywateli środkiem nadużyć i niegodziwego bogacenia się jednostek, lecz byłby natchniony rzeczywistą troską o powszechne dobro. I socjalizm, jeśli mu sądzono urzeczywistnić się całkowicie lub po części, nie ostoi się, jeśli nie będzie stał ludźmi prawdziwie cnotliwymi. A więc i on, jeśli chce wychować ludzi w uczuciach prawdziwego braterstwa i prawdziwej solidarności, nie klasowej tylko, ale wszechludzkiej, jeśli pragnie wyrobić w nich ofiarność dla dobra ogółu, to zaiste nie osiągnie tego, jeśli nie oprze się na religji, zwłaszcza jeśli odtrąci od siebie pomoc, jaką pod tym względem może

znaleść w Kościele katolickim. Gdy odrzuca grunt religii, pozostaje mu tylko filozofja materjalizmu i egoizmu, lecz filozofja taka, niosąca w jednej ręce kawał kiełbasy, a w drugiej kij, dobra dla hodowli zwierząt, nie wychowa człowieka. Bez wiary w Boga, Prawodawcę najwyższego i Sędziego czynów ludzkich poza grobem, człowiek nie znajdzie dostatecznych pobudek do opanowania egoistycznych popędów i wprzagnięcia ich w służbę równych sobie ludzi.

Przedstawiliśmy perspektywy i warunki możliwego zbliżenia między socjalizmem i katolicyzmem. „Nie łatwa to sprawa, możemy tu powtórzyć za red. Haeckerem, ale nie beznadziejna“; dodamy jeszcze, że szczerą chęć wzajemnego zrozumienia się i uczciwość bezwzględna w stosunku do ideowego przeciwnika zdolne będą jedne trudności pokonać, a wyświecić i do właściwych rozmiarów sprowadzić inne. Dlatego pragnęlibyśmy, aby nasz artykuł wywołał odgłos po tamtej stronie, by miano i tam odwagę przystąpić do spokojnego — bez antyklerykalnych animozyj — omówienia tego zaiste „piekącego“, jak go red. Haecker nazwał, problemu. Bo zgadzamy się i w tem z p. Haeckerem, że rozwiązanie tego problemu, jeśli się kiedyś dokona, wywrze potężny wpływ na losy świata.

Ks. Jan Urban.

O mistycyzmie cesarza Aleksandra I.

(Ciąg dalszy).

Z Niemiec w 1818 r. niespokojna apostołka w towarzystwie córki i nieodstępного przyjaciela pastora Bergassa wywędrowała do Liflandji. Ale z pobytu w rodzinnym kraju zadowolona nie była. Jej ekstazy i proroctwa powodzenia nie miały. Brakowało jej ciągle grosza, bo lubiła żyć dostojnie i z wydatkami się nie liczyła, a nikt nie spieszył przyjść jej z pomocą pieniężną. Postanowiła więc wybrać się nad Nową, do stolicy północy, gdzie liczyła wielu dobrych przyjaciół, i dokąd już w 1815 r. zapraszał ją gorąco „ukochany monarcha“.

Do Petersburga przybyła w początkach 1821 r. w czasie nieobecności Aleksandra. Cała „mistyczna“ inteligencja petersburska przyjęła baronową z radością i zapałem. Gościła u Golicyna, modliła się z Koszelewym, nawiedzała Lievenów, Meszczerskich, Koczubejów i t. p. Jak z rękawa sypały się konferencje, nauki i kazania bogobojnej niewiasty i ściągały tłumy „miłośników prawdy“. „Owa kobieta, pisał o niej z nieutajonym gniewem późniejszy grabarz rosyjskich mistyków, archimandryta Focjusz, w gorącości umysłu i serca, natchnionej przez biesa (od biesa wdychajemoj), nie potępiając ani chuci cielesnych, ani światowości, ani też spraw djabelskich, umiała tak się wszystkim we wszystkim podobać, że, począwszy od wielkich bojarskich rodów, mężczyźni, mężatki i panny spieszyły — jak orakula niekojowo diwnawo posłuszafi żenkui Kridener...“¹⁾

¹⁾ Ob. Wielki Książę Mikołaj Michajłowicz: Aleksandr I. Opyt istoriczeskawo izsliedowanja. Pietierburg 1912 r. 198 str.

Ale właśnie sukcesy, jakie napotkała nad Newą i owacje, jakich stała się przedmiotem, przyspieszyły upadek baronowej, bo do reszty zawróciły jej głowę. Wybuchowa, zapalona, poddająca się fantazjom, nie licząca się z nastrojami rządu, który do spraw greckich żadną miarą nie chciał się mieszać, zabrała się niebawem Krüdenerowa do gorliwej propagandy na rzecz „ujarzmionej“ Hellady. Układała hymny na cześć jej bohaterskich synów. Prorokowała w petersburskich salonach z właściwą sobie namiętną frazeologją, że dni kryzysu nadchodzą; że nadciąga krwawa burza ze wschodu, gdzie już pożar się rozlał; że Rosja zwycięży w walce z półksiężycem, gdyż ukochany jej car, car prawosławny jest wybranem narzędziem Opatrzności, — tym chrześcijańskim monarchą, który ma zmiażdżyć państwo muzumańskie i na jego gruzach, w grodzie Konstantyna zatknąć sztandar krzyża świętego!...

Apostolstwo Krüdenerowej drażniło mocno Aleksandra. Parokrotnie przez osoby trzecie dawał jej do zrozumienia, aby polityką, której nie podzielał, przestała się zajmować. Gdy jednak przestrogi skutku nie odniosły, napisał do niej na ośmiu stronicach obszerny, wyczerpujący list i posłał go baronowej przez dyrektora departamentu obcych wyznań, A. Turgieniewa, z poleceniem, aby po przeczytaniu niezwłocznie mu list zwróciła. W liście swym tłumaczył car Julianie, że w stosunku do Greków pragnie gorąco spełnić wolę Bożą, ale jeszcze tej woli nie poznał.

Tymczasem wobec szerzącej się w świecie rewolucji i jakobińskiej agitacji musi iść ręka w rękę ze swymi sprzymierzeńcami i walczyć z duchem ciemności. Zwracał dalej car uwagę baronowej, że przemawia do niej po przyjacielsku, ale mógłby łatwo innej użyć mowy. Wzniesając bowiem swoją propagandą niepokój w stolicy, stawiała rząd w przykrem położeniu i wykraczała ciężko, jako poddana rosyjska i chrześcijanka¹⁾. Jeżeli pragnie nadal pozostać nad Newą, powinna odtąd porzucić wszelką politykę i zachować milczenie.

Odpowiedziała baronowa Turgieniewowi, że argumenty

¹⁾ Ob. Eynard, o. c. t. II. 372 str.

cesarza jej nie przekonały, „bo widziała swobodę Grecji złotemi głoskami wypisaną na niebiosach“. Nie chcąc jednak doprowadzić do ostatecznego zerwania z carem, na którego pomoc pieniężną ciągle się oglądała, z bólem i gorczyą w sercu wyjechała z Petersburga przez Finlandję do Rygi ¹⁾.

Listownie odezwała się jeszcze baronowa parę razy do Aleksandra. W płaczliwych epistołach przypominała mu przykład Teodozego Wielkiego i zaklinała cesarza, „aby w skrusze i pokucie poznał lepiej wolę, drogi i miłość Pana“; aby o niej nie zapominał i opieką swoją otaczał gorliwie „braci chrześcijan“, miłujących prawdę... Ale lamenty apostołki cesarza nie wzruszyły... Nie zerwał był wprawdzie Aleksander ze swojemi mistycznemi nastrojami. Dawne majaczenia tkwiły ustawicznie w głębi jego duszy, lecz od mistyków, od sekciarzy wszelkiej maści, którzy, jak się przekonał, sprzyjali masonom, tajnym związkom i rewolucji, odwrócił się stanowczo.

Wyjazd apostołki, wypędzenie Tatarinowej, chłód cesarza dla mistyków i pietystów napełniły petersburskich ortodoksów niepomiarłą radością i zarazem nadzieją, że stopniowo przy pomocy Bożej uda im się wypłenić w Rosji djabelski kąkol niewiary i herezji. Trzeba było jednak w ich przekonaniu przede wszystkim nie tracić czasu, kuć żelazo, póki gorące, i, korzystając z usposobienia cara, całą siłą uderzyć na główną ostoję złego, — na Towarzystwo Biblijne oraz na jego potężnego twórcę i opiekuna, — księcia-ministra Golicyna. „Szajka“ ortodoksów liczyła wiele wpływowych osób. Należał do niej petersburski metropolita Serafin, admirał Szyszków, radca stanu Kikin, głośna prawosławna bigotka hrabina Anna Aleksiejewna Orłowa-Czesmienskaja, pani Dierzawin, D. P. Runicz, M. L. Magnickij, — dawni

¹⁾ Z Liflandji w towarzystwie swej córki, hr. Berkheim, udała się baronowa Juljanna Krüdenerowa do Krymu, gdzie 25 grudnia 1825 r. dokonała burzliwego żywota. Istnieje ciekawa, a dzisiaj nader rzadka rycina, przedstawiająca „wniebowzięcie“ baronowej. W otoczeniu chórów anielskich unosi się Juljanna nad ziemią. Ma ręce złożone na piersiach, wzrok utkwiony w niebo, a nad nią w blaskach spływa z wysokości — Duch Święty! (Zbiory znanego rosyjskiego bibljofila P. J. Daszkowa).

wielbicie i pomocnicy Golicyna, Arakcejew, któremu nie tyle chodziło o mistyków i mistycyzm, ile o obalenie znie-nawidzonego rywala, i między innymi archimandryta Focjusz, dusza i sprężyna tej całej różnobarwnej zgraji. Mało kto wiedział dotychczas nad Nową o istnieniu Focjusza. Dopiero w ostatnich latach panowania Aleksandra po 1821 r. wscho-dzi jego gwiazda na mglistem niebie stolicy i wschodzi dzięki zabiegom miłującej go penitentki hr. Anny Aleksiejewny Orłowej. Ody uwielbienia śpiewała hrabina, jak płatny im-presario, na cześć „wielebnego ojca“, ale czem istotnie mogła się w nim zachwycić, doprawdy niewiedomo, bo osoba mnicha, a zwłaszcza jego twarz ospowata, mająca kształt ogórka, czarnym i rzadkim obrośnięta włosem, z wystającymi policzkami, z zaciśniętymi ustami, z głęboko zapadłemi ko-semi oczami budziła odrazę, a dusza w tej wstrętnej zawarta powłoce odpychała ludzi... „Tylko siła wypadków i okoli-czności, pisze biograf archimandryty, Miropolskij,¹⁾ mogła człowieka o tępym umyśle, bez wykształcenia i wartości moralnej wyprowadzić na szerszą widownię...“ Pyszałek i lis, intrygant i histeryk, asceta i lubieżnik, komedjant i za-bobonny fanatyk, szedł przyjaciel hrabiny Orłowej przez życie, odtrącając i wywracając wszystkich, którzy mu stawali na drodze.

Ciągle musiał z kimś walczyć. W dzieciństwie darł się Nikita Spasskij (jako mnich przyjął imię Focjusza) ze swoimi braćmi i z rówieśnikami; w młodości walczył z grzesznem ciałem, z djabłami i djablicami, które po nocach miały go nagabywać i wzniecać w nim sprośne chucie. Umartwienia, jakim się wówczas oddawał: posty, biczowania, włosienica i t. p., nie przeszkadzały jednak młodemu „ascecie“ oglądać się za „bogomołkami“ i najchętniej przestawać z nimi na długich pogawędkach duchowych.

Gdy został archimandrytą skorowodskiego klasztoru, zabiera się świątobliwy „monach“ do innego rodzaju walki, do walki z wrogami prawosławnej cerkwi. W pojęciu Focju-sza tylko jedna wiara była prawdziwą Chrystusową wiarą, — święte prawosławie, — wszelkie inne wyznania — herezją,

¹⁾ Ob. S. Miropolskij. Fotij Spasskij, jurjewskij archimandrit. *Wie-snik Jewropy*. 1878 r. t. VI. 44 str.

zielskiem, chwastami, „djabelskim pomiotem“ („djawolskim porożeniem“), które zanieczyszczały rosyjską ziemię i wiernemu ludowi nieobliczalne wyrządzały krzywdy. Ale szczególną pałał nienawiścią do mędrków tego świata: do filozofów, encyklopedystów oraz do „wilków owych w skórę owczą przyodzianych“, — do mistyków, masonów, biblistów, uminatów, obałamucających uczciwych ludzi i szerzących zgorszenie w owczarni Pańskiej. Nie miał słów oburzenia na nich i nie miał dla nich litości. W gorących przemowach do „braci i sióstr“ prawowiernych, tłumaczył, jak umiał najwymowniej, że czas już nadszedł, aby zgorszeniu (sobłaźnu) i bluźnierstwu (bogochulstwu) był kres położony; że czas wielki, aby sługi Antychrysta, „najmici piekła“, (archipłuty, aspidy, supostaty) i ich potężni opiekunowie, co rozwalali matkę Cerkiew i świętą bezczęścili wiarę, zasłużoną ponieśli karę...

Namiętna propaganda młodego obrońcy prawosławia cieszyła się najgłębszem uznaniem petersburskich ortodoksów. Podziwiano jego odwagę, gorliwość i niezależność, unoszono się nad jego elokwencją, druzgocącą wroga i przyklaskiwano jego śmiałym poczynaniom.

U hrabiny Orłowej, „córy dziewicy“ (dszczer dziewica), jak zwykł ją być poufale nazywać, poznaje Focjusz Szyszkowa, Łanskowo, panią Dierżawin, wchodzi w stosunki z Magnickim i Runiczem i t. d., i już na wiosnę 1822 r. pod skrzydłami Arakczejewa i w buduarach „córy dziewicy“ rozpoczyna się przeciwko Golicynowi i Towarzystwu Biblijnemu cicha, planowa i krecia robota.

Postanowili ortodoksi nie pisać skarg do cara na mistyków i heretyków, gdyż wiele różnych skarg otrzymywał Aleksander i mógł nie zwrócić na nią należytej uwagi, ale wysłać poważną osobę, któraby jaskrawo i dobitnie odmalowała cesarzowi wielkie niebezpieczeństwo, na jakie akcja sekciarzy i rządy Golicyna w ministerjum wyznań narażały świętą prawosławną cerkiew. Wybór padł oczywiście na Focjusza i „mąż Boży“ jak najszkwapliwiej przyjął uczynioną mu propozycję. W dniu 17 czerwca 1822 r. po dłuższej naradzie z „córką dziewicą“, o 11 godzinie w południe, w jej karecie udał się najsamprzód archimandryta do soboru Ka-

zańskiego, aby w ciszy i skupieniu przed cudowną ikoną „Matki Przczystej“ obmyśleć przemowę do Imperatora. Był mocno wzruszony, jak sam opisuje w swoim pamiętniku. Zasychało mu w gardle, drżały mu ręce i łydki, albowiem nigdy jeszcze nie stawał przed obliczem Najjaśniejszego Pana i wielce się obawiał, czy ku chwale Bożej zdoła wywiązać się z powierzonej mu misji.

Gdy wszedł do Zimowego Pałacu na wyznaczoną audjencję i, gdy go prowadzono ciemnym korytarzem do gabinetu cesarskiego, jał pobożny mąż modlić się do Ducha Świętego, — do świętego Mikołaja i świętej Marji Magdaleny i gorączkowo się żegnać, żeby odpędzić od siebie złych duchów, które mogły się gnieździć w carskim przybytku... „Już oddawna, Ojczy Focjuszu, pragnąłem cię ujrzeć i otrzymać twoje błogosławieństwo“, rzekł car do niego ze słodkim uśmiechem i, wzięwszy go za rękę, posadził go przy sobie na kanapie, jak ongi natchnionych kwakrów Alena i Grellego. Ośmielony dobrocią cara i, widząc, że Aleksander „łaknął jego mowy i sercem do niego się przylepił“, westchnąwszy głęboko i „podniósłszy oczy i ducha do Boga“, przeżegnał się trzykrotnie i zaczął mówić z zapalem o miłości Zbawiciela, o zbawieniu duszy, o matce Cerkwi, o jej apostołstwie i cierpieniach.

Chwalił metropolitę Serafina i Arakczejewa, mężów „miłujących Pana“, ale najszerzej prawił carowi o upadku wiary wśród braci, o powodzi złego, o zgorszeniu i niecnym gorszycielach, o masonach zwłaszcza, o heretykach, którzy wiarę z serc wydzierali ludziom i szatanowi, „królowi ciemności“, torowali drogę w Rosji... „Najjaśniejszy Panie, zawołał z patosem, kończąc swoją mowę, — blisko ciebie i dookoła ciebie jest wielu ukrytych wrogów, ... prowadzą podziemną piekielną robotę... Winienes uderzyć na nich szybko i otwarcie...“

Z pokorą słuchał car jego słów. Wzdychał, żegnał się, całował Focjusza w rękę i całował również złoty krzyż, wiszący na jego piersiach... Ukląkł wreszcie Aleksander i rzekł do archimandryty: „Wielebny Ojczy, włóż ręce twoje na moją głowę, uczyni modlitwę Pańską nade mną, wybac mi i rozgrzesz mnie...“

Z Zimowego Pałacu pospieszył natychmiast rozpromieniony Focjusz do „córy dziewicy“ i oznajmił jej z radością, że przyjęcie, jakiego doznał od monarchy, przeszło wszelkie jego oczekiwania. Odsłonił prawdę carowi, błogosławił go, a błogosławiąc go, modlił się gorąco, aby łaska Boża spłynęła na niego i przy jej pomocy, aby skruszył wrogów prawosławia — i miał nadzieję, że jego modlitwy zostaną wysłuchane.

Istotnie nadzieje go nie zawiodły. 1/13 sierpnia 1822 r. na parę dni przed wyjazdem do Werony, ogłaszał Aleksander słynny swój ukaz na imię ministra spraw wewnętrznych, Wiktora Koczubeja, wymierzony przeciwko masonerji oraz tajnym związkom. Nakazywał w nim car ministrowi rozwiązać wszelkie istniejące tajne stowarzyszenia, jak na przykład loże masońskie i t. p. i kategorycznie zażądać od ich członków piśmiennego zobowiązania się, że na przyszłość nie będą stwarzali podobnych związków ani do żadnego z nich należeć nie będą. Ci zaś członkowie, bądź świeccy, bądź też wojskowi, którzy żądanej deklaracji nie chcieliby złożyć, mieli niezwłocznie ze służby państwowej być wydalen.

Carski ukaz z dnia 1/13 sierpnia był nader miłym wydarzeniem dla wrogów Golicyna, ale wypadkiem bardziej jeszcze radosnym i pożądanym dla nich, bo świadczącym wymownie, że car sprzyjał ich akcji, były nagrody, jakie potokiem spływać zaczęły na gorliwego Focjusza. W dniu ogłoszenia ukazu otrzymuje archimandryta wspaniały krzyż brylantowy od cara, który mu wręcza uroczyście metropolita Serafin w czasie nabożeństwa w soborze Piotra i Pawła. Pośle mu car jednocześnie kopię ukazu przeciwko masonom ze specjalnem podziękowaniem za gorliwą służbę. 26 sierpnia mianuje go przełożonym klasztoru świętego Jerzego w Nowgorodzie, a cesarzowa matka Marja Teodorówna obdarzy obrońcę Cerkwi złotym zegarkiem, obsypanym drogocennymi kamieniami... „Łaski cesarskie ¹⁾ — pisała „córa dziewica“ do swej przyjaciółki pani Dierzawin, do Moskwy — nie zmieniły usposobienia naszego wielebnego i kochanego

¹⁾ Niewydany list hr. Anny Orłowej-Czesmienskiej do pani Dierzawin. Petersburg 21 listopada 1822. Ze zbiorów W. Księcia Mikołaja Michajłowicza.

Ojca. W pokorze ducha powtarza, jak zwykle, że jest marnym prochem, robakiem (czerwiem) i sługą Boga (rabom Bożjim), że ufa tylko Panu i wierzy, że Pan smoka potwora wkrótce pokona... Żałuj, żeś nie była wczoraj u mnie, gdy wielbny Ojciec miał do nas naukę o mocy prawdziwej wiary..."

Kampanja przeciwko „wrogom Cerkwi“ zapowiadała się jak najlepiej. W 1823 r. zdolny generał Zakrewskij, oddany ministrowi wyznań, usunięty zostaje ze stolicy i wysłany na gubernatora Finlandji. Tracą łaskę cesarską przyjaciele Golicyna, minister spraw wewnętrznych Wiktor Koczubej oraz nieodstępny i długoletni towarzysz Aleksandra, Piotr Michajłowicz Wołkoński, a ich miejsce zajmują Tatischezewy, Kampenhauseny i t. p. wstecznicy, ciemne i nieudolne kreatury Arakczewewa..., — słowem reakcja na całej linii święci triumfy! Z dawnych ulubieńców Aleksandra jeden jeszcze Golicyn pozostaje przy władzy, lecz i jego dni są już porachowane.

Wczesną wiosną 1824 r. przybywa z Nowgorodu do Petersburga Focjusz i oznajmia „córce dziewicy“, że widział we śnie ojca cara, że car błagał go na klęczkach, aby zbawił jego duszę i wymiół z Rosji brudy heretyckie i że mu przyrzekł spełnić jego prośbę.

Po naradzie z przyjaciółmi redaguje archimandryta list do cesarza „o nowej religji“, którą „fałszywi apostołowie“ opowiadają w Rosji. Mówią do wiernych o przyjsciu Ducha Świętego, o tysiącoletniem panowaniu Chrystusa, o jakimś połączeniu wyznań, znieprawiają i gubią prawosławne dusze. „Bo czem jest, pisze z oburzeniem, ta nowa religja?... odstępstwem, zdradą boskiego apostołskiego Kościoła, wiarą w Antychrysta, siejącą zamęt, rewolucję, zrodzoną przez diabła... Fałszywymi prorokami są: Jung Stilling, Eckartshausen, Boehm, Pani Guyon, Lindel, Fessler, Gossner, bracia morawscy, metodyści... Niech Bóg prawdziwy, kończy Focjusz swoją epistolę, zmartwychwstanie; niech dzięki twej prawicy i duchowi, mieszkającemu w tobie, pierzchną wrogowie Boga i ojców naszych i wraz ze swą nauką i kłamstwami zgina z oblicza ziemi!“

W odpowiedzi na list Focjusza, 20 kwietnia 1824 r.

wzywa go car do siebie i poleca adjutantowi swemu T. P. Uwarowowi wprowadzić mnicha ukrytem wejściem do gabinetu, aby audjencja pozostała w ścisłej tajemnicy. Tym razem wielbny ojciec, idąc do cesarza, nie modli się już do świętej Magdaleny i nie odpędza złych duchów od siebie. Poznał Aleksandra, był pewny siebie i rozumiał, na co się zanosí.

Całuje go znów car po rękach, ma łzy w oczach, żegna się ze skupieniem i oświadcza, że gotów jest swe błędy naprawić i „spełnić wszystko, co mu ojciec nakaże, bo widzi w nim Anioła Pańskiego, schodzącego z niebios!” „Nie wbijaj się w pychę, szepcze Aleksander, że takie mam o tobie mniemanie. Daj tylko radę i nakreśl plan, jak mam dzieła dokonać“.

Nie posiada się Focjusz z radości. Nareszcie dopiął celu. Może otwarcie mówić do skruszonego monarchy, po imieniu wskazać mu wrogów, odsłonić dokładnie ich szatańską robotę. Więc wylewa na nich potok zarzutów i oszczerstw. Przez długie trzy godziny dowodzi carowi, nie oszczędzając nikogo i uderzając w najczulszą jego stronę, że mistycy, bibliści, iluminaci, heretycy i t. p. chcą nie tylko Cerkiew Bożą wywrócić, ale godzą w byt państwa. Drwią z „samodzierżawia“, spiskują na cara, na jego rodzinę, na istniejący porządek w państwie, marzą o rosyjskiej republice na gruzach caratu i Cerkwi... W tych ciężkich warunkach każda chwila jest droga. Musi car koniecznie zdobyć się na energiczny czyn i zgnieść „djabelskie larwy“, co jego tron obśiadły: pozbawić władzy Golicyna, rozpędzić Towarzystwo Biblijne, rozpędzić metodystów, zamknąć departament obcych wyznań, popalić złe książki, synodowi przywrócić dawny blask i dawne jego prawa... działać śmiało i szybko, jak już raz o tem mówił, bo niebawem może być zapóźno!...

„Przeżegnałem Najjaśniejszego Pana i parę kroków odstąpiłem od niego, pisze archimandryta w swoim pamiętniku, a pokorny car, rzekłbyś słodki Dawid, mądry według słowa Bożego monarcha, godne naczynie Ducha Świętego, ukląkł i do nóg moich się pochylił... Wówczas, dodaje Focjusz, ujrzałem, jak łaska Ducha Świętego w postaci rosy, spływającej na runo i w postaci kłębow wonnego kadzidla zesła

na niego... Gdy podniósł się imperator, blask światła Bożego bił z jego oblicza“.

Zapał, podniecenie, elokwencja, na jaką się silił w czasie długiej rozmowy, wyczerpały mnicha. Tętniało mu w uszach, piekły policzki, kroplisty pot oblewał mu czoło, szyję, kark (zatyłok), piersi, plecy i „wszystko, co jeszcze niżej było“, jak się sam przyznawał, ale nigdy nie był tak z siebie zadowolony, jak po tej ostatniej bytności w Pałacu Zimowym.

Niezmordowany w walce z wrogami wiary, 29 kwietnia przez Uwarowa śle Focjusz Aleksandrowi drugi sążnisty list, — tym razem „o planie rewolucji, czyli o bezprawiaach, dokonanych przez tajne stowarzyszenia w Rosji i na całym świecie“. Na początku maja wypycha do Aleksandra starego Serafina,¹⁾ metropolite, pierwszego dostojnika rosyjskiej Cerkwi z odpowiednią instrukcją, a w parę dni później na salonach u „córy dziewicy“, wobec licznie zgromadzonych gości, po ostrej sprzeczce z Golicynem, który niespodziewanie przyszedł z wizytą do hr. Orłowej, rzuca na niego klątwę! „Nie ujrysz królestwa niebieskiego, miał wołać wtedy zawzięty mnich na zmieszanego ministra, piekło cię czeka, jeżeli nie odpokutujesz za twoje grzechy...“

Kampanja przeciwko Golicynowi dobiegała końca. 15 maja 1824 r. dawny przyjaciel i powiernik Aleksandra, który „czystem słowem Boga Żywego“ chciał odrodzić Rosję, otrzymywał dymisję ze stanowiska ministra oświaty i wyznań i jednocześnie na otarcie łez nominację na głównego dyrektora poczt w cesarstwie!

„Raduj się, przewielebny Ojcze, pisał wkrótce po tych wypadkach Focjusz do swego przyjaciela archimandryty Gerasima, nieuczciwość ustała, rozpadło się bluźniercze i djabelskie wojsko, oniemiał język sekt i herezji, wszelkie związki, wrogie Bogu, runęły. Jedynym naszym ministrem jest teraz Chrystus Pan na chwałę Boga Ojca. Amen!“

Towarzystwo Biblijne chwilowo uniknęło zagłady. Nie zniósł car drogiej mu instytucji, ale zezwolił bigotom ortodoksom, którzy opanowali ministerjum oświaty, tępić bezli-

¹⁾ Ob. Suchomlinow. O. c. *Żurnal Ministerstwa Nar. Proswieszczenia* 1868 r., ks. I, str. 79.

tośnie „heretyckie chwasty“, — i, słaby, bezwolny błogosławił ich gospodarce, jak przed paru laty błogosławił mistycznym wybrykom Golicyna!

Przerwano tłumaczenie Biblii na język rosyjski, zamknięto redakcję słynnych „Wiadomości biblijnych“; oddani są pod sąd cenzorowie książek von Pohl, Birjukow, nawet drukarze Kraj i Grecz... Pod oknami nowego ministra oświaty, admirała A. Szyszkowa, pali kat petersburski stosy mistycznych foljałów, a predykanci Gossner, Fessler i t. p., obawiając się represji, cichaczem zmykają zagranicę... Następowały ostatnie, — najsmutniejsze i najciemniejsze lata w życiu Aleksandra.

(Dok. nast.)

Biskup Michał Godlewski.

Towianizm na tle historycznem.

(Ciąg dalszy).

V. Metempsychoza i reinkarnacja.

Od samego początku wystąpienia swego na zewnątrz Towiański zrażał rodaków, szczerze po katolicku wierzących, przekonaniami swemi o przechodzeniu dusz ludzkich po śmierci w istoty, mające życie dalsze w innych kształtach. Zanim jeszcze Towiański wystąpił w Paryżu wobec emigracji polskiej, już przedtem w przejeździe swym z Litwy do Francji przez Poznań dał się z tej strony poznać X. Arcybiskupowi Duninowi, który tak potem (7 lutego 1842 r.) pisał do X. Jełowickiego: „Co do p. Towiańskiego, znam go z krótkiego widzenia, gdy tu przejeżdżał. Jego ujmująca powierzchowna postawa i okazywany duch religijny ujęły mnie i wzbudziły w pierwszym momencie szacunek; wyjawiony zaś w dalszej rozmowie błędny sposób myślenia o przechodzie dusz ludzkich mocno mnie zraził i zaufanie zniweczył”.¹⁾

Co jednak zraziło arcybiskupa poznańskiego, to mogło właśnie jak najlepiej usposobić Poetę, który na wiele lat przed poznaniem Towiańskiego już z wierzeń ludowych białoruskich przejął wiarę w metempsychozę i wprowadził ją pierwszy do poezji polskiej. Wszak to już w obu częściach *Dziadów*, wydrukowanych w Wilnie 1823 r., wprowadzone są dusze niegdyś ludzkie w postaciach sów, puha-czów, kruków, kołatka, motyla, ćmy... W miesiącach drugiej połowy r. 1841 w Paryżu, kiedy po uzdrowieniu żony

¹⁾ O. Smolikowski, Zmartwychwstańcy i Towiańszczyzna, *Przegląd Polski*, lipiec 1894, str. 86—93.

Mickiewicza Towiański zupełnie zyskał zaufanie i wdzięczność Poety, po najpoufniejszych rozmowach w Nanterre zostawiał mistrz Andrzej własnoręczne swe zapiski *pro memoria* dla Poety, w których właśnie wtajemniczał Mickiewicza w przeszłe jego Żywoty. Czytamy tam w notatce¹⁾ z dn. 4 października 1841 r. o Mickiewiczuz:

„Był rycerzem kamiennym, znanym z odwagi, stałości i surowego życia. Był zakonnikiem, znanym z surowości i męczeństwa. Był Dziewicą Orleańską. Był prorokiem przed Jezusem Chrystusem. Dziś nim jest i przed trzecim [okresem?] będzie. Ostatnie żywota cierpi za niespełnianie upominku Pańskiego“.

Powyższa notatka rozwinięta jest dokładniej w zapisach Towiańskiego z dn. 14 i 15 października 1841 roku, z których ważniejsze tylko zdania przytaczamy:

„...Jego (Mickiewicza) liczba pięć. Cztery żywota odbył. Piąty ma odbyć... Niech uczy się z własnych pism a zobaczy duchem, co jemu niedostaje. Mało dziś jemu być Jeanne d'Arc; trzeba życie ducha wydobyć...“

Do próżnej Johanny weszła jedna część myśli Boga; dla nieczuwania nie posłyszała drugiej. Opuszczona zato od Boga, spalona była.

Z próżności wieszcz i Johanna z próżności do cudów powołana; a po wypróżnieniu się ma żywić się ogniem własnem staraniem; do tego w żywocie Johanny już był powołany... Dziś jest (M.) na punkcie Johanny; jak Johanna może przerwać myśli Boskie nieczuwaniem“.²⁾

¹⁾ ŻAM. t. III, str. XXII—XXIII (na końcu tomu).

²⁾ ŻAM. j. w. str. XXIII. — W siedem lat potem inaczej o przeszłych żywotach Mickiewicza mówił Towiański Leonowi Chrzanowskiemu, młodemu poecie z ziemi krakowskiej. Było to w czasie naprężonych stosunków Mickiewicza z Mistrzem. Towiański mówił L. Chrzanowskiemu dn. 25 czerwca 1847 r.:

„Mickiewicz duch stary, wielki, [wielkimi rachunkami z Polskąłączony, który był kilka razy to królem polskim, to piastował najwyższe urzęda w Kościele w Polsce; który wiele się zadłużył i stąd wielka myśl na nim spoczywa — Mickiewicz — mówię, znów jarzmiony jest przez szatana. Tak Bóg dopuścił też z jego rachunków“.

(„Noty ze słów Mistrza... Rozmowa z Mistrzem dnia 25 czerwca“). Drobne zeszytiki, przechowane w Bibliotece Raperswilskiej. Poznanie ich zawdzięczam Drowi A. Lewakowi.

Mamy tu próbkę stosowania reinkarnacji jako przestrogi, aby korzystać z dawniejszych żywotów i mieć z nich naukę postępowania w życiu bieżącym. Inne takie próbki przytoczymy jeszcze w dalszych przykładach. Zanim do nich przyjdziemy, chcielibyśmy przedtem bodaj w najogólniejszym zarysie przypomnieć, jakimi drogami szły wogóle wierzenia w metempsychozę i reinkarnację. Wiarę o przejściu duszy ludzkiej z jednego ciała w drugie przypisywał już Herodot (II. § 123) błędnie pierwszym Egipcjanom wraz z ich wyobrażeniami o cyklu trzech tysięcy lat, w ciągu których dokonywała się na ziemi, w wodzie i w powietrzu wieczna wędrówka dusz, jako istot nieśmiertelnych. Ale, jak to nowsze badania wykazały, wiara w metempsychozę nie powstała w Egipcie, tylko przedostała się do Egiptu i Grecji drogą światowego handlu przez Fenicjan z Indyj.¹⁾ Już bowiem w szóstym wieku przed Chr. znaną była w Indjach nauka o prabycie dusz ludzkich i ich metempsychozach. W zbiorze starych prawodawczych ksiąg *Manu* jest już nauka o metempsychozie zupełnie ustalona. Dusza człowieka, który złe czyny popełnił, przechodzi po śmierci w różne stworzenia, stosownie do natury popełnionych grzechów. Za grzechy mowy przechodzi człowiek w ptaka, albo w zwierzę czworonożne, za przekroczenia duchowe rodzić się musi na nowo w najniższej klasie ludzkości. Jako przykłady metempsychozy dowiadujemy się z ksiąg *Manu*, że koniokrad staje się tygrysem, zbożokrad szczurem, złodziej owoców staje się małpą i t. d. W ogóle bezbożnik, ospalec, okrutnik przeradza się następnie w zwierzę. Człowiek szlachetny, bogobożny, asceta i pokutnik już na ziemi zbliża się do bóstwa, a po śmierci dostaje się odrazu do nieba Brahmy, do szczytu przemian, skąd już niema potrzeby dalszej metempsychozy. Księga *Manu* zna nie tylko przemiany w ciało

¹⁾ Dokładną krytykę dawniejszych poglądów Zellera przeprowadził jednak nasz X. (ksiądz) Feliks Laudowicz w rozprawie: *Wesen und Ursprung der Lehre von der Präexistenz der Seele und von der Seelenwanderung in der griechischen Philosophie...* Berlin (1897). Łacińska rozprawa F. Laudowicza ukazała się p. t. „*De doctrinis ad animarum praexistentiam atque metempsychosin spectantibus...* quaestiones auctore Felice Laudowicz, parcho Kwilecensi, Lipsiae vendit G. Fock. 1898.

zwierząt, ale także i w rośliny. W ogóle wierzenia staroindyjskie stawiały obok wiary w Brahme bardzo rozpowszechnioną naukę o przechodzeniu dusz (*samsara*), która mogła sięgać prastarych, autochtonicznych tradycji indo-europejskich.¹⁾

Bardzo wyraźne analogie nauki indyjskiej o metempsychozie odnajdujemy w naukach helleńskich Pytagorasa, Empedoklesa i Platona.²⁾ Pod wpływem wierzeń staroindyjskich Pytagorejczycy propagowali naukę o metem somatozie, co było dokładniejszym tylko określeniem metempsychozy, nie dusza bowiem się zmieniała w wędrówkach swych, ale jej powłoka materialna, czyli w ogóle ciało (*soma*). Pytagoras uczył, że dusza jest nieśmiertelna sama w sobie, ale przechodzi w stworzenia różnych rodzajów; tak n. p. sam Pytagoras uważał się za piątą reinkarnację syna Hermesa ze zdolnością przypominania sobie serji swych stanów poprzednich. Ta *anamnezis* (przypominanie sobie) pozwalała pamiętać o stanach przeżycia dawniejszego w roślinach i zwierzętach, przez które dusze niegdyś przechodziły. Nowa inkarnacja świadczyła zawsze o tem, że dusza nie zakończyła jeszcze okresu swych oczyszczeń się w ciągu palinogenezy, która była tylko etapem i środkiem do osiągnięcia kiedyś ostatecznego odkupienia. Dochowały się wiersze Xenofanesa, współczesnego Pytagorasowi; zatrzymuje on kogoś, co bije kijem psa: „przestań go bić, — woła — bo bez wątpienia jest w psie tym dusza jednego z mych przyjaciół; po głosie psa poznałem duszę“. W związku z takim wierzeniem w metem somatozę, miał także być zakaz u Pytagorejczyków pożywania bobu, ponieważ roślina ta ze względu na prostą łodygę miała być naturalnem, łatwem przejściem dla dusz, przedostających się z Hadesu na światło dzienne.³⁾

¹⁾ Laudowicz, rozprawy niemieckiej stronice 102—108. — R. Grousset, *Hist. de la philosophie orientale*, Paris, 1923 str. 33. Sylvain Lévi, *La transmigration des âmes et les croyances hindoues*, Musée Guimet, 1905.

²⁾ Laudowicz, l. c. 108—109.

³⁾ L. Robin, *La pensée grecque... (L'évolution de l'humanité)* Paris, 1923. *La Renaissance du livre*, str. 82—85.

W określeniu stosunków duszy do ciała teozofja pogańska nie zdobyła się na szczyty wyższe od Buddy i Plotina. W szóstym wieku przed Chrystusem Buddha był najwyższym wyrazicielem tęsknoty Indji do wyzwolenia duszy ludzkiej z więzów cielesnych, a to przez stopniowe uduchowanie człowieka. Świat zaś helleńsko-rzymski tylko w Plotinie (204—269 po Chr., czasy cesarza Gallienusa) potrafił, idąc wzorem Pytagorasa, przez surową askezę osiągnąć stan bezpośredniego połączenia się z bóstwem w zachwycie ekstazy. Plotin dotarł do przedsionka Prawdy, ale go nie przekroczył.¹⁾

Ale nawet i Plotin jeszcze uczył, że dusza ludzka po śmierci ciała tam idzie, dokąd ją ciągnie całe usposobienie; przewidywał n. p., że dusze erotyków i muzyków przejdą po śmierci w sferę demonów, dusze bardziej zmysłowe w ciała zwierząt wyższych lub niższych, dusze wreszcie ludzi o naturze roślinnej wejdą z czasem w rośliny, jako ich siły żywotne.

Na przestrzeni wieków, między Buddhą a Plotinem, tęsknota ludzka ku rozwiązaniu zagadki bytu radziła sobie jak mogła, bądź to metensomatozą, bądź metempsychozą wogóle, bądź reinkarnacją, która zawierała się tylko w zakresie wędrówek duszy między ciałami ludzkimi. Nauka o dawnych pra-bytach w niebie i powrotach na ziemię za grzechy jest, jak wiadomo, starym błędem, który zwalczał już św. Hieronim w listach do Demedriady (Migne, P. L. c. 1120): *Haec impia et scelerata doctrina olim in Aegypto et Orientis partibus versabatur et nunc abscondite serpif in paucis.*

Błąd Oryginesa tak osądzony przez św. Hieronima (do Avita, Migne t. XXII, c. 1063): *Et ad extremum ne teneatur Pythagorici dogmatis reus qui asserit metempsychosin... Haec inquit non sint dogmata sed quaesita tantum atque projecta.*

¹⁾ Nie mogąc tu wchodzić w szczegóły, które oddaliłyby nas zbytnio od tematu głównego naszej pracy, odsyłam czytelników, interesujących się tem zagadnieniem, do wybornego studjum: „Theosophie und Christentum von Alois Mager O. S. B. Berlin, 1922 (Ferd. Dümmlers Verlag) str. 20—32; zwłaszcza rozdział 3: „Seele und Seelenwanderung“ (str. 59—86). Co do Plotina ob. także Robina j. w. str. 440—453.

Ustępu z ewangelji u św. Mateusza XI, 14 nadużywano oddawna, a także w XIX i XX wiekach do rzekomej tezy o reinkarnacji. Chrystus Pan mówi tam o św. Janie Chrzcicielu: *et si vultis recipere, ipse est Elias qui venturus est*. Pojmowano to jako reinkarnację Eljasza w św. Janie Chrzcicielu.¹⁾ Lecz sam Jan Chrzciciel (Ew. u św. Jana I, 19—21), gdy kapłani z Jeruzalem przybyli do niego i zapytywali go: *Ktoś ty jest?* Wyznał, że nie jest Chrystusem, a kiedy pytali: „Jesteś ty Eljasz?” Rzekł: „Nie jestem”. Jakże więc pogodzić słowa Chrystusa Pana i słowa Jana Chrzciciela? Na to już dawno odpowiedział Grzegorz W. w homilji 7: *Joannes igitur in spiritu Elias erat, in persona Elias non erat. Quod ergo Dominus fateatur de spiritu, hoc Joannes denegat de persona*. (U św. Augustyna in Ioann. tract. 4. n. 6). — Wogóle zaś trzeba wiedzieć, że u Hebrejczyków wiara w reinkarnację szerzyła się pod wpływem szkoły platońsko-aleksandryjskiej. Tak n. p. Herod tetrarcha rzekł o Jezusie Chrystusie: „Ten ci jest Jan Chrzciciel, on zmartwychwstał i dlatego cuda się pokazują w nim (św. Mateusz XIV, 2). Zapamiętania na reinkarnację były rozpowszechnione, skoro na pytanie Jezusa w Cezarei, za kogo Go ludzie uważają (Mat. XVI, 14), rzekli Mu: „Jedni mienią Janem Chrzcicielem, a drudzy Eljaszem, a inszy Jeremiaszem, albo jednym z proroków”.

Konsekwencje reinkarnacji wogóle wykazywał *ad absurdum* św. Augustyn w dziele *De civit. Dei* I. 10, c. 30.

Niepodobna tutaj rozwodzić się nad stosunkiem neoplatonizmu, gnostyków, Filona, talmudu i kabalistów do metempsychozy wogóle. Wymagałoby to osobnej rozprawy.²⁾

Drażniące ludzkość pytanie o losach duszy ludzkiej po śmierci ciała niepokoiło nie tyle filozofów co teozofów na przestrzeni tysięcy lat i setek ludów. Nie było narodu i nie było wieku, w którymby nie szukano rozwiązania bo-

¹⁾ Pryse, *Reincarnation in the New Testament*. New York 1904. — Ob. wywody teologiczne w podręczniku: Giovanni Busnelli S. J. *La Reincarnazione*. Roma 1915. „*Civiltà Cattolica*”. Zwłaszcza str. 44—61. — Tamże bibliografia dawniejsza i nowsza.

²⁾ Wystarczy tu odesłać do rozprawy łacińskiej X. F. Laudowicza l. c. str. 14—39.

lesnej zagadki bytu wogóle, a losów duszy w szczególności. Myśl o wędrówkach duszy z żywota w żywot jednych nęciła, drugich raziła, a nawet przerażała. Wystarczy tu, jako przykład, przytoczyć poetę XVI wieku o wysokiej kulturze humanistycznej. Głośny we Francji i u nas Ronsard takie wyrażał niepokoje z powodu nauki o metempsychozie:

„Je te suply, prophète véritable
Dy moi, s'il est croyable
Que les esprits qui sont sortis dehors,
De leur vieux corps r'entrent en nouveaux corps?
Quelle fureur? quelle maudite envie
Les tient ainsi de retourner en vie?
Et quand doit-il l'homme esperer un repos?
...Donques la mort n'est la fin de nos maux,
Nous revivons pour mourir à toute heure
Errans sans fin, sans repos, ni demeure!“

Jaką drogą nauka o metempsychozie dotarła na Litwie do Andrzeja Towiańskiego? niepodobna dziś wobec braku wyraźnych, autentycznych świadectw odpowiedzieć rozstrzygająco na to pytanie. Zapytywali już o to współcześni, pytał X. Kaysiewicz Mickiewicza, który zaprzeczył, jakoby źródłem nauki miała być indyjska nauka o metempsychozie; nie dał jednak sam jasnej odpowiedzi na pytanie, dręczące wierzącego katolika.¹⁾

Bądź co bądź, Towiański nie robił wobec uczniów swych tajemnicy z tego, że wiara w metempsychozę i reinkarnację należała do składników zasadniczych jego nauki. Mamy cały szereg całkiem wiarygodnych notat, spisanych w różnych latach przez gorliwych wyznawców „sprawy“. Sam sposób zapisywania tych rozmów z „mistrzem“ świadczy, że mówił on o metempsychozie, jako czemś ogólnie już uczniom swym znanem i uznanem. Niektóre z tych notat podał prof. Nehring jeszcze w r. 1888 w drugim roczniku Pamiętnika Tow. im. Mickiewicza (PTM, II, 66—94) p. t. „Nieznane szczegóły z nauki A. Towiańskiego“. W roczniku zaś czwartym tego pamiętnika (1890 r.) podał prof.

¹⁾ O poglądzie metafizycznym i socjologicznym Towiańskiego wobec katolicyzmu pisał krótko. (za krótko, niestety!) X. prof. Gabryl w studjum swem o Andrzeju Towiańskim w *Afeneum Kapłańskiem*. (Rok 1912, str. 399—404).

Nehring obfitsze „Wyciągi z rękopisu Stefana Zana“ (PTM. IV, 221—252). Żałować trzeba, że nie są jeszcze ogłoszone w całości zapiski ważne innych wyznawców Towiańskiego, jak E. Januszkiewicza, A. Chodźki i F. Wrotnowskiego. Kiedyś dopiero, skoro wyjdą na jaw możliwie wszystkie notaty towiańczyków, będzie można oprzeć na nich dokładny obraz nauki i wierzeń A. Towiańskiego na podstawie tekstów nawzajem się dopełniających i uzgodnionych. Obecnie zestawimy tylko niektóre ważniejsze teksty, bądź to już przez Nehringa wydane, bądź też takie, które tu po raz pierwszy ogłaszamy, ograniczając się do tekstów, dotyczących *metempsychozy*, jako wędrówki duszy, celem doskonalenia się ducha:

Z rękopisu Stefana Zana:

„Pójść“ na żywota (!) jest to okropna kara, nieraz wiele wieków trwająca, a czasem do drugiej epoki odłożona. — Niejeden z Żydów, stawiający opór za Chrystusa, dziś się dopiero oczyszcza.

Tyran, co lud uciskał, często jest w koniu, co wozi piasek, cegłę, kamienie, marmury na pomnik, na kolumnę, jaką mu lud stawia...

Duch wielki może być w zbój, w zwierzęciu za karę...

Koń w nędzy, zbity, jęczący, ostatnim jękiem wyzwala ducha. Każdy bicz na niego policzony u Pana Boga...

Nelson przeszedł w konia i jest takim sposobem najnielitościwiej dręczony¹⁾

Z notat Aleksandra Chodźki:

„Choćbym wiedział historję każdej godziny życia twego, skąd wiedzieć historję żywotów przeszłych ducha twego?“...

„Jedną z cech charakterystycznych tej epoki jest i to, że najwięksi w oczach ludzi zbrodniarze, osądzeni na śmierć lub łańcuchy, ci, którym po śmierci odmawiają pogrzebu, są najwyżsi u Boga i wprost idą na świętych. Te męki i poniżenie są ostatnie wypłaty ich rachunku. Przeciwnie zaś ludzie, których dziś uważają za świętych, których kanonizują (!), są to najwięksi w duchu zbrodniarze. Jako bliższemu w Kole, mogę ci powiedzieć, że tacy po śmierci wprost przechodzą do zwierząt, do koni, dziś dźwigających ogromne kłody, katowanych i t. d. Nelson jest

¹⁾ PTM. II 91, 92. — PTM. IV, 238.

takim sposobem najnielitościwiej dręczony. Wszystkich Anglików mniej więcej (!!) podobny los czeka.“¹⁾

Z przemowy do W. Stiecha:

„Mamy w Kole brata, który był Ludwikiem XIV; wprowadził on naród francuski w rozpustę, teraz biedny, cierpi i nie znajdzie pokoju, póki Francuzom nie odpłaci. Jest tu jeden, który był królem francuskim temu lat 250; był on bardzo rozpustnym; zepsuł jedną panienkę nie tylko na ciele, ale i na duszy. Jest ona dzisiaj jego żoną, pędzi go, dociska, żeby jej odpłacił. On się wzbrania jak może, ale duchy ciągle go otaczają i do odpłaty pędzą: pokoju mu nie dają.

Brat Adam musi prowadzić swoją żonę: jest on już wieki z nią złączony; a jak on jeden krok w bok zrobi, to ona dwadzieścia kroków skoczy, a on odpowiada.“ — [Z zapisek br. Stan. Chodźki, w Solurze 14. IX. 1844 r.].

Z notatek własnoręcznych Eustachego Januszkiewicza (w Zurychu 12. II. 1845 r.):

Ferdynand Gut (szwagier Towiańskiego) „był świętym i raz nawet modlił się w świątyni, dla siebie wystawionej“.

„Siostra Xawera Deyblówna, księżniczka Izraelska, do wielkich przeznaczeń gotowana“.

Do Michała Chodźki w Bazylei 1844 r.:

„Wszyscyście Bracia byli w ciele, jeszcze przed Chrystusem i dla tego do nas należy ster. Cała Emigracja powołana do Sprawy“.

Jako ogólny punkt widzenia co do metempsychozy, przytoczyć wreszcie trzeba zdarzenie takie: „pies zabłocony łaścił się do Towiańskiego, który go jednak nie odpędza, aby go nie skrzywdzić: „byłaby to — mówił — obraza nie tylko dla niego, ale i dla wszystkich duchów tamtego świata, na jednej linii z nim będących“.²⁾

Jako dowód propagowania tezy metempsychicznej przytoczyć należy te słowa końcowe z przemówienia Mickiewicza w Kole (data niepewna):

¹⁾ PTM. IV. 244.

²⁾ A. Baumfeld: A. Towiański i Towianizm. Zarys chwili i postaci skreślił... Kraków, 1908, str. 40.

...„duchy stare naszych przodków, panów, poprzehodziły w chłopów; wołały się już w nędzy urodzić, aby tylko w większym wyzwoleniu i swobodzie ducha żyć...”¹⁾

W liście z Lozany 1 lipca 1845 r. donosił Mickiewicz Towiańskiemu, że naczelnik tamtejszy Druey „brał do głębi”, co mu Mickiewicz wyjawiał w „duchu Sprawy”. Otóż Druey „sam powiedział raz w rozmowie, że może w przeszłym żywocie był wołem”.²⁾

Towiański zaś w liście do Mickiewicza z Zurychu (31. X. 1845 r.) zapewnia go: „Widziałem wielkiego Izraela w powłoce konia, męczennika, po męczeńskim żywocie, w chwili skonu, wydającego drgnięcie ducha, na które Bóg cierpliwy, miłosierny długo oczekiwał — w powłoce człowieka”.³⁾

W końcu zaznaczyć trzeba, że według wiernego wyznawcy towianizmu: „metempsychoza ułatwiała Towiańskiemu zrozumienie sposobów, które natura ludzka oczyszcza się ze złego”.⁴⁾

¹⁾ Współudział, t. I., 71.

²⁾ Współudział t. I., 254.

³⁾ Wsp. I. 305. — Podobnie o koniu w PAT. II, 297. „stworzeniu które jest także bliźnim twoim”. Ob. także PAT I, 293.

⁴⁾ Z uwag Tankreda Canonico w rozmowie ustnej.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Prof. J. Kallenbach.

Historja literatury polskiej w ostatniem pięcioleciu.

(Ciąg dalszy)

Całokształt dzieł pomocniczych ze wszystkich działów nauki zestawia dr. J. Grycz w swoim nader praktycznie pomyślanym, a krytycznie i sumiennie wykonanym *Przewodniku dla korzystających z bibliotek*.¹⁾ Dając szereg wiadomości z zakresu bibliotekoznawstwa i księgoznawstwa, wprowadza zarazem bardzo dobrze w technikę pracy naukowej. Tęż autor *Katalog biblioteki podręcznej czytelnika oraz biura katalogowego*²⁾ Biblioteki Jagiellońskiej, o którym tu również, może trochę w niewłaściwym miejscu przychodzi nam wspomnieć, ułożony celowo i przejrzyście, jest również niezbędny dla historyka literatury, jak dla każdego pracownika naukowego. Pomijam przygodne zestawienie bibliograficzne, np. słowiańskich przekładów *Pana Tadeusza*,³⁾ bibliografię prac o Asnyku,⁴⁾ bibliografię prac znakomitych uczonych: zmarłego w r. 1924 r. K. Wojciechowskiego w wydawnictwach jego pamięci poświęconych i J. Kallenbacha z okazji 40-lecia pracy naukowej⁵⁾ i w. i.

Bibliografia bieżąca ogólna jest notowana w budzących się do życia na nowo po wojnie czasopismach biblio-

¹⁾ Kraków, T. S. L. 1925.

²⁾ Kraków, nakł. i druk. ofiarowany Bibl. Jagiel. przez drukarnię W. L. Anczyca.

³⁾ Spraw. z rozprawy p. Gołąbka (Spraw. Akad. 1924, nr. 4).

⁴⁾ *Now. Ref.* 1922, nr. 173.

⁵⁾ W księdze pam. „Józefowi Kallenbachowi... dawni uczniowie“, Lwów, Ossol. 1925.

graficznych. W r. 1922 wyszedł po ośmiu latach przerwy zasłużony *Przewodnik bibliograficzny* pod redakcją Wł. Tad. Wiślockiego, zawierający bibliografię za rok 1920. W tymże roku pojawił się w Warszawie również *Przewodnik bibliograficzny* pod redakcją Jana Muszkowskiego i Mieczysława Rulikowskiego jako dodatek do miesięcznika *Książka*, rozpoczynając systematyczną rejestrację druków od 1 stycznia 1922. Niestety *Książka* nie utrzymała się. Nie może jej zastąpić wychodzący od listopada 1923 roku w Warszawie *Przegląd bibliograficzny* dwutygodnik, poświęcony zobrazowaniu ruchu wydawniczego w Polsce i zagranicą, redagowany początkowo przez Rulikowskiego, od r. 1924 przez Mościckiego. Zawiera oprócz bibliografii również dział sprawozdawczy. *Przewodnik bibliograficzny* lwowski zmartwychwstał w r. 1924, redaguje go Wiślocki. Działu sprawozdawczego nie posiada, przewyższa natomiast *Przegląd* zupełnością zebranego materiału. Oba te pisma wychodzą do dziś. Bibliografię prac z zakresu humanistyki zamieszcza założony w r. 1922 *Przegląd humanistyczny*. *Bibliotekę pedagogiczną* wydaje Ministerstwo oświaty, bibliografię bibliofilstwa i bibliografii polskiej ogłasza Wiślocki w „Exlibrisie”. Bibliografia, dotycząca specjalnie literatury, prowadzona przed wojną tak sumiennie przez jedyne nasze pismo zawodowe, lwowski *Pamiętnik literacki* uległa przerwie. Dopiero w roczniku XIX za rok 1921 (wyszedł w r. 1922) znajdujemy zestawione przez Wiktora Hahn'a *Wiadomości bibliograficzne od lipca 1918 do 31 grudnia 1921 r.* Obejmują one tylko wydawnictwa ogłoszone osobno drukiem, a więc nie dają obrazu całości. Następne dwa roczniki *Pamiętnika* nie mogły z powodu kosztów druku pomieścić bibliografii. I dopiero w roku 1925 pojawiła się *Bibliografia literatury polskiej za rok 1922*. Opracował dr. Stefan Vrtel-Wierczyński, Lwów, wyd. z zas. Min. W. R. i O. P., nakładem Towarzystwa liter. im. Mickiewicza. Jak widzimy więc braki są ogromne, a wypełnieniu ich staje na przeszkodzie nie brak chętnych i zdolnych pracowników, lecz tak hamująca naszą pracę kulturalną kwestja braku funduszy.

Z zakresu bibliografii stosowanej należy jeszcze zanotować ukazanie się pracy Ludwika Czarkowskiego:

Pseudonimy i kryptonimy polskie, Wilno 1922, która tylko ilością a nie jakością przewyższa poprzedników; wraz z recenzją dra Barańskiego w „Exlibrisie” z. V, która przynosi ważne sprostowania i uzupełnienia, cały to plon pracy w tej dziedzinie.

Na zakończenie niech mi wolno będzie wspomnieć już tylko z tytułu jedyną pracę teoretyczną, książkę S. Vrtel-Wierczyńskiego: *Bibliografia, jej istota, przedmiot i początki*, Lwów, nakł. Tow. nauk. 1923.

Sprawa dwóch nauk, nie wymienionych przez Ptaszyckiego, które możnaby uważać za nauki pomocnicze historii literatury, została poruszona w kilku artykułach. Na ogromne zaniedbanie u nas biografji, uważanej przez Anglików za osobną, obok historii, naukę, zwraca uwagę prof. Konopczyński w artykule „O polską biografję narodową” (*Przegl. Warszawski*, rok 2, 1922, nr. 5). Przypominając, że wszystkie niemal narody zachodnio-europejskie posiadają oddawna obszerne słowniki biograficzne, wobec niepokonalnych w dzisiejszych warunkach trudności stworzenia u nas podobnego kompendjum biograficznego, proponuje załatwienie tej sprawy u nas drogą wydawania specjalnego czasopisma, albo stworzenia rodzaju „biblioteki”, obejmującej poszczególne życiorysy bez ustalenia porządku chronologicznego, czy alfabetycznego.

Ważną sprawę stylistyki poruszył krakowski romanista prof. Wędkiewicz w odczycie w Towarzystwie miłośników języka polskiego w Krakowie, nie różniącym się w swych wywodach od broszury tegoż autora z roku 1914 (*O stylu i stylistyce*, Kraków). „Stylistyka tradycyjna, po starożytnych odziedziczona była poprostu zbiorem przepisów poprawnego i estetycznie skutecznego wysłowienia, albo też apriorycznym systemem uczącym... formułowania sądów estetycznych”. Dziś usiłuje stylistyka stać się nauką nowożytną i określić swój przedmiot i metody. Głównym problemem zarówno odczytu prof. Wędkiewicza, jak drukowanych z nim razem artykułików dyskusyjnych językoznawców krakowskich (profesorowie Łoś, Nitsch, Kowalski i Rozwadowski)¹⁾ jest nakreślenie granicy pomiędzy stylistyką a gra-

¹⁾ *Język Polski*, rocznik VII, 1922, nr. 2.

matyką naukową. Zdobywcze tej dyskusji stanowią część wywodów prof. Gaertnera, który w swej pracy *O zadaniach stylistyki* (Prace komisji językowej Akademii Umiejętności, Kraków 1923) ujmując sprawę bardzo metodycznie i wyczerpująco. Jasne jest, że znaczenie tej nowej stylistyki, jako nauki o stylach, która „powinna badać zjawiska językowe w ich jednorazowych, odrębnych ugrupowaniach na podłożu jakiejś indywidualności”, a w przyszłości dojdzie może, w myśl życzeń p. Gaertnera do ustalania „typów stylistycznych”, będzie dla historii literatury większe niż owa dawna stylistyka normatywna. Określenie jednak i sprecyzowanie tego znaczenia czeka jeszcze na swego autora.

Do nauk, które podają pomocną rękę historii literatury należy dalej estetyka, a specjalnie ten dział jej, który graniczy z metodą krytyki literackiej. W dziedzinie tej mamy do zanotowania kilka pięknych prac. Należą tu w pierwszym rzędzie studia prof. Kleina, głębokie, a wytworne, jak wszystko, co wychodzi z pod jego pióra. *Fikcja intelektualna w literaturze*,¹⁾ to nie owa fikcja fantastyczna, dająca zaspokojenie wyobraźni i uczuć, ale ta, która usiłuje zaspokoić nasze pragnienie prawdy, dając nam w literaturze „taki obraz świata, jakiegoby umysł żądał od rzeczywistości”, bez owych, tak boleśnie w życiu prawdziwym odczuwanych, „luk, bez zagadek, bez przerw, bez plam zaciemniających. Każdy czyn wyjaśni jego motywami, ukaże sprężyny faktów — przedstawi życie jako zrozumiałe i zrozumiane”. W interesującym obrazie kreśli autor stosunek literatury do fikcji intelektualnej, posługiwanie się nią lub zwalczanie jej w różnych epokach.

*Treść i forma w poezji*²⁾ to poddanie rewizji dotychczasowych znaczeń tych dwu wyrazów. Nie oznaczają one grup odmiennych wśród składników dzieła, lecz stosunki wzajemne.

Kwestjami estetycznymi zajmuje się z zamiłowaniem p. Życzynski którego *Teoria dramatu* (Cieszyn 1922) jest — jak głosi podtytuł — „systematycznym wykładem, obejmującym

¹⁾ *Przegląd Warszawski*, 1922, nr. 8.

²⁾ Tamże nr. 9. Oba artykuły przedrukowane następnie w tegoż autora „*Studiach z zakresu literatury i filozofji*” (Warszawa, Instytut wyd. „Biblioteka polska”, 1925).

zasady kompozycji i techniki dramatycznej, oraz charakterystykę stylów i gatunków poezji dramatycznej, uzupełnionym wzorami krytycznego rozbioru utworów dramatycznych". Książka ma wartość jako jedyna u nas próba przedstawienia całości „dramatyki”.

Autor stara się ująć temat swój wyczerpująco, nie zominając ani o psychologii twórczości poety dramatycznego, której rysem dominującym jest refleksja, ani o istocie poezji dramatycznej i różnicach, dzielących ją od liryki i epiki; główny jednak nacisk położony jest na rozpatrzenie techniki dramatycznej. Ta część pracy stanowi może największą jej wartość. Charakter ujęcia jest popularno-naukowy, książka jest rodzajem podręcznika, opartego na pracy poprzedników i usiłującego godzić różne poglądy. Szkoda jednak, że przedstawienie i wcześniejszych tych poglądów w umieszczonym na wstępie szkicu historycznym wypadło tak... szkicowo. Sposób przedstawienia niektórych spraw pobudza do dyskusji, na którą niema miejsca w sprawozdawczym artykule, są pewne niedokładności w przykładach. Ze względu na popularny charakter książki należy jednak koniecznie, choć nawiasowo zwrócić uwagę na spotykane błędy zecerskie, które powodują zniekształcenie takich świętości literackich, jak n. p. cytowany na str. 45 dialog Lilli Wenedy z Lelum.

W ten sposób wracamy znowu do tego, od czego wyszliśmy na początku, to jest do teorii, zamykając w ten sposób koło wstępnych wiadomości. Teraz już, nie tracąc więcej czasu, przystępujemy do właściwego tematu.

II.

(Czasopisma literackie, wydawnictwa tekstów).

Jedynym właściwie czasopismem, poświęconem specjalnie historii literatury, jest zasłużony lwowski *Pamiętnik literacki*, organ Towarzystwa literackiego im. Mickiewicza. Węgetował ledwo w czasie wojny a i teraz walczy z trudnościami finansowymi. Ostatnie dwa roczniki za lata 1923/4 pod redakcją wytrawnego uczonego prof. Bruchnalskiego, odznaczają się urozmaiconą treścią. Obok działu „rozpraw”, ciekawego zwłaszcza w roczniku XX, nadzwyczaj cenne przyczynki przynosi dział „materiały i notatki”, ciekawe, choć

skromnie zastąpione co do rozmiarów są „przeglądy“ literatury zagranicznej, odnoszącej się do pewnej specjalnej kwestji, a pierwszorzędne „recenzje“ oceniają krytycznie nowsze prace historyczno-literackie, niestety uwzględniając zaledwo częśćkę dorobku.

Z czasopism ogólniejszych bardzo ważnym jest założony w październiku 1921 na miejsce zgasłej wkrótce po wybuchu wojny *Biblioteki warszawskiej* i krótkotrwałego powojennego *Nowego przeglądu literatury i sztuki*, *Przegląd warszawski*, który zwłaszcza z początku, pod redakcją W. Borowego, przedstawia się świetnie. W kilkunastu już dziś tomach tego miesięcznika zawarty jest szereg ważnych rozpraw z interesującej nas dziedziny, a przede wszystkim doskonałe przeglądy literatury historyczno-literackiej, o których wartości mówią same nazwiska recenzentów, profesorów: Brücknera, Chrzanowskiego i Kridla. Wychodzący w Krakowie od roku 1922 *Przegląd współczesny* pełen bogatej i różnorodnej treści, niewiele tylko miejsca poświęca literaturze. Ale i tam pojawiło się kilka ważnych przyczynków. Podobny jest stosunek do historii literatury i *Przeglądu Powszechnego* — historycy literatury zawdzięczają wszakże niejedno gościnności redakcji. Warszawski *Przegląd humanistyczny*, organ Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, kwartalnik wychodzący od roku 1922, jest cennym nabytkiem dla historyków literatury polskiej. Bardzo wiele cennego materiału dla historii literatury religijnej zawierają dwa wydawnictwa specjalne: *Reformacja w Polsce* (od 1921) i lwowski *Przegląd teologiczny* (od r. 1920). Cenny jest dla historyka literatury luksusowy *Exlibris*, prowadzony obecnie z ramienia krakowskiego „Towarzystwa miłośników książki“ przez K. Piekar-skiego. Niejeden szczegół znajdziemy i w skromniejszym, zgarniającem skrzętnie okruchy, wydawnictwie tegoż Towarzystwa *Silva rerum*. Trafi się czasem rzecz, obchodząca historyków teatru i literatury teatralnej, w którym z kilku już czasopism teatralnych. Historia filozofji, nieobojętna dla nas, reprezentowana jest przez parę czasopism, warto też zajrzeć do *Kwartalnika historycznego* — niestety przestał już z końcem wojny (1920) wychodzić *Przewodnik naukowy i literacki*, który łączył zgodnie historję i historję literatury.

Próby zakładania czasopism historyczno-literackich, jak n. p. założona w r. 1922 *Minerwa*, okazały się efemerydami. Krótkotrwały był niestety również był wznowionej w roku 1922, mającej chlubne tradycje za sobą, sprawozdawczej *Książki*, wydawnictwa tak cennego i dla historyków literatury. Na szersze wody mogłaby nas wyprowadzić wychodząca w Pradze od r. 1922 *Slavia*, czasopismo, poświęcone filologii (w najszerszym znaczeniu) ¹słowiańskiej, stanowiące pod względem zewnętrznym barwną mozaikę wszystkich języków słowiańskich i niektórych niesłowiańskich (na wzór n. p. niemieckiego wydawnictwa o podobnym charakterze p. t. *Die neueren Sprachen*). Dotychczas jednak Polska jest w niem reprezentowana wprawdzie szacownie, ale prawie wyłącznie tylko w dziale recenzji. Nie można wreszcie pominąć sprawozdań Towarzystw naukowych, z nich bowiem dowiadujemy się o zamierzeniach wydawniczych tych instytucyj i o pierwszorzędnych zwykle pracach naukowych, będących jeszcze w rękopisie.

Z kolei należałoby omówić wydania tekstów literackich, tej niezbędnej podstawy wszelkich badań. Mamy tu ogromne braki. Dość powiedzieć, że Mickiewicz, nawet Mickiewicz nie doczekał się jeszcze zupełnego, a co ważniejsza, krytycznego wydania swych dzieł i trzeba było uchwały sejmowej, by takie wydanie zaczęto przygotowywać. Oby nie skończyło się, jak dotychczas, na mniej lub więcej udanych próbach! Nie brak jednak usiłowań rehabilitacji zaniedbań. Z naszych wielkich pojawiły się pierwsze tomy naukowych a zarazem i luksusowych wydań Skargi pod redakcją Fr. Michalskiego-Iwieńskiego, Słowackiego. (*Dzieła wszystkie* pod redakcją najlepszego dziś znawcy przedmiotu prof. Kleinera, oraz przepyszenie wydany *Król-Duch* przez Gw. Pawlikowskiego) i Wyspiańskiego (przez A. Chmiela i T. Sinkę). Wszystko to zamierzenia na wielką skalę i z rozmachem zaczęte. Zakończonem zostało w r. 1922 ważne wydawnictwo *Archiwum filomatów*, rozpoczęte w r. 1915. Osobno na uwagę zasługuje wydanie *facsimile* III części *Dziadów* Mickiewicza w całości, dokonane nakładem Akademji Umiejętności przez prof. Kallenbacha (w r. 1925). Prócz wspomnianych

wyżej rozpoczętych wielkich wydawnictw mamy do zanotowania kilka innych doskonałych wydań poszczególnych dzieł, omówimy je wszakże przy sprawozdaniu z prac o danych poetach.

Z istniejących do dziś ogólniejszych wydawnictw, najstarszą jest wydawana przez Akademię umiejętności *Biblioteka pisarzy polskich*, która od chwili swego założenia w r. 1889 aż do wojny przyniosła 68 krytycznie opracowanych tomów nader ciekawych rzeczy z dawniejszej literatury polskiej. Podczas wojny wyszło 6 dalszych tomików, po wojnie jednak tempo zwolniało, dwa zaledwo tomiki broszur prawnych i politycznych wyszły w r. 1921, później nastąpiła przerwa aż rok 1924 przyniósł wydanie odkrytego u wiedeńskiego antykwarza Rejowego *Kupca*.

Literaturę staropolską prezentuje nam godnie lubelski oddział Towarzystwa miłośników języka polskiego, wydając od r. 1922 *Książeczki staropolskie* z dokładnem zachowaniem pisowni, ze słowniczkami i obszernym komentarzem.

Ruchliwością, sumiennością i pokaźną sumą pozycji, dobranych wszechstronnie, przewyższa wszystkie inne, rozpoczęta w roku 1919, *Biblioteka narodowa*, wydawana przez Krakowską Spółkę wydawniczą pod redakcją prof. Koła. Dzięki swym zaletom zdobyła sobie szybko szeroką popularność i „zaleca się sama” swym czynem. Jedno możnaby zarzucić tym zgrabnym tomikom: oto w opracowaniu wstępów widać pewną nierównomierność; obok studjów nieraz świetnych, pełnych nowych wiadomości, lub oryginalnych oświeśleń, trafiają się opracowania przeciętne, niemal kompilacyjne. Ale ta lekka wada wypływa z natury rzeczy; nie można zamknąć różnych indywidualności ludzkich wydawców w jednostajne ramki, nie zawsze znajdzie się dość znany pracownik na danem polu, trzeba czasem powierzyć zadanie znawcy nie zupełnie pierwszorzędnemu. Zresztą różnorodność i wielość pracowników przyczynia się bardzo do ożywienia wydawnictwa, a trzeba przyznać, że redakcja stara się zawsze pozyskać siłę na danem polu najwybitniejszą. Dla celów szkolnych *Biblioteka* nie zawsze może się nadaje, gdyż nadmiar komentarzy krępuje indywidualność ucznia i utrudnia, a czasem uniemożliwia nawet, tak modną dziś

„heurez“ — dla ogółu czytelników, dla adeptów, a nawet samodzielnych pracowników jest nieoceniona. Najlepszym dowodem jej wysokiej wartości popularno-naukowej są wielokrotne już wydania — w tak krótkim przeciągu lat — niektórych tomów.

Podobny charakter ma wydawnictwo Gebethnera i Wolffa p. t. *Pisarze polscy i obcy* (od r. 1920). Jakość jest pierwszorzędna, niestety ilość, obejmująca do dziś zaledwo 8 tomów, jakże nikle wygląda przy około 100 tomach polskiej tylko serii *Biblioteki narodowej*! Zaczęto tu od największych: Krasickiego, Mickiewicza i Słowackiego, dopiero trzy ostatnie tomiki uwzględniają i ptaki niższego lotu m. i. i Bogusławskiego.

Rozpoczęte przez księgarnię Św. Wojciecha w r. 1921 wydawnictwo p. t. *Dilecta. Wybór najcenniejszych utworów literatury powszechnej* ogranicza się na razie do powieści, przynosząc po jednej zaledwo z języków francuskiego, niemieckiego i włoskiego, a z literatury polskiej *Listopad Rzewuskiego*. *Wielka Biblioteka*, wydawana od r. 1922 przez instytut wydawniczy „Biblioteka polska“, liczy już około 120 numerów. Ogranicza się do pisarzy wybitniejszych niemal wyłącznie z wieku XIX, z wieków dawnych uwzględniono tylko Kochanowskiego. Dopiero w r. 1924 wyszły trzy wybitne dzieła Krasickiego, Zabłockiego *Fircyk w załotach*, a w r. 1925 Baryki *Z chłopów król*, pierwsza polska komedia. Wydawcami kierują, zdaje się, wyłącznie cele praktyczne. Wydania nie są komentowane, tekst jest opracowany przez specjalistów na zasadzie pierwodruków, czasem kilku druków dawniejszych; jednak nie zaznacza się z zasady, które partje, wiersze, czy wyrazy wzięte są z którego z owych wydań, co jest naukowo niedopuszczalne. Również różnorodnością i bogactwem ustępuje stanowczo *Wielka Biblioteka Bibliotece Narodowej*. Inne wydawnictwa, mające charakter szkolny, lub zupełnie popularny pomijamy.

III.

(Opracowania całości dzieł literatury, monografie okresów, motywów i rodzajów literackich).

Przegląd opracowań zaczynamy od rzeczy najogólniejszych.

Całość literatury polskiej obejmują Aleksandra Brücknera: *Dzieje literatury polskiej w zarysie* (Warszawa, Instytut wyd. Biblioteka polska s. a. 1924, 2 tomy). Pierwszy zarys tego dzieła powstał jeszcze w r. 1901, jako *Geschichte der polnischen Literatur*¹⁾ w wydawnictwie lipskiej księgarni Amelanga *Die Literaturen des Ostens in Einzeldarstellungen*. W roku następnym wyszły w Warszawie *Dzieje literatury polskiej w zarysie* nie. przekład książki niemieckiej, ale rzecz zupełnie nowa. Drugie wydanie ukazało się w r. 1908, dzieło, o którym obecnie mówimy oznaczone jest jako wydanie trzecie. Brückner jest wiecznie żywy. Każde nowe opracowanie jest u niego zawsze czemś zupełnie nowem, nieraz wprost przeciwnem, niż to, czem było pierwotnie. A tu mamy do czynienia z wydaniem powtórzonem po latach blisko dwudziestu, możemy je więc traktować, jak nowe zjawisko na horyzoncie literackim. Niezwykła żywotność umysłu wielkiego uczonego nie zamarła. Najlepszym dowodem jest, że z takim samem zainteresowaniem, jak o zamierzchłych epokach, umie mówić o literaturze najnowszej, a co ważniejsze, że umie ją pojąć i odczuć. Wszystkie nowsze zdobycze aż do roku 1921 (bo od tego roku leżał rękopis w wydawnictwie) zostały w zakres opracowania wciągnięte. Do ważniejszych należy uwzględnienie pierwszej drukowanej książki polskiej (Biernata z Lublina 1514 r.), pierwszego katechizmu polskiego z r. 1543, literatury sowizdrzałskiej XVII w., poezji patriotycznej epoki rozbiorów, preromantyzmu itp. Znaleźli się w książce i nowo „odkryci” autorzy, jak Szczęsny Herbut, J. Potocki, Norwid i nowe światła, rzucone na twórczość dawnych np. Reja, Fredry i w. i. Zmienił się również układ książki i częściowo styl, czyli, jak autor się wyraża, „krój i strój” jej. Bez zmiany pozostał zakres i cel. Zakres ten jest inny w pierwszym tomie, obejmującym literaturę dawniejszą, inny w tomie drugim, poświęconym wiekowi XIX i XX. „Literatury dawniejszej bowiem, mówi autor, nie nazwiemy wielką narodową, bo stała się taką dopiero w w. XIX, więc uważamy i cenimy ją głównie jako

¹⁾ W r. 1922 wyd. 2 gruntownie przerobione. Nadto w r. 1920 i 1922 hist. lit. pol. w popularnych wydawnictwach niem. („Sammlung Göschen” i „Jedermanns Bücherei”).

odbicie dawnego życia; wylawiamy z niej szczegóły tegoż i nie opuszczamy, ile możności niczego". Istotnie wciągnął Brückner takie działy literatury, których od Maciejowskiego nikt nie ruszał, jak epistolografię, krasomóstwo, bogatą polemikę religijną, ludowe powieści i wiersze ulotne i całą satyryczną literaturę sowizdrzalską. Historyk kultury, notujący tysiące charakterystycznych szczegółów z życia, rzucający całość na świetnie podmalowane tło, przeważa tu nieraz nad historykiem literatury. Zasadą podziału w tym okresie jest głównie rodzaj literacki. Inaczej wygląda sprawa, poczynawszy od końca wieku XVIII. „Wielka literatura nowa nie dopuszcza takiego sylabizowania — o wyczerpaniu jej zasobów mowy nawet być nie może: wybór ograniczam do celniejszych jej zjawisk i głębokiem milczeniem pomijam to, czego w wiekach poprzednich nie wahałem się wyliczać". Na literaturze wyciska teraz silne piętno indywidualność twórców i ona, a nie rodzaje, staje się zasadą podziału.

Cel książki jest popularno-naukowy: „Autor daje zarys dziejów, nie myśli o wyczerpaniu szczegółów: mimo to stara się o wystawienie całokształtu tak, żeby czytelnik dla dzieł z jakimi się spotka, dla zapomnianej książki, dla nieznanego rękopisu sam potrafił oznaczyć czas i styl jego. Wciąga więc i rzeczy dotąd nieuwzględnione, a zwraca uwagę najchętniej na szerokie promieniowanie literatury polskiej na zewnątrz. Nie wprzągł się w służbę żadnej tendencji, czy partji, stara się o przedmiotowość, o dobadywanie się prawdy, jak się co działo i co znaczyło; że na ocenę znaczenia wpływało to, co autor uważa za prawdę z tem się nie kryje". Własne te słowa Brücknera podnoszą z całą prawdą istotnie najbardziej charakterystyczne i najbardziej cenne właściwości książki, dzięki którym przewyższa ona stanowczo wszystkie dotychczasowe nasze syntezy: bogactwo szczegółów, w których zebraniu, przypominaniu, wygrzebianiu, nieraz w nieprawdopodobny sposób, autor sam, niestrudzony badacz, *magna pars fuit*, szerokość horyzontów i wzorową bezstronność. O jednym w tej swojej autocharakterystyce Brückner nie wspomniał. Jest to dar wnikania bystrego, a serdecznego, mimo wielkiej nieraz surowości w ocenach, w ducha historii, co więcej w ducha in-

dywidualnego dawnych ludzi. Stają oni przed nim jak żywi z swemi myślami, uczuciami, namiętnościami, z swemi nadziejami i żałami, z wiarami swemi i przesadami, z swemi zamiarami i czynami, w całej postaci, z swobodnym gestem i prawdziwym wyrazem twarzy. On zna ich lepiej, niż oni sami siebie znali, czyta w ich duszach, jak w otwartej książce, żyje ich myślą, czuje ich sercem, pragnie ich pragnieniami i mówi nieraz ich mową. Stanowi to specjalny urok stylu Brücknera, ta dziwna giętkość i podatność, z jaką nasiąka on stylem epoki, lub autora, o którym mówi. Dbały o historyczność, o uchwycenie ducha czasu, czy dzieła, czyni to zresztą świadomie. Ale Brückner tych ludzi dawnych nie tylko zna, jak dobrych przyjaciół, co więcej, on kocha ich serdecznie, pragnie ich dobra, więc nieraz i rzędzi trochę i sprzeciwia się im, polemizuje. Ten dziwny człowiek nie uważa przeszłości za coś, co jest skończonem, zamkniętem, niezmiennem i martwem. Jego stosunek do przeszłości jest taki, jak gdyby on sam wśród niej żył, jak gdyby mógł jeszcze sam wpływać na nią, kierować rozwojem wypadków. Bo silna jego indywidualność wydobywa się zawsze na jaw z pośród tego otoczenia przeszłości, a zmysł krytyczny i polemiczny temperament budzi się raz po raz i nie pozwala temu, bądź co bądź, dzisiejszemu człowiekowi rozplątać się w fali lat ubiegłych i zidentyfikować z tem, co minęło. A i styl jego i język, choć tak podatny, nie poddaje się nigdy całkowicie. Zawsze zachowuje swoiste, indywidualne piętno: język Brücknera poznać o sto mil w każdym najdrobniejszym jego urywku. A język ten długo obcował z pisarzami XV, XVI i XVII wieku, słownik jego zasilał się obficie u źródeł, więc posiada nie dzisiejszą barwność i siłę, obrazowość i bogactwo, wymowę i plastykę.

Żywość umysłu autora, nadzwyczajna wrażliwość i skala odczuwania i opowiadania o tem, co piękne, a jeszcze bardziej co prawdziwie interesujące i charakterystyczne — sprawia, że historję literatury, a właściwie historję umysłowości i obyczajowości polskiej — czyta się jak świetną powieść, która przykuwa umysł i serce, a podziwia się przytem, jak dzieło wysokiej sztuki. Nieraz zachęci do polemiki, zwłaszcza, gdy wnioski zawsze bardzo ciekawe, oparte bywają na wątplych

czasem przesłankach — ale to pomnaża tylko zainteresowanie. A przy tem wnikaniu w tysiączne szczegóły, w tej powodzi faktów, pism, osobistości i przy pewnem w szczegółach zresztą zaniedbaniu chronologii, wszędzie ujawnia się prawidłowy szkielet pięknej budowy. Bo książka Brücknera to przede wszystkim doskonała synteza.¹

Oprócz szkolnych podręczników, z których niektóre dawniejsze, jak Mazanowskich, a przede wszystkim Chrzanowskiego (niestety obejmuje tylko literaturę przed-rozbiorową), wychodzą w coraz nowych wydaniach, nie mamy do zanotowania w minionym okresie poważniejszego opracowania całokształtu dziejów literatury. Można by złożyć próbkę całości z monograficznych opracowań poszczególnych okresów, ale tu natrafimy na lukę tak poważną, jak arcyciekawy okres od połowy XVI do połowy XVIII wieku. O opracowanie go w całości nie pokusił się nikt. Zawczasie jeszcze zapewne na syntezę, gdy tyle pozostało do zbadania w szczegółach.

Literaturę staropolską, raczej wszystko, co napisano po polsku do połowy wieku XVI zebrał z budzącą podziw pracowitością i sumiennością prof. Łoś we wspomnianej już książce *Początki piśmiennictwa polskiego* (Łwów, Ossol., 1922). Jest to drugie wydanie znanego powszechnie w kołach fachowych *Przeglądu zabytków językowych* z r. 1915. Autor zmienił układ, który był częściowo chronologiczny, na systematyczny i wprowadził 4 działy: wyrazy polskie oddzielne, notowane w zabytkach łacińskich już od w. XI, gramatyki i zbiory wyrazów, teksty prozaiczne i teksty wierszowane. Dla nas, jako historyków literatury, mają wartość dwa ostatnie działy, choć nie wszystko w nich a raczej bardzo niewiele można nazwać literaturą w ściślejszem znaczeniu. Wartość dzieła prof. Łosia, który sam jeden wypełnia w dziedzinie swej specjalności luki, wymagające zastępów pracowników, polega przede wszystkim na bibliograficznej ścisłości i zupełności. Ale daje nadto wiele więcej, bo krytycznie zaznajamia ze stanem obecnym i z historją badań nad każdym z istniejących zabytków, a nadto daje dosko-

¹) „Dzieje narodowej literatury polskiej” tegoż roku, nakł. „Bibl. pol.” to popularne streszczenie omówionego dzieła.

nale ugruntowane własne poglądy autora na znaczenie nie tylko językowe, ale i wartość literacką, o ile o niej mówić można. I tak n. p. pisząc o jutrzeźnie naszej literatury, o *Bogurodzicy*, pierwszy zwrócił uwagę na wysoki artyzm formy tej pieśni. Szczegółowa analiza doprowadziła do wniosku, że nie ma ona i pod tym względem wzoru we współczesnej twórczości zagranicznej w tym rodzaju, a przewyższa późniejsze nasze pieśniarstwo aż do Kochanowskiego. Metoda analizy, ściśle ograniczenie się tylko do tekstów wyłącznie, z pominięciem wszelkich ubocznych czynników sprawia, że o b r a z u barwnego i plastycznego nie otrzymujemy. Ale to nie było zamiarem autora. Książka nie miała być w żadnym razie syntezą, ani szkolnym podręcznikiem.

Przeskakując dwa wieki trafiamy na monograficzne opracowanie dopiero epoki stanisławowskiej. Nie ściśle literacką, ale historyczną jest praca znakomitego historyka warszawskiego Władysława Smoleńskiego p. t. *Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII*, wydana powtórnie w roku 1923, dzieło, będące dotąd głównem źródłem informacji o życiu umysłowem XVIII w., z którego i historyk literatury wiele zaczerpnie. Literacką monografią miała być praca nieodżałowanego K. Wojciechowskiego p. t. *Wiek oświecenia w Polsce*, której skrypt, powstały w r. 1919 wydał po śmierci autora w r. 1925, ale z datą 1926 na tytule, dr. J. Zaleski. W dzisiejszym swoim stanie, choć niewykończona ostatecznie, jest to rzecz świetna. Zakrojona na szeroką skalę zaczyna się od obszernego podmałowania tła kulturalnego naprzód epoki saskiej w Polsce a potem prądów umysłowych na zachodzie (których zdobycze autor może trochę przecenia), by okazać wpływ ich na szkołę, publicystykę i teatr u nas. Następuje znakomita charakterystyka literatury stanisławowskiej, w której odróżnia trzy pierwiastki: „jądrem” jej jest to, co dał klasycyzm, obok niego wykluwają się nieśmiało nowe pierwiastki, odrębne wreszcie stanowisko zajmuje, omówiona serdecznie, poezja konfederacji barskiej. Z kolei mamy wyraziste i oryginalne oświetlenie wybitniejszych autorów, z których szczególnie plastycznie występuje ruchliwy Naruszewicz i artysta Krasicki. Autor odznacza się ogromną zwięzłością. Metoda jego jest przeważnie szkicowa,

jednak na tle naszkicowanym kilku kreskami wydobywa czasem momenty, zasługujące na uwagę, z pełnią plastyki. Pracą jego, to nie sznur paciorków jednostajnych, ale szereg małych monografij, powiązanych ze sobą dość wątlą nicią. Dzięki tej metodzie występują zjawiska w należytej perspektywie, na ważniejszych skupiony jest cały blask. Z drugiej strony niejedno pozostaje zanadto w cieniu, odczuwamy czasem brak wiadomości, lub oceny tej, czy innej interesującej nas kwestji.

Wiek XX jako całość budzi żywe zainteresowanie. Z monumentalnego wydawnictwa zbiorowego, rozpoczętego jeszcze w r. 1906 i przerwane go przez wojnę p. t. *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej*, wyszedł niedawno tom IX (nakł. Gebethnera i Wolffa i Ossol. 1924), który obejmuje życiorysy, streszczenia i wyjątki poetów w kraju w okresie między romantyzmem i pozytywizmem. Łagodne przejście jednego z tych prądów w drugi jest, według Z. Szmydtowej, syntetyczną zdobyczą książki.

Pomijając kompilację S. Baczyńskiego (*Literatura piękna Polski porozbiorowej*, Lwów-Poznań 1924) przystępujemy do najwybitniejszej syntezy, jaką jest niewątpliwie Br. Chlebowski *Literatura polska 1795—1905 jako wyraz życia narodu po utracie niepodległości*. (Lwów, Ossol. 1923). Zgodnie z tytułem zwraca autor wszędzie uwagę na wartości poezji i poetów dla narodowości, na czem może cierpi czasem ocena estetyczna. Krąg interesów kulturalnych obchodzących autora jest bardzo szeroki. Książka jego wykracza daleko poza zakres właściwej literatury i staje się do pewnego stopnia historją kultury duchowej Polski. Trudno byłoby tu wydobywać wszystkie piękności dzieła; możnaby stronicę całe zapełnić cytatami, świadczącemi o dużej dozie przemyślenia i obiektywizmu obok ogromnej wnikliwości psychologicznej, subtelnym zmyśle estetycznym i wspaniałej zdolności syntetycznego ujmowania ducha i twórczości tego, czy owego poety, w jednym zdaniu czasem, w jednym nieraz, bajecznie trafnym, epitecie. Do najpiękniejszych ustępów należy charakterystyka melancholji Malczewskiego i paralela, wydobywająca na jaw kontrast jego z Goszczyńskim, rozdział o *Panu Tadeuszu*, oryginalne ujęcie problemu *Lilli We-*

nedy i *Króla-Ducha*, tej „uderzającej blaskiem artyzmu ruiny nadludzkiego zamierzenia“ (str. 253), głębokie wniknięcie w psychologję Prusa, której istotą jest humanitaryzm (str. 388), świetna, głęboka i trafna charakterystyka Żeromskiego (str. 491) „organowej psalmodji Kasprowicza“, doskonała charakterystyka i... ocena Przybyszewskiego, i w. i. Od zwyczajaju swego pomijania strony artystycznej odstępkuje Chlebowski przy entuzjastycznym hymnie na cześć Wyspiańskiego, w którym widzi przewagę pierwiastków wizji malarzkiej i muzycznej nad poetycką. Wyspiański to dla niego synteza literatury polskiej, a zarazem finał pięknej symfonji. Rozdział o Wyspiańskim jest dla nas takimże finałem pięknej symfonji, którą jest książka zmarłego historyka literatury, jednego z najznakomitszych u nas. Jeszcze słówko o stylu. Podobnie jak przewagę pierwiastków intelektualnych Chlebowskiego możnaby przeciwstawić wyobraźni i pierwiastkom emocjonalnym w psychice Brücknera, tak i styl jego jest odmiennie niż tamtego zawsze spokojny, krytyczny i poważny.

Komarnickiego *Historja literatury polskiej wieku XIX*, która zaczęła wychodzić zeszytami od roku 1917 i Kridla *Literatura polska XIX w.* (Warszawa 1925), choć przeznaczone dla szkoły średniej, są rzeczą zbyt cenną, by je tu pominąć zupełnem milczeniem. Pierwsza sposobem ujęcia i ilością zgromadzonego materiału przekracza stanowczo ramy szkoły, druga stara się o podkreślenie tych rzeczy, które drogą oddziaływania na wyobraźnię mogą młodzież poruszyć i wpłynąć na nią wychowawczo. Do tego celu ma służyć barwne podmalowywanie ideowego i społecznego *milieu*, ilustrowane materiałem bardzo trafnie dobranym, podczas gdy mocną, nawet bardzo mocną, stroną Komarnickiego jest obraz *milieu* literackiego, teoryj i prądów. Ujemnem z punktu widzenia dydaktycznego jest u Kridla podawanie w zbyt wielkiej ilości rzeczy gotowych; u Komarnickiego zgromadzony ciekawy materiał *in crudo* rzuca nowe światło na niejedno zagadnienie i sprawia, że powołują się nań nie raz historycy literatury.

Literaturą najnowszą zajął się prof. Szykowski w książce: *Współczesna literatura polska z wypisami (1863—1923)*, Poznań, 1923. Książki Feldmana (która wyszła w tym

samym roku w 7 wydaniu) rzecz Szykowskiego nie zastąpi. Doskonała jako podręcznik informacyjny, nie może być jeszcze ostatniem słowem o literaturze ostatniego półwiecza. Wartość dzieła nie jest jednakowa we wszystkich częściach. Obok ustępów o wysokiej wartości spotyka się inne, które sprawiają wrażenie pracy pośpiesznej, którym brak przemyślenia. Materiał bardzo obfity został podzielony na dwie części: pozytywizm i młoda Polska, a w obrębie tych działów na poddziały. Sprawia to, że o tych samych pisarzach mówi się kilkakrotnie, przez co zatracą się perspektywa, do stworzenia której nie pomaga powierzchowne czasem traktowanie głębszych zagadnień z jednej strony, a nadto wielka obfitość nazwisk nieraz drugorzędnych, które można było pominąć, jeśli szło o syntezę, z drugiej. Przykre są też liczne omyłki korekty. Język żywy, nierówny, ozdobny, feljetonowy. Rzetelną wartość książki stanowi jednak bogactwo ilościowe omówionych autorów i dzieł i oryginalne nieraz ich oświetlenie.

St. L. ma: *Polska literatura współczesna (od r. 1897 do chwili bieżącej), Charakterystyki i wypisy*, Poznań 1924 to zestawienie szeregu fotografii autorów (dlaczego nie portretów?), do których dodano wypisy z ich dzieł, daty bio- i bibliograficzne i wypisy z ocen tychże poetów przez wybitnych krytyków. Pomysł w zasadzie dobry, w wykonaniu brak dokładności i szczupłość danych bio- i bibliograficznych i pewien brak perspektywy. Wybór cytowanych wyjątków budzi wątpliwości: nie jest np. dla Małaczewskiego najbardziej charakterystycznym opis zamordowania Baśki Murmańskiej, nie maluje całego Orkana scena kłótni Franka Rakoczego ze szwaгром o spadek. W należytą znajomość najnowszych pisarzy nie mogą czytelnika wprowadzić same tylko wyjątki z „krytyków“, bo to stwarza niejednolitość w traktowaniu i w skali oceny; są pisarze, przy których niema żadnej oceny z powodu, że o nich „krytyka nie wyrzekła jeszcze ostatniego słowa“. Mają do takich należeć Rydel, Orkan, Strug, Miciński, Małaczewski, Daniłowski, podczas gdy nie należą np. Staff, Przesmycki, Sieroszewski i Weyssenhof. Niepodobna wkońcu odgadnąć, jaka zasada kierowała autorem w kolejnem następstwie autorów,

bo ani chronologiczna, ani alfabetyczna, ani systematyczna. W całości jednak mozaika ta jest barwna i zajmująca, a takie skonfrontowanie pisarzy z ich krytykami może być użyteczne i pobudzające i dla historyka literatury ostatniego ćwierćwiecza.

Szeregiem portretów literackich jest książka Z. Wasilewskiego. *Współcześni. Charakterystyki pisarzy i dzieł*. (Warszawa 1923). Będąc zbiorem recenzyj z lat 1902—1923 nie ma pretensji ani do zupełności, ani do historyczności. Według określenia autora „może mieć znaczenie pamiętnika wrażeń“, ale rzuconych na szersze tło.

W omawianym przez nas okresie powstało наконец kilka prac, które przebiegają bądź całokształt literatury polskiej, bądź znaczniejsze jej okresy, oświetlając ją z pewnych specjalnych punktów widzenia, wyszukując te tylko fakta, które potrzebne są autorom do oświetlenia pewnego problemu.

Prof. Sinko w pięknym studjum zestawia i omawia *Refleksy Rzymu w poezji polskiej*¹⁾ od prozaicznych wspomnień pocziwego *peregrinusa* Macieja Rywockiego w XVI w., który zachwyca się pięknymi ptaszkami, jako to „strusy“, w ogrodzie na Monte Pincio, a obojętnie przechodzi obok posągu Marka Aurelego, który jest „chłop we zbroi, wszystek pozłocisty“, poprzez nieliczne, ale przepiękne strofy Mickiewicza, poprzez rzymskie symfonje Krasińskiego i silne akordy Norwida, poprzez soplicowską tęsknotę za krajem, którą w naszych poetach budzi Rzym, aż do Konopnickiej i Staffa. W. Bruchnalskiego *Bolesław Chrobry, a poezja polska* (w książce pamiątkowej *Bolesław Chrobry 1025—1925*, Warszawa 1925), gdzie z wielką pilnością z nieznanых nieraz zakątków literatury zostało wydobyte wszystko (a jest tego nieproporcjonalnie mało), co o wielkim władcy napisali poeci polscy i polsko-łacińscy, W. Boro-wego: *Wisła w poezji polskiej*,²⁾ sławiona, począwszy od

¹⁾ Druk. po raz pierwszy w „Musejonie“, III, 4, 1912, obecnie przedrukowane w książce T. Sinki „Echa klasyczne w literaturze polskiej. Dwanaście studjów i szkiców“, Kraków, Ska wyd., 1923. (Z historii i literatury nr. 17).

²⁾ Nakł. Tow. Krajoznawczego (1922). Monografia Wisły, zesz. XV.

Kadłubka, przez kilkudziesięciu większych i mniejszych aż do najnowszych czasów. Nie brak w ich liitanji największych, jak Kochanowski, Krasicki, Mickiewicz, Słowacki i Wyspiański. H. Mościckiego: *Pozgonna cześć dla księcia Józefa (Pogrzeb, Pomniki, Pieśń i legenda)*, Warszawa 1922, daje w końcowym rozdziale przegląd poezji polskiej i obcej, związanej z osobą bohatera. Publicystyczny charakter ma W. Hahna: *Stan. Żółkiewski w poezji polskiej. W trzechsetną rocznicę bohaterskiego zgonu pod Cecorą 7/X 1921 r. oraz tegoż Zagadnienie nawrócenia w powieści polskiej*¹⁾ od Kraszewskiego do Kosiakiewicza.

Należy tu zaliczyć również jasny i piękny, jak wszystko, co wychodzi z pod jego pióra, odczyt prof. Chrzanowskiego, wygłoszony w r. 1922 we Lwowie na uroczystym obchodzie rocznicy majowej p. t. *Konstytucja 3-go maja a polska poezja romantyczna*. Syntezą jego jest stwierdzenie faktu, że nasi poeci romantyczni zrozumieli, najgłębiej odczuli i najpiękniej wyrazili prawdę, że kamieniem węgielnym szczęścia i potęgi ojczyzny jest czynny patriotyzm i wogóle moralność jej obywateli.²⁾ *Rok 1848 w literaturze polskiej* jest przedmiotem sumiennego i interesującego studjum prof. Ujejskiego. (Warszawa, nakł. Koła Polonistów SUW, 1924).

Rzecz ściśle naukowa, mająca charakter zupełnie specjalny, a dla historyka literatury raczej pomocniczy, to J. Łosia: *Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju* (Warszawa, Gebethner s. a.). Preludjum, które poprzedziło to monumentalne dzieło, był *Zarys wersyfikacji polskiej*. (Odb. z Książki pam. ku czci Orzechowicza, Lwów 1916). Zdumiewa ogrom pracy włożony w zestawienie najszczególowsze bogactwa rytmów, rymów i strofiki polskiej od zarania pieśni aż do najnowszych czasów, podziwia się i subtelne ich odczucie, choć objaśnienie tego, czy owego szczegółu zachęcałoby do dyskusji. Nader ciekawe są wyniki np. stwierdzenie pokrewieństwa rytmiki Kochanowskiego i poezji ludowej polskiej. Skarby pomysłowości i artyzmu formalnego poezji polskiej i podatność i giętkość języka mogą napawać słusznie narodową dumą.

¹⁾ Poznań 1924. (Głosy na czasie nr. 58).

²⁾ Druk w „Bluszczu” str. 182, 190, 198, 206, 214 i w dziennikach.

Epistolografią zajął się po Bruchnalskim prof. Ganszyniec wydając w r. 1925: *Polskie listy miłosne dawnych czasów*. (Lwów, skład gł. Ossol.). Pierwotny tytuł brzmiał: *Polsko-łacińskie listy miłosne XV w. Wydał i objaśnił Ryszard Ganszyniec*¹⁾ i oddawał lepiej rzecz. Właściwą treścią jest tekst i objaśnienie 11 listów łacińskich z XV w., zawartych w rękopisie Biblioteki berlińskiej lat. quart. 239, pochodzącym z Krakowa. Zwrócił na nie uwagę jeszcze Brückner w r. 1894, ale nie opracował ich nikt. Listy te pochodzące w większości z Krakowa z XV w. są bardzo ciekawe i dają autorowi sposobność do kreślenia przy ich analizie barwnych i żywych obrazków z dziejów obyczaju. Dla nas szczególnie ciekawy jest *Dodatek* do właściwej książki, zawierający grupę listów pisanych po polsku; z nich listy z XV i XVI wieku są przeważnie rymowane. Były one znane i drukowane już dawniej. Z ich interpretacją językową i śmiałem i pomysłowem uzupełnianiem brakujących zwrotów nie zawsze możnaby się może zgodzić.²⁾ Poraz pierwszy natomiast wydrukował autor szereg interesujących listów XVII i XVIII wieku z rękopisów Biblioteki Ossolińskich m. i. prześliczny zbiór listów męża i żony z końca XVI lub początku XVII w. Pomysłowość i śmiałość otamowana erudycją, wnikliwość psychologiczna, piękny styl — to wielkie zalety dzieła. Książka prof. Ganszyńca, ściśle naukowa, mogłaby, mimo to, wskutek pociągającego tytułu i powabnej okładki dostać się przypadkiem w ręce młodzieży, czego wszakże ze względu na właściwy autorowi światopogląd, nie uważałabym za pożądane.

Konstantego Wojciechowskiego *„Historja powieści w Polsce. Rozwój typów i form romansu polskiego na tle po-*

¹⁾ Jest to druga rozprawa serji „*Studia Mediaevistica*” tegoż autora. Jeden z listów, wraz z tłumaczeniem J. Jedlicza, ogłosił autor poprzednio w *Przegl. warsz.* 1923, nr. 16.

²⁾ Niepotrzebny — sędzę — jest np. wstawiony w liście nr. 6, w. 55 wyraz „przyjaciół”. Odnośne zdanie należy rozumieć dosłownie, jako polecenie: „i ty, mój miły, co ten list będziesz czytał (nie „czcił!”), aby odemnie mą miłą oblaścił i pozdrowił” (str. 219). Adresatka jest widocznie analfabetką. Natomiast bardzo trafne są uzupełnienia listu nr. 3. (str. 213—215).

równawczem"¹⁾ powstała z wykładów, wygłaszanych przez szereg lat na Uniwersytecie Lwowskim, ostatnio w r. 1922/23. Jest to synteza obejmująca historję powstawania typów i form powieści polskiej, dlatego nie daje całej historii powieści; dochodząc tylko do pierwszych powieści Kraszewskiego podkreśla, co godne uwagi historyka, wybiera rysy charakterystycznie dla danego typu i momentu. Przebiegłszy szybko zjawiska wieków poprzednich autor stwierdza, że do Krasickiego u nas nowożytnego oryginalnego romansu właściwie nie ma. Ale zato z niewielkiego przeciągu czasu, nie całych lat sześćdziesięciu (1776—1833) zebrany został plon bogaty i różnorodny. Trudno mówić o wszystkim, tembardziej że większa część „odkryć” została dokonana przez Wojciechowskiego i jego poprzedników już dawniej. Ale nie mogę się powstrzymać od wyrażenia żywych uczuć wdzięczności dla autora za prześliczne karty, poświęcone młodocianej wielu z nas lekturze, Hoffmanowej, której talent jest zawsze jeszcze niedoceniany. W całości jest ten tom spuścizny rękopiśmiennej Wojciechowskiego rzeczą pierwszorzędną, z dzieł jego może najlepszą. Cechuje ją znajomość przedmiotu, którego poszczególne problemy opracowywał autor w szeregu studjów, układ jasny i przejrzysty, sposób przedstawienia bardzo pociągający. Najbardziej jednak pociągają nie pierwszorzędne zalety stylu, ale głębokie przemyślenie problemów, nie tylko w całości, lecz i w szczegółach. Książka mogłaby służyć za wzór, jak należy pisać tego rodzaju popularne, a oparte na sumiennych i samodzielnych studjach, syntezy. Rozpoczętą w roku 1904 znakomitą studjum o *Werterze w Polsce* pracę autora nad powieścią polską zamyka godnie w lat dwadzieścia potem wydana pośmiertnie *Historja powieści w Polsce*. Dwie te książki (*Wertera* wydał powtórnie w r. 1925 dr. Szweykowski) to jakby dwa ramiona bogatej i ozdobnej klamry spinającej pasmo drobniejszych jego na ten sam temat studjów i prac.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Dr. Zofja Ciechanowska.

¹⁾ Z rękopisu pośmiertnego wydał Z. Szweykowski, Lwów, Gubrynowicz, 1925.

Przegląd piśmiennictwa.

Z powieściowej i poetyckiej niwy.

Wł. St. Reymont. Pisma tom XVIII—XX (Gebethner i Wolff); Juliusz German, Iwonka (Gebethner i Wolff); Zygmunt Bartkiewicz, Polityka w lesie; Maciej Wierzbński, Dolar i Spółka (Bibl. Domu Polskiego); Jerzy Ostrowski, Sztandar na maszcie; Tenże, Chorągiew na dachu; Jan Żyznowski, Z podglebia (Biblioteka Polska); Stefan Grabiński, Cień Bafometa (Skład gł. Zakład im. Ossolińskich); Gustaw Olechowski, Buntownicy (Biblioteka Domu polskiego); Tadeusz Szpotański, Skradziony rękopis (Gebethner i Wolff); Wacław Grubiński, Nowele (Biblioteka Groszowa); Wacław Rogowicz, Pokusa o zmierzchu (Biblioteka dzieł wyb.); Gamaston, Fata morgana (Bibl. Domu Polskiego); Jerzy Braun, Kiedy księżyc umiera; Bruno Winawer, Doktor Przybram (Bibl. Groszowa); St. Barszczewski, Czandu (Gebethner i Wolff); Bruno Winawer, Lepsze czasy (Bibl. Groszowa); G. H. Wells, Wehikuł czasu, Niewidzialny (Bibl. Groszowa); Calderon, Zemsta Kondora (Bibl. Groszowa); Kornel Makuszyński, Wycinanki (Gebethner i Wolff); Jan Łada, W zaklętym zamczysku (Gebethner i Wolff, 2 tomy); Władysław Łoziński, Skarb watażki; Michał Czajkowski, Stefan Czarniecki, pow. hist. 2 tomy (Bibl. Polska); Hajota, Z dalekich lądów (Gebethner i Wolff); A. Słonimski, Pod zwrotnikami (Gebethner i Wolff); A. Daudet, Przygody Tartarina; Wergiljusz, Eneida, przekł. ks. T. Karyłowskiego (Krakowska Spółk. wyd.); L. H. Morstin, W kraju Latynów (Krak. Spółka wyd.); Z. Reutt-Witkowska, Pielgrzym, legenda Ossjaka (Gebethner i Wolff); Zygmunt Różycki, Złoty czerep (Bib. Współczesnych Pisarzy); Miecz. Smolarski, Z wielkiego miasta (Skład gł. Gebethner i Wolff); Marjan Zaruski, Sonety morskie (M. Arct); I. K. Iłakowiczówna, Połów, poezje (Polskie Tow. wyd. J. Mortkowicza); Anna L. Czerna, Antologia nowej liryki francuskiej (Zakład im. Ossolińskich).

Cios, który spotkał literaturę polską, tracącą naraz dwóch swych najwybitniejszych powieściopisarzy, Władysława St. Reymonta i Stefana Żeromskiego, na razie zdaje się niepowetowanym. Obecnie niema ani jednego pisarza polskiego, któryby skupiał w sobie, jak w soczewce, ideologję dziejową narodu tak, jak Reymont w swej trylogii historycznej lub Żeromski w „Wietrze

od. morza". Nie na tę miarę jest indywidualista Przybyszewski, ani też Sieroszewski, pisarz krain egzotycznych i podziemia konspiracyjnego, ani też poeta żywiołu górskiego i żywiołowej erotyki, Kazimierz Tetmajer.

Sieroce zimno powiało po literaturze. Wszakże autor nieśmiertelnych „Chłopów”, laureat Nobla, wszedł w nową fazę twórczości. Zaczął poruszać zagadnienia socjologiczne, zwalczając czerwony potop, grożący podstawom cywilizacji. Ostrą krytykę rewolucji dał w „Buncie”. Podobno planował dużą powieść, a w niej chciał przedstawić moralne bankructwo ludzkości, którą się oparła na ciasnych zasadach materializmu. Odszedł więc w rozkwicie sił twórczych.

Ostatnio wyszły trzy nowe tomy zbiorowego wydania jego pism. W tomie XVIII mamy dwa utwory Reymonta, które uczyniły z niego pisarza nie tylko polskiego, lecz i katolickiego. Są to: „Pielgrzymka do Jasnej Góry” i „Z ziemi chełmskiej”. Reymont umiał opisywać momenty zbiorowego uniesienia i ekstazy. Oto końcowy akord „Pielgrzymki”:

„A te rzesze ludzkie coraz więcej zatapiały się w szlochaniu i zdawały się odpływać w zaświaty na fali muzyki, która, jak Archanioł Pocieszenia, szła naprzód i niosła wszystkie dusze tam — skąd wyszły: do źródła dobra i szczęśliwości”.

Jest to moment modlitwy. Równie potężnie umiał Reymont podchwycić chwilę zbiorowego dobrego czynu, gdy gromada idzie ratować nieszczęśliwych w „Chłopach”.

W jednej z ostatnich książek: „Pęknięty dzwon” wieścił Reymont nadejście nowej epoki świata, gdy „już nie będzie człowiek nastawał na człowieka, jako ten wilk zgłodniały”.

Przedrukowano teraz utwory Reymonta z okresu 1905 roku. Jasno i wyraźnie zarysowuje się jego światopogląd. Z jednej strony potępia tyranję władców świata, rządów absolutnych („Na krawędzi”) i drwi niemiłosiernie z sytego, samolubnego burżuazstwa („Z pamiętnika”). Ale sercem będąc po stronie cierpiących i wyzyskiwanych, nie uznaje rewolucyjnych metod walki. Okropność teroru zarówno białego, jak czerwonego, przeraża jego zmysł etyczny i uczucia chrześcijańskie (nowela „Zabiłem”, wrażenia z 1905 roku „Z dni konstytucyjnych”).

Bogaty materiał, który Reymont zebrał w męczeńskiej ziemi Unitów nie został przez niego zużytkowany w żadnej powieści. Zaledwie parę nowel („Przysięga”, „Matka”) na ten temat wyszło z pod jego pióra. Bo materiał to tak potężny i żywy, że sam jest legendą poetyczną, żywotem świętych. — Opis nabożeństwa kryjomego w „Urodzie życia” Żeromskiego, małe jego opowiadanie „Do swego Boga” — oto nieliczne ślady wyzyskania tej wielkiej walki o swoją wiarę i narodowość. Od „Rozmowy z Matką Makryną Mieczysławską” poprzez „Pana Balcera w Brazylii” Koponickiej idą kopczyki żałobne, stawiane temu jednemu w wieku

XIX męczeństwu chrześcijan, o którym my sami wiemy tak nie wiele. Trzeba przyznać, że Reymont potrafił najlepiej odtworzyć ekstazę i niezłomność ludzi, którzy, bluzgając krwią pod batami, trwali przy swoim Bogu.

To tak niedawno jeszcze było. Czyż siła duchowa, którą zоставiło na naszej ziemi zbiorowe męczeństwo Unitów, zmarnuje się bezpłodnie i nie ożywi naszych sumień suchych, jak spękana opoka, i nie wleje świeżego tchu w życie, z którego dobrowolnie wygnaliśmy jasność?

Z dwóch pisarzy, którzy odeszli — jeden był pisarzem harmonji, pozytywnych wartości pracy, łączności z przyrodą, ducha gromadzkiego. To Reymont. Żeromski był pisarzem antagonizmów, rozdzwieków, rozdwojeń. I to właśnie znajdowało więcej odgłosu w naszym dysharmonijnem społeczeństwie. Twórczość Reymonta będzie zyskiwała na wpływie w miarę ozdrowienia naszego społeczeństwa.

Reymont jest wyrazicielem owego okresu przyszłości, gdy poprzez niezdrowy urbanizm dokona się nawrót ku wiecznie żywej, wiecznie twórczej przyrodzie. Współczesną, przemysłową epokę świata Reymont potępia. W noweli „Cmentarzysko” maluje nowy okres życia, w którym ruiny ostatniej fabryki stoją, jak smutny szkielet przeszłości:

„Ale fabryka musiała trwać samotnie aż po kres przeznaczenia, ze zgrozą omijana przez nowe plemię ludzkie, musiała trwać jako jedyny pomnik tych zapomnianych i okropnych czasów ludzkiego dzieciństwa, szatańskich czasów panowania niesprawiedliwości, egoizmu, złota i przemocy, jako haniebna pamiątka przekłętego miasta”.

Problematy istnieją w twórczości Reymonta w stanie utajonym, wcielone w obrazy i żywe dramaty. Ale tem nie mniej istnieją. Literatura krytyczna o nim mało jest rozwinięta. Podkreślono jego zdrową łączność z glebą i bajeczne walory kolorystyczne w „Chłopach” i osobliwość kreślonych przez niego charakterów, które postawione są bardzo indywidualnie. Świeżo wydana o nim broszurka Z. Dębickiego uwzględnia kilka tylko rysów najogólniejszych wielkiego pisarza — zresztą ciasne ramy tej pracy nie pozwoliły na więcej. A krytyk wnikliwy miałby piękne zadanie, rozpatrując całokształt poglądów Reymonta na przeszłość Polski, rozpatrując jego głęboko odczuta i bezpośrednią religijność i jego bardzo nieskomplikowane, a pełne prawości zasady społeczne.

Wśród ostatniej produkcji powieściowej panuje wielka różnorodność. Wrócono do powieści historycznej, zjawiła się dawno niewidziana powieść o działaczach narodowych, powieści o przyszłości i wynalazkach nęcą sensacją. Ale prócz Jerzego Ostrowskiego, brak serc bijących gwałtownie i szukających prawdy.

Ach, jeszcze chyba „Iwonka” Juliusza Germana! Opo-
wieść o młodej dziewczynie, wierzącej w Boga i Ojczyznę, która
o mało nie zginęła w szponach cynicznych wywrotowców. Sfil-
mowano tę powieść. Poza walorami filmowymi (rozbijające się
samochody, bitwy na pograniczu, napad bandy dywersyjnej na
dwór i t. d.) jest w niej pocziwość kresowa, szumne męstwo
żołnierskie i pełna uroku naiwność dziewczątka, które swym bia-
łym urokiem wszystko dokoła rozbija.

Zygmunta Bartkiewicza „Polityka w lesie” jest dziełem
wielkiego talentu. Zapolska druga tylko umiała tak podpatrywać
drobno-falującą powierzchnię wielkiego błotka życiowego i wy-
ciągać z dna połamane muszelki. W życie można patrzeć, ale nie
z bliska. Kto oczy krótkowzroczne w zjawiska wbije, nie widząc
za nimi otwierającej się perspektywy, ten ujrzy — ślepy mur
bez wyjścia. Tak jest u Bartkiewicza. „Zgrzyt” — opis wigilji
upadłych dziewcząt i „Sztuczka” — to płyty wyrwane z życia,
przekonywujące prawdziwością podpatrzenia i trujące beznadzieją
grzechu, szarzyzny, płytkości.

Świetne są staropolskie nowele Bartkiewicza, kiplingowskie
prawie są jego obrazy z życia zwierząt. Utrafiony jest zarówno
nudzący się pan, jak zmaterjalizowany chłop, sprzedający żonę
za krowy. A światopogląd na dnie tego wszystkiego? Apoteoza
instynktu miłości, wszechwładnego, urągającego prawom społec-
cznym, zawsze jednakiego. I darwinowska prawie walka o byt —
w lesie między zwierzem i między ludźmi, szarpiącymi się ze
sobą o kęsy.

Od czasów najdawniejszych byli zawsze poeci, którzy śpie-
wali pochwałę życia i podrzinali z wieczności i praw etycznych.
Życie i jego prawo! I uwikłani w sploty jego, jak w zwoje hydry
lernejkiej, krótkowzrocznie zapatrzeni w najbliższe byli tylko
kronikarzami przemijającej, poziomej złudy życia. Żal nam takich
talentów. Żal, że poprzestali na rejestracji zjawisk, a nie rzucili
na nie światła z góry, nie dorobili do nich komentarza.

Rozwiczrzona cyganeria artystyczna za chlubę sobie ma
zwalczenie ustalonych instytucyj. Z całą prostotą pisze sobie Bart-
kiewicz: „...w mamie... ślad myśli na twarzy, wyciosanej w go-
dność uczciwej, ślubnej żony. Jedyna to godność podniesiona do
tej potęgi, jakiej nie zna żadna ludzka zasługa. I dobrze, bo ja-
kąż radość w życiu miałaby mama, gdyby jej odebrano prawo
poczucia własnej, niedościgłej wartości w stosunku do różnych...
takich... co to żyją na wiarę, bez wstydu...” I parę jeszcze
drastyczniejszych wystąpień przeciw instytucji małżeństwa.

Pokutują jeszcze w literaturze teorie o wolności sztuki,
która sama w sobie etc. żadnych obowiązków wobec społeczeń-
stwa nie ma. Inaczej twierdzą tylko mydlarze, którym podług no-
wej futurystycznej mody wymyśla się od paseistów. Wolność ar-

tysty — najwrażliwszej i jednostek w danem otoczeniu — szerzy dokoła rozluźnienie...

Kiedyż sztuka na nowo stanie się — służbą? Kiedy obowiązkiem artysty stanie się nie „wolne” tarzanie się po wszystkich rynsztokach i naśladowanie wszelkich chrapliwych pogwizdów, lecz śpiew w świątyni?

Fotografowanie rzeczywistości ma swą rację bytu, gdy odbywa się z zamiarzeniem satyrycznym. Taką jest powieść Macieja Wierzbńskiego „Dolar i Spółka”. Krytykuje kołtuństwo i brak patriotyzmu Wielkopolan za czasów rządów pruskich. Powieść to nieaktualna w chwili obecnej, a jak na dokument historyczny — zbyt błaha.

Świeży powiew ideowej młodości wnosi Jerzy Ostrowski. Pierwsza jego powieść: „Obok życia” była studjum psychologiczno-społecznym. Wymierzona była przeciw celowości współczesnego ustroju więziennie-sądowego i patronatów. Była to rzecz stara prawie w swej zgryźliwej wiedzy o błotnistem życiu i o jego potwornej obieży, z której nie wyrwie się biedak-przestępca.

A oto rzucił Ostrowski dwie książki, stanowiące *pendant* do siebie: „Chorągiew na dachu” — rzecz o człowieku użycia, bezideowcu i „Sztandar na maszcie” — dzieje ideowca, wywalczającego Ojczyznę.

Ideowiec Krzesz zetknął się z Karczewskim, który miał kiedyś talent, później — majątek i konie (nie najsympatyczniej tu skreślony ziemianin polski), wreszcie poszedł do wojska i tam zręcznie się „przemykał ulicami każdego nowego miasta...” Drogi ich się rozchodzą. Krzesz „z kawałem duszy polskiej się zetknął, a dusza ta była blada, i miękka, i lepka”.

Nie wierzymy Ostrowskiemu. Mógł jego Karczewski porzucić literaturę oraz szukanie rozwiązań metafizycznych na drodze teozofji. Mógł z kabotyńską literaturą przedzierzgnąć się w dziedzica Poddębiec i dumnie rozpierać się z myślą, że to jego własne, aż kres owemu państwu położył policjant rosyjski, wręczając wezwanie do wojska.

Ale nie mógł być bezwartościowym Peer Gyntem, przystosowującym się wciąż do otoczenia, gdyż sam autor wyposażył go miłością ziemi, koni i odwagą fizyczną. Mógł po ucieczce od Niemców przeczekać Wehrmacht i wstąpić do formującej się armji polskiej. Ale nie sprzedać majątek i ciągnąć sobie na poczekaniu niedozwolony pasek.

Nie można typu ujemnego, nazwanego chorągwią na dachu, wyposażać w cechy najrdzenniejsze rasy polskiej, rozmach, odwagę, pociąg do strzelby i koni, doskonały zmysł organizacyjny w gospodarstwie, umiejętność obcowania z człowiekiem prostym.

Karczewski, syn ziemi, pozostał gdzieś na drodze. A zdobywać Ojczyznę poszedł miejski inteligent z kółka podziemnego, Tom Krzesz, świecąc pod słońce czerwoną czupryną. Ejże, czy

z tych sobiepańskich, chciwych życia i mienia dziedziców nie budowała się siła wojenna Polski? Czy nie ozwał się w nich odwieczny nakaz ich rodów?

Czytamy młode, uniesione wyrazy Krzesza: — „Trzeba rozszerzać pierś narodu coraz szerszym oddechem, aby wyrósł na olbrzyma. Trzeba mu dać wielkie idee i wielką moc do ich wszczepienia“.

W tej książce niema zgryźliwej krytyki Kadena-Bandrowskiego i impotencji Struga. Młoda książka, uniesiona, radosna. Że z przeżyć niedawnych czasów wzięta — nie zawsze stężała w niej publicystyka i fakty dziejowe w kształty skończone.

Jakże inaczej załamały się zdarzenia wojny w soczewce wzrokowej Jana Żyznowskiego. Dalszym ciągiem jego powieści „Kamienie ugorne“ jest „Z Podglebia“. Helena odnajduje tu ранego Seweryna Witana, który niegdyś popełnił ohydne, trywjalne zabójstwo, by mieć dla niej pieniądze. Helena przeżywa podczas rozstania głęboki proces wewnętrzny. Szlachetnieje i odradza się duchowo. Przypomina ta część powieści „Dzień Sądu“ i „Wyzwolenie“ Przybyszewskiego. Ostatecznie — kończy się tragedją fizjologiczną. Kaleka dręczy się, że nie jest już dla kochanej kobiety tem, czem był przed wojną. Odbiera sobie życie, bo sądzi, że „zbudzone majem resztki odtrącono“.

I rzecz dziwna: w powieści tej opisany jest moment, gdy Witan w napadzie litości chce zabić suchotnika, by skrócić jego męczarnie. Własną koncepcję Żyznowskiego wykonano na nim... Mętna ideologja etyczna, sytuacje urągające ludzkim zwyczajom... Twórczość Żyznowskiego — to był istotnie ugor, a nie świeża łąka.

A oto powieść fantastyczna St. Grabińskiego „Cień Bafometa“. Medjumizm, sugestia, satanizm, życie podwójne. Meyrink, Evers, Przybyszewski... Zdolny pisarz obraca się wśród tych przerażających tematów, sam przerażony. Za to czytelnik wy-czuwa pewną sztuczność. Zwłaszcza ta procesja flagellantów... Autor uznaje możliwość dokonania zbrodni przez osobnika, który dzięki wrażliwości medjumicznej odczuł nienawistną myśl innego człowieka. Jeden jest myślą, drugi — ręką. Któż jest naprawdę odpowiedzialny? Prokuratorja miałaby z tem wielkie kłopoty. Może trzeba będzie zmieniać paragrafy kodeksu z podręcznikiem spirytyzmu w rękę!

Perwersyjność Grabińskiego nie dorównywa Eversowi — pani Amelja nie potrafi zainscenizować tego, co bohaterka „Wampir“ — ale działa nieprzyjemnie. Tyle jest ładnych rzeczy do opisanja na świecie — ale prawda: sztuki nie wolno krępować, albowiem nie każda powieść przeznaczona jest dla pensjonarek etc.

Brak życia naszemu mocnego kośćca, brak tablicy praw. Są pisarze, którzy są zarazem prawodawcami życia. Są tacy, któ-

rzy biernie mu się poddają i umieją je tylko kopjować. I wtedy dają w swych dziełach tyleż czerni, ile jej jest w otoczeniu.

Niema dla nas podstaw życia, niema rzeczy nietykalnych. Przez pewien czas zamiast religii był u nas wiarą cywilną patryjotyzm. J. Bełcikowski widział w narodowości aż absolut. Teraz przeciw nieskazitelnemu pojęciu Ojczyzny występują pisarze, poddający ostrej krytyce naród, pojęcie narodu, siłę zbrojną i organizację państwa. U tych zaś, którzy kochają naród, nieraz spotyka się pewna frywolność w stosunku do religji.

Np. Gustaw Olechowski w „Buntownikach“ daje piękne momenty patryjotyczne w „Nieszczęśliwym Aronie“, w „Pani Pułkownikowej“. Ale tuż obok żartobliwie dworuje sobie z nawrócenia heretyka pana Marcina dzięki fetorowi lisiej skórki. T. Szpotański w „Skradzionym rękopisie“ występuje przeciw rozkładowym siłom międzynarodowym. Ale obok tego z zupełną obojętnością, raczej z całem współczuciem opisuje, jak pani Marta Valon pali, oblawszy naftą „swój wstyd, swoje przeznaczenie, swoją świekrę i siebie“. A gdy z tych czterech rzeczy ją uratowano, wkłada żalobę po świekrze i najspokojniej podejmuje przerwany flirt z panem Ostrowskim. Tak prosto. Bez tragedji, bez męki sumienia, bez skruchy. W naszym trzeźwym wieku to są rzeczy zbyteczne.

Zupełnie amoralnym pisarzem jest Wacław Grubiński. Zeszłej zimy wystawił „Niewinną grzesznicę“ — sztukę, zwalczającą monogamję. „Kochankowie“ jego mieli za temat kazirodztwo, mniej mimowolne, niż w „Królu Edypie“.

Pan Józef w „Buncie“ widzi swą wolność w tem, że będzie postępował wbrew swym pragnieniom — zaprzeczy własnemu instynktowi życia, zabijając się. Wtedy nastąpi wyzwolenie. Dzika żąda panowania nad życiem i ludźmi jest w Jerzym i pcha go do zabójstwa i samobójstwa. Oto liryka i patos tego niesamowitego nastroju:

„Trzasnął szczękami, jak rozbestwiony wilk, któremu mrowie żarłoczności zbiegło krwawe dziaśła. Ta dziewczyna jest jego! Może ją poszarpać! Może ją rozdeptać! Jemu wszystko wolno! Wszystko bezgranicznie! Ta ludzka istota, posiadająca własne życie, należy do niego! Bo nad nim niema pana! On jest sam! jedyny! i prócz niego niema nic, nic, nigdzie!“

Dzikie, wyteńpione już w nas instynkty... Taką nieograniczoną władzę nad ludźmi chcieli mieć tyrańscy cesarzowie Rzymu.

Albo też druga nowela: młody aktor chce grać rolę Hamleta i dlatego zabija starego kolegę, który mu jej nie chce odstąpić. Aktorka grająca królowę uważa go za obłąkanego, ale on mówi, że jest zdrow i do głębi jest przekonany o słuszności swego czynu. Szalone, niepowstrzymane pragnienie gry jest usprawiedliwieniem zbrodni.

Krytyka nasza nie funkcjonuje wcale pod znakiem etyki.

Jest to uważane za nieprzyzwoite zacofanie. Szanuje się czasem autorów — szanuje się ich, aż padają zgonieni, jak zwierz w dzikim ostępie. Ale zawsze ze względów partyjnych — komuś taki pisarz zawadza, jest we wrogiej partji. O ile Grubiński, lub Staff, tłómacz „Chłopczycy“ trzymają się na uboczu, nie mieszają się do walk partyjnych, mało się niemi zajmują. Zasady etyczne trzymają się na zapas dla dokuczenia komuś w odpowiedniej chwili. Celem samym w sobie one nie są.

Po dzikich niesamowitościach Grubińskiego możemy odechnąć, czytając spokojną, salonową powieść W. Rogowicza: „Pokusa o zmierzchu“. Z wielką subtelnością podpatrzył Rogowicz psychologję kobiety i mężczyzny podczas gry miłosnej. W krótkim dramacie rodzinnym dużo miejsca zajmują dzieci, często w romansach omijane. Rogowicz z ciepłem i kłikliwością kreśli uczucia rodzicielskie. Pomimo wyłamań niektórych, jest to powieść dziejąca się w obrębie życia rodzinnego.

Wśród przedruków dawnych rzeczy, które coraz częściej się powtarzają, gdyż nowa produkcja literacka w ciężkich warunkach zamiera — warto zaznaczyć ukazanie się nowego wydania „Fata Morgany“ G. Mastrona — powieści na tle życia akademickiego, która w swoim czasie cieszyła się dużą poczytnością. Jest to powieść z humorem i łązką — w sam raz dla przeciętnego czytelnika.

Powieści wynalazków wciąż się ukazują. Dwa rywalizujące miesięczniki: „Naokoło świata“ i „Z całego świata“, których zadaniem jest karmić czytelników wszelaką sensacją, od łamania kołem czarownic średniowiecznych i okultyzmu do samolotów i rekordów sportowych — rozwijają ten gust wśród publiczności. Interesowanie się cudami techniki jest dla nas rzeczą zdrową. Wszak może w niedługim czasie zmiany w podatku obrotowym, taryfach etc. pozwolą na rozbudowanie przemysłu polskiego. Potrzebne nam są siły techniczne; potrzebni wynalazcy. Literatura musi stworzyć nowy patos pracy przemysłowej, heroizm inżyniera i organizatora, jak było za czasów pozytywizmu — oczywiście bez filozofji ówczesnej. Inaczej będą zresztą teraz rozłożone światła i cienie i gromada pracownicza nie zajmie miejsca tylko biernej, buntowniczej i nieokrzesej trzody, Syzyfa używającego pochodni Prometeusza do podpalania.

W obecnej powieści wynalazków akcja bywa umieszczana w otoczeniu fantastycznym i dlatego pozbawiona nuty społecznej. „Kiedy księżyc umiera“ Jerzego Brauna to już prawie nie Wells i nie Flammarion. To Jules Verne. Katastrofa kosmiczna niszczy życie na księżycu. I pocisk nowego systemu zanosí ostatnią parę żywych ludzi księżycu na ziemię.

Romans tej powieści jest urozmaicony i ciekawy. Styl barwny i dramatyczny. Młody poeta, który dał niedawno ładny

zbiorek wierszy „Dywan rozkwitający“, ukazał tu nową stronę swego talentu.

„Doktór Przybram“, powieść Bruno Winawera, którego główną cechą jest dowcip, nie została skonstruowana. Nellit, zimny płomień wynalazku Przybrama, pobił inne środki oświetlenia. Sam zaś wynalazca został pobity — przez kobietę, której pono nie zawsze i nie na długo genjusz męski imponuje. Książka ta jest zajmującą lekturą rozrywkową.

Stefan Barszczewski w „Czandu“ sięga aż do wieku XXII. Mąluje przewidywany już przez wielu pisarzy politycznych konflikt rasy mongolskiej z białą. Najazd nowego Dżengis-Chana na Europę zostaje udaremniony przez straszliwe wynalazki Amerykanów.

Jeżeli dodamy do tego dwie świeżo wydane w polskim przekładzie powieści G. H. Wells'a („Niewidzialny“ i „Wehikuł czasu“), to chyba dość będzie strawy dla amatorów takiej lektury. Pisarze powieści wynalazków w dalszym ciągu grubo zapożyczają się u Wells'a, choćby A. Słonimski w swej „Torpedzie czasu“, która jest nieomal plagiatem „Wehikułu czasu“ — tylko w jednej powieści bohaterowie jadą w przeszłość, w drugiej — w przyszłość.

Gdy materja i jej możliwości zbyt absorbują umysł człowieka, staje się on gruboskórnym pod względem psychicznym. To jest słabą stroną powieści wynalazków, gdy głos mają maszyny. Co za brutalną rzeczą jest np. „Niewidzialny“! A człowiek zawsze będzie jednak najwięcej zajmował człowiek, jego charakter, jego liryka. Psychologizm przeżył się i doszedł w Marcelim Proust'ie do zenitu, ogarniając świadome i nieświadome drgnięcia duszy ludzkiej, wklajając się w nieskończonych asocjacjach i renimiscencjach, dysekując psychoanalitycznie na atomy duszę ludzką. Trzeba wyjść z tego gąszczaru przeżyć osobistych na jaśnie czynu i uczuć altruistycznych, trzeba linje psychiczne uprościć. Znajdzie się wtedy równowaga między psychologizmem a materjalizmem.

Ładną powieścią nie szkodliwą, o ile zasadę metampsychozy będzie się brało, jako założenie fantastyczne w rodzaju życia na księżycu jest „Ayesha“ Rigger Haggard'a w tłumaczeniu B. Fałka. Jest to druga część powieści „Ona“, która miała ogromne powodzenie. Stwierdzono niedawno, że była prototypem „Atlantydy“ Benoît. Druga część, nie mniej fantastyczna i okrutna, ma również postacie i sytuacje, skreślone z taką siłą i plastyką, że się wydają nieomal realnemi. W zetknięciu się z siłami przyrody, uosobionemi w dziwnym starodawnym kulcie, idea chrześcijańska triumfuje w ludziach współczesnych, mających więcej moralności i siły uczucia od czcicieli niższych wiar.

Moda na dowcip dystrybowany hurtownie i detalicznie wyrobiła szczególną popularność pisarzom-humorystom, jak Makuszyński lub Winawer. Zbierają nawet swe fejletonowe efeme-

rydy w książkach („Wycinanki“, „Lepsze czasy“). Z westchnieniem stwierdzamy, że pisma moralno-społeczne pocziwego Prusa nie cieszyły się ongi taką poczytnością. Potrzebujemy w naszym nastroju cyrkowo-dancingowym pajaców — i ponieważ popyt zwiększa podaż... Atoli w tak trudnych czasach wydawniczych, gdy niejedno dzieło wybitne leży niedrukowane — czy nie szkoda czasu i afłasu na fejetony, pstro przetykane przemijającą aktualnością?

Biblioteka Narodowa i Biblioteka Domu Polskiego wskrzesiła niedawno szereg powieści Kaczkowskiego, Kraszewskiego i innych. Prąd ten, nawrót do powieści historycznej utrwala się. Nie tylko publiczność wraca z przyjemnością do tej lektury — bo może w niej zaspokoić zamiłowanie awanturniczej powieści filmowej. Ale i dla młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej potrzebne są do studjów te utwory.

Powieść „W zaklętem zamczysku“ zacnego kapłana i wielkiego patrioty, ks. Gnatowskiego, piszącego pod pseudonimem Jana Łady, zbyt już ucieleśnia duchy brojące w zamczysku. To jest słabą jej stroną. Barwny koloryt ukraiński, gwałtowne charaktery, smętna poezja ludu ruskiego — wszystko to dodaje uroku powieści może zbyt jaskrawej w okresie panowania realizmu, lecz nie w naszych czasach, gdy duchy, sensacje, krwawe wypadki, nadzwyczajne przygody są na porządku dziennym, bo życie samo do niedawna było krwawym romansem.

Równie jaskrawy jest „Skarb watażki“ W. Łozińskiego i „Stefan Czarniecki“ Michała Czajkowskiego. W tej ostatniej powieści spotykamy pewne analogje do Sienkiewiczowskiej „Trylogji“, zaś jowialny szlachcic-łgarz Zytkiewicz jest prototypem Zagłoby.

„Zygmuntowskie czasy“ J. I. Kraszewskiego zawierają dużo materiału historycznego. Autor oparł rzecz swą na gruntownych studjach. Dlatego powieść, zakrojona po walterscottowsku, jest nawskróś rodzimym utworem. U Walterscotta są typy albo owiane tajemnicą romantyczną, albo groteskową. U Kraszewskiego romantyzm jest zatarty, bo postacie swoje owiewał historycznym lub obyczajowym realizmem i nie umiał im nadać polotu, a typy groteskowe nie mają dość ostrych kantów i proporcji przechodzących w karykaturę.

Jeżeli brak u Kraszewskiego romantyzmu charakterów, jest za to romantyzm sytuacji. Ale powieść ta ma znaczenie ściśle historyczne. W owym czasie, gdy nie mieliśmy teraźniejszości żyliśmy przeszłością samą w sobie, nie wiążąc jej z chwilą bieżącą, nie szukając w niej analogji i nici ewolucyjnej dla siebie. Ocenialiśmy błędy dziejowe Zygmunta Augusta lub Zygmunta III, nie myśląc, w czym to nam dopomoże do bytowania i wytrwania pod Niemcem i Moskałem. Takim utworem historycznym był „Ostatni Sejm Rzeczypospolitej“ Reymonta, gdzie analogji do

współczesności żadnych nie było. Olbrzymi żal za straconą wolnością kazał nam bezpłodnie przeżywać wstecz rzeczy minione, by w sobie miłość do przeszłości utrwalić. Dopiero Żeromski w „Popiołach” i Wyspiański zaczęli przeszłość brać twórczo, wypełniając ją treścią człowieka nowoczesnego, gdy Sienkiewicz stawił tylko pierwowzory do naśladowania — olbrzymów bohaterstwa i ofiary.

Czy w Polsce niepodległej jest grunt do powstania powieści historycznej? Trudno na to odpowiedzieć — dotąd mamy tylko ogromną ilość przeżyć z ostatniej wojny, z wszystkich frontów, z wszystkich formacyj. W dalszą przeszłość mało kto sięga. A tymczasem dość pokaźna ilość publikacyj historycznych powinnyby przynieść uwagę powieściopisarzy. Za granicą powieść historyczna prawie nie istnieje. Historję pochłoneła geografia. Ale u nas szczególne warunki rozwoju naszego może powinny ją ożywić. Powstałby nowy typ powieści historycznej, gdzie postacie wieków minionych stałyby się uosobieniem dążeń współczesnych, których załączki i odpowiedniki istniały i dawniej. Zresztą geografii nie brak i u nas. Książka Hajoty „Z dalekich łądów” zawiera opowiadania, pozbierane przez autorkę podczas jej podróży po Afryce. Wszędzie, gdzie autorka spotyka ucisk i wyzysk ludności tubylczej przez bezwzględnych zdobywców, jej uczucia humanitarne buntują się. Spostrzeżenia jej są zajmujące i mają charakter dokumentów z życia.

Pełen dezynwoltury i zakochania się w sobie jest dziennik okrętowy A. Słonimskiego p. t. „Pod zwrotnikami”. Interesuje nas, co czuł Sienkiewicz na drugiej półkuli albo co czułby Żeromski. Ale nie trzęsiemy się nad przechowaniem najmniejszych wrażeniątek p. Słonimskiego. Gdyby literat ten więcej umiał interesować się swymi bliźnimi i otoczeniem, mógłby przywieźć dużo zajmującego materiału ze swej podróży. Materiału nie tylko nadającego się do użytku urzędów emigracyjnych — bo takim jest większość książeczek o Paranie, Brazylii etc. Ale choćby o samych Brazylijczykach. Wydana teraz książka V. G. Calderona, Peruwiańczyka p. t. „Zemsta Kondora” odsłania nam niesłychaną egzotyczność i odrębność Ameryki Południowej, o której nie mamy najmniejszego pojęcia. P. Słonimski przejechał się do Ameryki Południowej — i przywiózł z niej tyle prawie, co nic.

Nowa książka A. F. Ossendowskiego „Od szczytu do otchłani” zawiera jego wspomnienia z okresu wojny japońskiej i rewolucji 1905 roku. Dużo tam materiału z życia więzień syberyjskich — znanego zresztą z książek pisarzy rosyjskich. Szkice te są właściwie beletrystyką. Ossendowski ma dar opowiadania, ale psuje jego tok sporo jeszcze rusycyzmów i jakiś rosyjski układ myśli i zdań. Ale za to zupełnie polskim, pomimo mieszaniny liberalizmu rosyjskiego z różnemi buddyzmami, w jego świa-

topogładzie, jest jego nie zwalczony optymizm. Po przejściach najcięższych oświadcza, że jednak życie jest piękne!

Ten hart i tę żywotność wyniósł Ossendowski z zetknięcia z naturą i trudnej walki z jej siłami. Jest to ten sam motyw życiowy, który nadaje wartość książkom Jacka Londona — pomimo ich brutalności i pierwotności. Wyszły znowu książki tego autora: „Serce kobiety“, „Wyga“, „Odyseja północy“.

W literaturze przekładowej nastąpił pewien zwrot ku lepszemu. Sensacja nie ustąpiła, ale oczyściła się. Książki autorów obcych, zwłaszcza w tanich wydawnictwach, rozchodzą się wśród warstw bardzo szerokich — wielka to odpowiedzialność rzucać tam złe ziarno. To też teraz wydaje się niewinnego Daudet'a i Marka Twain'a, a jeżeli sięgnie się do Zoli, to po to tylko, by wydobyć z niego białe „Marzenie“ (Le rêve), którem autor-naturalista starał się dowieść, że potrafi i tony idealne wydobyć ze swego talentu.

Na polu poezji, obok nowego wydania „Pana Tadeusza“ najwybitniejszym zdarzeniem jest nowy przekład „Eneidy“ ks. Tadeusza Karyłowskiego, poprzedzony doskonałą przedmową Tadeusza Sinki. Po częściowych próbach tłumaczenia tego poematu wszechświatowego, po niezadawalniającym przekładzie Jacka Przybylskiego, który wyszedł w 1811 roku, nie mieliśmy dotąd polskiej „Eneidy“, chociaż poemat ten liczne zostawił ślady w twórczości naszych poetów. „Eneida“ zawiera w sobie jakby przepowiednie chrześcijaństwa, Ekloga czwarta była komentowana w tym sensie, poemat był przygarnięty przez wiedzę średniowieczną, rozwijającą się pod cieniem Kościoła. Zapoznanie się z tym poematem jest dla człowieka kulturalnego poniekąd obowiązującym. Ale znajomość łaciny nie jest w naszych czasach dość rozpowszechniona. A oto ten nowy, wybitny przekład odda „Eneidę“ w ręce publiczności.

Nie poto wszakże, by spowodować jeszcze nowy nawrót ku klasycyzmowi za przykładem Francji. Raczej swojskimi, słowiańskimi pierwiastkami powinna nabrznieć poezja polska, by stać się oryginalną i zająć miejsce w kulturze międzynarodowej. Znajomość „Eneidy“ to tylko konieczny stopień wykształcenia poetyckiego, którego nie wolno ominąć.

Styl ks. Karyłowskiego jest łatwy i giętki. A już profesoriwie łaciny stwierdzają nadzwyczajną dokładność przekładu. Aleksandryny jego mają wewnętrzną muzykę, a rymy są bogate, rzadkie, często uderzające nowością. Dla urozmaicenia ich tłumacz bardzo szczęśliwie posługuje się imionami własnymi, np. tychej — cichej.

W dziedzinę piękna antycznego przenosi nas książka L. H. Morstina „W kraju Latynów“. Dla miłośników literatury szczególnie interesującym jest przebieganie wraz z autorem ziemi wło-

skiej i przystawanie na miejscach, które związane są ze znamiutworami Wergiljusza, Horacego i innych autorów rzymskich. Ciekawem jest odnajdywanie śladów owego życia, które nie przeminęło, zawarte w kunsztownym grobowcu z kryształu — w poezji.

Autor skłania się przed chrześcijaństwem, ale rewindykuje prawa „nagości pogańskiego piękna”. I Bogu świeczkę, i djabłu ogarek. Jak zawsze w naszym rozdwojonem życiu, biegiącym niespokojnie za wielu prawdami, a nie znającym jedynej Prawdy.

W poezji cicho się dzieje. Awangarda rzuca poetyckie manifesty rewolucji społecznej („Trzy salwy”). Mało są zresztą czytane. Uczyniono próbę epicką. Z. Reutt-Witkowska wydała „Pielgrzyma”, poemat oktawą, wypianizującym stylem, wpadającym czasem w ton Słowackiego. Z powodu trudności oktawy narracja jest pogmatwana. Styl jest dość ciężki. Ale ujęcie stoi na wysokim poziomie duchowym. Łamanie się dumnego Bolesława ze sobą, aż przenika go całkiem duch pokuty nie jest tragedją człowieka, lecz tragedją króla. Jest to historia, kawał martwej, ciężko zrymowanej historii, lecz nie poezja, któraby zahaczyła o struny duchowe żywych.

Cieszyć się należy, że czynione są próby nawrotu do epepe. Ale czy epepeja ta wskrześnie w naszej epoce koniecznie w formie oktawy, a nie w jakiejś gęstszej, podatniejszej do nieskończonych falowań uczuć współczesnych?

„Złoty czerep” Zygmunta Różyckiego jest wykwitem smutnego indywidualizmu, idącego na żer nieokreślonych nastrojów. Wiotką duszę oplatają straszące zmyry wśród bezdroży, na których nigdzie w oddali nie widnieje meta:

I jestem uwięziony, choć nikt mnie nie więzi,
I jestem oplątany, choć nikt mnie nie płacze...

Dosyć... Kiedyz to poeta będzie tylko człowiek wyzwolony wewnątrznie?

„Z wielkiego miasta” Mieczysława Smolarskiego to protest przeciw miastu z jego zbrodniarzami i zepsuciem. Protest bardziej nowoczesny, niż „Dwie wiosny” Konopnickiej. A obok tego brzmią u Smolarskiego nuty rycerskie i patriotyczne. Szkoda tylko, że poeta, zarazem utalentowany powieściopisarz, za mało interesuje się zdobyczami najnowszej techniki poetyckiej.

Sympatyczną książką dla nas, zdobywających sobie dopiero drogi morskie, są „Sonety morskie” Marjusza Zaruskiego. Poeta, który pływał pod obcą banderą, a obecnie doczekał się marynarki polskiej, opisywał na dalekich wodach tęsknotę za domem, walkę z żywiołem, trud marynarza, egzotyczne porty i krajobrazy północne. Forma jest lekka i owiana śpiewnym liryzmem, jakby poddanym przez szumiące fale. Forma sonetów nie zawsze jest prawidłowa, co nie ujmuje wierszom uroku. „Sonety morskie” u nas, gdzie literatura o morzu jest tak skąpa, a rozwinię-

cie w nas pociąg do morza jest tak palącą potrzebą — powinny znaleźć szeroki oddźwięk.

„Połów” Hłakowiczówny jest książką z kilku motywów ułożoną. Poetka sięga do tematów bajkowych — jak dla dzieci i tworzy nową mitologję (cykl „Dziwadła i straszylaki”). Jest to naiwne. Bądźmy, jako dzieci, nakazuje ewangelja — ale co innego jest dziecinić się. Niektóre z wierszy wydają się na miejscu raczej w książkach dzieciennych z obrazkami stylizowanymi.

Poza tem — liryka Hłakowiczówny pełna jest smutku złamanego istnienia, tęsknot miłosnych, pragnienia odpoczynku po życiu. „O śmierci, słuگو Boża, wybaw mnie od zła i ciała”, pisze poetka. Przepiękne i naiwne są obrazy aniołów:

Anioły schodziły po ścieżeczce białej,
schylały się, pełzały, głowy do siebie zbliżały,
chwiałały ogromnemi, cichemi piórami,
szemrały szumiącemi szatami,
i stawały, bojąc się przestraszyć ciszę,
która się razem z niemi nad ziemią czekającą kołysze.

Hłakowiczówna zdobyła się w poezji na ton odrębny, wprowadzając do niej prymitywizm rysunku batikowego i witrażowego.

Jesteśmy tak oderwani od łączności z zagranicą, że powitać należy gorąco wydanie „Antologii nowej francuskiej liryki” w przekładzie Anny Ludwiki Czerny z przedmową charakteryzującą najnowsze kierunki poezji francuskiej, od futuryzmu Apollinaire’a do dadaizmu Tristana Tzara. Wybór jest dokonany trafnie, a przekład oddaje ton oryginałów bez zarzutu. Zawsze wszystkie zjawiska literackie przychodziły do nas zapóźno — szliśmy o parę kroków w tyle za Europą. Antologja p. Czerny dotrzymuje kroku Europie. Jest to jej wielką zasługą.

Anna Zahorska.

Z literatury kaznodziejskiej.

Ks. Kazimierz Smogór: *Nauki o Najśw. Sakramencie Ołtarza*, str. 242 in 8^o, nakładem autora, Stenbenville, Ohio, 1925.

Tenże: *Nauki Wielkopostne*, str. 178 in 8^o, Stenbenville, Ohio, 1925.

Ks. Dr. Zygmunt Pilch: *Odrzucenie Mesjasza*, cykl kazań pasyjnych. Str. 158 in 8^o. Wydawnictwo *Przeglądu Homiletycznego*, Kielce 1925.

Ks. Błażej Łaciak: *Dziesięcioro Bożego Przykazania*. Str. 335 in 8^o. Nakładem wydawn. Ks. Jezuitorów, Kraków 1925.

Ks. Franciszek Zbroja: *Nauki do młodzieży szkolnej*. Str. 241 in 8^o. Radom 1925. Główny skład u autora: Ks. Fr. Zbroja, Radom.

Wielka idea — wielki czyn, przemówienie do młodzieży. Str. 62 in 8^o. Nakładem Zjednoczenia Młodzieży Polskiej; skład główny: S. A. „Ostoja” Księgarnia i drukarnia, Poznań 1925.

W przedmowie do kazań swoich wielkopostnych skarży się Ks. K. Smogór, że recenzenci dzieł kaznodziejskich w Polsce, zamiast dać literacki rozbiór kazań i obiektywną ich ocenę, raczej

wypowiadają w krytyce poglądy, jakby kazanie powinno wyglądać. Nie wiadomo kogo ks. Smogór miał na myśli i o czyich kazaniach była mowa. Istnieją przecież wyczerpujące omówienia kazań w *Przeglądzie homiletycznym*, który za zadanie sobie postawił podnieść kaznodziejstwo polskie; można wyczytać dobry sąd o wychodzących kazaniach w *Gazecie kościelnej*, która nie tylko wytyka braki i błędy, ale też i nie szczędzi słów uznania, jeśli kazania są wybitniejsze. Z takim gorącym uznaniem w ostatnim czasie spotkały się kazania ks. dr. Z. Pilcha: „Odrzucenie Mesjasza“, do tego stopnia, iż przy ich czytaniu recenzentowi „mimowoli cisnęły się na pamięć, co najsilniejsze ustępy z kazań sejmowych“, „tyle w nie włożył kaznodzieja ognia, bólu serdecznego i gorącego umiłowania swego narodu i swej ojczyzny“. *Gazeta kośc.* 25 paźdź. 1925. Trudno do tych słów coś więcej dodać.

A jeśli jakiś zbiór kazań spotka się z tą uwagą: „może to dobry materiał do kazań, chcielibyśmy widzieć szersze rozwinięcie i uplastycznienie praw głoszonych“, to tylko dowód delikatności krytyka, który w ten sposób chce zwrócić uwagę na najbardziej kardynalny błąd w kazaniach: brak opracowania. Kazanie nie może być nigdy jałową strawą, lub jeśli kto chce użyć innego porównania, rzucaniem bez planu gładów pod nogi słuchaczy, ale pokarmem dostosowanym do smaku i wydelikaczonego podniebienia słuchających, artystyczną budową, w której słuchacz rozmiłowany, przechodząc po szczegółach architektonicznych, dochodzi do Tabernakulum czy do Krzyża, wskazującego szczytem swym niebo.

Zdanie, że przecie i dzisiaj i tak zwana inteligencja nie zna najprostszych zasad katechizmu, że trzeba ją uczyć zasadniczych prawd, zostało już sto razy roztrząsnięte. Panoszy się nieświadomość zasad religijnych, ale zmienił się smak estetyczny, wyszkolił pod wpływem odczytania w literaturze, w powieściach, przez wycieczki i podróże, przez ustawiczne samokształcenie się; więc i kazania, jeśli nie mają wypędzać ludzi z kościoła, muszą być utrzymane na poziomie estetycznych wymagań słuchaczy. Trzeba uczyć prawd zasadniczych, dobrze! Ale te prawdy działają na umysł ludzki, zajęty doczesnymi sprawami, czasem zacierzawiony wpływem namiętności, tylko jak kropla deszczu, spadająca na rozgrzany słońcem kamień t. z. ulatniają momentalnie. Cała sztuka kaznodziejska powinna być zwróconą ku temu, by drzwiami słuchacza, po sprężynach jego piekących spraw, dostać się do wnętrza jego serca, zaciepić tam nauką o najtajniejsze jego porywy i pozyskać je dla siebie.

Pewnie łaska Boska wszystko może, ale my w krytyce kazań nie możemy mieć na względzie ani osobistego uroku kaznodziei, którego nie znamy, ani mocy jego modlitw, którymi wyprasza nawrócenia dla swoich wiernych; bierzemy kazania takie, jakie są.

Otóż wchodząc choć pobieżnie w kazania ks. Smogóra, musimy stwierdzić, że brak im i to dość często tego podstawowego przymiotu, t. z. artystycznego opracowania.

Bierzemy kazanie pierwsze z brzegu, z cyklu na 40-godzinne nabożeństwo. Po suchem przedstawieniu paru dat, odnoszących się do ustanowienia tego nabożeństwa przez papieży i zaprowadzeniu go następnie w Ameryce, przechodzi autor do wewnętrznych pobudek czci N. Sakramentu i wylicza je schematycznie. Pierwsza okoliczność to ta, że P. Jezus dla ustanowienia N. Sakramentu obrał sobie mieszkanie wielkie w przeciwieństwie do ubóstwa stajenki, aby zaznaczyć, jak powinniśmy być dbałymi o ochędostwo Domów Bożych, jak rozszerzyć nasze serca. Druga okoliczność to ta, że P. Jezus żąda wieczernika ozdobnego, co przenosząc na naszą duszę oznacza łaskę poświęcającą. Trzecia wreszcie okoliczność to ta, że P. Jezus przed ustanowieniem N. Sakramentu umywa nogi Apostołom, pouczając nas tym przykładem, jak wielkiej pokory i czystości duszy potrzeba, abyśmy przyjemnymi się stali w oczach Boga. Poczem autor przechodzi do ogólnych motywów miłości i wdzięczności ku Chrystusowi Panu, co, nawiasem mówiąc, raczej trzeba było położyć na początku ze względu na mniejszą siłę wzruszeniową, a na końcu dopiero przyjść do szczegółów, psychologicznie mocniej działających. Ale nie wchodząc w to, jakby być powinno, chcemy tylko zaznaczyć, że wyliczanie takie: po pierwsze, po drugie, słuchacza zamiast zajmować, nuży. Szkielet w budowie kazań ma pozostać tylko szkieletem, który pokrywa się narzutem myśli, zgrabnych przejść i figur, a nie powinien uwypaklać w kazaniu swych kościstych żeber.

Nie chcemy przez to powiedzieć, by autorowi brakowało daru obrazowości, plastyki; dał tego talentu dowody, kiedy w kazaniu o Mszy św. skreślił przez porównanie z tryskającymi z niebotycznych gór strumieniami, nieprzebrane źródła łask, złożone w sakramentach św. Są w jego kazaniach krótkie przykłady, ilustrujące wygłaszane myśli; są podkreślone aktualne momenty dla Polaków-Amerykanów, stykających się ustawicznie z protestantami; nie chcemy również powiedzieć, że wszystkie kazania są suchem zszeregowaniem myśli, owszem są kazania rozwinięte, są proste, ale bardzo miłe homilje n. p. na Boże Narodzenie, na końcu kazań o N. Sakramencie, ale na ogół przy czytaniu odnosi się wrażenie, że są to przeważnie zbiory, wyliczania myśli, niekiedy bardzo ładnych i trafnych n. p. o życiu ukrytem P. Jezusa w N. Sakramencie, a pominięty jest moment t. z. emocjonalny, działający na uczucie i obrazowy, działający na wyobraźnię. Może tak trzeba mówić do Polaków amerykańskich, jak te kazania są napisane, może kaznodzieja, wygłaszając te kazania, zastąpił braki podkreśleniem w głosie czy gestem, ale o tem nam nie wiadomo.

Kazania ks. Błażeja Łaciaka są apologją „Dziesięciorga“, pisaną dla ludu. Dziś potrzebny taki wykład ogromnie. Lud nasz nie jest już pokornutką owcą, która bezkrytycznie idzie tam, gdzie ją się popędzi. Wielka wojna nawiała w zacisza najbardziej zapadłych wiosek żołnierzy-bywalców, którzy wnieśli do swych opłotków i zagród zarzewia walk socjalnych, podsycane przez agitatorów, lub co gorsze, hasła wrogie wierze i obyczajności.

Prosto, *ad captum populi*, rozbiera ks. Łaciak przykazanie po przykazaniu i uzasadnia ich prawa bytu, które wojna zdawała się rozbić i unieaktualnić. Nie pomija żadnej nasuwającej się kwestji, choćby tak trudnej do rozwinięcia ze względu na małe wykształcenie ludu a jednak tak potrzebnej, jak uzasadnienie różnicy między człowiekiem a zwierzęciem. Najwalsniejszą cechą tych kazań jest to, że są pisane z doskonałą znajomością ludu naszego; autor widocznie przegłębiał najtajniejsze zakamarki życia chłopskiego i duszy chłopskiej; podpatrzył jej słabe strony nieraz w bardzo drastycznym momencie i przedstawił w kazaniu, może aż za drobiazgowo.

Ponieważ na wyobraźnię ludu najbardziej działa przykład, on jest streszczeniem materji kazania, którą wieśniak w ten sposób skryształizowaną niesie do domu, więc też ks. Łaciak swe wywody właśnie w tę siłę argumentacyjną kazania swe najobficiej zaopatrzył. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że są to kazania w wielkim stylu; jest to raczej katechizmowy wykład, chromający nieraz pod względem formy, rażący prostaczemi wyrażeniami jak „wyszczzerzać zęby“, „cupkać“ itp.

Po przeczytaniu choć paru egzort ks. Fr. Zbroji nasuwa się wniosek wypowiedziany jednym tylko słowem: trafione! Trafione w ton nastroju życia młodzieży. Młodzież nie układa jeszcze swych, zimnych systematów filozoficznych, młodzież czuje, a odczuwa czasem głęboko, jej się to lub tamto „podoba“, ma serce gorące i patrzy w serce. Choć okres romantyzmu w literaturze już przeminął, młodzież ten okres ciągle przeżywa w latach swych studenckich. Mówiąc do młodzieży, trzeba umieć trafiać w ton jej nastroju. Otóż to trafienie mam na myśli, kiedy piszę o kazaniach ks. Zbroji. Tematy podejmuje ks. Zbroja najrozmaitsze: o spowiedzi, o charakterze, o praktykach religijnych, o pięknie duszy, o Jezusie Chrystusie, o burzach młodego wieku, a zawsze potrafi je przedstawić ze strony najbardziej interesującej. W pomysłach panuje różnorodność: czasem potrafi jego wyobraźnię i służy za punkt wyjścia perykopa ewangelicznego, czasem jakiś wypadek z życia młodzieży, to znów obraz przyrody, jaki młodzież w danej chwili ogląda. Styl jasny, przejrzysty, czasem urywany, jak tętno młodzieńca, do którego przemawia, a zawsze serdeczny bez sztucznej przesady, ani banalnie pospolity. Prócz porównań, barwnych a krótkich opisów upiększają i uprzystę-

pniają egzorty dobrane przykłady z historii powszechnej i polskiej, z literatury, z filozofji, z nauk przyrodniczych, wogóle z zakresu, który młodzież zna i którym się zajmuje.

W ten sposób przeszedł ks. Zbroja cały cykl od wakacyj do wakacyj. Odnosi się wrażenie, że przeniósł sobie powierzona młodzieży przez cały ciąg roku niejako na swej piersi, wyczuwając sercem bicie jej serca, wszystkie jej porywy i tęsknoty jak kochająca matka i dał jej to, co sam posiadał najpiękniejszego: miłość ideału, — Dobra, Piękna i Prawdy.

Wielka idea — wielki cel to zbiór pięciu przemów na pierwszym Zlocie Młodzieży Męskiej w Częstochowie, urządzonym przez Zjednoczenie Młodzieży Polskiej w 1925 r. Kazanie wygłosił J. E. Ks. Archbp. Teodorowicz o wrogich zasadzkach bolszewizmu, poczem następują 4 przemowy mówców świeckich: Prof. St. Gołęba: Wielka idea — wielki cel — odrodzenie narodu oparte o religję, Radcy Grządziela o stosunku młodzieży do religji, Porucznika Gilewskiego o wychowaniu fizycznym w stowarzyszeniach młodzieży, Profesora Feliksa Sołtyka o Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej wobec państwa i społeczeństwa.

Daj nam Boże jak najwięcej takich mówców świeckich, którzyby przemawiali do młodzieży z taką werwą i z tak gorącym umiłowaniem wiary i ojczyzny.

Ks. J. Godaczewski T. J.

W. Heinrich: *Zarys historii filozofji. Tom I. Część I. Filozofja grecka.* Nakład Gebethnera i Wolffa. 1925. (VI i 206).

Brak dobrej historii filozofji w języku polskim, zwłaszcza obejmującej całość dziejowego rozwoju myśli ludzkiej, odczuwają wszyscy, zajmujący się studjami filozoficznymi, a najwięcej już uczniowie. Dlatego każdą pomyślną próbę w tym względzie należy powitać z uznaniem. Podejmuje się jej W. Heinrich, profesor filozofji na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Będzie to tylko *Zarys historii filozofji*, a przed nami leży tylko część I. tomu pierwszego, szkicująca dzieje filozofji greckiej. Sądzę, że to zadanie było najłatwiejsze dla autora, który już w r. 1914 wydał filozofję grecką do Platona. Obecnie doprowadza ją aż do końca, t. j. do neoplatonizmu włącznie. Chodzi mu głównie o przedstawienie systemów filozoficznych w ich rozwoju i wzajemnej zależności. Nie zależy mu wiele na osobach — wzmianki o ich życiu, czasem za skąpe, umieszcza tylko w uwagach — jest bowiem przekonany, że żaden system nie zrodził się w głowie danego filozofa bez wpływu otoczenia. Choć to na ogół jest prawdziwe, to jednak zaprzeczyć niepodobna, że właściwie wybitne jednostki są główną przyczyną postępu ludzkości pod każdym względem, także i w filozofji. Bez nich bowiem drzemia w ludzkości nawet najpłodniejsze idee. Wykład autora

jest przystępny, potoczysty, nadający się nawet do lektury. Druk wyrazisty; wydanie ładne.

Nieszczęśliwy, a zdaje się i niepotrzebny, jest „niehistoryczny” rozdział: O myśleniu przedfilozoficznym. Zawiera on bowiem niejedno twierdzenie, podlegające poważnym zastrzeżeniom, a tracące bardzo Comte'm, Machem, Avenariuszem, czy nawet skrajnym ewolucjonizmem, oraz sprzeciwiające się dawniejszym i nowszym badaniom etnologicznym. Niepodobna bowiem nawet pierwotnym ludziom zarzucić braku pojęć ogólnych i sprowadzać ich przez to do rzędu jakichś nie ludzi, choć prawdą jest, że biorą świat więcej niż my konkretnie, a nie bawią się wiele w naszą pracę umysłową refleksyjną, filozoficzną. Nie jest chyba zgodne z zapatrywaniem Arystotelesa zdanie na str. 125.: „W całej materji jest dusza, która posiada niejasną intuicję aktu”. Ani na str. 128, w uwadze, że umysł czynny jest „tożsamością myśli i pomyślanej treści”. Z błędów drukarskich należałoby sprostować: na str. 116 uw. ma być: perypatetyczny; na str. 188 chyba: abnegacja Pirona; na str. 138 uw. chyba: Lactancjusz, a na str. 172 chyba (IHVH = lahve), a te imiona Boże wzięte są z samego Pisma św.

Pożytek przyniosą fragmenty z pism filozofów przed-sokratycznych, jakie podał autor w ładnem polskiem tłumaczeniu, nadto wykaz główniejszych prac literackich, dotyczących filozofji greckiej, a wreszcie umieszczony na końcu skorowidz.

Ks. Fr. Kwiatkowski.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1926:

Włodzim. Perzyński: Raz w życiu, powieść, str. 393.

J. Bohdan Rychliński: Mah-Jong. Cykl nowel, str. 190.

Ant. Lange: Nowy Tarzan. Opowiadania wesołe i niewesołe, str. 248.

M. Gerson-Dąbrowska: Polscy artyści. Ich życia i dzieła. 153 ilustr., stron 383.

L. Wiszniewski: Rycerz tępej ostrogi, z 24 rysunkami i okładką St. Bobińskiego, str. 63.

M. Wańkowicz: O Małgosi, świneczce, króliku, muszce i o niegrzecznym piesku, ilustrował E. Bartłomiejczyk.

Fiszer i Majewski, Poznań 1925:

Dr. K. Tymieniecki: Cechy moralne narodu jako wynik historii, str. 34.

Witold Klinger: Obrzędowość ludowa Bożego Narodzenia. Jej początek i znaczenie pierwotne, str. 90.

Bożena Słelmachowska: System trzech epok w prahistorji polskiej, str. 65.

Józef Widajewicz: Z przeszłości Buszcza. Studium historyczne.



Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika papieska o nowem święcie Chrystusa Króla. — Narzekania i pretensje prawosławnych w Polsce.

Równy rok temu, pisząc w *Przeglądzie Powszechnym* o „królewskich prawach Chrystusa“, wyraziliśmy pragnienie, by zostało ustanowione nowe święto, poświęcone uczczeniu królewskiej godności Zbawiciela. Pragnienie podobne wyrażała także prasa innych katolickich krajów, — coraz głębiej bowiem wchodzi w świadomość katolicką zrozumienie, jak wielkie znaczenie może mieć dla uzdrowienia publicznego życia narodów uznanie prawa Chrystusowego za normę wszystkich stosunków ludzkich. Przed miesiącem, omawiając ostatnią alokucję Piusa XI na konsystorzu tajnym, mogliśmy już zaznaczyć, że uroczystem odc celebrowaniem na zakończenie starego roku przez samego papieża po raz pierwszy święta „Królestwa Chrystusa“ zamknięty został cykl uroczystości rzymskich, związanych z „rokiem świętym“. Tymczasem *Acta Apostolicae Sedis* z dnia 28 grudnia ogłosiły także obszerną encyklikę Ojca św. do biskupów całego świata, datowaną 11 grudnia, a ustanawiającą w całym Kościele święto Chrystusa-Króla na ostatnią niedzielę października każdego roku.

Nie podajemy tu szczegółowo treści tej doniosłej i obszernej encykliki, zaczynającej się od słów: *Quas primas*. Dojdzie ona napewno do wiadomości naszych czytelników innemi drogami w dosłownym przekładzie. Stanowi ona dokument pierwszorzędnej wagi zarówno pod względem teoretycznym, jak praktycznym. Reasumuje to wszystko, co teologia katolicka mówiła o królewskiej godności Zbawiciela świata, i zmierza do tego, by przez nowe święto podkreślić naukę Kościoła w tym względzie, a w sumieniach wierzących

katolików ożywić poczucie obowiązku przystosowania wszelkich objawów życia ludzi i społeczeństw do woli naszego najwyższego Prawodawcy. Jest to tembardziej na czasie za dni naszych, za dni rozpanoszenia się tego laicyzmu w życiu prywatnem i publicznem, który nazwać trzeba wprost apostazją świata od Chrystusa i chrystjanizmu. „Albowiem — pisze Ojciec św. — im niegodniej najśłodsze Odkupiciela naszego imię pomija się milczeniem tak na międzynarodowych zebraniach, jak i w izbach prawodawczych, tem głośniejszemu należy je wychwalać, tem mocniej prerogatywy godności i władzy królewskiej Chrystusa trzeba podkreślać“.

Nie wątpimy, że głos Najwyższego Pasterza wywoła wśród katolickich społeczeństw donośne echo i da początek wzmożonej akcji w kierunku utrwalenia także u nas dobrze zrozumianej teokracji, o jakiej pisaliśmy rok temu. Rezultat orędzia papieskiego nie może ograniczyć się do formalnego ustanowienia święta. W parze z liturgicznym hołdem, jaki oddawać będziemy „Królowi nieśmiertelnemu wieków“, musi iść intensywna praca duchowieństwa i piór katolickich, by wszystkim warstwy katolickiej ludności u nas, przedewszystkiem zaś inteligencja i sfery rządzące i prawodawcze przejęły się do głębi sumień zrozumieniem tej prawdy, że nie tylko dla wiecznego zbawienia jednostek, ale również dla podniesienia narodu moralnie, cywilizacyjnie i ekonomicznie nawet, niezbędnem jest pokłonić się w życiu, prawodawstwie i wychowaniu — boskim zasadom ewangelji Chrystusowej, budować w świecie Jego duchowe Królestwo.

Nie przebrzmiały jeszcze echa uniesień, w jakich prześcigały się nasze dzienniki z okazji ogłoszenia autokefalji Cerkwi prawosławnej w Polsce, jak zaszły w tejże Cerkwi pewne fakty, o których powinno by wiedzieć społeczeństwo polskie, a które jakoś nie doszły nawet do wiadomości naszych redakcyj. Pod koniec miesiąca listopada ubiegłego roku zebrał się w Warszawie synod biskupów „naszej polskiej“ autokefalnej Cerkwi, jak ją szumnie nazywano, głównie w celu naradzenia się nad dalszem unormowaniem stosunku Cerkwi do rządu i państwowości polskiej. Rezultatem tych narad był obszerny memoriał synodu, złożony przez sowi ministrów Skrzyńskiemu dnia 9 grudnia 1925 r. i ogłoszony w organie metropolity prawosławnego *Woskresnoje Cztienje*, a następnie w wychodzącej w Warszawie gazecie rosyjskiej *Za Swobodu*. Z tym dokumentem warto się po krótku zaznajomić.

Memoriał synodalny właściwie jest aktem oskarżenia na rząd polski za nieprzyjazny stosunek tegoż rządu do Cerkwi prawosławnej. Narzeka ogólnie, że zarówno stan

prawny, jak i faktyczny Cerkwi w Rzeczypospolitej polskiej jest nienormalny; przyznaje, że w ciągu ostatnich lat zaszły pewne zmiany na lepsze, choć z wielkim trudem i bez jakiegokolwiek planu. Nawet autokefalia, przeprowadzona na życzenie także polskiego rządu, nie sprowadziła tych zmian w prawem położeniu prawosławia, jakich spodziewali się po niej wyżsi przedstawiciele Cerkwi. Statut o kanonicznym wewnętrznym ustroju Cerkwi w Polsce, wypracowany w lutym 1925 r. przez synod, dotąd nie doczekał się rozpatrzenia przez czynniki prawodawcze; rząd ze swej strony także nie wniósł żadnego projektu i stosunki między Cerkwią a państwem dotąd są normowane na podstawie „tymczasowych prawideł” z r. 1922, które synod uznaje za przestarzałe i nie odpowiadające stanowisku Cerkwi autokefjalnej.

Po tych ogólnych narzekaniach memoriał przechodzi do szczegółów. Narzeka, że kursy teologiczne na uniwersytecie warszawskim dotąd nie zostały należycie zorganizowane, że ministerstwo Wyznań Religijnych nieżyczliwie odnosi się do internatu teologów, że zamierza skasować seminarjum duchowne w Krzemieńcu, łącząc je z kursami w Warszawie; krytykuje reorganizację seminarjum duchownego w Wilnie, uskarża się na niewypłacanie dotacji na szkoły duchowne i na niepozwolenie otwierania szkół niedzielnych dla nauki religii i śpiewu cerkiewnego. W dziedzinie materialnej, skarży się, że prawa majątkowe Cerkwi nie są uznawane, że rząd zamierza ograniczyć liczbę prawosławnych parafij, że są rewindykowane nadal na rzecz katolicyzmu pewne świątynie i zakładane parafje katolickie lub unickie (memoriał widać unitów nie uważa za katolików!) w miejscowościach, gdzie zamknięto prawosławne cerkwie. Dalej narzeka memoriał, że kler prawosławny wydany jest na łup samowoli władz administracyjnych, że wielu duchownym odmawia się polskiego obywatelstwa; że rząd nie konserwuje niektórych cennych zabytków sztuki cerkiewnej, nie zwraca biblioteki seminarjalnej w Chełmie, nie uznaje bractw prawosławnych i tamuje ich działalność. Ten długi spis skarg kończy się zestawieniem w dziewięciu punktach konkretnych żądań prawosławnej Cerkwi w Polsce.

Treść memoriału władzyków prawosławnych przytoczyliśmy nie w tej myśli, by podejmować się roli sędziego w ich sprawach z rządem polskim. Mimochoć tylko można zaznaczyć, że jeżeli dotąd stanowisko prawne Cerkwi w Rzeczypospolitej nie zostało ostatecznie uregulowane, to rzeczywiście trzeba nad tem ubolewać, można wszakże tę powolność czynników rządowych w danej sprawie wyrozumieć, znając nasze stosunki, częste zmiany ministrów i inne kłopoty nie mniejsze od spraw prawosławnych. Projekt sta-

tutu legalnego cerkwi, wypracowany przez synod cerkiewny, zalega, jak skarżą się biskupi, blisko rok w ministerstwie, — a ile to lat upłynęło i ile projektów konkordatu zredugowano, zanim zostały uregulowane ze Stolicą św. stosunki Kościoła katolickiego! A prawosławie w Polsce posiada bądź co bądź pewien prowizoryczny, choć pewno nie wystarczający, statut z r. 1922, co do którego — jak słyszeliśmy z poważnego źródła — biskupi prawosławni wypowiedzieli się w swoim czasie, że nie zawiera nic przeciwnego dogmatom i zasadom ich Cerkwi. Kościół katolicki w Polsce aż do r. 1925, to jest do chwili wejścia w życie konkordatu, musiał się godzić z wielu przepisami rządów zaborczych, gwałcących jego wolność. Jeszcze mniej uzasadnioną jest skarga memorjału na to, że po powstaniu Rzeczypospolitej nie od razu zatwierdzono Cerkiew w jej stanie posiadania pod względem majątkowym, liczby parafii i t. d. Więc rząd katolickiej Polski miał bez bliższego rozpatrzenia się w sytuacji uświęcić także te krzywdy, które zadał Kościołowi katolickiemu rząd carski na korzyść prawosławia? Dziwnie brzmią skargi na upośledzenie prawosławia w porównaniu z Kościołem katolickim, na otwieranie parafii katolickich (w tem paru unickich) na kresach, gdzie przemoc rosyjska zniszczyła szereg biskupstw unickich, przyłączając je „przez miłość” do cerkwi urzędowej, gdzie, jak na Podlasiu, zamknięto jeden po drugim nawet kościoły łańskie, obracając je na cerkwie, lub skazując na upadek, gdzie kler katolicki został ograbiony prawie doszczętnie z kościelnego mienia, podczas gdy prawosławne duchowieństwo było nawet na najmniejszych parafjach doskonale udotowane w ziemię i pieniężne pobory. Więc — powtarzamy — miał rząd polski utrwalić ten niegodziwy stan rzeczy?

Że na Cerkwi prawosławnej w Polsce i jej duchowieństwie mogą dotąd ciążyć pewne uciążliwości i ograniczenia, temu nie mamy zamiaru w czambuł zaprzeczać; owszem, pragnęlibyśmy, aby one jak najprędzej zostały uchylone. Przypuszczamy jednak, że nastąpi to tem prędzej, im prędzej prawosławie w Polsce samo zrozumie to stanowisko, jakie w państwie o większości katolickiej powinnyby zająć. Wtedy bowiem mogłoby się zwracać o należne sobie prawa nie tylko do rządu, ale liczyć także na poparcie opinii publicznej kraju, a nawet na życzliwe stanowisko ze strony katolickich czynników kościelnych. Tego jednak zrozumienia właściwego stanowiska w rzędzie innych wyznań, a zwłaszcza swego stosunku do katolicyzmu dotąd u prawosławnych nie spostrzegamy. Owszem, spostrzegamy coś wręcz przeciwnego. Prawosławni w Polsce, ich najwyżsi dostojnicy cerkiewni, postępują tak, jakby dotąd uważali się za wyznanie

„panujące“, mające prawo do szczególnych przywilejów; w szczególności w stosunku do katolicyzmu odnoszą się z niemałym lekceważeniem i poczuciem własnej wyższości, jak to czynili dawniej, kiedy katolicy byli tylko cierpiani jako „wyznanie obce“.

Nie chcemy być gołosłowni, służymy dowodami.

Dowód pierwszy. W sprawach małżeńskich ustawodawstwo carskiej Rosji dało Cerkwi ten przywilej, że małżeństwa mieszane prawosławnych i katolików musiały być zawierane w cerkwi prawosławnej; do sądu prawosławnego koniecznie należały też w takich razach sprawy o separację i rozwody. Później przywilej Cerkwi rozszerzono jeszcze w tym kierunku, że sądowi prawosławnemu przyznano prawo orzekania o ważności małżeństwa czy też udzielania rozwodu nawet w tym razie, jeśli obie strony w chwili zawarcia ślubu należały do Kościoła katolickiego, lecz jedna z nich potem przeszła na prawosławie. Oczywiście przechodziła na prawosławie ta strona, której ciążyły ślubne przysięgi i chciała się od nich uwolnić. Z tego przywileju (uchylonego zresztą przez sam rząd carski w r. 1891) Cerkiew w Polsce katolickiej dotąd chce korzystać i faktycznie korzysta w szerokim zakresie. I rzecz dziwna: minister sprawiedliwości Zychliński w swojej odpowiedzi na interpelację sejmową w tej sprawie przyznaje, że uroszczenia konsystorza prawosławnego nie są zgodne z prawem, zwłaszcza wobec konstytucji, która szczególne przywileje prawosławia uchyliła, oświadczając jednak, że wobec mylnej wykładni prawa przez konsystorz prawosławny rząd jest bezsilnym i tyle tylko od „Ks. metropolity“ uzyskał, że obiecano nie dawać rozwodów tego rodzaju konwertytom na prawosławie wcześniej jak po roku od dnia przejścia na prawosławie. Czy można tu mówić jeszcze, że prawosławie nie jest uprzywilejowane, skoro pozwala sobie na „wyraźnie mylną“ wykładnię prawa, a najwyższy stróż sprawiedliwości w Rzeczypospolitej nie znajduje środka na ukrócenie tej samowoli i zapobieżenie podobnym mylnym interpretacjom prawa i zadawalnia się jakimś wyzebrany pól-kompromisem?

Drugi dowód. Memorjał prawosławnego synodu narzeka na trudności w nauczaniu wiernych religii i śpiewu cerkiewnego. A oto jak wyglądać ma ta nauka, o którą tak bardzo chodzi pasterzom prawosławnej Cerkwi. Z aprobatą najwyższego dostojnika Cerkwi, metropolity Dionizego, wydaje się przez Komitet naukowy przy synodzie warszawskim podręcznik religii dla szkół powszechnych, który wobec katolicyzmu zajmuje bardziej wrogie stanowisko, niż to było za czasów carskich. Znany jest mi cały szereg dawniejszych rosyjskich podręczników religii, gdzie nie pozwalano sobie

na takie kwiatki „naukowe“, jakie znajdujemy w podręczniku warszawskim. W owym podręczniku, wśród błędów religijnych katolików, obok odpustów, przasników, postu w sobotę (już nieistniejącego), zakazu czytania biblii (co jest wierutnym fałszem tyle razy odpartym), figuruje także „folgowanie grzechom i namiętnościom“, znieważa się katolickich świętych, o zakonie katolickim pisze się, że używa wszelkich nieuczciwych środków, „oszukaństwa, grabieży, zabójstwa“ i t. d. W zakończeniu swego memoriału biskupi prawosławni nazywają swą Cerkiew „trwałym czynnikiem ładu publicznego i pokoju religijnego w państwie polskim“; my jednak mocno wątpimy, by wychowanie młodzieży na takich podręcznikach, jak ten z r. 1925, mogło się do pokoju przyczynić. W każdym razie na takie zuchwałe napaści na Kościół katolicki, jego moralność, instytucje, jakie znajdujemy w urzędowym podręczniku religii prawosławnej, mogli sobie pozwolić tylko ludzie, odnoszący się ze wzgardą do wyznania ogromnej większości ludności w tem państwie, na które narzekują w swoich memoriałach.

Jeszcze jeden dowód. W miesiącu sierpniu ubiegłego roku wybitny przedstawiciel kleru prawosławnego, do niedawna rektor seminarjum, archimandryta Filip Morozow, składa w Wilnie wyznanie wiary katolickiej, opuszczając tem samem Cerkiew prawosławną. Do dotychczasowych swych współwyznawców zwraca się z pożegnalnym listem otwartym, wolnym od wszelkiej goryczy i inkryminacji, wyrażającym tylko głębie przekonania o słuszności uczynionego kroku. Co czyni hierarchja prawosławna? Na tej samej sesji synodalnej, na której układała memoriał o upośledzeniu prawosławia w Polsce, nie tylko „wyklina i poddaje anatemie“ archimandrytę, ale każe z ambon cerkiewnych ten wyrok ogłosić wiernym i tłumaczyć im, że Morozow został pozbawiony godności duchownej, że udzielane przezeń sakramenta nie dają żadnej łaski Bożej, wreszcie zwraca się do władz rządowych z żądaniem zabronienia archimandrycie używania imienia duchownego i noszenia sukni duchownej. Zauważmy, że cały ten sąd władcy prawosławni urządzają nad człowiekiem, który już od kilku miesięcy jest członkiem kleru katolickiego, zarządcą jednego z kościołów wileńskich, znajduje się pod jurysdykcją biskupa katolickiego, jest przyjmowany przez papieża. Wyobraźmy sobie, czy możliwe byłoby takie postępowanie w Rosji ze strony biskupów katolickich wobec jakiegoś księdza, który przyjął prawosławie? Zauważmy jeszcze, że synod prawosławny ogłasza nieważność sakramentów, administrowanych przez kapłana katolickiego, czyniąc wprost zuchwałą zniewagę Kościołowi katolickiemu i stając nawet w niekonsekwencji do nauki prawo-

sławnej, która naogół ważność sakramentów u katolików uznaje. To znowu nie jest objaw tylko zasadniczego potępienia „innowierców“, to zuchwała i fanatyczna postawa „gospodstwu-juszczey cerkwi“ wobec znienawidzonego „łafinstwa“, zupełnie jak to bywało za dobrych czasów w carskiej Rosji!

Na ten raz kończymy. Postępowanie dygnitarzy Cerkwi prawosławnej wobec katolicyzmu w Polsce jest tego rodzaju, że musi wywoływać obawy, aby i ta doza swobód, z jakiej korzysta prawosławie w Rzeczypospolitej polskiej, a jaka o całe niebo przewyższa swobody tegoż prawosławia w Rosji sowieckiej, nie pomażała do utrwalania tego stanu faktycznej supremacji prawosławia nad katolicyzmem na naszych kresach wschodnich, jaką nam pozostawiła w spuściznie opiekunka Cerkwi, Rosja Katarzyn i Mikołajów. Rzeczą prawosławnych będzie rozproszyć te obawy.

Ks. Jan Urban.

Ile ludności może pomieścić ziemia?

Mija już 128 lat od ukazania się pierwszego wydania książki *Essay on Population*, a sława jej autora nie ginie w powodzi uczonych, lecz rośnie raczej. Wszakże nie przez teorię geometrycznego wzrostu ludności a arytmetycznego środków utrzymania — ta bowiem w praktyce okazała się nierealną — ale przez postawienie problemu ludnościowego w sposób więcej naukowy i w wielu punktach bardzo trafny, oraz przez elastyczność sformułowanego przez siebie prawa, które może tłumaczyć różnorodne zjawiska, stał się T. R. Malthus mężem, którego pamięć „będzie jeszcze żywa wtedy, gdy słuch zaginie o wielu jego przeciwnikach“. ¹⁾

Kwestja ludnościowa staje się zresztą siłą rzeczy coraz bardziej aktualną. Olbrzymie postępy wiedzy i techniki, a za niemi komunikacji, przemysłu i handlu, oraz rosnące bogactwo, umożliwiły i pociągnęły za sobą ogromne zapotrzebowanie rąk i mózgów. Okoliczność ta, wraz z postępem higieny, która zmniejszyła w wysokim stopniu śmiertelność dzieci i starców, oraz przedłużyła przeciętny okres życia człowieka, przyczyniły się do owego niezwykłego wzrostu ludności, jaki w porównaniu z dawniejszemi czasami zastajemy w XIX w. Od r. 1800 do r. 1920 wzrosła ludność:

¹⁾ Tego zdania jest prof. Adam Krzyżanowski, który w pouczającym wstępie do wydanej przez siebie książki p. t. „Prawo ludności“ T. R. Malthusa (Gebethner i Wolff, 1925) zaznacza, że teoria geometrycznej progresji ludności a arytmetycznej środków utrzymania, należy do najsłabszej pozycji Malthusa, nie można więc według niej oceniać jego znaczenia (str. 37).

Rosji	z 35	miljonów	do 101	mil.
Francji	„ 27	„	„	39 „
Niemiec	„ 23	„	„	60 „
W. Brytanji	„ 16	„	„	47 „
Skandynawji	„ 4	„	„	12 „

A zatem w niektórych krajach liczba ludności wzmożła się trzykrotnie, w Danji nawet czterokrotnie, w wielu zaś innych krajach, jak w Hiszpanji, Szwajcarji, Portugalji, podwoiła się. Tak silny przyrost jest jednak niemożliwy na dalszą metę. Ubóstwo jednych krajów i przeludnienie innych, jak Niemiec, Włoch, Japonji, grożą wprost katastrofą, od której ratuje je tylko import, umożliwiony nadwyżką dochodów z przemysłu i handlu, oraz emigracja na obczyznę. Ten ostatni środek jest wszakże tylko czasowym i musi ustać z chwilą nasycenia ludnością obcych terytoriów; niedawne ograniczenie imigracji do Stanów Zjednoczonych jest dotkliwą tego zapowiedzią.

Gdyby ludność ziemi wzrastała nadal w liczbę w tej samej proporcji, co w XIX w., mielibyśmy na kuli ziemskiej już około r. 2000 — 3,700.000.000 ludzi, a w stokilkadziesiąt lat później 14,800,000.000 ludzi, których ziemia stanowczo wyżywić nie potrafi. Sytuacja więc, powiadają ekonomiści, zapowiada się groźnie i trzeba zawczasu spojrzeć jej w oczy, by nas nie zaskoczyła nieprzygotowanych. Ponieważ płodność narodów, o ile bieg wypadków pozostanie nadal normalny, nie ulegnie sama z siebie zmniejszeniu — wszelki bowiem jej spadek jest zawsze dowodem, że zaszły jakieś nadzwyczajne przeszkody, lub że dany naród oddaje się rozwiązłości — przeto musi tu wkroczyć inny sposób: albo ograniczenie liczby urodzeń albo niszczenie życia. Tak powiada między innymi znany australijski statystyk, G. H. Knibbs, którego artykuł „The world-problems of population“¹⁾ streszczamy właśnie poniżej, gdyż zestawia zwięźle metody naukowe, stosowane w tych badaniach, oraz dotychczasowe ich wyniki.

Chcąc uregulować miarę przyrostu ludnościowego, trzeba przedtem zdać sobie sprawę, do jakiego *maximum* zaludnienia wolno doprowadzić na ziemi bez naruszenia równowagi pomiędzy ilością jej mieszkańców a mnogością środków utrzymania. Nad odpowiedzią na to pytanie pracują też dziś najtęższe głowy, a na usługi ich stoi cały światowy aparat statystyczny i specjalne instytuty naukowe.

Jeżeli przypatrzymy się obecnemu stanowi, powiada G. Knibbs, uderza nas przede wszystkim ogromna różnorodność gęstości zaludnienia, która wynosi na jedną milę kwadratową (mila angielska = 1.609 m.): w Europie — 113'7, w Azji — 60'7, w Ameryce Pn. i środkowej — 16'9, w Afryce — 10'6, w Ameryce Pół. — 8'9, w Oceanji i Australji — 2'6 ludzi. Gęstość ta ulega jeszcze

¹⁾ W tłum. francuskim zamieszcza go czasopismo naukowe *Scienza, rivista internazionale di sintesi scientifica*, Bologna, 1 paźdz. i 1 list. 1925.

większym wahaniami, jeżeli mierzymy ją w poszczególnych krajach; oscyluje ona bowiem pomiędzy 636 mieszkańcami w Belgji a 2'4 mieszkańcami w Kanadzie na jednej mili kwadratowej.

Wobec tego możność pomieszczenia większej liczby ludności na kuli ziemskiej będzie zależała głównie od dwóch czynników: 1) od możliwości pomnożenia zasobu środków żywności, głównie naturalnie przez rolnictwo, oraz 2) przez wyrównanie gęstości zaludnienia i doprowadzenie jej do tego stopnia, by odpowiadała produktywności każdego kraju.

Przy obliczaniu ilości ludzi, jaką może pomieścić ziemia, trzeba uwzględnić zapotrzebowanie zarówno ziemi uprawnej, jak lasów i obszarów potrzebnych dla przemysłu i komunikacji, trzeba zabezpieczyć wszelkie potrzeby nie tylko człowieka, ale i zwierząt domowych, których zapotrzebowanie zmniejszy się wprawdzie z czasem, ale nigdy nie stanie się zupełnie zbędnem; liczbę tych zwierząt na całym świecie ocenia się w przybliżeniu na 1.850 milionów.

Spróbujmy teraz, powiada G. Knibbs, z uwzględnieniem powyższych postulatów ocenić, ile, absolutnie rzecz biorąc i przy należytem wykorzystaniu, potrafi dać ziemia, aby zaspokoić wszechstronnie wymagania człowieka. Obliczenie to pozwoli nam bowiem określić dopiero liczbę ludzi, jaką zdoła utrzymać ziemia.

Cała powierzchnia ziemi wynosi 197'05 milionów mil kwadrat., po odłączeniu jednak okolic polarnych pozostanie stałego lądu tylko 52'5 milionów mil kwadr., a i z tych jeszcze trzeba odrzucić sporą część obszarów kamienistych, piaszczystych, pustynnych i nieurodzajnych. Nie mamy na razie dokładnej mapy całej ziemi w tej mierze; dotychczas zbadano tylko obszar 24'13 milionów mil kwadr. i podzielono go na trzy kategorie: około 7'53 ziemi „produktywnej“, 6'25 „nieproduktywnej“ i 10'35 „bliżej nie określonej“.

Powyższe 7.53 milionów mil kwadr. ziemi „produktywnej“ nie jest jednak w całości ziemią orną, lecz obejmuje: ziemi ornej — 2'35, łąk naturalnych i pastwisk — 1'29, drzew i krzaków — 0'11, lasów — 3'35, bagien i t. d. — 0'43. Podane powyżej 2'35 milion. mil kwadr. ziemi ornej jest obecnie zużytkowanych w następujący sposób: pod uprawę zboża — 1'63, trawa i pasza — 0'37, inne ziemioplody, służące do żywienia się — 0'18, plony służące dla przemysłu — 0'16, zbiory nasienne — 0'01. Obszar, rozczłonkowany w ten sposób, stanowi 46'0% całości rozporządzalnej ziemi, a ludność mieszcząca się na nim wynosi 776'6 milionów, czyli 42'3% ogółu ludności świata.

Wyniki, osiągnięte powyżej po zbadaniu znanych 24'13 milionów mil kwadratowych ziemi, pozwolą nam wyrobić sobie w przybliżeniu pewien pogląd na całość obszaru, jakim możemy rozporządzać na kuli ziemskiej. Zachowując powyższą proporcję,

mielibyśmy w takim razie do dyspozycji (liczby poniżej podane oznaczają miliony mil kwadrat.):

ziemia bliżej nieokreślona	22·5	{	bagna	1·0
„ nieproduktywna	13·6		lasy	7·3
„ produktywna	16·4		krzaki	0·2
ogółem	52·5		pastwiska	2·8
			ziemia orna	5·1
			ogółem	16·4

Czy zestawienie powyższe pozwoli nam już obliczyć ilość ludności, jaką potrafi wyżywić ziemia? — Nie, odpowiada G. Knibbs. Jeżeli bowiem weźmiemy różne znane już kraje i zestawimy statystykę ich ziemi i jej płodów podług powyższego schematu, to przekonamy się, że pomiędzy poszczególnymi terytorjami panują tak wielkie różnice w proporcjach pojedynczych rubryk, że ogólnych wniosków nie można stąd wyciągnąć. Autor wykazuje to szczegółowo na dwóch wielkich krajach, Japonji i Stanach Zjednoczonych.

Wobec tego pozostaje jedno tylko wyjście: trzeba zbadać dokładnie każdy kraj z osobna pod względem jego produktywności. I nie można tu poprzestać na podziale każdego terytorjum na ziemię orną i pozostłą, gdyż w tej mierze zachodzą ogromne różnice w poszczególnych krajach; w stosunku do całego swego obszaru posiada np. Czechosłowacja 43·1% ziemi ornej, podczas gdy Tunis zaledwie 0·1%. Również urodzajność ziemi ornej nie wszędzie jest taka sama, jak to wykazuje statystyka; tak np. przeciętna wydajność zboża z jednego akra (nie całe pół hektara) wynosi 51·0 korcy w Danji a 7·0 korcy w Rosji azjatyckiej; na całym świecie przeciętna ta wynosi prawdopodobnie nieco więcej ponad 14 korcy na jeden akr.

Prawda, że wydajność tę można zwiększyć zapomocą sztucznych nawozów, lecz autor przestrzega przed zbytnim optymizmem niektórych ekonomistów, zapominających o tem, że konsumpcja tych nawozów jest już dziś olbrzymia — w r. 1920 zużyto ich na świecie według zestawień statystycznych 33.688 milionów ton, a w rzeczywistości zapewne więcej — a produkcja jest ograniczona. Wapno i azot posiadamy wprawdzie w dostatecznej mierze, ale możemy się słusznie obawiać, że nie zdobędziemy większych ilości fosforu i potasu — brak ich musi zaś wpłynąć na zmniejszenie wydajności ziemi i konsekwentnie ograniczyć przyrost ludności.

Powyższy sposób obliczenia liczby ludzi, mogących się utrzymać na ziemi, nie jest więc szczęśliwy; ci, którzy się go trzymali, doszli do rezultatów niezadawalniających. Spróbowano zatem jeszcze innej drogi — postanowiono obliczyć, ile ziemi potrzeba do wyżywienia jednego człowieka, by na tej podstawie określić ogólną liczbę, jaka może zmieścić się na globie.

Lecz i ta metoda nie doprowadziła do upragnionego celu.

Pokazało się bowiem, że w różnych krajach różna ilość ziemi jest potrzebną do utrzymania jednego człowieka, czysto zaś teoretyczne obliczenia odbiegają znacznie od rzeczywistości. Według tych ostatnich powinnyby np. Japonja wyżywić ludność 59'46 milionów, a tymczasem w rzeczywistości musi ona sprowadzać wielkie ilości ryżu, fasoli, grochu i cukru z zagranicy i opłacać je produktami swego przemysłu. Prof. E. M. East z Harvard doszedł też na podstawie badań statystyki importu i eksportu do wniosku, że Japonja przez wykorzystanie swej ziemi uprawnej żywi tylko około 40 milionów swych mieszkańców. Na podstawie takich samych dochodzeń wykazał on, że Niemcy, Francja, Włochy i Belgja potrafią wyżywić tylko 72, 70, 64 i 37% swej ludności z własnych zasobów, tak że przeciętnie na utrzymanie jednej osoby potrzeba w każdym z tych krajów kolejno: 2'0, 2'3, 2'4 i 1'7 akrów. Przeciętnie należałoby, zdaniem prof. East'a liczyć w całym świecie 2'5 akra na osobę.

Obliczenie powyższe zwraca się przeciw tym teoretykom, którzy twierdzili, że przy należytem wykorzystaniu możnaby z jednego akra ziemi ornej utrzymać 3 osoby; wtedy ziemia zdolalaby pomieścić 9.792 milionów ludzi, a gdyby — co jest jednak niemożliwe — udało się w tym samym stopniu zużytkować całą rozporządzalną powierzchnię 52'5 milionów mil kwadr., ludność ziemi dosięgłaby cyfry 13 miliardów 440 milionów.

Nie wchodząc w szczegóły innych podobnych obliczeń, zestawmy teraz z autorem ostateczne najważniejsze wyniki dotychczasowych badań:

	miljonów
1) jeżeli weźmiemy za podstawę obliczenia amerykańskiego ekonomisty O. E. Backer'a, odnośnie do Stanów Zjednoczonych i zastosujemy je do całej ziemi, to mogłaby ona utrzymać tylko	2.942
2) jeżeli przyjmiemy rachubę innego ekonomisty amerykań., który dla Stanów Zjedn. przyjmuje możność wyżywienia 197 milionów ludzi, to cała ziemia utrzyma	3.416
3) jeżeli przeciętną ilość 2'5 akra na osobę zastosowalibyśmy do całej powierzchni „produktywnej” kuli ziemskiej, to pomieści ona	4.193
4) według obliczeń wspomnianego prof. E. M. East'a	5.200
5) gdyby cała ziemia posiadała tę samą gęstość zaludnienia, co Stany Zjedn., mogłaby pomieścić	9.622
6) gdyby cała ziemia orna na globie mogła wyżywić po trzy osoby z jednego akra	9.792
7) gdyby przeciętną miarę 2'5 akra na osobę dało się zastosować do całkowitej powierzchni ładu stałego	13.440

Lecz, powiada G. Knibbs, nie można poprzestać na samych obliczeniach powyższych, ponieważ ilość ludności, mogącej się

pomieścić na kuli ziemskiej, będzie zależała od organizacji gospodarczej i społecznej świata, ta zaś zawisła w praktyce od czynników moralnych — należy je więc również uwzględnić.

Taką bowiem ilość ludzi, która według zestawień poprzednich jest możliwie największą, zdoła ziemia utrzymać jedynie pod warunkiem zgodnego współdziałania całej ludzkości. Muszą więc ustać lub przynajmniej zejść do *minimum* wszelkie tarcia, pomiędzy wszystkimi narodami musi zapanować sprawiedliwość i stosunki przyjazne, wolne od podejrzeń i nieufności. Ponieważ, jak już przedtem powiedziano, muszą zniknąć również te różnice gęstości zaludnienia, które nie są konieczne potrzebne, przeto siłą rzeczy wysunie się kwestja emigracji oraz dzisiejszych praw i przywilejów różnych narodów. Trzeba nie tylko zbadać dokładnie każde terytorjum i określić jego zdolność zaludnienia, jego stan gospodarczy i kulturalny, ale trzeba też w razie nasycenia go ludnością, a tem bardziej przeludnienia, uregulować w niem stosunek ludności miejscowej do napływowej i ich wzajemne prawa; będzie to zwłaszcza aktualne w krajach dzikich, zajętych przez narody cywilizowane. Niemniejszą trudność stanowić będą różnice rasowe i szowinizmy narodowościowe, będące często powodem niesprawiedliwego traktowania drugich.

Jednem słowem, aby móc pomieścić największą ilość ludzi na ziemi, potrzeba wielu czynników: trzeba dojść do sprawiedliwości indywidualnej, społecznej, narodowościowej i międzynarodowej; człowiek musi wszechstronnie poznać i wyzyskać siebie i środowisko, a przytem nauczyć się oszczędności, panowania nad sobą, nabrać energii i wytrwałości, nie szukać życia wystawnego.

Poza tem wejdą tu w grę inne jeszcze zagadnienia, które także wpłyną na rozmiary gęstości zaludnienia. Świat musi mianowicie rozstrzygnąć przedtem zasadnicze pytanie: co wybrać raczej? czy wielką liczbę ludzi, żyjących skromnie, czy też małą ale bogatszych? jaki typ życia należy ustalić?

Ostatniem wreszcie głębokiem zagadnieniem etycznym, dodaje G. Knibbs, które wiąże się ze sprawą ludnościową, jest kwestja urodzeń, która przy zbliżającym się krytycznym momencie przeludnienia będzie konieczne wymagała uregulowania. Z chwilą nasycenia ludnością ogółu terytorjów, mieszkańcy każdego kraju muszą, chcąc nie chcąc, domagać się, by kraj sąsiedni nie dopuszczał do większego przyrostu ludności, niż zdoła go wyżywić; jeśli rzecz ta nie da się ułożyć zgodnie przez porozumienie, będzie musiało przyjść do załatwienia jej siłą przez wojnę.

Tak więc, kończy autor, możność zaludnienia ziemi zawisła częścią od wzmożonego poznania natury, częścią zaś od organizacji społecznej, ekonomicznej i politycznej. Jeżeli człowiek pozostanie takim, jakim jest obecnie, zarówno co do stopy życiowej, jak i wszystkich swych przesądów i egoizmów narodowych, to prawdopodobnie ziemia nie zdoła utrzymać 5 miliardów. Jeżeli

stosunki ułożą się lepiej, jeśli odpadną różne wysiłki nieproduktywne, to przy postępie wiedzy będzie może można dojść do pomieszczenia 7 miliardów. Jeżeli człowiek postąpi jeszcze dalej i zdoła wszędzie podnieść kulturę na ten sam poziom, to przy szczęśliwym rozwiązaniu wszelkich kwestyj ekonomicznych i terytorjalnych możnaby doprowadzić liczbę ludności do 9 miliardów. Owszem możeby nawet udało się dojść do 11 miliardów, lecz oprócz znacznych ograniczeń dla wszystkich, byłoby to możliwem jedynie po długim czasie i przy takim udoskonaleniu się człowieka, któreby go wyniosło wysoko ponad dzisiejszy jego poziom moralny.

Ks. St. Podoleński.

SCHOLASTIK

Vierteljahrschrift für Theologie und Philosophie.

Gruntowne badania nad filozofją scholastyczną wykazują coraz lepiej, jak fałszywą była rozpowszechniona wszędzie opinia o ciemnocie średniowiecza. Tylko ludzie, nie idący z postępem nauki lub tendencyjnie wrogo nastroszeni, mogą się dziś jeszcze pogardliwie wyrażać o Scholastyce, a i ich głosy słabną coraz bardziej wobec świetnego rozwoju neoscholastyki, będącej tylko dalszym ciągiem tamtej, dostosowanym do obecnego poziomu nauk pozytywnych. Toteż uznano, że pomimo szeregu czasopism pokrewnych, będzie dziś na czasie wydawanie specjalnego czasopisma, poświęconego zagadnieniom całej scholastyki i jej stosunku do filozofji i teologii, a pośrednio także do wszelkich innych gałęzi wiedzy pozytywnej. Badania historyczne, któreby odkrywały skarby czasów dawnych, a równolegle z nimi nawiązanie coraz ściślejszego kontaktu scholastyki z nauką dzisiejszą, byłyby więc głównym celem tego pisma.

Redagowania czasopisma podjęli się profesorowie teologii i filozofji jezuickiego kolegium w Valkenburgu (Holandia), a wydawnictwo objęła znana firma Herder'a (Freiburg im Breisgau, Niemcy). Będzie ono wychodziło jako kwartalnik o rocznej objętości około 600 stron. Obok niego zaś wychodzić będą osobne broszury, 100—200 stron druku, traktujące o różnych zagadnieniach filozofji i teologii.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 1 lutego 1926 r.

Akcje pracy.

Akcje pracy, z których korzystają robotnicy i pracownicy spółek akcyjnych, względnie przedsiębiorstw, są podobne do akcji kapitałowych, różnią się od nich jednak pod wielu względami. Najważniejsze podobieństwo polega na tem, że dzięki akcjom pracy zarobnik w ten czy inny sposób, choćby nawet bardzo niedoskonały, ale bądź co bądź rzeczywisty, uczestniczy w „kapitałowej” stronie współczesnego ustroju.

I.

Stosunek szkół i grup społecznych do instytutu akcji pracy nie jest jednakowy.

Socjaliści są przeciwni akcjom pracy.¹⁾ Dlaczego? Socjalizm zmierza do obalenia współczesnego ustroju gospodarczego, posługując się w tem walką klasową. Otóż akcje pracy raczej wzmacniają współczesne gospodarstwo. Zarobnik, mając w swej dyspozycji akcje, staje się drobnym kapitalistą. Akcje nie tylko w nim rozbudzają zamiłowanie do prywatnej własności, ale wiążą go z ustrojem kapitalistycznym wogóle, a z danym zakładem, którego akcje posiada, w szczególności. Przedsiębiorstwo nie jest już dla niego czemś wrogiem, ale zakładem, w którego rozwoju jest zainteresowany. Ta zmiana umysłowości i uczuciowości zarobnika podcina same korzenie walki klasowej, wysuwając na jej miejsce hasło solidarności pracodawcy i pracobiorcy. Rzadko

¹⁾ W ten sam sposób oceniają stanowisko socjalistów np. Charles Gide (*Les Institutions de Progrès sociaux* 1921 140 nn.). Yovanovitch (*Le rendement optimum du Travail ouvrier* 1923 106 i in.).

która z reform społecznych tak się sprzeciwia dążeniom socjalistycznym, jak instytut akcyj pracy. Są mu przeto przeciwni nie tylko krańcowi, ale także umiarkowani socjaliści, dawniej zwani rewizjonistami. Tak np. Edward Bernstein w swem dziele programowem o socjalizmie¹⁾ oświadcza, że powiększenie się liczby akcjonariuszy wśród szerokich warstw społeczeństwa może być uznane za pożądane tylko przez zwolenników ustroju kapitalistycznego, a nie przez socjalistów, gdyż powiększa liczbę tych, którzy są zainteresowani w rozwoju tego gospodarstwa.

Chrześcijańscy robotnicy i politycy społeczni nie są zainteresowani w rozwoju gospodarstwa kapitalistycznego, co więcej, ostre kierują przeciw niemu zarzuty z powodu popełnianych nadużyć, mimo to są zwolennikami instytutu akcyj pracy. Rozumują zaś w ten sposób. Na szybki zanik ustroju kapitalistycznego nie zanoszą się, a położenie zarobników w wielu wypadkach jest ciężkie i nieludzkie, niezadowolone, podsycane przez agitatorów, nie słabnie i wskutek tego nie tylko życie może uczynić obmierzłym, ale może wybuchnąć katastrofą społeczną. Przeto już w obecnych warunkach należy uczynić wszystko, co tylko jest możliwe, aby poprawić położenie cierpiącej i niezadowolonej ludności. Motywem jest dobro ludzi, nie kapitalizmu. Jeśli zaś dzięki takiej działalności kapitalizm pozbędzie się wielu wad, stanie się sprawiedliwszym, to niema się czem martwić, tembardziej że kapitalizm, jako ustrój gospodarczy posiada sporo cech dodatnich i nawet zasług.

Ruch w kierunku rozszerzenia akcyj pracy rozwinął się silnie wśród robotników katolickich w Belgji. Ale znajduje oddźwięk także w innych krajach. W r. 1924 na zjeździe w Kolonji związki zawodowe, na skutek referatów Stegerwalda i sekretarza jeneralnego Otte, uchwaliły, że „masie robotniczej łatwiej będzie osiągnąć cele, do których zmierza, gdy będzie mocniej uczestniczyć w życiu gospodarczem przez współwłasność i współudział w zarządzie. W tym celu należy rozbudować i udoskonalić ustawodawstwo dotyczące rad załogowych, zachęcać do tworzenia akcyj o niskiej war-

¹⁾ Der Sozialismus einst und jetzt² 1923 51.

tości nominalnej, jak się to dzieje w Anglii, popierać rozwój współdzielni wytwórczych i spożywczych, zreorganizować oszczędność i kredyt oraz rozwiązać zagadnienie mieszkaniowe. Siła produkcyjna oraz zdolność oszczędzania i spożycia, jakimi rozporządza klasa robotnicza, powinny być skierowane do tego celu istotnego: udział najemników (którzy stanowią 70% ogółu ludności niemieckiej) w własności prywatnej i w zarządzie gospodarstwa narodowego¹⁾.

Postulatem programowym Demokracji chrześcijańskiej w dziedzinie sprawy robotniczej są t. zw. „ustawy o akcjach pracy i udziale robotników w zyskach przedsiębiorstwa”.¹⁾

Wśród innych robotników zagadnienie akcji pracy jest mało spopularyzowane. Współcześnie, niezawodnie pod wpływem silnej propagandy socjalistycznej, popularnem jest hasło nacjonalizacji. Tak np. na 56 kongresie Tradeunionów, uchwalając jakgdyby kartę robotniczą, postanowiono dążyć do przeprowadzenia nacjonalizacji ziemi, kopalni i kolei, rozszerzenia zakładów państwowych i samorządowych w dziedzinie usług społecznych, oraz organizacji udziału robotników w zarządzie.

Jakie stanowisko wobec tego ruchu zajmują pracodawcy i przemysłowcy? Zarówno udział w zyskach, jak akcje pracy, pierwotnie były dziełem pracodawców, którzy się kierowali zarówno własnym pożytkiem, jak dobrem robotnika. Nie wielu jednak pracodawców wprowadziło akcje pracy. I dlatego — celem zachęty akcjonariuszy — należy rozważyć, jakie pożytki dają akcje pracy?

Na takie pytanie, postawione przez de Briey, dyrektor South Metropolitan Gas Cy, które oddawna wprowadziło akcje pracy, dał następującą odpowiedź: „Od dwudziestu dwóch lat mamy spokój w naszych zakładach. Nasi ludzie w wypełnienie swego obowiązku wkładają nie tylko dobrą wolę, ale także inteligencję. Pomyślcie tylko o różnicy dla przedsiębiorstwa między robotnikiem dobrej i złej woli. Jakaż zmiana w wydajności pracy! Nasi pracownicy wnoszą sztandar naszych zakładów do wszystkich okolic, którym

¹⁾ Program Polskiego stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, uchwalony na II ogólnopolskim Kongresie Stronnictwa z dn. 31 maja i 1 czerwca 1925. Nakładem Zarządu Głównego 1925 27.

udzielamy światła. Rozporządzamy ich sercami, jak ich muskułami, dlatego są zawsze skorzy do pomagania nam we wszystkich trudnościach, związanych z naszym przemysłem".¹⁾ Gdy w r. 1892 i 1902 dywidenda spadła bardzo nisko, personal fabryczny oświadczył gotowość usilniejszej pracy, żeby obniżyć kosztu produkcji i obietnicy dotrzymał. Nie mniej znamienne jest oświadczenie, ogłoszone w *La fournée industrielle* przez dyrektora *Société de Mécanique et d'Estampage de furisy*:²⁾ „Naszą fabrykę zorganizowaliśmy bezpośrednio po strajkach majowych. Potrzebowałem robotników wykwalifikowanych i nie zawahałem się przyjąć strajkujących, usuniętych z Kompanji kolejowej. Byli to działacze związków zawodowych. Uświadomiłem sobie, że, mając takich robotników, muszę zorganizować produkcję na nowych podstawach. Czyniąc zadość popularnym wśród nich dążeniom, zdecydowałem się na udzielenie im części wspólnej własności i oddanie im moich akcji założycielskich. Poza nielicznymi wyjątkami, robotnicy, pracownicy i majstrzy przyjęli akcje i spłacają je regularnie... Ten sposób uregulowania stosunków między pracodawcami i robotnikami wydał najlepsze rezultaty. Mogłem rozbudować fabrykę... W miesiąc po otwarciu zakładu ze 110 robotnikami i pracownikami wykonywałem tyle robót, ile fabryki, podobne do mojej, wykonywały z 250; mogłem łatwo podołać trudnościom, wynikłym z zastosowania ośmiogodzinnego dnia pracy; osiągnąłem ogromną oszczędność w zużyciu surowców, lepsze zużytkowanie narzędzi pracy, lepszą obsługę maszyn, wszystko to z małym aparatem kontroli i nadzoru. Robotnicy mają uczucie, że są pracownikami jednej sprawy; pracują jako zainteresowani współpracownicy... Nigdy nie kierowałem personelem tak oddanym i pracowitym“.

II.

Jaki charakter powinny mieć akcje pracy? Czy mają to być takie same akcje, jak akcje kapitałowe, czy też prze-

¹⁾ Comte R. de Briey, *Essai sur l'association du capital et du travail par l'actionariat ouvrier* 1914 36.

²⁾ Z 25 września 1920 r. Przyt. Max Turmann, *Problèmes sociaux du Travail Industriel*.² 1921 159.

ciwnie, mają być tylko ulepszoną postacią udziału w zyskach? Chodzi głównie o to, czy mają być darmowe czy opłacane. Zdaje się, że od rozstrzygnięcia tego pytania zależy przyszłość omawianego tutaj instytutu.

Udział w zyskach, powstały na skutek inicjatywy pracodawców, początkowo był wyrazem pomocy, okazywanej robotnikom przez pracodawców, która zresztą oddawała pewne usługi samym pracodawcom. Zazwyczaj zyski, w ten sposób osiągnięte, nie były wypłacane bezpośrednio każdemu robotnikowi, lecz ich zespołowi, albo też były obracane na utrzymanie i rozwój robotniczych instytucji społecznych. Przeciw temu systemowi robotnicy wysuwali zarzuty i wątpliwości, np. że jest to instytucja tylko dobroczynna, a niema słusznego powodu, żeby ogół robotników musiał korzystać z jałmużny, że wyznaczenie wysokości zysków oraz ich rozdział zależy wyłącznie od woli, a może fantazji i niesłusznym uprzedzeń pracodawców, wskutek czego pochlebcy, „sługusi” mogą być uprzywilejowani. Otóż wielu pracodawców, którzy, stosując udział w zyskach, nie mieli na widoku żadnych ubocznych celów, lecz jedynie dobro sprawy, a nie byli zbyt przywiązani do wytworzonej przez siebie instytucji, zarzucili udział w zyskach, a właściwie nadali mu doskonalszą postać akcji pracy. Akcje bowiem pracy wprowadzały pewien przedmiotowy miernik: kto posiadał akcje pracy, ten miał prawo do dywidendy, jaką otrzyma właściciel akcji kapitałowej — a zarazem zatrzymały korzyści udziału zysków, osiągane przez pracodawcę, np. przychylność robotników dla zakładu, większą stałość personelu, zmniejszenie lub wygaśnięcie strajków.

Powstałe w ten sposób akcje pracy nie były opłacane przez robotników, nie dawały też wszystkich praw, jakie przysługiwały akcjom kapitałowym, np. uczestniczenia w radach nadzorczych. Akcje pracy były tylko udoskonaloną formą udziału w zyskach.

Rozwinęły się przedewszystkiem w Anglii. Przytoczę jeden przykład celem wyjaśnienia. Lever, założywszy fabrykę mydła w r. 1886 w Port-Sunlight, wprowadził udział w zyskach, zamieniony w r. 1901 na akcjonariat robotniczy. Akcje pierwotnie otrzymali robotnicy, mający więcej niż 25

lat i pracujący w zakładzie od 5 lat; to samo dotyczyło robotnic. Dopiero od r. 1908 akcje, po jednej lub po kilka, były rozdawane wszystkim robotnikom. Ale akcje te nie dawały 5% odsetki, bo nie były zapłacone przez robotników lecz darmowe. Z tego samego powodu robotnik nie mógł ich sprzedać, ani zastawić, ani odstąpić pod groźbą nieważności i utraty wszystkich zysków. Nie dawały też prawa reprezentacji w radach.¹⁾

Niektórzy pracodawcy poszli dalej: złagodzili darmość akcyj pracy, przeto tylko pod tym względem zmniejszyli ich podobieństwo do udziału w zyskach, ale zachowali wszystkie inne cechy. Tak np. firma Zapy we Francji sprzedaje swoim robotnikom, pracującym od lat pięciu bez przerwy, udziały po sto fr., każdy z prawem do 4.5% procentu oraz do dywidendy, jaką otrzymują zwykłe akcje. Ale udziały te nie dają prawa do uczestniczenia w walnych zebraniach spółki ani w radzie nadzorczej.²⁾ Rzecz oczywista, że udziały te nie są akcjami w ścisłym znaczeniu.

Podobnież połowiczne stanowisko zajęła ustawa francuska z 26. 4. 1917 o spółkach akcyjnych z udziałem robotników, *loi sur les sociétés anonymes à participation ouvrière*.³⁾ Dotychczasowy art. 1833 kodeksu cywilnego Napoleona postanowił, że udziałem, wnoszonym do spółki, może być pieniądź lub inne mienie, oraz industrie, wyłożona praca, przedsiębiorczość, zabiegi celem uruchomienia spółki itd., o ile to wszystko może być ocenione w pieniądzach. Rozumiano przez tę „industrie” jednakowoż pracę już wyłożoną. Otóż ustawa z 1917 r., właściwie nowela do art. 1833, postanawia, że można tworzyć akcje, nieoparte na pracy już wyłożonej, lecz związane z pracą, która będzie dawana w okresie istnienia spółki; że zatem spółka akcyjna może, obok akcyj kapitałowych, ustanowić dowolną liczbę akcyj pracy, nieopłaconych pieniędzmi ani wyłożoną już pracą, ale mimo to da-

¹⁾ Dr. J. Jovanovitch, *Le Rendement optimum* 1923 98 n.

²⁾ Ch. Gide, *Les Institutions de Progrès social* 1921 140.

³⁾ Ustawa z r. 1917 została włączona do ustawy z r. 1867 sur les sociétés par actions, jako art. 72—80. Pod jej wpływem pozostaje ustawa kantonu genewskiego z maja 1920, uchwalona mimo sprzeciwu socjalistów. Max Turmann, *Problèmes sociaux du Travail industriel* 1921 170.

jących prawo do dywidendy, do rzeczywistego przedstawicielstwa w zarządzie spółki i walnych jej zebraniach.

Rozstrzygnięcie to jest połowiczne dlatego, że mimo wszystko opiera się na darowiźnie. Darmowa pomoc, okazana robotnikom przez pracodawcę, nie tylko nie jest czemś złem i ubliżającym, lecz przeciwnie jest przejawem miłości chrześcijańskiej i solidarności ludzi, pracujących w jednym zawodzie. Chodzi tu o co innego, o to mianowicie, że akcje pracy, przewidziane przez ustawę z r. 1917, nie zmieniają instytucji udziału w zyskach, której główną wadą była darmowość i dowolność, na tyle, aby instytucji akcjonariatu pracy zapewnić powodzenie. Aleksander Jackowski w doskonałej rozprawie,¹⁾ poświęconej omawianemu tu zagadnieniu, jest zdania, że akcje pracy są wprawdzie nieopłacone, ale mają dostateczną „podstawę w ewentualnie niedostatecznej opłacie pracy, jako czynnika produkcji, przez płacę zarobkową, mianowicie w tym wypadku, gdy produkt da wysokie zyski, przekraczające normalną opłatę kapitału — jako współczynnika produkcji, za jego udział w przedsiębiorstwie i za jego ryzyko”. Rozumowanie to nie jest przekonywujące, gdyż jest ono uzasadnieniem udziału w zyskach, a nie akcji pracy, dających prawo do udziału w zarządzie. Zresztą nawet przeciw takiemu uzasadnieniu prawa do zysków przemawiają niektórzy ekonomiści, np. Calson.²⁾ Jego zdaniem udział w zyskach możnaby stosować tylko wtedy, gdyby kapitał, który przyjmuje to obciążenie i ponosi nadto całkowite ryzyko strat, pobierał wysokie dochody (łącznie z odszkodowaniem) a udział robotników uczestniczyłby w pozostałej reszcie. Ale wtedy zyski udziałowe robotników byłyby minimalne i rzadko kiedy otrzymywane, gdyż okresy czy lata wielkiej dochodliwości przedsiębiorstw spotyka się rzadko. Jeśli zaś kapitał ma otrzymywać zwykły procent, a czysty zysk ma pójść do podziału, wtedy instytucja udziału staje się zwykłą akcją dobroczynną. W jednym i drugim wypadku nie może liczyć na rozpowszechnienie. Ale gdyby się nawet połączyło udział w zyskach z udziałem

¹⁾ O akcjach pracy i o akcjach dla pracowników. Warszawa 1921 13.

²⁾ Le travail et les questions ouvrières 1917 152 nn.

łem w stratach, aby mu nadać racjonalność, to nawet wtedy instytucja ta nie będzie sprawiedliwą. Wpływ robotników bowiem na wzrost zysków jest zupełnie nieznaczny; przeciętna wydajność ich pracy jest zazwyczaj jednakowa zarówno w zakładach, które prosperują, jak w zakładach, które są bliskie upadku. Dochodliwość zakładu zależy od warunków konjunktury, w których powstał, od zdolności kierownika i jego głównych współpracowników, od umiejętności najdogodniejszego kupowania i sprzedawania itd. Tylko garstka ludzi przyczynia się wydatnio do utrzymania i podnoszenia dochodliwości zakładu i tylko ona powinna być dodatkowo wynagradzana.

Darmowy charakter akcji pracy według koncepcji ustawy francuskiej z 26. 4. 1917 uwydatnia tem silniej tą okoliczność, że ustawa nie przewiduje jakiegoś stałego np. procentowego stosunku akcji pracy do akcji kapitałowych, lecz określenie liczby akcji pracy pozostawia statutowi, przy którego układaniu robotnicy nie są obecni, bo ich, jako robotników, zatrudnionych w tworzącej się dopiero spółce, jeszcze nie ma. Statut układa się więc w ten sposób, żeby przy największej liczbie członków zarządu była najmniejsza liczba przedstawicieli robotników, żeby jak największą sumę dochodu odliczyć na akcje pierwsze i uprzywilejowane, na kapitał zapasowy itd., a resztę dopiero przekazać na dywidendę od akcji pracy. Dużo przykładów postanowień statutowych tego rodzaju przytacza Jovanovitch.¹⁾ Zysk osiągnięty z pomocą akcji pracy, nie przekracza 2—3% od sta. To samo w Anglii, w której w r. 1918 105 przedsiębiorstw przemysłowych rozdzieliło wśród 81.833 robotników 300.000 funtów; wynosi to 3¹/₃ f. na jednostkę i 2¹/₂ całego dochodu.

Przeciw takim akcjom podnosi się te same zarzuty, co przeciw udziałowi w zyskach, że są za słabe, aby pobudzić robotnika do staranniejszej pracy, bo zysk mały, wypłacany w odległych, rocznych odsetkach, nie związany wcale z indywidualną wydajnością i wartością pracy; że robotnicy są

¹⁾ Le Rendement optimum du Travail ouvrier 1923 106—107. Wiele statutow spółek akcyjnych, zbudowanych na podstawie ustawy z 26. 4. 1917 przytacza D. Laguerre, Sociétés anonymes à participation ouvrière. 1920 175—188.

skłonni uznawać zysk czy dywidendę za część zarobku, gdy z istoty swej jest ona tylko dodatkiem, że skutek tego niewypłacenie dywidendy w roku, w którym niema zysku, prowadzi do zatargów; że robotnicy, nie mając dostatecznej kontroli nad działalnością zakładu, sądzą, iż są oszukiwani, iż otrzymują tylko resztki kolosalnych dochodów, a pracodawca, dbały o powodzenie swego zakładu, nie może się zgodzić na kontrolę robotników; że akcje pracy służą tylko do rozbicia solidarności robotniczej, do usunięcia wpływu związków zawodowych na bieg spraw, do pozbawienia robotników możliwości strajku, do wyzbycia się swobody ruchów i możliwości zmiany miejsca, gdyż regulamin udzielania akcji przyznaje je tylko lepszym, przewiduje kontrakt przynajmniej roczny, utratę wszystkich praw w razie odejścia lub strajku, ograniczenie wpływów związku zawodowego itd.¹⁾

Wszystko to upoważnia nas do wniosku, że akcje pracy bezpłatne lub płatne, ale w warunkach jednostronnie określonych przez pracodawców, względnie akcjonariuszy kapitałowych, nie mają widoków rozszerzenia się, ani dokonania przemiany ustroju kapitalistycznego, chociaż zarówno robotnikom, jak pracodawcom przynoszą pewne korzyści.

Wartość rzeczywistych akcji pracy polega przede wszystkim na tem, że dają robotnikom możliwość wpływu na stosunki pracy. Mają oni możliwość bezpośredniego zetknięcia się z przedstawicielami kapitału i kierownictwa, jako równouprawnieni członkowie rad lub zarządów, a nie z dobrej woli dopuszczeni najemnicy. Mają oni możliwość przedstawienia postulatów i ich obrony w dyskusji, w której biorą udział. Akcje pracy dostarczają warstwie najemnej nowego, bardzo skutecznego a pozbawionego wszelkiej demagogii środka pracy nad poprawą swego położenia. Nadto doko-

¹⁾ O takim wypadku opowiada np. Charles Cestre w niezmiernie pouczającej książce: *Production industrielle et justice sociale en Amérique* (1921 108). Trust stalowy sprzedał po dogodnej cenie akcje swoim robotnikom, ale tylko Amerykanom, a żadnemu emigrantowi, chcąc wprowadzić rozdzźwięk między Amerykanami, którzy mogą strajkować, a emigrantami, którzy żyją w bardzo ciężkich warunkach i sami są niezdolni do strajku. W styczniu 1920 r. Ford Motor Co rozdzieliła sto milionów dolarów z tytułu udziału między 94.000 robotników, ale także tylko Amerykanów.

nywują one niezmiernie doniosłej przemiany społecznej, gdyż zarobnika, pozbawionego wszelkiej własności, robotnika i pracownika bez własności, zamieniają na właściciela, w małych co prawda rozmiarach, ale na rzeczywistego właściciela części zakładów wytwórczych i handlowych. Wskutek tego czynią nie tylko zadość bardzo silnej tendencji własnościowej, odczuwanej powszechnie przez ludzi, ale także zmieniają samą psychologję zarobnika. Najemnik-właściciel musi porzucić nie tylko wrogie, ale nawet negatywne i obojętne stanowisko względem życia gospodarczego, z którym jest związany; musi obudzić w sobie poczucie odpowiedzialności za bieg i rozwój zakładu, w którym pracuje. Nie jest już bezdomnym w gospodarstwie kapitalistycznym, ale jednym z gospodarzy. Wreszcie, wybiegając myślą w przyszłość, możemy wziąć pod rozwagę akcje pracy jako jeden ze środków zniesienia systemu najemnika i przebudowy ustroju kapitalistycznego. Możemy przewidywać, że większość akcji, przynajmniej poszczególnych zakładów przejdzie na własność robotników i pracowników, że zniknie lub straci na wpływie czereda spekulantów, żerująca na głodzie i krzywdzie ludzkiej; że, przewyciężywszy walkę klasową, zgodnie pracować będą nad rozwojem życia gospodarczego praca i kapitał, a właściwie człowiek rozporządzający pracą i kapitałem.

III.

Akcje pracy mogą być dwojakiego rodzaju: indywidualne albo zbiorowe. Pierwsze są własnością robotnika, drugie — ogółu robotników. Która z tych dwóch form jest celowsza i doskonalsza?

Znana w świecie katolickim instytucja wydawnicza *Action Populaire* w broszurze, poświęconej akcjom pracy, stanowczo się wypowiada za akcjonariatem indywidualnym a przeciw zbiorowemu. Akcjonariat zbiorowy nie zadowala robotników. Kto zamierza przywiązać robotników do zakładu, kto pragnie, aby robotnicy troszczyli się nie tylko o interesy chwilowe, ale także o przyszłość firmy, aby pożytecznie współpracowali z zarządem przedsiębiorstwa, ten musi im ukazać korzyść, z której bezpośrednio i według własnej

woli będą mogli korzystać. Inaczej akcjonariat nie będzie miał powodzenia.¹⁾ Nie ulega wątpliwości, że akcjonariat zbiorowy nie odwołuje się tak bezpośrednio do korzyści osobistej, jak indywidualny. W akcjonariacie zbiorowym akcje są własnością ogółu robotników, ich zrzeszenia; zyskiem rozporządza ogół, mogąc go przeznaczyć na podział między członków lub na instytucje społeczne albo na powiększenie kapitału zrzeszenia; gdy robotnik opuści fabrykę, względnie zrzeszenie, nie może zabrać ze sobą akcyj a bardzo często traci pewne korzyści, tę część swoich zysków, których nie odebrał, a które były obrócone na wspólne cele. Przewaga po stronie akcjonariatu jednostkowego widoczna. Ale czy to nie jest przewaga tylko teoretyczna? Jeśli się stanie na stanowisku jedynie korzyści osobistej, czy wogóle można będzie mówić o rozszerzeniu się samej instytucji akcyj pracy? Już poprzednio była mowa o słabych stronach akcyj darmowych lub półdarmowych i o przyczynach ich małej popularności. Gdy zaś chodzi o kupno akcyj, czy robotnik nie będzie wołał złożyć oszczędności do kasy lub kupić uprzywilejowane papiery, niż nabywać akcje, które mu mogą nie dać żadnych korzyści? Dlatego zagadnienie akcyj pracy należy przenieść na teren szerszy i dać mu pewien podkład idealny.

Dlaczego można się obawiać, że akcje, zakupywane indywidualnie przez robotników, mogą im nie dać żadnych korzyści, przeciwnie przynieść szkody?

Kupując dla siebie, żaden robotnik nie nabędzie większej liczby akcyj i dlatego nie będzie mógł uczestniczyć ani w walnem zebraniu, ani w radzie nadzorczej ani w zarządzie. Wszystko w spółce będzie się działo bez jego głosu, nawet bez jego wiedzy. Przypuszczenie zaś, że drobni akcjonariusze połączą się i wyślą wspólnych delegatów, jest nie-realne, wprost niemożliwe do urzeczywistnienia. Nie będzie się miał tem kto zająć, będzie trudno tych akcjonariuszy zgromadzić, zresztą ludzie przypadkowo *ad hoc* wybrani, nie będą dostatecznie wtajemniczeni w bieg spraw. Próby,

¹⁾ A. P., Les Actions de Travail et les Sociétés anonymes à participation ouvrière. Paris 13—14.

czynione w tym kierunku, gdy chodziło o drobnych akcjonariuszy (nawet urzędników, którzy pod tym względem powinni być lepszym materiałem społecznym niż robotnicy) Banku Polskiego lub Banku dla Przemysłu i Handlu, nie dały pomyślnych wyników. Nadto, nie można przeoczyć tej stałej praktyki, że więksi akcjonariusze swoje interesy w zakresie reprezentacji i podziału zysków przekładają nad interesy drobnych. Wreszcie, drobne akcje nie tylko mogą nie dać zysku, ale mogą spowodować straty, np. w razie likwidacji zakładu, w razie przewalutowania, w okresie spekulacji. Niebezpieczeństwo utraty oszczędności, włożonych w akcje przez drobnych właścicieli, jest zawsze groźne, a niestety, bardzo często realizuje się. Natomiast takiego niebezpieczeństwa niema w akcjonarjacie zbiorowym.

Posiadając większą liczbę rzeczywistych akcji, zrzeszenie może zrealizować możliwość uczestniczenia w radach i zarządach oraz możliwość wywierania wpływu na bieg wypadków, zarówno w dziedzinie otrzymania zysków dla akcji pracy, jak również w dziedzinie warunków pracy. Akcjonarjat zbiorowy dokona tego, czego nie może dokonać jednostkowy, tj. wprowadzi przedstawicieli warstwy najemnej do sali, w których obraduje walne zebranie, rada nadzorcza lub zarząd i posadzi ich przy stole obrad.

Akcionarjat zbiorowy umożliwi nadto stworzenie większych rezerw, większych sum pieniężnych, które mogą być obrócone na cele wspólne, np. na stypendja szkolne, na dopłatę do rat ubezpieczeniowych, na opiekę nad chorymi i starcami, na zakup ziemi pod ogródki itd. To są również korzyści namacalne, nie mniej widoczne, niż otrzymana do ręki dywidenda, chociaż, trzeba to przyznać, nie dają one tej samej swobody dysponowania, co gotówka. Ale to nie jest moment decydujący. Zarobnicy potrafią bowiem ponosić ofiary dla celów jeszcze mniej materialnych, jak np. solidarność klasowa. Dość tu wspomnieć ofiary ponoszone dla związków zawodowych.

Wreszcie, nie można odmówić słuszności wywodom generalnego sprawozdawcy ustawy w Senacie, p. Deloncle. Dajemy przewagę, mówił on, akcji zbiorowej nad jednostkową, gdyż ta byłaby powodem niepokojów wśród robotni-

ków. Robotnicy i pracownicy nie mogą wszyscy otrzymać jednakowych walorów, gdyż każdy z nich przedstawia inną ilość i jakość pracy, każdy ma inną pod tym względem wartość. Wskutek tego walka, która się toczy między dzisiejszymi kapitalistami a robotnikami, toczyłaby się między tymi kapitalistami i pewną liczbą robotników-właścicieli a masą robotniczą bez własności. Wskutek tego zawodowe związki czerwone stałyby się jeszcze czerwieńsze. Akcjonarjat zbiorowy usuwa tego rodzaju niebezpieczeństwo.

IV.

Akcionarjaty zbiorowe mogą być różnego rodzaju.

Najpospolitszym jest typ, zamykający się w obrębie danej spółki, względnie przedsiębiorstwa. Zwykły to typ w Anglii, o ile wogóle można mówić w tym wypadku o akcjonarjacie zbiorowym. Akcje bowiem należą do każdego zarobnika z osobna, ale zwykle o tyle, o ile pracuje w danem przedsiębiorstwie; tym sposobem tworzy się pewna zbiorowość faktyczna, mająca, w poszczególnych wypadkach, swych przedstawicieli na walnem zebraniu lub w zarządzie.

Temu typowi ustawa francuska z 26. 4. 1917 nadała formę prawną. Pozwala ona założycielom spółek akcyjnych, ale nie komandytowych np., czem się różni od genewskiej, ustanawiać obok akcji kapitałowych akcje pracy. Warunkiem takiej instytucji jest utworzenie przez personal zakładu pracowniczej współdzielni handlowej, *société commerciale cooperative*, do której muszą należeć wszyscy zarobnicy obu płci, pełnoletni i pracujący w zakładzie przynajmniej od roku (art. 74). Nikt z poza zakładu nie może należeć do współdzielni, tak iż kto opuszcza zakład, ten automatycznie przestaje być członkiem współdzielni (art. 74). Akcje pracy, których właścicielem jest współdzielnia, są imienne, zapisane na współdzielnię, nie mogą być ustąpione ani sprzedane, nie podlegają zajęciu, nie można ich też podzielić między członków współdzielni.

W walnych zebraniach współdzielni mają prawo uczestniczenia wszyscy jej członkowie, ale — i to jest bardzo charakterystyczne dla równościowej Francji — nie w jednokowy sposób. Liczba głosów bowiem każdego członka za-

leży od wysokości zarobku rocznego. Rozporządza on tylu głosami, ile razy mieści się w jego rocznym zarobku roczny zarobek najniżej płatnego pełnoletniego pracownika. Uchwały zebrania są ważne, gdy w nich uczestniczy przynajmniej $\frac{2}{3}$ członków spółdzielni. Do zadań walnego zebrania spółdzielni należą następujące sprawy: 1) wybór pełnomocników, ale tylko z pośród członków spółdzielni, dla reprezentowania jej na walnych zebraniach i w zarządzie spółki akcyjnej; 2) wybór zarządzających spółdzielnią, których rola zresztą nie jest określona, z wyjątkiem tego, że reprezentują spółdzielnię przed sądem; 3) ustanowienie zasad podziału tej części dywidendy, która przypadnie spółdzielni, wśród jej członków; ustawa przewiduje tylko, że przed wypłatą dywidendy musi być wypłacony procent akcjom kapitałowym, przewidziany statutem (art. 74) i że spółdzielnia może część dywidendy przekazać na cele; 4) ustalenie zasad likwidacji spółdzielni w razie likwidacji spółki. Wcześniejsza likwidacja spółdzielni jest wątpliwa.

Walne zgromadzenia spółki akcyjnej składają się z właścicieli akcji kapitałowych oraz z pełnomocników spółdzielni pracowniczej, wybranych na jej walnym zebraniu. Liczbę pełnomocników, wybieranych przez spółdzielnię określa statut spółki akcyjnej, ale liczba głosów, którymi rozporządzają pełnomocnicy, ma się do liczby głosów właścicieli akcji kapitału, będących na zebraniu, jak liczba akcji pracy do akcji kapitałowych bez względu zresztą na liczbę pełnomocników (art. 76). Tym sposobem nawet w razie częściowej nieobecności pełnomocników, spółdzielnia zachowuje swoją liczbę głosów. Zarząd spółki, cały wybierany przez jej walne zebranie, również musi się składać z przedstawicieli akcji kapitałowych i akcji pracy; tych wybiera się z pośród pełnomocników. Liczba przedstawicieli spółdzielni zależy od stosunku, jaki zachodzi między liczbą akcji pracy i kapitału, ale musi być zawsze wybrany przynajmniej jeden (art. 78). Zasadniczo mają oni te same prawa i obowiązki (faktycznie są zwolnieni od odpowiedzialności, bo nie są obowiązani do złożenia pewnej liczby walorów, jako gwarancji),¹⁾ co przedstawiciele akcji kapitałowych.

¹⁾ Postanowienie to jest bardzo ostro atakowane przez pracodaw-

Członek współdzielni, który (wskutek opuszczenia zakładu) przestaje być jej członkiem, tem samem traci wszystkie prawa i korzyści, jakie mu przysługiwały z tytułu członkostwa. Jedynie w razie likwidacji współdzielni, byli członkowie, którzy ją opuścili wskutek choroby lub starości a pracowali w spółce bez przerwy lat dziesięć lub przynajmniej przez połowę okresu istnienia spółki, mają prawo do części majątku współdzielni; ich udział jednak zmniejsza się o tyle dziesiątych części, ile lat minęło od opuszczenia przez nich zakładu. Pozatem zasady i sposób likwidacji współdzielni postanawia walne zebranie (art. 79).

Powodzenie ustawy francuskiej jest bardzo słabe. Według świadectwa Pica¹⁾ w początkach 1924 nie więcej jak dziesięć spółek akcyjnych zbudowało się na podstawie ustawy z 1917 r., tj. utworzyło akcje pracy. Niezawodnie wpłynęły na taki stan rzeczy ciężkie warunki gospodarcze. Ale były także przyczyny związane z samą ustawą.

Utworzenie akcji pracy zależy wyłącznie od woli akcjonariuszy, robotnicy nawet nie mogą przedstawić swej opinii, bo ich jeszcze niema. Owoż jest rzeczą zrozumiałą, że pracodawcy niechętnie godzą się na dwie wielkie ofiary: zrzeczenie się części zysków na rzecz akcji pracy i zrzeczenie się swobody zarządu przez dopuszczenie pełnomocników współdzielni do tegoż zarządu, nie otrzymując za to dostatecznych rekompensat. Pełnomocnicy są bowiem faktycznie nieodpowiedzialni finansowo, podniesienie wydajności jest niepewne, większą pewnością odznacza się nadzieja stabilizacji personelu i zmniejszenia zatargów, zakończonych strajkiem. Korzyści fiskalne i przywileje co do dostaw rządowych dla takich spółek są również nieznaczące; nadto większość ich zależy od spełnienia warunku, że stosunek akcji pracy do akcji kapitałowych będzie przynajmniej jak jeden do czterech. Pracodawcy wolą organizować jednostkowe akcjonariaty darmowe całkowicie lub częściowo, bo im dają

ców i wielu pracowników. Pic (*Législation industrielle*⁵ 1922 n. 1380) nazywa je un régime d'irresponsabilité organisée.

¹⁾ *Revue International du Travail*. 10 (1924) 20.

większą swobodę.¹⁾ Liczba tych akcjonarjatów jest większa niż zbiorowych według ustawy z r. 1917.

Zarobnicy również zachowują dużą rezerwę. Zraża ich to, że faktycznie w ciągu roku nie mogą zmienić miejsca pracy, bo nie uzyskują dywidendy; że nie są właścicielami akcji, bo korzystają z akcji i dywidendy tylko o tyle, o ile pracują w danym zakładzie; inne zaś pobudki nie są dość silne, iżby ich przychylnie usposobiły do samej instytucji. Nie jest bez znaczenia ten fakt, że spółdzielnia obejmuje cały personal, tj. pracowników, nawet najwyższych, i robotników, oraz że pełnomocników można wybierać tylko z pośród członków spółdzielni. Czyż taki delegat nie będzie się czuł bardzo nie swojo, czy będzie mógł spełnić swe zadanie, jako przedstawiciel zarobników, zwłaszcza w zarządzie spółki, gdzie będzie występował jako zwierzchnik swoich zwierzchników.

O nastrojach, panujących wśród robotników, o tyle trudno mówić, że w tworzących się spółkach robotnicy nie mają głosu, lecz tylko pracodawcy. Podobnie utworzenie spółdzielni pracowniczej w spółce już istniejącej zależy również od pracodawców; tutaj brak zainteresowania, nieuwajniany przez robotników, wyraża się w braku nacisku na akcjonarjuszy kapitałowych. W każdym razie realizacja myśli, zawartej w ustawie z 1917 r., zależy prawie wyłącznie od właścicieli akcji kapitałowych.²⁾

W ostatnich latach wśród chrześcijańskich robotników w Belgji rozwinął się ruch śmiały, wnoszący nowe pierwiastki, mające widoki powodzenia. Ruch ten daje przewagę akcjonarjатовi zbiorowemu nad jednostkowym, dla powodów, o których wyżej była mowa. Ale wiąże się ściśle z ruchem

¹⁾ Pewną gwarancją dla właścicieli kapitału jest art. 77, który postanawia, że walne zebrania spółki, na których się obraduje nad zmianą statutu, albo nad przedłużeniem trwania spółki ponad termin określony, albo nad jej rozwiązaniem przed tym terminem, mogą ważnie powziąć uchwały tylko wtedy, gdy w nich bierze udział liczba akcjonarjuszy, przedstawiających $\frac{3}{4}$ akcji kapitałowych. Ale statut spółki może inaczej postanowić.

²⁾ W jednym tylko wypadku ustawa odwołuje się do woli akcjonarjuszy pracy. Gdy mianowicie akcjonarjat pracy jest już ustanowiony, wszelkie zmiany w zakresie praw, przywiązanych do akcji pracy, uchwalane przez walne zebranie spółki, muszą uzyskać aprobatę spółdzielni.

zawodowym i nabywa akcje różnych spółek; z obu więc przyczyn (łącznie z ruchem zawodowym i akcje różnych spółek) przekracza obręb poszczególnych zakładów. Akcje są nabywane, zatem mają te same prawa, co akcje kapitałowe. Ale z tego też powodu ruchowi temu, zmierzającemu bezpośrednio do poprawy położenia zarobników, w dalszych zamiarach przyświeca idea przemiany ustroju kapitalistycznego.

Twórcą tego ruchu i jego gorącym promotorem jest p. Paul Dessart, adwokat sądu apelacyjnego w Liège i radca prawny Fédération chrétienne des syndicats.¹⁾ Pierwsza spółdzielnia, rzecz naturalna, powstała w Liège.

Jest to spółdzielnia, mająca na celu nabywanie, względnie sprzedaż wszelkich papierów wartościowych, jak również wszelkie czynności handlowe i bankowe, a nadto pomoc instytucjom ekonomicznym i społecznym (art. 3 statutu w Liège). Spółdzielnia zobowiązuje się do odpowiedzialności, ograniczonej do wysokości swego majątku; członkowie są odpowiedzialni każdy z osobna i tylko do wysokości dokonanego zapisu na akcje. Ilość kapitału jest niczem nieograniczona. Tworzy się drogą udziałów 25 frankowych. Udziały, w których nabywaniu co do ilości niema ograniczeń, są imienne i niezbywalne osobom trzecim; natomiast mogą być sprzedane innym członkom spółdzielni za zgodą zarządu. Udziały można spłacać ratami. Członkiem spółdzielni może być ten, kto czyni zadość następującym warunkom: 1) jest członkiem związku zawodowego, należącego do Fédération chrétienne des syndicats de la province de Liège albo też moralnym, prawnym lub technicznym doradcą jednego z takich związków; 2) jest członkiem spółdzielni i 3) zakupił przynajmniej jeden udział (art. 9). Zarząd może wywalić członka, gdy ten przestał być członkiem związku, należącego do Federacji, albo gdy nie stosuje się do przepisów statutu i regulaminów, albo popełnił czyn niehonorowy i niemoralny (art. 10). Członkowie, którzy ustąpili lub byli usunięci, nie mogą spowodować likwidacji spółdzielni. Należności będą im wszakże zwrócone po walnem

¹⁾ Poglądy swe wyłożył w broszurze: *Le salariat, l'actionnariat du travail et l'actionnariat syndical*. Liège. 1921.

zebraniu zwykłym (rocznym), ale nie w większej sumie niż nominalna wysokość ich udziałów. Tego rodzaju wypłaty nie mogą rocznie przewyższyć jednej dwudziestopiętej wartości majątku współdzielni i sumy niewypłacone przekazuje się do wypłaty na rok następny. Te same prawa przysługują spadkobiercom i wierzycielom (art. 12). Przed upływem pięciu lat żaden członek współdzielni nie może ustąpić. Podział zysków odbywa się w ten sposób: najmniej 10% na fundusz rezerwowy i amortyzacje, 5% dywidendy za udziały całkowicie pokryte; z reszty zaś 75% rozdziela się pomiędzy członków w stosunku do udziałów na zakup dla nich nowych udziałów, a 25% do dyspozycji zarządu na pokrycie kosztów, propagandę i t. d.¹⁾

Współdzielnia taka zakupuje akcje różnych przedsiębiorstw, ale zwłaszcza danego okręgu. Największą uwagę zwrócono na akcje przemysłu metalicznego i górniczego. Współdzielnia brukselska (trzecia obok z Charleroi) zakupuje głównie akcje bankowe. Chodzi nie tylko o to, aby mieć dostateczną ilość akcji, upoważniających do udziału w walnych zebraniach czy zarządzie lub radzie nadzorczej Spółki, ale aby mieć akcji jak najwięcej. Współdzielnia ma umożliwić zdobycie potrzebnych na to pieniędzy.

Przedstawiony tu typ współdzielni jest akcjonariatem zbiorowym i posiada jego zalety. Natomiast nie ma wad typu francuskiego według ustawy z r. 1917. Akcje są właściwymi akcjami, dającymi takie same uprawnienia, jak akcje posiadane przez kapitalistów. Współdzielnia, zarówno jak jej przedstawiciele, nie pozostaje w żadnej zależności od właścicieli i kierowników poszczególnych zakładów, tak że nawet robotnicy jako reprezentanci mają inne stanowisko niż pełnomocnicy według ustawy z 1917 r. Zarobnicy sami nabywają udziały i pozostają ich właścicielami, mogą dysponować otrzymaną dywidendą a zarazem powiększają zapas swoich udziałów w spółdzielni bez obawy ich utraty; tym sposobem dokonano uzgodnienia zasady korzyści osobistej (własne udziały, dyspozycja dochodem) z zasadą wspólno-

¹⁾ Por. Max Turmann, *L'actionnariat syndical en Belgique, en France en Allemagne et en Espagne*. *Revue Internationale du Travail*, 12 (1925) 401 n.

ści (wspólny zakup akcji, wspólny niemi zarząd, reprezentacja całej zbiorowości w wkładach spółek, wspólnościowe zasady podziału i t. d.) Zakupując akcje różnych spółek współdziałania mniej więc naraża się na kryzys, zawsze możliwy z powodu spadku wartości akcji. Typ ten lepiej odpowiada idei solidarności warstwy robotniczej i zawodowej organizacji życia gospodarczego, niż rozbicie go na poszczególne zakłady. Temu samemu celowi służy łączność z asocjacją zawodową.

Niektóre grupy, n. p. robotnicy katoliccy we Francji, kupno akcji różnych spółek i zadania reprezentacyjne zlecają zarządowi związków. Takie rozwiązanie jest niebezpieczne, bo obciąża związki czynnościami handlowymi, w razie niepowodzenia naraża związki same na kryzys, jest silną pokusą dla związków, aby osiągnięte zyski obrócić na cele związkowe, n. p. na akcję strajkową, wreszcie ogranicza się tylko do zdobycia prawa głosu na zebraniach, a nie może, bo nie ma zasobów, dbać o poparcie tego głosu siłą akcji. Łączność ze związkiem, przewidziana przez ruch belgijski, jest dostateczna, aby poprzeć akcję związkową i usunąć niebezpieczeństwo rozbicia ruchu robotniczego.

Ks. A. Szymański.

Einsteinizm a poglądy filozofji chrześcijańskiej.¹⁾

Początek XX wieku, który wraz z rewolucjami i wojnami, przyniósł tak obfite żniwo katastrof dla całego świata, w dziedzinie nauki (a mówiąc „uczony“ i „nauka“ mam na myśli kierunek materialistyczno-pozytywny — abstrahując filozofję wogóle, a zwłaszcza filozofję katolicką), w dziedzinie więc nauki przyniósł też znamieny przewrót.

Nauka, rozwijając się w tempie coraz to szybszem, zdobywając coraz to nowe dziedziny i tworząc wciąż większe udoskonalenia, lekarskie, techniczne i ...mordercze, nie ustając zresztą w tych kierunkach rozwijać się dalej, — w sprawie swej zasadniczej zbadania istoty wszechrzeczy, ustalenia, poznania praw kierujących wszechświatem, doszła jakoby do martwego punktu. — Gorzej nawet, bo oto krytyka naukowa, doświadczenia, eksperymentalizm, — nagle w dwudziestym wieku zdruzgotały swemi wynikami wszystkie niemal prawa i aksjomaty wiedzy. Cała nauka, ze wszystkimi zdobyczami umysłu ludzkiego z ostatnich trzech stuleci, stanęła nagle wobec jednego, wielkiego, tajemniczego X, bez możliwości objęcia, bez siły zbadania, bez metody, teorii, ba nawet dogodnej hipotezy. Dwa wielkie odłamy uczonych, moniści i pluraliści, wiodą ze sobą homeryczne boje, sami zresztą, nie mając najmniejszego nawet pojęcia, o istotę czego właściwie walczą.

¹⁾ Odczyt wygłoszony 1 listopada 1925 r. w cyklu odczytów „Tow. ks. Piotra Skargi“ w Warszawie.

Nie mogę tu, wobec niezmiernie obszernego tematu, a bardzo ciasnych ram tego referatu, omówić dokładnie upadek i paradoksalność teorii eteru, jonizacji atomów, bezradność wobec tajemnic grawitacji, niemożliwość określenia istoty byłej materji, nie mówiąc już o przestrzeni i czasie. W każdym razie, muszę zaznaczyć, że początek XX wieku postawił wobec nauki pytanie Hamleta: „być — albo nie być”; to znaczy, być dalej nauką tak zwaną „ściśłą”, oddzieloną od filozofji i metafizyki, negacją wszelkich przejawów ducha, stojącą mocno na fundamencie praw materji, lub nie być taką dumną, a uchylwszy czoło przed Arystotelesem i św. Tomaszem z Akwinu, wyznać szczerze: „jedyne co wiem, — to — że nic nie wiem!”

Jeżeli za punkt wyjścia wszelkiego uzmysłowienia materji i siły, weźmiemy eter, rzecz, a ściślej mówiąc, fikcję, do której się już nasz umysł niejako przyzwyczaił, i którą nawet panowie, zajmujący się okultyzmem, teozofją i innemi „hermetycznemi” ...iluzjami, włączyli do swego programu duchowego, — to łatwo, jasno i gładko tłómaczymy światło jako drganie fal eteru, obliczamy z największą ściśłością ich długość, rozpiętość, ilość i szybkość; materję tłómaczymy sobie jako ruch tegoż eteru itd. wszystko co jest, wszystko co pod nasze zmysły podpada, świat, życie — to eter w ruchu. Zaznaczyć też trzeba, że wszelki ten ruch jest jak najściślej matematycznie obliczony. Ale oto nauka XX wieku doszła do zdumiewających wprost wniosków, co do własności owego eteru: więc musi on być nieskończenie lekki, a raczej pozbawiony wszelkiej „wagi”, nieskończenie przezroczysty i całkowicie nieuchwytny, *impalpable* jak mówią Francuzi; jednocześnie jednak musi być niezmiernie prężny, ściśłość zaś posiadać niezmiernie przewyższającą ściśłość stali lub diamentu, musi on być niezmiernie ruchliwy (na olbrzymim wirze eteru polega istnienie wszelkiej materji) zaś jednocześnie musi być absolutnie martwym. Eter jest rodzajem „pramaterji”, istnością ciągłą, bez jakichkolwiek przerw, rys i porów, istnością, więc czemś nieskończenie wielkiem, nie mającem granic. Każden normalnie myślący człowiek musi zrozumieć, że zgodnie z postu-

latem św. Tomasza, „coś” materialnego (czy pramaterialnego, to obojętne, to tylko gra słów!) i nieskończenie wielkiego, — musi być, *ipso-facto*, absolutnie, w całym tego słowa znaczeniu, — nieruchomem; tymczasem właśnie na ruchu eteru opierają się wszystkie „dogmaty” istnienia materji i siły. Oficjalnie nauka nie użyła wyrażenia „absurd”; ale uczeni muszą się na to zgodzić, że taki eter istnieć nie może, że, jak mówi H. Poincaré, jest on tylko „wygodnem” wyjściem z kłopotliwego położenia.

Spójrzmy na atom, na tę minimalną cząstkę materji; to obraz miniaturowy systemów słonecznych, to sferoida, gdzie dokoła jądra jonu dodatniego, t. z. protonu, wirują z olbrzymią szybkością (do 5 miliardów razy na sek.) kilka do kilku set jonów ujemnych czyli elektronów. Przy zmianie ilości tych jonów lub szybkości ruchu zmieniają się i cechy materji, inne w złocie, inne w siarce, a inne w tlenie lub azocie. Tłómaczymy prawa powinowactwa chemicznego, tłómaczymy izotopy, periodyczny układ, transmutację... Lecz zapytamy czemże są owe jony?... Eterem w ruchu? — dochodzimy więc znów do absurdu! Siłą?... A czemże jest siła?... Drgnieniem eteru odpowiada nauka, więc drganiem rzeczy, której być nie może? Są to „istności niematerialne” zaczynają mówić „materialiści”, jak G. le Bon, Heen, E. Picard lub Langevin, — lecz tu wkraczamy w rodzaj spirytyzmu, a w każdym razie wychodzimy z ram „nauki ścisłej”.

Według najnowszych badań naukowych, materia rozkłada się, „dezagreguje”, ciągle i stale — przechodzi z czegoś co podlega naszym zmysłom i może być pojęte rozumem, w coś, co nie podlega zmysłom i czego rozum nie pojmuje! Z chwilą gdy ustaje ruch wirowy, tego „czegoś” — materia znika bez śladu! Gdzież są w takim razie prawa o jej „wieczności”, pewniki o „niestworzoności”? A jednak, zastanowiwszy się, mamy wrażenie, że nauka kroczy tuż, blisko, — prawdy; jakoby równoległą lecz mylną drogą, pograżona we mgłę własnych hipotez i teoryj, w mroku upor, i w negacji Boga. Droga ta wiecznie mylna, bo obok prawdy, prowadzi na manowce.

W tym to więc okresie, najzupełniejszej gmatwaniny

naukowej, zjawia się naraz, na horyzoncie nauki nowy Herkules, — który jednym zamachem oczyszcza tę stajnię Augiasza, przepełnioną tysiącami hipotez, teoryj i „niewzruszalnych“ praw natury — wzajemnie sobie przeczących, wzajemnie negujących swe własne istnienie. Buduje on nowy gmach, nową świątynię nauki, gdzie czczoną ma być bogini, pod nazwą „Powszechnej względności“. Że zaś bogowie są ponoć długowieczni, więc i „nowa“ teoria młodością swą sięga czasów Salomona, kiedy była i znana i stosowana, znaną też była uczonym wszystkich wieków, jeno bez przydomku — „powszechne“, któren to przydomek stanowi „wynalazek“ Einsteina i powód wszelkich dalszych paradoksów.

Nic niema w tem dziwnego, że dokoła osoby Einsteina powstała natychmiast nowa szkoła, utworzył się nowy kierunek, zwalczany przez jednych, popierany przez innych — w każdym jednak razie, wobec fiasca wszystkich innych teoryj, zalewający swym wartkim prądem wszystkie wszechnice świata; był na to i odpowiedni moment i sam Einstein jest genialnym matematykiem. Natomiast dziwniejszym jest fakt i ten nas głównie interesować winien, że teoria Einsteina sucha i wobec dziedziny wyższej matematyki niedostępna dla bardzo wielu t. z. inteligentów, zostaje natychmiast spopularyzowaną, nie tylko w tysiącnych *quasi*-naukowych broszurach i pracach, ale w całej, bez wyjątku, wszechświatowej prasie! Dziesiątki równych i większych uczonych, że tylko wymienię Kelvin’a, Poincaré’go, lorda Ramsaya, Virchow’a — przechodzi przez świat nieznanymi dla tłumu, zaś o Einsteinie piszą feljetony, nawet brukowe pisma, mówią o nim w kawiarniach, w salonach, w kółku rodzinnem; znają go — nie znając — wszyscy! A tuż za tą powszechną znajomością i teorią, jak cień, kroczy krytyka filozofji katolickiej i zaprzeczenie ducha!

Szkoła Einsteina, ustanawiając powszechną względność, sięga odrazu w dziedzinę filozofji: stawia postulaty względności przestrzeni i czasu, oraz głosi upadek metafizycznych rozważań. Nie zaczepiając niby religji, ignorując ją, mówi się o św. Tomaszu, o ścisłości i bezwzględności średniowiecznych rozumowań, — zaś wiemy, że gdy się używa wyrazu „średniowiecze“, to *ipso-facto* tylko w znaczeniu pogardliwej

ironji. Poprostu materjaliści, straciwszy, przez odkrycia własnych uczonych, wszelki grunt pod nogami, podnoszą nad czołem swych zastępów „względność“ i tym nowym „względnej wartości“ sztandarem „bujają ponad trony — filozofji!“ Jak zaś dalece zaczynają „bujać“, dowodzi chociażby ten fakt, że taki np. wyznawca Einsteina, jak p. Langevin, wziął się do określenia duszy ludzkiej i rozumie ją jako „coś nieskończenie płaskiego“ i poruszającego się z szybkością światła. Że „względem i względnie“ niektórych ludzi, a nawet niestety i społeczeństw, pierwsza część tego określenia ma pewne podstawy, nie przeczę, — lecz co do uogólnienia musielibyśmy zrobić poważne zastrzeżenia.

Należy stwierdzić, że Einstein osobiście nic w tym kierunku nie robił, całą tą uporczywą propagandą, wnioskami i „filozofjami“ zajął się „cień“ jego teorii, — cień ciemnych sił.

Na początku tego wieku, Michelson, chcąc doświadczyć wykazać ruch ziemi w przestworzach, podobnie jak obrót jej dowiedzionym został przez wahadło Foucault'a w Panteonie paryskim, — zbudował bardzo pomysłowy przyrząd świetlny, gdzie zapomocą załamania promieni światła pod kątem prostym, chciał wyzyskać różnicę szybkości biegu ziemi z szybkością światła. Światło posiada szybkość około 300.000 klm. na sek., ziemia biegnie w drodze swej orbity z szybkością bliską 30 klm. Jeżeli więc puścimy jeden promień światła wzdłuż i w kierunku biegu ziemi, zaś drugi przeciwko temu kierunkowi, to różnica dochodząca do 60 klm. na sek. pomiędzy temi dwiema szybkościami, powinna się wykazać. W aparacie Michelsona jednocześnie wybiegające promienie załamują się pod kątem prostym i padają na obiektyw spektroskopu, gdzie minimalna różnica szybkości winnaby się wykazać w rozmaitych szerokościach czerwonego lub fioletowego pasma widma. Pomysł zdawał się doskonałym — doświadczenie się jednak nie udało; żadnych różnic, wbrew oczekiwaniom i rachubom, nie wykryto, i — to była jedna z tych niewytlómaczalnych naukowych katastrof, o których na początku wspomniałem.

Skromnie i bez zarozumiałości, możnaby sobie to nie-

powodzenie tłumaczyć w rozmaity sposób: bądź więc niedostateczną ścisłością aparatu, bo przy biegu światła określonym na „około“ 300.000 klm. owe 60 klm. biegu ziemi mogą się „zgubić“ w samym określeniu; zresztą wymiary aparatu powinnyby posiadać rozpiętość kilkunastu kilometrów. Można by coś wspomnieć o nieznanej nam różnicy biegu światła w międzyplanetarnych przestworzach, a w naszej atmosferze, gdzie muszą być i załamania i opóźnienia, jeszcze dla nauki niedostępne. Szybkość światła bynajmniej nie jest ściśle określoną i przy różnicy szybkości biegu rozmaitych gatunków promieni widma, to co nazywamy światłem, jest „średnią“ sumaryczną tych szybkości: otóż przy „stałej średniej“, gdzie różnice składających ją szybkości są większe od różnicy szybkości biegu ziemi i „średniej“ światła, aparat Michelsona wogóle chybia celu, dla materialnej niemożliwości. Wreszcie to co nazywamy „światłem“ to jest refrakcja siły, bądź w naszym oku, bądź na materji, lecz „promień“ w istocie swej nie jest światłem i nic o nim nie wiemy, tymczasem tu badamy refrakcje, a wyliczenia stosujemy do promienia itd. itd. Bądź co bądź Einstein jest innego zdania, to nieudane doświadczenie stawia on jako nienaruszalny aksjomat i powiada: „jest zupełnie niemożliwem dla badacza ziemskiego, odkryć ruch ziemi w przestworzu zapomocą doświadczeń optycznych lub mechanicznych“.

Jest to punkt wyjścia całej teorji — i wszystkich wynikających z niej sofizmatów i paradoksów, więc też stale zmuszony będę wracać do tego „filaru“ teorji, a nie trzeba być Samsonem by go zachwiać i zwalić.

W dalszym ciągu einsteiniści, biorąc zapewne z powieści H. G. Wells'a „The Time Machine“, czas jako „czwarty wymiar“, zbudowali prawo, a raczej nowy „dogmat“ naukowy, że „wszechświat jest czterowymiarowy i niezmienny“. Aksjomat ten jest wogóle mało zrozumiałym i bardzo wątplię, by najteższy z uczonych einsteinistów mógł ze „względną“ chociażby ścisłością wyjaśnić, co to jest ów „czteroprymiotnikowy“ wszechświat.

Według dotychczasowych pojęć określamy czas jako: „rzeczywistość fizyczną będącą trwaniem rzeczy zmiennych“.

Św. Augustyn powiada: „co to jest czas? wiem, — o ile mnie nikt o to nie pyta, — gdy chcę wytłómaczyć, przestaję rozumieć”. Czas w naszym normalnym, t. z. zdrowym rozsądku, wystawia sobie kaźden, lecz matematycznie formułkami określić się on nie daje. Otóż Einstein stara się czas matematyczny, owo „t” z formułki wcielić w ogólne pojęcia i temsamem mówi o mieszaninie rzeczy „względnych” z bezwzględniemi. Przestrzeń mierzymy metrem, czas — zegarem; przestrzeń istnieje w całości w kaźdej chwili, wtedy gdy czas jest czemś co stale biegnie; czas przeszły minął i niema go już, czas przyszły jeszcze nie przyszedł i też go niema — więc i tutaj jedna i druga miara nic ze sobą nie mają wspólnego: połączenie rzeczy zmiennej z rzeczą stałą musi stworzyć absurd.

Prawo to więc niszczy zasadnicze pojęcie filozoficzne o niezmienności czasu i przestrzeni w znaczeniu ogólnem, lecz dyskutować o tem nie wolno! Matematyka nie pozwala, chociaż „dogmat” ten prowadzi wprost do śmiesznych absurdów.

I tak np. czytamy następujący ustęp w dziele Minkowskiego *Raum und Zeit* z r. 1908. W obecnej chwili (dziwnym trafem, przy „powszechnej względności” mówi się jeszcze o „obecnej” chwili) „w obecnej więc chwili, przestrzeń i czas, rozpoznawane w sobie samych, muszą zniknąć, jak upiory i tylko związek tych pojęć może mieć jakąkolwiek indywidualność!” Związek osła i konia, — wydaje muła, — ciekaw jestem co będzie za potomstwo przy związku czasu z przestrzenią?! Otóż niedługo czekając otwieram dziełko Einsteina pod tytułem „La Théorie de la relativité” i w rozdziałach XXX i XXXI zatytułowanych: „uwagi o wszechświecie jako o całości” czytam, iż „budując wszechświat wzdłuż linii koordynacyjnych trzech wymiarów Euklidesa (czyli przestrzeni) i czwartego czasu” otrzymujemy coś dziwnego, więc znów cytuję dosłownie: „rodzaj hypersfery skończonej lecz nie mającej granic!...”

O ile takie określenie wygłasza teozof, okultysta lub inny wyznawca nauk hermetycznych, to można się nie dziwić bo i tak nikt nigdy nie zrozumie treści tych „nauk”, lecz gdy mówi to uczony matematyk, człowiek dla którego

konkretność, ścisłość i zrozumiałość jest podstawą racji bytu, — to musimy przyznać, że z „połączenia“ czasu z przestrzenią narodziło się umysłowo upośledzone potomstwo!

Wnioski Einsteina ciekawe w dziedzinie ścisłej fizyki, są o wiele mniej interesujące dla filozofa, a to z powodu, iż filozofja traktuje o zupełnie różnym przedmiocie zapomocą innych metod i zasad. Że Einstein jest genialnym matematykiem, tego nikt nie zaprzecza, lecz jest faktem, że traktuje światopogląd li tylko z matematycznego punktu widzenia. W każdym razie daje on nam, nauce chrześcijańskiej, bardzo cenne zdobycze, gdyż burzy ostatecznie i bezwzględnie aksjomat o wieczności materji i sprowadza ją do istności „względnej“.

Miedzy typem dzisiejszego uczonego, a typem filozofa istnieje, że się tak mogę wyrazić, zupełna antyteza: uczony traktuje dany obiekt z punktu widzenia głównie ilościowego, filozof zaś docieka jakości obiektu i można niechybnie popełnić najfatalniejsze błędy, przyjmując, na wiarę pozornosc słów, możliwość przetłómaczenia na pojęcie filozoficzne wyników analizy matematycznej. Terminologia jest identyczną: czas, przestrzeń, ruch, siła, — lecz jakaż olbrzymia różnica w treści!

Chcieć połączyć pojęcia metafizyczne czasu, przestrzeni, ciągłości, z temiż pojęciami matematycznymi, to dobrowolnie zaplątywać się w węzeł gordyjski, nierozwiązalny dla najtęższego myśliciela. Nie przecząc sobie wzajemnie, lecz też i nie łącząc się, pojęcia te, w formie słowa identyczne, odpowiadają zupełnie odmiennym podmiotom i poszukiwaniom w kierunkach nieznoszących wzajemnego zbliżenia.

Czas matematyczny, to ta względna ilość czasu, która jest potrzebną dla istnienia danego fenomenu, — głównie szybkości: mówimy np. że kula karabinowa biegnie z szybkością 700 metrów na sek., lub że ziemia obraca się dokoła swej osi w przeciągu 24 godzin, lecz czas filozoficzny to rzecz całkiem inna, stała, niezależna, w której odbywają się wypadki; czas taki to uzmysłowienie części wieczności dla naszego umysłu konkretnej bezgranicznej całości!

Czas i przestrzeń matematyczne — to miara tych

rzeczy, zaś czas i przestrzeń filozoficzne to ich treść i całość.

Nauka, tuż przed pojawieniem się Einsteina, wykazuje dwie zasadnicze cechy: jest ona w swych badaniach fenomenalistyczną i bada naturę z punktu widzenia ilościowego, specjalnie zaś co do wymiarów wielkości. Jako fenomenalista, że użyję wyrażenia „przejawista“, uczony kategorycznie usuwa się od badania istności i przyczynowości; stara się on utrwalić niektóre łączniki, wiążące przejawy i dające możliwość ustanowienia prawideł następstwa. Są to owe prawa naukowe, dające możliwość przewidywania przyszłych przejawów, zaś naturalnym ideałem uczonych jest możliwość wyszukania dla tych praw wyrażen matematycznych, czyli formuł, dających możliwość łatwiejszego stosowania i cechy (zresztą często całkiem pozorne) ścisłości.

Dobierając rozmaite hipotezy, tworząc teorie i stawiając postulaty, uczony tworzy formę, w którą stara się wtłoczyć z większym lub mniejszym powodzeniem, rzeczywistość; temsamem jednak rzeczywistość tę zniekształca, „deformuje“ i odsuwa się od niej, gdyż prawda jest tylko jedna i nie znosi najmniejszego zniekształcenia, przy którym przeistacza się zawsze w fałsz! Jest to jednak życiowa konieczność uczonego, konieczność niezbędna dla celów praktycznych, wyjaśnienie której pchnęłoby nas na zbyt szerokie tory. Muszę jednak zacytować zdanie Henryka Poincaré'go, który, omawiając tę właśnie sprawę w dziele swem *La science et l'hypothèse*, powiada na str. 127: „Jesteśmy zmuszeni dać następującą definicję, będącą niczem innym, jak wyznaniem naszej niemocy: masa jest wygodnym koeficjentem dla naszych wyliczeń“. Nieco zaś dalej tak pisze: „...nie jest celem teoryj matematyczno-fizycznych okazywać nam faktyczny obraz rzeczy, byłoby to wprost nierozsądnem żądaniem; celem ich jest koordynacja praw fizycznych, poznawanych empirycznie, a których wyrażenie, bez pomocy matematyki, byłoby niemożliwem. Nic nas nie obchodzi fakt czy np. eter istnieje, czy też nie istnieje, — to jest zadanie dla metafizyka — dla nas najważniejszym jest to, że dotychczas

wszystko się tak składa, jakgdyby eter egzystował, i że jest on wygodnym dla istniejących hipotez...”

Pragnąłem tu wykazać różnicę jaka istnieje między systemem badań matematyczno-przyrodniczych, a systemem rozumowań filozoficznych, gdzie przyrodnik-filozof, nie naruszając w niczem rzeczywistości, stara się zbadać daną rzecz, nie przez formę ilościową, ale pod względem jakościowym, głębi istności, a zwłaszcza przyczynowości.

Więc wezmę znany przykład: na pytanie filozofa czym jest siła? matematyk odpowiada formułą: $F = m\gamma$, czyli siła jest to iloczyn masy przez przyspieszenie”; w ten sposób uczony daje miarę siły, lecz na pytanie nie odpowiada, gdyż tak „F” jak i „m” oraz „ γ ” przedstawiają trzy dalsze nieznanne, trzy ikсы, które znów wymagają tłumaczenia. Umysł fizyka-matematyka jest zadowolniony, lecz dla filozofa to nowa zagadka.

Otóż cały system Einsteina w jeszcze bez porównania wyższym stopniu, niżli wszystkie poprzednie systemy, które pragnie zastąpić, określa się li tylko formułą, cyfrą, miarą lub grafiką i to do tego stopnia, że pewne ustępy pojęć w tej teorii są wprost niemożliwe do wyrażenia słowami, a muszą być oznaczone formułami. Już ta sama konieczność wystarczaby powinna w zupełności dla uniemożliwienia wszelkich prób przelania teorii Einsteina do filozofii, gdyż obraża tem logikę.

Dalszym błędem einsteinistów i fizyków dzisiejszych wogóle jest chęć identyfikowania swoich „wypadków” (*événements*) „przejawów” ze światem czy wszechświatem faktycznym, przenosząc wspomniane cztery wymiary do dyskusji i określenia świata. Dla nich wszystko jest „wypadkiem”, „fenomenem”, „przejawem”, a przecież wszechświat nie jest ani wypadkiem, ani fenomenem. Matematycznie rozumując o „przestrzeni-czasie” nie zdają sobie sprawy z paradoksalności takiego pojęcia; mnożą kilometry przez godziny, kilogramy przez sekundy, dzielą płaszczyznę przez lata ze spokojem umysłu prawdziwie stoicznym, nie zdając sobie sprawy, że robią wrażenie ogrodnika, któryby pomnożywszy kartofle przez marchewki i dodawszy do tego cenę kilograma saletry chilijskiej, wyprowadził stałą, średnią lub

względna urodzajność swej ziemi, dla podatku dochodowego! Papier jest ciepły, — równie ciepłymi są cyfry i przy każdym mnożeniu lub dzieleniu będzie jakiś iloczyn lub iloraz, cała sprawa leży jednak nie w lepiej lub gorzej zrobionym rachunku, ale w obiektach, które dane cyfry przedstawiają. Dwie godziny pomnożone przez 2 kilometry dadzą równie czwórke w iloczynie, jak i 2 krowy pomnożone przez 2 główki kapusty! Matematycznego błędu nie dopatrzy się tu nikt, ale absurd będzie identyczny.

Na wyrażenie się moje, że omówione wyżej pojęcia są obcemi dla naszego umysłu, nie zaś, jak twierdzi p. Fabr  w swej apoteozie Einsteina, tak wysokie i mądre, — musz  k lać szczeg lny nacisk, bo niezrozumia   a niepoj    , to terminy  atwo si  maskuj ce, ale ca kowicie r  ne. Wszelkie paradoksy einsteinizmu, k d  jego popularyzatorzy na karb niepoj   ci, a publiczno   wierzy, bo... nic nie rozumie!

Wreszcie Einstein i jego szko a, — wzgl dno  , ktor  ju  filozofowie stale poniewieranych  rednich wiek w przyjmowali dla poznania rzeczy, (bo jak m wi Salomon: „nic niema nowego pod s lncem”) stosuj  wprost do obiektu. Bior  par  przyk d w wprost z prac Nordmanna lub Fabr go ¹⁾ zapalonych czcicieli „wzgl dno ci”:

Wystawmy sobie poci g, biegn cy z wielk  szybko ci  i uzmys lowmy go sobie jako linj : A—B; w ko cach tego poci gu znajduje si  dw ch obserwator w „A” i „B” z niezmiernie czu mi chronometrami w r ku. Na polu, w punkcie „C”, odpowiadaj cym „w danej chwili”  rodkowi poci gu, pada piorun. Ot   na chronometrze obserwatora „A” ta „dana chwila” b dzie wcze niejsz , ni  na chronometrze obserwatora „B”, bo blask, huk, wstrz s piorunu ze wzgl du na bieg poci gu w pierwszym wypadku b dzie bieg  na przeciw pan  „A” w drugim z panem „B”. Wobec tego spostrze enia tych obserwator w b d  wzgl dne. Widzimy,  e do ad rozumowanie jest  cis e i nic mu zarzuci  nie mo na, tylko  e Einstein zapomina doda ,  e fakt uderzenia piorunu w punkcie „C” sam przez si  b dzie bezwzgl -

¹⁾ Fabr : Les th ories d'Einstein. K. Nordmann: Einstein et l'Univers

dny i w bezwzględny czasie! Mówi się dalej o względności spostrzeżeń obu obserwatorów, nie mówi się wcale o bezwzględności samego faktu.

A oto drugi przykład: we mgłę, uniemożliwiającej orjentowanie się niebem lub ziemią, płyną naprzeciwko siebie dwa balony; jest zupełnie niemożliwem, powiada Einstein, by pasażerowie tych balonów mogli stwierdzić: czy oba są w ruchu? jaka szybkość jednego i drugiego? czy tylko jeden się porusza?... Znow rozumowanie ściśle i znow ta sama luka, to zapomnienie wzmiankowania, że w każdym razie ruch, czy spokój tych balonów, faktycznie są bezwzględne!

Trzeba też zaraz na wstępie stwierdzić, że, aby mówić o tych „ruchach“ lub „czasach“ względnych, musimy się myślowo oprzeć o jakiś ruch lub czas stały; nie mówi się o nim, ale jedynie przyjmując go myślowo mamy możliwość porównań względnych; tak samo rzecz się ma z przestrzenią lub linią krzywą w przestrzeni, i — tak niechcący sami einsteiniści przyjmują pojęcia filozoficzne normalne.

Paradoksalizm, który tu występuje nieco zamaskowany efektami względnych punktów widzenia, dochodzi w dyskusjach „czysto naukowych“ do niebywałych rozmiarów i, parę lat temu, widzieliśmy najpoważniejszy aeropag uczonych w Sorbonie, zastanawiających się zupełnie serjo nad pytaniem: czy w wypadku, gdy widzimy spadający na ziemię kamień, to kamień ów pada na ziemię, czy też ziemia biegnie do kamienia!...

Manrois, ironizując ten znany fakt, powiada, że gdy Einstein widzi spadającego z rusztowania murarza, to trzymając się oburącz za głowę, myśli nad tem, czy to murarz spada, — czy też rusztowanie i grunt podnoszą się do góry!... Myśli nad tem i dotąd odpowiedzieć nie może, gdyż tu właśnie leży cała istota jego teorii, tu jest główne odkrycie zasady powszechnej względności, którą określa aksjomat: „wszystkie prawa naukowe, z prawem grawitacji i ciężenia włącznie, są niezależne od osi do których się odnoszą“¹⁾

¹⁾ Fabré „Les théories d'Einstein“ str. 166.

Wszelkie wyliczenia w „teorii względności” poczynają się, lub kończą niechybnie na tak zwanej formule Lorentz’a. Jest to bardzo szczęśliwie pomyślana formuła, specjalnie dla tłumaczenia zjawisk elektro-magnetycznych, zastosowaną zaś została bez żadnych zmian i zastrzeżeń do wszelkich nierozwiązalnych zagadek naukowych; bez względu na logikę używa się formuły Lorentz’a jak jakieś panaceum, bo uczonym wolno jest dziś mnożyć „kartofle na marchewki”. Jednym ze składników tej formułki, jest stała wielkość „c”, oznaczająca szybkość światła, czyli znów bez dyskusji 300.000 klm. na sekundę. I oto zaraz na wstępie mamy praktyczny rezultat zastosowania tego wyliczenia: Dwóch uczonych z grupy p. Einsteina pp. Kaufmann i Abraham (a zgadzają się dziś z nimi niemal wszyscy inni uczeni) wyliczyli zwiększanie się masy ciała wraz z szybkością (jest to hipoteza zupełnie nie stwierdzona) i zastosowawszy form. Lorentz’a doszli z największą matematyczną ścisłością do wniosku, że przy szybkości „c” wielkość masy jakiegokolwiek ciała (choćby atomu) dochodzi do nieskończoności, dosłownie: „przy szybkości światła „c”, masa zajmuje przestrzeń nieskończoną”. Nie potrzebujemy odnosić się do Summy św. Tomasza, by zrozumieć, że ciało nieskończenie wielkie musi być nieruchome, że więc chociaż ścisłość matematyczna jest największa, lecz wynik jest absurdem, bo coś nieruchomego nie może mieć szybkości wogóle żadnej. Do takiej koncepcji nie są nam potrzebne żadne formuły, wystarcza szczypta zdrowego rozsądku.

Jakżeż tak sprzeczne, bijące w oczy paradoksalizmem, wywody mogą łączyć einsteiniści, — jakby nie było ludzi nauki? Oto powiadają oni, że „coś co się porusza z szybkością światła „C”, nie porusza się w czasie...” znów więc znajdujemy się w „czwartym wymiarze” i otrzymujemy wytlómaczenie paradoksu, zapomocą absurdu! Lecz zawsze pomysłowy i praktyczny w swej wyobraźni, prof. Langevin objaśnia ten nowy aksjomat takim przykładem: „gdyby ktoś mógł ulecieć w przestworza z szybkością bardzo zbliżoną do szybkości światła, co przecież przy dzisiejszym rozwoju techniki teoretycznie (a może i praktycznie) jest zupełnie możliwe i po kilku godzinach takiej prze-

jażdżki wrócił na ziemię, zastałby ją postarzałą o parę set lat". Dla ludzi mających wiele nieprzyjemności, dla uniknięcia dzisiejszego kryzysu ekonomiczno-społecznego, dla ucieczki przed... wierzycielami i uniknięcia eksperymentów Ligi Narodów, — to rzeczywiście genialny pomysł! Lecz żart — żartem, a tymczasem niemniej „uczeni” spirytyści, teozofowie i „filozofowie narodowi” już ten paradoks podchwycili i nową metodą „matematycznie” udowadniają swoje reinkarnacyjne i palengenetyczne halucynacje!

Więc raz jeszcze zastanówmy się nad tym głównym, naczelnym „dogmatem” einsteinistów; logicznie rozumując musimy przyznać, że światło — porusza się z szybkością światła? Więc czas dla światła nie istnieje, ale coś, dla czego nie istnieje czas, nie ma ani przeszłości ani przyszłości, nie ma ani „przed” — ani „potem” — więc jest czemś co jest bez ruchu, coś absolutnie nieruchomego, ... a przecież światło jest właśnie miernikiem maksymalnej szybkości!

Z drugiej strony, biorąc rzecz „praktycznie”, nie należy, mimo bezwzględnej, bo matematycznej wiary (muszę wierzyć bo nie rozumiem) w ten aksjomat, obawiać się o zbytne przyspieszenie szybkości pociągów lub aeroplanów w obawie, by się nadmiernie nie rozszerzyły podczas ruchu, gdyż, przy szybkości pocisku armatniego, — jeszcze żaden matematyk nie określił ilościowo powiększenia się masy tak wielkiego ciała jak n. p. kula ziemską. Dopiero przy szybkości 60.000 klm. na sek. masa powiększa się o 0.012; przy 150.000 klm./sek. o 0.119 swej wielkości; przy 280.000 klm./sek. masa się podwaja, gdy zaś szybkość dosięga $\frac{999}{1000}$ szybkości światła, — masa zwiększa się o $6\frac{1}{2}$ raza. Jak widzimy, szybkości są niemal równe, a do nieskończoności jeszcze bardzo daleko! Przytoczę więc wprost słowa twórcy owego „dogmatu” p. Maksa Abrahama: „by masa atomu zwiększyła się o 20 razy, trzeba, by szybkość jego różniła się od szybkości światła o ułamek jednego milimetra (w porównaniu do 300.000 kilometrów). Przy zwiększeniu się masy stokrotnem, dziesiątny ułamek owego milimetra posiada 57 zer (1) zaś przy szybkości atomu, równającej się szybkości światła, masa jego będzie nieskończoną...” Tyle jest słów p. Abrahama...

Żądanie od nauki wytlómaczenia istoty i przyczyn wszechrzeczy jest poprostu nieuzasadnionem, — gdyż nauka się tem nie zajmuje; — z chwilą zaś, gdy rozdzielimy pojęcia naukowe fizyczno-matematyczne od filozoficznych, wówczas najdziwniejsze odkrycia wiedzy i najdziwaczniejsze hipotezy i teorie nie będą w stanie zamącić spokoju naszej duszy.

Pojawienie się uczonych miary Einsteina, nie tylko że nic nie może zaszkodzić filozoficznym badaniom, — a biorąc rzecz głębiej i szerzej, wogóle religii, ale przeciwnie jest ono dla nas niezmiernie pożytecznem. Umysły takich uczonych są, być może całkiem nieświadomie, często wbrew ich woli, głęboko filozoficzne; prowadząc dociekania w dziedzinach nauki ścisłej, materjalistycznej, stwarzając nowe prawa, a obalając stare, umysły takie, przekraczają natychmiast ciasne granice tej wiedzy i bezwiednie burzą wszystkie podstawy materjalizmu, — by wreszcie, niekiedy ku własnemu przerażeniu, znaleźć się w czystej dziedzinie ducha. Z materjalistyczną scisłością, dochodzą do wniosku o „względności“ istnienia materji, a przez to samo stwierdzają bezwzględność istnienia ducha, — boć „względna“ materja sama o swej względności nie może dysputować! Uczeni tacy, doszedłszy do swych ostatecznych wniosków, zazwyczaj starają się wycofać, — fałszywy wstyd nie pozwala im przyznać się do błędu, — ten wówczas już jest poniewczasie. Obalone mury stawiać trzeba na nowych pozycjach, naprędce, bez fundamentów, — a własne argumenta zostają, jak porzucone nieprzyjacielowi działa i pomagają burzyć te nowe pozycje.

Umysły wyższe, jaśniejsze, a przedewszystkiem czystsze, schylają czoła przed prawdą, i wchodzą na nową drogę; przykładem takim może być stary Virchow, który całe życie walczył w obozie materjalistów, by stojąc nad grobem uznać prawa ducha; nie starość i chłód śmierci nawróciły go, lecz własne naukowe odkrycia.

Ludzie płytsi, a głównie ludzie złej woli — obierają inną drogę i naprędce kuja nowe „dogmaty“ jak o „nieskończenie płaskiej duszy“ o „zwiększaniu masy do nieskończoności“ lub o „nieruchomości w czasie, — światła“.

Dla filozofa odkrycie Einsteina i jego koncepcje nie

mogą być obojętne, gdyż przed oczami naszymi przesuwają się w nich nowy sposób matematycznego ujmowania zjawisk, sposób potwierdzony kilkoma doświadczeniami (choć wcale nie decydująco!), sposób oryginalnego tłumaczenia natury, sięgający do istoty rzeczy, a dziedzina ta nie należy do nauk ścisłych, jest bowiem niepodzielnym terenem filozofji.

Teorja „powszechnej względności“, o ile się tyczy ściśle matematyki i nauk przyrodniczych, otwiera nam, właśnie dla dociekań filozoficznych, olbrzymie horyzonty; jednak szkoła Einsteina, czując że walą się mury materjalizmu, sama zaczyna przypuszczać szturm do dziedziny ducha, rozszerza pojęcia względności zbyt daleko, żongluje pojęciami nieskończoności i, jak to starałem się wykazać, nawet w świecie materjalnym dochodzi do absurdalności, — gdyż umysł ludzki nie jest w stanie rozumować, — gdy się wprowadza pojęcie nieskończoności. Widać tu wyraźną złą wolę, operując zaś w tak trudnych dziedzinach, łatwo jest zgrabnemi paradoksami zmącić i zaciemnić najjaśniejsze poglądy. Atak kierowany jest niezmiernie misternie na pojęcia czasu i przestrzeni; panowie ci starają się stwierdzić względność tych pojęć w znaczeniu filozoficznym, a taki prof. Le Dantec już z pewną nienawiścią ciska się na religję i Boga.

Tu silnym środkiem przeciwdziałania jest wyraźne rozgraniczenie poglądów. Metafizyka pozostająca w swojej sferze działania nie może się obawiać żadnych nowych teoryj, które są w stanie tylko oświecić i uwydatniać niektóre fakty kosmogonji wszechświata, — lecz w niczem nie zmieniają zasadniczych pojęć metafizycznych. Stanowczo zaś musimy odrzucić, jako niemal błuźnierstwo filozoficzne, twierdzenie pp. einsteinistów o końcu „bożyszcz metafizycznych“ to znaczy abstrakcyjnego czasu i przestrzeni, — to nie bożyszczą, ale raczej przejawy niepojętej Wszechmocy Boga, godne najgłębszego rozważania!

Wspominałem już co mówi o teorjach naukowych tak wielki i niezależny uczony jak Henryk Poincaré; przyznając ich jawną nieraz absurdalność, zamyka na nią oczy i... wierzy, — wierzy w dogmatyzm naukowy, bo „tak jest wygodniej“. Jest to bardzo praktyczne i podzielane przez olbrzymią większość uczonych zdanie, tylko według mnie nie jest

konsekwentnie uogólnione; bo czemuż jest trudniejszą wiarą w dogmaty religiji? Dlaczego traktować inną miarą sprawy nauki, a inną sprawy ducha? Jeżeli „wygodniej“ jest wierzyć w eter, — bo tłumaczy to nam różne tajemnice materji, — to czemuż nie wierzyć w Przyczynę — przyczyn, — Boga? Lub jeśli na mocy wyliczań i słów p. p. Kaufmanna i Abrahama wierzymy w zmienność masy względem szybkości, w nielogiczne wyniki ostateczne, jak nieskończoność masy, lub nieruchomość światła w czasie, — to czemuż nie wierzyć słowom i wnioskowi pełnym logiki i zrozumiałości takiego choćby św. Tomasza z Akwinu?

Co jest prostsze: czy wyprowadzenie kosmogonji wszechświata od wypadkowego wiru stałego eteru, — co się absolutnie równa samopowstaniu chronometru z kawałka mosiądzu i stali, czy też pojęcie i zastosowanie kosmogonji Genezis? A co jest „wygodniejsze“ a przede wszystkim „ważniejsze“ czy rozstrzygnięcie sprawy doczesne, niezmiennie krótkotrwałe i zmienne, czy też oparcie się na podstawach wieczystych i niezmiennych?

Kierunek materialistyczny powiada: „siła jest wynikiem materji“, energetycy z równą śmiałością i również silnemi dowodami stwierdzają, że „materja jest wynikiem siły“ — tworzy się rodzaj łamigłówki bez wyjścia, — więc i jedni i drudzy podzielają zdanie, że i siła i materja powstają z eteru; dla rozwiązania węzła gordyjskiego związują sobie sami ręce nowemi pętami „pramaterji“... a pytanie kosmologiczne „jak powstał wszechświat?“ zciemnia się coraz bardziej. My, chrześcijanie, bierzemy Pismo Święte i w rozdziale I wierszu 3 (Genezis) czytamy: „I rzekł Bóg: Niech się stanie światłość i stała się światłość“ — Wola Stwórcy jako źródło wszystkich sił stworzyła „siłę światła“, — materja powstała!

Powstanie i koniec wszechświata, to nie „przypadek“, wynik „praw“ codziennie zmiennych, nie twór mirażowy bezmyślnego — a logicznie nędznego eteru Spiller'a, — lecz istność rzeczywista, wynikła z działania w tym kierunku woli Boga. Św. Tomasz powiada: „Wystarczyłoby, aby Bóg cofnął swój wpływ na przyrodę, by wszelkie stworzenie znowu się zapadło w nicość“.

Powiem więcej, — oto nie posiadamy bardziej ścisłego,

dokładnego, bez retoryki zgadzającego się z nauką opisu kosmogonji Wszechświata, — jak Genезis. Błędem, wielu nawet chrześcijańskich uczonych, jest naginanie „prawd“ Pisma Świętego do „praw“ nauki, — tu leży źródło modernizmu, — gdy tymczasem zastosowując prawa naukowe do prawd objawionych, doszłoby się prościej, jaśniej i szybciej, bez błędów i złud do zrozumienia istoty rzeczy, zbliżyłoby się do Przyczyny — przyczyn, — do Boga! —

Józef Tyszkiewicz

Teoria względności a eksperyment Michelsona.

Teoria Einsteina zatrzęsała się w swych podstawach.

1. *Bieg ziemi przez eter, a zasada Dopplera.* W r. 1887 dwaj fizycy amerykańscy, Michelson¹⁾ i Morley, zbudowali aparat, który miał umożliwić dowód eksperymentalny, że ziemia obraca się około słońca i na tej drodze pędzi przez eter z szybkością 30 klm. na sekundę. Eter, to owa zagadkowa „nieważka” materja, której nie zdołano dotąd stwierdzić żadnym instrumentem, a która jednak — jak do niedawna mniemano — istnieć musi, i istnieć musi wszędzie, napełniając wszelkie próżnie, taksamo pomiędzy gwiazdami jak i pomiędzy cząsteczkami ciał przezroczystych, bo on przecież przenosi do nas fale świetlne od słońc najodleglejszych jak i od najbliższych światełek ziemskich. W r. 1859 dowiódł Francuz Fizeau, że wiatr czyli ruch naszego ziemskiego powietrza nie porywa ze sobą cząsteczek eteru. Michelson rozumował więc tak: jeżeli ziemia (lub przynajmniej ziemska atmosfera), pędząc przez eter, nie porywa go ze sobą, to fale świetlne muszą ulegać skróceniu, ilekroć kierunek promieni światła jest przeciwny kierunkowi biegu ziemi. Wynika to z istoty ruchu falistego (zasada Dopplera). Na ruchu falistym (ale nie eteru, lecz powietrza) polega także zjawisko głosu. Przypuśćmy więc n. p., że światówka jakiejś lokomotywy wydaje ton a. Znaczy to, że wy-

¹⁾ Adam Abraham Michelson (czytaj Majkelsön), ur. w r. 1852, był 1883—89 profesorem w Cleveland (Ohio), później w Worcester i Chicago. Laureat Nobla z r. 1907.

daje ona 218 drgnień na sekundę: tyle pchnięć na sekundę doznaje od niej otaczające ją powietrze. Ale tylko pod warunkiem, że lokomotywa stoi; bo jeżeli jedzie, to te cząsteczki powietrza, które się przed nią znajdują, muszą drgnąć częściej niż 218 razy na sekundę. Albowiem z powodu jazdy każde nowe pchnięcie spotka je nieco wcześniej. Fale powietrza w kierunku ruchu lokomotywy będą więc częstsze i krótsze; innemi słowy, wysokość tonu musi się nieco podnieść. To samo stanie się, gdy siadłszy na automobil popędzimy z szybkością pośpiesznego pociągu ku jakiemuś miastu, zbliżając się ku rozkołysanym jego dzwonom. Dźwięk tych dzwonów będzie się nam wydawał nieco wyższym, bo każda fala główna uderzy na bębenek naszego ucha nieco wcześniej, tak że tych uderzeń będzie na sekundę więcej, aniżeli gdybyśmy stali na jednym miejscu.

Podobnej i fale świetlne ulegają zmianie, jeżeli ziemia biegnie przez eter naprzeciw promieniowi światła. Najdłuższe są fale światła czerwonego, których też na sekundę przypada „zaledwie“ 400 biljonów; krótsze, ale zato częstsze są fale światła żółtego lub zielonego, najkrótsze zaś fale światła fioletowego (ok. 760' bilj. na sekundę). Jeżeli więc istnieje eter, którego drganie przenosi przez przestrzeń fale świetlne, to fale te muszą ulec skróceniu, posuwając się przeciwko biegowi ziemi. Dlatego n. p. znany prążek czerwony (C), właściwy widmu gazu wodorowego, musi się w widmie przesunąć nieco w kierunku światła żółtego. Ilość tego przesunięcia da się bardzo dokładnie obliczyć.

2. *Eksperyment Michelsona.* Nie możemy tu opisywać aparatu Michelsona, mającego stwierdzić to przesunięcie. Bez rysunku czytelnicy nie zrozumieliby opisu. Tylko tyle można zaznaczyć, że eksperyment opiera się na zjawisku interferencji, a aparat był tak precyzyjny i subtelny, że mógł wskazywać jeszcze nawet $\frac{1}{10}$ obliczonej kwoty.

Wynik jednak był nieoczekiwany: nie zdołano stwierdzić ani śladu takiego przesunięcia, ani śladu skrócenia fal, a więc ani śladu „wiatru eterowego“, który przecież musi „dąć“ i „szumieć“ mocno koło ziemi, jeżeli eter spoczywa, a ziemia się w nim porusza. W r. 1905 powtarzali eksperyment Morley z Millerem; wynik był znowu negatywny.

3. *Hipoteza Lorentza*. Fizyk holenderski Henryk Antoni Lorentz był pierwszym, który usiłował wyjaśnić to niespodziewane zjawisko (1905). Wypowiedział on przypuszczenie, że „wiatr eterowy“ istnieje (Fizeau!), skrócenie fal świetlnych istnieje, ale miarami ziemskimi stwierdzić się nie da. Albowiem wszystkie te miary pod wpływem „wiatru“ czyli nacisku eteru ulegają także skróceniu. Skracają się jednak tylko w kierunku swego ruchu przeciwe eterowego i to o kwotę bardzo małą. Tak n. p. ruch pociągu pośpiesznego, pędzącego z szybkością 30 m. na sekundę, wywołałby nacisk eteru, skracający 2 dm. tylko o biljonową część 1 milimetra. Nie trzeba się też obawiać, by przez to ucierpiała ścisłość naszych pomiarów ziemskich: skracają się miary, ale skracają się proporcjonalnie także ciała mierzone.

Hipoteza Lorentza nie była znowu tak bardzo osłupiająca, jakby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Wiemy przecież dziś jaka „próżnia“ istnieje wśród cząsteczek ciał, i jak ogromnie daleko oddalone od siebie — w stosunku do swej wielkości — ostatnie składniki atomów, t. j. protony i elektrony, chociaż i one według Lorentza ulegają spłaszczeniu.

4. *Teoria względności*. Równania, wyrażające w formułach matematycznych hipotezę Lorentza, stały się punktem wyjścia dla „teorii względności“, wymyślonej w r. 1905 przez młodego i zdolnego docenta matematyki w Bernie szwajcarskiem, Alberta Einsteina.¹⁾ Einstein zabierał się do zagadnienia odrazu nieco radykalniej niż Lorentz. Jego teoria wywracała poprostu poglądy fizykałne, uważane dotąd za zasadnicze:

Eter, powiada on, nie zdradza nam niczem swego istnienia, a więc nie istnieje.

Absolutny ruch ziemi stwierdzić się nie dał, a więc też nigdy stwierdzić się nie da, ani on ani żaden inny ruch jednostajny. Każdy ruch jest względny; jeżeli np. poznaliśmy, że nasz ustrój słoneczny zmniejsza swą odległość od jakiejś gwiazdy, to nie mamy i nigdy nie będziemy

¹⁾ Albert Einstein, ur. w r. 1879, 1909 prof. w Zurychu, 1914 w Berlinie.

mieli żadnego środka, by stwierdzić, czy my się zbliżamy do owej gwiazdy, czy ona biegnie ku nam, lub czy się poruszamy oboje.

Nie dało się stwierdzić, by prędkość, z którą światło przebiega przestrzeń, ulegała zmianie, jeżeli obserwator się naprzeciwko promieniowi porusza, a więc prędkość światła (300.000 km. na sek.) jest wogóle cechą niezmienną naszego świata materialnego.

Skrócenie miar z powodu ruchu, żądane przez Lorentza, i formułki matematyczne, oddające wielkość tego skrócenia, wynikają jako konsekwencja z podstaw teorii Einsteina; i to był pierwszy triumf tej teorii, bo też chciała ona pierwotnie wyjaśnić przedewszystkiem właśnie to skrócenie. Różnica między Lorentzem a Einsteinem zachodzi jednak taka, że Lorentz wskazywał na siłę fizyczną, wywołującą realnie to zjawisko; według Einsteina zaś nie pochodzi ono z ciśnienia eteru — nieistniejącego — lecz jest czysto formalnym wynikiem zasad kinematyki (tj. niby geometrii zastosowanej do ruchu). Wszak absolutna długość, absolutna szerokość, absolutna przestrzeń nie istnieje, istnieją tylko długości, szerokości, miary względne i zmienne, zależne od względnego ruchu jednego systemu materialnego względem drugiego. Każdy system ma swoją przestrzeń, swoje długości, swoje miary. Im szybszy jego (względny!) ruch, tem krótsze na nim wszystkie miary.

Ale także czas bezwzględny nie istnieje, lecz każdy system materialny ma stosownie do swego ruchu (względnego!) inny, swój własny czas. Jeżeli jakaś gwiazda względem nas się porusza, to zegary idą tam wolniej (ruch wahadłowy mimo tej samej grawitacji trwa dłużej). Dlatego współczesność dwóch wypadków jest zawsze tylko względna. Dwa wypadki we wszechświecie, które my, mieszkańcy ziemi, uwzględniając idealnie t. j. zupełnie i bez błędu wszystkie okoliczności, wpływające na dokładność obliczenia, nazwać musimy współczesnymi, bo nie tylko zdają się być lecz są współczesne, inny obserwator, na jakiejś gwiazdzie uciekającej od nas lub do nas się zbliżającej, musi uważać za niewspółczesne, lecz następujące po

sobie: współczesność bezwzględna nie istnieje. Nie istnieje przynajmniej dla fizyka, który musi się liczyć z tem i tylko z tem, co przez zmysły, przez instrument lub obliczenie stwierdzić można.

Małeńki krok, a z zasady fizykalnej zrobimy zasadę filozoficzną! Pojęcia bezwzględnej przestrzeni, bezwzględnego czasu, bezwzględnej współczesności, bez których dotychczasowa, newtonowska fizyka obyć się nie umiała, stały się dla badacza zbędne, zgoła nieużyteczne. Jakąż więc mają wartość realną? Może i filozof bez nich się obejdzie? Poczytują niektórzy za zasługę tej teorii, że pokonała narreszcie subiektywizm Kanta w dziedzinie pojęć przestrzeni i czasu.¹⁾ Według Kanta przestrzeń i czas są subiektywnymi formami umysłu ludzkiego. Człowiek wnosi je z siebie do świata realnego. Natomiast Einstein uczynił z nich funkcje materji; bez materji nie byłoby ani przestrzeni ani czasu. Czy to nie zasługa? Otóż; 1) już dawno scholastyka uzależniła realną przestrzeń od istnienia materji, a realny czas od istnienia zmian. 2) Usunięcie pojęć bezwzględnego czasu i bezwzględnej przestrzeni mojem zdaniem może się tylko przyczynić do utrwalenia owego kantowskiego sceptycyzmu co do realności przestrzeni i czasu, a nie do jego usunięcia. Pierwotnie Einstein zastosował pojęcie względności tylko do ruchu jednostajnego. Albowiem zdawało się, że ruch przyspieszony lub opóźniony daje się stwierdzić jako absolutny zapomocą wstrząsów, których doznaje obserwator (por. wstrząsy, których doznajemy w chwili ruszania lub zatrzymywania się pociągu), ruch zaś obrotowy zapomocą wytwarzającej się siły odśrodkowej. Nie spoczął jednak i Einstein; i dziesięć lat po obmyśleniu teorii względności „szczegółnej“, udało mu się uogólnić ją, stosując ją także do ruchu zmiennego i rotacyjnego (teoria względności „ogólna“ 1915). Dowodzi on nam tedy, że mimo wstrząsów, które czujemy, nie mamy żadnego środka, by się dowiedzieć, czy to pociąg, w którym siedzimy, przyspiesza lub zwalnia swój bieg, czy też ziemia zmienia nagle swój

¹⁾ Por. n. p. Bavink, Ergebnisse u. Probleme der Naturwissenschaft. Leipz. 1921² str. 140.

ruch w odwrotnym kierunku, bo matematycznie jest to zupełnie równoznaczne, a także pod względem fizykalnym nie jest wcale nie do pomyślenia, że n. p. para zgęszczona w kotle i w walcu roboczym lokomotywy, zmienia poprostu układ grawitacyjny przestworza w ten sposób, iż ziemia wstecz się porusza, a pociąg stoi. Może tak nie jest, ale nie mamy środka, by stwierdzić, co jest prawdą. Podobnie siła odśrodkowa nie musi być wywołana przez absolutny ruch (obrotowy), lecz przez nagłą zmianę pola grawitacyjnego w jakiejś części wszechświata.

Dalej opór, stawiany przez jakieś ciało sile, przyspieszającej jego ruch (bezwładność, masa) jest zawsze proporcjonalny do jego ciężaru; a więc bezwładność i ciężar to poprostu dwie nazwy dla jednej i tej samej rzeczy.

Już z formułek szczególnej teorii względności wynikało, że masa ciała nie jest czemś niezmiennem, jak myślano dotąd (zasada zachowania masy!), lecz zwiększa się z prędkością jego ruchu. Zwiększenie masy jest nieznaczne przy zwyczajnych ruchach, z którymi się liczy inżynier lub astronom. Poważne ma być dopiero, gdy chodzi o prędkości, zbliżające się do prędkości światła. — Takie prędkości znamy zresztą już także, mianowicie u promieni ciał promieniotwórczych (rad itp.). — Prędkością zaś bezwzględnie największą, która w naszym świecie materialnym istnieć może, prędkością nieprzekraczalną, jest według Einsteina prędkość światła (300.000 km. na sek.). Prędkość światła odgrywa więc w kinematyce naszego świata podobną rolę, jak n. p. „koło największe“ w geometrii kuli. Nigdzie w kuli nie może istnieć koło, większe niż to, które się zyskuje przez przecięcie środkowe (koło półkuli). — Ciało, poruszające się z prędkością światła, zyskałoby masę nieskończenie wielką.

Jak widzimy, w teorii względności ruch (energja) wchodzi jako składnik w pojęcie masy, co prowadzi prosto do utożsamienia masy z energją (energetyzm). Zasada zachowania masy sprowadza się do zasady zachowania energji. Einstein podaje tu rękę podobnej dążności, wychodzącej z teorii elektronicznej o budowie materji.

Dalej: widzieliśmy już, że ruch jakiegoś systemu mate-

realnego zmienia nie tylko wymiary przestrzeni, lecz także czas. Minkowski (1908), badając formułki Einsteina, wyrażające matematycznie zmiany czasu, wykazał, że są one zupełnie analogiczne z formułkami dla zmian przestrzeni tak, że możnaby z pewnem zastrzeżeniem zamienić jedną na drugą. Dlatego Minkowski, a za nim także Einstein przedstawiają nam świat jako istotę czterowymiarową, w której rolę czwartego wymiaru odgrywa czas.

I ta zasada wynikała już z „szczegółnej” teorii względności. Teoria ogólna uzupełnia ten wynik, twierdząc, że współrzędne czyli koordynaty tego czterowymiarowego świata nie biegną prosto (przestrzeń euklidesowa), lecz są to linie krzywe (przestrzeń krzywa, nieeuklidesowa), wykrzywiają się (wklęsło) w pobliżu ciał ciężkich, n. p. słońc. Dlatego promienie światła, o których przypuszczaliśmy, że w „próżnej” przestrzeni muszą biec prosto, skrzywiają się w pobliżu słońc w kierunku najsilniejszych pól grawitacyjnych („skrzywienie promienia światła z powodu grawitacji!”).

Widzieliśmy dalej, że ruch jednostajny zwalnia chód zegarów: wahadła wahają się wolniej. Widzieliśmy też, wyjaśniając względność ruchu zmiennego i obrotowego, że tę samą rolę, co ruch, odgrywa pole grawitacyjne. A więc zegary pójda wolniej także tam, gdzie istnieje silniejsze pole grawitacyjne. Wszystkie zjawiska przebiegają tam wolniej. Dlatego zwalniają się także fale świetlne. Światło czerwone, wywołane n. p. na słońcu przez rozżarzenie gazu wodorowego, będzie miało fale mniej częste i dłuższe, aniżeli światło wodorowe na ziemi, której pole grawitacyjne jest słabsze („przesunięcie prążków widmowych w kierunku światła czerwonego!”).

5. *Sprawdziany teorii względności.* Oto cały gmach teoretyczny, który wzburzył w ostatnich latach świat naukowy i zaniepokoił także w znacznym stopniu filozofję! Jedni z uczonych zwabieni śmiałością tez, ścisłością matematyczną wywodów i pewnością, z którą zapowiadano pewne nieznane dotąd zjawiska przyrody, przeszli pełną parą do obozu Einsteina, wielbiąc go jako nowego Kopernika. Inni, więcej krytyczni, przestrzegali przed przedwczesną reklamą i za-

brali się przedewszystkiem do zbadania podstaw tej teorii i do sprawdzenia jej przepowiedni naukowych.

Dziś, jak się zdaje, cały ten gmach zatrzzął się w swych podstawach. Widzieliśmy, jaką rolę w nim odgrywało doświadczenie Michelsona. Było ono nie tylko historycznym punktem wyjścia dla teorii względności; lecz całe jej rozumowanie, np. wyprowadzenie przez nią formułek Lorentza itd., oparte jest na hipotezie niezmienniej prędkości światła i niezminionej długości fal świetlnych mimo ruchu obserwatora. Dlatego wynik tego eksperymentu jest także najważniejszym sprawdzianem całej teorii. Żąda ona koniecznie, by ruch absolutny ziemi około słońca nie dał się sprawdzić żadnym środkiem, ani nawet zmianą długości fal świetlnych. Jeżeli więc ta długość się zmienia, to istnieje eter, istnieje jego „wiatr“, istnieje ruch bezwzględny i upada cała teoria (chybaby się jeszcze dało znaleźć jakieś inne wytłumaczenie dla tego zjawiska, dające się z nią pogodzić).

Eksperyment Michelsona jest dla niej także dlatego sprawdzianem najważniejszym, ponieważ inne sprawdziany dotychczas nie zadowolili badaczy. Zapowiedziane odchylenie promieni światła od linii prostej, gdy promienie przechodzą przez silne pole grawitacyjne, może mieć — o ile je napewno udowodnią — także inne przyczyny. Nie przemawia więc niedwuznacznie i wyłącznie za teorią względności. Podobnie ma się z ruchem punktu przysłonecznego (perihelium) planety Merkurego, a o przesunięciu prążków widmowych w kierunku światła czerwonego jeszcze pomówimy. Dlatego przynajmniej według obecnego stanu rzeczy teoria względności stoi i upada z eksperymentem Michelsona.

A ten eksperyment zwraca się stanowczo przeciwko Einsteinowi.

6. *Eksperyment Michelsona na Mt. Wilson.* Doświadczenia Michelsona odbywały się wśród grubych murów piwnicznych. Już w r. 1920 opublikował M. A. Henry w czasopiśmie *Scientific American* dziwną rozmowę z profesorem Millerem, jednym z uczestników tych badań. Opowiadał mu Miller, że przesunięcie pasków interferencyjnych ukazywało się regularnie, gdy ustawiano aparat, zamiast wśród murów, na polu pod lekkim namiotem. Ale nie mogąc sobie wyja-

ścić tej różnicy, badacze milczeli o swem spostrzeżeniu.¹⁾ Mojem zdaniem, wytłumaczenie nie mogło znowu być tak bardzo trudne. Przecież już Fizeau (1859) dowiódł doświadczalnie, że wprowadzie poruszane powietrze nie porywa ze sobą eteru, ale porywa go woda.

Obecnie prof. Miller powtórzył to zasadnicze doświadczenie na Górze Wilsona w Kalifornji,²⁾ na wysokości 1730 m. nad morzem. Wynik był dodatni. Przesunięcie pasów interferencyjnych wynosiło wprowadzie tylko 10% obliczonej ilości, ale istniało niezaprzeczenie. Sprowadzono aparat z powrotem do Cleveland i powtórzono tam doświadczenie: zostało ono bez wyniku jak dawniej. Przewieziono go znowu na Mt. Wilson: znowu z wynikiem dodatnim.³⁾ Oczywiście więc mury, ale także powietrze wpływają na ruch eteru. Należy się spodziewać, że na górach jeszcze wyższych, w powietrzu jeszcze cieńszem wynik będzie silniejszy. Już też fizyk francuski Warnant chciał powtórzyć eksperyment na Mt. Blanc (4.800 m.), ale finanse Europy tymczasem na tak kosztowne próby nie pozwalają.

Ciężki więc cios spotkał teorię względności. Można być ciekawym, ile się też z niej wogóle ostanie, i kiedy się uspokoją zrewolucjonizowane przez nią umysły.

Nakoniec jeszcze kilka słów o innym sprawdzianie tej teorii.

7. *Wpływ grawitacji na długość fali świetlnych.* Żądane przez nią przesunięcie prążków widmowych w kierunku światła czerwonego (wskutek grawitacji) jest tak maleńkiem, że do jego sprawdzenia mogą się zabierać tylko badacze, rozporządzający nader delikatnym instrumentem optycznym. Chodzi tu przecież o spostrzeżenie zjawisk, wynoszących tylko kilka miliardowych części milimetra! Jedynie obserwatorium na Górze Wilsona posiada taki instrument.

Długo też czekano na pierwsze wyniki mierzeń. Długo

¹⁾ Wulf S. J., Einsteins 'Relativitätstheorie, Innsbruck 1921, str. 67.

²⁾ Mt. Wilson, 27 km. na półn. wschód od Los Angeles w Kalifornji, posiada od r. 1905 słynne obserwatorium słoneczne.

³⁾ *Die Umschau* (Frankf. a. M.) 1925, zesz. 46; *Natur u. Kultur* (Innsbr.-München) 1925, zesz. 14.

nie spostrzegano niczego. Aż nareszcie Adams stwierdził zapowiedziane przesunięcie. Znalazł je w widmie owej sławnej gwiazdy 10-tej wielkości, która towarzyszy Syrjuszowi, tworząc z nim system dwugwiazdny.¹⁾ Ale niestety, ten dodatni wynik, zamiast pomóc Einsteinowi, nową grozi mu zgubą. Albowiem wielkość tego przesunięcia przekracza znacznie kwotę, żadaną przez teorię względności. Kwota ta zależy od stosunku objętości gwiazdy do jej masy. Otóż obliczenia Adamsa żądałyby dla owej gwiazdy śmiesznego ciężaru gatunkowego 53.000 (tj. 53 tysiące; ciężar gatunkowy wody = 1, platyny = 20!).

Dalsze badania wykażą, czy Albert Einstein przejdzie do historii jako drugi Kopernik i będzie nam świecił jako gwiazda pierwszej wielkości, czy też zgaśnie jak krótki blask meteoru.

Ks. Ludwik Wrzoł.

¹⁾ *Umschau* 1. c.; *Natur u. Kultur* 1. c.

Rosyjski romantyk nawrócony.

O. WŁODZIMIERZ PECZERIN¹⁾

Postać Peczerina, w Rosji zupełnie prawie zapomniana czy zapoznawana celowo, została odkryta przez subtelного analityka dziejów kultury rosyjskiej XIX stulecia, M. Gerszenzona.

Gerszenzon, zrazu na podstawie źródeł historycznych, a także osobistych poszukiwań w Irlandji, napisał sylwetkę literacką. Stanowi ona rozdział książki p. t.: „Historja Młodej Rosji” (1908). Później, w 1910 r., wykorzystując część not autobiograficznych, ogłosił monografię specjalną: „W. S. Peczerin — żywot”. Jak wynika z odsyłaczy książki, bardzo wiele materiału spoczywa jeszcze w Muzeum Rumiancewa w Moskwie. Stanowią one rękopiśmienny depozyt po byłym redaktorze *Russkawo Archiwa* Czyżewie. Do roku 1917 nie wolno było z tego materiału korzystać (klauzula składającego depozyt).

Wiedziony szlachetną intencją, Gerszenzon raz po raz odkrywał w mikołajewowskiej, niesamowicie ciemnej epoce życia kulturalnego, postacie świetlane, głębokie, odrodzone i odradzające.

Mimo walorów naukowych, portret zrekonstruowany przez Gerszenzona ma braki w jasności. Brak w nim, kto

¹⁾ Niniejsza praca jest drugą z cyklu: „Kartki z dziejów katolicyzmu w Rosji, w pierwszej połowie XIX wieku”, jaki rozpoczęliśmy drukować w *Przeglądzie Powszechnym* w roku ubiegłym.

wie, czy nie najważniejszych rysów. Choć skądinąd można było przewidywać, że tego rodzaju portret, choćby kreślony przez najwytrawniejszego krytyka, musiałby analogiczne braki posiadać. Konwertyci bowiem, ulubieńcy Boga, muszą na zewnątrz wydawać się tacy. Widzimy przecież tylko jedną stronę ich duszy, stronę czysto ludzką. Druga strona odwrócona jest ku Bogu. Bóg swych ulubieńców wychowuje. W życiu ich następują przełomy, przeobrażenia najważniejsze, w kompletnej ciszy, i krytyk literacki, choćby najsubtelniejszy, zajrzeć już tam nie może. Cóż dopiero mówić, gdy chodzi o człowieka, który największą część życia spędził w klasztorze, na milczącym obcowaniu z Bogiem? Wtargnięcie wzroku obcego, obojętnego, czy nawet niechętnego dla tego najwyższego typu życia religijnego — do celi zakonnika, po „wywiad literacki” dać może, zamiast prawdy biograficznej, fałsz przelotnych nastrojów. Piszemy o tem, by wyjaśnić pobudki, które skłoniły nas do samodzielnej próby oświecenia niektórych faktów z życia Peczerina. W stosunku do Gerszenzona, do jego erudycji, a przede wszystkim talentu, spostrzegawczości i twórczej metody rekonstrukcyjnej zająć musieliśmy stanowisko ucznia. Ale może wiara bez pragmatystycznych zastrzeżeń i miłość do tego właśnie typu ludzkiego pozwoli nam, choćby w pewnej mierze, rozświetlić ciemne miejsca portretu gerszenzonowskiego.¹⁾

I. Lata górne i chmurne.

O młodości Peczerina wiemy mało. Urodził się w 1807 r. Ojciec był dymisjowanym oficerem, niezamożnym „szaraczkiem szlacheckim”.²⁾ Z pośrednich danych można wnosić,

¹⁾ Gerszenzona rekonstrukcje literackie były przez rosyjskich krytyków czasem surowo krytykowane. Może nie bez słuszności dopatrywano się nadużywania konstrukcji dedukcyjnej. Por. art. Fiłosofowa w *Za Swobodu* Nr z 2 marca 1925 r.

²⁾ O przodkach Peczerina pisze pierwszy jego biograf, prof. Bobrow (*Literatura i proświeśczenie w Rossji w XIX w. Materiały*, strona 286): „O rodzice Peczerinyh, czy Peczerskich, wuj profesora, Teodor P. Pe-

że syna próbowali rodzice za wszelką cenę wychować na obraz i podobieństwo synów zamożniejszej, hierarchicznie wyższej szlachty. Marzyli dla niego o karierze wojskowej. Wychowywał Peczerina, jak to było w modzie, jakiś guwerner-emigrant, prawdopodobnie typowy liberał-uciekier. Faktem bowiem jest, że Peczerin do końca życia nie wyrzucił się młodzieńczego entuzjazmu liberalnego, radykalizmu społecznego i romantycznego republikanizmu. Podkreślamy to dlatego, by rys ten przeciwstawić rysowi diametralnie różnemu, spotykanemu w żywocie Czaadajewa. Zwłaszcza pośród liberałów rosyjskich pokutuje przesąd, że katolicyzm jest jakimś wstecznictwem, że Kościół hamuje rozwój dziejowy. Tymczasem nadzwyczajna pojemność Kościoła mogłaby być argumentem przeciw temu zabobonowi liberalistycznemu. Zarówno uczeń De Maistre'a, Bonald jak i ten entuzjasta republikański mieszcili się w Kościele. Co ważniejsze, w ich życiu spotykamy charakterystyczną wewnętrzną pracę nad opanowywaniem krańcowości. To, co po tej pracy pozostało, to przecież nie żaden strychulec, filisterski „złoty środek“, ale już prawdziwe choć różne typy myślenia. Indywidualności — bez pysznego, bezmiłosnego indywidualizmu.

Życie dziecka chyba nie było radosne. Ojciec despotyczny próbował brutalnie nałamywać chłopca do swych projektów, nie udało się mu to jednak. Już na uniwersytecie nadzwyczajne zdolności syna zadecydować miały o jego karierze życiowej — krótkotrwałej lecz bajecznej. Podobnie jak wszyscy nasi bohaterzy, Peczerin jest nadzwyczajnie utalentowanym.

W 1829 r. (roku „listu filozoficznego“ Czaadajewa) Peczerin wstępuje na wydział filologiczny uniwersytetu petersburskiego. Gdyby nie wyjątkowy, rzucający się w oczy talent studenta, mało by mu dać mógł ten uniwersytet. Dopiero on i późniejsi, podobni do niego stypendyści, wysyłani zagranicę (Granowski), ożywili zmartwiałą atmosferę uniwersytetu.

czerin, stwierdzał: „Przodkowie moi, o przezwisku Peczerskije, przybyli do Rosji z Polski (!), ale kto z nich imigrował i kiedy wyjechał — niewiadomo“. Czyżby i tu objawił się atawizm?

O uniwersyteckich latach 1829—1835 wiele pozostało pamiętnikarskich wzmianek.¹⁾ Są one jednakowo beznadziejnie smutne. Sam Peczerin opisuje te lata w ten sposób:

„Gdy obecnie wspominam ówczesny petersburski uniwersytet — ręce mi opadają. Przecież faktycznie tam o żadnym samodzielnym rozwoju mowy być nie mogło. Wykłady nie zawierały nic poważniejszego; były one okropnie powierzchowne, miałkie, płytkie. Studenci wykuwali na pamięć z kajecików profesorów, a sami profesorowie wykładali z tychże kajecików wykute uprzednio lekcje“.

Filologja była traktowana przez rząd jako „najlojalniejsza“ dziedzina uniwersyteckiej wiedzy. Łaciną i greką zakuwano głowy studentów, by ich od liberalnych marzeń odciągnąć. Niemniej ten właśnie wydział posiadał jedyną europejską siłę naukową. Był nią specjalnie sprowadzony przez kuratora hr. Stroganowa (filologa z zamiłowań i człowieka kulturalnego bezsprzecznie) prof. Greffe, akademik z Lipska. Specjalista o wysokim zakresie — wiele ogółowi studentów nie dawał. Ale, jak to bywa zwykle, na seminarjach był on ożywiony bardziej. Gdy znalazł między studentami, znudzonymi nauką i rozpolitykowanymi, młodzieńczo zapalonego filologa — otworzył mu serce.

Peczerin pokochał świat rzymsko-grecki.

„Zdawało się nam — wspomina — że my z akademikiem Greffe gwiazdy z nieba zdejmujemy“.

Młódzież żyła wówczas poezją i teatrem Schillera. Peczerin tak charakteryzuje nastrój inteligencji rosyjskiej po katastrofie 14 grudnia 1825 r.:

Burze się uspokoiły. Nastąpiła jakaś głucha cisza. Coś jakby „Still“ na morzu. Atmosfera była duszną okropnie. Wszystko zapadało w sen. Faktycznie i ja zaczynałem drzemać... Marzyłem o jakiejś rzeczności, o jakimś szczęściu (pod. autora). Życ chciałem z Grekami i Rzymianami, i o niczem innem nie myśleć.

Biedny student, musiał zarobkować na życie. Protekcja akademika Greffego wyrobiła mu miejsce a zarazem dała mu prawie rodzinną opiekę, w domu pracodawcy.²⁾ Dru-

¹⁾ Fakty czerpiemy z monografji Gerszenzona i dlatego nie podajemy źródeł. Czytelnik będzie mógł je sprawdzić. W odsyłaczach podawać tylko będziemy źródła niewykorzystane przez Gerszenzona.

²⁾ Los stypendysty Peczerina podobny jest do losu Bielińskiego. Choć tamtego protekcja prof. Nadieżdina od relegacji nie uchroniła.

kowany wyjątek pamiętnika z 1869 r. w *Russkom Archiwie* (1870) właśnie poświęcony jest tej pracy u barona Rosenkampfa. Baron Rosenkampff, wysoki dostojnik za panowania Aleksandra I, wpadł „w niełaskę” Mikołaja. Zapomniano o nim wkrótce, jak i o jego żonie, niegdyś słynnej dworskiej piękności. Byli to liberałowie, protestanci wierzący. Zajęli się Peczerinem, jak synem. Zwłaszcza rozczarowana i smutna wielbicielka Goethego, bardzo kulturalna baronowa Rosenkampff, miała wielki wpływ na młodzieńca. „Ona rzeczywiście miała wpływ na mnie. Zakończyła moje wychowanie”.

O samej pracy tak pisze:

„Każdego dnia o ósmej czy dziewiątej godz. zjawiałem się w gabinecie barona i zabierałem się do pracy. Był to prześliczny rękopis z Cesarskiej Publicznej biblioteki z X czy XI w. Ileż marzeń przesunęło się podczas tej pracy. Widziałem w wyobraźni tego biednego mnicha bizantyńskiego, w czarnym habicie. Z jaką pracowitością wygładził on i porubrykował ten pergamin.... Z jaką miłością wyrysował każde słowo, każdą literę! A w tym samym czasie wokół niego kipi bezmyślne życie Bizancjan. Donosiciele i szpiedzy snują się wszędy; rozgrywają się intrygi i podejścia przybocznych eunuchów, generałów, dostojników Kościoła. Lud, nie znając innego ćwiczenia, zapomina się na turniejach, a tymczasem On (p. aut.), pracownik, siedzi i pisze, pisze... Oto! myślałem — oto jedyna ucieczka przed tyranią despotyzmu! Zamknąć się w jakiej celi i badać stary rękopis”.¹⁾

Ale nagle — pisze dalej — rozległ się grom, rozszalała się burza lipcowej rewolucji. Powietrze się odświeżyło — wszyscy się pobudzili, ba, nawet rządowi (kazionnyje) studenci. I jeszcze jak się pobudzili! Jak gdyby Duch Święty spadł na nich. Zaczęto mówić jakimś dotąd nieznanym językiem o wolności, o prawach człowieka i t. p.

O czym wtedy nie mówiono! Ba, nawet Mikołajowi I przypisywano liberalne dążenia... Wierzyliśmy naiwnie tej *Sancta Simplicitas*. Od tej chwili już nie zasypiałem.

Nawet powstanie listopadowe nie „gorszyło” Peczerina. Zasługą to może atmosfery domu bar. Rosenkampff.

„W tym domu „opalnym” panowała opozycja. Wszystkie poczynania rządu były bezlitośnie krytykowane. Gdyśmy w *Jour-*

¹⁾ Mimo całego bujnego życia, szukającego prawdy — już chyba w tych nastrojach mieściło się przeczucie późniejszego zakonnego powołania. Była to jednak — jedna tylko strona duszy... Talent, stale niejako wyrzucał Peczerina w świat, do ludzi... słuchaczy, czytelników.

nał des Débats przeczytali o pierwszych porażkach rosyjskiego oręża w Polsce, baron kiwał głową i mówił: „Oto, widzisz, wychodzi na to, że stary Horacy powiedział prawdę: *Vis consilii expers mole ruif sua!*”

* * *

Ożywienie było przejściowe. Przyszły wypadki „uśmierzania polskawo miatieża”, witane hymnem poetów nadwornych: „Na wzięcie Warszawy”. Reakcja się tylko wzmogła. Zatarasowano ujęcia dla myśli europejskiej, zamknięto myśl rosyjską w ten dziwny świat, „emigracyjnych kółek, wewnątrz Rosji”.

Życie dalsze Peczerina w Petersburgu niczem się nie różni od życia innych filarów kółkowych. Czem dla kółka moskiewskiego był taki Stankiewicz, tem staje się dla t. zw. kółka Nikitinki nasz entuzjasta-filolog.

Subtelnie analizuje psychikę kółkową Gerszenzon:

„Ich idealizm skryształizował się na Schillerze i w ten sposób stawali się coraz to bardziej obcy życia. Nieświadomie przyuczali się do zestawień poetyckiej fikcji na jedną płaszczyznę z rzeczywistością obiektywną, i dzięki temu zaczęli żądać od tej ostatniej tych wyrazistych rysów, jakie poeta nadał jedynie może swemu ideałowi.¹⁾ Takie nieuprawnione pomieszczenie realnego w wyższym sensie z empirycznym wyobrażam sobie jako jedną z najgroźniejszych chorób wzroku... Ona to ustawia człowieka w zupełnie fałszywej pozycji wobec świata, i często niejako zakorzenia psychiczny daltonizm, psujący czasem całe życie człowiekowi”.

Pewien gość z prowincji, gdy 1831 r. zetknął się z Peczerinem, zachował o nim (prawdopodobnie powtarzając opinię otoczenia) takie wrażenie: „On ubóstwia Schillera, i żyje w świecie ideałów”.

Peczerin tłumaczy Schillera podobno bardzo pięknie. W r. 1831 w *Synie Ofięczestwa* pojawiają się jego przekłady *Sehnsucht*, *Das Mädchen aus der Fremde*, *Dithyrambe* i *Die Sänger der Vorwelt*. O tłumaczeniu *Sehnsucht* sam pisze w tym czasie: „Chociaż jest to tylko tłumaczenie, jednak wytrysło ono z głębi mojej własnej duszy”.

¹⁾ Ma się rozumieć, nie zgadzamy się z teorią filozoficzną (chyba z idealizmu niemieckiego rodem) uznającą fikcję poetycką za rzeczywistość wyższego rzędu. Nie przeszkadza to nam uznawać za trafny sam osąd utopizmu romantycznego w kółkach.

Przyjaciół szczerzy Peczerina, niegdyś wódz kółka, a potem „uspokojony“, spłaszczony, cenzor Nikitienko, w swych słynnych pamiętnikach, tak charakteryzuje Peczerina z 1832 r.: „Jest to człowiek z prawdziwie poetyczną duszą. Posiada wszelkie zadatki na męstwo, ale jeszcze nie posiada doświadczenia w walce ze złem. Czy zwycięży w tej walce trudno przewidzieć“.

Zwyciężył — ale po jakim mozole duchowym! Jak wszyscy ówcześni entuzjaści, Peczerin był przekonany, że posiada specjalną misję reformowania Rosji. Marzył, że jest opatrnościowym mężem. Marzył podobnie, jak Stankiewicz, Ogarew, Hercen, Bieliński, Bakunin, Kirejewski, Aksakow. To wszyscy bracia marzyciele.

„Myśmy weszli w życie — pisze Herzen — z energicznym sercem i z okropną ambicją. Nagromadziliśmy planów nieziszczalnych coniemiera i żądaliśmy dla siebie znaczenia wszechludzkiego. O! poprostu patrzyliśmy na siebie, jak na opatrnościowych mężów epoki“.

Entuzjazm i egzaltacja młodego Peczerina przewyższała nawet tamte. W specjalny swój los, w przeznaczenie fatalne wierzy Peczerin nadzwyczajną mocą. Jest to natura nawskróś religijna, mimo pozornego gestu ateistycznego, modnego w tem kole młodzieży, w jakim się obraca. Dowodem tych przeżyć religijnych, uzyskiwanych na drodze wczuwania się w klasyczną tragedję i w Schillera służyć może taki fragment-zakończenie słynnej jego analizy *Antygony* Sofoklesa:

„Na zakończenie powiem: im bardziej wglębiamy się w tę tragedję, tem silniej rozjaśnia się horyzont przed nami. Życie ziemskie z wszystkimi burzami pozostaje poza nami: przed oczami rozpościera się powoli nowy prześliczny świat; jakieś łagodne promieniowanie, jakaś odświętna cisza otacza wędrowca; ziemskie okowy jego rozpadają się, a duch wolny, uskrzydłony ponosi go na wyżyny... Tak zakończył wielki Sofokles swoje nieśmiertelne dzieło, tak samo czyni każdy prawdziwy tragik, unaoocniejszy widzowi walkę człowieka z losem; jako głosiciel niebios podnosi wreszcie przed nim zasłonę lepszego świata i w oddali, łagodnem światłem oświecone, pokazuje jako rzeczywiste to, co tutaj, na padole łez, żyje tylko jako świetlana idea w sercu człowieka świątobliwego, pełnego wiary, nadziei i miłości“.

Przecież w tych słowach, poza Schillerem, słyszeć się daje coś jeszcze żywszego, prawdziwszego — nuta silnej bar-

dzo tęsknoty za Bogiem. Młodość domagała się jeszcze użycia świata. Dopiero po rozczarowaniach Peczerin zatęskni do ciszy klasztornej, do rozmowy z Bogiem sam na sam.

Artykuły z *Syna Ofięceństwa* zrobiły furorę. Autorowi zaczęto rokować świetną karierę naukową. On zaś sam odkrył w sobie — talent poetycki. Żyje czas jakiś szczęśliwy, młodzieńczo ufny w swój talent, oczekujący na laury i na katedrę... Zachowane listy do kuzynki zawierają spowiedź młodego entuzjasty.

„Nareszcie skończyłem studia i otrzymałem stopień kandydata filozofii. Dla spełnienia mych pragnień pozostaje tylko, by mnie wysłali zagranicę, co też spełni się bezwarunkowo, o ile nie stanie na przeszkodzie coś niespodziewanego. Czarująca perspektywa przyszłości zmniejsza tęsknotę, którą odczuwam, ilekroć pomyślę, że będę musiał opuścić ojczyznę, nie pożegnawszy się z tymi, których kocham. Najprawdopodobniej przed trzema laty nie sposób będzie się zobaczyć“.

Drugi list maluje ten radosny, bądź co bądź, stan oczekiwania na ostateczną decyzję cara w sprawie jego odkomenderowania zagranicę dla przygotowania się do objęcia katedry. Sprawa narazie utknęła na martwym punkcie. Peczerin dwa lata jeszcze pozostaje po skończeniu uniwersytetu w Petersburgu. Tworzy i przekłada liryki greckie. Ukończenie Grecji jednoczy tłumacza z Schillerem. Podobnie jak Schiller, należy on — jak mówi Gersenzon — „do rzędu tych, którzy przez całe życie tęsknią za ojczyzną niebieską“. Prowadzi pracowity żywot naukowca. Wykłada w szkołach, pomaga studentom, pracuje w bibliotekach i w domu, a wieczorami marzy z piątką przyjaciół z kółka.

Kółko Nikitienki nie przeszło do historii, podobnie jak inne „kółka“ moskiewskie. Wybitniejszymi postaciami poza Peczerinem był Czyżow, przyszły słowianofil i działacz społeczny, prawnicowiec, matematyk starający się podówczas o katedrę; Nikitienko jeden z wielu „pogodzonych z rzeczywistością“ i młody Popow, który w 1832 r. zastrzelił się z powodu katastrofy miłosnej.

Poza przygodnymi zebraniami towarzysko-literackimi, raz do roku odbywały się uroczyste obiady w rocznicę ukończenia uniwersytetu. Na podobnych ucztach, poeta Pe-

czerin występował z wierszami, też podobnemi do znanych nam Polakom wileńskich „jambów imieninowych“.

Na wieczorki pozaobrzędowe zapraszano panny ze Smolnego instytutu. Były flirty i tańce. Młodziutki filolog ma się rozumieć kocha się i jest kochany. „Ona“ nazywa się Zofja — jest wychowanką instytutu. Życie, jak widzimy, płynęło spokojnie, bez trosk czy burz jakichkolwiek.

Gdyby Peczerin nie wyjechał — kto wie, jakby się potoczyły dalsze jego losu koleje. Mógłby, jak Nikitienko, czy choćby Szadyrew, „przyjaciół moskal“ — Mickiewicz, „zadomowić się na katedrze“, sfilistrzeć, pogodzić się z rzeczywistością — o! stać się rosyjskim akademikiem Greffe. Choć, jak fakt życia późniejszego mówi, los ten mógł być diametralnie inny. A wtedy... możeby czekał go los przyjaciela Popowa, albo, co najpewniejsze... czekałby go Sybir. Sam o tych możliwościach pisze:

„Zacząłem życie petersburskiego urzędnika; skrupulatnie uczęszczałem na baliki urządzone przez urzędników-niemców, włóczyłem się za pannami, pisałem jakieś wierszyki i artykułiki do *Syna Oświeceni*. Ale co gorsze o wiele — stałem się straszonym ulubieńcem wice-ministra Uwarowa, dzięki jakimś przekładom. Zacząłem jeździć do niego z czołobitnościami nawet do willi podmiejskiej. Szlachetny wpływ baronowej Rosenkampfc zacierał się powoli. Stałem nad okropną przepaścią...”

Nagle Bóg zmienia akcję, wprowadza perypetje do tej epickiej sielanki. Niegdyś upragnione odkomenderowanie zagranicę staje się nagle realnem za protekcją prawdopodobnie Uwarowa. Romans się przerywa. Mógłby być przeszkodą przy późniejszych ślubach zakonnych. Peczerin żegna się z przyjaciółmi. Pisze do Nikitienki: „Boże mój!... *Ty i ona* (pod. aut.). Cały świat w dwóch słowach!”

I wyjeżdża w świat nowy, całkiem nieznany.

II. Studja zagraniczne stypendysty.

Listy z podróży dają wiele materiału psychobiograficznego. W jednym z pierwszych tak pisze o sobie:

„Pan Peczerin, rycerz-pątnik palestyński. W prześlicznej swej ojczyźnie pozostawił wszystkie skarby serca, a w przyszłości otwiera się przed nim miarowo ziemia obiecana, w której świeci mu naprzeciw idące wieczne słońce Prawdy“.

Prorocze będą to słowa.

Berlin... Ma się rozumieć teatr: „Dziewica Orleańska“, Widzi w tym utworze błąd kardynalny: Joanna przecież nie może stać się bohaterką, jako istota opanowana przez Boga. W przyszłości jego własne życie obali ten przesąd liberalny. Bohaterskim życie jego stanie się właśnie wtedy, gdy swą duszę odda Bogu. Gdy sobą przyświadczy prawdzie słów: „Ktoby duszę swą chciał zachować, straci ją, a kto duszę swą straci, odzyszcze ją“.

Wykłady... Jest to przecież rok 1833, gdy jeszcze żyje tradycja wielkich mistrzów-apostołów na katedrach. Słucha słynnego Ganssa, entuzjasty chrześcijańsko-rewolucyjnego. Ucznia Hegla, Michelet'a berlińskiego (o którym wspomina, jako o autorytecie historyku filozofji, Mickiewicz w „Prelekcjach Paryskich“). Słucha Steffens'a, „oratora-kaznodzieję, którego głos donośny i gestykulacje podkreślają jeszcze wyraźniej jego płomienną duszę“. Peczerin jest oszołomiony; entuzjazmem tchną jego listy:

„Potężny duch czasu, duch europejskiego oświecenia, oskrzydlił mego ducha, słyszę jego władczy głos: mówi mi on, że ten krótki czas mego tutaj pobytu winienem obrócić nie na ślęczenie nad gramatyką porównawczą, ale na to, żebym przyswoił sobie dzisiejsze idee, niemi nakarmił się na całe życie... Bardzo dobrze się stało, że półtora roku przed wyjazdem zagranicę musiałem wyłącznie się zajmować samym mechanizmem przedmiotu; mogę teraz wytchnąć po roboczych, rzemieślniczych dniach i święcić *zmartwychwstanie nauki w boskim kulcie idei* (pod. autora)“.

Oddaje się nauce całej. Semestr się skończył, stypendyści porożjeżdżali się; spędzają wakacje w podróży po Niemczech, Szwajcarii, Włoszech i Rzymie. Peczerin szczęśliwy jest i radosny, tak, jak tylko potrafi być szczęśliwy podobny do niego entuzjasta.

„Miły podróżniku! — pisze o sobie — Tyś królem! Cała Przyroda staje się twoim dworem, twojem wojskiem. Masz, czego dusza zapagnie“...

Stoi nad wodospadem Renu i dziwnie, po swojemu marzy:

„Zapytacie się, o czem myślałem, zamknąwszy oczy. Myślałem: jakim szczęściem być musi śmierć w falach reńskiego wodospadu! Jaka żywa, kipiąca rozkosz — rzucić się na oślep

w tę świeżą, chłodną przepaść, kilka chwil pokręcić w kłębiących się, srebrnych, dźwięcznych nurtach, a potem, tuż za nimi, zaginać w delikatnej, przezroczystej, tęczowej mgłę pyłu wodnego, w bystrej jasno-zielonej toni Renu!... Tak, panowie: śmierć przeliczną jest rzeczą na świecie!”

Ta nuta trochę niezdrowej tęsknoty do śmierci (przymiatająca zresztą *leitmotiv* marzeń Nowalisa) świadczy o tem, że rozkosze światowe nie wystarczają tęskniącej do zaświatów duszy.

Po cudach przyrody czekały go we Włoszech cuda sztuki. Wchłania ich czar z siłą człowieka, który po raz pierwszy z niemi się styka. Wrażenia literackie i wrażenia bezpośrednio otrzymywane z oglądania natury zlewają się w jakąś symbiozę. Oto idzie z Lozanny do Vevey „zupełnie tak, jak Rousseau, piechotą w śliczny dzień”. Z Vevey podróżuje turysta z tomikiem *Nowej Heloizy* w kieszeni... Rzeczywistość oglądana poprzez wrażliwość estetyczną niejako sama mu się rozszerza:

„Były chwile — pisze — gdy dusza moja rozszerzała się na góry wysokie, za krańce horyzontu, obejmowała cały świat, dążąc ku jakiejś wyższej, nieznanej, nieosiągalnej błogości. Teraz coraz to bardziej i bardziej skupia się w mały punkcik rzeczywistych potrzeb ciasnej rzeczywistości”.

Nie daje się on jednak opanować sentymentalizmowi, skoro w ten sposób komentuje odrazu tamte słowa:

„Był to ostatni krzyk konającego sentymentalizmu, ostatni jego bunt przeciwko wszechmocnej królewskiej rzeczywistości, jedynie prawdziwej i pięknej”.

Powraca do uczonego Berlina.

„Niestety — pisze po francusku do kuzynki — obudziłem się w swoim pokoiku pośród zakurzonych książek, w nudnym, już choćby dlatego, że niemieckiem imieście. Potem, gdy ujrzałem tytuły Francuzów i Anglików, całą duszą nienawidzę tych ociążających Niemców, tych *porchi fedeschi*, jak ich nazywała śliczna Wencjanka, z którą jechałem z Pragi do Drezna”.

Ciekawem być może dla charakterystyki natury rosyjskiej to, że prawie wszyscy rosyjscy inteligenci, tak jak Peczerin, po krótkotrwałym zachwycie nad filozofją niemiecką, wysiedzieć w Niemczech nie mogą. W ten sam sposób rea-

guje młody szellingjanista, Sw. Kirejewskij, podobnie Piotr Czaadajew, Hohol...¹⁾

Filozofja niemiecka jeszcze go pociąga. Rozczarował się co do Steffensa. Z oceny jego wykładów widzimy, jak daleko w tym okresie jest Peczerin od myśli religijnych. (O podświadomym religijnym niepokoju mówić będziemy jeszcze, analizując fazę przed-nawróceniową).

„Nię lubię Steffensa za jego jednostronny religijny kierunek. Ale i Pan (w oryginale Wy), Panie Aleksandrze, jak gdyby trochę skłania się do szukania uspokojenia w religji (pod autora) *...fi donc, mon cher!* Chyba nie przyszła jeszcze pora rzucać się w objęcia starczej idei religji“.

Gans nie przestaje go entuzjazmować. Był to przecież mówca nielada, rewolucjonizujący studentów paradoksalnymi tezami. Peczerin styka się z antyrosyjskim nastrojem, wywołanym krwawym gwałtem nad bezbronną Polską. Taki podaje cytat z wykładu Gansa:

„O tak, panowie, obecnie chyba niema obawy najścia barbarzyńskich hord na Europę — chyba tylko zdarzyć się może, że Rosjanie przyjdą do Europy... (Głośny, ogłuszający śmiech na sali).²⁾

W twórczości Peczerina nowa występuje forma. Nęcię go zaczyna dramat, czy choćby dialogowana opowieść. I chyba w pewnym związku z tem stoi coraz silniejsze poczucie własnej wyjątkowości. Wszystko to zrodziło się prawdopodobnie podczas wakacyjnych wycieczek. Znamionnym rysem dla późniejszego konwertyty jest pewien motyw stale od tej chwili pojawiający się w jego twórczości: Motyw śmierci. Spotkaliśmy się z jego psychicznym korelatem w liście o wodospadzie. Niegdyś śmierć była traktowaną jako godna obrony ucieczka przed zanieczyszczającym wpływem życia. Przecież przed absolutyzmem chciał uciekać do celi uczonego mnicha. Teraz śmierć nie ma być wycofaniem się z walki z rzeczywistością, ale właśnie finalnem, zwyciężskim rozwiązaniem takowej. Chcąc oddać myśl swoją dziwną, tragiczną, zamiast listu przesyła fantastyczny dialog,

¹⁾ Patrz Gerszenzon: „Sw. Kirejewskij“. Dzieła i listy. — Piotr Czaadajew. Życie i dzieła.

²⁾ Na tym właśnie wykładzie znajdował się Mickiewicz.

p. t.: „Dwie sceny z tragedji Waldemar“. W monologu Waldemara znajdujemy jeden bardzo charakterystyczny ustęp:

„Oddawna mam przeczucie dziwne — zdaje mi się, że gwiazda mej sławy winna wejść nad moją mogiłą, laur mój pachnie rozmarynem. Ten Waldemar, w którym przewalają się i kipią żywioły jakiegoś przyszłego świata, ten Waldemar, oto stojący przed Tobą w pełni życia — nie znaczy nic: ale gdy stanie się on garsteczką prochu, garsteczką nikłego prochu, Zofjo, o! wtedy dusza jego przesiedli się w całe pokolenia, i porwie jak wichur, całe narody, i będzie dla nich słupem ognistym, drogowym wskazem na pustyni... Jest to pocieszająca myśl, nie prawda? prześliczna myśl“.

Poprzez złudne „ciemne światło“ romantycznej fikcji znać chyba w tych słowach już wyraźne ślady, czy przebłyśki... powołania. Paraliżują tę myśl zbawczą krańcowy automesjaniczny egotyzm i patos anarchicznego niszczycielstwa. DIALOG kończy się naiwną tragedją. Zofja się zabija a on gdzieś odchodzi, przy odgłosach piorunów, bębnow i strzelaniny.

Ma zniszczyć świat stary. Samo zniszczenie ma wystarczyć. Śmierć ma być źródłem życia. Następny, też fantastyczno-symboliczny, utwór nazywa się wręcz: „Triumf śmierci“. I ten utwór utrzymany jest w stylu Novalisa.¹⁾

„Poemat był — jak ocenia go Gerszenzon — słaby ze względu na stylistyczne i wersyfikacyjne walory, jak wszystko, co w młodości pisał niecierpliwy Peczerin (nie pozwalający sobie na powolne opracowywanie rzeczy napisanych), a mimo to w utworze tym przejawia się płomienna dusza i silny dar poetycki“.

W novalisowskim fragmentaryzmie, w kalejdoskopowo przesuwających się obrazach symbolicznych — poeta przeskakuje z tematu na temat. Zaczyna się od sceny, mającej być upoetyzowaniem studenckim wspomnieniem dorocznej uczty lutowej, znać nutę filarecką, rewolucyjno-płomienną, choć zmrożoną rozpaczliwym sarkazmem.

Peczerin nie ma nadziei, by w walce z despotyzmem ich grupka się uratowała. Zginie, jak inne, ot choćby jak tamta piątka straceńców z 1825 r. A potem idą jakieś wstawione

¹⁾ Porównaj Novalisa „Henryk von Ofterdingen“, tłumaczenie Mirandoli i „Hymny do nocy“, tłumaczenie Newlina-Wayn.

poematy, czy sceny dramatyczne, o temacie smutnym „miłości, której zaporą jest społeczna nierówność”. Jest to ballada o hrabinie Tourn, która kocha i jest kochana przez strzelca z ojcowskiego orszaku. Własne przeżycie miłości dla Zofji, wychowanki instytutu Smolnego (arystokratycznego), jest tutaj tworzywem dla wyobraźni twórczej.

Druga część, już ma wyraźnie podkład heroiczno-społeczny. Tematem jest katastrofa powodzi, której zboleły autor nadaje charakter sprawiedliwej pomsty Nemezis. Chóry duchów o przebitej sztyletami piersi i „pięć gwiazd zagasyłych” (pięciu skazanych dekabrystów) błogosławią Nemezis. Peczerin w ten sposób wykorzystuje legendę ludową. Już w XVIII stuleciu w momencie powstawania Petersburga, powstało tragiczne ludowe przekonanie, że Petersburg stać się musi pastwą morza. Kto wie, czy mickiewiczowski „Oleszkiewicz” z „Ustępu” nie był także jednym z pierwszych literackich opracowań motywu ludowego, rosyjskiego proctwa.¹⁾

Dla zaakcentowania historycznego podłoża „Triumfu śmierci” zacytujemy bliźniaczo podobny utwór Lermontowa z 1831 roku.

Nadejdzie rok, czarny dla Rosji rok,
kiedy dynastia carów legnie w proch;
miłości dla niej niepamiętny tłum
połamie praw tablice. Dzieci jęk
i kobiet nieszczęśliwych rozbrzmi szloch
bezbronny... I posłyszysz wszecz i wzdłuż
kraj cały, jak Zarazy ciężki krok
zatętni, a jej chusty krwawej szum
przeleci nad siołami wionąc w lud.
I wstanie ponad Rosją czarny głód,
I łuna wstanie, czyniąc z nocy dzień.
Wówczas powstanie Człowiek-Mocarz On,
i poznasz go, o Rosjo, we krwi zórz,
i pojmiesz, co oznacza w ręku jego — nóż!

¹⁾ Mereżkowski w „Chorej Rosji” pisze: „I oto, w ostatnim czasie, w krakaniu wron widzę to samo złe proroctwo, za które w 1703 r. przy zakładaniu miasta biło knutami, zsyłano na Sybir, wyrrywano nozdrza i języki: „Petersburg musi zczecznać”. „Peterburgu być pustu”. Mereżkowski, „Bołnaja Rossija”. Dzieła t. XII, str. 4.

Nad twoim płaczem jego zagrzmi śmiechu zgrzyt
i ponad tobą jak okropny świt —
wysokie jego czoło — zjawa strasznych snień! ¹⁾

Najprawdopodobniej utwór Lermontowa był dla Peczerina bodźcem dla pokrewnej protestacji:

Scena druga, „Teatr“, rozpoczyna się od „Prologu“. Aktor wychodzi przed rampę i wymienia tytuł misterjum: „Nowe widzenie“ — „Stolicy dawnej rozgrom“, lub nazywając to samo inaczej: „Dogańska Apokalipsa“.

Nemezyda z biczem, otoczona Erynjami, słucha oskarżenia chórów, zjawiających się przed jej tronem. „Chór wiatrów“ żali się, że dotychczas bezskutecznie oblegał kolosa petersburskiego...

Ciekawym jest fakt, podawany przez Gerszenzona, a świadczący o dużej i długotrwałej poczytności tego poematu, zachowanego w odpisach. Teodor Dostojewski w swych „Biesach“ wkłada w usta bohatera Wierchowieńskiego (dymisjowanego profesora) opowieść, która jest parafrazą „Triumfu śmierci“... ²⁾ Hercen w 1856 r., gdy widzi się w klasztorze z Peczerinem, prosi o odpis tego utworu, który niegdyś tyle hałasu narobił w kółkach. Ma się rozumieć, że później O. Peczerin wstydził się tej młodzieńczej egzaltacji rewolucyjnej.

Powrómy do streszczenia utworu. Na scenę wchodzi „chór serc przebitych“. I one się żalą, że „demon“ nie pozwolił im nadal łopotać w sercach młodzieńczych, które dążyły do Wolności, do Prawdy, do Nieskończoności, do Piękna. „Prochem, sztyletami, trucizną ich trzebił“. A więc...

Zemsta, zemsta, zemsta na wroga —
Z Bogiem, albo mimo Boga...

¹⁾ Wiersz ten w tłumaczeniu J. K. Iłakowiczówny bierzemy z jej przekładu aktualnej książki angielskiej: kpt. Fr. Mac. Cullagh'a: „Prześledowanie chrześcijaństwa przez bolszewizm“. Autor uznaje ten wiersz za prorocstwo dzisiejszego stanu rzeczy w Rosji bolszewickiej.

²⁾ Bliższe szczegóły o „Triumfie śmierci“ znajdujemy u pierwszego krytyka O. Peczerina, prof. Bobrowa, tam ten cytat z „Biesów“. Por. prof. E. Bobrow: „Literatura i proświeszczenie w Rossji w XIX wieku“. Materiały t. IV, str. 56—7.

A potem, przesuwają się chór... „kagańców oświaty“. Ten żali się, że płomień, zapalony przez Boga, aby świecił pośród nocy północnych, w tym samym szczęśliwym dniu, gdy się zaczynał rozżarzać, został niecną dłonią „zwierza krwiożerczego“ zgaszony. A więc...

Zemsta, zemsta, zemsta na wroga...

Pięć „czystych szlachetnych“ gwiazd o podobną zemstę woła. O to samo prosi chór rycerzy (wojów):

Do nas ludy zwróciły
Oczy, smutne od łez,
Ale — bezsilni prosili tylko
O pomstę niebios.
O Gehenno, miasto rozpusty,
Ileż krwi ty wypiliś
Ileż królestw i ile złota
W dzikiem swem łonie połknęłoś!

Nemezyda:

Godzina pomsty się zbliża...
Morze stogi pokrywa
I jak pasem otacza
Ściany potężnych pałaców,
Świątynie jasne bogów.

Występuje tyran Polikrates z Samos:

O narodzie! narodzie! módl się!
Do nieba skieruj swój głos!
Za grzechy nasze karze
Boga najwyższą dłoń...

Ale chór tonącego ludu odpowiada:

Nie za nasze, ale twoje
Grzechy nas karze Bóg!
O podły, o wilku niesyfy,
Carskim płaszczem spowity!

Przypomnieć należy, że ten ostatni dialog, specyficznie przetworzony, jest parafrazą istotnie rozgrywającego się w r. 1824 dialogu między ludem, a carem. Szylder w swym dziele „Aleksander I“ (t. IV), opisuje najdokładniej scenę podobną. Car, przeżywający wówczas silny przełom psychiczny, traktował powódź 6 listopada jako znak Boży, nakazujący mu... uciec z tronu, i na resztę życia zamknąć się w klasztorze. Cesarz, objeżdżając teren powodzi, zatrzymał

się przed grupą modlącego się, rozkrzyczanego ludu. Car stanął w pojeździe, a gdy usłyszał wołanie: „To za nasze grzechy Bóg nas pokarał” — głośno, dobitnie powiedział: „Nie prawda, to za moje”.

Miasto ginie w odmětach fal. Na tym się utwór nie kończy. Kończy się tylko misterjum.

Zaczyna się Intermedium, właściwy „Triumf śmierci”. Zjawia się śmierć... „prześliczny młodzieniec na białym koniu”. Na ramionach rozwiany lekki płaszcz biały, na ciemnych włosach wieniec z pierwiosnków. Niebo i ziemia, i ludy ziemi i innych planet, witają Śmierć gromkimi radosnymi okrzykami: *Vive la mort! vive la mort! vive la mort!* Młode narody cisną się dokoła śmierci, obejmują jej kolana, całują jej srebrne pozłacane ostrogi.

Całe Intermedium składa się z wejścia chóru i jednego monologu poety-ofiary całopalnej. Oto charakterystyczny motyw pierwszego półchóru:

Słabe, mizerne,
Wiotkie, kłamliwe
Przed tobą pada!
Wolne i młode
Twórczo - żywotne
W Śmierci rozkwita!
Alleluja! Alleluja! Alleluja!

Procesja przechodzi, jak gromada cieni. Pozostaje poeta ze świstkiem papieru w rękach. Bóg Śmierci zjawia się mu w postaci czarnookiej wenecjanki i... poeta zamiera powoli w jej ramionach. Przed skonem poeta ostatni raz bierze harfę i śpiewa swój hymn i testament zarazem... To już inny ton, choć podobnie niesamowity współśpiew; patryjotyzm z patosem nienawiści dla „złej Rosji”:

Któż wypowie twórcze słowo,
By rozlało się morze światła?
Dawno w sercu poety świta
Rosji świetlana jutrzeńka.
O, wyjmijcie z tej piersi jutrzeńkę,
Przelejcie ją na niebiosą Rosji.

A w ostatnich słowach poety słyszymy:

Zastawem szczęścia Rosji
Niech moja krew będzie,
Niech wszystkie grzechy Rosji
Ta moja krew omyje.

Trochę naiwnym melodramatycznym dysonansem kończy się poemat.

Monolog się urywa... i, po kropkach, następuje taki komentarz: „Poeta, który się uląkł cenzury, umiera nie kończąc kupletu. Kurtyna pada z trzaskiem — dla kogo? Poeta był ostatnim aktorem i ostatnim widzem”.

Romantyzm miał dwie strony nierównie silne. Jedną, to negacja złej, płytkiej, grzesznej rzeczywistości zastanej... Drugą, rzekomo pozytywną, to ideał jakiegoś królestwa Bożego, nie z tego świata, ale i nie wcielającego się w świat. Negatywna część romantycznej podstawy była moralnie dodatnim czynnikiem, była tęsknotą za Bogiem, tęsknotą niespotykane silną.

Jeżeli idzie o tę pierwszą stronę romantyzmu to chyba nigdzie nie przejawiała się ona z taką mocą moralnego patosu, jak w romantyzmie polskim. Do polskich granic tęsknoty bezkresnej zbliża się właśnie twór *in spe* O. Peczerina. Zbieżność tę określić możnaby jednym zdaniem: „Triumf śmierci” — to krwawy „Anhelli” rosyjski.

Patos nienawiści w Triumfie śmierci, to jeszcze nie najsilniejszy w tonie wiersz-protest. Zachował się bowiem czterowiersz, już wyraźnie niesamowity:

O jak rozkosznie ojczyznę nienawidzić
I chciwie czekać na jej unicestwienie,
By w rozgromie ojczyzny widzieć
Przedświt odrodzenia ludzkości.¹⁾

D. Mereżkowskij, cytując ten wiersz, przypisuje go O. Peczerinowi, popełniając w ten sposób błąd zasadniczy. Zresztą „syntezy” p. Mereżkowskiego roją się od podobnych anachronizmów. Na szczęście, jak się przekonamy, odrodzony O. Peczerin nic z dawniejszego patosu nienawiści nie miał...

W roku 1834—1835 — Peczerin pisze niewiele listów. Najprawdopodobniej tak dalece pogrążony jest w swych marzeniach, że traci kontakt z ludźmi. Niemcy go drażnią. Zarzuca im filisterję — groszowość.

¹⁾ Mereżkowskij l. cit. str. 68.

„Zimny, groszowy naród-sknera. W ich kościołach niema jasnych obrazów Bóstwa, niema Madonny. Kłania się on złotemu cielcowi, przetopionemu na dźwięczne luidory.

Nawet w filozofji Niemcy — to naród przeciętniaków“.

Najprawdopodobniej nowem bożyszczem, utopją romantyka rosyjskiego jest Saint-Simonizm. Peczerin boi się wracać do Rosji:

„Co się mnie tyczy — pisze w lipcu 1834 r. — to ufam, że Bóg w swem nieskończonem miłosierdziu nie da mi prędko zobaczyć nieplodnych pól mej beznadziejnej ojczyzny“.

Znowu nastąpiły wakacje, a z nimi Szwajcarja i Włochy. Jest w Rzymie. Wieczne miasto działa bardzo silnie na jego północną duszę.

„Jeżeli nie przeznaczone mi powrócić do Rzymu i żyć, długo żyć w Rzymie, to chciałbym chociaż umrzeć w Rzymie. O, gdybym umarł w Rosji, przeniescie me kości do Włoch! Nie znoszę waszej północy. Bałbym się, nawet jako trup, leżeć w tej waszej ółnocnej pustyni“.

Termin powrotu się zbliża. Peczerin jest zrozpaczony, przeczuwa, że już teraz w Rosji długo nie wytrzyma. Dnia 19 stycznia 1835 r. pisze:

„Oto, z czem wracam do Petersburga! Powiał na mnie samum europejskiej uczoności, i wszystkie me wierzenia, wszystkie nadzieje obleciały jak suche liście. Cóż mi zostało? Powracam bez miłości dla nauki, gdyż aby ją kochać trzeba wierzyć w jej wartości, wierzyć w możność doskonalenia się ludzkości. Wierzyć w wasze Piątki! Mój Boże! i nędzne i śmieszne zarazem marzenie! Przestałem przecież wierzyć w całe państwa, jakże się oprę o wasze drobnutkie towarzystwo?... Co mi dały te kursa filozoficzne! Pocóż poznawałem systematy dawne i nowoczesne! Aby pozostawać takim samem niemowlęciem, jak poprzednio? Cto macie wasze teorje! Oto wasze t. zw. literackie wychowanie! Oto skutek lektury poetów! O, Platonie, Platonie, ileś miał racji! W tem jedynie nie byłś marzycielem, gdyś chciał wygnać poetów z twej rzeczywospolitej“.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rafał Blüth.

Gobeliny francuskie w Polsce z Historją Aleksandra Wielkiego.

(Dokończenie).

Gobelinów, pochodzących z różnych rozbitych replik, względnie przeróbek Lebrun'owskiej Historji Aleksandra W. znajdzie się w Polsce niewątpliwie więcej. P. Adam Ostaszewski, zamieszkały w Krakowie, posiada gobelin, wyobrażający ten moment Bitwy z Porusem, w którym zranionego króla Indyj przynoszą przed Aleksandra Wielkiego. Wełniany ten gobelin, wys. 287 cm., szer. 243 cm., znajdował się aż do wybuchu wojny w 1914 roku we Wzdowie (w pow. krośnieńskim), majątku należącym do p. Adama Ostaszewskiego. Kompozycja płaszczyzny obrazowej jest prawie taka sama, jak w analogicznym gobelinie z serji peczarskiej, ale jeszcze więcej uproszczona; rośliny zaś na pierwszym planie są zredukowane do kilku sztywnych lancetowatych liści poniżej Porusa leży tarcza. Nadto koń Aleksandra W. narysowany jest w silniejszym skróceniu, skutkiem czego wyraźniej widać konia, stojącego za nim. Gobelin pana Ostaszewskiego ma natomiast zupełnie inną bordjurę: bębny, tarcze, kołczany, pancerze, przewiązane wstęgami, tworzą groteskowy ornament, w który wplata się na osi, u góry i u dołu francuski, order Św. Ducha, jaki zazwyczaj zwisa pod tarczą herbową na gobelinaeh tkanych dla królów francuskich. Order Św. Ducha jest tu jednak tylko ornamentnym motywem, gdyż na gobelinie niema herbu właści-ciela, z którym dałoby się go związać. Na granatowej listwie

bordjury po prawej (herald.) znajduje się żółtą nicią tkana sygnatura, ale z powodu przetarcia listwy i cer tak niewyraźna, że z wielkim trudem udało się zaledwie odczytać D'AVBVSSON. Nazwę miejscowości poprzedzają dwie litery, może M. R. (*Manufacture Royale*.) Nadto przed D'AVBVSSON widnieją jakieś niewyraźne litery w liczbie pięciu, oznaczające przedsiębiorcę, w warsztacie którego gobelinów wykonano. Gobelin ten ma mniej żywy koloryt, zwłaszcza pełna blasku barwa szkarłatna w oponach z Peczary, przybrała tu odcień ceglasty. Tkanina jest grubsza, surowsza.

Znowu więc natrafiliśmy na przeróbkę słynnej Lebrun'owskiej kompozycji, tym razem jeszcze surowszą i więcej uproszczoną, niż opony z Peczary, toteż sędzę, że gobelin p. Adama Ostaszewskiego należy do jakiejś później tkanej serji, która z czasem uległa rozproszeniu, a której poszczególne sztuki mogą jeszcze znaleźć się w Polsce. Brak herbu zdaje się świadczyć, że gobelinów tych nie tkano na specjalne zamówienie.

Gobeliny, które poprzednio omówiłem, należą właściwie do przeróbek, względnie naśladownictw Lebrun'owskiej serji *Histoire d'Alexandre*. Inaczej rzecz się ma z wielkim, wspinałym gobelinem (wysokość 4 m., długość 7'08 m.), będącym obecnie własnością p. Józefa Hallera de Hallenburg w Mianocicach koło Książa Wielkiego w województwie kieleckiem. Dorywcze wzmianki o tym zabytku istnieją już w naszej literaturze naukowej. Jan hr. Załuski w pracy poświęconej gobelinom, wystawionym w Krakowie w roku 1858, pierwszy rozpoznał w nim Przejście przez Granik (*Passage du Granique*) podług kartonu Le Brun'a.¹⁾ W roku 1883 gobelin ten zwracał znowu powszechną uwagę na wystawie zabytków z czasów Jana III., urządzonej w Sukiennicach krakowskich.²⁾ Marjan Sokołowski w recenzji z tej wystawy, podnosząc jego wartość artystyczną i wiążąc go

¹⁾ Jan hr. Załuski, *Arasy i gobeliny ściennie krakowskiej wystawy starożytności i zabytków sztuki w roku 1858*. Rocznik Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Rok 1860. p. 88—89, oraz osobna odbitka.

²⁾ Część tego gobelinu widać na tablicy VI w publikacji: *Zabytki XVII wieku. Wystawa Jubileuszowa Jana III w Krakowie 1883*. Kraków 1884. cf. tekst; p. 2.

zupełnie słusznie z cyklem zwycięstw Aleksandra W., zaprojektowanym przez Le Brun'a, wyznacza mu — mniej trafnie — drugą połowę XVII wieku jako czas jego powstania.¹⁾ Za Sokołowskim idzie Kołaczkowski, dodając, bez żadnego jednak umotywowania, że gobelin ten utkano w Paryżu.²⁾

Uprzejmości i gościnności pp. Józefów Hallerów z Mianocic zawdzięczać możność poznania oryginału i skreślenia kilku następujących uwag.

Materiałem tkaniny (fig. 15 i 16) jest jedwab i wełna. Jedwabiu użyto bardzo obficie w światłach i do jaśniejszych barw. Tkanina gęsta, pod względem technicznym bez zarzutu. Złotej i srebrnej przędzy niema. Bordjurę, obciętą z nieznanych powodów, w czasie nie dającym się bliżej oznaczyć, zastąpiono wąską taśmą we wzór z rozetek. Śladem pierwotnej bordjury, prawdopodobnie szerokiej i o motywach kwiatowych, jest dolna część kartusza ze zwisającym poniżej fragmentem girlandy z róż, która u góry na osi środkowej zachodzi na płaszczyznę obrazową. Analogiczny fragment bordjury zachował się u dołu, w postaci kilku kwiatów. Być może, że w kartuszu mieścił się herb osoby, dla której gobelin ten wykonano. W każdym razie pierwotnym właścicielem nie był żaden z królów francuskich, gdyż w tym wypadku zwiślałby poniżej kartusza order Św. Ducha. Gobelin zachował się naogół dobrze, tylko koloryt jego uległ przytłumieniu, a nadto w kilku miejscach widnieją cery dane podczas niezbyt szczęśliwego odnawiania tkaniny we Lwowie około 1870 roku.

Opona ta jest główną ozdobą dworu mianocickiego, wybudowanego w stylu *Empire* około 1830 roku i otoczonego starym parkiem. Zajmuje ona całą ścianę w salonie, robiąc swą gładką powierzchnią i stłumionym kolorytem wrażenie starego, wytwornego fresku. Przed oczyma widza rozciąga się Bitwa nad Granikiem, niewątpliwie jedna z najlepszych scen batalistycznych, jakie dawna sztuka wydała.

¹⁾ M. Sokołowski, Wystawa zabytków z czasów Jana III w Sukiennicach krakowskich w r. 1883. Kraków 1884. p. 23—26.

²⁾ J. Kołaczkowski, Wiadomości dotyczące się przemysłu i sztuki w dawnej Polsce. Kraków 1888. p. 192.

Z jedynym wyjątkiem Odwiedzin Ludwika XIV w manufakturze gobelinów¹⁾ żadna z kompozycji Le Brun'a nie ma życia, werwy i ruchu w tym stopniu jak ta. Le Brun odtworzył tu przedewszystkiem walkę, jaka się wywiązała około Aleksandra W., który dopiero co z częścią wojsk przedostał się na drugi brzeg Graniku. W chwili, gdy konnica perska atakuje te kolumny, które znalazły się na drugim brzegu, inne przeprawiają się przez Granik. Przeprawa natrafia na wielkie trudności z powodu rwącej wody i stromego, gliniastego brzegu. Jedni żołnierze wdrapują się na brzeg przeciwny, inni toną w nurtach Graniku. W gaju po lewej stronie (herald.) leżą zwłoki poległych, w głębi po prawej, dalsze kolumny przeprawiają się przez rzekę, by z boku uderzyć na konnicę perską. Ośrodkiem kompozycji, na którym musi skupić się uwaga patrzącego, jest walka, tocząca się około Aleksandra Wielkiego. Króla poznajemy po złocistym pancerzu, szkarłatnym płaszczu i hełmie z białym pióropuszem. Zamęt, zgiełk walki, szybkość ruchów pochwycone są — jak na Le Brun'a — zadziwiająco dobrze. Silne kontrasty światłocienia, któremi się Le Brun posłużył w celu uwydatnienia środkowych grup przez silniejsze ich oświetlenie, a pograżenie w cieniu bocznych epizodów walki — godzą się najzupełniej z duchem barokowej epoki. Pierwowzoru tej batalii szukać należy w ojczyźnie baroku, we Włoszech. Wystarczy spojrzeć na Bitwę pod Arbela, obraz, który malował Pietro da Cortona²⁾, a który znajduje się w Rzymie w pałacu Konserwatorów, by zauważyć powinowactwo w ujęciu i odtworzeniu tematu. Nie należy zapominać o tem, że Le Brun, bawiąc w Rzymie, był przez czas pewien jeżeli nie w ścisłym to przynajmniej w szerszym tego słowa znaczeniu uczniem pracującego tamże Piotra z Kortony. Dekoracja plafonów we florenckim pałacu Pittich, którą Pietro da Cortona wślawił się najwięcej, wywarła silny wpływ na Lebrun'owską dekorację wersalskich

¹⁾ *Visite du roi aux Gobelins* — opona z serji *Histoire du Roi*. M. Fenaille, *État général des tapisseries de la manufacture des Gobelins II*. Paris 1903. tabl. po p. 116.

²⁾ A. Michel, *Histoire de l'art VI*, 1. Paris 1921. Fig. 66.

apartamentów.¹⁾ Gdybyśmy chcieli szukać dalszego rodowodu Bitwy nad Granikiem oraz Bitwy pod Arbela pendzla Piotra z Kortony, musielibyśmy cofnąć się do fresku Zwycięstwo Konstantyna Wielkiego nad Maksencjuszem, który Giulio Romano namalował w jednej ze Stanc watykańskich od tego dzieła zwanej później *Sala di Costantino*, wkońcu przyszlibyśmy do przeświadczenia, że punktem wyjścia wszystkich wspomnianych batalij jest niewątpliwie Leonarda da Vinci Bitwa pod Anghiari we florenckim pałacu Vecchio. Przepadła ona wprawdzie około 1570 r., następnym jednak pokoleniom znana była z kopij.²⁾ Wiadomo, że Leonardo dziełem tem wywołał przewrót w dziedzinie batalistyki. Bodaj nawet, czy środkowa grupa w Bitwie nad Granikiem — walka Aleksandra W. z satrapami perskimi — nie powstała pod wpływem jednej z grup w Bitwie pod Anghiari, którą kopjował Rubens³⁾, z tą jednak różnicą, że Le Brun nie zdołał tchnąć w nią tak dużo życia i uchwycić szalonego wprost tempa walki, jak Leonardo da Vinci. Mam na myśli walkę o sztandar, którą Leonardo chciał zrobić centralnym punktem Bitwy pod Anghiari. Obraz Piotra z Kortony i fresk watykański nie mają tak wyraźnie zaakcentowanego ośrodka, jak Bitwa nad Granikiem. Zdaniem Leonarda, które wyraził w swoim Traktacie o malarstwie, konie powinny brać czynny udział w walce na równi z ludźmi. W walce o sztandar konie kopią się i gryzą — w Bitwie nad Granikiem koń Aleksandra Wielkiego zarzuca przednie nogi na konia satrapy Spitridatesa, walcząc na równi ze swym panem. W obydwóch więc wypadkach wchodzi w grę motyw walki koni.

Gobelin p. Józefa Hallera nie należy do żadnej z pierwszych ośmiu seryj, tkanych w Paryżu podług kartonów, które na podstawie pięciu obrazów olejnych Le Brun'a i pod jego kierunkiem malowali — jak już wiemy — Lichery, Revel, Yvart syn, Testelin i Houasse, albowiem odtworzono tu w jednej tkaninie całą Bitwę nad Granikiem, nie dzieląc

¹⁾ G. Ebe, *Die Schmuckformen der Monumentalbauten* III. p. 51, 49 i 24—25

²⁾ W. Seidlitz, *Leonardo da Vinci* II. Berlin 1909. p. 84—85.

³⁾ *Ibidem* II. tabl. LIII.

jej na trzy części, środkową i dwa skrzydła boczne, a więc inaczej, niż w serjach, wykonanych za życia Ludwika XIV w latach 1664—1688 (fig. 11, 12 i 13). Nie dosyć na tem. Bitwę nad Granikiem rozszerzono w tym gobelinie, dodając po lewej stronie skraj gaju, którego tylko dwa pierwsze drzewa tworzą t. zw. *repoussoire* w odnośnym obrazie Le Brun'a.¹⁾ W głębi, za gajem, widać poprzez pnie drzew zarysy idących do flankowego ataku żołnierzy, na pierwszym zaś planie, tuż na brzegu wartkiej, spienionej rzeki, leżą pod krzakiem, w skróceniu narysowane zwłoki żołnierza, który padł twarzą do ziemi. Tarcza przesunęła mu się na plecy. Tego wszystkiego niema w obrazie Le Brun'a, w gobelinach tkanych za życia Ludwika XIV, jak i w rycinach, które obraz wiernie powtarzają, a gdzie granica biegnie wzdłuż pnia drugiego drzewa, przecinając przez pół zwłoki leżącego na ziemi żołnierza. W tem właśnie, jak i w fakcie, że kolory odpowiadają olejnemu obrazowi Le Brun'a,²⁾ mamy dowód, że za wzór do naszego gobelinu posłużył karton wykonany podług obrazu, a nie podług ryciny. W trakcie sporządzania kartonu, jak zawsze w wielkości gobelinu, wprowadzono wspomniane powyżej dodatki, przyczem opuszczono góry zarysowujące się w głębi ponad środkową częścią bitwy, a dodano natomiast więcej wody na pierwszym planie.

Z kolei nasuwają się pytania, kiedy i gdzie namalowano karton do gobelinu p. J. Hallera, czy jeszcze za życia Le Brun'a († 1690), czy później, we Francji, czy w jakim flamandzkim warsztacie podług kopii z oryginału? — Odpowiedź trudna o tyle, że dziejów niesłychanie popularnej Historji Aleksandra Wielkiego dotychczas wyczerpująco nie opracowano i wszystkich powtórzeń nie opublikowano, w braku więc porównawczego materiału trzeba wejść na drogę innych kombinacyj. Koloryt gobelinu wskazuje na Francję. Najwięcej miarodajną jest tu barwa szkarłatna,

¹⁾ A. Michel, *Histoire de l'art* IV, 2. Paris 1922. fig. 418.

²⁾ W braku kolorowej reprodukcji Bitwy nad Granikiem zmuszony jestem oprzeć się na fotografiach w publikacji L. Baldassa, *Die Wiener Gobelinsammlung*. Wien 1920. tabl. 231—233 i wyciągać wnioski jedynie na podstawie ustosunkowania barw, ich siły tonu i t. p.



13. Bitwa nad Granikiem. Skrzydło lewe.
 Gobelin w zbiorach państwowych austriackich w Wiedniu.
 Według L. Baldassa, *Die Wiener Gobelinssammlung*.



14. Marcello Bacciarelli. Portret Fr. Sal. Potockiego, wojewody kijowskiego.
Własność Alfreda hr. Potockiego w Łańcucie.

Fot. Braun & Cie w Paryżu.



15 Bitwa nad Granikiem. Gobelin p. Józefa Hallera de Hallenburg w Mianocicach.

Fot. J. Krüger.



16. Bitwa nad Granikiem.
Szczegół z gobelinu p. Józefa Hallera de Hallenburg w Mianocicach.
Fot. A. Bochnak.

w światłach — mimo spątynowania — jeszcze intensywna i pełna blasku. Dobrze zachował się kolor niebieski, zwłaszcza w ciemniejszych odcieniach; jaśniejsze nieco spleźły, wskutek czego niebo jest dziś szaro-błękitne. Konie przeważnie białe. Oprócz tych barw występują także żółta, liljowa, brązowa i zielona. Ostatnia ogranicza się tylko do liści drzew.

Nasz gobelin tkano najprawdopodobniej w paryskiej manufakturze, która miała do dyspozycji oryginalne obrazy, podczas gdy inne warsztaty francuskie i flamandzkie posługiwały się — sądząc po opublikowanych dotychczas egzemplarzach — rycinami, na podstawie których robiono różne dowolne kombinacje, tworząc raczej naśladownictwa, a nie repliki słynnych utworów Le Brun'a. Tymczasem w naszym wypadku mamy względnie wierne odtworzenie kompozycji tego świetnego dekoratora. W bardzo dokładnym, rzeczonym katalogu gobelinów paryskich, który p. Maurycy Fenaille oparł na archiwaliach manufaktury, nie znajdujemy wprawdzie wzmianki o takim powtórzeniu, jak nasze, ale to niczego jeszcze nie dowodzi, albowiem aktami temi nie są objęte postronne, uboczne zamówienia, które kierownikom poszczególnych pracowni wolno było przyjmować na własną rękę.

Chcąc więc bliżej oznaczyć czas, w którym nasz gobelin w Paryżu utkano, trzeba zapytać się samego zabytku. Falującą wodę Graniku o subtelnie błękitnem zabarwieniu, wodę, która ma istotnie płynność ciekłego żywiołu, odtworzono z takim naturalizmem, że wprost nie chce się wierzyć, iż efekt ten osiągnięto nićmi, a nie pendzlem. Artyscie, malującemu karton podług obrazu Le Brun'a i wprowadzającemu znane nam już zmiany, zależało najwidoczniej na poddaniu tkaczowi takiego wzoru, który umożliwiłby mu popisanie się techniką do wirtuozyi doprowadzoną, a co możliwem było dopiero w drugiej lub trzeciej ćwierci XVIII wieku, gdy technika gobelinnicza osiągnęła zenit, i gdy w Paryżu rozporządzano już naprawdę wielką skalą barw. W związku z tym stanem rzeczy przejawiała się w warsztatach paryskich dążność do naśladowania obrazów, będąca ostatnim już etapem w rozwoju gobelinnictwa, zresztą

z punktu widzenia zupełnie innych zadań tkactwa, niewłaściwa, a nawet w jego istotę godząca. Gobelinnictwo, mimo dużej zależności od malarstwa i wspólnej z niem ewolucji stylistycznej, w następstwie innej techniki stworzyło i stworzyć musiało styl własny, swoisty, ten zaś zaczął się zatracać w chwili, w której dla gobelinnika nie istniała już żadna niemożliwość natury technicznej. Bardzo znamieny jest spór, w jaki J. B. Oudry, kierownik artystyczny manufaktury paryskiej popadł w r. 1748 z tamtejszymi tkaczami, którzy nie trzymali się niewolniczo dawanych im za wzory obrazów, lecz kompozycję i koloryt w zastosowaniu do tkanin odpowiednio modyfikowali. Oudry czynił im z tego zarzut, „w naśladowaniu bowiem obrazów widział całą tajemnicę piękności gobelinów“. Tkacze w obronie swej powoływali się właśnie na gobeliny z czasów Le Brun'a, które mają silniejsze barwy, niż obrazy.¹⁾ Technicznie mistrzowskie i tak naturalistyczne odtworzenie wody Graniku w gobelinie p. Józefa Hallera pozwala mi przyjąć okres artystycznego kierownictwa Fr. Boucher'a w manufakturze paryskiej (1755—1773) za czas, w którym powstał nasz zabytek. W okresie tym są już pewne zapowiedzi zbliżającego się upadku.

Le Brun był lepszym rysownikiem, niż kolorystą, toteż Bitwa nad Granikiem w bezbarwnej, jedynie kształt oddającej podobiznie, przedstawia się korzystniej, niż w oryginale. Z tem wszystkiem, mimo przytłumionego kolorytu i braku bordjury, imponujących rozmiarów gobelin p. Hallera i dziś jeszcze wywiera silne wrażenie. Ze wszystkich znanych mi opon, wiążących się z Lebrun'owską Historją Aleksandra Wielkiego, a znajdujących się w kraju naszym — ta jest najbliższa oryginału, najpiękniejsza i najwspanialsza.

¹⁾ H. Schmitz, Bildteppiche. Geschichte der Gobelinwirkerei Berlin 1921. p. 28 i 302.

Juljan Pagaczewski.

Towianizm na tle historycznem.

(Ciąg dalszy).

VI. Trudy i troski Mistrza w realizowaniu Sprawy.

Nie łatwo dziś ogarnąć rozmiarów pracy duchowej Towiańskiego. Siegając od początków jego działań na Litwie (w Wilnie i Antoszwiniach, a idąc aż do zamkniętego Koła w Zurychu do śmierci jego tamże dnia 13 lipca 1878 r.), mamy okres ogromny lat przeszło pięćdziesięciu, okres wypełniony pracą bez wytchnienia, którą on sam pod koniec życia określał jako nieustanną służbę dla Sprawy Bożej:

„Służyłem, służyć i do końca życia służyć będę tym, którym Bóg nazначył mi służyć. Chrystus Pan, idąc na śmierć, jeszcze służył oprawcom...

Usługi nie zamykałem bezwzględnie dla nikogo; nie rządziłem się żadnym względem na siebie, a tylko względem na wolę Bożą i na istotne dobro bliźniego. Ja nie rządcą, ani sędzią, a tylko sługą“.

W podobny sposób wyjaśniał Towiański swą służbę w liście do X. Duńskiego:

...„widząc niegodność moją, długo nie śmiałem wydawać na zewnątrz tego, co duch mój czuł, co nosił w sobie... Wola Boża objawiona duchowi, objawiona człowiekowi została. Duch Święty przemówił do człowieka dla wsparcia wiary, dla ośmielenia bojaźliwości... Najwyższa Wola nie powołała mnie do powinności proroka, ale do powinności sługi człowieka w tej epoce chrześcijańskiej“.¹⁾

Z przelicznych rozmów Towiańskiego nie tylko z rodakami, ale z Francuzami, Włochami, Szwajcarami i t. d.

¹⁾ PAT III, 307.

przekonać się można w ogromnym trzytomowym zbiorze *Pism*, ile on czasu poświęcił nie na „mistrzowanie“, ale właśnie na służbę duchową dla bliźnich. Miał on, rzecby można, osobliwe upodobanie w tem, aby wnikać w najprzeróżniejsze stany duchowe tych niezliczonych, którzy zgłaszali się do niego po radę i pomoc w ucisku moralnym. Był to bowiem djagnosta dusz o przenikliwości zdumiewającej. Sam podał sposoby postępowania swego, oczywiście nie wszystkie; ale to, co podał, świadczy o niepospolitem znawstwie dusz ludzkich:

„Należy wynajdywać w bliżnim nietylko punkta jego chrześcijańskie, ale też czyste punkta ziemskie, aby, zespoliwszy się z nim na tych punktach, iść z nim potem dalej, podnosząc się z ziemi do chrześcijaństwa (do Nieba). Należy nawet dla pomocy bliżniemu zejść nieraz aż do błota, w którym on przebywa, aby potem, znalazłszy w nim jakąś czystą niteczkę, wyprowadzić go stopniami z błota... Duch, przyobleczony ciałem, nie znosi ducha nagiego i ma prawo, aby rzeczy nadziemskie, duchowe, przedstawiane mu były w ucieleśnieniu, przyobleczone właściwą formą ziemską“. ¹⁾

Równocześnie jednak Towiański ani na chwilę nie tracił z oczu głównego celu swej rozmowy z bliźnim:

„W epoce przeszłej chodziło głównie o zmniejszenie potęgi ciała, które krępuje ducha, przeciągłymi modlitwami, medytacjami, postami, morderstwami i t. d. W tej zaś epoce chrześcijańskiej, wyższej, chodzi już o to, aby uczynić ciało podatnem narzędziem ducha wyzwolonego. Konieczną jest rzeczą urabianie ciała ofiarą, pracą ducha, pielegnowanie go środkami ziemskimi. Odtąd ciało przyjęło większy udział w ofierze, w pracy ducha..., aby przez to podnosiło się, uduchowiało... Wzorem Chrystus, który podniósł Ciało i Krew swoją do wysokości boskiego Ducha swojego“. ²⁾

W związku z takim „urabianiem ciała“ pozostawało *horowanie* tego, który pragnął uczynić ciało swe podatnem narzędziem ducha. *Hora* (wyraz białoruski, znany n. p. na kresach w formie *harować*) stała się stałym terminem technicznym Towiańskiego dla określenia stanu bolesnej, du-

¹⁾ PAT. II, 247.

²⁾ PAT. I, 389.

chowej skruczy celem osiągnięcia odpowiedniego *tonu* w pracy dalszej nad doskonaleniem się duchowem.

Już z tych kilku słów łatwo zrozumieć, że Towiański nie byłby mógł zadowolić się napisaniem jakiegoś podręcznika hodegetyki duchowej, dla szerzenia swej propagandy. Najpiękniej sformułowane wywody nie mogłyby na długo wystarczyć w atmosferze, tak wyjątkowo naprężonej, jaką przez lat dziesiątki oddychali nasi emigranci paryscy w latach między 1831—1861. Tu mogła dać radę tylko tak potężna siła duchowa, jaką miał Towiański, aby nie zużyć się w ciągłej, osobistej służbie od jednego do drugiego wychodźcy. Każdy z nich przebywał osobiste religijne przeżycia wobec Towiańskiego, dawał mu się porwać lub przekonywać, ulegał psychologicznym jego chwytom lub własnym zachwytom, odchodził wzruszony często do łez, ale nie myślał o ujęciu na piśmie tego, co przeżył, nie kusił się nawet o wiązanie w jakiś system nauki, która tem go właśnie porwiała, że nie była nauką, ale bezpośredniem oddziaływaniem duszy na duszę. Z dochowanych listów, donoszących o pierwszym widzeniu się, pierwszych rozmowach z „mistrzem“, dokładnie można widzieć, że nikt, dosłownie nikt, nie potrafił jasno określić, czem go przekonał Towiański.

Żaden z wyznawców Towiańskiego nie pozostawił zarysu całej nauki mistrza. Towiański sam tylko częściowo odsłonił w *Biesiadzie* ze Skrzyneckim i w *Wielkim Perjodzie* zapatrywania swe na wszechświat, a zwłaszcza na „głob ziemski“. Wobec ataków księży polskich na podobiznę autografu *Biesiady*, Towiański starał się po latach tekst *Biesiady* osłabić, mówiąc n. p. wprost: „mało (!) pamiętam, com pisał Skrzyneckiemu, była to praca godziny“. ¹⁾ Za główny cel swego działania uważał on bowiem służenie wszystkim tym, którzyby potrzebowali pomocy jego duchowej. I taka tylko służba indywidualna, od osoby do osoby, miała właśnie olbrzymie dowodzenie. Nikt nie mógł się oprzeć potędze człowieka, który przenikał nawskroś ludzi dojrzałych, doświadczonych, zahartowanych i brał ich

¹⁾ Wsp. I, 74 (27. I. 1843); I, 141; I, 234.

niejako szturmem. Tak Mickiewicz czuł się wobec Towiańskiego małym („żakiem jestem przy nim“). Tak Słowacki uległ mu odrazu za pierwszym spotkaniem. Podobnie bywało z ludźmi tego hartu ducha, co belwederczyk Goszczyński, wojskowy K. Różycki, Nabelak i tylu innych.

Inaczej się rzecz miała, gdy ci, zdobyci w pojedynkę, szturmem, mieli potem wspólnie działać w organizacji „siódemek“ i „Kół“. Tu indywidualności wybitne nie dawały się na długo wiązać. Zdawałoby się, że ludzie przejęci wspólnym zapałem dla „Sprawy“ powinni byli łączyć się ku sobie i nawzajem się umacniać, tworząc organizm zwarty, silny i odporny na zewnątrz. Wiemy, że tak nie było. Póki Mickiewicz, doświadczony organizator, zaprawiony na związkach filomatyczno-filareckich, stał na czele swego Koła, rygor panował wielki; ale i tam tylko do czasu. O przesileniu wielkiem, któremu dał wyraz Januszkiewicz z powodu nieporozumień Mickiewicza z Mistrzem, była już dawniej mowa. Towiański, w tem głębokiem, szczerem przeświadczeniu, że otrzymał misję Bożą do spełniania, surowo przestrzegał ładu i subordynacji. Nie zawsze mu się to jednak udawało, a wtedy bolał nad tem i żalił się w gronie poufnem. Mało co z tych żalów przedostało się po latach tylu na zewnątrz. Dochowały się przecież zeznania szczerze, pisane bezpośrednio po rozmowie z mistrzem, a dochowane w bruljonie własnoręcznym Januszkiewicza, zupełnie zatem godne wiary. Notatki te przechowały się¹⁾ na dwu arkuszach (*pagina fracta*) z dopiskiem na końcu drugiego arkusza: „*Spisałem te noty z notaf, ołówkiem robionych od godziny pół do pierwszej do trzy kwadranse na drugą.*

E. Januszkiewicz“.

Nie mogąc tu dosłownie, w całości tych not podać, ograniczę się tylko do wyjątków najciekawszych. „12 lutego 1845 roku“ Eustachy i Romuald Januszkiewiczze weszli „do Pana“ w rocznicę urodzin Kościuszki, niewidziawszy Towiańskiego od dwu lat (po raz ostatni w czerwcu 1843 r.). Chodziło w tem spotkaniu głównie o Mickiewicza. Towiański mówił wtedy Januszkiewiczowi:

¹⁾ W zbiorach Wład. Mickiewicza w Paryżu, w Muzeum Mickiewiczowskiem przy Bibliotece Polskiej na Quai d'Orléans, 6.

„Przyszła dla brata Adama chwila upominku Bożego... Niech wiedzą bracia, że duch brata Adama tak jest ściśle wiekowemi rachunkami z narodem polskim połączony, że dopóki on ofiary ducha Bogu nie złoży, dopóty nadaremnie marzyć o Ojczyźnie. *Ojczyzny naszej bez niego nie będzie*...”

„Adam pierwszy po mnie urzędnik Nieba prawem ziemskim obala Niebo, ma takt przy¹⁾ znajomości wielkiego ducha i tym duchem, narzędziami ziemi²⁾ ubija Niebo; uczucie czyste, cnotę, każe uważać za winę i siebie za nią przepraszać. To przepraszanie Adama było u was³⁾ we zwyczaju... Lepszy nam Mikołaj,⁴⁾ niż Adam, bo tamten ziemię, a ten Niebo zamyka”.

(Tak było — wedle Towiańskiego — z siostrą Alix, której „wylewy gorące zimno Adam przyjął, nazwał napadem jej wyrzuty”).

W dalszym ciągu mówił Towiański:

„Jarzmo ciała jest niczem. Dzieckiem jeszcze będąc, poddawałem ciało moje pod niewolę ojca, ale mu zagroziłem, że jeśli więzy na ducha mego kłaść zechce, apelować będę do Boga. Ja na niewolę ducha w rozpacz wpadam i takiej energii rozpacz, jaką we mnie widzicie, żądam od Was. Rękę moją lewą dam chętnie na spalenie, byle tylko furje trapiły dziś Adama... Jedno dotknięcie furji zrobi niczem Adama, straci go z posady jego ziemskiej. Adam na drogę Ferdynanda⁵⁾ wchodzi.

Czterej królowie fałszywych tonów, wrogowie Nieba są wam znajomi w Kole: to są kamienie probiercze dla braci; na nich pokażą bracia, czy przenoszą ziemię nad Niebo: Adam, Seweryn,⁶⁾ Ferdynand, Xawera⁷⁾ są, jak powiedziałem królami tonów, przeciwnych tonowi Chrystusowemu”.

Następują potem znane już nam szczegóły o poprzednim żywocie Guta. W dalszym ciągu narzeka Mistrz na Ferdynanda:

„...który dotąd nic w ofierze nie dał. Ileż to on razy padał mi do nóg, ile łez wylał...” Ferdynand więcej wierzyły Towiańskiemu, gdyby on cały wieczór był zamknięty

1) Można by też czytać *przez*.

2) To znaczy wpływami z ducha ziemi.

3) T. j. w Kole paryskim Mickiewicza.

4) Car Mikołaj.

5) Guta, szwagra i najdawniejszego wyznawcy Towiańskiego.

6) Goszczyński.

7) Deyblówna.

z adjutantem Ludwika Filipa, aniżeli wierzył słowom o Boga i dającym, które słyszał z ust Mistrza.“

Najwięcej trosk duchowych w najbliższym otoczeniu sług Sprawy sprawiała „siostra“ Xawera Deyblówna. Wywierała ona urok niebezpieczny swym wdziękiem, a zwłaszcza swym wzrokiem.

„Z siostrą Xawerą kiedy mówiłem, to miała oczy zakryte; inaczej z nią widzieć się nie mogłem! Xawera, księżniczka Izraelska, do wielkich przeznaczeń gotowana, dziś *w spółce z Piekłem* na zabicie chrześcijaństwa. Magnetyzmem kusi, podbija. Ferdynand przed rokiem nie pisał o tem (z Paryża), jak pismo Mistrza w Kole przyjęło, tylko arkuszone listy pisywał o blasku oczu Xawery. Anna i Karolina¹⁾ po odczytaniu listów tych dostały cielesnych boleści“.

Do tego doszło było w Kole, że

„ów żąda medalika od Xawery, ten jej uśmiechu, a brat Żan, który wiedząc, czem jest siostra Xawera, uległ jej, chciał się z nią żenić, a ona go za brata nie zna“.

Nawet najbliższe otoczenie Mistrza nie mogło sobie dać rady z Xawerą.

„Kiedy przez pięć miesięcy Xawera zostawała w domu moim, kiedy „siostry“ (Karolina i Anna) pokazały jej w najdrobniejszych szczegółach, jak trzymać ton Chrystusowy przy igle, radlu, w każdym kroku, a potem, gdy to wszystko odrzuciła, szatanem została. *Cudownie* potem dotknęta od Duchą świętego w Einsiedelu... Odprawiam ją do Paryża. Tam ledwie stanęła, Adam i Seweryn połączyli się z sobą, zabili w niej ten ogień, zapalony w Einsiedelu, zatrzymali w niej życie“.²⁾

W tychże notatach Januszkiewiczza, na lewej połowie arkuszy, pod datą 16 lutego czytamy jeszcze takie luźne pouczenia Towiańskiego:

„Kto by taką wieczerzę, jak Chrystus Pan w pełniłości odprawił, tenby odrazu przeszedł siedm epok, ale takiego

¹⁾ Anna Gutowa i Karolina Towiańska, rodzone siostry,

²⁾ Towiański mówił Januszkiewiczowi, że „pismo jego do Xawery jest składem wielkich tajemnic“. Niestety, pisma tego nie znamy i nie wiemy, czy się dochoowało. Kto je odszuka, niech ogłosi!

niema. Nikt nie ma wyobrażenia, co to jest słuchać mszy świętej.“¹⁾

„Kościół jest-to ustronie, gdzie człowiek sili się na ruch ducha. Jak go masz, masz wszystko. Chrystus tak był żądny tego ruchu, że ilekroć mógł się uwolnić od rzeszy, co go otaczała, uchodził w góry po nabycie tego ruchu!“

Zapewne w związku z uwagami, dotyczącymi Xawery Deyblówny, mówił jeszcze wówczas Towiański do br. Januszkiewiczów:

„Patrzeć na kobietę, jest to ją jarzmić, bo patrzanie w oczy jej, jest-to przelew magnetyczny, hołd składany ziemi, magnetyzmowi. Stąd wszelkie zabawy z kobietami spychają z drogi Sprawy. Mężczyzna jest tyranem, jarzmicielem. Przykład odebranej niewinności ducha (*niezakończony w notatce przez J.*): Wydrzeć komu ducha, jest to go zgwałcić. Takie są przecież wszystkie zabawy salonowe. Mężczyzna atakuje, kusi; kobieta broni się, a gdzież jest charakter [mężczyzny]? Kobieta jest bratem, myśl boską noszącym.

Prawdziwego małżeństwa niema w Kole dotąd. Żony wolności nie mają. Jak taki brat ma wołać o wolność dla Ojczyzny, który kobietę jarzmi!“

Dokładniejsze rozwinięcie tych myśli, o których urzeczywistnienie w Kole dbał bardzo czujnie Towiański, znaleźć można w *Pismach* jego, w zbiorze trytomowym. Podajemy tu najważniejsze.

Doświadczwszy z bliska, wśród owych „czterech królów fałszywych tonów“, jakie niebezpieczeństwo zagrażało Sprawie ze strony stosunków „braci“ do „siostry“, Towiań-

¹⁾ Objął to Mistrz bratu Gieryczowi w rozmowie z nim dnia 16 września 1844 r., dając takie wytłómaczenie Mszy świętej:

„Składa się ona z trzech części:

- 1) podniesienie ducha,
- 2) wtłoczenie go nazad w ciało,
- 3) ofiara, czyli czyn, realizowanie w życiu prywatnym i publicznym“.

Słuchający mszy św. powinien, zdaniem Towiańskiego, najpierw wznieść się duchem aż do zrozumienia ofiary najwyższej Chrystusa Pana w Sakramencie Ołtarza. Tak podniesionego ducha powinien potem uczestnik Mszy św. „wtłoczyć“ w swe ciało, t. j. je uduchowić, a w końcu: tak pokrzepionego ducha realizować w życiu, t. j. w działaniu codziennym prywatnym i publicznym.

ski w rozmowie z Gieryczem (6. XI. 1844 r.) wyszczególnił trzy grzechy ważniejsze ducha w *sprawie*: 1) Doktrynę, kuszając człowieka, aby na sprawy Boże zapatrywał się oczyma *ziemi*. 2) Formę bez ducha (zarzut dotyczył „ludzi Kościoła”, t. j. tych, co odrzucali spółkę z Bogiem, z „krajną wyższą”. „Kto *formą* zabija ducha, ten harmonizuje z Rzymem.”) 3) Magnetyzm kobiet, którym owładują mężczyzn.

Cóż to jest ten magnetyzm?

„Najniższy stopień *ziemi* jest ogień, a najwyższy wyrób jej magnetyzm; jest to ziemia uduchowiona, ciało, które jest ostatnią pokrywą ducha. Magnetyzm utrzymuje ducha w ciele. Często widzimy kobiety nabożne; są one w krainie ducha, a żyją ciągle w tonie pogańskim. Może być najsilniejszy ogień i magnetyzm w ciele, a lód w duchu. — Kobieta z silnym magnetyzmem siebie stawia na ołtarzu i chce, żeby iskra Chrystusowa jej hołdowała.

Człowiek, mający zanadto magnetyzmu, wpada w fałszywe *widzenia*. Przykłady w klasztorach. Magnetyzowanie jest to grzech ciężki, jest to kalandr cudzego ducha. Szatan działa najdzielniej przez magnetyzm. Trzeba tonem Chrystusowym odpowiedzieć na ton kobiety magnetycznej“.

„Duch Ziemi przez kobiety szerzy swe panowanie. Chodzić powinno w stosunkach mężczyzn do kobiet o braterstwo, o spółkę ducha Chrystusową. Magnetyzm bowiem i serce są ziemią.“¹⁾

Ponieważ — zdaniem Towiańskiego — „grzech magnetyczny jest osiłą fałszów, około której większa część świata obraca się, przeto na niezliczonych miejscach Mistrz przestrzega *braci* i *siostry* przed magnetyzmem i daje mądre wskazówki, które i dziś nie straciły bynajmniej swej aktualności w krainie tak modnych i rozpowszechnionych „flirtów“. Nazwy tej nie znał jeszcze Towiański, ale z różnych określeń magnetyzmu widać, że przestrzegał właśnie przed niebezpieczeństwami „flirtów“.

Najczęściej bije na straszny grzech kokieterji i grzeszną stąd roskosz ducha. „Straszna to, piekielna rzecz!“ Radzi „odrzuć ten ton *warszawski*, powierzchowny, lekki, a przytem pewny i śmiały.“ Kokieterję nazywa „kradzież

¹⁾ Z notat Stanisława Chodźki po rozmowie z mistrzem w Solurze dn. 14. IX. 1844 r. — Tamże uwaga drastyczna: „Kobiety dwoma biegunami: ... i ... opór duchowi stawiają“.

duszy bliźniego, należącej do Boga; kradzież ta popełniona dla rozkoszy ducha, dla nasycenia próżności i dumy kobiecej. Te „piekielne manewry, to wysiłanie się duchem i *magnetyzowanie wzrokiem*, te świetne stroje“ są poprostu zaspokojeniem żądz, aby „wyjść koniecznie za mąż.“ Ale to, co zwykle „świat nazywa zakochaniem się,“ jest to zwyczajnie „nieprawe spoczęcie w stworzeniu i utopienie w niem duszy, która tylko do Stwórcy należy...“¹⁾

Wogóle Towiański narzeka na „niewiasty-filozofki, niewiasty bez żadnej wiary, niepoddające się niczemu, niekorzące się przed niczem, bez serca, bez duszy, najdalsze od ideału, podanego przez Najśw. Pannę.“²⁾ Wszak „niejedna kobieta, szanowana w świecie, przez kokieterję zwiódła mężczyzn z drogi obowiązku; a niejedna nierządnica, pogardzona, zachowała ducha, wolnego od zepsucia, zadrżała na głos chrześcijański i wyzwoliła się z błota.“³⁾

Nie mniejszą od kobiet winę co do magnetyzmu ponoszą oczywiście i mężczyźni:

„Kuszenie niewiasty przez mężczyznę, wzniecanie namiętności w dziewczynie, w której magnetyzm nie był rozbudzony; odwracanie w kobiecie zameżnej magnetyzmu jej od męża, a zwracanie go do siebie — są to zbrodnie,wołające o pomstę do Boga!“⁴⁾

Za czem idzie rada, jak postępować w rozmowach z niewiastami: Zamiast hołdów nieprawych mieć zawsze w pogotowiu jakieś pożyteczne materje do rozmowy, jakieś prawdy, dla których przeniknięty jesteś należną czcią i miłością.⁵⁾ Wszak bezinteresowna, prawdziwa przyjaźń mężczyzny z kobietą, jest wielką „wysokością chrześcijańską.“⁶⁾

¹⁾ PAT I. 641, 645, 650, 652.

²⁾ PAT. II, 455—456.

³⁾ Dokładniej rozwinął Towiański tę myśl w rozmowie francuskiej: „Il se peut, que la femme, la plus méprisée par le monde soit pure dans son esprit et porte en elle des trésors chrétiens, célestes; sa condition malheureuse peut n'être qu'une opération à laquelle par suite de ses comptes Dieu l'a soumise pour un temps, afin qu'elle expie son péché et se purifie“. (PAT. II. 289).

⁴⁾ PAT. II, 400; II, 315.

⁵⁾ PAT. II. 318.

⁶⁾ PAT. II. 323.

Z oburzeniem potępia Towiański tych mężczyzn, którzy robią sobie zabawę z tego, „aby złudzić niewiastę słowami kłamliwymi i zamącić jej pokój wewnętrzny.“ Kto jednak myślałby, że małżeństwo jest naturalnym hamulcem dla niebezpieczeństw magnetyzmu, ten byłby w błędzie. Towiański ostrzega małżonków i każe im być wzajemnie w ciągłej czujności. W szczególności tu nie mamy powodu wchodzić.¹⁾ Przytoczone miejsca świadczą bardzo wymownie, że Towiański zwalczał energicznie wszelkie zakusy o nadwątlenie czystości duchowej w stosunkach obu płci w pożyciu wzajemnym. Tem więcej razić nas muszą próby, dawniej już usiłujące rzucić cień na zasady mistrza. W pamiętnikach Zofii Komierowskiej (żony autora broszurki „Moje stosunki z Towiańskim i z Towiańczykami“²⁾) znalazł się ustęp taki o mistrzu: „mówiąc o małżeństwie mojem, powiedział mi (Towiański), że z powodu zbyt wielkiej różnicy wieku między nami (małżonkami) uwalnia mnie zupełnie od wierności małżeńskiej, której zresztą ani Bóg, ani Kościół od nikogo (!!) nie wymaga; mam tylko uważać, aby duch tego, który zajmie w sercu mojem miejsce męża, był czysty i wolny; co powiedziawszy, zrobił znak krzyża św. na mojem czole, *absolvo te*, dodając, i gorący pocałunek na twarzy mojej składając“. Opowiadanie to musiało się odrazu wydać co do wiarygodności wątpliwem, skoro redakcja *Bluszczu*, drukując pamiętniki Z. Komierowskiej w r. 1889, cały powyższy ustęp opuściła.³⁾ Po latach kilkudziesięciu, widocznie autorce Pamiętników nie dopisała pamięć, na co też i z innych względów zwrócił uwagę Władysław Mickiewicz.⁴⁾ Tego rodzaju anegdoty nie mogą się ostać wobec poważnych świadectw współczesnych o stałości zasad Towiańskiego.

VII. Wobec Rosji i prawosławia.

Do nieporozumienia między Towiańskim a Emigracją polską przyczynił się w bardzo znacznym stopniu stosunek

¹⁾ PAT. II, 346—348; 362; 288; 309; 304—305.

²⁾ Wydanej w Paryżu 1856 r. (in 8^o, str. 48).

³⁾ *Biblioteka Warszawska* r. 1907, tom I, str. 580 w artykule H. Mościckiego p. t. „Wspomnienia o Towiańskim“.

⁴⁾ *ŻAM*. IV, str. 358—359 w dopisku.

Mistrza do Rosji. Wychodźcy mniemali zrazu, ilekroć była mowa o „Sprawie“, że Towiański przynosił im „słowo pociechy i radości“, albowiem „wypełniły się już czasy i wybiła godzina zlitowania Bożego“ dla Emigracji, t. j., że zmartwychwstanie Polski już bliskie. Wiadomo, że gorętsi wychodźcy już gotowali się do wymarszu z Francji w jesieni 1842 r., a Mickiewicz wyraźnie w liście do Ignacego Domejki wyrażał bliskie spełnienie swych najdroższych nadziei: „Z czasów mnie naznaczonych wnoszę, że nim do Europy przybędziesz, już się wypadki zaczną i chorągiew nasza będzie powiewać w marszu do Polski. Ta przepowiednia (!) przed dwoma miesiącami ogłoszona emigracji“ (Paryż, 12 paźdz. 1842 r.).

Powoli przecież Towiański dokładniej określał warunki pomyślnego rozwoju „Sprawy“. Oto w nauce II, z dnia 10 czerwca 1842 r. w wyjaśnieniu, na czym polega „Ton Sprawy, Ton Miłości“, mówił Towiański: ¹⁾

„Rossja, dziś uważana jako nasz największy nieprzyjaciel; powinniśmy żądać, aby była wielka i świetna, ale podług woli Pana... *Krew* nawet za to trzeba być gotowym przelać, ażeby Rossja była wielka, świetna wedle myśli Pańskiej“.

W liście zaś Chodźki do cara Mikołaja I — którego to listu tekst polski wyszedł z pod pióra Towiańskiego (jak dowiódł prof. Pigoń) — czytamy między innymi takie komplementy dla gnębiiciela Polski, pogromcy powstania narodowego w r. 1831:

„Dusza Twa, Najj. Panie, jest wielka... Prowadząc tyle ludów słowiańskich, jesteś dziś (1844 r.) najważniejszym narzędziem Bożem na ziemi... Są już ludzie, przeniknięci... uczuciami słowiańskimi, uczuciami poświęcenia się dla Boga, i szczerzej miłości dla braci swych Rosjan i dla osoby W. C. Mości. Są nimi ci tułacze polscy, którzy Słowo Pańskie przyjęli...“

Kiedy jednak ambasada rosyjska w Paryżu nie dała odpowiedzi na pismo A. Chodźki, Towiański postanowił po-

¹⁾ Z notatek Wolskiego, przechowywanych w Muz. Mick. w Paryżu ogłosił Stan. Szpotkański w swej monografii „A. Mick.“, t. III. str. 125 (Warszawa 1922, Mortkowicz).

słać je wprost carowi. Ale nie wszyscy towiańczycy zgodzili się z tendencją deklaracji A. Chodźki. Odrazu wystąpił z Koła Juliusz Słowacki.¹⁾ Po liście zaś otwartym M. Kamińskiego w lutym 1845 r. sprawa nabrała rozgłosu w Emigracji i przyczyniła się do ujemnych sądów o rusofilstwie Towiańskiego. Argumentowanie zaś „mistrza” nie osłabiało na emigracji wstrętu do „władzy”, przed którą właśnie wychodźcy, uszli tłumnie z Polski w końcu 1831 r.:

„Co za nierozsądek nie uznawać władzy, pod którą Bóg nas poddał i w której rękach jest tak wielka siła materialna!... Szanuj bracie władzę...”²⁾

„Ważną jest powinnością Polaka zwyciężać patryotyzm fałszywy, a tak w Polsce upowszechniony, który zależy na nienawiści do Rossjan i oddala od patryotyzmu prawdziwego, chrześcijańskiego... Ciężkie krzywdy zadają się duszom Rossjan tą nienawiścią i pogardą w duszach polskich noszoną; krzywdy te idą przed sąd Boży i zatrzymują dla Polski zlitowanie Boże...”³⁾

Towiański dokładnie na kilku miejscach w swych *Pismach* wykazywał „powinności Polaka w stosunkach jego z rządem”, jakkolwiek bowiem rząd rosyjski „stał się dla nas narzędziem niższem kary bożej; nie zatarł on jednak w sobie cechy wspólnej całemu plemieniu naszemu, nie zaparł się Chrystusa w gruncie duszy...” „Taką szczerość i taki wylew złożyłem z mej strony rządowi przez pośrednictwo poselstwa rosyjskiego w Paryżu 1842 r., ...taką szczerość i taki wylew złożyli bracia moi, słudzy Sprawy Bożej: Chodźko 1844 r., Baykowski 1848 r., Różycki 1857 r. ...Oddalenie się nasze z ziemi urodzenia nie uwolniło nas od dopuszczonej na nią niewoli, ztąd nie uwolniło od powinności wiernych chrześcijańskich poddanych (!)”⁴⁾

Słowianofilstwo Towiańskiego, sięgające korzeniami swemi najlepszych lat Aleksandra I i wędrówek po Słowiańszczyźnie Zor. Dołęgi Chodakowskiego, przetrwało młodość i lata dojrzałe mistrza Andrzeja i kazało mu jeszcze 25 sierpnia 1864 r. takimi ludzić się ogólnikami:

¹⁾ Pisma, t. X. 375—6.

²⁾ PAT. I., 638.

³⁾ Tamże, str. 648

⁴⁾ PAT. III. 54, 63.

„Doświadczyłeś, że są w Rossji cnoty prawdziwe, chrześcijańskie i że zaród słowiański przechował się w duszach prawdziwych Rossjan w pierwotnej prostocie i czystości swojej, jako nieskażony dotąd fałszywą cywilizacją, tą fałszywą i ciemną oświatą, płynącą z Zachodu na Wschód, która jakby mroźny powiew niszczy wzrastające na gruncie słowiańskim rośliny chrześcijańskie“.¹⁾

Towiański w urzędowaniu swem wileńskim, długoletnim, przesiąkł na wskroś atmosferą i nomenklaturą²⁾ *czynownictwa* rosyjskiego. Chętnie będzie on czerpał stamtąd porównań w swych wywodach:

„Wiesz, że u nas w Wilnie, żaden sługa cesarski nawet wzmianki nie czyni powstańcowi o tem, że on, powstając, obraził bądź jego, bądź nawet samego gubernatora; ale na śledztwach i na placach egzekucji każdy taki sługa mówi jedynie o obrazie majestatu cesarskiego i za tę tylko obrazę czynią się tam tak straszne dopominki. Otóż należy nam, sługom Królestwa Chrystusowego, które dotąd jest zaledwie u początku swojego na ziemi, czerpać wzory do służby naszej z królestw niższych, które doszły do dojrzałości swojej i podobnież czynić“.
(PAT. III, 428).

Jeżeli spytamy, jak Towiański pojmował stosunek prawosławia do katolicyzmu, to na to pytanie daje on sam taką odpowiedź (PAT. II, 167):

„Istota religii Chrystusowej może być utrzymywana i jawiona tak w wyznaniu katolickiem jak i w prawosławnem, bo, pominiawszy nadużycia i fałsze, które człowiek wprowadził tak do katolicyzmu jak i do prawosławia, obie te religje, acz w różnym sposobie działają na ducha, ...są na prostej drodze, wiodącej do praw-

¹⁾ PAT. III. 363—4.

²⁾ „Chrystus i Marja nie są świętami, są najwyższymi i najbliższymi urzędnikami Pańskimi, są najwyższymi szefami naszymi — Chrystus jest najwyższym i najbliższym urzędnikiem Boskim, synem najbliższym Jego“. Z notatek „braci“ ręką Januszkiewicza, strony 100—101. (Muzeum Mick. w Paryżu). — Całkiem analogicznie w rozmowie z Alfr. Szerleckim (3. V. 1843) powie Towiański: „Chrystus jest synem, ministrem Bożym... Bóg posłał jednego ze swoich ministrów i takich jest więcej jak jeden“ (1). Ob. Pigonia: „Chrystologia Towiańskiego“ (Odbitka z *Kwartal. Teolog. Wil.* Wilno 1924, str. 13).

dziwego Kościoła Chrystusowego. Nie można tego powiedzieć o protestantyzmie“.

Towiański wnikał nawet w odcienie subtelne różnic między sposobem modlenia się u katolików w porównaniu z prawosławnymi (PAT. II, 165):

„La délectation dans la prière est un péché ordinaire parmi les catholiques! dans la religion grecque, Dieu, considéré comme Seigneur menaçant, est adoré par la soumission et par la crainte, sans amour, et sans sacrifice chrétien, mais la prière est virile sans mélange des nerfs, sans jouissance, sans délectation“.

(Dokończenie nastąpi).

Prof. J. Kallenbach.

Przegląd piśmiennictwa.

Jan Ptaśnik: *Kultura wieków średnich. I. Życie religijne i społeczne.* Warszawa, Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska“, 1925, str. 304.

Zarówno stanowisko autora, który jest profesorem uniwersytetu, jak charakter firmy, która książkę wydała, wreszcie sam jej poważny wygląd zewnętrzny upoważniały czytelnika do przypuszczenia, że bierze do ręki dzieło poważne o przedmiocie zawsze tak ciekawym, jak średniowiecze. Niestety, od pierwszej stronicy tekstu czuje się zawiedzionym — poprostu naciągniętym, bo dostała mu się do rąk książka zupełnie innego rodzaju, niż się spodziewał. Razem z żalem do autora, że taką książkę podsunął publiczności polskiej, jako rzecz naukową, rodzi się politowanie dla firmy, która widać nie posiada ludzi, umiejących poznać się na wartości naukowej proponowanych jej do druku rękopisów i bierze wszystko, co pokryte jest jakimś ciekawym tytułem. I przypomina się czytelnikowi, że taż sama „Biblioteka Polska“ wypuściła ze swej oficyny drukarskiej niejedną już elukubrację, kompromitującą jej naukowy smak: dosyć wspomnieć tu o pseudo-naukowych, w gruncie rzeczy teozoficzno-astrologicznych pisaninach A. Niemojewskiego i o „czartologicznych“ studiach Tuwima.

Książka Ptaśnika charakterem swoim i tendencją najbardziej zbliża się do „Czarów i czartów“ Tuwima,¹⁾ stoi jednak od książki Tuwima o tyle niżej, że tamten autor przyznał się, że nie rości sobie pretensji do naukowości, czego Ptaśnik nie czyni; powtóre, że zakresił sobie szcuplejsze ramy i te jako tako wypełnił, podczas gdy Ptaśnik obiecuje w tytule bardzo wiele, w treści dając stosunkowo dużo mniej. Co do tego ostatniego punktu to ma się wrażenie, że autor podszedł tylko do owego czcigodnego zamczyńska, jakim jest średniowiecze, w szczególności jego kultura duchowa i struktura społeczna, nie miał wszakże odwagi czy czasu

¹⁾ Por. naszą recenzję książki Tuwima w *Przegl. Powsz.*, lipiec 1924, str. 79.

wejść do wnętrza, wystudjować jego rozkład, przyjrzeć się zawartym skarbowi, rzucił więc tylko pobieżnie okiem na zewnętrzną fasadę i pośpieszył... na tylny podwórzec, obiecując sobie tam właśnie znaleźć obfity materiał dla swoich studjów.

Faktycznie, książka, która w tytule zapowiada zobrazowanie „życia religijnego i społecznego” w wiekach średnich, o jednym i drugim, o dodatnich stronach tego życia, o całokształcie jego mówi niezmiernie mało, za to obfituje w opowiadania o tem, co się działo gdzieś około stajen i chlewów, babrze się z predylekcją w kupach śmieci i odpadków, jakie zapewne przy każdej budowlu, nie koniecznie średniowiecznej, w obfitości się znajdują. Rozumiem, że historykowi wolno nie pomijać i tych „tylnych” ujemnych stron epoki, którą studjuje, ale źle świadczy o jego estetycznym poczuciu, jeżeli opisywaniu ich poświęca główną uwagę i nieproporcjonalnie je rozszerza w stosunku do stron frontowych i cech dodatnich studjowanego przez siebie okresu czasu. Taki właśnie brak proporcji należytych rażąco występuje w książce Ptaśnika, czyniąc z niej... karykaturę średniowiecza. Miał scharakteryzować życie religijne i społeczne, a co i ile powiedział o rozwoju w średnich wiekach filozofji i teologii, o średniowiecznych uniwersytetach, o literaturze mistycznej, o działalności Kościoła na polu dobroczynności, o zakładach dla potrzebujących, o zakonach, których tyle powstawało dla zadośćuczynienia przeróżnym potrzebom swego czasu, a w życiu społecznym — o ustroju feudalnym, organizacjach cechowych itd. itd.? O tem wszystkim z książki Ptaśnika czytelnik nie dowie się prawie nic; jeśli o czem z tych rzeczy autor wspomni, to jakby mimochodem, o ile mu to potrzebne jako przejście do ulubionego tematu — ciemnych zakamarków, jeśli pokaże jakąś wielkość lub świętość, to pono tylko wtedy i o tyle, kiedy i o ile nadaje się mu ona do skarykaturowania. Weźmy naprz. rozdział V, zatytułowany „rozwój reguł zakonnych”. Z całym tym „rozwojem” życia zakonnego, poczynawszy od najstarszych ascetów, a skończywszy na św. Franciszku z Asyżu, więc z historją tak ważnego objawu życia religijnego w przeciągu dziewięciu co najmniej wieków załatwia się autor na dziewięciu stronach, nie wychodząc poza suche daty i imiona, lekko pokpiwując sobie z „marzycieli”, na których słowa Chrystusa wywierały wpływ „magiczny”, i z ich życia umartwionego, a podkreślając mocno, że po pewnym czasie sprzeniewierzano się surowej regule, i że klasztory bogaciły się. Ten najlepszy może w książce rozdział, dzięki swej krótkości i pobieżności służy tylko za wstęp do dwóch innych, o wiele dłuższych, o sporach w łonie zakonów, o heretyckich ich konkurentach, cieszących się szczególną autora sympatją, o „łazęgach” i ich niemoralnościach. Podobnież ma się rzecz z biskupami i duchowieństwem świeckiem, które po jednym frazesie pochwalnym zostało wprost zohydzone, jako próżniacze, pijackie i rozpustne. Zresztą szeroko opowiada się o wszel-

kich zwyrodnieniach uczuć religijnych, o różnych biczownikach i tanecznikach, o bezkrytycznym kulcie relikwii, o czarach i czarownikach (co *notabene* najbardziej charakteryzuje już epokę późniejszą, po średniowieczu, począwszy od Lutra), o diabłach i ich dziwnych sprawkach. Jeszcze raz powtarzamy: studjum średniowiecza takie, jakie nam dał Ptaśnik, to studjum przedewszystkiem tyłowych kątów i zakamarków tej złożonej i bogatej budowy, jaką były wieki średnie.

Dlaczego p. Ptaśnik zajął się przedewszystkiem tą stroną przedmiotu? Bez obawy popełnienia niesprawiedliwości twierdzimy, że chciał w ujemnem świetle przedstawić chrześcijańskie zasady i Kościół katolicki, a do tego epoka wieków średnich najlepiej się nadawała o tyle, że w niej Kościół doszedł do największej zewnętrznej potęgi i łatwo wszystko, co było w ówczesnem życiu złego i czarnego, złożyć na odpowiedzialność Kościoła i jego nauki. Charakterystyczne jest, jak p. Ptaśnik przeprowadza swój zamiar. Streszczając zasady światopoglądu chrześcijańskiego, zasady supremacji tego co duchowe i wieczne nad tem, co cielesne i doczesne, wyraża się prawie stale o tych zasadach z przekąsem; czytelnik czuje, że ma tu do czynienia z autorem materialistą, któremu są miłsi „pogańscy bogowie, używający w całej pełni radości życia“, niż wzory ascezy chrześcijańskiej, które traktuje, jako sprzeciwiające się naturze ludzkiej. Jeżeli cnotę czystości chwali, to tylko „jako brylant poetycki w wyrafinowanym systemie średniowiecznego rzymskiego Kościoła“, nie umie jednak dlań znaleźć uzasadnienia filozoficznego. To, co na ten temat przypisuje Kościołowi, jak to łączenie początku rodziny z grzechem pierworodnym, negację zmysłowych pożądań, by małżeństwo mogło być sakramentem (str. 12) itp. ekstrawagancje, to są albo własne wymysły autora, albo interpretacje katolickiej nauki, poczerpnięte z protestanckich źródeł, albo w najlepszym razie prywatne zdania niektórych pisarzy kościelnych, które nie stały się nigdy nauką urzędową Kościoła. Nie o te jednak szczegóły nam chodzi. Chodzi o zasadniczy stosunek p. Ptaśnika do chrześcijańskiego poglądu na życie. Jeśli ten pogląd nie podoba mu się, jeśli ascezę uważa za rzecz nienaturalną i śmieszną, dlaczego kuje broń przeciwko średniowiecznemu klerowi z tego, że owemu ideałowi chrześcijańskiemu sprzeniewierzał się czasami w praktyce? Dlaczego typy, które od wyznawanego przez chrześcijaństwo poglądu na życie daleko odchodziły się, uważa za ujemne i jako takie je przedstawia, zamiast uznać w nich pionierów tego zeświecczenia życia, z jakiego się cieszy w ostatnim rozdziale swej książki, jako ze zwycięstwa nad systemem średniowiecznym? Słowem, p. Ptaśnik z lekceważeniem i przekąsem traktując zasady chrześcijaństwa, by zaraz piętnować odstępstwa od nich, zdradza niekonsekwencję owych złośliwych chłopców z ewangelji: „graliśmy wam na piszczałkach, a nie tańcowaliście, narzekaliśmy,

a nie płakaliście". Ani tak ani owak nie można im dogodzić! Podobnie możnaby powiedzieć o zapatrywaniach Kościoła na prawo własności, na stosunek wzajemny dwóch władz i o innych punktach światopoglądu katolickiego, który się p. Ptaśnikowi nie podoba, podczas gdy z sympatją notuje przesadne i sekciarskie stosowania tychże zasad przez fraticellów, taborytów i innych heretyków.

Z tej jakiejś sekciarskiej niechęci autora do Kościoła, jego nauki i instytucyj pochodzą zapewne i jego sposoby wyrażania się, gdy mówi o Kościele i jego przedstawicielach, sposoby, które u historyka kultury, choćby średniowiecznej, należy uważać co najmniej za niekulturalne. Kościół się „wdzierał” we wszystkie szczebliny życia, Kościół „sprytnie” wynalazł sobie wyjście z wątpliwości, Tomasz z Akwinu „chyttrze” postawił kwestję pochodzenia państwa, czyste pożycie w małżeństwie N. Marji Panny to „legenda” itd. A mamy tu do czynienia nie z żadną chytrą ani sprytem, tylko z dogmatami chrześcijańskimi. Wyrażać się w ten sposób o nich, lub nazywać coś legendą, co stanowi artykuł wiary katolickiej, na to nie powinno było pozwolić nawet autorowi niewierzącemu, ale piszącemu dla czytelników przeważnie wierzących, samo dobre wychowanie i poczucie taktu.

Zabawny jest p. Ptaśnik, gdy przedstawia jako rzecz charakterystyczną średniowiecza coś, co jest stałą nauką Kościoła poprzez wieki, albo gdy powołuje się jako na źródło na jednego mniej znanego teologa w rzeczy, którąby znalazł w każdym prostym podręczniku czy katechizmie. W istnienie złych duchów, panie Ptaśnik, Kościół wierzy tak samo, jak i w średnich wiekach; mężczyźni po osiągnięciu zadowolenia zmysłowego w małżeństwie nie tylko w średnich wiekach „nie wolno było pod ciężkim grzechem udawać się do innej niewiasty” (str. 12), ale nie wolno tego czynić mu także w czasach naszych i nie jest to tylko postulat ascetów, ale zasada etyki naturalnej; „cel ludzkiego bytu znajdował się w życiu pośmiertnem” nie tylko „według religijnej metafizyki wieków średnich”, (str. 14) ale według metafizyki wszelkiej religii i wszystkich czasów; św. Benedykt nie należał do „Kościoła późniejszego”, który dopiero miał zrozumieć moralne niebezpieczeństwo próżnowania, ale do czasów bardzo wczesnych tegoż Kościoła, (str. 14) naśladowanie Chrystusa prowadziło nie do „negowania” prywatnej własności, lecz do zrzekania się jej dobrowolnie (str. 15); nie tylko Albertus Magnus (czemu nie Albert Wielki?) twierdził, że świat został stworzony dla człowieka, by mu służył do poznania Stwórcy (str. 21) ale jest to ogólną nauką chrześcijańską. Tak przechodząc stronicę po stronicy, możnaby przytaczać dowody z książki p. Ptaśnika, że albo o autentycznej nauce Kościoła nie wie, albo ją celowo zacieśnia do wieków średnich, by później dojść do konkluzji o „upadku systemu średniowiecznego”. Ten system wszakże nie upadł nie tylko w teorii,

choć powstała przeciwko niemu cała materialistyczna, a potem pozytywistyczna filozofja, ale nawet nie upadł w praktyce, pomimo częściowego zrealizowania „zasad świeckich” przez czynniki religijni wrogie, przez szkołę bezbożną i politykę „antyklerykalną”. P. Ptaśnik mógłby się o tem przekonać, gdyby ze średnich wieków zechciał przejść do czasów najnowszych, zapoznać się z dekretami takiego soboru watykańskiego, z encyklikami takiego Leona XIII, z bujnie rozwiniętym życiem ascetycznym i apostołstwie w naszych czasach, z uniwersytetami katolickimi i odrodzeniem filozofji scholastycznej, z działalnością Kościoła na polu społecznym, słowem — z wpływem, jaki Kościół bądź co bądź wywiera dotąd na miliony ludzi i to nie na najgłupszych, ani najmniej znaczących. Śpiewać mu *Requiem* jeszcze przedwcześnie...

Nie będziemy już rozpatrywać innych stron metody „naukowej” p. Ptaśnika: ani jednostronności źródeł, na których się oparł, ani mozaikowości w zestawieniu faktów z różnych epok i krajów bez przedstawienia pragmatycznego rozwoju instytucji i obyczajów, ani innych jeszcze rzeczy. Na podstawie tego, co się powiedziało, trzeba książkę odmówić charakteru bezstronnej i poważnej pracy naukowej. Zaliczyć ją można do rodzaju, którzy Niemcy nazywają „Herrenlektüre”, literatury wagonowej, której jednemu tylko wymaganiu nie odpowiada: jest za gruba.

Ks. Jan Urban.

Gumowski M.: *Medale Polskie*, Warszawa 1925, wyd. „Biblioteka Polska”, str. 240 i 24 tablice.

W pierwszej części książki mowa o wszelkich rodzajach medali: żetony, plakiety, odznaki, medaljony i właściwe medale. Stosownie do przedmiotu, jaki przedstawiają medale, dzielimy je na królewskie (odnoszące się do osoby króla), okolicznościowe (wyrażają jakiś fakt, nie osobę) i prywatne (odnoszą się do życia osób prywatnych). Osobny dział tworzą medale religijne i fantazyjne, będące tylko wykwitem artystycznych pomysłów autora. Szkoda, że autor nie orzekł wyraźnie co uważa za medal polski: z treści tylko wynikałoby, że za medal polski uważa ten medal, jaki mówi o zdarzeniach należących do dziejów Polski, bez względu kto autorem medalu i gdzie go bito. Następnie przedstawia technikę, w jaki sposób powstaje medal (lanie, bicie, trybowanie, niellowanie) i daje pogląd na zbieraczy i zbiory medali w Polsce, poczynawszy od czasów Zygmunta Augusta. O zagranicznych zbiorach medali polskich wspominał ogólnikowo, wymieniając miasta, gdzie się znajdują polskie medale: Wiedeń, Petersburg i t. d.

Ale spis ten nie jest zupełnym: nie mogłem tam znaleźć n. p. zbiorów przy bibliotece polskiej w Paryżu, gdzie jest znaczna ilość medali (2.000 medali polskich). Nie wspomniano

o zbiorach ś. p. Szutinasza w Wilnie, zmarłego w r. 1923, którego zbiory nabył Uniwersytet wileński, zbiory o tyle ciekawe i pod względem medalierskim, że zawierały rzeczy specjalnie do tamtych ziem się odnoszące. Również możeby należało się wspomnieć, że niektóre szkoły średnie posiadają zbiory monet i medali dla celów naukowych, i to czasem tak pokaźne, że nawet odważano się ogłaszać drukiem ich katalogi czy rozprawy o medalach tam się znajdujących, (n. p. katalog drukowany zbiorów gimn. w Nowym Sączu). Przykro też dotkniętymi mogą się czuć tak liczni lwowscy zbieracze (cf. *Zapiski* num. I. 1925, str. 10) prywatni, o jakich autor nawet ogólnie nie wspominał.

Uważam, że może nawet krzywdę zrobił p. Gum. polskiej kulturze i polskiej szkole, że o polskich medalach szkolnych wspominał tylko słowem „szkolne” (str. 12), a nie poświęcił im wzmianki. Medale szkolne polskie rzucają ciekawe światło na dzieje polskiego szkolnictwa. Wiadomo, że przy szkołach polskich istniały dawniej zbiory medali. Mamy dane pewne o szkołach dawnych jezuickich, w Połocku, w Dynaburgu, Mohilewie, Mścisławiu, że obok innych naukowych zbiorów, znajdujących się tam „zbiór monet starożytnych i medalów na niejaka zasługiwał uwagę”, jak się wyrażał wizytator Plater po odbytej tamże wizytacji w r. 1807 (cf. Giżycki: *Materiały do dziejów Akad. połockiej* str. 181 i in.). A szkoły te istniały od dwustu już lat, i zbiorów tych chyba nie zakupywano na gwałt przed wizytacją.

Powtórnie nie wspomina autor i o szkolnych medalach. Mamy nie tylko szkolne medale pamiątkowe, fundacyjne, ale niezmiernie ciekawe dla dziejów szkolnictwa medale nagrodowe. Niektóre z nich nadawałyby się bardzo do publikacji, jak n. p. nagrodowy medal szkoły chirur. medycznej w Wilnie (cf. Tyszkiewicz nr 92), inne może mniejszą przedstawiają wartość, jak medaliki nagrodowe szkół Urszulanek z pierwszej połowy XIX w. w Poznaniu i Krakowie (cf. Rewoliński 807, 1209, 1210), lub dość liczne medale rozmaitych „maryjskich” czy „panieńskich” instytutów na terenie b. państwa rosyjskiego, z polskimi nawet nieraz napisami, o bardzo banalnym wyglądzie. Ale te nagrodowe medale otwierają pole do innego bardzo ważnego — dla polskiego medalierstwa i polskiego szkolnictwa — wniosku: w Polsce rozdawano uczniom nagrody w postaci medalu. Wiadomo powszechnie, że organizacja szkolna i rozmaite zwyczaje szkolne przeszły ze szkół jezuckich do szkół państwowych. Szczególniej Rosja trzymała się wiernie tych zwyczajów. Tam też widzimy w początkach w. XIX medale nagrodowe szkolne. Tesame tradycje przeszły i do szkół jezuickich — gdy samych Jezuitów wygnano z Rosji — w Tarnopolu i w Chyrowie, w XIX wieku. Rozdawano te medale razem z dyplomami na końcu roku szkolnego tak w nowej szkole jezuickiej jak i w dawnej. A że nasze rozumowanie o ciągłości tej tradycji jest trafnem, na dowód może nam służyć znowu

medal — roboty F. Würta; przedstawia cesarzową M. Teresę z napisem w otoku „M. Theresia Aug. mater bonarum artium“, z drugiej zaś strony Minerwę, która w szyszaku siedzi na karle i podaje chłopięciu medal. Za nią na tarczy sowa, na dole F. W., u góry napis „Profectui“ a u dołu „Studiorum humanitatis cura publica“ MDCCLXXVI. Czyż to nie dowód, że w nagrodę medal szkolny dawano? A zwyczaj ten szkoły ówczesne austriackie mogły mieć tylko zapożyczony ze szkół jezuickich, które upadły w Austrii z chwilą kasaty zakonu; dopiero w r. 1774 szkolnictwo austriackie na wzorach jezuickich zreorganizowano, co również medalem „humanitatis studiis instauratis“ MDCCLXXIV uwieczniła też Marja Teresa, i osobnym jeszcze z okazji wznowienia konwiktów dla uczniów w Budzie roku 1780 — bo i konwikty były jezuickim systemem wychowania. Więc i polskie i rosyjskie zwyczaje nadawania medali w szkole, były widać zwyczajem chyba przez szkoły jezuickie wprowadzonym.

Szkoda również, że w II części, gdzie autor daje pogląd chronologiczny na polskie medaljerstwo aż do czasów niepodległościowych, nie wymienia niektórych ważnych dla historii medali. W doborze trzeba się zdać na gust autora — bezsprzecznie najlepszego w Polsce numizmatyka — ale razi, że pominął zupełnie medale papieskie bite dla Polski, jak n. p. medal na unję brzeską (cf. Rewoliński nr 1306), a gdy wspomina o medalach papieskich na odsiecz Wiednia, daje całkiem fałszywą interpretację: „jest rzeczą interesującą, że we Włoszech znalazła się naówczas grupa artystów, którzy medalami upamiętnili panowanie i czyny Jana III“ (str. 95). Tymczasem to nie artyści się tem interesowali, ile raczej sami papieże w medalach stale uwieczniali ważne dla świata chrześcijańskiego czyny.

Dla zbieraczy medali ważną jest część III, gdzie autor rozwiązuje monogramy i sygnatury medaljerów.

Spis literatury medalograficznej i tablice uzupełniają tę interesującą książkę. W literaturze tylko uważamy za mniej szczęśliwą zmianę tytułu na str. 220: „Medale i krzyże orderowe Jezuitów“ zamiast: „Medale i krzyże orderowe konwiktów OO. Jezuitów w Tarnopolu i Chyrowie“.

Na tablicach zebrał autor 262 medali — bardzo ciekawych w obrazie swym. Dobór ich staranny, aczkolwiek uważam, że wskazanemby było umieszczenie tutaj bardzo charakterystycznego dla koncepcji autorskiej medalu 5 listopada 1916 roku, gdzie Raszka wiernie skopjował ową kaplicę w Baranowiczach i gen. Hallera odczytującego proklamację — bezwartościową — obu cesarzy.

Technika reprodukcyjna nie przynosi wielkiej chwały firmie wydawniczej. Prawda że medale zmniejszone tracić muszą na platycie. Jakże lepiej wyszły medale Jagiellonów, Bałowego reproduktowane z dawniejszych jeszcze odlewów gipsowych, znanych z po-

przednich wspianiałych wydawnictw A. „Medale Jagiellonów“ i in. Szkoda, że nie z gipsów robiono tutaj odbitki do tak charakterystycznych medali jak Höhna, Bennisheimera. Wtedy dopiero możnaby poznać mistrza. Bardzo lichy wyszła tablica ostatnia, zdaje się z powodu złego przy zdjęciu oświetlenia.

W całości jednak książka ta odbiega daleko od suchych katalogów, i jest podręcznikiem łatwym dla każdego, kto chce poznać się z medaljerstwem polskim, dla nauczyciela zaś historii jak i ucznia walną jest pomocą, jakiej dotychczas nie posiadaliśmy. Wydając ten podręcznik, umożliwił autor poznanie tej nauki pomocniczej dla historyka i ułatwił jej rozwój.

Ks. K. Konopka.

K. Gehring i A. Skrypczeńko: Naukowa organizacja pracy. Kraków 1925, str. 75.

Już przeszło rok temu, jak dwaj inżynierowie na zaproszenie krakowskiego Tow. Ekonomicznego wygłosili odczyty w Krak. Izbie Handlowej na temat naukowej organizacji pracy. Kwestja niezwykle aktualna, piękna, bo zachodnia wytwórczość, zwłaszcza niemiecka prawdziwie krokami olbrzyma idzie naprzód, podczas gdy nasz przemysł co chwilę jakby przysiadła na drodze gospodarczej ewolucji bądź wskutek przesileń finansowych, bądź z powodu braku organizacji wytwórczości, lub wreszcie z powodu fanatycznego stanowiska robotników. — Broszura wyszła z pod prasy, kiedy złoty i jego twórca nosił aureolę triumfu i pierwsza przeszkoda zdawała się kryć w przeszłości. Dziś żyjemy pod znakiem rozczarowania. Mimo to można i trzeba pracować nad usunięciem dwu innych nieomagań polskiego przemysłu. — Autorzy przedstawiają istotę, znaczenie i przykłady amerykańskie i rodzime naukowej organizacji pracy. Piszą z wiarą, że w Polsce da się łatwo zastosować to, co Ameryce i wogóle przemysłowi zachodniemu pozwoliło odegrać rolę, jemu tak właściwą, źródła dobrobytu nie tylko przedsiębiorców, lecz i rzesz robotniczych, ba nawet całych społeczeństw, z wiarą, że nawet polski robotnik wnet spostrzeże i uzna błogosławieństwa pracy zorganizowanej naukowo. Nam się jednak zdaje, że dziś ci panowie pod tym względem żyją również pod znakiem rozczarowania, bo sądzimy, że największą trudność w naszych stosunkach będzie stanowiła błędna psychologia pracowników fabrycznych, którzy nie mają, że się tak wyrazimy, robotniczej ambicji, nie cenią swej pracy, nie dbają o świetne jej rezultaty. — Chcielibyśmy się mylić i najrychlej się przekonać, że panowie Gehring i Skrypczeńko widzą pozytywne wyniki swej agitacji i wysiłków w dziedzinie naukowej organizacji pracy.

R. M.

J. Puchałka: Ubezpieczenie na wypadek choroby, Kraków 1925, str. 91.

Autor przedstawił sprawę zwięźle, ale wystarczająco. Na 90 stron broszury niespełna połowa pochodzi od autora, resztę zajmują teksty ustaw i rozporządzeń w sprawie ubezpieczeń. Znajdujemy tu wszystko: rzut historyczny na przedwojenne, zaborcze ustawodawstwo, na statystykę ubezpieczeń, motywację potrzeby tego rodzaju ustawy i jej wyjaśnienie, a co najważniejsze, krytykę ustawy z dn. 19 maja 1920 r. Krytykę tę uważamy za całkiem słuszną, bo dotychczasowa ustawa w wielu artykułach wygląda raczej na jakąś teorię niż na ustawę, która ma pomagać praktycznemu życiu. Że jednak sam autor, chociaż jest posłem na Sejm, nie zdoła przeprowadzić nawet najzdrowszych poprawek w obecnej ustawie, dlatego dobrze zrobił, że puścił w świat swe myśli, aby społeczeństwo, które się interesuje ustawodawstwem socjalnem wiedziało, czego żądać i umiało swe żądania poprzeć.

R. M.

Potrzeby stanu rękodzielniczo-mieszczańskiego a polskie stronnictwo chrześcijańskiej demokracji. Kraków, 1925, str. 16.

W broszurce jest mowa o tem, czego właściwie u nas nie ma. Mieszczaństwo polskie, stan średni, polskie rzemiosło i handel w swych prawnych podstawach, organizacji i szkolnictwie, stanowią temat tych kilkunastu stron. Tymczasem my posiadamy wszędzie żydowskie mieszczaństwo, rzemiosło i t. d., i dlatego to, co tu czytamy i co gdzieindziej miałyby sens najrealniejszy tego programu, u nas wygląda na utopję. Przytoczymy na dowód choćby jedno zdanie: „Musimy z gruntu obalić fałszywe pojęcie, że młodzież najlepiej opłaca się posyłać do szkół średnich i na uniwersytet, to fałszywe zapatrywanie, jakoby młodzieniec, który obrał zawód rzemieślniczy, czy kupiecki „wykoleił” się”. Jakaż prawda święta i jaka utopja!... I dlatego, że krakowska Ch. D. odważyła się postawić pierwszy krok w tę ciemną przestrzeń naszego społecznego bytu, można jej pogratulować. *R. M.*

Dr Stanisław Sławski: Dostęp Polski do morza a interesy Prus Wschodnich. Gdańsk 1925, str. 106.

Prof. Romer w przedmowie do tej monografji mówi, że „trudno książce nie życzyć i nie spodziewać się najlepszego powodzenia i rozpowszechnienia”. Istotnie temat ujęty tak jasno, przekonywująco, opatrzone dostatecznym aparatem enuncjacji dyplomatycznych, statystyk gospodarczych, geograficznych i faktów historycznych, że nie można prawie niczego dodać. Autor znakomicie obeznany z argumentami niemieckich dyplomatów i filozofów, czujących dotkliwie ból wskutek wbicia klina w dawne

państwo Rzeszy przez polski kurytarz i wolne miasto Gdańsk doskonale zbija ich argumenty prostą retorsją. Osobiście mniej się nam podoba obrona obecnego stanu rzeczy przykładami n. p. Zary i uważamy tego rodzaju dowodzenie za tłumaczenie *obscurum per obscurius*. Również nie godzimy się z autorem w poglądzie, że budowa portu w Gdyni nie jest konkurencją dla Gdańska. Choćby bowiem w polityce polskiej nie tkwiło to założenie, w rzeczywistości z wzrostem polskiego portu Gdańsk musi proporcjonalnie tracić. Przyszłość najlepiej oceni, czy nie szczęśliwszą by była polityka polska, gdyby za pieniądze obrócone na budowę portu w Gdyni powiększano w Gdańsku polski stan posiadania.

R. M.

Gustaw Olechowski: *Listy z nizin, (wrażenia z Holandji)*. Poznań, 1925, str. 96.

Holandja jest nieomal pod każdym względem kontrastem Polski i polskich stosunków. Położenie geograficzne, stosunki polityczne, wyznaniowe, gospodarcze odbiegają daleko od tego, co jest u nas, ale mimo to państewko to posiada dla każdego tyle sympatycznych i pouczających szczegółów, że warto przyrzec się im naocznie, warto pouczyć ogół społeczeństwa polskiego, o tem, czemu Holandja, mimo swej małości, jest wielka i piękna, jak rzadko który inny kraj. Dlatego p. Olechowski zasłużył się szczególnie wobec naszego społeczeństwa, iż swe wrażenia, nacechowane bystrą obserwacją i dowcipem opublikował najpierw w dziennikach a następnie wydał je razem w tej broszurce. Autor pisze tem bardziej interesująco, że w swe spostrzeżenia na „nizinach” wplata refleksje na tle polskich stosunków. Wystarczy jeden przykład, aby się przekonać o rodzaju pióra p. Olechowskiego: „A oni (Holendrzy) tymczasem rozwinęli hodowlę kwiatów ku pośmiewisku ludzkiemu i doszli do tego, że dziś cały świat zaopatrują w cebulki kwiatowe, a tysiące chłopów małorolnych zamiast głodować na ziemniakach i grozić podpaleniem kraju, jeżeli rząd nie odbierze ziemi jednym, aby dać drugim, co się nazywa reformą rolną, hodują cebulki i Anglikom, Niemcom, Polakom, Amerykanom i Argentyńczykom za drogie pieniądze sprzedają... W roku zeszłym Holendrzy sprzedali zagranicę 24 i pół miliona kilogramów cebulek kwiatowych”.

R. M.

Antonio Menotti Corvi: *Italia współczesna*. Warszawa, nakł. F. Hoiesicka, 1925, str. 232.

Książka pożyteczna nie dla turystów, lecz dla interesujących się życiem gospodarczem Włoch. Przepraszam, nie Włoch, lecz Italji, bo autor w przedmowie stanowczo dowodzi, że nazwy Włochy, Włosi, zyskały w polskim języku prawo obywatelstwa przez

nieporozumienie, że są niczem nieuzasadnione i winny z naszej mowy zniknąć, zastąpione przez Italja, Italczyk, italski. Nie wiem, czy książka p. Corvi oduczy nas „włoszczyzny“, ale wiem, że warto ją czytać jako źródło informacyjne o kraju, jego ludności, ustroju politycznym, podziale administracyjnym, a zwłaszcza o wytwórczości, handlu, komunikacjach, emigracji, polityce kolonialnej i t. p. Italji. Cechuje książkę przejrzysty układ i bogactwo szczegółów statystycznych. Dodać trzeba, że p. Menotti Corvi jest autorem także książki włoskiej o Polsce, p. t. „La Polonia economica“, wydanej przez ministerstwo przemysłu i handlu w Rzymie w r. 1923.

J. U.

Leon Wasilewski: *Ukraińska sprawa narodowa w jej rozwoju historycznym*. Warszawa-Kraków, wyd. J. Mortkowicza 1925, str. 220.

Można się nie zgadzać z politycznymi lub społecznymi tendencjami b. ministra w socjalistycznym gabinecie, ale nie można odmówić mu wielkiej kompetencji, gdy pisze o naszych wschodnich sąsiadach narodowych. Mieliśmy sposobność nieraz to podkreślić, — ostatni raz, omawiając książkę o Finlandji.

Obecnie przedstawia nam L. Wasilewski rozwój historyczny, ukrainizmu zarówno na właściwej Ukrainie, jak i na Rusi Czerwonej. Temat traktuje szkicowo, nie mniej nie pomija żadnego ważnego momentu w rozwoju świadomości ukraińskiej, kultury ukraińskiej i politycznych dążeń ukraińskich. Sięga w daleką przeszłość historyczną ale obszerniej omawia ostatnie lata rozwoju kwestji ukraińskiej. Jest szczerym przyjacielem Ukraińców, nie jest wszakże bezwzględny chwalcą wszystkiego, co było w ich historii lub polityce, owszem surowo krytykuje dużo ich posunięć.

Obecnie, kiedy Polska ma u siebie do rozwiązania jeszcze tyle spraw, składających się na kwestję ukraińską, książka Wasilewskiego może się przydać niejednemu. Czytelnik musi być tylko nieco pobłażliwy dla autora, pisarza socjalistycznego, gdy ten używa pewnych zwrotów i wyrażań, zaczerpniętych ze słownika partyjnego, jak „klerykalizm“, „konserwatyzm klerykalny“ lub gdy zdradza swe sympatje dla kierunków bardziej radykalnych. Naogół usiłuje być obiektywnym. Można by wyszukać także parę niedokładności historycznych jak n. p. wiązanie reformy kalendarza z unją brzeską, gdy wiadomo, że unja ta ani w chwili zawarcia ani potem do reformy kalendarza nie przystępowała. Z temi pewnymi zastrzeżeniami książkę Wasilewskiego można uważać za pożądaną nabytek w naszej historyczno-politycznej literaturze.

J. U.

23*

P a n n a T u l c z y n i e. Wspomnienia o Stanisławie Szczęsnym Potockim, jego rodzinie i dworze. Zebrał i wydał z 4 ilustr. tablicą genealogiczną Adam Czartkowski. Nakładem Wydawnictwa Polskiego bez roku druku, Lwów-Poznań, str. 228.

I w nauce budzą się pewne prądy i kierunki, które — jak to zwykle bywa — gdy dostaną się na szerszy teren publicystyki, przeradzają się w modę i tworzą sensację. Jedną z takich mód, to obalanie przeróżnych — jak się powiada — legend historycznych, zdzieranie nimbów bohaterstwa z jednych, a próby rehabilitacji drugich. O ile obiektywna prawda, oparta na źródłach, wymaga rewizji pewnych poglądów, dotąd powszechnie przyjmowanych, to rozumie się nie można mieć nic przeciwko temu: rewizję tę zrobić należy, choćby nawet sentyment przy tej operacji ucierpiał. Lecz z drugiej strony, jeśli gdzie, to tutaj należy zachować jak największą ostrożność, bardzo łatwo się zagalopować, a nie łatwo przyznać do pomyłki.

Wśród poglądów, które próbuje się rewidować, jest także i sąd o Konfederacji Targowickiej i jej twórcach. Dają się słyszeć, zresztą bardzo jeszcze nieśmiało, głosy o potrzebie obiektywnej oceny Targowicy nie ze stanowiska psychiki niewoli, ale ze stanowiska dzisiejszego niepodległego bytu. Co to ma znaczyć, zrozumieć nie możemy! Czyżby fakt, który na naród sprowadził prawie półtorawiekową niewolę, mógł się wydać mniej potwornym po odzyskaniu niepodległości?

Pewne ślady wyżej omówionej tendencji widać i we wstępie do „Wspomnień o Szczęsnym Potockim”. Wydawca Czartkowski stara się bronić Potockiego rozróżnieniem, że nie był to człowiek zły, przewrotny, zbrodniczy, ale tylko nieszczęśliwy. Jeżeli zdradził Ojczyznę, to „zawiniła tu jego ciasna głowa, zawinił brak inteligencji, zawinił słaby charakter, zawiniła duma i upór polskiego magnata” (str. XII). — Że ciasną głowę i brak inteligencji można nazwać nieszczęściem, to przyznajemy, ale żeby słaby charakter, duma i upór miały usprawiedliwiać czy łagodzić zbrodnię zdrady, tego przyznać nie można. Zdrada Ojczyzny będzie zawsze zbrodnią, czy jej ktoś dokona za judaszowe pieniądze, czy też z zemsty za obrażoną dumę, więc i człowiek, który czynu tego się dopuści, nazwany być musi złym, przewrotnym, a nie nieszczęśliwym.

Zresztą najwymowniejszym dowodem przeciw próbie bronięcia Szczęsnego są zebrane przez wydawcę „Wspomnienia”. Nikt po ich przeczytaniu nie nazwie Potockiego nieszczęśliwym. Wprawdzie wydawca samemu Potockiemu poświęcił zaledwie tylko 56 stron na 216, resztę książki zajmują wspomnienia o jego żonie Zofji, dzieciach i dworze, mimo to całość układa się w jeden przerażająco ponury obraz zła, brudu moralnego i wszelkiej nędzy duchowej. Postacie Franciszka Salezego, Szczęsnego, Zofji Greczynki, jego nieodrodných w przeważnej części dzieci, posta-

cie dworaków wyłaniają się z tych strzępów przeróżnych wspomnień jako potworne widma, przychodzące straszyć sumienia polskie ponurem memento. Dlatego też „Pana na Tulczynie” czyta się z jednej strony z wielkiem zainteresowaniem, ale też równocześnie z rosnącym z każdą kartą przygnębieniem. Nie podnosi książka ta wprawdzie ducha, ale tkwi w niej siła zbawiennej odrazy i przestrogi.

s.

Ludwig Pastor: Die Stadt Rom zu Ende der Renaissance. Freiburg in Breisgau, Herder, 1925, str. 123, in 8° mai.

Ludwig Pastor: Die Sixtinische Kapelle. Die Stenzen u. Loggien des Vatikans. Freiburg in Breisgau, Herder, 1915, str. 70.

Książka pierwsza starannie wydana na kredowym papierze, jest wyjątkiem z Historji Papieży Renesansu. Zajmuje się właśnie papieżami, jako budowniczymi Rzymu, a częściowo także jako zbieraczami zabytków ankyku. Daje w niej autor opis Rzymu w. XVI, do czego źródła znalazł w notach współczesnych: Włochów Leonarda Bufalini'ego i Ulissa Aldrovandi'ego, frankfurckiego prawnika Jana Ficharda, który opisał swe wrażenia z pobytu w Rzymie w r. 1535, dalej w sztychach i rysunkach Antoniego Lafrery pochodzeniem z Burgundji, Marcina van Heemskerck i innych. Prócz tego wyzyskane są relacje posłów państw obcych, przebywających w Rzymie, n. p. posła Macenigo z roku 1560 i t. d. Na podstawie tych źródeł otrzymujemy opis Rzymu i jego topografię ilustrowaną doskonałemi przeważnie zdjęciami i współczesnemi sztychami. Rozprawa ta zawiera bardzo ciekawy materiał także dla historyka sztuki, wadą jej jest brak ścisłych cytatów z bogatych źródeł, z których autor czerpał.

Rzecz druga to popularny przewodnik po Sykstyńskiej Kaplicy, Stanzach i Loggiach Watykanu. Z każdego zdania przebija, że autor nie tylko jest znawcą znakomitym przedmiotu, o którym pisze, ale także wielkim miłośnikiem renesansowej kultury Rzymu, jego arcydzieł i pomników. Książeczka, wydana w formie wygodnej, daje zwięzłą historję zabytków, które omawia; wyjaśniając ich treść artystyczną, usiłuje wprowadzić w zrozumienie i oddzucie wartości estetycznych. Orientację ułatwia tablica topograficzna fresków Sykstyń.

M. J.

Albert Lopez: La Lumière d'Israël. Histoire d'une âme juive. Paris, éd. L. Conard, 1923, str. 268.

Może u nas wyda się dziwnem, że Akademyja francuska odznacza książkę, napisaną przez Żyda nawróconego właśnie o swoim nawróceniu. Co Akademji, owemu najwyższemu areopagowi w rzeczach literackich i naukowych, do czyich prywatnych przeżyć duchowych w naszych zlaicyzowanych czasach? A jednak na książkę czytamy: *ouvrage couronné* itd. Przypuszczamy, że miano

przy tem odznaczeniu względ na śliczną, prostotę swą ujmującą formę opowiadania, na subtelne odczucie autora dla piękności tego kraju, w którym się dokonało nawrócenie. Nas interesuje przeważnie treść książki. Młody inteligentny Żyd z Marsylji (obecnie powieściopisarz) zwiedza jako turysta słynną Grotę świętą — *Sainte-Baume*, uświęconą według podania pokutą Marji Magdaleny. Tu się dowiaduje dopiero, że ta droga prowansalska Święta — to przecież córa tego samego, co i on narodu, natura ognista, wielka ongiś grzesznica, ale potem cudo poświęcenia i ofiary. Odtąd zacznie się poważne studjum tego chrystjanizmu, który był autorowi znany tylko powierzchownie, przedzieranie się poprzez Biblię, Ewangelię, historję żydostwa po rozproszeniu, historję konwertytów — ku pełnemu światłu prawdy chrześcijańskiej. Ważniejsze momenty i rezultaty tego szukania, zmagania się z samym sobą, wylew szczęścia, gdy nareszcie dostąpił łaski chrztu, to wszystko utrwał autor w tym swoim pamiętniku bezpretensjonalnym, ale jakże dla psychologa ciekawym! Autor nie przestaje kochać swych braci i po odejściu od nich i kreśli perspektywę gromadnego ich kiedyś pozyskania dla Chrystusa.

Żydzi, nawracający się we Francji, choć ich stosunkowo mało, posiadają już całą odpowiednią dla siebie literaturę. U nas, choć tych nawróconych jest bez porównania więcej, nie posiadamy ani jednej książki, któraby się specjalnie nadawała, jako pomoc w przygotowaniu Żydów do chrześcijaństwa i utrwaleniu ich wiary po chrzcie. To jeszcze jeden nasz brak dotkliwy.

Ks. J. Urban.

Ks. St. Podoleński T. J.: *Rozwód a zdrowie narodu. Studium moralno-społeczne.* Kraków, nakł. Wyd. Księży Jezuitów, 1926, str. 264

Są książki, które odpowiadają „duchowi czasu“, inne znowu zwracają się przeciw niemu. Autorowie tych drugich zapałtzeni tylko w zasadę, o którą mało kto dba i w korzyści głębsze, których niewielu spostrzeża, zwracają się niekiedy przeciw modnej opinji. Do tej kategorii drugiej należy niniejsze studjum na temat rozwodów, tak dzisiaj częstych, że prawie stają się modne. W chwili, kiedy prawnicy, pracujący nad kodyfikacją naszych praw, skłaniają się ku uznaniu konieczności wprowadzenia rozwodów cywilnych w całej Polsce, kiedy tylu jest zainteresowanych w ułatwieniu im zerwania przysięg ślubnych, kiedy inni zgłaszają w tej kwestji swoje *desinteressement*, albo po cichu mówią: „trudno, trzeba pójść za duchem czasu“, w chwili takiej niepopularną jest rzeczą walczyć z rozwodami. A czyni to ks. Podoleński, znany zresztą dobrze naszym czytelnikom z szeregu artykułów na ten temat. Jako kapłan katolicki, streszcza dogmat chrześcijański o jedności i nierozzerwalności małżeństwa, czyni to jednak krótko i dopiero w drugiej części książki; w pierwszej obszernie,

na podstawie wiekowych doświadczeń i materiału statystycznego, przemawia nie do sumienia wierzących, ale do rozumu wszelkich ludzi o trzeźwym sądzie i dobrej woli, wykazując jakie spustoszenia rozwody szerzą w zdrowiu moralnem społeczeństw. W części trzeciej wreszcie, występuje w roli pedagoga, podając środki zaradcze, jak uniknąć wytwarzania się tych sytuacji, w jakich rozwód wydaje się pożądanem wyjściem. — Książka, powtarzamy, niepopularna, ale tem bardziej będąca na czasie i zasługująca, by się z nią zapoznali i jej materiałem dowodowym uzbroili wszyscy ci, na których wiara i troska o przyszłość narodu nakłada obowiązek obrony świętości chrześcijańskiego małżeństwa.

Ks. J. Urban.

Święta Magdalena — Zofja Barat, Kraków 1925, Wydawnictwo Ks. Jezuitów. 8, str. 137, 1 knlb.

Popularny kult św. Teresy od Dzieciątka Jezus przesłonił inne postaci Świętych, współcześnie z nią kanonizowanych. Z nich jedną jest zmarła w r. 1865 M. Zofja Magdalena Barat, założycielka Zgromadzenia Najśw. Serca Jezusowego (*Sacré Coeur*), którego działalność wychowawcza znana jest powszechnie. Prawdziwie wzruszającym było dla mnie słuchanie wspomnień o M. Barat, opowiadanych drżącym głosem przez jedną, z niewielu już, znających ją osobiście jej córek zakonnych. Płyne z postaci tej Świętej jasny czar dobroci serca, ogarniającej miłością wszystko, co żyje, a zdecydowanej z silną i zdecydowaną wolą, wspartą bystrym i wykształconym umysłem. Matka Barat, pochodząca ze skromnej rodziny mieszczańskiej, której młodość zahartowała się w burzach rewolucji francuskiej, która, niezachwiana w pokornem pełnieniu swej misji od wczesnych lat do późnej starości, przeżywała długich lat ośmdziesiąt, znosząc tysiące trudności — to prześliczny typ mężnej niewiasty, doskonały wzór do naśladowania. Ten zdecydowany, a delikatny profil duchowy M. Barat występuje w całej czystości na kartach książki, napisanej z okazji kanonizacji przez Matki Najśw. Serca Jezusowego w Zbylitowskiej Górze. Z książki tej poznajemy również zarys historii Zgromadzenia, jego prawdziwie chrystusowego ducha i możemy czerpać do syta życiodajne prawdy. Książka ta, wzór dziełka popularnego, pisana jest przejrzysto i z talentem, czyta się z ogromnem zainteresowaniem, a rozświetlające ją gorące uczucie działa bardzo sugestywnie. Życiorys M. Barat przeniknięty jest tak samo duchem bożym, jak przeniknięte jest nim całe jej dzieło, które ze skromnych początków wzrosło szybko, jednocząc tysiące służebnic Pana ze wszystkich części świata i wszędzie niosąc pożyteczną działalność.

Z. Ciechanowska.

Ks. Walerjan Adamski: *Zasady duszpasterstwa młodzieży pozaszkolnej*. Poznań 1925, księg. „Ostoja” str. 103.

W krótkim stosunkowo czasie ukazuje się nowa praca znającego działacza na polu organizacji młodzieży, tym razem poświęcona jednemu z najtrudniejszych problemów, jakim jest w praktyce duszpasterstwo młodzieży pozaszkolnej. Stylem prostym, treściwym i jasnym tłumaczy autor kolejno: pojęcie takiego duszpasterstwa, jego potrzebę, warunki, podstawy i rodzaje, stosunek jego do innych działów pracy duszpasterskiej, do akcji społecznej, państwa i samorządów. Najobszerniej została przedstawiona kwestja duszpasterstwa „parafjalnego”; dla dokładności rozklasyfikowano je na indywidualne, zbiorowe i organizacyjne, a w każdej z tych kategorii poruszono szereg szczegółów, dotyczących metody pracy, osób jej oddanych, warunków i środków pomocniczych.

W ten sposób zdołał autor na stu stronach pomieścić po mistrzowsku olbrzymi materiał, dzięki właściwemu sobie darowi streszczania się, które nie ujmuje jednak w niczem jasności przedstawienia. Podnieść przytem należy wielką znajomość dusz młodzieży dorastającej, zmysł praktyczny, liczący się z wszelkimi trudnościami ze strony pracowników, młodzieży i środowiska, oraz ducha współpracy i zgody, jaki szerzy autor, polecając wciąż do dzieła wszelkie osoby dobrej woli, świeckie i duchowne, obojga płci. Książeczka ta będzie zapewne przyjęta jak najlepiej przez kierowników stowarzyszeń młodzieży i odda im wielkie usługi.

Ks. St. Podoleński.

Die Frühlingsreise, ein Buch für junge Mädchen, herausgegeben von Charlotte Herder. Herder, Freiburg im Breisg. 1925, gr. 8, str. VIII+276.

Na wzór wydanej parę lat temu dla młodzieży męskiej książki „Der Junge Fährmann” (p. *Przegląd Powsz.*, maj 1923, str. 175), wydała obecnie firma Herdera analogiczną rzecz dla dziewcząt od lat 13 do kilkunastu. Ma ona być dla nich drogowskazem i pod zajmującą formą opowiadania pouczyć je o różnych stronach życia, w jakie wchodzą: rozświecić budzące się pragnienia i nadzieje, wskazać kierunek i sposób postępowania w różnych okolicznościach, przestrzec przed niejednym złudzeniem. Nauki te mieszczą się w 18-stu opowiadaniach, opracowanych przez dobranych autorów i autorki, którzy umieli wniknąć w serce dziewczęce i jego potrzeby, a zarazem przejąć swe słowa duchem zdrowia moralnego i pogody, opartej na Bogu i prowadzącej do Niego. Kilka krótkich utworów poetyckich, 25 ilustracji w tekście i jedna tablica kolorowa zdobią to pożyteczne i gustownie przedstawiające się wydawnictwo.

Ks. St. Podoleński.

Dr. Ignaz Erhard: *Seelische Ursachen und Behandlung der Nervenleiden*. Freiburg im Breisg., 1925, str. VI+82

Podczas gdy dawniej leczono choroby nerwowe zapomocą środków zewnętrznych, przepisywano zmianę trybu życia, odpoczynek, kuracje wodne i dietetyczne, stara się obecna wiedza lekarska wykryć także psychiczne przyczyny tych niedomagań i znaleźć także na nie odpowiednie środki. W ostatnich czasach zaznaczyły się na tem polu zwłaszcza teorie Adlera i Freuda. Autor, zasadniczo przeciwnik tychże, uznaje jednak pewne dobre ich strony i korzysta z nich w niniejszej książce, której głównym celem jest pomożenie nerwowo chorym w odkryciu owych głębszych źródeł złego, w celu radykalniejszego ich usunięcia.

Podłoże to głębsze widzi autor w podświadomości, przez którą rozumie całą dziedzinę wrodzonych i nabytych skłonności i popędów, jakie w sposób tajemniczy a jednak realny wpływają na postępowanie człowieka, ułatwiają je lub utrudniają, stają się powodem poważnych nieraz trudności i przeszkód, są zaś tem groźniejsze, że działają w ukryciu, nieznane często samemu sprawcy czynów i wbrew jego świadomym zamiarom. Człowiek mozoli się nieraz długie lata, widzi jakieś dziwne rozdwojenie w samym sobie, czuje pewne tajne sprężyny w samym sobie, a nie wie skąd one pochodzą, gdzie się mieszczą i czy istnieje do nich jaki dostęp. Wyjaśnić całą tę dziedzinę „podświadomą“, wysledzić przeciwnika i wskazać środki do zwalczania go, a temsamem do usunięcia przykrych nieraz dolegliwości nerwowych, jest właśnie zadaniem niniejszej książki.

W tym celu stara się autor w sposób przystępny zilustrować istotę i rolę podświadomości wogóle, a następnie przechodzi trzy główne pola jej działalności, będące powodem największych zamieszek wewnętrznych. Są niemi: nieuporządkowane dążenie do wyniesienia siebie samego, nieuregulowany popęd seksualny oraz zbytne szukanie przyjemności zmysłowej. Przy każdym z nich objaśnia autor wpływ ich na człowieka, wynikające stąd następstwa oraz środki przeciwdziałania. Objasnienia te i rady wychodzą daleko poza ramy, wyznaczone tytułem książki; w rzeczywistości jest ona bowiem nie tylko poradnikiem przeciw chorobom nerwowym, ale podaje bardzo cenne wskazówki wychowawcze i samowychowawcze, a przytem jest najlepszym dowodem, że zasady zdrowej ascezy chrześcijańskiej schodzą się ściśle z ostatnimi wynikami wiedzy lekarskiej. Rezultat bowiem, do jakiego dochodzi autor, doktor medycyny, jest ten, że człowiek musi się uczyć panować nad sobą, nad swemi popędami, skłonnościami, a całą siłą zwracać się do Boga i cnoty. Książka to rzeczywiście cenna i można ją polecić wszystkim, pracującym nad wyrobieniem własnem, kierownikom dusz i wychowawcom.

Ks. St. Podoleński.

Der Kleine Herder, Nachschlagebuch über Alles für Alle. Zweiter Halbband bis Z. Herder, Freiburg in Breisg., 1925, str. 753-1531.

Druga część omawianego już przez nas w ostatnim listopadowym zeszycie „Przeglądu” jednotomowego — oprawionego wszakże dla praktycznych względów w dwa tomy — leksykonu Herdera jest dopełnieniem dzieła, które zarówno zewnętrznym wyglądem jak bogactwem treści zalicza się do lepszych wydawnictw nowszych czasów. Na 1531 stronach zgrabnej ósemki zdołano pomieścić ponad 50.000 rzeczy z różnych działów wiedzy i życia, a korzystanie z nich ułatwia wyraźny druk na dobrym papierze oraz 4.000 ilustracji, w tem pewna ilość tablic, także kolorowych.

Jedno wszakże musimy podnieść zastrzeżenie. Pod wyrazem „Polen” daje autor zwięzłą charakterystykę Polaków, a w niej obok cech dodatnich przedstawia naszych wieśniaków jako ludzi „ociężałych, poddańczych i brudnych”, warstwom zaś wyższemu zarzuca skłonność do rozrzutności. Nie przeczymy, że uwagi te są częściowo prawdziwe, ale postawione ogólnie, jako cecha narodu, są niesłuszne i muszą się spotkać z protestem z naszej strony.

Ks. St. Podoleński.

Zapyski czyną św. Wasylija Welykoho. (Analecta Ordinis S. Basilii Magni). Tom I, zes. 2-3, Żółkiew 1925, str. 161-416.

OO. Bazyłjanie ruscy — czy, jak obecnie mówi się ukraińscy — wznawiają najlepsze tradycje swego zakonu, który, jak wiadomo, zaznaczył się niegdyś chlubnie nie tylko na polu szkolnictwa, ale również w dziedzinie naukowej i wydawniczej. Dość wspomnieć Począjów z jego drukarnią, z której wychodziło tyle książek liturgicznych cerkiewnych, książek i śpiewników ludowych i podręczników szkolnych, mających duże znaczenie dla historii kultury naszych kresów wschodnich. Obecnie OO. Bazyłjanie, posiadający już od paru dziesiątków lat swoją drukarnię w Żółkwi, obok licznych publikacji popularnych podjęli wydawnictwo poważniejsze, dotyczące przeszłości własnego zakonu. Ma to być kwartalnik, dający corocznie jeden okazały tom druku. Zeszyt, który mamy pod ręką, podwójny przynosi kilka rozpraw o treści naukowej, jak to o bibliotece Bazyłjanów lwowskich i znajdujących się tam rękopisach, o duchownych pieśniach („wirszy”) na Ukrainie z podaniem tekstu 43 takich pieśni w pisowni cerkiewnej. Resztę zeszytu wypełniają rozmaite materiały i przyczynki do historii zakonu, nekrologi zmarłych jego członków, bardzo ważny tekst pierwszego życiorysu św. Józafata przez biskupa Morochowskiego po polsku skreślony, oceny nowych książek, bibliografja. — Całość przedstawia się poważnie, a nie jest bez znaczenia także dla polskiej nauki i zasługuje, by historycy Polski i historycy literatury kresowej zwrócili na nią uwagę.

J. U.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1926:

- O. J. Woroniecki: Pełnia modlitwy. Studium teologiczne dla inteligencji, str. 156.
 Ks. bp. Bougaud: Życie chrześcijańskie, wydanie II.
 Leon Margoński: Około proboszcza. Powieść, str. 165.
 H. Gheon: Pasterka w krainie wilków. Pastorałka z życia św. Hermany, str. 84.
 Ks. Dr. F. Mirek: Duchowieństwo a współczesna kwestja społeczna, referat, str. 15.

Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, Warszawa 1926:

- Tadeusz Piskor: Działania dywizji kawalerji na Ukrainie od 20/IV do 20/VI 1920 r. Warszawa 1926, str. 248.
 Er. v. Falkenhayn: Niemieckie naczelne dowództwo w latach 1914—1916, z niemieckiego przetłumaczył Dr. B. Merwin, str. 235
 Przegląd wojskowy. Kwartalnik poświęcony wojskowej myśli obcej. Rok II, zeszyt 6.

„Editions Spes“, Paris V, 17 Soufflot:

- Gust. Gautherot: Le monde communiste, str. 259.
 G. Gasque: L'Eucharistie et le corps mystique, str. 252.
 R. P. Coulet: L'Eglise et le problème de la famille, str. 234 i 230.
 — L'action féminine pour les missions catholiques, str. 152.
 Fra Jammes: Brindilles pour rallumer la foi. Str. 108.

Nakład Herdera, Freiburg i. Br. 1926:

- H. Lennerz S. J.: Natürliche Gotteserkenntnis. Stellung der Kirche in den letzten hundert Jahren, str. VIII i 254.
 Dr. Arn. Rademacher: Religion und Leben. Ein Beitrag zur Lösung des christlichen Kulturproblems, str. VIII i 224.
 Alf. Heilmann: Herrlichkeiten der Seele. Mystik des Auslandes, str. VIII i 390.
 Dr. K. Rieder: Gottes Gnadenruf und die Antwort der Menschenseele, Fastenhomilien u. Fastenlesungen. Str. 58.
 Helmut Fahsel: Gespräche mit einem Gottlosen, str. VIII i 214.
 — Eucharistische Funken, VI Bändchen: Die hl. Messe, str. 260.
 A. Ernst: Zwei Freundinnen Gottes (S. Juliane von Lüttich, die Reklusin Eva u. die Einsetzung des Festes Gottes), str. 110.
 J. Schmidlin: Katholische Weltmission u. deutsche Kultur. 2 Aufl., str. 62.
 Otto Schilling: Christliche Gesellschaftslehre str. 116.
 Sim. Geiger: Der Intuitionsbegriff in der kathol. Religionsphilosophie der Gegenwart, str. 12 i 112.
 O. Bardenhewer: Der Römerbrief des hl. Paulus. Kurzgefasste Erklärung, str. 220.
 J. Kreitmaier S. J.: Von Kunst u. Künstlern. Gedanken zu alten u. neuen künstlerischen Fragen. Mit Titelbild u. 48 Tafeln, str. X i 250.
 Hartmann Grisar S. J. Martin Luthers Leben u. sein Werk, mit 13 Tafeln, 36 i 560.

Krakowska Spółka Wydawnicza 1925:

- Wład. Semkowicz: Sprawa św. Stanisława w świetle nowego źródła ikonograficznego, z 6 rycinami, str. 56.
 Biblioteka Narodowa:
 Nr 82. Sonet polski, opracował Wład. Folkierski, str. 32 i 370.

- Nr 87. Samuel Twardowski: *Nadobna Paskwalina*, opracował, Rom. Pollak, str. 23 i 158.
 Franc. Karpiński: *Wybór poezyj* opracował Wład. Jankowski. str. 47+99.
 Molier: *Pocieszne wykwintnisie* przełożył i opracował Boy-Zeleński.

Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1926:

- Jose Zorilla: *Don Juan Tenoria*, dramat fantastyczny w 7 aktach, przekład wolny St. Miłaszewskiego.
 Ferd. Goetel: *Przez płonący wschód*. Wrażenia z podróży, z 80 ilustr. wyd. 2 str. 277.
 Bron. Grąbczewski: *Wspomnienia myśliwskie*, z portretem autora i 25 ilustracjami, str. 104.
 P. Choynowski: *Pokusa*, str. 22.
 H. Opieński: *Jakób Lutnista*, opowieść sceniczna z XVI wieku w formie opery w 2 aktach z epilogiem, str. 62.
 Mik. Sęp Szarzyński: *Wybór poezyj* wydał Ign. Chrzanowski, str. 33.
 Aurelja Wyleżyńska: *Księga udręki*, powieść, str. 146.

„Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra“, Czeszyn 1926.

- Dr. Justus: *Zwierciadło żydowskie czyli 100 praw żydowskich*, str. 79.
 Ks. Franc. Proschwitzer: *Matka Boska w roku kościelnym*. Nabożeństwo majowe w 32 rozmyślaniach, z niemieckiego przełożył ks. J. Szurowacki, str. 207.

Nakład „Zjednoczenia Młodzieży Polskiej“, Poznań 1926:

- Ks. Aleks. Rogóż: *Dzieweczko wstań!* Nauki rekolekcyjne dla pozaszkolnej młodzieży żeńskiej. Str. 146.
 Ks. Fr. Moroń: *Akademja papieska*, str. 78.
 Irena Suszczyńska: *Św. Teresa od Dzieciątka Jezus*, str. 90.
 Eminus: *Wielkanoc*, str. 55.
 Ks. J. Wiśniewski: *Hymn papieski na 2 głosy równe z akomp. fortep.*
 Tenże: *Błogosław Boże na 2 gł. równe z akomp. fortep.*
 L. Ślazi: *Deszcz róż*, dwie pieśni ku czci św. Teresy od Dziec. Jezus

„Biblioteka religijna“, Lwów 1925:

- Ks. R. Knendich: *Homilje na niedziele i święta całego roku*. Str. 471 i 400.
 Ks. B. Żychliński: *Żywoty świętych matek*. Wzory dla matek chrześcijańskich. Str. 119.

Jan Czubek (wydał): *Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Peregrynacja do Ziemi świętej (1582—1584)*. Nakład. Akad. Umiej., Kraków 1925, str. 171.

Roczniki Tow. naukowego w Toruniu, rocznik 32 jubileuszowy. Toruń, 1925, str. 321.

Dr St. Tync (wydał): *Najdawniejsze ustawy gimnazjum toruńskiego*, Tamże, str. 166.

Zapiski Tow. naukowego w Toruniu, t. VI, n. 12. Tamże.

X. Charszewski: *Zbojów o Żeromskiego*, Włocławek 1926, str. 31.

X. Dr Potempa: *Przyczyny wziętości Platona u myślicieli chrześcijańskich*, Włocławek 1926, str. 23.

St. Kulpa i Miecz. Cichocki: *Praktyczny podręcznik dla inwalidów wojennych i ich rodzin...* Kraków 1925, Nakł. Autorów, str. 136.

St. Zakrzewski: *Bolesław Chrobry Wielki*, Lwów, Ossolineum. str. 439.

Harfał: *Książę Północy*. Opowieść z w. XII. Kalisz 1925. Nakład autora, str. 192 i XIV.

- Ks. Karol Mazurkiewicz: Benedykt Herbest. Pedagog-organizator szkoły polskiej XVI wieku, kaznodzieja-misjonarz doby reformacji str. 475.
- Dr. B. Szulc-Golska: Biblijografja przekładów polskich z literatury francuskiej, str. 115.
- G. Hofmann S. J.: *Athos e Roma*. Roma 1925. (*Orientalia christiana*, december 1925), str. 48.
- De Oriente. Bibliographica. (*Orientalia christiana* vol. V, 4.) Roma, str. 40.
- J. Riabinin: *Archiwum państwowe w Lublinie*. Warszawa 1926. Nakład. archiwów państw., str. 88.
- Alex. Birkenmajer: *Neues zu dem Briefe der Pariser Artistenfakultät über den Tod des hl. Thomas von Aquin*. Rom 1925 (*Separatabdruck aus Xenia Thomistica*), str. 18.
- *Marco da Benevento und die angebl. Nominalistenakademie zu Bologna (1494—1498)*. Druck der Fuldaer Actiendruckerei, str. 10.
- Ign. Chrzanowski: *W Sprawie „Kazań Sejmowych” Skargi*, Nakładem „Księgarni Krakowskiej” 1926, str. 31.
- Prof. dr. Peretiatkowicz: *Encyklopedia prawa obowiązującego w Polsce. Część V: Zarys ustroju sądownictwa i postępowania cywilnego*. Poznań 1926, Fiszer i Majewski, str. 134.
- Ks. St. Adamski: *Reorganizacja bankowości w Polsce*, Poznań 1926, str. 31.
- Goethe: *Faust*, cz. I. przełożył W. Kościelski. „Biblioteka Polska” Warszawa 1926, str. 228.



Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dotkliwe straty w gronie episkopatu polskiego. — Reforma w dziedzinie prawodawstwa kościelnego we Włoszech. — Walka rządu faszystowskiego z niemoralnością. — Powody rezerwy wielu katolików w stosunku do rządu Mussoliniego.

Kościół polski poniósł w jednym ubiegłym miesiącu dwie dotkliwe straty przez śmierć arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, Prymasa Polski, kardynała Dalbora i arcybiskupa wileńskiego, ks. Jana Cieplaka. Na pięć arcybiskupio-metropolitalnych stolic obrządku łacińskiego w Polsce naraz dwie zostały osierocone i to jedna z nich zanim jej nominat zdążył ją objąć w posiadanie.

Postacie obu zgasyłych dostojników Kościoła były tak wybitne, że nie można porywać się na ich choćby pobieżną charakterystykę w ramach kronikarskiej notatki i nie jest zadaniem niniejszej rubryki naszego pisma umieszczanie nekrologów. Zresztą cała prasa polska już złożyła swój hołd pamięci zgasyłych arcybiskupów w obszernych a serdecznych artykułach, niedaleka zaś przyszłość winna się zdobyć na wyczerpujące monografie tych dwóch wielkich Polaków.

Tutaj chcemy poświęcić kilka słów szczególnych temu z dwóch zmarłych arcybiskupów, którego nazwisko pozostanie chlubną ozdobą kart historii Kościoła nie tylko polskiego, ale katolickiego wogóle. Ś. p. ks. arcybiskup Cieplak zasłynął w całym świecie katolickim i wogóle w świecie nie dzięki wysokiemu stanowisku, jakie w hierarchji zajmował, bo ono było stosunkowo skromne do niedawna — biskupa sufragana w archidiecezji mohylewskiej; jego imię powtarzanem będzie, jako symbol nieugiętej wierności pasterskiemu obowiązкови w warunkach najbardziej wrogich i nieustraszonej walki o wolność sumienia i o prawo Boże z materialną przemocą zorganizowanego w państwo ateizmu. Tere-

nem tej walki w XX stuleciu jest Rosja bolszewicka, jak sto dwadzieścia lat temu takim terenem była Francja rewolucyjna, jak przed kilkunastu wiekami był Rzym cesarów. I jak za prześladowania imperatorów rzymskich, jak za dni krwawego terroru wielkiej rewolucji Kościół nie uległ przemocy bram piekielnych dzięki temu, że Opatrzność wzbudzała szeregi męczenników nieustraszonych, tak tylko dzięki nieugiętym męczennikom i wyznawcom, którymi szczyli się obecny Kościół w Rosji, możemy z ufnością myśleć o jego zwycięstwie i przyszłym odrodzeniu i rozkwicie. A na pierwszym miejscu na tej liście męczenników i wyznawców figurują dwa nazwiska: Ks. Budkiewicz i Ks. arcybiskup Cieplak — jeden męczennik, drugi wyratowany od śmierci męczeńskiej wyznawca.

Zmagania krwawe między religią a ateistyczną zaciętością, jakich świadkami jesteśmy w Rosji współczesnej — należą do historii całego Kościoła, całego chrystjanizmu: naszemu szczęściem i chlubą jest to, że w tej walce Opatrzność posłużyła się, jako obrońcami prawdy, tymi synami naszego narodu i tylu innymi, którzy trwają na najbardziej zagrożonych stanowiskach. Bogu niech będą za to nieskończone dzięki, a pamięć zmarłego bojownika za sprawę Bożą niech wzbudzi jak najliczniejszych w narodzie naszym naśladowców.

Rząd faszystowski we Włoszech zrobił bezwątpienia wiele dla religii. Najpierw *via facti* przywrócił w szkołach ludowych wyrzucone dawno przez liberalizm masonski krzyże i wprowadził nauczanie katechizmu, uporządkował częściowo kwestję uposażenia duchowieństwa, na ruinach Kolizeum zatknał na nowo godło zapanowania chrześcijaństwa nad pogaństwem, poskromił sekciarskie zapędy masonerii itd. Słowem, to, co katolicka partja *Popolarów* marzyła osiągnąć powoli drogą parlamentarnych usiłowań i targów, rząd Mussoliniego zrealizował krótkim ukazem, energicznym gestem, zdobytą niejako szturmem ustawą o stowarzyszeniach tajnych itd.

Rząd faszystowski poszedł w tym kierunku jeszcze dalej: postanowił zrewidować i zmienić całokształt ustaw, odnoszących się do religii i Kościoła, jakie ustaliła długoletnia polityka liberalizmu, prowadzonego na pasku łóż wolnomularskich. Na początek 1925 roku powołano komisję pod przewodnictwem podsekretarza stanu Mattei-Gentili, której postawiono za zadanie przygotowanie projektu reformy całokształtu ustawodawstwa w dziedzinie kościelnej w kraju. Rzeczona komisja, która otwarła swe prace 12 lutego 1925 przemową ministra sprawiedliwości i kultu, Alfreda Rocco, podzieliła się na cztery subkomisje, według różnorodności

rozpatrywanych zagadnień; do trzech z nich zaproszono także duchownych rzymskich, kanoników Talamo, Capitani i Cisterna, uchodzących za tęgich prawników i cieszących się dobrą opinią u Watykanu. Bądź co bądź, komisja owa i subkomisje nie posiadały wcale charakteru mieszanego — państwowo-kościelnego, lecz były wyłącznie organem wykonawczym zamierzeń rządowych i duchowni, którzy brali w ich pracach udział, czynili to na swój niejako rachunek bez żadnego polecenia ze strony władz kościelnych.

Rezultaty prac tych komisji zostały ujęte w sprawozdaniu, przedstawionem rządowi 31 grudnia przez radcę stanu Giannini, wybitnego członka i prezesa paru podkomisji. Biorąc rzecz materialnie, projekty komisji w wielu punktach zbliżają się do stanowiska prawa kanonicznego (niekiedy wprost się na nie powołując) i stanowią walny krok naprzód ku zlikwidowaniu ustaw, krępujących wolność i działalność Kościoła. Tak, na przykład, według przedstawionego projektu, rząd zrzeka się wykonywania swego prawa, wpływającego z patronatu nad niektórymi kościołami, t. j. obsadzania stanowisk kościelnych, pozostawiając to w zupełności biskupom; zrzeka się także (idąc w tem dalej od naszego konkordatu) wszelkich prefensyj do przedstawiania mu nazwisk kandydatów, których biskupi zamierzają instytuować na jakieś stanowisko kościelne. Co się tyczy nominacji na biskupów, to rząd pozostawia sobie prawo wyrażania swego *nihil obstat* co do poszczególnych kandydatów przed nominacją ich przez Stolicę świętą. Widzimy tu więc podobne uprawnienie, jak w konkordacie naszym, z tą różnicą, że o zamierzonej nominacji kogoś na biskupstwo komunikuje rządowi nie Stolica święta (z którą rząd włoski nie utrzymuje dyplomatycznych stosunków), lecz administrator diecezji, o której obsadzenie chodzi. Dalej, projekt uznaje legalne istnienie wszelkich zakonów katolickich, mających zatwierdzenie papieskie, i nadaje im uprawnienia osób prawnych, czego dotąd były pozbawione. Obiecuje im nawet zwrot poodbieranych im świątyń, w formie wszakże darowania im tychże na nowo przez państwo. Reformuje wreszcie administrację majątków kościelnych, tak zwanego funduszu religijnego, który dotąd był całkowicie w ręku państwa i administrowany niedołężnie albo nawet złośliwie, nie służył dostatecznie tym celom, jakim służyć był powinien. Odąd do zarządu tego funduszu, obok przedstawicieli państwa, mają wejść także przedstawiciele Kościoła, co ma służyć też „za nowy dowód zasady, przenikającej cały projekt, zasady współdziałania dwóch władz”. Przewiduje się także utworzenie funduszu emerytalnego kapłanów i inne zarządzenia, niewątpliwie dla kleru korzystne.

Zapewne nie było we Włoszech katolików, którzyby nie oceniali dobrej woli rządu faszystowskiego i doraźnych korzyści, jakie przygotowane projekty niosły Kościołowi i sprawie religii. Ale katolicy widzieli także w owych projektach ujemne strony, których nie dostrzegali ich twórcy, albo przynajmniej udawali, że ich nie widzą. Prasa faszystowska wyносиła po nad miarę zalety projektów kościelnych rządu, podkreślając zwłaszcza rzekome współdziałanie Kościoła w ich przygotowaniu i podsuwając myśl, że właściwie z chwilą wprowadzenia w życie tych projektów zostaje rozwiązane całe zagadnienie stosunku państwa do Kościoła. Sam prezes komisji, Mattei-Gentili, zresztą osobiście dobry katolik, wyrażał się, że ten stosunek przechodzi ze stadjum głuchej wojny w stadjum *quasi*-konkordatowe.

Ale właśnie w owym niewinnem „quasi” zawierał się grzech pierworodny całego projektu i Stolica święta, zwłaszcza wobec zachwytów nad projektem prasy rządowej, nie omieszkła to dobitnie zaznaczyć. Dziwna, ale nie przypadkowa chyba okoliczność, że owe entuzjastyczne dla projektu głosy zjawiły się jednocześnie, 10 stycznia, w wielu organach prasy rządowej i inspirowanej, więc już nazajutrz, aczkolwiek z datą 12 stycznia, ukazał się w organie Watykanu *Osservatore Romano* komunikat, sprowadzający rzeczy do właściwej miary. Komunikat zaznaczał, że nie może być mowy o wypracowanym projekcie, jako wspólnem dziele państwa i Kościoła, jest on bowiem projektem li-tylko rządowym, a więc jednostronnym; dalej, przyznając, że zapowiada ów projekt znaczne zmiany na lepsze w sytuacji Kościoła we Włoszech, zaznacza komunikat, że tenże projekt bynajmniej nie stanowi całkowitej naprawy stosunków i nie gwarantuje całkowitego religijnego uspokojenia kraju. „By osiągnąć ten cel — czytamy w organie Stolicy Świętej — należałoby przedewszystkiem odwołać ową ustawę o gwarancjach, uważaną za arcydzieło liberalizmu, Stolicy świętej zapewnić ową zupełną wolność i niezależność, zarówno faktyczną jak i widzialną dla oczu całego świata, do jakiej ma ona nieprzedawnione prawo i dopiero potem przystąpić do zreformowania wszystkich ustaw niesprawiedliwych drogą porozumienia się obydwóch władz”. Słowem, Stolica Apostolska wysunęła na pierwsze miejsce „kwestję rzymską”, którą projekt rządowy zupełnie pomijał, pragnąc ją obejść; Watykan oznajmił, że nie zadowolnia się stanem rzeczy, który p. Mattei-Gentili nazwał *quasi*-konkordatowym, ale żąda prawdziwego dwustronnego konkordatu po uprzednim nawiązaniu przez rząd prawidłowych stosunków z papieżem.

Jak łatwo domyśleć się, artykuł *Ossevatore* nie mógł się podobać w kołach faszystowskich. Tak chciano przed-

stawić rząd, jako dobroczyńcę Kościoła, tak liczono, że przez zreformowanie ustawodawstwa kościelnego zobowiąże się Kościół do wdzięczności względem faszystowskiego rządu i tym sposobem wyzyska się go do umocnienia w kraju polityki Mussoliniego — a tu naraz znowu podnoszą ową drażliwą kwestję rzymską, którą rząd faszystowski, zarówno jak jego liberalni poprzednicy, wolałby uważać za załatwioną raz na zawsze jednostronnym aktem Włoch w słynnej ustawie o gwarancjach z r. 1870.

Nota watykańska przyszła nieoczekiwanie i dlatego wywołała pewien zamęt w prasie i w kołach, zbliżonych do rządu. Agencje prasowe z początku chciały ją zdusić przemilczeniem i faktycznie tekstu jej nie roztelegrafowano po świecie; zagranicą dowiedziano się o niej właściwie z polemiki prasy. Ta znowu usiłowała uprościć sobie zadanie. Zamiast wejść w istotę rzeczy, uderzyła na sam fakt pojawienia się takiej noty z kół watykańskich. Domyślając się, że autorem komunikatu jest nie kto inny, jak kardynał sekretarz stanu Gasparri, uderzono gwałtownie na jego osobę: dziennik *Tribuna-Idea Nazionale* czynił go ojcem owego „nieszczęsnego tworu” — partji *Popolarów*, pozostających ciągle w opozycji do rządu i psujących dobry stosunek między rządem faszystowskim a Kościołem; pismo *Il Tevere* zapowiadało publikację jakichś dokumentów, mających skompromitować politycznie kardynała; żądano niedwuznacznie od Ojca św. usunięcia sekretarza stanu; wyobrażenia dziennikarzy wysuwała już nawet różne nazwiska dyplomatów papieskich, jako domniemanych następców kardynała Gasparri. Watykan tymczasem pozostał w olimpijskim spokoju. W *Osservatore Romano* ukazało się jeszcze dnia 14 stycznia krótkie sprecyzowanie pierwszej noty, w którym wyjaśniono jeszcze raz treść pierwszego komunikatu, podkreślając, że nie zapoznawał on tych dobrych stron projektów rządowych, jakie one rzeczywiście w sobie mieszczą; co się zaś tyczy rzekomego stosunku kardynała sekretarza stanu do *Partito popolare*, to stwierdzono, że partja ta powstała samorzutnie bez żadnego czynnego udziału Stolicy św. w celu obrony zasad chrześcijańskich przeciwko grasującemu jeszcze w kraju i w polityce liberalizmowi. Spaliły także na panewce usiłowania wywarcia nacisku na Ojca św., by usunął kardynała Gasparri, i na tego ostatniego, by sam się podał do dymisji. Z sekretarjatu stanu ogłoszono komunikat, że kardynał Gasparri nie zamierza wcale ustępować ze swego stanowiska; przedstawiciele najsilniejszej organizacji katolickiej „*Azione Cattolica*” pospieszyli złożyć napadniętemu kardynałowi swoje homagjum z potępieniem napaści prasy faszystowskiej; podobnież uznanie oświadczyła później „Federacja

kleru", na której czele stoi mgr. Orlandi; wreszcie sam Ojciec św. wystosował pod dniem 18 stycznia list do kard. Gasparri, w którym przysyłając mu medal pamiątkowy roku świętego i pocieszając go w „trudnościach, które są i liczne i nielekkie”, wyraża się o swym sekretarzu stanu, jako o „codziennym swym współpracowniku i najwierniejszym wyrazi-cielu swych myśli”.

Tym sposobem atak ze strony prasy faszystowskiej przyczynił się raczej do wzmocnienia pozycji kardynała sekretarza stanu. Wkrótce też ucichła także cała polemika, z której pono sam Mussolini nie był zadowolony; odstąpiono także od zamiaru publikacji jakichś rzekomo kompromitujących kardynała dokumentów, oświadczając tylko, że są one w rękach rządu. Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z szantażem, który się nie powiódł. W pierwszych dniach lutego *Ajencia Stefani* była upoważniona przez rząd do oznajmienia, że dokumenty, jakie miał publikować *Il Tevere* nie stanowią żadnej tajemnicy dyplomatycznej i nie zawierają nic, coby uwłaczało czci wysokiego dostojnika Kościoła.

Skończyła się kampanja przeciw kardynałowi sekretarzowi stanu, rząd włoski wszakże nie odstąpił od swego zamiaru przeprowadzenia jednostronnie reform w ustawodawstwie kościelnem. Omówione wyżej projekty miały być w tych dniach wniesione do parlamentu, któryby je oczywiście uchwalił, jak uchwała wszystko, czego rząd Mussoliniego żąda, gdyż izba „posłów” na Montecitorio jest jedynym parlamentem w świecie, gdzie właściwie niema opozycji. Ale i Watykan nie przypatruje się tym zamiarom rządu bezczynnie. I na ten raz już nie bezimienna nota w *Osservatore* jest wyrazicielką opinii Stolicy św., lecz głos nieskończenie poważniejszy, bezapelacyjny, bo samego Piusa XI. Mianowicie 18 lutego skierował Ojciec św. do kardynała Gasparri list, poświęcony tej właśnie sprawie. Papież wyjaśnia ostatecznie w nim, że duchowni, którzy brali udział w komisji, przygotowującej projekty reform ustawodawstwa kościelnego, mieli wprowadzić na to pozwolenie od bezpośredniej swej władzy, nie występowali wszakże w charakterze przedstawicieli Stolicy Apostolskiej i weszli do komisji, nie-wiedząc nawet dokładnie, jakie zasady będą kierowały jej pracami. Dalej Ojciec św. oznajmia, że ponieważ projektowana reforma dotyczy spraw i osób, co do których z prawa Bó-zego jedyną kompetentną władzą prawodawczą jest Kościół, Stolica św. nie może nikomu przyznać władzy rozstrzygania tych spraw inaczej, jak po porozumieniu się z nią. Czyż jest bowiem do pojęcia, by tu, w Rzymie, rzekomi katolicy ukła-dali kompletny regulamin Kościoła dla całych Włoch bez

porozumienia się z Stolicą Apostolską? Porozumienie zaś to ani wogóle rokowania nie są możliwe, dopóki nie zostaną zmienione warunki, w jakich wciąż pozostaje Stolica święta.

Co wobec tego wystąpienia Piusa XI uczyni rząd Mussoliniego? Czy zaryzykuje zignorowanie głosu papieskiego i zażąda od Izby uchwalenia przygotowanych projektów? Ale kto wie, czy właśnie tym krokiem nie stworzyłby silnej przeciw sobie opozycji, nie już tylko ze strony *Popolarów*, lecz w łonie posłusznej dotąd rządowej większości, do której wielu katolików należy. Czy całą sprawę reformy prawodawstwa odłoży *ad calendas graecas*? Ale i w tym razie dałby do poznania, że do rozwiązania kwestji rzymskiej przystąpić nie chce, a to również nie przysporzyłoby mu przyjaciół w kraju, chyba wśród żywiołów lewicowych, od których obecnie stoi tak daleko. A może Pius XI swem wystąpieniem dał do zrozumienia, że ufa Mussoliniemu, iż on znajdzie dość odwagi i zręczności do poruszenia kwestji rzymskiej z owego martwego punktu, na jakim ją pozostawiła ustawa o gwarancjach z czasów zaboru Rzymu. Bądź co bądź Mussolini, może nie myśląc o tem, przyczynił się przez swoje projekty reformacyjne do postawienia kwestji rzymskiej na porządku dziennym w tak ostrej formie, w jakiej już dawno nie stała.

Żądając unormowania stosunków między Kościołem i państwem drogą jedynie właściwą przez wzajemne współdziałanie obu stron, nie myślą katolicy włoscy, ani najwyższe sfery kościelne ganić tych kroków rządu, jakie podejmuje na własną rękę w celu oczyszczenia atmosfery moralnej kraju z miazmatów trujących, jakimi nasiąkła w ciągu półwiekowych liberalnych rządów. Do tego posiada naturalne prawo.

Liberalizm włoski, jak zresztą wszędzie indziej, na tem polegał, że gdy się krepowało Kościół w jego działalności i paraliżowało wpływy religji na życie narodu, a zwłaszcza na szkolne wychowanie młodzieży, pozostawiało się — w imię tolerancji i wolności — wszelką swobodę prasie, teatrowi, miejscom zabawy do zwalczania przekonań chrześcijańskich i szerzenia zgnilizny moralnej. Błuznierstwo, na przykład, w mowie i prasie pono nigdzie nie rozwieliżniło się do tego stopnia, jak we Włoszech. Obecnie rząd faszystowski zabrał się energicznie do likwidacji tej smutnej spuścizny po swych poprzednikach. Czyni to najpierw, udzielając swego poparcia licznym ligom, zakładanym przez katolików po całym kraju w celu zwalczania bluznierstw przeciwko Bogu i świętym i niemoralności. Takie ligi w ostatnich czasach ujawniły żywą działalność, urządzając szereg nabożeństw

przebiegałnych i zgromadzeń, na których uświadamia się szerokie masy o niegodziwości i szkodliwości dla narodu zarówno bezbożności, jak rozwiązłości w obyczajach. W razie potrzeby, ligi uciekają się o pomoc do władz policyjnych, które rzeczywiście skutecznie interweniują, usuwając nieobyczajne afisze, konfiskując pornograficzne pisma i ilustracje, krajowe i importowane z Francji, gdzie zwłaszcza wszelkie wyuzdanie cieszy się zupełną bezkarnością. Jeżeli ta walka ze zgorzeniem nie osiąga jeszcze dostatecznych rezultatów, to winą tego niedostateczne ustawy, które wymagają rychłej rewizji i uzupełnień.

W ostatnich czasach rząd zwrócił szczególną uwagę na miejsca zabaw i schadzek, na różne sale dancinowe i kółka sportowe, w których młodzież płci obojga moralnie się psuła pod pretekstem zabawy, sportu czy pielęgnowania estetyki. Minister spraw wewnętrznych Federzoni rozkazał policji największą pod tym względem czujność i energję w działaniu. W szeregu miast, jak w Medjolanie, Neapolu, Bolonji, Mantui zamknięto dziesiątki podejrzanych lokali. W wielu z nich zastawano setki niedorostków obojga płci, których po udzieleniu im reprimendy odprowadzano do rodziców.

Te wystąpienia władz w celu ukrócenia zgorzeń, byleby przeprowadzano je z równym taktem, jak z energją, niewątpliwie zasługują na uznanie i naśladowanie gdzieindziej. Oczywiście spotykają się one z ostrą krytyką żywiołów anarchistycznych lub spekulujących na niższych instynktach ludzkich i braku moralnej odporności u młodzieży. Tacy będą się przybierać w fogi obrońców wolności obywatelskich, wolności sumienia, wolności zgromadzania się i t. d. Trzeba im przeciwstawić prawo uczciwych ludzi do tego, aby, gdy wyjdą na ulicę, nie obryzgiwano ich błotem moralnem, tak jak mają prawo domagać się materialnej higieny swych miast i wsi. A rodzice uczciwi mają także słuszne prawo żądać od władz, by nie tolerowały spelunek, stanowiących gorsząca przynętę dla ich małoletnich dzieci.

Że faszyzm ma wielu zwolenników i sympatyków także wśród wierzących i praktykujących katolików włoskich, o tem dobrze wiadomo. Wiadomo, że ze stronnictwa, które przez pewien czas uważano za jedynie katolickie, z *Partito popolare*, w okresie ostatnich wyborów wystąpiła pewna część członków i to wybitnych posłów i polityków i pogodziła się z faszyzmem. Niejeden dobry katolik, zapytany, co sądzi o rządzie Mussoliniego, gdy wspomni na ów okres anarchji i biorącego już górę bolszewizmu, jaki poprzedził rewolucję faszystowską, odpowie ze wzrokiem, utkwionym w niebo: „niech mu Bóg da jak najdłużej rządzić, temu

Mussoliniemu: on zatamował rozkład kraju, zabezpieczył spokój, dźwignął kraj ekonomicznie, zajął stanowisko przychylne dla religji“.

Z drugiej strony jednak i to zastanawia, że większość zdecydowanych katolików nie może się pogodzić z faszyzmem i jeśli go nie zwalcza, to conajmniej zachowuje się względem niego w podejrzliwej rezerwie. Pozostała po rozłamie większa część *Popolarów* stanęła w jawnej do faszyzmu opozycji; przenosząc się wraz z socjalistami na Awentyn; potężna organizacja społeczna i oświatowa, *Azione Cattolica*, jakkolwiek nie polityczna i w zasadzie nie broniąca swym członkom politycznie należeć do obozu rządowego, w większości swej jest usposobiona niechętnie do faszyzmu i liczy ogromną ilość swych członków w stronnictwie *Popolarów*. Czem tłumaczyć tę rezerwę albo i niechęć tak wielu katolików do panującego faszyzmu? Odpowiedź na to pytanie potrzebna jest i u nas ze względu na zainteresowanie się ruchem faszystowskim w naszym społeczeństwie.

Niechęci najbardziej uświadomionych katolików włoskich do faszyzmu nie można kłaść jedynie na karb przeszłości wielu faszystów, nie wyjmując ich dowódców. Prawda, że wielkie ich zastępy zostały zrekrutowane z pośród dawnych socjalistów, że wniosły one do nowej partji bezwzględność dawnych zwolenników walki klas, że swej psychiki może nie tyle się wyzbyli, ile ją przemalowali z czerwonego na czarny kolor; prawda, że przeważna część ich przywódców, poczynawszy naprzykład od Farinacci'ego, są to ludzie niewierzący i niepraktykujący. To wszystko nie może katolików natchnąć całkowitem zaufaniem do partji nawet wtedy, kiedy się oświadcza za religją, kiedy uznaje jej zasługi i znaczenie w życiu narodu. Niejeden katolik powtarza wtedy w duchu słowa starego poety: *Timeo Danaos...*

Nie mogą powiększyć zaufania katolików do faszyzmu i te liczne zbrojne napady na lokale organizacji katolickich, które może wbrew woli Mussoliniego się powtarzają, świadczą wszakże o czemś innem, niż o życzliwości faszystów dla katolicyzmu, któraby wypływała z wewnętrznego religijnego przekonania. Nie zjednał chyba sobie faszyzm żadnego nowego sympatyka wśród katolików, kiedy powracających z Awentynu na Montecittorio ludowców katolickich poprostu brutalnie wyparł z sali, żądając od nich poniżającej wprost kapitulacji wobec polityki faszystowskiej. Te jednak przyczyny nie tłumaczą wszystkiego.

Przyczyna rezerwy czy niechęci do faszyzmu leży głębiej; leży w istocie światopoglądu, jakiemu hołduje faszyzm, a jaki trudno pogodzić z nauką katolicką. Ze stanowiska katolickiego można darować faszyzmowi reformę wyborczą

(zresztą już przez sam faszyzm częściowo odrzuconą), która dała mu bezwzględną większość w parlamencie, — bo ze stanowiska katolickiego obojętną jest taka czy inna reforma rządu, — od absolutyzmu poczynawszy, a kończąc na krańcowej demokracji, byleby rządono dobrze, t. j. zgodnie z prawem Bożem naturalnem i na dobro ogółu. Można ze stanowiska katolickiego przyklasnąć wielu działom rządu faszystowskiego, które właśnie przywróciły niejedno podeptane przez liberalizm prawo, faktycznie zgadzając się z postulatami Kościoła. Ale nie można uznać tej filozofji, w której faszyzm szuka swego oparcia, a właściwie którą tworzy dla swego użytku. Tą filozofją jest teoria o wszechwładzy państwa, o tem, że wszelkie uprawnienia tylko z niego płyną i przez nie mogą być odwołane. W imię tej zasady naprzykład rząd faszystowski przeprowadza ustawę o stowarzyszeniach zawodowych, która pozbawia możliwości egzystencji wszelkie związki, któreby chciały zachować pozapartyjny charakter i uniemożliwia akcję społeczną Kościoła. Ta zasada jest nie do przyjęcia przez katolików, gdy w imię jej państwo chce regulować sprawy kościelne (jak w omawianym wyżej projekcie) własną powagą i traktując poczynione koncesje, jako dobrowolne swoje nadania, a nie jako uznanie praw skądinąd Kościołowi przysługujących. Czyż bowiem daje takie państwo gwarancję, że nie cofnie tego jednostronnie, co jakoby z łaski swej nadało? Wreszcie nie do przyjęcia ze stanowiska katolickiego jest zasada, że religja i Kościół są podporządkowane interesom państwa i narodu, oczywiście doczesnym, innych bowiem państwo nie zna. Słowem, to bałwochwalstwo narodu i państwa, jakie głosi faszyzm, nie da się ułożyć w ramy katolickiej nauki i dlatego mimo całego uznania dla wielu jego poczyną, katolicyzm musi mówić sobie: miej się na baczności! Ostatni list papieża przypiera rząd faszystowski do muru nie tylko w „kwestji rzymskiej“, ale ubocznie i w tej bardziej jeszcze zasadniczej kwestji — poglądu na istotę, zadania państwa i jego stosunek do Kościoła. Jeśli faszyzm odpowie życzeniom Piusa XI, zreformuje tem samem swoją duszę ku pożytkowi własnemu, Włoch i może innych krajów.

Ks. Jan Urban.

Akcja komunizmu wśród młodzieży francuskiej.

Mniej więcej rok temu podaliśmy garść wiadomości o wychowaniu i kształceniu młodzieży komunistycznej w Rosji sowieckiej.¹⁾ Przytoczyliśmy niektóre punkty programowe i dane sta-

¹⁾ *Przegl. Powsz.*, styczeń 1925 r., str. 121.

tystyczne. O ile zasadnicze linje tego programu uległy pewnym modyfikacjom, jaki jest dziś faktyczny stan rzeczy, nie wiemy; zresztą choćbyśmy nawet posiadali informacje ze źródeł bolszewickich, musielibyśmy je przyjąć z wielkim znakiem zapytania, nie tylko z powodu nieufności do oficjalnych sprawozdań władz sowieckich, ale przede wszystkim dlatego, że te kwestje usuwają się z pod kontroli ludzkiej i nie dadzą się wyrazić w cyfrach. Sporadycznie dochodzą do nas co pewien czas wieści o strasznej nędzy i demoralizacji wśród dzieci rosyjskich, o ich zdzieleniu, o przymusowym zamykaniu w państwowych internatach, a nawet o planach czy też czynach masowych egzekucyj. Ile w tem wszystkim jest prawdy, trudno powiedzieć; w każdym razie tragedia taka jest zupełnie prawdopodobna i nie zdziwi nikogo, kto pamięta słowa Lenina, skierowane do młodzieży komunistycznej (komsomolców): „Moralność waszą macie oprzeć na walce klas...“ Wychowanie, na takiej oparte podstawie, zdolne jest zrodzić wszelkich zbrodniarzy i potworów.

Jako uzupełnienie powyższych wiadomości, dające pewien obraz akcji, prowadzonej przez sowiety poza granicami Rosji, podajemy trochę szczegółów z organizacji młodzieży komunistycznej we Francji. W wydanej w r. 1925 książce „Le monde communiste“²⁾ zajmuje się dr. Gustave Gautherot kwestją bolszewizmu i jego działalności w świecie, a przede wszystkim we Francji, i w jednym z rozdziałów stara się na podstawie autentycznych źródeł przedstawić obraz tej akcji wśród młodzieży francuskiej.

Już na pierwszy rzut oka uderza tu dwulicowość w działaniu. Na zewnątrz wysuwa się postulaty zawodowe, a o ile chodzi o szersze warstwy młodzieży, zajmuje się sportem, muzyką, śpiewem, sztuką, urządzaniem zabaw, wycieczek, kolonij wakacyjnych. W rzeczywistości są to tylko pozory, właściwe cele tkwią głębiej; chce się młodzież zawczasu wychować w duchu III Międzynarodówki, a przede wszystkim przygotować przyszłą armję czerwoną. „Istotnym celem tej młodzieży czerwonej — powiada autor — lub, ściślej mówiąc, jej nałaniancy, jest uzbrojenie proletariatu po obaleniu armji narodowej“. „Praca antymilitarystyczna“ wśród rekrutów aktualnych i przyszłych, pomiędzy wojskiem i zdemobilizowanymi, ma być główną osią całej akcji komunistycznej wśród młodzieży francuskiej, wszystko inne służy tylko do zamydlenia oczu.

Warto przypatrzeć się nie stanowi posiadania partji. Jest on jeszcze niewielki, ale rośnie dość szybko. Kongres młodzieży komunistycznej Francji, który odbył się w Paryżu od 25—28 grudnia 1924 r., zgromadził 203 delegatów, naogół w wieku od 16—

²⁾ *Editions Spes*, 17 rue Soufflot, Paris (V), str. 259.

24 lat, którzy reprezentowali 12.000 młodych ludzi, trzy razy tyle, co na zjeździe poprzednim. *

Poszczególne centra organizacyjne rozrzucone są po całym kraju, bardzo licznie w Paryżu i okolicy, każde z nich ma osobną nazwę i lokal, cele zaś, którym pozornie służą, są różnorodne. O istotnych zadaniach dowiaduje się dopiero skądinąd, choćby z tak niewinnych, zdawałoby się, związków sportowych, zrzeszonych w *La Fédération sportive du travail* (F. S. T.), która jest sekcją międzynarodowej *L'Internationale rouge sportive* (I. R. S.). Na trzecim światowym kongresie tej ostatniej, w październiku 1924 r., delegacja francuska¹⁾ postarała się o przyjęcie następujących dyrektyw dla robotniczego rewolucyjnego ruchu sportowego: „Francuska F. S. T. musi spotęgować propagandę, aby wciągnąć w swe szeregi wielkie masy młodzieży robotniczej. Jej głównym zadaniem jest nieubłagana walka z burżuazyjnymi organizacjami sportowymi. Do tego celu powinna F. S. T. użyć wszelkich środków walki, jakimi rozporządzają rewolucyjne organizacje proletariatu... Ogromny rozwój militarystmu francuskiego nakłada na F. S. T. bardzo poważny obowiązek: aby zgodnie z P. C. i J. C. prowadziła jak najenergiczniejszą walkę z militarystmem burżuazyjnym...”

Akcja ta przypada naturalnie w udziale młodzieży starszej; dla młodszej istnieją osobne związki „Młodych harcerzy czerwonych” (*Jeunes Scouts rouges*), owszem nawet małe dzieci ujęte są w *Groupes d'enfants*, związane w jedną federację krajową. Osobne organizacje sportowe istnieją dla dziewcząt, a na usługi wszystkich stoją specjalne czasopisma, redagowane w duchu Partji.

Naczelne kierownictwo całej akcji nad młodzieżą, celem wciągnięcia jej i wyrobienia, spoczywa w rękach starszych. Oczywiście pozory samostanowienia i niezawisłości młodzieży zachowuje się starannie i akcentuje głośno; w rzeczy samej obowiązuje tu jednak ślepe posłuszeństwo, a hasła niepodległościowe służyć mają jedynie do przyciągnięcia ochotników i rozbicia zniechęconej instytucji rodziny. „Mniemane prawo rodziców do dzieci — pisała *L'Humanité* (24. IV. 1925) — nie ma żadnych podstaw; to jest A B C komunizmu. Jednostka nie należy ani do siebie samej, ani do swych rodziców, tylko do społeczeństwa, do ludzkości. Społeczeństwu zatem przysługuje w pierwszym rzędzie prawo wychowywania dziecka i powinno ono za wszelką cenę zwalczać praktykę rodziców, którzy wychowują dzieci według swych głupich pojęć, pełnych zabobonów i uprzedzeń religijnych”.

Wszyscy komuniści mają też „obowiązek” wpisania swych dzieci do związków młodzieży komunistycznej, a specjalna „komisja” czuwa nad wypełnieniem tego obowiązku, ponieważ „by-

¹⁾ Ciekawe ze względu na przeważnie nie francuskie swe brzmienie są nazwiska członków tej delegacji, przytoczone w niniejszej książce: Podvoisky, Lieske, Reussner, Lemberg, Royer, Read.

łoby niedopuszczalnym, aby przez nieposłuszeństwo niektórych Jednostek został zahamowany cały ruch" (*L'Humanité*). Sprawa ta została uregulowana przez II kongres komunistycznych związków dzieci, odbyty w Paryżu d. 28 grudnia 1924 r., gdzie oprócz ustalenia ich organizacji wskazano im także czynne zadanie: zwalczanie obecnej szkoły. „Jacejki (dzieci komunistycznych) — brzmi jedna z rezolucyj tego kongresu — powinny się zaprawiać do walki z niesprawiedliwością, brutalnością, śpiewami patryjotycznymi, gimnastyką i pozdrowieniem wojskowym, etyką i historją (jako przedmiotami szkolnemi, obj. a.)". Ducha walki i nienawiści klasowej szerzy się zresztą przy każdej okazji; nawet na kartkach, będących dowodem przynależności dziecka do pewnej grupy komunistycznej, zamieszcza się zdania, przeciwstawiające dobrobytowi młodzieży burżuazyjnej nędzę robotniczej i wzywające do walki przeciw temu pokrzywdzeniu.

Takich grup dzieci i to dobrze, jak powiada autor, zorganizowanych, jest sporo w Paryżu i okolicy. Mają one do dyspozycji własne lokale, czytelnie, lekcje śpiewu, muzyki, zajęć praktycznych, sportu; zaprasza się je na różne uroczystości ludowe, urządza wycieczki, na które idą zaopatrzone w podwieczorek i bilety tramwajowe, w czapkach czerwonych z godłem bolszewikiem, młotem i sierpem.

Komunistyczne te związki dzieci rosną w liczbę, a przyczynia się do tego nie tylko właściwa czerwona propaganda, ale co najsmutniejsze, liczni przedstawiciele nauczycielstwa francuskiego. Wychowani w atmosferze niewiary, zmuszeni w szkołach państwowych do wystrzegania się wszystkiego, co przypomina Boga i religię, znaleźli się już dawno w ogromnej ilości w szeregach socjalistycznych, z nich zaś przeszli w latach ostatnich w sporej liczbie do komunizmu, którego zasady usiłują też wpajać w dzieci. Niebezpieczeństwo to poznano we Francji dość dawno, zwracano na nie uwagę w parlamencie i w prasie, niestety rząd francuski okazał się tu bezsilny, gdyż sam doprowadził do tego stanu rzeczy przez utrzymywanie ateistycznej szkoły świeckiej. To też nauczyciele komuniści występują śmiało i otwarcie, a „teza", uchwalona na zjeździe kierowników grup dzieci komunistycznych w Paryżu, 16 października 1924 r., znajduje u nich nie tylko uznanie, ale i czynne poparcie.

Partja, powiada owa „teza", dąży do obalenia obecnej „burżuazyjnej" szkoły elementarnej, która „uczy dzieci, że zbrodnią jest tknąć własność prywatną, każe ją podtrzymywać i bronić, a przede wszystkim wpaja poszanowanie władzy i prawa", wszystko to zaś „pod pokrywką nauczania moralności, poczucia obywatelskiego, patryjotyzmu, militarysty, religii itd." W domu również dziecko pozbawione jest wygód, męczy się tylko i jest zmuszane pomagać rodzicom. Otóż wychowanie komunistyczne musi zmienić to wszystko przez wyrobienie ludzi, „którzyby nie mieli za-

dnego poszanowania dla własności kapitalistycznej, dla praw i władzy, która ich broni, i którzyby potrafili w stosownym czasie nie usłuchać ani tej władzy ani tych praw". W tym celu trzeba wszakże zniweczyć dotychczasową rolę rodziny, „jej uprzedzenia i jej tradycje". Wprawdzie narazie nie da się jeszcze przeprowadzić to, co byłoby „ideałem, t. j. aby Partja miała zawsze dzieci przy sobie", ale przynajmniej doloży ona starań, by dziecko poznało, „że jego prawa i obowiązki są równe prawom i obowiązkom dorosłych i że w tych ostatnich nie powinno ono widzieć nic więcej, jak tylko starszych wiekiem towarzyszków". Dziecko może wprawdzie otrzymywać od nich „rady, jeżeli tego będzie potrzebowało", ale będzie to tylko rada, ponieważ dziecko „ma prawo urządzić sobie życie według własnego upodobania".

Dla takich to haseł, przewracających wszelki ład społeczny i porządek, zdołali komuniści pozyskać sporo sympatyków w łonie nauczycielstwa francuskiego. Na 150.000 nauczycieli szkół publicznych, 70.000 należy do socjalistycznej C. G. T. (*Confédération Général du Travail*), a 16.000 do C. G. T. U. (*C. G. T. Unitaire*), organizacji komunistycznej. Oprócz tych kilkunastu tysięcy zdeklarowanych komunistów, czerpiących swe poglądy z najbardziej radykalnych czasopism, znajduje się podobno i wśród poprzednich nie mało zwolenników tych samych poglądów, a dowodem tego są ich zjazdy, odbyte w r. 1924 w Paryżu, Lyonie i Grenoble. Na zjeździe w Lyonie słyszało się liczne wezwania do ustalenia linii postępowania „na podstawie doświadczeń rosyjskich", do „przygotowania rewolucji", do postawienia internacjonalizmu w miejsce patriotyzmu, do wprowadzenia monopolu nauczania, do usunięcia osób duchownych od szkół, do zmuszania rodziców, aby posyłał dzieci tylko do szkół świeckich itp.

Radykalne nauczycielstwo francuskie usiłuje też wywierać presję na rząd w kierunku przeparcia swych żądań, a rosnąca jego liczba i bezkarność, z jaką spotyka się w swych występkach, rozzuchwalała je coraz bardziej. Kiedy pewna liczba nauczycieli komunistów, usuniętych chwilowo, została z początkiem roku szkolnego 1924 przywrócona na swe posady, przedstawiciele jej ogłosili publiczną deklarację (*L'Humanité*, 24 listop. 1924), że powrót swój uważają nie za przebaczenie im winy, ale za prostą sprawiedliwość i podkreślili, iż „wracają z głową podniesioną, nie abdykując z niczego... dziś są tem, czem byli wczoraj". Dzięki swym prawom świeckim znalazła się więc Francja w tem smutnym położeniu, że utrzymuje dziesiątki tysięcy ludzi, którzy chcą ją doprowadzić do zguby, pracują nad zdeprawowaniem jej dzieci, dążą mniej lub więcej otwarcie do zburzenia rodziny, zrewoltowania młodzieży i dyktatury proletariatu. Co z tego wyniknie w dalszym ciągu, pokaże przyszłość. Narazie najdzielniejszym ratunkiem dla kraju są szkoły prywatne, których katolicy francuscy z pewnością nie pozwolą sobie wyrzucić; od ich sprawności i od

wyniku obecnej kampanji katolickiej Francji zawisł może jej los na tem polu.

Krótki powyższy szkic, streszczający dane, przytoczone przez G. Gautherot'a, nie wyczerpuje wprawdzie całokształtu komunistycznych organizacyj młodzieży we Francji, daje jednak pewien ich obraz i wskazuje na szereg charakterystycznych momentów ich działalności, oraz współpracujących z nią czynników. Z pewnemi odmianami akcja podobna rozwija się i w innych krajach, nie wyjmując naszego. Tajność jej, taktyka i powodzenie będą naturalnie różne, zależnie od warunków miejscowych, nie wszędzie bowiem przygotowano dla niej podatne podłoże, jak we Francji. Hasła jednak, rzucane tamże jako zasadnicze, będą z pewnością wspólne wszystkim krajowym organizacjom; możemy więc tylko z żywym uznaniem spoglądać na pracę tych naszych czynników państwowych, które starają się śledzić i unieszkodliwiać wszelkie zawiązki akcji komunistycznej wśród młodocianych obywateli Polski.

P.



REDAKTOR I WYDAWCA: KS. JAN URBAN T. J.

Druk ukończono 1 marca 1926 r.

Spis rzeczy tomu 169.

Artykuły.

	Str
J. Urban: Czy można socjalizm pogodzić z katolicyzmem? 3,	164
Prof. F. Konieczny: Różnolitość cywilizacyjna Słowiań- szczyzny (dok.)	21
Z. Ciechanowska: Historia literatury polskiej w osta- tniem pięcioleciu.	47, 204
W. Płoskiwicz: Z dziejów dwóch diecezji kresowych (dok.)	69
S. P.: Zagrożone dzieci	84
B. Breżgo: Losy bibliotek jezuickich kolegów w Połocku i Witebsku	88
J. Pałaczkowski: Gobeliny francuskie w Polsce z Historją Aleksandra Wielkiego	129, 323
St. Podołeński: W sprawie kodyfikacji prawa małżeń- skiego w Polsce.	148
Bp. Gódlowski: O mistycyzmie cesarza Aleksandra I (c. d.)	183
Prof. J. Kallenbach: Towianizm na tle historycznem. (c. d.)	194, 331
Ks. A. Szymański: Akcje pracy.	257
Józef Tyszkiewicz: Einsteinizm a poglądy filozofji chrze- ścijańskiej	276
Ks. Ludwik Wrzoł: Teorja względności a eksperyment Michelsona	294
Rafał Blüth: Rosyjski romantyk nawrócony. (O. Włodzi- mierz Peczerin)	304

Przegląd piśmiennictwa.

Aleksander Brou: Saint Ignace maître d'oraison. (J. Andrasz)	95
Conan Doyle: Nowe objawienie. (Co to jest spirytyzm? (St. Podołeński)	96

William J. Lockington S. I.: Durch Körperbildung zur Geistes-	
kraft. (St. Podoleński)	97
Ks. Józef Zdanowski: Z walki o wolność Kościoła pod zaborem	
rosyjskim. (J. Urban)	99
Jan Wiktor: Legendy o Grajku Bożym. (J. G.)	99
Władysław Orkan: Listy ze wsi, tom I. (J. G.)	100
Wiek. XIX Sto lat myśli polskiej. Tom IX. (T. Karyłowski)	100
Jan Nepomucen Niemojowski: Wspomnienia, ze wstępem St.	
Pomarańskiego. (T. Karyłowski)	101
Zofja Kossak-Szczucka: Kłopoty Kacperka Góreckiego, skrzata,	
baśń, ilustrował Karol Kossak. (T. Karyłowski)	101
Juljusz Słowacki: Podróż do Ziemi Świętej i Neapolu. (T. Ka-	
ryłowski)	102
Prof. Dr. Antoni Peretiatkowicz: Współczesna Encyklopedia	
Polityczna, 1926, Część I	103
Nowości Wydawnicze księgarni św. Wojciecha	103
Wł. St. Reymont: Pisma, tom XVII-XX. — Juljusz German:	
Iwonka. — Zygmunt Bartkiewicz: Polityka w lesie. — Maciej Wier-	
biński: Dolar i Spółka. — Jerzy Ostrowski: Szandar na maszcie. —	
Tenże: Chorągiew na dachu. — Jan Żyznowski: Z podglebia. — Ste-	
fan Grabiński: Cień Bafometa. — Gustaw Olechowski: Buntownicy. —	
Tadeusz Szpotkański: Skradziony rękopis. — Wacław Grubiński:	
Nowele. — Wacław Rogowicz: Pokusa o zmierzchu. — Gamaston:	
Fata Morgana. — Jerzy Braun: Kiedy księżyc umiera. — Bruno	
Winawer: Doktor Przybram. — St. Barszczewski: Czandu. — Bruno	
Winawer: Lepsze czasy. — G. H. Wells: Wehikuł czasu; Niewi-	
dzialny. — Calderon: Zemsta Kondora. — Kornel Makuszyński:	
Wycinanki. — Jan Łada: W zaklętym zamczysku. — Władysław	
Łoziński: Skarb Watażki. — Michał Czajkowski: Stefan Czarniecki. —	
Hajota: Z dalekich łądów. — A. Słonimski: Pod zwrotnikami. — A.	
Daudet: Przygody Tartarina. — Wergiljusz: Eneida, przekł. ks. T.	
Karyłowskiego — L. H. Morstin: W kraju Latynów. — Z. Reutt-Wit-	
kowska: Pielgrzym, legenda Ossjaka. — Zygmunt Różycki: Złoty	
czerep. — Miecz. Smolarski: Z wielkiego miasta. — Marjan Zaruski:	
Sonetys morskie. — I. K. Hłakowiczówna: Połów, poezje. — Anna L.	
Czerny: Antologia nowej liryki francuskiej. (Anna Zahorska)	225
Ks. Kazimierz Smógór: Nauki o Najśw. Sakramencie Ołta-	
rza. — Tenże: Nauki Wielkopostne. — Ks. Dr. Zygmunt Pilch: Od-	
rzucenie Mesjasza, cykl kazań pasyjnych. — Ks. Błażej Łaciak:	
Dziesięcioro Bożego Przykazania. — Ks. Franciszek Zbroja: Nauki	
do młodzieży szkolnej. — Wielka idea — wielki czyn, przemówienie	
do młodzieży. (J. Godaczeński)	238
W. Heinrich: Zarys historii filozofji. Tom I (Fr. Kwiat-	
kowski)	242
Jan Ptaśnik: Kultura wieków średnich. (J. Urban)	345
M. Gumowski: Medale Polskie. (K. Konopka)	349

	Str.
K. Gehring i A. Skrypczeńko: Naukowa organizacja pracy (R. M.)	352
J. Puchałka: Ubezpieczenie na wypadek choroby. (J. M.)	353
Potrzeby stanu rękodzielniczo-mieszczańskiego a polskie stronictwo chrześcijańskiej demokracji. (R. M.)	353
Dr. Stanisław Stawski: Dostęp Polski do morza a interesy Prus Wschodnich. (R. M.)	353
Gustaw Olechowski: Listy z nizin. (R. M.)	354
Antonio Menotti Corvi: Italia współczesna. (J. U.)	354
Leon Wasilewski: Ukraińska sprawa narodowa w jej rozwoju historycznym. (J. U.)	355
Pan na Tulczynie. (s.)	356
Ludwik Pastor: Die Stadt Rom zu Ende der Renaissance. — Die Sixtinische Kapelle. (M. J.)	357
Albert Lopez: La Lumière d'Israël. (J. Urban)	357
Ks. St. Podoleński: Rozwód a zdrowie narodu. (J. Urban)	358
Święta Magdalena - Zofja Barań. (Z. Ciechanowska)	359
Ks. Walerjan Adamski: Zasady duszpasterstwa młodzieży pozaszkolnej. (St. Podoleński)	360
Die Frühlingsreise. (Ks. St. Podoleński)	360
Dr. Ignaz Erhard: Seelische Ursachen und Behandlung der Nervenleiden. (Ks. St. Podoleński)	361
Der Kleine Herder. (Ks. St. Podoleński)	362
Zapyski czynu sw. Wasylija Welykoho. (J. U.)	362

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Styczeń: Z ostatniej alocucji Ojca św. — Prekonizacja biskupów dla Polski. — Niebezpieczeństwo zamachu na katolickie prawo małżeńskie w Polsce. (J. Urban)	107
Luty: Encyklika papieska o nowem święcie Chrystusa Króla. — Narzekania i pretensje prawosławnych w Polsce. (J. Urban)	244
Marzec: Dostkliwe straty w gronie episkopatu polskiego. — Reforma w dziedzinie prawodawstwa kościelnego we Włoszech. — Walka rządu faszystowskiego z niemoralnością. — Powody rezerwy wielu katolików w stosunku do rządu Mussoliniego. (J. Urban)	366
Czwarty zjazd historyków polskich w Poznaniu. (M. Skibniewski)	112
O kartografii w Polsce. (M. Skibniewski)	119
W obronie budżetu nauki twórczej	125
Ile ludności może pomieścić nasza ziemia? (St. Podoleński)	250
Akcja komunizmu wśród młodzieży francuskiej. (P.)	375